



James Clavell

Król szczytów

JAMES CLAVELL

Król szurów

(Tłumaczenie: Małgorzata i Andrzej Grabowscy)

Była wojna. Obozy Changi i Outram Road na Singapurze istnieją - albo raczej istniały - naprawdę. Reszta jest oczywiście zmyślona i osoby działające nie mają najmniejszego zamierzonego podobieństwa do nikogo z żyjących ani zmarłych.

Changi przypominało perłę osadzoną na wschodnim krańcu wyspy Singapur i mieniącą się pod kopułą nieba tropików. Zajmowało ono niewielkie wzniesienie, otoczone pasmem zieleni; nieco dalej zieleń ustępowała miejsca zielonkawoniebieskiemu morzu, a morze gubiło się w nieskończoności horyzontu.

Ale z bliska Changi traciło swój urok, stając się tym, czym było - plugawym, odrażającym więzieniem. Wokół bloków z celami - prażone słońcem podwórza, wokół podwórzy - wysokie mury.

Za tymi murami, w blokach, piętro po piętrze ciągnęły się cele, które mogły pomieścić dwa tysiące więźniów. Ale teraz w celach tych, na korytarzach, we wszystkich kątach i zakamarkach żyło tu około ośmiu tysięcy ludzi. Głównie Anglicy i Australijczycy, trochę Nowozelandczyków i Kanadyjczyków - niedobitki sił zbrojnych Kampanii Dalekowschodniej.

Ludzie ci byli na dodatek przestępcami. Popelnili ciężką zbrodnię. Przegrali wojnę. I mimo przegranej żyli.

Drzwi do cel pozostawiono otwarte, drzwi do bloków także, nawet olbrzymia brama przecinająca mur stała otworem i jeńcy mogli wchodzić i wychodzić niemal swobodnie. Lecz mimo to czuć tu było zaduch, jakiś klaustrofobiczny smród.

Za bramą ciągnęła się droga wysypana smołowanym żużlem. Sto metrów na zachód przecinała ją płatanina barier z kolczastego drutu, za którymi znajdowała się wartownia obsadzona uzbrojonymi strażnikami - odpadkami hord najeźdźcy. Minąwszy tę przeszkodę, droga podążała beztrąsko naprzód, aby po jakimś czasie zgubić się w gąszczu ulic Singapuru. Ale dla jeńców droga wiodąca na zachód kończyła się w odległości stu metrów od głównej bramy.

Ku wschodowi biegła ona wzdłuż muru, potem skręcała na południe i nie odstępując muru podążała dalej. Po obu jej stronach stały szeregiem długie "sutereny", jak nazywano prymitywne szopy. Wszystkie były jednakowe: długie na czterdzieści pięć metrów, ze ścianami splecionymi z liści palmy kokosowej, przybitymi byle jak do słupów, kryte strzechą również z liści kokosu, ułożonych w spleśniałych warstwach jedna na drugiej. Nie zaniedbano zwyczaju i co roku kładziono nową ich warstwę, jako że słońce, deszcz i owady pastwiły się nad strzechami, niszcząc je. Za okna i drzwi służyły zwykłe otwory. Dla ochrony przed słońcem i deszczem strzechy wystawały daleko poza ściany szop, które stały na betonowych słupkach broniących dostępu powodziom, węzom, żabom, ślimakom, skorpionom,

stonogom, żukom, pluskwom - wszelkiemu pełzającemu robactwu.

W szopach tych mieszkali oficerowie.

Na południe i na wschód od drogi stały w czterech rzędach, po dwadzieścia w każdym, betonowe domki, zwrócone do siebie tyłem. Mieszkali w nich wyżsi oficerowie - majorzy, podpułkownicy i pułkownicy.

Dalej droga skręcała na zachód i biegnąc wzdłuż muru, napotykała jeszcze jeden szereg krytych palmowymi liśćmi szop. Służyły one za kwatery tym, których nie pomieściło więzienie.

Jedną z nich, mniejszą od innych, zajmowała grupa Amerykanów, licząca dwudziestu pięciu żołnierzy i podoficerów.

Tam gdzie droga skręcała znów na północ - tuż przy murze, znajdowała się część ogródków warzywnych. Pozostałe, które dostarczały większość obozowej żywności, leżały dalej na północ, po drugiej stronie drogi, naprzeciw bramy więzienia. Droga ciągnęła się jeszcze dwieście metrów przez mniejszy ogród i kończyła przed wartownią.

Cały ten przesiąknięty ludzkim potem skrawek ziemi o rozmiarach niespełna kilometra kwadratowego otaczała siatka z drutu kolczastego. Łatwo ją było przeciąć. Łatwo się przez nią przedostać. Prawie jej nie strzeżono. Nie było reflektorów. Nie było stanowisk karabinów maszynowych. Bo i cóż począłby uciekinier? Dom był daleko za morzami, za horyzontem, za bezkresnym morzem albo wrogą dżunglą. A przejście poza druty oznaczało nieszczęście, i dla tych, którzy by uciekli, i dla tych, którzy by zostali.

W opisywanych tu czasach, w roku 1945, Japończycy wiedzieli już, że najlepiej jest pozostawić kontrolę nad obozem w rękach jeńców. Sami wydawali rozkazy, a za ich wykonanie odpowiedzialni byli jeńcy - oficerowie. Jeśli obóz nie przysparzał kłopotów, sam ich także nie miał. Za złe miano jeńcom prośby o jedzenie. Za złe prośby o lekarstwa. Za złe prośby o cokolwiek. Za złe to, że w ogóle żyli.

Changi było dla swoich mieszkańców więcej niż więzieniem. Changi było dla nich Genesis, miejscem, gdzie wszystko zaczyna się od nowa.

Księga pierwsza

ROZDZIAŁ I

- Dostanę tego przeklętego drania, choćbym padł.

Porucznik Grey cieszył się, że nareszcie wypowiedział na głos to, co od tak dawna ciążyło mu na żołądku jak kamień. Jadowity ton jego głosu wyrwał z zadumy sierżanta Mastersa, który myślał właśnie o butelce australijskiego piwa z lodu, o steku zwieńczonym sadzonym jajkiem, o swoim domu w Sydney, o żonie, ojej piersiach i o tym, jak pachniała. Nawet nie spojrzał w okno, przez które patrzył porucznik. I tak wiedział, kto właśnie idzie przez tłum półnagich mężczyzn ścieżką wydeptaną wzdłuż ogrodzenia z kolczastego drutu. Jednakże wybuch Greya zaskoczył go. Komendant żandarmerii obozu Changi był zwykle małowówny i nieprzystępny, jak każdy Anglik.

- Niech się pan oszczędza, panie poruczniku. Tylko patrzeć, jak załatwią się z nim Japończycy - odezwał się Masters znużonym głosem.

- Pies trącał Japończyków - warknął Grey. - To ja chcę go złapać. Chcę go mieć tu, w tym areszcie. A kiedy już z nim skończę... chcę, żeby trafił do więzienia Outram Road.

- Outram Road? - spytał Masters i spojrzał na niego w osłupieniu.

- Oczywiście.

- Słowo daję, rozumiem, że chce pan się do niego dostać, no ale więzienia to bym nie życzył nikomu.

- Tam jest jego miejsce. I tam właśnie go wsadzę. To złodziej, kłamca, oszust i pijawka. Przeklęty wampir, który żeruje na innych.

Grey wstał i podszedł do okna baraku żandarmerii, w którym było nieznośnie duszno i gorąco. Odpędził ręką rój much unoszący się nad drewnianymi deskami podłogi i zmrużył oczy, chroniąc je przed oślepiającym blaskiem południowego słońca padającego na ubitą ziemię.

- Jak Boga kocham, zemszczę się za nas wszystkich - przysiągł.

Powodzenia, bracie, powiedział w duchu Masters. Ty jeden możesz się dostać do Króla. Masz na to w sobie dość nienawiści. Masters nie lubił oficerów ani żandarmerii wojskowej. Szczególnie zaś gardził Greyem, ponieważ ten był oficerem z awansu

i ukrywał to przed wszystkimi.

Ale Grey nie był osamotniony w swojej nienawiści. Całe Changi nienawidziło Króla. Nienawidzono go za muskularne ciało, za niezmacony blask niebieskich oczu. W tym dogorywającym świecie półżywych nie było ludzi otyłych, dobrze zbudowanych, zaokrąglonych, gładko ogolonych, zgrabnych czy masywnych. Były tylko twarze, zdominowane przez oczy i wynędzniałe tułowia - skóra okrywająca ścięgna, a ścięgna kości. Ludzie różnili się między sobą tylko wiekiem, twarzą i wzrostem. I w całym tym świecie jedynie Król jadł jak człowiek, palił jak człowiek, sypiał jak człowiek, śnił jak człowiek i wyglądał jak człowiek.

- Ej, wy tam, kapralu! - szczechnął Grey. - Do mnie!

Król był świadom obecności Greya już od chwili, gdy wyszedł z za rogu więzienia. Nie dlatego, żeby widział cokolwiek w ciemnym wnętrzu baraku żandarmerii, ale ponieważ wiedział, że Grey ma swoje przyzwyczajenia. Kiedy ma się wroga, mądrze jest znać jego zwyczaje, stąd Król wiedział o Greyu akurat tyle, ile jeden człowiek może wiedzieć o drugim.

Zszedł ze ścieżki i skierował się ku samotnemu barakowi wyrosłemu jak krosta pośród wielu innych.

- Pan mnie wołał, panie poruczniku? - spytał salutując. Miał uprzejmy uśmiech. Pogardliwe spojrzenie przesłaniały okulary przeciwsłoneczne.

Grey, stojąc w oknie, wpatrywał się z góry w Króla. Jego napięta twarz skrywała zakorzenioną w nim nienawiść.

- Dokąd to?

- Wracam do baraku, panie poruczniku - wyjaśnił ze spokojem Król, nie przestając się zastanawiać, o co właściwie chodzi: Zdarzyła się jakaś wpadka? Ktoś doniósł? Co się stało Greyowi?

- Skąd macie tę koszulę?

Król kupił ją poprzedniego dnia od pewnego majora, który przechowywał koszulę starannie przez dwa lata na wypadek, gdyby musiał ją sprzedać, żeby za uzyskane pieniądze kupić jedzenie. Król lubił być schludny i porządnie ubrany, tam gdzie nikt inny nie był ani schludny, ani porządnie ubrany, i sprawiało mu przyjemność, że włożył nową czystą koszulę, długie, zaprasowane w kant spodnie, czyste skarpetki, świeżo wypastowane buty i nieskazitelnie utrzymany kapelusz. Bawiło go, że Grey nie ma na sobie nic oprócz połatanych szortów, drewnianych chodaków i beretu wojsk pancernych, zzieleniałego i ze-sztywniałego od tropikalnej

pleśni.

- Kupilem - odparł. - Dawno temu. Nie ma przepisu zakazującego kupować, ani tutaj, ani gdziekolwiek... panie poruczniku.

Grey wyczuł w owym "panie poruczniku" bezczelność.

- Dobra, kapralu, do środka.

- Po co?

- Na małą pogawędkę - powiedział Grey z sarkazmem.

Król stłumił złość, wszedł po schodkach, przestąpił próg i stanął przy stole.

- I co teraz... panie poruczniku?

- Wywrócić kieszenie.

- Po co?

- Wykonać rozkaz! Wiecie, że mogę rewidować was zawsze i wszędzie - powiedział Grey i dorzucił z pogardą: - Nawet wasz dowódca się na to zgodził.

- Tylko dlatego, że pan porucznik nalegał.

- Miałem powody. Wywrócić kieszenie!

Król bez pośpiechu wykonał rozkaz. W końcu nie miał nic do ukrycia. Chusteczka, grzebień, portfel, paczka fabrycznych papierosów, pudełko z jawajską machorką, ryżowe bibułki do papierosów, zapalki. Grey upewnił się, że wszystkie kieszenie zostały opróżnione, a potem otworzył portfel. Było w nim piętnaście amerykańskich dolarów i blisko czterysta dolarów japońsko-singapurskich.

- Skąd są te pieniądze? - spytał ostro Grey. Cały był zlany potem.

- Wygrałem w karty... panie poruczniku.

Grey zaśmiał się ponuro.

- Macie dobrą passę. I to już od prawie trzech lat. Dobrze mówię?

- Skończył pan już rewizję... panie poruczniku?

- Nie. Chcę jeszcze obejrzeć zegarek.

- Jest w spisie...

- Powiedziałem, że chcę obejrzeć zegarek!

Z posępną miną Król ściągnął z nadgarstka bransoletkę z nierdzewnej stali i wręczył zegarek Greyowi.

Oprócz nienawiści, jaką Grey żywił do Króla, targnęła nim zazdrość. Zegarek był automatyczny, wodoszczelny i odporny na wstrząsy, marki Oyster Royal. Tylko złoto miało w Changi wyższą cenę. Grey odwrócił zegarek, przyjrzał się wygrawerowanym w stali cyfrom, a potem podszedł do ściany z palmowych liści, zdjął

spis przedmiotów należących do Króla, machinalnie zgarnął z niego mrówki i starannie porównał numer zegarka z numerem umieszczonym w spisie.

- Zgadza się - odezwał się Król. - Nie ma obawy, panie poruczniku.

- Ja się o nic nie boję - odparł Grey. - To wy powinniście się bać.

Zwrócił Królowi zegarek, zegarek, za który można było kupić jedzenia na prawie pół roku.

Król nałożył zegarek na rękę i sięgnął po portfel i resztę swoich rzeczy.

- A, prawda. Pierścień - powiedział Grey. - Sprawdzimy.

Ale pierścień też znajdował się w spisie. Wpisano go tam jako "złoty pierścień, sygnet klanu Gordonów". Obok spisu widniała odbita pieczęć.

- Skąd u Amerykanina sygnet Gordonów? - spytał Grey, zresztą nie po raz pierwszy.

- Wygrałem go. W pokera - odparł Król.

- Macie zdumiewającą pamięć, kapralu - rzekł Grey i zwrócił Królowi pierścień.

Od początku wiedział, że znajdzie zegarek i pierścień w spisie. Rewizja to był tylko pretekst. Coś, jakiś masochistyczny impuls kazał mu choć na chwilę zbliżyć się do swojej ofiary. Wiedział również, że Króla nie jest łatwo zastraszyć. Wielu już próbowało go przyłapać, ale bezskutecznie, ponieważ był sprytny, ostrożny i bardzo przebiegły.

- Jak to jest, że macie tyle, kiedy cała reszta nie ma nic? - spytał Grey chrapliwie, ogarnięty nagłą zazdrością o zegarek, pierścień, papierosy, zapalki i pieniądze.

- Nie wiem, panie poruczniku. Po prostu dopisuje mi szczęście.

- Skąd macie te pieniądze?

- Wygrałem w karty... panie poruczniku.

Król był zawsze uprzejmy. Zawsze zwracał się do oficerów odpowiednio do ich stopnia i salutował im, tak Anglikom, jak i Australijczykom. Wiedział jednak, że wyczuwają bezmiar pogardy, jaką żywi do stopni wojskowych i salutowania. Między Amerykanami było inaczej. Człowiek to człowiek, bez względu na to, skąd pochodzi, z jakiej rodziny i jaki ma stopień. Jeżeli go poważasz, to zwracasz się do niego z respektem. A jeśli nie, to nie, i tylko skurwiele mają o to pretensję. Niech ich szlag!

Król wsunął pierścień na palec, pozapinał kieszenie i strzepnął z koszuli pyłek kurzu.

- Czy to wszystko... panie poruczniku?

Dostrzegł w oczach Greya błysk gniewu.

Grey przeniósł wzrok na Mastersa, który przez cały czas obserwował ich nerwowo.

- Sierzancie, moglibyście przynieść mi wody? - spytał.

Masters podszedł wolno do manierki wiszącej na ścianie.

- Proszę bardzo, panie poruczniku.

- Ta jest wczorajsza - oznajmił Grey, chociaż wiedział, że to nieprawda. -
Przynieście świeżej.

- Głowę dałbym, że przyniosłem wodę zaraz z samego rana - rzekł Masters i wyszedł kręcąc głową.

Król stał swobodnie i czekał. Grey nie przerywał panującej ciszy. Tuż za ogrodzeniem, w górujących nad dżunglą palmach kokosowych zaszeleścił wiatr zapowiadając deszcz. Niebo na wschodzie zasnuły już czarne chmury. Wkrótce miały przesłonić cały nieboskłon i sprawić, że kurz zamieni się w błoto i lżej będzie oddychać parnym powietrzem.

- Zapali pan, panie poruczniku? - spytał Król podsuwając paczkę papierosów.

Ostatni raz Grey palił prawdziwego papierosa dwa lata temu, w dniu swoich urodzin. Skończył wtedy dwadzieścia dwa lata. Wlepił wzrok w paczkę i miał ochotę wziąć jednego, miał ochotę wziąć wszystkie.

- Nie - rzekł ponuro. - Nie chcę od was żadnego papierosa.

- Mogę zapalić, panie poruczniku?

- Nie!

Król, nie spuszczając oczu z Greya, spokojnie wyjął papierosa, zapalił go i głęboko się zaciągnął.

- Wyjmijcie to z ust! - rozkazał Grey.

- Proszę bardzo... panie poruczniku - powiedział Król, lecz zanim wykonał rozkaz, raz jeszcze powoli i głęboko się zaciągnął. A wtedy zhardział. - Nie muszę słuchać pańskich rozkazów, a poza tym nie ma takiego przepisu, który zakazywałby mi palić wtedy, kiedy mam na to ochotę. Jestem Amerykaninem i nie podlegam żadnemu kopniętemu angielskiemu służbiście! Nieraz już o tym panu przypominano. Niechże pan się ode mnie odczepi... panie poruczniku!

- Nie wymkniecie mi się, kapralu - wybuchnął Grey. - Niedługo noga wam się powinie, a ja was na tym przyłapię i wtedy znajdziecie się tam. - Trzęsącym się palcem wskazał na prymitywną klatkę z bambusu, która służyła za celę. - Tam jest wasze

miejsce!

- Ja nie łamię żadnych przepisów...

- To skąd macie pieniądze?

- Gram w karty - odparł Król i zbliżył się do Greya. Panował nad swoim gniewem, ale w tym momencie był bardzo niebezpieczny. - Nikt mi nic nie daje. To, co mam, jest moje i sam to zdobyłem. A w jaki sposób, to już moja sprawa.

- Nie tylko wasza, dopóki ja tu jestem komendantem żandarmerii. - Grey zacisnęła pięści. - Już od miesięcy giną duże ilości lekarstw. A może coś o tym wiecie?

- O żeż ty!... Słuchaj pan - wybuchnął Król z wściekłością. - Nigdy w życiu nie ukradłem. Nigdy w życiu nie handlowałem lekarstwami i radzę o tym pamiętać! Cholerny świat. Gdyby pan nie był oficerem...

- Ale jestem oficerem, więc proszę, spróbujcie. O tak, bardzo proszę. Myślicie, kapralu, że jesteście tacy strasznie mocni. A ja wiem, że nie jesteście.

- Jedno panu powiem. Kiedy skończy się to zaszranie Changi, to się spotkamy i pan się nie pozbiera.

- Zapamiętam to sobie! - Grey starał się powstrzymać kołatanie serca. - Ale wiedzcie, że zanim to nastąpi, ja będę czuwał i czekał. Nie słyszałem jeszcze, żeby komuś szczęście dopisywało wiecznie. Wasze też się skończy.

- Nie ma obawy, panie poruczniku! - odparł Król, chociaż zdawał sobie sprawę, że mimo wszystko w słowach Greya jest wiele prawdy. Jak dotąd miał dużo szczęścia. Nawet bardzo dużo. Ale szczęście to nie hazard, to ciężka praca, planowanie, a poza tym coś jeszcze. A jeżeli już hazard, to wykalkulowany. Tak jak dziś z tym diamentem. Całe cztery karaty. Nareszcie wiedział, jak go zdobyć. Kiedy przyjdzie odpowiednia chwila. Gdyby udało mu się ubić jeszcze ten jeden interes, to byłby on ostatni i nie musiałby więcej ryzykować... Przynajmniej tu, w Changi.

- Skończy się wasze szczęście - powtórzył złowrogo Grey. - A wiecie dlaczego? Bo nie różnicie się niczym od innych przestępców. Jesteście chciwi...

- Dość mam tych bzdur! - zawołał Król i nie mogąc powstrzymać wściekłości, dorzucił: - Jeżeli ja jestem przestępcą, to...

- Właśnie, że jesteście. Bez przerwy łamiecie prawo.

- Akurat. Dla mnie to japońskie prawo może...

- Do diabła z japońskim prawem! Mówię o prawie obozowym. Obozowe prawo zabrania handlu. A wy się tym właśnie zajmujecie!

- Niech mi pan to udowodni.

- Wszystko w swoim czasie. Wystarczy jedna wpadka. A wtedy zobaczymy, jak się wam będzie powodzić. W mojej klatce. A jak już w niej sobie posiedzicie, osobiście dopilnuję, żeby was wysłano do Outram Road!

Król poczuł zimny dreszcz przerażenia w sercu i jądrach.

- Tak, to podobne do takiego drania jak pan - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- W waszym przypadku zrobiłbym to z przyjemnością - rzekł Grey z pianą na ustach. - Przecież Japończycy to wasi przyjaciele!

- Ach ty skurwysynu! - zaklął Król i zacisnąwszy wielką jak młot pięść ruszył do Greya.

- Co tu się znowu dzieje? - spytał pułkownik Brant, który stąpając ciężko po schodkach, wchodził właśnie do środka.

Był bardzo niski, miał niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu i nosił bródkę podwiniętą pod brodę wzorem Sikhów. W ręku trzymał wojskową trzcinkę. Jego wojskowa czapka nie miała daszka i cała była w latach z workowego płótna. Na samym jej środku błyszczało jak złoto godło pułku, wygładzone przez lata polerowania.

- Nic... nic, panie pułkowniku. - Grey przegonił ręką rój much, usiłując opanować przyśpieszony oddech. - Właśnie... rewidowałem kaprala...

- Ejże, ejże, Grey - przerwał pułkownik rozdrażnionym tonem. - Słyszałem przecież, co pan mówił o Outram Road i Japończykach. Można jak najbardziej rewidować go i przesłuchiwać, o czym powszechnie wiadomo, ale nie ma powodu go straszyć i obrzucać obelgami. - Pułkownik, na którego czole perliły się kropelki potu, zwrócił się z kolei do Króla. - A wy, kapralu, podziękujcie swojej szczęśliwej gwiazdce, że nie zameldujecie kapitanowi Broughowi o waszym niezdiscyplinowaniu. Macie chyba dość rozsądku, żeby nie paradować w tym ubraniu. To każdego może doprowadzić do szaleństwa. Sami szukacie guza.

- Tak jest, panie pułkowniku - odparł Król. Na zewnątrz zachowywał spokój, ale przeklinał siebie w duchu za to, że stracił panowanie nad sobą, o co właśnie chodziło Greyowi.

- Spójrzcie na mnie, jak jestem ubrany - mówił pułkownik Brant. - Jak ja się, do licha, przy was czuję?

Król nic na to nie odpowiedział. Pomyślał tylko: To twoje zmartwienie, przyjacielu - ty dbasz o siebie, a ja o siebie. Pułkownik miał na sobie tylko przepaskę na biodrach zrobioną z połowy saronga, którą obwiązał się w pasie jak szkocką spódniczką, a pod nią już nic. W całym Changi jedynie Król nosił kalessony. Miał ich

sześć par.

- Myślicie, że nie zazdrozczę wam butów? - ciągnął z irytacją pułkownik Brant.

- Mając tylko te dwa ohydztwa?

Pułkownik nosił regulaminowe klapki, zrobione z kawałka drewna i płóciennego paska.

- Nie wiem, panie pułkowniku - odparł Król z udaną pokorą, jakże miłą uchu oficera.

- Całkiem słusznie. Całkiem słusznie - rzekł pułkownik i zwrócił się do Greya. - Wydaje mi się, że winien jest pan kapralowi przeprosiny. Niesłusznie mu pan groził. Musimy być sprawiedliwi, prawda, Grey?

Otarł spoconą twarz.

Wiele wysiłku kosztowało Greya powstrzymanie się od przekleństwa, które cisnęło mu się na usta.

- Przepraszam.

Powiedział to głosem tak stłumionym i ostrym, że Król z trudem ukrył uśmiech.

- Świetnie - rzekł pułkownik Brant, skinął z zadowoleniem głową i spojrzał na Króla. - W porządku, możecie odejść. Ale w tym ubraniu szukacie guza. Pretensje możecie mieć tylko do siebie!

- Dziękuję, panie pułkowniku - odparł Król i zgrabnie zsalutował.

Wyszedł z baraku i znalazłszy się ponownie na słońcu, odetchnął z ulgą. Jeszcze raz przeklął siebie w duchu. Psiakrew, niewiele brakowało. Ó mało nie uderzył Greya, a tylko wariat mógłby coś takiego zrobić. Żeby dojść do siebie, zatrzymał się przy ścieżce i zapalił następnego papierosa; liczni, którzy go mijali, zobaczyli papierosa i poczuli zapach.

- Przeklęty typ - odezwał się po jakimś czasie pułkownik, nadal patrząc w ślad za Królem i ocierając pot z czoła, po czym zwrócił się twarzą do Greya. - Ależ Grey, pan chyba oszalał, żeby tak go prowokować.

- Przepraszam. Ja... wydaje mi się, że on...

- Kimkolwiek by był, jedno jest pewne: oficer i dżentelmen nigdy nie traci panowania nad sobą. Źle pan postąpił, bardzo źle, zgodzi się pan ze mną?

- Tak jest, panie pułkowniku - odparł Grey i to było wszystko, co mógł powiedzieć.

Pułkownik Brant odchrząknął i zacisnął usta.

- Całkiem słusznie. Na szczęście tędy przechodziłem. To niedopuszczalne, żeby oficer wdawał się w awanturę z żołnierzem. - Ponownie spojrzął przez drzwi, czując nienawiść do Króla i pożądając jego papierosa. - Przeklęty typ - rzekł nie patrząc na Greya. - Kompletnie niezdiscyplinowany. Tak jak ci wszyscy Amerykanie. Łobuzeria. Kto to słyszał, żeby zwracać się do swoich oficerów po imieniu - dodał unosząc brwi. - Albo żeby oficerowie rżnęli w karty z szeregowcami. Niech mnie diabli! Gorszi od Australijczyków, a ci to przecież hołota, jakiej świat nie widział. Dziadostwo! Nie to co Armia Indyjska, prawda?

- Tak, panie pułkowniku - potaknął niewyraźnie Grey.

Pułkownik Brant obrócił się szybko.

- Nie chciałem tego... rozumie pan, tylko dlatego, że... - Urwał i nagle oczy zaszyły mu łzami. - Czemu, czemu to zrobili? - spytał łamiącym się głosem. - No, niech pan powie, Grey, czemu? Ja... my wszyscy ich kochaliśmy.

Grey wzruszył ramionami. Gdyby nie tamte wymuszone przeprosiny, wyraziłby mu swoje współczucie.

Pułkownik postać niezdecydowany, potem odwrócił się i opuścił barak. Szedł z pochyloną głową, a po policzkach płynęły mu łzy.

Gdy w roku 1942 padł Singapur, niemal wszyscy żołnierze pułkownika przeszli na stronę wroga, Japończyków, i zwrócili się przeciwko swoim angielskim oficerom. Żołnierze ci znaleźli się wśród wartowników strzegących z początku jeńców wojennych, a niektórzy z nich odznaczyli się wyjątkowym okrucieństwem. Oficerowie tego pułku nie zaznali spokoju. Byli to bowiem prawie wyłącznie ich podkomendni, oprócz kilku z innych pułków hinduskich. Natomiast Ghurkowie pozostali bez wyjątku wierni, mimo tortur i upokorzeń. Dlatego pułkownik Brant opłakiwał swoich żołnierzy, żołnierzy, za których oddałby życie, za których ciągle umierał.

Grey, odprowadzając go wzrokiem, dostrzegł na ścieżce Króla, który palił papierosa.

- Cieszę się, iż powiedziałem ci, że albo ja, albo ty - wyszeptał. Usiadł na ławce i wtedy brzuch przeszył mu ostry ból, przypominając o tym, że nie ominęła go w tym tygodniu czerwonka. - A niech to diabli! - mruknął, przeklinając pułkownika Branta i to, że musiał przeprosić Króla.

Masters wrócił z pełną manierką i podał mu ją. Grey pociągnął łyk, podziękował Mastersowi i zaczął snuć plany, jak by tu dobrać się do Króla. Ogarnął go jednak przedobiedni głód, więc biernie poddał się biegowi myśli. Powietrze przeszył

cichy jęk. Grey obejrzał się szybko na Mastersa, który siedział nieświadom tego, że wydał z siebie jakiś dźwięk, i obserwował, jak biegające bezustannie po krokwiach baraku jaszczurki rzucają się na owady albo szepiącą ze sobą.

- Macie czerwonkę, Masters?

Masters niemrawo odegnał muchy, które obsiadły mu twarz, wyglądającą niczym mozaika.

- Nie, panie poruczniku. A przynajmniej nie miałem od prawie pięciu tygodni.

- Dur?

- Nie, Bogu dzięki. To tylko ameboza. A malarii nie miałem już od prawie trzech miesięcy. Mam dużo szczęścia i, mimo wszystko, trzymam się bardzo dobrze.

- Owszem - rzekł Grey i dodał po chwili: - Dobrze wyglądacie.

Wiedział jednak, że już wkrótce będzie się musiał postarać o kogoś na jego miejsce. Ponownie spojrzął w stronę palącego Króla i z głodu tytoniu poczuł mdłości.

Masters znowu jęknął.

- Co wam jest, do diabła? - spytał rozdrażniony Grey.

- Nic, panie poruczniku. Nic. Pewnie mam...

Lecz mówienie kosztowało Mastersa zbyt wiele wysiłku, więc słowa zawisły mu na wargach zlewając się z brzęczeniem much. To one władały dniem, tak jak noc należała do komarów. Ani chwili ciszy. Nigdy. Masters usiłował przypomnieć sobie, jak wygląda życie bez much, komarów i ludzi, ale było to ponad jego siły. Siedział więc nieruchomo, milcząc, ledwie oddychając - cień człowieka. I tylko dusza poruszała się w nim niespokojnie.

- Możecie już iść, Masters - powiedział Grey. - Zaczekam na waszego zmiennika. Kto to ma być?

Masters zmusił się do myślenia i odparł po chwili:

- Bluey... Bluey White.

- Do jasnej cholery, weźcie się w garść! - warknął Grey. - Kapral White umarł trzy tygodnie temu.

- Ach, przepraszam, panie poruczniku - odparł słabym głosem Masters. - Przepraszam, musiało mi się... To... to chyba będzie Peterson. Ten dzemojad, znaczy się, Anglik. Zdaje się, kawalerzysta.

- Dobrze. Możecie już iść na obiad. Tylko nie marudźcie i zaraz wracajcie.

- Tak jest, panie poruczniku.

Masters nałożył trzciniowy kapelusz, jaki noszą kulisi, zaszalutował i powłóczęc

nogami wyszedł przez drzwi, których nie było czym zamknąć, przytrzymując na biodrach strzępy szortów. Mój Boże, pomyślał Grey, czuć go na kilkadziesiąt metrów. Nie da rady, muszą nam wydawać więcej mydła.

Wiedział jednak, że dotyczy to nie tylko Mastersa. Tu wszystkich było czuć. Ten, kto nie mył się sześć razy dziennie, chodził spowity jak w całun w zapach własnego potu. Myśl o całunie przypomniawszy mu znów o Mastersie i... piętnie, jakim był naznaczony. A może Masters też o tym wiedział, więc po co miał się myć?

Grey wiele razy widział śmierć. Na myśl o własnym pułku i wojnie wezbrała w nim gorycz. O mało nie zaczął krzyżeć: "Psiakrew, mam dwadzieścia cztery lata i wciąż jestem tylko porucznikiem! I pomyśleć, że wszędzie, na całym świecie, trwa wojna. Dzień w dzień są awanse. Okazje. A ja siedzę tu, w tym śmierdzącym obozie jenieckim, i wciąż jestem tylko porucznikiem. Boże! Gdyby w czterdziestym drugim nie przerzucono nas do Singapuru... Gdybyśmy poszli tam, gdzie iść mieliśmy, na Kaukaz. Gdybym..."

- Przestań - powiedział na głos. - Ty idioto, zachowujesz się jak Masters.

Mówienie od czasu do czasu do samego siebie było w obozie rzeczą normalną. Lekarze wciąż powtarzali, że lepiej wyrzucić z siebie, co komu leży na sercu, niż milczeć, dławiąc się myślami, bo to kończy się obłędem. W dzień zazwyczaj było jeszcze znośnie. Mogłeś nie myśleć o dawnym życiu, o jego podstawowej treści - o jedzeniu, kobietach, domu, jedzeniu, o jedzeniu, kobietach, jedzeniu. Za to noc była niebezpieczna. Bo nocą zaczynałeś marzyć. Marzyć o jedzeniu i kobietach. O swojej kobiecie. Wkrótce marzenia pochłaniały bardziej niż czuwanie i nieostrożni zaczęli śnić na jawie, a wtedy dzień stapiał się z nocą, a noc z dniem. Potem była już tylko śmierć, spokojna, łagodna. Umrzeć było łatwo. Życie znaczyło cierpieć. Dla wszystkich z wyjątkiem Króla. On nie cierpiał.

Grey nie przestawał go obserwować. Starał się też dosłyszeć, co mówi do stojącego obok mężczyzny, ale znajdował się za daleko. Bezskutecznie próbował przypomnieć sobie, skąd zna tego drugiego. Opaska wskazywała, że to major. Japończycy zarządzili, że wszyscy oficerowie mają nosić na lewej ręce opaski z oznaczeniem stopnia wojskowego. Nosić zawsze i wszędzie. Nawet gdy są nago.

Czarne deszczowe chmury zbierały się szybko. Niebo na wschodzie upstrzone było płachtami błyskawic, ale słońce przypiekało nadal. Poruszony cuchnącym podmuchem wiatru kurz wzbił się na chwilę w powietrze i opadł.

Grey machinalnie trzepnął bambusową packą na muchy. Zręczny, na wpeł

odruchowy skręt nadgarstka i na podłogę spadł kolejny okaleczony owad. Zabić muchę było niezręcznością. Należało ją okaleczyć tak, żeby swołocz trochę pocierpiała i choć w małym stopniu odpłaciła za cierpienia, okaleczyć, żeby wrzeszczała bezgłośnie, dopóki nie nadciągną inne muchy i mrówki, by walczyć o żywe mięso.

Ale tym razem Grey nie oddał się przyjemności oglądania udreki dręczyciela. Zbyt zajęty był Królem.

ROZDZIAŁ II

- Tam, do licha - mówił właśnie major do Króla, siląc się na jowialność - a potem przebywałem w Nowym Jorku. W trzydziestym trzecim. To były czasy. Stany to taki cudowny kraj. Opowiadałem wam, jak wybrałem się na wycieczkę do Albany? Byłem wtedy niższym oficerem...

- Tak, panie majorze, opowiadał mi pan - przerwał mu Król znużonym tonem. Uznał, że dostatecznie długo jest uprzejmy, a poza tym wciąż czuł na sobie wzrok Greya. Mimo że był całkiem bezpieczny i niczego się nie obawiał, wolał ukryć się w cieniu i znaleźć się poza zasięgiem śledzących go oczu. Miał dużo roboty. Doszedł więc do wniosku, że skoro major nie może dojść do sedna, to pał go sześc!

- Miło się z panem rozmawia, panie majorze, ale pozwoli pan, że już pójdę - powiedział.

- Ach, jedną chwileczkę - rzekł pośpiesznie major Barry, rozglądając się nerwowo, gdyż czuł na sobie zaciekawiony wzrok przechodzących jeńców i wyczuwał ich nieme pytanie: "A o czym ten rozmawia z Królem?" - Czy... czy moglibyśmy porozmawiać na osobności?

Król obrzucił go uważnym spojrzeniem.

- Nikt nam tu nie przeszkadza. Wystarczy ściszyć głos - powiedział.

Major Barry był tak zakłopotany, że aż cały się spocił. Od wielu dni starał się niby to przypadkiem natknąć na Króla, więc taką okazję żał było przepuścić.

- Ale barak komendanta żandarmerii jest... - zaczął.

- A co ma wspólnego glina z rozmową na osobności? Nie rozumiem, panie majorze - rzekł Król, nic po sobie nie okazując.

- Nie trzeba... mhm... Otóż pułkownik Sellars powiedział, że moglibyście mi pomóc. - Zamiast prawej ręki major Barry miał kikut i bez przerwy go drapał, dotykał i ścisnął. - Czy moglibyście... coś dla nas, to znaczy dla mnie załatwić? - Odczekał, aż w pobliżu nie będzie nikogo, kto mógłby ich usłyszeć. - Chodzi o zapalniczkę - szepnął. - Ronsona. W idealnym stanie. - Teraz, kiedy przeszedł do rzeczy, poczuł się trochę swobodniej. Ale wypowiadając te słowa do Króla, w pełnym słońcu, na powszechnie uczęszczanej ścieżce, czuł się jak obnażony.

Król zastanawiał się przez chwilę, po czym spytał:

- Czyja to zapalniczka?

- Moja - odparł major i spojrzał na niego zaskoczony. - Nie myślicie chyba, że ją ukradłem! Boże święty, czegoś takiego nigdy bym nie zrobił. Przechowywałem ją do tej pory, ale teraz, cóż, teraz musimy ją sprzedać. Cała grupa się zgodziła. - Obliznął spierzchnięte wargi i pogładził kikut ręki. - Bardzo proszę. Zrobicie to? Dajecie najlepszą cenę.

- Handel jest zabroniony.

- Tak, ale ja bardzo proszę. Moglibyście? Proszę. Mnie można ufać.

Król obrócił się tak, żeby stać plecami do Greya, a twarzą do ogrodzenia, na wszelki wypadek, gdyby Grey umiał czytać z ruchu warg.

- Przysłę kogoś po korycie - rzekł cicho. - Hasło: "Przysłał mnie porucznik Albany". Zapamięta pan?

- Tak - odrzekł major Barry. Stał przez chwilę niepewnie. Serce waliło mu jak młot. - Jak powiedzieliście? - spytał.

- Po korycie. Po obiedzie!

- Aha, dobrze.

- Da mu pan zapalniczkę. A ja ją obejrzę i skontaktuję się z panem. Hasło bez zmian. - Król strzepnął spopieliałą koniuszek papierosa, rzucił niedopałek na ziemię i już go miał przydeptać, kiedy spostrzegł wyraz twarzy majora. - O! Chce pan peta?

Uszczęśliwiony major Barry schylił się po niedopałek i podniósł go.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję - powiedział. Otworzył małą puszkę na tytoń, ostrożnie rozdarł bibułkę niedopałka, dosypał tytoń do wysuszonych liści herbacianych i wymieszał wszystko razem. - Nie ma to jak trochę aromatu - rzekł z uśmiechem. - Bardzo wam dziękuję. Wystarczy co najmniej na trzy porządne papierosy.

- Do zobaczenia, panie majorze - rzekł Król salutując.

- Ach, zaraz, mhm... - zatrzymał go major Barry. Nie bardzo wiedział, jak ma to wyrazić. - Sądzicie, że... - zaczął nerwowo ściszone głosem. - Czy oddając ją, tak bez niczego, nieznanemu, mogę mieć pewność, że... no, że wszystko pójdzie dobrze?

- Po pierwsze: hasło - odparł zimno Król. - Po drugie: moje dobre imię. Po trzecie: ufam panu, że zapalniczka nie jest kradziona. A może lepiej dajmy sobie z tym spokój?

- Ależ proszę mnie źle nie zrozumieć - powiedział prędko major. - Ja się tylko tak spytałem. To... to jest wszystko, co mam. - Uśmiechnął się z przymusem. - Dziękuję. A zatem po obiedzie. Aha, jak sądzicie, ile czasu trzeba, żeby... żeby się tego

pozbyć?

- Postaram się jak najszybciej. Warunki takie jak zwykle. Biorę dziesięć procent od sprzedaży - odparł lakonicznie Król.

- Oczywiście. Dziękuję. I raz jeszcze dziękuję za tytoń.

Teraz, kiedy już wszystko zostało powiedziane, majorowi Barry spadł wielki kamień z serca. Przy odrobinie szczęścia dostaniemy sześćset do siedmiuset dolarów, myślał schodząc pośpiesznie ze wzgórze. A to, jeśli się będzie ostrożnie wydawać, starczy na żywność przez wiele miesięcy. Major nie poświęcił nawet jednej myśli poprzedniemu właścicielowi zapalniczki, który powierzył mu ją dawno temu, idąc do szpitala, z którego już nie wrócił. Tamto należało do przeszłości. Teraz on był jej właścicielem. Stanowiła jego własność. A więc mógł ją sprzedać.

Król wiedział, że przez cały ten czas Grey nie spuścił z niego oka. Podniecenie wywołane ubijaniem interesu przed barakiem żandarmerii polepszyło jego i tak już dobre samopoczucie. Zadowolony z siebie szedł pod górę łagodnym wzniesieniem, machinalnie odpowiadając na pozdrowienia znajomych oficerów i żołnierzy, Anglików i Australijczyków. Co ważniejszych wyróżniał specjalnie, pozostałym przyjaźnie kiwał głową. Zdawał sobie sprawę z ich wrogiej zawiści, ale się nią ani trochę nie przejmował. Przywykł do niej, a nawet bawiła go i dodawała splendoru. Przyjemne było także i to, że nazywano go Królem. Napawały go dumą własne osiągnięcia - i jako człowieka, i jako Amerykanina. Dzięki sprytowi stworzył całkiem nowy świat i przyglądał się teraz swemu dziełu z niepomiernym zadowoleniem.

Przy baraku dwudziestym czwartym, zamieszkanym przez Australijczyków, zatrzymał się i wetknął głowę przez okno.

- Hej, Tinker! - zawołał. - Zamawiam golenie i manicure.

Tinker Bell był niski i żylasty. Skórę miał matowobrazową, oczy małe, brunatne i łuszczący się nos. Z zawodu był postrzygaczem owiec, ale tu, w Changi, nie było lepszego fryzjera.

- Co to, masz urodziny? - spytał. - Robiłem ci manicure nie dalej jak przedwczoraj.

- A dzisiaj zrobisz mi znowu.

Tinker wzruszył ramionami i wyskoczył przez okno. Król rozsiadł się na stojącym pod okapem krześle i z zadowoleniem rozluźnił wszystkie mięśnie, a Tinker owinał mu szyję serwetą i ustawił głowę pod właściwym kątem.

- Spójrz tylko, bracie - powiedział podsuwając Królowi pod nos małe mydelko.

- Powąchaj.

- Ej, to prawdziwy cymes - rzekł Król uśmiechając się szeroko.

- O takiej marce nie słyszałem. Ale słowo ci daję, bracie, że to jest fiołkowe Yardleya! Jeden mój koleś ściągnął je na robotach. I to prosto sprzed nosa jakiemuś Japońcowi. Kosztowało mnie trzydzieści dolarów - powiedział Tinker. Przy podawaniu podwójnej ceny mrugnął okiem. - Jak chcesz, to zachowam je specjalnie dla ciebie.

- Wiesz co? Będę ci płacił za golenie piątkę zamiast trzech, dopóki się nie wymydli - zaproponował Król.

Tinker prędko obliczył w myśli. Mydło mogło starczyć na osiem, może dziesięć goleń.

- Daj żyć, chłopie - odparł. - Ledwo wyjdę na swoje.

- Dałeś się nabrać, Tink - mruknął Król. - Takie coś to ja mogę kupować na kilogramy po piętnaście za sztukę.

- Cholerny świat! - wybuchnął Tinker udanym gniewem. - Żeby koleś mnie brał za frajera! Tego już za wiele! - Z furią mieszał pachnące mydło w gorącej wodzie, aż utworzyła się piana. Roześmiał się. - Nie ma co, chłopie, faktycznie jesteś Królem.

- A jak - odparł z zadowoleniem Król. Od dawna był z Tinkerem za pan brat.

- Można zaczynać? - spytał Tinker unosząc namydlony pędzel.

- Jasne - odparł Król. W tym momencie spostrzegł, że ścieżką idzie Tex. - Ej, Tex, zaczekaj! - zawołał.

Tex skierował teraz wzrok na barak, zobaczył Króla i podszedł bez pośpiechu.

- Czego chcesz? - spytał.

Był to chudy, niezgrabny, bardzo, bardzo wysoki chłopak o dużych uszach, zakrzywionym nosie i spokojnym spojrzeniu.

Tinker wycofał się bez słowa, żeby nie przysłuchiwać się rozmowie, a Król skinął na Texa.

- Zrobisz coś dla mnie? - spytał cicho.

- Pewnie.

Król wyjął portfel i wyłuskał z niego dziesięciodolarowy banknot.

- Odszukasz pułkownika Branta, tego niskiego z podwiniętą bródką, i dasz mu to.

- A gdzie go znaleźć?

- Przy rogu więzienia. To on ma dziś oko na Greya.

- Słyszałem, że miałaś z nim przeboje - powiedział Tex z porozumiewawczym uśmiechem.

- Ten skurwysyn znów mnie zrewidował.

- Ciężki los - rzekł krótko Tex, drapiąc się w głowę. Miał jasne, ostrzyżone na jeża włosy.

- Tak - odparł Król i roześmiał się. - I powiedz Brantowi, żeby na drugi raz tak się cholernie nie spóźniał. Szkoda, że tego nie widziałeś, Tex. Człowieku, ten Brant to prawdziwy aktor. Zmusił Greya do tego, żeby mnie przeprosił. - Znów się uśmiechnął i dołożył jeszcze pięć dolarów. - Powiedz mu, że to za tamte przeprosiny.

- Dobra. Jeszcze coś?

- Tak.

Król podał mu hasło i wyjaśnił, gdzie ma szukać majora Barry. Kiedy Tex odszedł, Król rozsiadł się wygodnie. Ogólnie biorąc, dzisiejszy dzień był dla niego bardzo korzystny.

Grey przeszedł pośpiesznie na drugą stronę ścieżki i wszedł do baraku szesnastego. Zbliżała się pora obiadu, a jego aż ćmiło z głodu.

Jeńcy ustawiali się już niecierpliwie w kolejce po jedzenie. Grey podszedł prędko do łóżka, wziął dwie menażki, kubek, widelec, i dołączył do czekających.

- Dlaczego jeszcze nie wydają? - spytał znużonym głosem stojącego przed nim jeńca.

- A skąd mogę wiedzieć? - odparł szorstko Dave Daven. Był rosły jak bambus, a jego wymowa zdradzała, że ukończył jakąś prywatną szkołę: Eton, Harrow albo Charterhouse.

- Tak tylko pytałem - rzekł gniewnie Grey. Gardził Davenem za jego wymowę i przywileje przysługujące mu z tytułu urodzenia.

Upłynęła godzina, zanim doczekali się jedzenia. Któryś z jeńców zaniósł na początek kolejki dwa pojemniki i postawił je na ziemi. Kiedyś mieściło się w nich po pięć galonów wysokooktanowej benzyny. Teraz połowę zawartości jednego stanowił niczym nie okraszony jasny ryż, a drugi wypełniała zupa.

Dziś była to zupa z rekina, co oznaczało, że z jednego rekina rozdrobnionego na kawałeczki ugotowano zupę dla dziesięciu tysięcy ludzi. Była ciepła, miała wyczuwalny smak ryby i pływały w niej kawałki bakłażanu i kapusty - pięćdziesiąt kilo na dziesięć tysięcy. Przeważały w niej liście, czerwone i zielone, gorzkie, ale pożywne,

które z taką pieczołowitością hodowano w obozowych ogrodach. Przyprawiono ją solą, curry i czerwonym pieprzem.

Ludzie podchodzili kolejno w milczeniu, każdy obserwował, ile dostaje poprzednik, a ile ten, który jest za nim, i porównywał obie porcje ze swoją. Obecnie, po trzech latach, miarka była już ta sama dla wszystkich.

Filizanka zupy na głowę.

Gorący ryż buchał parą, kiedy go rozdzielano. Dziś był to ryż jawański, najlepszy na świecie, każde ziarnko osobno. Filizanka na głowę.

Kubek herbaty.

Każdy odchodził z jedzeniem na bok i spożywał je w milczeniu, pospiesznie i z nieopisaną męką. Ryjkowce czyniły ryż pożywniejszym, a dostrzeżone w zupie robaki czy owady wyjmowano bez cienia gniewu. Jednakże większość jedzących wcale nie przyglądała się zupie, obrzuciwszy ją tylko raz szybkim spojrzeniem, żeby sprawdzić, czy nie pływa w niej kawałek ryby.

Dzisiaj, po obdzieleniu wszystkich, zostało jeszcze trochę stawy, zajrzano więc do listy i wydano resztę pierwszym trzem szczęśliwcom, którzy w duchu pobłogosławili ten dzień. Jedzenie zniknęło, obiad się skończył, a kolację dawano o zachodzie słońca.

Mimo że obiad składał się tylko z zupy i ryżu, byli tacy, którzy mogli wmieszać sobie do ryżu kawałek orzecha kokosowego, połówkę banana, kawałek sardynki, skrawek konserwowanej wołowiny, a nawet jajko. Całe jajko należało do rzadkości. Raz na tydzień, o ile obozowe kury niosły się zgodnie z planem, każdy dostawał po jednym. Był to wielki dzień. Kilku jeńców dostawało codziennie po jajku, ale nikt nie chciał należeć do tej grupki wybrańców.

- Słuchajcie no, chłopcy! - rozległ się głos kapitana Spence'a, który stał pośrodku baraku, ale słysząc go było również na zewnątrz. Ten niski, ciemnowłosy mężczyzna o nieregularnych rysach był w tym tygodniu oficerem służbowym, pełnił funkcję adiutanta baraku. Odczekał, aż wszyscy wejdą do środka. - Musimy jutro dać dodatkowo dziesięciu ludzi do pracy przy drzewie - oznajmił. Z listy odczytał na głos nazwiska, po czym oderwał wzrok od kartki. - Marlowe? - Nie było odpowiedzi. - Czy ktoś wie, gdzie jest Marlowe?

- Zdaje się, że ze swoją grupą - zawołał Ewart.

- Proszę mu przekazać, że pracuje jutro na lotnisku, dobrze?

- Dobrze.

Spence rozkaszał się. Astma dokuczała mu dziś bardziej. Gdy atak minął, ciągnął:

- Komendant obozu odbył dziś rano kolejną rozmowę z japońskim generałem. Prosił o zwiększenie racji żywnościowych i dostaw leków. - Odchrząknął. Przez chwilę panowała cisza. Potem mówił dalej bezbarwnym tonem: - Jak zwykle, prośbę odrzucono. Dzienna racja ryżu wynosi nadal sto dwadzieścia gramów na osobę.

Wyjrzał przez jedne i drugie drzwi baraku, upewniając się, czy obaj ludzie na czatach są na swoim miejscu, a potem ściszył głos. Wszyscy niecierpliwie nadstawili uszu.

- Alianci są około stu kilometrów od Mandalay i prą dalej naprzód. Zmusili Japończyków do ucieczki. Nadal posuwają się naprzód w Belgii, ale pogoda nie sprzyja. Szaleją burze śnieżne. Na froncie wschodnim to samo, ale Rosjanie wrywają do przodu i spodziewają się, że za kilka dni zajmą Kraków. Amerykanie dobrze sobie radzą w Manili. Zbliżają się do... - urwał, starając się przypomnieć sobie nazwę - zdaje się, że ta rzeka nazywa się Agno, na Luzonie. To wszystko. W sumie wiadomości są dobre.

Spence poczuł ulgę, że ma to już za sobą. Wiadomości uczył się na pamięć codziennie na zebraniu adiutantów baraków i za każdym razem, kiedy przekazywał je publicznie, oblewał się zimnym potem i czuł pustkę w żołądku. Któregoś dnia, myślał, być może jakiś donosiciel wytknie mu palcem i powie wrogom, że to właśnie jeden z tych, którzy przekazują wieści z frontu, i wiedział, że nie wystarczy mu sił, żeby zachować milczenie. Albo też któregoś dnia jakiś Japończyk usłyszy, jak on, Spence, mówi do innych, a wtedy, wtedy...

- To wszystko, chłopcy - zakończył. Podszedł do pryczy. Było mu niedobrze. Ściągnął szorty i wyszedł z baraku z ręcznikiem przerzuconym przez ramię.

Słońce prażyło. Jeszcze dwie godziny do deszczu. Spence przeszedł na drugą stronę asfaltowej drogi i ustawił się w kolejce do pryszniców. Zawsze po przekazaniu wiadomości musiał wziąć prysznic, tak silnie cuchnął potem.

- No i jak, bracie? - spytał Tinker.

Król przyjrzał się swoim paznokciom. Były ładnie przycięte i wyrównane. Twarz, ściągnięta od na przemian gorących i zimnych okładów, szczypała go od płynu po goleniu.

- Wspaniale - rzekł płacąc. - Dzięki, Tink.

Wstał z krzesła i nałożywszy kapelusz skinął głową Tinkerowi i pułkownikowi, który przyszedł się ostrzyć i od jakiegoś czasu cierpliwie czekał.

Obaj odprowadzili go wzrokiem.

Król znów szedł różnym krokiem ścieżką, mijając stojące grupami baraki. Kierował się w stronę własnego. Odczuwał przyjemny głód.

Barak amerykański stał osobno, na tyle blisko murów, by po południu znaleźć się w ich cieniu, i w pobliżu okrężającej więzienie drogi, która była ośrodkiem obozowego życia i biegła nie opodal ogrodzenia. Trudno o lepsze położenie. Kapitan Brough z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, najwyższy stopniem oficer amerykański w obozie, od początku nalegał, żeby żołnierze i podoficerowie amerykańscy mieli oddzielny barak. Większość amerykańskich oficerów chętnie by się do niego przeniosła, gdyż źle się czuli wśród obcych, ale nie było wolno, bo Japończycy nakazali oddzielić oficerów od żołnierzy. Innym narodowościom też to było nie w smak, chociaż Australijczykom mniej niż Anglikom.

Król rozmyślał o diamencie. Niełatwo było namotać ten interes, a musiał to zrobić. Podchodząc do baraku spostrzegł nagle przy ścieżce młodego człowieka, który siedział na piętach i mówił coś szybko po malajsku do jakiegoś tubylca. Miał mocno opaloną skórę, pod którą rysowały się mięśnie. Szeroki w ramionach, wąski w biodrach. Ubrany był tylko w sarong, ale nosił go tak, jakby się w nim urodził. Twarz miał surową i choć był wychudzony jak wszyscy w Changi, poruszał się z wdziękiem i promieniował energią.

Malajczyk, drobny mężczyzna o brunatnej skórze, słuchał w skupieniu jego śpiewnej mowy, a potem roześmiał się, odsłaniając zęby pociemniałe od żucia orzechów are-kowych, i odpowiedział, ruchem dłoni akcentując melodię zdania. Młody człowiek też się roześmiał i przerwał swojemu rozmówcy lawiną słów, nieświadomy uważnego spojrzenia Króla.

Król rozumiał z tego tylko piąte przez dziesiąte, bo malajski znał słabo i w razie potrzeby posługiwał się mieszanką malajskiego, japońskiego i miejscowej łamanej angielszczyzny. Przysłuchiwał się wybuchom niepohamowanego śmiechu, wiedząc, jakie to rzadkie. Gdy młody człowiek śmiał się, widać było, że śmieje się szczerze. Taki śmiech był wielką rzadkością. Czymś nieocenionym.

W zamyśleniu Król wszedł do baraku. Jego mieszkańcy unieśli na chwilę głowy i uprzejmie pozdrowili wchodzącego. Odpowiedział na pozdrowienia, nie wyróżniając specjalnie nikogo. Wiedział jednak swoje, tak samo jak i tamci.

Dino leżał na łóżku pogrążony w półśnie. Był to schludny, niski mężczyzna o ciemnej skórze i ciemnych włosach, przedwcześnie przyprószonej siwizną, i o szklanych, przejrzystych oczach. Król poczuł na sobie jego spojrzenie, skinął głową, a Dino uśmiechnął się. Ale w jego oczach nie było uśmiechu.

W przeciwległym kącie baraku Kurt, który właśnie łątał sobie spodnie, podniósł wzrok i splunął na podłogę. Był to karłowaty typ o złym spojrzeniu, pożółkłych, szczurzych zębach, który zawsze spluwał na podłogę i którego nikt nie lubił, ponieważ nigdy się nie mył. Bliżej środka baraku Byron Jones Trzeci rozgrywał z Millerem nie kończącą się partię szachów. Obaj byli nadzy. Miller ważył sto trzydzieści kilo i mierzył bez mała dwa metry,

– 36 –

gdy dwa lata temu storpedowano jego statek handlowy. Teraz, kiedy wchodził na wagę, wskazówka zatrzymywała się na sześćdziesięciu kilogramach, a zwisające fałdy skóry brzucha osłaniały mu narządy płciowe. Jego niebieskie oczy zabłysły, gdy zrobił ruch i zabrał konika. Byron Jones Trzeci usunął szybko konia z szachownicy i wtedy Miller spostrzegł, że jego wieża znalazła się w niebezpieczeństwie.

- Koniec z tobą, Miller - powiedział Jones, drapiąc pokaleczone w dżungli nogi.

- Idź do diabła!

Jones roześmiał się i dodał:

- Marynarka wojenna dawała handlowej wycisk zawsze i wszędzie.

- No i co z tego! I tak was, durniów, zatopili. Okręt wojenny, też mi coś!

- Tak... - szepnął w zamyśleniu Jones, bawiąc się opaską na oko i przypominając sobie, jak zatonał jego okręt "Houston", jak zginęli jego koledzy i jak on sam stracił oko.

Król przeszedł przez barak. Przy jego łóżku i przytwierdzonej do niego łańcuchem czarnej skrzynce siedział Max.

- Dzięki, Max. Możesz iść - powiedział Król.

- Dobra.

Twarz Maxa zdradzała, że jadł chleb z niejednego pieca. Pochodził z Nowego Jorku, z dzielnicy West Side, i tamtejsze okolice nauczyły go w dzieciństwie życia. Oczy miał ciemne i niespokojne.

Król wyciągnął machinalnie pudełko z tytoniem i dał mu trochę machorki.

- O, dzięki - powiedział Max. - Aha, Lee prosił, żeby powtórzyć, że uprał ci bieliznę. On dzisiaj bierze żarcie, jemy na drugą zmianę, ale prosił, żebym ci

powtórzył.

- Dziękuję - odparł Król. Wyciągnął paczkę papierosów i w baraku zaległa cisza. Zanim zdążył wyjąć zapalniczkę, Max już strzelał zapalniczką z krzemienia, jakiej używali tubylcy. - Dzięki, Max. - Król zaciągnął się głęboko. Potem, po chwili milczenia, spytał. - Chcesz kooa?

- Chryste, jeszcze jak - rzekł Max, nie bacząc na ironię w głosie Króla. - Coś ci jeszcze załatwić?

- Jak mi będziesz potrzebny, to cię zawołam.

Max przeszedł środkiem baraku do swojego sprężynowego łóżka przy drzwiach i usiadł. Oczy wszystkich śledziły papierosa, ale usta milczały. Papieros należał do Maxa. Max dostał go, bo sobie na niego zapracował. Wiedzieli, że kiedy przyjdzie kolej na nich, żeby pilnować rzeczy Króla, wtedy, kto wie, może i oni dostaną.

Dino uśmiechnął się do Maxa, a ten w odpowiedzi mrugnął okiem. Po jedzeniu mieli się podzielić papierosem. Dzielili się zawsze tym, co udało im się znaleźć, ukraść albo zdobyć. Max i Dino tworzyli grupę.

Tak było w całym Changi. Jedzono w grupach i w grupach sobie nawzajem ufano. Po dwóch, po trzech, rzadko czterech. W pojedynkę nikt nie dałby sobie rady ze znalezieniem czegoś, co by nadawało się do zjedzenia, ze zorganizowaniem ognia, ugotowaniem i zjedzeniem tego, co się znalazło. Idealną grupę stanowiło trzech ludzi. Jeden do szukania, jeden do pilnowania zdobyczy i jeden w rezerwie. Jeśli rezerwowi nie był chory, on również szukał czegoś albo pilnował. Wszystko dzielono na trzy. Jeżeli ktoś miał jajko, ukradł orzech kokosowy, znalazł banana podczas robót poza obozem albo coś gdzieś wyprosił, wszystko to należało do grupy. Zasada była prosta jak każde prawo natury. Utrzymać się przy życiu można było tylko wspólnym wysiłkiem. Ukrycie czegoś przed grupą oznaczało śmierć, bo wiadomość, że kogoś z niej wydalono, szybko się rozchodziła. A przeżyć w pojedynkę było nie sposób.

Ale Król nie należał do żadnej grupy. Był samowystarczalny.

Jego łóżko stało w najlepszym kącie baraku, pod oknem, tak że docierał tam najlżejszy powiew wiatru. Od sąsiedniego dzieliło je dwa i pół metra. Łóżko Króla było porządne. Stalowe. Sprężyny miało mocno naciągnięte, a siennik wypełniony kapokiem. Przykryte było dwoma kocami, a spod wierzchniego, obok wybielonej przez słońce poduszki, wзираła czysta pościel. Nad nim, mocno naciągnięta na prętach, wisiała moskitiera. Nie brakowało niczego.

Król miał także stolik, dwa fotele, a po obu stronach łóżka dywaniki. Na półce

za łóżkiem leżały przybory do golenia: brzytwa, pędzel, mydło, żyletki, a obok nich talerze, filiżanki, maszynka elektryczna własnej roboty oraz garnki i sztucce. Na narożnej ścianie wisiało ubranie: cztery koszule, cztery pary spodni i cztery pary szortów. Na jeszcze jednej półce leżało sześć par skarpetek i tyleż kałesonów. Pod łóżkiem stały dwie pary butów, trepy do kąpieli i błyszcząca para czappali, jedwabnych hinduskich pantofli.

Król usiadł w fotelu i sprawdził, czy wszystko jest na swoim miejscu. Zauważył, że zniknął włos, który przed wyjściem położył na brzytwie. Świnie, pomyślał. Z jakiej racji mam się od nich zarazić jakąś francą! Nie odezwał się jednak ani słowem, odnotowując tylko w pamięci, że na przyszłość musi trzymać brzytwę pod kluczem.

- Cześć - rozległ się głos Texa. - Jesteś wolny?

Słowo "wolny" było hasłem i oznaczało: "Czy możesz przyjąć towar?"

Król uśmiechnął się i skinął głową. Tex ostrożnie podał mu zapalniczkę.

- Dziękuję - powiedział Król. - Smakowała ci dziś moja zupa?

- Mowa - odparł Tex i odszedł.

Król bez pośpiechu obejrzał zapalniczkę. Zgodnie z zapewnieniem majora była jak nowa. Najmniejszej rysy. Zapalała się raz za razem. Była też bardzo czysto utrzymana. Król odkręcił śrubkę i obejrzał kamień. Był to tani, miejscowy krzemień, już na wykończeniu, w związku z czym Król otworzył stojące na półce pudełko na cygara, wyjął z niego pojemniczek z kamykami do ronsona i wymienił stary kamień na nowy. Nacisnął dźwignię i buchnął płomień. Jeszcze tylko staranne wyregulowanie knota i gotowe. Zapalniczka nie była podrobiona, a więc warta na pewno osiemset, dziewięćset dolarów.

Z miejsca, gdzie siedział, Król widział młodego jeńca i Malajczyka. Ple-ple-ple, ple-ple-ple, usta nie zamykały się im ani na chwilę.

- Max! - zawołał cicho.

Max pośpiesznie przemierzył barak.

- Słucham? - spytał.

- Widzisz tego gościa? - powiedział Król wskazując ruchem głowy za okno.

- Którego? Tego smolucha?

- Nie, tego drugiego. Przyrowadź go, co?

Max wysliznął się przez okno i przeszedł na drugą stronę ścieżki.

- Ty, jak ci tam - zwrócił się obcesowo do młodego jeńca. - Król chce z tobą rozmawiać. - Wskazał kciukiem barak. - I to raz-dwa.

Zagadnięty wytrzeszczył oczy na Maxa, a potem spojrział we wskazanym kierunku, na barak amerykański.

- Ze mną? - spytał z niedowierzaniem, patrząc znów na Maxa.

- Tak, z tobą - odparł zniecierpliwiony Max.

- Po co?

- A skąd, do cholery, mam wiedzieć.

Młody człowiek zmarszczył brwi i spojrział na Maxa chłodno. Pomyślał chwilę, po czym zwrócił się do Sulimana, Malajczyka, z którym rozmawiał, i powiedział:

- *Nanti-lah.*

- *Bik, tuan* - odparł Suliman sadowiąc się wygodniej do czekania, a potem dodał po malajsku: - Uważaj na siebie, tuan. I idź z Bogiem.

- Nie lękaj się, przyjacielu. Niemniej dziękuję ci za te słowa - odparł z uśmiechem jeniec. Podniósł się i ruszył do baraku za Maxem.

- Pan chciał się ze mną widzieć? - spytał podchodząc do Króla.

- Cześć - powiedział z uśmiechem Król. W oczach przybysza dostrzegł czujność. Spodobało mu się to, bo czujne spojrzenie należało w Changi do rzadkości. - Siadaj.

Król dał Maxowi znak głową i ten odszedł. Ci, którzy byli w pobliżu, nie czekając, aż Król ich o to poprosi, odsunęli się na tyle, żeby mógł rozmawiać wiedząc, że nikt go nie słyszy.

- Nie krępuj się, siadaj - powtórzył dobrotliwie.

- Dziękuję.

- Zapalisz?

Na widok prawdziwego papierosa, którym go częstowano, oczy gościa rozszerzyły się ze zdumienia. Zawahał się, a potem wziął papierosa. Zdumienie jego wzrosło, kiedy Król pstryknął ronsonem, ale usiłował je ukryć i zaciągnął się głęboko dymem.

- Dobry. Znakomity - powiedział, rozkoszując się papierosem. - Dziękuję.

- Jak się nazywasz?

- Marlowe. Peter Marlowe. A ty? - spytał ironicznie.

Król roześmiał się. Bardzo dobrze, pomyślał. Facet ma poczucie humoru i nie podlizuje się. Odnotował to sobie w pamięci i spytał:

- Jesteś Anglikiem?

- Tak.

Król nigdy przedtem nie zwrócił uwagi na Marlowe'a, ale przy dziesięciu

tysiącach tak podobnych do siebie twarzy nie było w tym nic dziwnego. Przyglądał mu się w milczeniu, napotykając chłodne, badawcze spojrzenie niebieskich oczu.

- Nie ma tu lepszych fajek niż kooa - odezwał się wreszcie. - Oczywiście, nie umywają się do cameli. To papierosy amerykańskie. Najlepsze na świecie. Palileś kiedyś?

- Owszem, ale przyznam się, że dla mnie są nieco za suche. Wolę gold flake'i - odparł Peter Marlowe, po czym dodał uprzejmie: - To zapewne kwestia gustu.

Znów zapadła cisza. Marlowe czekał, aż Król powie mu, o co chodzi. Czekając myślał, że wbrew otaczającej Króla złej sławie, podoba mu się ten Amerykanin, podoba mu się przebłyskująca w jego oczach wesołość.

- Świetnie mówisz po malajsku - powiedział Król, wskazując ruchem głowy czekającego cierpliwie Malajczyka.

- Tak, chyba nie najgorzej.

Król miał ochotę przekląć tę typową angielską powściągliwość, ale powstrzymał się.

- Tutaj się nauczyłeś? - pytał cierpliwie dalej.

- Nie. Na Jawie - odparł Marlowe i po chwili wahania rozejrzał się. - Nieźle się tu urządziłeś.

- Lubię wygodę. Jak ci się siedzi w tym fotelu?

- Dobrze.

Po twarzy Marlowe'a przemknęło zdziwienie.

- Dałem za niego rok temu osiem dych - oznajmił z dumą Król.

Peter Marlowe spojrzał szybko na Króla, żeby sprawdzić, czy to podanie prosto z mostu ceny miało być żartem, ale nie dostrzegł nic prócz zadowolenia i nie skrywanej dumy. Zdumiewające, żeby o czymś takim mówić nieznanemu.

- Jest bardzo wygodny - rzekł z lekkim zakłopotaniem.

- Zrobię sobie coś do żarcia. Zjesz ze mną?

- Dopiero co jadłem... obiad - odparł powściągliwie Marlowe.

- Na pewno jeszcze byś coś zjadł. Może jajko?

Tym razem, nie mogąc już dłużej ukryć zdumienia, Marlowe wytrzeszczył oczy. Król uśmiechnął się i pomyślał, że choćby tylko dla tej reakcji warto było zrobić taką propozycję. Ukląkł przy czarnej skrzynce i ostrożnie przekreślił klucz w zamku. Marlowe w osłupieniu wpatrywał się w jej zawartość. Pół tuzina jaj, woreczki z kawą. W szklanych słoikach wschodni przysmak gula malacca, rodzaj scukrzonego irysa.

Banany. Co najmniej pół kilograma jawajskiego tytoniu. Z dziesięć albo więcej paczek papierosów kooa. Słój ryżu. I jeszcze jeden słój z fasolą katchang idju. Olej. Przeróżne smakołyki zawinięte w bananowe liście. Nie pamiętał, kiedy widział naraz tyle skarbów.

Król wyjął olej i dwa jajka, po czym zamknął skrzynkę na klucz. Kiedy podniósł wzrok na Marlowe'a, zobaczył, że do jego oczu powróciła czujność, a twarz miał opanowaną.

- Jakie wolisz jajko? Sadzone?

- Właściwie to nie bardzo wypada mi je przyjąć - odparł Marlowe. Mówienie przychodziło mu z trudem. - Nikt nie częstuje jajkami ot, tak sobie.

Król uśmiechnął się. Był to miły uśmiech, który wzbudził sympatię Marlowe'a.

- Drobiazg. Potraktujemy to jako "zamorską pomoc Wujka Sama", rodzaj pożyczki.

Anglik zacisnął szczęki, a jego twarz przez moment wyrażała irytację.

- Co się stało? - spytał natychmiast Król.

- Nic - odparł Marlowe po chwili. Popatrzył na jajko. Swoje przydziałowe miał otrzymać dopiero za sześć dni. - Jeżeli nie sprawi ci to różnicy, wolę sadzone.

- Już się robi - rzekł Król. Wiedział, że popełnił jakiś błąd, gdyż irytacja Anglika nie była udana. Dziwni są ci obcokrajowcy, pomyślał. Nigdy nie można przewidzieć, jak na coś zareagują. Postawił maszynkę elektryczną na stole i włożył wtyczkę do gniazdka.

- Pełna kultura, no nie? - powiedział żartobliwie.

- Owszem.

- To Max mi ją podłączył - wyjaśnił Król i wskazał głową na drugi koniec baraku.

Marlowe podążył oczami za jego spojrzeniem. Czując na sobie czyjś wzrok, Max uniósł głowę i spytał:

- Potrzebujesz czegoś?

- Nie - odparł Król. - Opowiadam właśnie, jak podłączyłeś maszynkę do prądu.

- Ach tak. Działa jak trzeba?

- Jasne.

Peter Marlowe wstał, wychylił się przez okno i zawołał po malajsku:

- Proszę, nie czekaj już na mnie, Sulimanie. Zobaczymy się jutro.

- Dobrze, tuan, pokój z tobą.

- I z tobą - odparł Marlowe, uśmiechnął się i usiadł z powrotem. Suliman oddalił się.

Król zręcznie rozbił jajka i rzucił na rozgrzany olej. Kolor żółtek był intensywnie złocisty, a otaczające je galaretowate białko sycząc w wysokiej temperaturze zaczęło się ścinać. Cały barak wypełniło skwierczenie smażonych jaj. Wypełniło myśli, pragnienia, pobudziło wydzielanie soków trawiennych. Ale nikt się nie odezwał ani nie poruszył. Z wyjątkiem Texa, który zmusił się, żeby wstać i wyjść z baraku.

Wielu przechodzących drogą poczuło smakowity aromat i od nowa znienawidziło Króla. Zapach powędrował z boku w dół, do baraku żandarmerii. I Grey, i Masters od razu wiedzieli, skąd pochodzi.

Czując przyływ mdłości, Grey wstał i podszedł do drzwi. Zamierzał obejść obóz, żeby uciec przed zapachem, jednak zmienił zamiar i odwróciwszy się rzekł:

- Chodźcie, sierżancie. Odwiedzimy Amerykanów. Mamy świetną okazję, żeby sprawdzić meldunek Sellarsa!

- Dobrze - powiedział Masters, którego dolatujący zapach niemal przyprawił o mdłości. - Przeklęty drań, mógłby przynajmniej smażyć przed obiadem, a nie tuż po, kiedy do kolacji jest jeszcze pięć godzin.

- Amerykanie są dziś na drugą zmianę, więc jeszcze nie jedli.

Tymczasem w baraku amerykańskim powrócono do przerwanych czynności. Dino starał się zasnąć, Kurt szył, wznowiono grę w pokera, a Miller i Byron Jones Trzeci podjęli swoją nie kończącą się partię szachów. Ale skwierczenie zniszczyło emocje związane z małym pokerem, Kurt ukłuł się igłą w palec i zaklął soczyście, Dina opuściła senność, a Jones patrzył z przerażeniem, jak Miller zabiera mu królową nędznym, parszywym pionkiem.

- Jak Boga kocham, żeby tak zaczęło padać - powiedział zduszonym głosem Jones.

Nikt się nie odezwał, bo też nikt nic nie słyszał oprócz wypełniających barak trzasków i posykiwań.

Król również był skupiony - nad patelnią. Chlubił się, że nikt nie potrafi lepiej od niego usmażyć jaj. Uważał, że sadzone jajko należy smażyć z wyczuciem artysty, nie za wolno, ale i bez zbytniego pośpiechu. Podniósł wzrok i uśmiechnął się do Marlowe'a, ale oczy Anglika wlepione były w jajka.

- Mój Boże - rzekł cicho Marlowe, i nie było to przekleństwo, a

błogosławieństwo. - Co za zapach!

Król poczuł zadowolenie.

- Poczekaj, aż skończę - powiedział. - Wtedy zobaczysz takie jajka, jakich w życiu nie widziałeś. - Popieprzył lekko jaja, a potem je posolił. - Lubisz gotować? - spytał.

- Tak - odparł Marlowe, z trudem rozpoznając własny głos. - W mojej grupie najczęściej ja przygotowuję jedzenie.

- Jak lubisz, żeby się do ciebie zwracano? Pete? Peter?

Marlowe ukrył zdziwienie. Tylko wypróbowani, zaufani przyjaciele zwracają się do siebie po imieniu - jakże inaczej odróżnić przyjaciół od znajomych? Spojrzał na Króla, lecz nie dostrzegł w jego twarzy nic prócz życzliwości, więc, wbrew samemu sobie, odpowiedział:

- Peter.

- Skąd jesteś? Gdzie mieszkasz?

Wciąż mnie wypytuje, pomyślał Marlowe. Za chwilę spyta, czy jestem żonaty, albo ile mam na koncie w banku. Przyszedł na wezwanie Króla z ciekawości, teraz jednak był gotów przekląć siebie za to, że jej nie poskromił. Wspaniały widok skwierczących jaj ułagodził go jednak.

- W Portchester - odpowiedział. - To taka mała miejscina na południowym wybrzeżu. W hrabstwie Hampshire.

- Jesteś żonaty, Peter?

- A ty?

- Nie.

Król pytałby dalej, ale jajka były już gotowe. Zdjął więc patelnię z maszynki i skinął na Marlowe'a.

- Talerze są za twoimi plecami - powiedział, a potem dodał z niemałą dumą: - Klasa!

Peter Marlowe w życiu nie widział równie wspaniałych sadzonych jaj, obdarzył więc Króla największym komplementem, na jaki stać Anglika.

- Nieźle, słowo daję, całkiem nieźle - oświadczył bezbarwnym tonem i spojrzał na Króla z miną równie obojętną jak głos, wzmacniając tym sposobem pochwałę zawartą w słowach.

- O czym ty, do diabła, gadasz, skurwysynu! - wykrzyknął rozwścieczony Król. - W życiu nie widziałeś lepszych jajek!

Marlowe zaniemówił, w całym baraku zapadła grobowa cisza. Wtem w znieruchomiałym powietrzu rozległ się gwizd. Dino i Miller natychmiast poderwali się i popędzili w stronę Króla, a Max stanął na straży w drzwiach. Miller i Dino wepchnęli łóżko Króla do kąta, podnieśli z podłogi dywaniki i wcisnęli je pod siennik. Potem przysunęli do łóżka Króla sąsiednie prycze, na taką odległość, żeby wyglądało, iż dysponuje on, tak jak wszyscy w Changi, powierzchnią o wymiarach metr dwadzieścia na metr osiemdziesiąt. W drzwiach stanął porucznik Grey, a o dobry krok za nim sierżant Masters.

Amerykanie wpatrywali się w Greya i dopiero po chwili, kiedy już dali mu do zrozumienia, co o nim myślą, wstali. Upłynęła równie obraźliwa chwila, zanim Grey zsalutował i dał "spocznij". Jeden jedyny Marlowe nie ruszył się z miejsca i nadal siedział w fotelu.

- Wstań! - syknął Król. - Wstań, bo cię załatwi na amen!

Doświadczenie nauczyło go rozpoznawać, kiedy Grey jest podniecony. Tym razem Grey nie jego świdrował wzrokiem, lecz wbił nieruchome spojrzenie w Marlowe'a. Patrzył tak, że nawet Król się wzdrygnął.

Grey bez pośpiechu przemierzył barak i zatrzymał się tuż przy siedzącym Marlowie. Oderwał od niego wzrok i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w usmażone jajka. Potem spojrzął na Króla i znów na Marlowe'a.

- Daleko odeszliśmy od własnego baraku, prawda, Marlowe?

Peter Marlowe wyjął pudełko po papierosach i wysypał z niego trochę tytoniu na liść trawy rotangowej. Potem skręcił lejkowatego papierosa i podniósł go do ust. Przeciągające się milczenie było dla Greya jak policzek.

- Czyja wiem, drogi kolego... - odezwał się Marlowe cicho. - Anglik jest u siebie, gdziekolwiek się znajdzie.

- Gdzie opaska na rękę?

- Za pasem.

- Należy ją nosić na rękę. Taki jest regulamin.

- Japoński regulamin. A mnie się japoński regulamin nie podoba - odparł Marlowe.

- To jest także regulamin obozowy.

Rozmawiali zupełnie spokojnie i Amerykanie wyczuwali w ich głosach zaledwie cień irytacji, ale Grey i Marlowe wiedzieli swoje. I nagle wypowiedzieli sobie wojnę. Marlowe nienawidził Japończyków, a Grey był dla niego ich przedstawicielem,

ponieważ to on pilnował, czy w obozie przestrzega się obowiązującego regulaminu japońskiego, i robił to bezlitośnie. Poza tym dzieliła ich jeszcze głębsza nienawiść, wrodzona nienawiść klasowa. Marlowe był świadom, że Grey nienawidzi go za jego pochodzenie, sposób mówienia, za to, czego pragnął nade wszystko i czego nigdy mieć nie mógł.

- Proszę ją założyć! - nakazał Grey, do czego miał pełne prawo.

Marlowe wzruszył ramionami, wyciągnął opaskę i nasunął ją na lewy łokieć. Na opasce widniał jego stopień wojskowy: kapitan lotnictwa, RAF.

Król wytrzeszczył oczy. O rany, oficer, pomyślał. A ja chciałem go prosić, żeby...

- Przepraszam, że przeszkadzam w obiedzie - mówił Grey - ale coś komuś zginęło.

- Zginęło? - powtórzył Król. Chryste! Ronson!, omal nie zawołał na głos. Boże! Pozbyć się tej przeklętej zapalniczki, krzychał w nim strach.

- Co się stało, kapralu? - spytał Grey, widząc perlące się na twarzy Króla krople potu.

- Gorąco dziś - odezwał się Król słabym głosem.

Czuł, jak wykrochmalona koszula mięknie na nim od potu. Zrozumiał, że padł ofiarą intrygi. Zrozumiał też, że Grey bawi się z nim jak kot z myszą. Zastanawiał się gorączkowo, czy starczyłoby mu odwagi, żeby rzucić się do ucieczki, ale pomiędzy nim a oknem siedział Peter Marlowe, i Grey z łatwością by go schwytał. Zresztą uciec oznaczałoby przyznać się do winy. Wisząc tak pomiędzy życiem a śmiercią, widział poruszające się usta Greya.

- Co pan powiedział, panie poruczniku? - spytał. Tym razem "panie poruczniku" nie zabrzmiało obelżywie. Król wpatrywał się w Greya, nie dowierzając własnym uszom.

- Powiedziałem, że pułkownik Sellars zameldował o kradzieży złotego pierścienia! - złowieszco powtórzył Grey.

Królowi aż zakręciło się w głowie. A więc to nie ronson! Niepotrzebnie panikowałem! To tylko ten cholerny pierścień Sellarsa, myślał. Sprzedał go trzy tygodnie temu, zresztą z niezłym zyskiem. A więc Sellars zameldował o kradzieży! Kłamliwy skurwysyn.

- No, proszę - powiedział z nutką wesołości w głosie. - No, proszę, a to ci pech. Ktoś ukradł pierścień. Nie może być!

- Dla mnie może. A dla was nie? - rzekł szorstko Grey.

Król nie na to nie odpowiedział. Ale miał wielką ochotę uśmiechnąć się. Wcale nie chodzi o zapalniczkę! Jestem bezpieczny!

- Znacie pułkownika Sellarsa? - spytał Grey.

- O tyle, o ile, panie poruczniku. Grałem z nim parę razy w brydża - odparł Król, całkiem już spokojny.

- Czy pułkownik pokazywał wam pierścień? - pytał nieustępliwie Grey.

Król starannie odtworzył w pamięci przebieg wypadków. Pułkownik Sellars pokazał mu pierścień dwukrotnie. Raz, kiedy prosił go o pośrednictwo w sprzedaży, a drugi raz, kiedy Król poszedł go zważyć.

- Ależ skąd, panie poruczniku - odparł niewinnym głosem. Wiedział, że nic mu nie grozi. Świadców nie było.

- Na pewno nigdy nie widzieliście tego pierścienia?

- Ależ skąd, panie poruczniku.

Grey poczuł nagle, że ma serdecznie dosyć tej zabawy w kota i mysz, a nieprzeparła ochota na jajka sprawiła, że aż go zemdliło z głodu. Gotów był zrobić wszystko, dosłownie wszystko, żeby dostać choć jedno z nich.

- Grey, przyjacielu, czy ma pan ogień? - spytał Marlowe. Nie miał przy sobie swojej malajskiej zapalniczki, a musiał zapalić. Koniecznie. Niechęć do Greya wysuszyła mu usta.

- Nie.

Sam sobie zapal, pomyślał ze złością Grey, zabierając się do odejścia. W tym momencie usłyszał, jak Marlowe zwraca się do Króla:

- Mógłbyś mi użyczyć swojego ronsona?

Obrócił się ku nim powoli. Peter Marlowe uśmiechał się do Króla. Jego słowa jak wyrte zawisły w powietrzu, a potem rozbiegły się, docierając do każdego zakątka baraku.

Przerażony Król, chcąc za wszelką cenę zyskać na czasie, zaczął szukać zapalek.

- Masz go w lewej kieszeni - odpowiedział Marlowe.

W tej jednej chwili Król żył, umarł i narodził się na nowo. Mieszkańcy baraku wstrzymali oddech. Mieli być świadkami upadku Króla. Mieli być świadkami tego, jak Król zostaje schwytany, zabrany i uwięziony, a więc czegoś, co się nie mieściło w głowie. A jednak mieli przed sobą Króla, Greya i tego człowieka, który wydał Króla i złożył go jak baranka na ołtarzu ofiarnym Greya. Niektórzy byli przerażeni, inni rozkoszowali się tą perspektywą, jeszcze inni współczuli Królowi, a Dino pomyślał ze

złością: Psiakrew, jutro ja miałem pilnować skrzynki!

- Jak to, kapralu, nie podacie panu kapitanowi ognia? - spytał Grey. Nie czuł już głodu, a tylko wewnętrzne ciepło. Wiedział przecież, że w spisie rzeczy Króla nie figuruje zapalniczka marki Ronson.

Król wyjął zapalniczkę i podał ogień Marlowe'owi. Płomień, którym miał ochotę go spalić, płonął równo i jasno.

Dziękuję - powiedział Marlowe, uśmiechnął się i dopiero wtedy zdał sobie ze wszystkiego sprawę.

- No, tak - powiedział Grey, biorąc zapalniczkę do ręki. Zabrzmiało to majestatycznie, nieodwołalnie, groźnie.

Król milczał, bo cóż mógł powiedzieć. Po prostu czekał. Teraz, kiedy go przyłapano, nie bał się i tylko przeklinał własną głupotę. Mężczyzna przegrywający przez własną głupotę nie ma prawa nazywać siebie mężczyzną. Nie ma też prawa być Królem, bo Królem jest zawsze ten, kto jest najsilniejszy, najsilniejszy nie tylko dzięki samej sile, ale dzięki sprytowi, sile i szczęściu.

- Skąd to macie, kapralu? - spytał słodkim głosem Grey.

Peter Marlowe czuł, że się w nim wszystko burzy. Przez chwilę walczył gorączkowo z myślami, aż wreszcie powiedział:

- To moja zapalniczka. - Wiedząc, że zabrzmiało to jak kłamstwo, czym w istocie było, dodał pośpiesznie: - Graliśmy w pokera. Przegrałem ją. Tuż przed obiadem.

Grey, Król i pozostali wlepili w niego oszołomiony wzrok.

- Co takiego? - spytał Grey.

- Przegrałem ją - powtórzył Marlowe. - Graliśmy w pokera. Miałem sekwens. Sam mu opowiedz - dodał prędko, przerzucając na Króla konieczność wyjaśnień, żeby go wypróbować.

Król nie zdążył jeszcze zebrać myśli, ale refleks miał dobry. Otworzył usta i powiedział:

- Graliśmy właśnie w *studa*. Miałem fula i...

- Jakiego?

- Asy na dwójkach - wtrącił bez zastanowienia Marlowe. W myśli zadawał sobie pytanie: Do diabła, co to jest *stud*?

Król drgnął, mimo że wspaniale panował nad sobą. Miał właśnie powiedzieć: "króle na damach", i był świadom, że Grey zauważył jego wzdrygnięcie.

- Kłamie pan, Marlowe!

- Ależ kolego Grey, jak pan może! - rzekł Marlowe, grając na zwłokę. A myślał: Cholera, co to jest *stud*? - Żal było patrzeć - powiedział, znajdując swoistą przyjemność w strachu przed wielkim niebezpieczeństwem. - Zdawało mi się, że już go mam. Miałem sekvens. Dlatego postawiłem zapalniczkę. Sam mu opowiedz - zwrócił się prędko do Króla.

- A jak się gra w *studa*, Marlowe?

Zapadła cisza. Przerwał ją grzmot, który przetoczył się gdzieś za horyzontem. Król otworzył usta, ale Grey nie dał mu dojść do słowa.

- Pytałem Marlowe'a - rzekł z pogróżką w głosie. Marlowe był bezbronny. Spojrzał na Króla i choć jego oczy niczego nie wyrażały, Król zrozumiał.

- Chodź, pokażemy - zaproponował szybko Marlowe. Król natychmiast sięgnął po karty i powiedział bez wahania:

- Moja karta w dołku...

Grey z wściekłością obrócił się do niego.

- Mówiłem, że pytam Marlowe'a. Jeszcze jedno słowo, a zaaresztuję was za utrudnianie pracy przedstawicielowi prawa.

Król milczał i tylko modlił się w duchu, żeby to, co powiedział, okazało się wystarczającą wskazówką.

Wyrażenie "karta w dołku" zabrzmiało w uszach Marlowe'a jakby znajomo. I nagle wszystko sobie przypomniał. Wiedząc już, na czym polega gra, zaczął się bawić z Greyem.

- No więc... - wycedził z zakłopotaniem - to taka odmiana pokera, jak każda inna.

- Chcę usłyszeć, jak się w to gra - ponaglał Grey sądząc, że przyłapał ich wreszcie na kłamstwie.

Marlowe obrzucił go kamiennym spojrzeniem, myśląc o stygnących jajkach.

- Co pan właściwie chce udowodnić, Grey? Każdy głupi wie, że są to cztery karty i jedna zakryta, czyli w dołku.

Przez barak przebiegło westchnienie ulgi. Grey zrozumiał, że jest bezsilny. Jego słowo stanęłoby przeciw słowu Marlowe'a, a nawet tu, w Changi, samo słowo porucznika żandarmerii to za mało.

- Faktycznie. Każdy głupi wie - rzekł ponuro, spoglądając to na Króla, to na Marlowe'a. Zwrócił Królowi zapalniczkę.

- Dopilnujcie, żeby ją umieszczono w spisie.

- Tak jest, panie poruczniku.

Teraz, kiedy było już po wszystkim, Król nieznacznie dał po sobie poznać, jak mu ulżyło. Grey po raz ostatni spojrział na Marlowe'a, a spojrzenie to wyrażało zarówno obietnicę, jak i groźbę.

- Pańska szacowna szkoła, do której pan chodził, byłaby dziś z pana bardzo dumna - rzekł z pogardą, po czym ruszył do wyjścia, a za nim powłóczący nogami Masters.

Peter Marlowe odprowadził Greya spojrzeniem, a kiedy ten znalazł się przy drzwiach, nie odrywając od niego wzroku, zwrócił się do Króla odrobinę głośniej, niż było trzeba.

- Podaj mi swoją zapalniczkę, skręć mi zgaś.

Ale Grey nie zmylił kroku ani się nie obejrzał. Co za człowiek, pomyślał ponuro Marlowe. Jakie nerwy... Dobrze mieć kogoś takiego u boku, kiedy się walczy na śmierć i życie. A jako wroga trzeba doceniać.

Wśród naelektryzowanej ciszy Król osunął się na fotel, a Marlowe wyjął zapalniczkę z jego zwiotczalej dłoni i zapalił papierosa. Król wymacał machinalnie paczkę kooa, wetknął jednego między wargi i trzymał go tak, bez czucia. Marlowe nachylił się i podał mu ogień. Długo trwało, zanim Król zobaczył wyraźnie płomień, a wtedy zauważył, że ręce Marlowe'a trzęsą się tak samo jak jego. Rozejrzał się po baraku - ludzie siedzieli nieruchomo jak posągi, z wlepionym w niego wzrokiem. Ramiona miał złane zimnym potem i czuł, że przemokła mu koszula.

Z zewnątrz dobiegł brzęk naczyń. Dino wstał i wyjrzał z nadzieją.

- Żarcie! - zawołał uszczęśliwiony. Napięcie prysło i Amerykanie opuścili barak, zabierając ze sobą naczynia i sztuce. Peter Marlowe i Król zostali sami.

ROZDZIAŁ III

Przez chwilę obaj dochodzili do siebie.

- Mój Boże, niewiele brakowało! - odezwał się wreszcie drżącym głosem Marlowe.

- Tak - przyznał bez pośpiechu Król. Mimo woli wstrząsnął nim dreszcz. Potem odszukał portfel, wyjął dwa dziesięciodolarowe banknoty i położył je na stole. - Proszę, na razie tyle - powiedział. - Ale od dziś wciągam pana na listę płac... Dwadzieścia tygodniowo.

- Co takiego?

- Będę panu płacił dwadzieścia dolarów tygodniowo - powtórzył Król i zastanowił się przez chwilę. - Tak, ma pan rację - rzekł uprzejmie i uśmiechnął się. - Należy się więcej. Niech będzie trzydzieści. - A spojrzawszy na opaskę na ramieniu, dodał: - Panie kapitanie.

- Nadal możesz mi mówić po imieniu - rzekł z rozdrażnieniem Marlowe. - A co do tej listy... Nie chcę twoich pieniędzy. - Wstał, zamierzając odejść. - Dziękuję za papierosa.

- Ej, czekaj no... - zatrzymał go Król, nie posiadając się ze zdumienia. - Co cię napadło?

Marlowe spojrzał na niego z góry i oczy rozbłysły mu gniewem.

- Za kogo ty mnie masz? Wypchaj się swoimi pieniędzmi.

- Nie podobają ci się?

- Nie chodzi o pieniądze, ale o twoje maniery.

- A od kiedy to maniery mają cokolwiek wspólnego z pieniędzmi?!

Marlowe odwrócił się bez słowa i chciał wyjść, ale Król poderwał się i zagroził mu drogę do drzwi.

- Chwileczkę - powiedział. Głos miał napięty. - Chcę o coś spytać. Dlaczego mnie kryłeś?

- To oczywiste. Wpakowałem cię w kabałę, więc nie mogłem zostawić na lodzie. Za kogo mnie masz?!

- Nie wiem. Staram się dowiedzieć.

- To była moja wina. Przepraszam.

- Nie masz za co przepraszać - powiedział ostro Król. - To ja popełniłem błąd.

Całkiem zgłupiałem. Ty nie masz z tym nic wspólnego.

- Wszystko jedno - rzekł Marlowe. Jego twarz i wzrok były jak z kamienia. - Ale masz mnie chyba za ostatnie gówno, skoro przypuszczasz, że pozwoliłbym na to, żeby się nad tobą pastwiono, i za jeszcze większe gówno, jeżeli sądzisz, że chcę od ciebie pieniędzy za to, że byłem nieostrożny. Nie dam się tak traktować!

- Proszę cię, usiądź na chwilę.

- Po co?

- Do jasnej cholery, bo chcę z tobą porozmawiać.

W drzwiach, z menażkami Króla w ręku, zatrzymał się niepewnie Max.

- Przepraszam - odezwał się ostrożnie - przyniosłem ci żarcie. Chcesz herbaty?

- Nie. Zupę bierze dziś Tex.

Król wziął menażkę z ryżem i postawił ją na stole.

- Dobra - powiedział Max z wahaniem. Zastanawiał się, czy Król nie potrzebuje pomocy, żeby skuć pysk temu skurwielowi.

- Idź, Max. I powiedz reszcie, żeby na chwilę zostawili nas samych.

- Oczywiście.

Max uprzejmie wyszedł. Pomyślał, że Król mądrze robi nie chcąc mieć świadków, zwłaszcza gdy daje wycisk oficerowi.

Król spojrzał na Marlowe'a.

- Proszę cię - powiedział. - Możesz na chwilę usiąść? Bardzo cię proszę.

- Dobrze - odparł sztywno Marlowe.

- Widzisz - zaczął cierpliwie tłumaczyć Król - wyciągnąłeś mnie z biedy. Pomogłeś mi, więc i ja ci pomagam, tak powinno być. Zaproponowałem ci forszę, bo chciałem ci podziękować. Nie chcesz jej, w porządku, ale ja nie miałem najmniejszego zamiaru cię obrazić. Jeżeli to zrobiłem, przepraszam.

- Wybacz - rzekł Marlowe mięknięc. - Jestem wybuchowy. Ale cię zrozumiałem.

Król wyciągnął rękę.

- Sztama?

Peter Marlowe uścisnął jego wyciągniętą dłoń.

- Nie lubisz Greya, co? - spytał ostrożnie Król.

- Nie.

- Dlaczego?

Marlowe wzruszył ramionami. Król niedbale podzielił ryż i podał mu większą porcję.

- Zjedzmy wreszcie.

- A ty? - spytał Marlowe, wpatrując się w swoją porcję.

- Nie jestem głodny. Straciłem apetyt. Słodki Jezu, mało brakowało. Już myślałem, że obaj wpadliśmy.

- Owszem - rzekł Marlowe z miną zapowiadającą uśmiech. - Ale zabawa była przednia, nie sądzisz?

- Co takiego?

- No, wszystkie te emocje związane z niebezpieczeństwem. Dawno tak dobrze się nie bawiłem.

- Jest kupa rzeczy, których w tobie nie rozumiem - rzekł niepewnie Król. - Naprawdę chcesz powiedzieć, że dobrze się bawiłeś?

- Oczywiście, a ty nie? To było prawie tak wspaniałe jak latanie na spicie. Lecisz i boisz się, a jednocześnie się nie boisz. A w czasie lotu i po wylądowaniu masz taki fajny szumek w głowie.

- Chyba na głowę upadłeś.

- Jeżeli ta sytuacja cię nie bawiła, to czemu, u licha, chciałeś mnie pogrążyć tym *studem*? O mało co nie dostałem ataku serca.

- Wcale nie chciałem cię pogrążyć. Po diabła miałbym to robić?

- Żeby było ciekawiej i żeby mnie wypróbować.

Uśmiechając się blado Król tarł oczy i twarz.

- To znaczy, uważasz, że zrobiłem to umyślnie?

- Jak najbardziej. Ja zrobiłem to samo. Odezwałem się do ciebie po to, żebyś musiał odpowiadać na pytania Greya.

- Wyjaśnijmy to sobie do końca. Więc zrobiłeś to tylko po to, żeby wypróbować moje nerwy? - Króla aż zatkało.

- Ależ oczywiście, stary - odparł Marlowe. - O co ci właściwie chodzi?

- Chryste Panie - rzekł Król, ze zdenerwowania znów oblewając się potem. - Już prawie siedzimy w pudle, a ty wymyślasz jakieś zabawy. - Urwał, żeby złapać oddech. - Wariat, kompletny wariat! Przecież kiedy się zawahałeś, jak ci podsunąłem tę "kartę w dołku", myślałem, że już po nas.

- Grey też tak myślał. A ja sobie z niego żartowałem. Skończyłem tak prędko tylko dlatego, że jajka stygły. A takie sadzone jajko nieczęsto się ogląda. Oj, nieczęsto.

- Powiedziałeś, zdaje się, że jest do niczego.

- Powiedziałem, że jest "niezłe". - Marlowe zastanawiał się przez chwilę. -

Zrozum, jeśli się mówi, że coś jest niezłe, to znaczy, że jest wyśmienite. W ten sposób można powiedzieć komuś komplement, tak żeby nie czuł się skrepowany.

- Puknij się w czaszkę! Ryzykujesz moje i swoje życie tylko po to, żeby było niebezpieczniej, wściekasz się, kiedy proponuję ci pieniądze, i to bez żadnych zobowiązań, a na dodatek mówisz, że coś jest "niezłe", kiedy myślisz, że jest wyśmienite. Rany boskie - dodał ogłupiały Król - albo ja jestem głupi, albo nie wiem co.

Podniósł wzrok i zobaczywszy zakłopotaną minę Marlowe'a nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Marlowe też się roześmiał. Po chwili obaj zaśmiewali się do łez.

Do baraku zajrzał Max, mając za plecami resztę Amerykanów.

- Co go, cholera, napadło?! - Maxa aż zatkało ze zdumienia. - Myślałem, że do tej pory zdążył mu rozwalić łeb.

- Panienko Przenajświętsza - szepnął Dino. - Najpierw Król o mało co nie wpada, a teraz śmieje się razem z tym, co go sypanął.

- Nic nie kapuję - orzekł Max, którego od chwili ostrzegawczego gwizdu skręcało w środku.

Król podniósł oczy i zobaczył wpatrzonych w niego mężczyzn. Wyciągnął paczkę z resztą papierosów.

- Trzymaj, Max - powiedział. - Poczęstuj wszystkich. Mamy dziś święto!

- Dzięki. - Max wziął papierosy. - Cholera! Mało cię nie dorwał. Cieszymy się razem z tobą.

Król badał wzrokiem uśmiechnięte twarze. Niektóre uśmiechy były szczere, i te sobie zapamiętał. Inne wymuszone, ale te i tak już znał. Pozostali dołączyli do podziękowań Maxa.

Max ponownie wyprowadził całą gromadkę z baraku i zabrał się do rozdzielania podarowanego skarbu.

- Szok, nic innego - powiedział cicho. - Tak jak po bombardowaniu. Tylko patrzeć, jak zaczną prać Anglika. - Kiedy z baraku dobiegł ich kolejny wybuch śmiechu, wytrzeszczył oczy, a potem wzruszył ramionami. - We łbie mu się pomieszało, i nie dziwota.

- Na miłość boską - mówił właśnie Marlowe, trzymając się za brzuch - zacznijmy jeść, bo jeszcze trochę, a nie będę w stanie nic przełknąć.

Zaczęli więc jeść - w przerwach pomiędzy atakami śmiechu. Marlowe żałował,

że jajka wystygły, ale śmiech sprawił, że wydawały się ciepłe i smakowały znakomicie.

- A może by je tak dosolić? - spytał, starając się zachować bezbarwny ton głosu.

- Chyba można. Chociaż wydaje mi się, że je dosyć posoliłem. - Król zmarszczył brwi, sięgnął po sól i wtedy spostrzegł przymrużone oczy Anglika. - O co tym razem chodzi? - spytał, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

- O Boże, to był tylko żart. Czy wy, Amerykanie, nie macie poczucia humoru?

- Idź do diabła! I przestań się śmiać, do cholery!

Kiedy zjedli jajka, Król postawił na maszynie kawę i sięgnął po papierosy. Przypomniawszy sobie, że je rozdał, schylił się więc i otworzył kluczem czarną skrzynkę.

- Zaczekaj, spróbuj tego - rzekł Marlowe, częstując go tytoniem ze swojego pudełka.

- Dziękuję, ale nie znoszę tego paskudztwa. Fatalnie działa mi na gardło.

- Spróbuj. Jest specjalnie przyrządzony. Nauczyłem się tego od Jawajczyków.

Król nieufnie wziął pudełko. Tytoń w nim był z tego samego pospolitego zielska, o którym wspomniawszy, ale nie żółty jak słoma, tylko ciemnozłoty, nie suchy, ale wilgotny i pozwijany, nie bezwonny, ale pachnący jak prawdziwy tytoń, mocno i słodkawo. Król odszukał paczuszkę bibulek ryżowych i poczęstował się, aż nazbyt hojnie, spreparowanym zielskiem. Zwinął papierosa niedbale w rurkę i obciął wystające brzegi, strząsając nadmiar tytoniu na podłogę.

Wielki Boże, pomyślał Marlowe. Powiedziałem ci, żebyś spróbował, a nie od razu brał wszystko, co jest. Wiedział, że powinien zebrać z podłogi kruszyny i włożyć je z powrotem do pudełka, ale nie zrobił tego. Są rzeczy, których robić nie wypada, dodał w myślach.

Król pstryknął zapalniczką i obaj uśmiechnęli się na jej widok. Król wciągnął dym raz, potem drugi, aż wreszcie zaciągnął się głęboko.

- Ależ to jest wspaniałe - oznajmił ze zdumieniem. - Może nie tak dobre jak kooa, ale to jest... - Urwał i poprawił się. - Chciałem powiedzieć, że jest niezłe.

- Owszem, całkiem niezłe - rzekł Marlowe i roześmiał się.

- A jak to robisz?

- Tajemnica firmowa.

Król pojął, że ma przed sobą kopalnię złota.

- Obróbka jest pewnie długa i skomplikowana - zaczął ostrożnie.

- Och, nie, właściwie jest całkiem prosta. Ścięte zielsko moczy się w herbacie, a potem wyciska. Następnie posypuje się odrobiną cukru i miesza, a kiedy cukier się

rozpuści, podgrzewa na patelni na małym ogniu. Trzeba mieszać bez przerwy, bo inaczej wszystko na nic. Trzeba tak utrafić, żeby nie było ani za suche, ani za wilgotne.

Króla zaskoczyło, że Marlowe tak łatwo, bez wstępnych targów, zdradza mu, na czym polega obróbka zielska. Na pewno chce mi tylko zaostrić apetyt, pomyślał. To nie może być takie proste, bo wszyscy by tak robili. Pewnie wie, że tylko ze mną może przystąpić do tego interesu.

- To wszystko? - spytał z uśmiechem.

- Tak. Naprawdę nic więcej.

Król ujrzał przed oczami kwitnący handel. I do tego legalny.

- W twoim baraku pewnie wszyscy robią sobie tytoń w ten sposób? - spytał.

Marlowe zaprzeczył ruchem głowy.

- Robię go tylko dla mojej grupy. Od miesięcy droczę się z nimi, opowiadam różności, ale jeszcze nie doszli, jak się go naprawdę przyrządza.

Król uśmiechnął się od ucha do ucha.

- A więc tylko ty jeden się na tym znasz?

- Ależ skąd - odparł Marlowe i Królowi zamarło serce. - To miejscowy sposób.

Znany na całej Jawie.

Król rozpromienił się.

- Ale tutaj nikt go nie zna?

- Nie wiem, nie interesowałem się tym.

Król wypuścił z nosa dwie smużki dymu, szybko kalkulując w myśli. Tak, dziś naprawdę mam wyjątkowe szczęście, pomyślał.

- Posłuchaj, Peter - rzekł. - Chcę ci zaproponować pewien interes. Pokażesz mi dokładnie, jak to się robi, a ja ci odpalę z zysków - zawahał się - dziesięć procent.

- Co takiego?

- Dobra. Dwadzieścia pięć.

- Dwadzieścia pięć?

- No, dobrze - powiedział Król spoglądając na Marlowe'a z większym szacunkiem. - Twardy z ciebie kupiec, ale to świetnie. Ja wszystko załatwię. Będziemy kupować hurtem. Trzeba zorganizować wytwórnię. Ty możesz doglądać produkcji, a ja zajmę się sprzedażą. - Wyciągnął rękę. - Będziemy współnikami, podzielimy się równiuteńko - ty pół i ja pół. Umowa stoi.

Marlowe utkwiał wzrok w wyciągniętej dłoni Króla, a potem spojrzął mu w twarz.

- O nie, co to, to nie! - rzekł stanowczo.

- Bój się Boga, Peter! - wybuchnął Król. - Nikt się z tobą sprawiedliwiej nie podzieli. Czy może być uczciwszy podział? Ja przecież wykładam forszę. Będę musiał...

- Urwał, gdyż nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. - Peter - dodał po chwili, nie pokazując po sobie, że czuje się dotknięty - nikt nie musi wiedzieć, że jesteśmy współnikami. Pokażesz mi tylko, jak to się robi, a ja dopilnuję, żebyś dostał swoje. Możesz mi ufać.

- Wiem o tym - odparł Marlowe.

- No więc dzielimy się po połowie.

Król promieniał.

- Nie.

- A niech to szlag! - zawołał Król, czując, że go naciskają. Jednakże pohamował gniew i pomyślał o interesie. A im dłużej myślał... Rozejrzał się, żeby się upewnić, czy nikt ich nie podsłuchuje, po czym ściszył głos i powiedział chrapliwie: - Sześćdziesiąt procent dla ciebie, czterdzieści dla mnie. Czegoś takiego w życiu nikomu nie proponowałem. Umawiamy się na sześćdziesiąt do czterdziestu.

- Nie.

- Nie?! - wykrzyknął Król, nie wierząc własnym uszom. - Przecież coś z tego muszę mieć. To za ile, do jasnej cholery, sprzedasz ten swój sposób? Chcesz od razu gotówkę do ręki?

- Nie chcę nic - powiedział Marlowe.

- Nic?

Król, zdruzgotany, opadł bez sił na fotel. Marlowe nie mógł się w tym wszystkim połapać.

- Wiesz, nie bardzo rozumiem, dlaczego pewne rzeczy tak cię podniecają - rzekł z wahaniem. - Nie jestem właścicielem tego sposobu, żeby go sprzedawać. To prosty, miejscowy zwyczaj. W żadnym razie nie mógłbym nic od ciebie wziąć. To nie byłoby w porządku. Absolutnie. A zresztą... - Urwał i dodał prędko: - Mam ci go teraz pokazać?

- Zaraz. To znaczy, że nie chcesz nic za jego pokazanie? I to po tym, jak zaproponowałem ci sześćdziesiąt procent z zysków? Kiedy ci mówię, że mogę na tym zrobić pieniądze?

Marlowe potwierdził skinieniem głowy.

- Wariat - powiedział bezradnie Król. - Coś tu się nie zgadza. Nic nie rozumiem.

- A co tu jest do rozumienia? - spytał Marlowe i uśmiechnął się blade. -
Powiedzmy, że dostałem udaru słonecznego.

Król przyglądał mu się badawczo przez dłuższą chwilę.

- Czy odpowiesz mi szczerze, jeśli spytam cię wprost?

- Tak, oczywiście.

- Czy to wszystko z powodu mojej osoby?

Słowa zawisły w rozgrzanym powietrzu.

- Nie - odparł Marlowe, przerywając milczenie.

Teraz już wszystko było dla nich jasne.

Pół godziny później Marlowe przyglądał się, jak Tex podgrzewa drugą porcję tytoniu. Tym razem robił to sam, a Król krążył wokół niego, pogdakując niczym stara kwoka.

- Jesteś pewien, że dodał cukru ile trzeba? - pytał zaniepokojony.

- Dokładnie tyle.

- Długo jeszcze?

- Jak myślisz, Tex, ile?

Tex uśmiechnął się do Marlowe'a i przeciągnął swoje niezdarne, ponad dwumetrowe cielsko.

- Tak na oko, z pięć, sześć minut - odparł.

Marlowe wstał.

- Gdzie tu jest zaciszne miejsce, ustęp?

- Kibel? Z tyłu. - Król wskazał kierunek. - Ale czy nie mógłbyś zaczekać, aż Tex skończy? Chcę mieć pewność, że złapał sprawę.

- Tex świetnie sobie radzi - odparł Marlowe i wyszedł.

Kiedy wrócił, Tex zestawiał patelnię z maszynki.

- Już - powiedział nerwowo i zerknął na Marlowe'a, niepewny, czy dobrze obliczył czas.

- W sam raz - zawyrokował Marlowe, badając spreparowany tytoń.

Podniecony Król skręcił papierosa w ryżowym papierku. Tex i Marlowe zrobili to samo i zapalili ronsonem. I znowu rozległ się radosny śmiech. A potem zapadła cisza, gdyż każdy zamienił się w konesera.

- Znakomity - oświadczył z przekonaniem Marlowe. - Mówiłem ci, Tex, że to nic trudnego.

Tex odetchnął z ulgą.

- Niezły - rzekł w zamyśleniu Król.

- O czym ty właściwie mówisz - wybuchnął gniewnie Tex. - To jest przecież cholernie dobre!

Marlowe i Król ryknęli śmiechem. Kiedy wytłumaczyli Texowi, o co chodzi, również się roześmiał.

- Musimy mieć jakąś nazwę firmową. - Król zamyślił się na chwilę. - Już mam. Co powiecie na "Trzech Króli"? Jeden z Królewskich Sił Powietrznych, drugi z Teksasu, a trzeci to ja.

- Niezłe - przyznał Tex.

- Jutro ruszamy z produkcją.

Tex potrząsnął przecząco głową.

- Jutro idę na roboty - powiedział.

- Nigdzie nie pójdziesz! Załatwię, żeby Dino cię zastąpił.

- Nie, ja sam go poproszę. - Tex wstał i uśmiechnął się do Marlowe'a. - Cieszę się, że pana poznałem, panie kapitanie.

- Daruj sobie "pana kapitana", dobrze? - odparł Marlowe.

- Oczywiście. Dziękuję.

Marlowe odprowadził go wzrokiem do drzwi.

- Dziwne, ale w żadnym baraku nie widziałem nigdy tyłu uśmiechniętych twarzy - rzekł cicho do Króla.

- A co masz z tego, że się nie uśmiechasz? Mogłoby być przecież dużo gorzej. Zestrzelili cię nad górami?

- Mówisz o trasie Kalkuta-Czungking, o Himalajach?

- Tak - odparł Król i ruchem głowy wskazał tytoń. - Napełnij sobie pudełko.

- Dziękuję, chętnie skorzystam.

- Jak ci zabraknie, przychodź i bierz.

- Dziękuję, będę pamiętał. To bardzo miło z twojej strony.

Marlowe miał wielką ochotę na jeszcze jednego papierosa, ale wiedział, że za dużo pali. Gdyby teraz jeszcze zapalił, głód stałby się dokuczliwszy. Lepiej zrobić przerwę. Spojrzał na cień rzucany przez barak i przyrzekł sobie, że nie zapali, dopóki nie przesunie się on o pięć centymetrów.

- Wcale nie zostałem zestrzelony - powiedział. - Mojemu latawcowi... mojemu samolotowi dostało się podczas nalotu na Jawie. Nie mogłem oderwać się od ziemi.

Nic ciekawego - dodał, starając się ukryć gorycz.

- Mogło być gorzej - powiedział Król. - Mogłeś przecież siedzieć w środku. Żyjesz i tylko to się liczy. Na czym latałeś?

- Na hurricanie. To jednoosobowy myśliwiec. Ale normalnie latałem na spicie, na spitfirze.

- Słyszałem o nich, ale nigdy nie widziałem. Zdrowo złoiliście Niemcom skórę, nie powiem.

- Tak, to prawda - odparł Marlowe z rozrzewnieniem.

Król zdziwił się.

- Ale ty chyba nie brałeś udziału w bitwie o Wielką Brytanię?

- Owszem, brałem. Zostałem pilotem w tysiąc dziewięćset czterdziestym, zdążyłem akurat na czas.

- Ile miałeś lat?

- Dziewiętnaście.

- No proszę, a ja patrząc na ciebie nie dałbym ci dwudziestu czterech, tylko co najmniej trzydzieści osiem!

- Nawzajem, bracie! - rzekł Marlowe i roześmiał się. - A ty ile masz lat?

- Dwadzieścia pięć. Kurwa mać, moje najlepsze lata, a siedzę zamknięty w jakimś wszawym więzieniu.

- Na dobrą sprawę nie jesteś tu zamknięty. I jak widzę, świetnie sobie radzisz.

- Z której strony byś na to nie patrzył, jesteśmy zamknięci. Jak myślisz, długo jeszcze?

- Zmusiliśmy Niemców do ucieczki. Wszystko powinno się już wkrótce skończyć.

- Wierzysz w to?

Marlowe wzruszył ramionami. Ostrożnie, powiedział sobie w duchu, ostrożności nigdy za wiele.

- Tak przypuszczam. Z pogłoskami różnie bywa.

- A nasza wojna? Co z nią?

Ponieważ pytanie zadał przyjaciel, Marlowe mówił bez skrepowania.

- Nasza wojna nigdy się nie skończy. Owszem, pokonamy Japończyków, już teraz to wiem. Ale dla nas, tutaj? Nie sądzę, żebyśmy przeżyli.

- Dlaczego?

- Bo nie wydaje mi się, żeby Japończycy się poddali. A to oznacza, że nasi

muszą wylądować w Azji. I wtedy Japończycy nas zlikwidują. Wszystkich. O ile wcześniej nie wykończą nas choroby.

- Ale dlaczego mieliby to zrobić?

- Dlaczego? Żeby zyskać na czasie. Kiedy pętla wokół Japonii będzie się zacieśniać, zaczną wciągać macki. Po co tracić czas dla marnych kilku tysięcy jeńców. Japończycy patrzą na życie zupełnie inaczej niż my. Już sama myśl o tym, że nasze oddziały miałyby stanąć na ich ziemi, doprowadzi ich do szału. - Marlowe mówił to zupełnie spokojnym, beznamiętnym tonem. - Moim zdaniem jesteśmy straceni. Oczywiście, mam nadzieję, że się mylę, ale tak właśnie myślę.

- Ale z ciebie optymista, niech cię cholera – rzekł cierpko Król, a kiedy Marlowe roześmiał się, spytał: - Co cię tak cieszy? Zawsze się śmiejesz, kiedy nie trzeba.

- Przepraszam. To taki nawyk.

- Usiądźmy na dworze - zaproponował Król. - Muchy zaczynają się wściekać. Ej, Max! - zawołał głośniejszym głosem. - Posprzątasz?

Max wszedł do baraku i zabrał się do sprzątanego, a Król z Marlowe'em wyslizgnęli się przez okno, gdzie pod płócienną osłoną stał jeszcze jeden stolik i ławka. Król zajął miejsce na ławce, Marlowe, wzorem tubylców, przysiadł na piętach.

- W żaden sposób nie mogłem się tego nauczyć - powiedział Król.

- Tak jest bardzo wygodnie. Ja nauczyłem się na Jawie.

- Skąd tak świetnie znasz malajski?

- Przez jakiś czas mieszkałem w wiosce.

- Kiedy?

- W czterdziestym drugim. Po zawieszeniu broni.

Król czekał cierpliwie na ciąg dalszy, ale Marlowe zamilkł. Odczekał jeszcze chwilę, po czym spytał:

- Jak to się stało, że po zawieszeniu broni w czterdziestym drugim mieszkałeś w wiosce na Jawie, kiedy wszyscy siedzieli już w obozach?

Marlowe roześmiał się na cały głos.

- Przepraszam - powiedział. - Ale niewiele mam do powiedzenia. Nie miałem ochoty znaleźć się w obozie. Prawdę mówiąc, kiedy ustały walki, zgubiłem się w dżungli, i wtedy natrafiłem na tę wioskę. Zlitowano się nade mną. Spędziłem tam około pół roku.

- Jak tam było?

- Cudownie. Mieszkańcy wioski byli dla mnie bardzo życzliwi. Stałem się jednym z nich. Ubierałem się jak Jawajczyk, przyciemniłem skórę - właściwie było to niemądre, bo i tak zdradziłby mnie wzrost i oczy - pracowałem na polach ryżowych.

- Byłeś tam sam?

- Byłem jedynym Europejczykiem, jeśli o to pytasz - odparł Marlowe po chwili. Spojrzał w stronę obozu; patrzył, jak słońce praży zakurzoną ziemię, a wiatr podrywa i wciąga w wir tuman pyłu. Wir ten przypominał mu o niej.

Oderwał wzrok od ziemi i spojrzał w niespokojne niebo na wschodzie. Ale ona była także częścią tego nieba.

Wiatr wzmógł się i przygiął czuby kokosowych palm. Ale ona była częścią tego wiatru, palm i piętrzących się w oddali chmur.

Marlowe oderwał się od tych myśli i wpatrzył w koreańskiego strażnika, który człapał po drugiej stronie ogrodzenia, spływając potem w skwarze popołudnia. Strażnik ubrany był w wyświechtany, niechlujny mundur, na głowie miał zmiętą czapkę, która przypominała jego pomarszczoną twarz, a z ramienia zwiślał mu przekrzywiony karabin. Tyleż brak mu było wdzięku, ile ona go miała...

Marlowe raz jeszcze spojrzał w niebo, szukając przestrzeni. Tylko wtedy nie czuł się osaczony, osaczony przez mężczyzn, męskie zapachy, brud i głosy. Mężczyźni bez kobiet to tylko okrutny żart, pomyślał bezradnie. Słońce stężało w żarze, a jego serce ścisnęła rozpacz.

- Ej, Peter!

Król z otwartymi ustami spoglądał na wzniesienie.

Marlowe podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i kiedy zobaczył zbliżającego się Seana, zrobiło mu się niedobrze. O Boże! Miał ochotę wśliznąć się przez okno i schować, ale wiedział, że to jeszcze bardziej rzuci się w oczy. Czekał więc ponuro, wstrzymując oddech. Pomyślał, że ma duże szansę, aby Sean go nie spostrzegł, bo był właśnie pochłonięty rozmową z majorem lotnictwa Rodrickiem i porucznikiem Frankiem Parrishem. Szli z pochylonymi ku sobie głowami i rozmawiali z przejęciem.

Nagle Sean zerknął przez ramię Franka Parrisha, zobaczył Marlowe'a i zatrzymał się. Jego zaskoczeni towarzysze również przystanęli. Na widok Marlowe'a pomyśleli obaj: „O mój Boże”, ale nie dali po sobie poznać, jak bardzo są zaniepokojeni.

- Cześć, Peter - zawołał Rodrick, wysoki schludny mężczyzna, którego twarz wyglądała jak wyrzeźbiona. Był równie wysoki i schludny, jak Frank Parrish wysoki i

niechlujny.

- Cześć, Rod! - zawołał w odpowiedzi Marlowe.

- Opuścę was na chwilę - powiedział cicho Sean do Rodricka i ruszył w stronę Marlowe'a i Króla. Teraz, kiedy minęło pierwsze zaskoczenie, uśmiechnął się na powitanie.

Marlowe poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku. Wstał i czekał, czując na sobie przenikliwe spojrzenie Króla.

- Cześć, Peter - powiedział Sean.

- Cześć, Sean.

- Bardzo schudłeś, Peter.

- Czyja wiem. Nie bardziej niż inni. Czuję się dobrze.

- Tak dawno cię nie widziałem... Może wpadłbyś czasem do teatru? Zawsze coś się znajdzie, znasz mnie zresztą, nigdy dużo nie jadłem - powiedział Sean i uśmiechnął się z nadzieją.

- Dziękuję - odparł Marlowe, cierpiąc z zakłopotania.

- No tak, wiem, że nie przyjdiesz - powiedział nieszczęśliwym głosem Sean. - Ale zawsze jesteś mile widziany. - Zamilkł. - W ogóle się nie pokazujesz.

- Och, wiesz jak to jest, Sean. Ty występujesz we wszystkich przedstawieniach, a mnie jakoś leci, chodzę na roboty i mam inne zajęcia.

Sean, tak jak Marlowe, nosił sarong, ale nie wytarty i spłowiwały jak sarong Marlowe'a, lecz nowy, biały, z brzegiem haftowanym niebieską i srebrną nicią. Ponadto ubrany był w malajski kaftanik baju z krótkimi rękawami, ucięty powyżej talii i szerzej skrojony w piersiach. Król wpatrywał się zafascynowany w rozchyłony kołnierzyk kaftanika.

Spostrzegłszy to Sean uśmiechnął się lekko, odgarnął włosy, które pieszczotliwie zburzył wiatr, i bawił się nimi tak długo, aż Król spojrzał mu w twarz. Widząc, jak Król oblewa się rumieńcem, rozpromienił się w duchu.

- Robi... robi się gorąco - powiedział Król zmieszany.

- Owszem - przyznał grzecznie Sean. Nie był zgrzany ani spocony, jak zwykle zresztą, choćby w największy upał.

Zapadło milczenie.

- Och, wybaczcie - odezwał się Marlowe widząc, że Sean patrzy na Króla i cierpliwie czeka. - Czy znasz...

Sean roześmiał się.

- Daj spokój, Peter. Jesteś zdenerwowany. Oczywiście, że wiem, kim jest twój przyjaciel, chociaż jeszcze się nie znamy. - Wyciągnął rękę. - Bardzo mi miło. To wielki zaszczyt poznać Króla!

- Eee... dziękuję - odparł Król, ledwie dotykając dłoni, która była dużo mniejsza od jego własnej. - Zapali... pan?

- Dziękuję, nie palę. Ale jeżeli pan pozwoli, wziąłbym papierosa. A właściwie dwa, jeśli można. - Ruchem głowy Sean wskazał na ścieżkę. - Rod i Frank palą, i wiem, że byliby bardzo wdzięczni.

- Oczywiście - powiedział Król. - Oczywiście.

- Dziękuję. Jest pan bardzo uprzejmy.

Mimo woli Król wyczuł serdeczność w uśmiechu Seana. Mimo woli powiedział, i to całkiem szczerze:

- Był pan wspaniały w "Otellu".

- Dziękuję - odparł uradowany Sean. - A podobał się panu "Hamlet"?

- Tak. Chociaż za Szekspirem nie przepadam.

Sean roześmiał się.

- Oto prawdziwy komplement. Pracujemy teraz nad nową sztuką. Napisał ją specjalnie dla nas Frank. Powinno być wesoło.

- Jeśli tak jak zwykle, to będzie wspaniale - powiedział Król swobodniejszym tonem. - I pan też będzie wspaniały.

- Pan jest bardzo miły. Dziękuję. - Sean zerknął na Marlowe'a i oczy rozbłysły mu nowym blaskiem. - Ale obawiam się, że Peter jest innego zdania.

- Przestań, Sean - powiedział Marlowe.

Sean nie patrzył na niego, tylko na Króla, i uśmiechał się, ale za tym uśmiechem kryła się wściekłość.

- Peter mnie nie uznaje - powiedział.

- Przestań, Sean - powtórzył ochryple Marlowe.

- A to dlaczego? - odciął się Sean. - Gardzisz zбочeńcami? Czy nie tak nazywasz takich jak ja? Dałeś mi to jasno do zrozumienia. I tego nie zapomniałem!

- Ani ja!

- No, proszę, kto by pomyślał. Nie lubię, kiedy ktoś mną gardzi, a zwłaszcza ty!

- Powiedziałem ci, przestań. To nie jest właściwy czas ani miejsce na kłótnię. Już raz o tym rozmawialiśmy i wszystko to już kiedyś powiedziałaś. Przeprosiłem cię. Nie chciałem cię skrzywdzić!

- Tak. Ale wciąż mnie nienawidzisz... Dlaczego? Dlaczego?

- To nieprawda.

- Więc dlaczego stale mnie unikasz?

- Tak jest lepiej. Na miłość boską, Sean, daj mi spokój.

Sean wpatrywał się w Marlowe'a. W pewnej chwili jego gniew rozplynął się równie nagle, jak wybuchnął.

- Przepraszam, Peter. Chyba masz rację. To ja jestem głupi. Ale czasem czuję się po prostu samotny. A wtedy chciałbym z kimś porozmawiać. - Wyciągnął rękę i dotknął ramienia Marlowe'a. - Przepraszam. Chcę tylko, żebyśmy znów byli przyjaciółmi.

Marlowe nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Sean zawahał się.

- No tak, chyba czas na mnie - powiedział.

- Sean, jesteście spóźnieni! - zawołał ze ścieżki Rodrick.

- Już idę. - Sean wpatrywał się w Marlowe'a, wreszcie westchnął i wyciągnął rękę do Króla. - Miło mi było pana poznać. Proszę mi wybaczyć moje zachowanie.

Król i tym razem nie mógł uniknąć dotknięcia jego ręki.

- Cieszę się, że pana poznałem - powiedział.

Sean nie odchodził, przyglądał mu się z powagą, badawczo.

- Jest pan przyjacielem Petera? - spytał.

Król miał wrażenie, że cały świat przysłuchuje się jego odpowiedzi.

- No... no pewnie... tak, chyba tak - wyjąkał.

- Prawda, że to dziwne, jak wiele różnych rzeczy może oznaczać jedno słowo. Ale jeżeli jest pan jego przyjacielem, to proszę, niech go pan nie sprowadzi na manowce. Ma pan opinię niebezpiecznego, a ja nie chcę, żeby Petera spotkała krzywda. Bardzo go lubię.

- No... tak, oczywiście. - Pod Królem ugięły się kolana, zmiękł. Magnetyzm uśmiechu Seana przenikał go. Coś takiego czuł po raz pierwszy w życiu. - Najlepsze w obozie są przedstawienia - powiedział. - Dla nich warto żyć. A pan jest w nich najlepszy.

- Dziękuję - odparł Sean i zwrócił się do Marlowe'a. - Rzeczywiście warto dla nich żyć. Jestem bardzo szczęśliwy i lubię to, co robię. Naprawdę, Peter, dzięki temu wszystko ma jakiś sens.

- Tak. Cieszę się, że wszystko układa się dobrze - powiedział udręczony Marlowe.

Sean uśmiechnął się niepewnie po raz ostatni, odwrócił się szybko i już go nie było.

Król usiadł.

- A niech mnie diabli! - powiedział.

Marlowe także usiadł, otworzył pudełko i skręcił sobie papierosa.

- Gdybyś nie wiedział, że to mężczyzna, przysiągłbyś na wszystko, że jest kobietą. I to piękną kobietą - odezwał się Król.

Marlowe pokiwał głową ze smutkiem.

- Nie przypomina innych pedałów, to fakt - ciągnął Król. - Gdzie tam. Jest zupełnie inny. Chryste, jest w nim coś takiego, co nie... - Urwał, szukając właściwego słowa, po czym mówił dalej: - Jak by to powiedzieć. On... Niech mnie cholera, on jest kobietą! Pamiętasz, jak grał Desdemonę? Jak on wyglądał w tym szlafroku! Założę się, że w całym Changi nie było takiego, któremu by nie stanął. Nie dziwię się, że niektórych to kusi. Mnie też, a zresztą wszystkich. Jeżeli ktoś twierdzi inaczej, to łże.

Spojrzał na Marlowe'a i uważnie mu się przyjrzał.

- Na miłość boską, chyba nie bierzesz mnie za ciotę? - powiedział Marlowe z rozdrażnieniem.

- Nie - odparł spokojnie Król. - Ale nie wziąłbym ci tego za złe. Pod warunkiem, że bym o tym wiedział.

- No to dowiedz się, że nie jestem.

- A na to, jak pragnę zdrowia, wyglądało - rzekł Król szczerząc zęby. - Kłótnia kochanków?

- Idź do diabła!

- Dawno go znasz? - zagadnął Król po chwili.

- Był w mojej eskadrze, a mnie w pewnym sensie zlecono nad nim opiekę - odparł Marlowe po namyśle. Strzepnął żarzący się koniuszek papierosa i resztę tytoniu wsypał do pudełka. - Prawdę mówiąc, był moim najlepszym przyjacielem. I bardzo dobrym pilotem. - Spojrzał na Króla. - Bardzo go lubiłem.

- Czy przedtem też... też był taki?

- Nie.

- O rany, wiem, że nie ubierał się jak kobieta, ale przecież musiało się rzucać w oczy, że ma takie skłonności.

- Sean nigdy nie miał takich skłonności. Był normalnym, przystojnym, miłym chłopcem. Nie miał w sobie nic zniewieścialego, był po prostu... wrażliwy.

- Widziałeś go kiedy nago?

- Nie.

- Ano właśnie. Nikt go nie widział rozebranego. Nawet do pasa.

Seanowi oddano do dyspozycji maleńki pokój na piętrze budynku teatru, prywatny pokój, jakiego w całym Changi nie miał nikt, nawet sam Król. Ale nigdy tam nie nocował. Śpiąc sam w zaryglowanym pomieszczeniu, byłby narażony na zbyt wielkie niebezpieczeństwo, bo w obozie nie brakowało takich, których żądza była niepowstrzymana, a pozostali pożąдали go skrycie. Dlatego Sean spał zawsze w którymś z baraków, a w swoim prywatnym pokoju przebierał się i brał prysznic.

- Co między wami zaszło? - spytał Król.

- Kiedyś omal go nie zabiłem.

Nagle przerwali rozmowę i zaczęli nadśluchiwać w skupieniu. Usłyszeli coś jak westchnienie, cichy pomruk. Król rozejrzał się prędko. Nie zauważywszy nic niezwykłego, wstał i wspiął się przez okno do baraku, a za nim Marlowe. Mężczyźni w baraku również nasłuchiwali.

Król spojrział w stronę narożnika więzienia. Wydawało się, że wszystko jest tak, jak powinno. Jeńcy nadal przechadzali się drogą w obie strony.

- Jak myślisz, co to było? - spytał szeptem.

- Nie wiem - odparł Marlowe, wyważając uwagę.

Ludzie wciąż przechadzali się wzdłuż więziennego muru, ale ich krok uległ teraz ledwie dostrzegalnemu przyśpieszeniu.

- Ej, patrzcie - szepnął Max.

Zza rogu więzienia wyszedł, kierując się w ich stronę, kapitan Brough. Za nim wylaniali się kolejno inni oficerowie, zmierzając do podległych im żołnierskich baraków.

- Na pewno nic przyjemnego - powiedział ponuro Tex.

- Może rewizja - rzekł Max.

Król błyskawicznie znalazł się na kolanach i otworzył czarną skrzynkę.

- Na razie - rzekł pośpiesznie Marlowe.

- Trzymaj - Król rzucił mu paczkę kooa. - Do zobaczenia wieczorem, jeżeli będziesz miał ochotę.

Marlowe wybiegł z baraku i popędził drogą w dół. Spomiędzy ziaren kawy Król wyszarpnął zagrzebane tam trzy zegarki i podniósł się z klęczek. Po chwili zastanowienia wszedł na fotel i wepchnął je w palmową strzechę. Zdawał sobie sprawę, że

wszyscy widzieli jego nowy schowek, ale machnął na to ręką, bo w tej chwili nie miał innego wyjścia. Zamknął na klucz czarną skrzynkę. W tym momencie w drzwiach stanął Brough.

- Jazda, chłopaki, wychodzić - rozkazał.

ROZDZIAŁ IV

Przeciskając się przez rój spoconych mężczyzn gromadzących się na asfaltowej drodze, Marlowe myślał tylko o jednym - o swojej manierce. Rozpaczliwie usiłował przypomnieć sobie, czy napełnił ją przed wyjściem, ale ciągle nie był pewien.

Wbiegł po schodach wiodących z drogi do baraku. Ale w środku nie było już nikogo, a w drzwiach trzymał straż umorusany Koreańczyk. Marlowe wiedział, że strażnik go nie wpuści, odwrócił się więc, pochylił i pod osłoną baraku pobiegł na jego drugi koniec. Rzucił się do drzwi i zanim strażnik go zobaczył, był już przy swojej pryczy i trzymał w ręku manierkę.

Koreańczyk zaklął siarczyście, podszedł do niego i gestem nakazał mu odłożyć manierkę. A wtedy Marlowe zasalutował mu zamasyście i przemówił po malajsku, gdyż był to język zrozumiały dla większości strażników.

- Witaj, panie. Chyba będziemy długo czekać, więc pozwól mi zabrać tę manierkę, bo jestem chory na czerwonkę.

Mówiąc to, potrząsnął manierką. Była pełna.

Strażnik wyrwał mu ją i podejrzliwie powąchał. Potem wylał trochę wody na podłogę, wetknął Marlowe'owi manierkę z powrotem do ręki, jeszcze raz zaklął i wskazał na jeńców szykujących się w dole do apelu.

Marlowe, któremu tak ulżyło, że aż osłabł, skłonił mu się i pobiegł do swojego szeregu.

- Gdzieś się szwendał, Peter? - spytał Spence z tym większym zdenerwowaniem, że od czerwonki bolał go brzuch.

- Nieważne. Ważne, że jestem. - Mając przy sobie manierkę, Marlowe odzyskał rezon. - Na co czekasz, Spence, ustawiaj wojsko - powiedział uszczypliwie.

- Odczep się. No, dalej, chłopcy, stańcie w szeregu. - Spence policzył swoich ludzi i spytał: - A gdzie Bones?

- W szpitalu - odparł Ewart. - Poszedł zaraz po śniadaniu. Sam go tam zaprowadziłem.

- Do diabła, dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

- A niech to szlag, przecież przez cały dzień pracowałem w ogrodzie! Nie masz się kogo czepiać?!

- A ty się tak nie wściekaj!

Marlowe nie słuchał przekleństw, paplaniny i domysłów. Żywił w duchu nadzieję, że pułkownik i Mac mają manierki przy sobie.

Po sprawdzeniu stanu swojego oddziału kapitan Spence udał się do podpułkownika Sellarsa, któremu nominalnie podlegały cztery baraki, i zasalutował.

- Sześćdziesięciu czterech, panie pułkowniku. Zgodnie ze stanem. Dziewiętnastu na miejscu, dwudziestu trzech w szpitalu, dwudziestu dwóch na robotach.

- Dobrze, Spence.

Natychmiast po otrzymaniu aktualnych liczb ze wszystkich czterech baraków Sellars zsumował je i przekazał pułkownikowi Smedly-Taylorowi, któremu podlegało dziesięć baraków. Z kolei pułkownik Smedly-Taylor przekazał je dalej, a następny oficer jeszcze dalej. Czynność tę powtarzano w całym obozie, w więzieniu i poza jego murami, aż wreszcie obliczenia dotarły do komendanta obozu. Komendant dodał liczbę obecnych w obozie do liczby chorych w szpitalu i tych, którzy byli na robotach, a potem przekazał podsumowanie japońskiemu tłumaczowi, kapitanowi Yoshimie. Yoshima sklął komendanta, ponieważ suma się nie zgadzała. Brakowało jednego człowieka.

Po dręczącej godzinie popłochu znaleziono go wreszcie martwego, na cmentarzu. Pułkownik doktor Rofer z Korpusu Medycznego Królewskich Sił Zbrojnych zbeształ swojego zastępcę, pułkownika doktora Kennedy'ego, który tłumaczył się, że trudno jest na bieżąco znać stan chorych. Ale Rofer mimo to go zbeształ, stwierdzając, że orientacja w stanie chorych należy do jego obowiązków. Potem udał się skruszony do komendanta obozu, który zgromił go za nieudolność. Z kolei komendant poszedł do Yoshimy i powiadomił go o znalezieniu ciała, tłumacząc się, że trudno jest znać na zawołanie dokładny stan liczebny jeńców. Yoshima zgromił komendanta obozu za nieudolność oświadczając, że to on właśnie jest za wszystko odpowiedzialny i że jeśli nie potrafi sobie poradzić ze sprawą tak podstawową jak stan jeńców, to być może czas na to, żeby komendę nad obozem objął inny oficer.

W czasie kiedy złość mknęła tam i z powrotem po szeregach, koreańscy strażnicy przeszukiwali baraki, zwłaszcza oficerskie. Właśnie tam musiało być ukryte radio, którego szukali. Nadzieja tych ludzi, ich jedyna więź ze światem. Strażnicy chcieli je odnaleźć, tak jak tamto pięć miesięcy temu. Ale podobnie jak jeńcom zgromadzonym na apelu, im także upał dawał się we znaki i poszukiwania były pobieżne.

Jeńcy oblewali się potem i klęli. Kilku zemdłało. Chorzy na czerwonkę ciągnęli tłumnie do latryn. Ciężko chorzy kucali albo kładli się tam, gdzie stali, i poddawali się bólowi skręcającemu wnętrzości. Zdrowi nie zwracali uwagi na smród. Smród był czymś normalnym, tak samo jak kolejka do latryn, tak samo jak czekanie.

Po trzech godzinach poszukiwania dobiegły kresu. Zebranych kazano się rozejść. Tłoczyli się do swoich baraków i do cienia, leżeli dysząc na pryzkach albo szli pod prysznic, gdzie czekali wściekając się, aż wreszcie chłodna woda przynosiła ulgę obolałym głowom.

Marlowe wyszedł spod prysznic. Owinął się w pasie sarongiem i ruszył w stronę betonowego baraku swoich przyjaciół - jego grupy.

- *Puki 'mahlu!* - przywitał go Mac, uśmiechając się szeroko. Major McCoy był niskim, żylastym Szkotem, trzymającym się prosto jak trzcina. Dwadzieścia pięć lat spędzonych w malajskich dżunglach wyryło na jego twarzy głębokie bruzdy, w czym miały też swój udział mocne trunki, karty i nawroty febry.

- *'Mahlu senderis* - odpowiedział Marlowe i zadowolony kucnął. Malajskie sprośności zawsze go zachwycaly. Były absolutnie nieprzekładalne, chociaż *puki* było nazwą pewnej kobiecej części ciała, a *'mahlu* oznaczało "zawstydzenie".

- Czy wy już nie potraficie normalnie mówić? - odezwał się pułkownik Larkin, który leżał na sienniku rozłożonym wprost na podłodze. W tym upale z trudem łapał oddech i bolała go głowa, co było następstwem przebytej malarii.

Mac mrugnął porozumiewawczo do Marlowe'a.

- Wciąż mu to wyjaśniamy, ale nic nie dociera do tej tępej głowy - powiedział. - Beznadziejny przypadek!

- Tak jest, brachu - rzekł Marlowe, naśladowując australijską wymowę Larkina.

- Dlaczego akurat ja musiałem trafić na dwóch takich jak wy, tego nie dowiem się nigdy - wystękał Larkin.

Mac uśmiechnął się szeroko.

- Bo jest leniwy, prawda, Peter? - powiedział. - My tu we dwóch odwalamy całą robotę, a on leży i udaje, że nie może ruszyć się z łóżka tylko dlatego, że ma leciutki atak malarii.

- *Puki 'mahlu.* Podaj mi wody, Marlowe!

- Tak jest, panie pułkowniku. Rozkaz!

Marlowe podał pułkownikowi manierkę. Mimo bólu na jej widok Larkin uśmiechnął się.

- Wszystko dobrze, Peter? - spytał cicho.

- Tak. Ale najadłem się trochę strachu.

- My z Makiem też.

Larkin wypił wodę drobnymi łykami i ostrożnie zwrócił manierkę Marlowe'owi.

- Lepiej, pułkowniku? - spytał Marlowe, zaniepokojony kolorem skóry Larkina.

- Na taką dolegliwość wystarczyłaby flaszka piwa, słowo honoru. Jutro będę na chodzie - odparł Larkin.

Marlowe skinął głową.

- Najważniejsze, że minęła gorączka - powiedział, a potem z wystudiowaną niedbałością wyjął paczkę kooa.

- Wszelki duch - wyszeptali jednocześnie Mac i Larkin.

Marlowe otworzył paczkę i dał im po papierosie.

- Prezent od świętego Mikołaja! - oznajmił.

- Do diabła, Peter, skąd je masz?

- Poczekaj, aż sobie troszkę popalimy, zanim powiesz nam to najgorsze - rzekł z przekąsem Mac. - Sprzedał pewnie nasze łóżko albo coś w tym guście.

I wtedy Marlowe opowiedział im historię o Królu i Greyu. Słuchali z rosnącym zdumieniem. Opowiedział im też o sposobie preparowania tytoniu, a oni słuchali w milczeniu aż do chwili, kiedy doszedł do procentów.

- Sześćdziesiąt do czterdziestu! - nie wytrzymał Mac i powtórzył z zachwytem: - O Jezu! Sześćdziesiąt do czterdziestu!

- Tak, wyobraźcie sobie! - rzekł Marlowe, źle odczytując jego słowa. - W każdym razie pokazałem mu, jak to się robi. Zdziwili się, że nic w zamian nie chcą.

- Zdradziłeś mu sposób? - spytał z przerażeniem Mac.

- Oczywiście. Czy to źle?

- Ale dlaczego?

- Przecież nie mogę być współnikiem w jakichś interesach. Marlowe'owie nie zajmują się handlem. - Marlowe mówił takim tonem, jakby coś tłumaczył dziecku. - Po prostu nie wypada, stary.

- Rany boskie, nadarza się świetna okazja, żeby zarobić trochę grosza, a ty udajesz panisko i spokojnie ją odrzucasz. Chyba zdajesz sobie sprawę, że gdybyś ubił ten interes z Królem, miałbyś tyle, że do sądnego dnia starczyłoby na podwójne porcje. Dlaczego nie trzymałeś języka za zębami, dlaczego nie powiedziałeś o tym

mnie, żebym...

- O czym ty mówisz, Mac? - przerwał mu ostro Larkin. - Chłopak postąpił słusznie i byłoby źle, gdyby wdał się w jakieś interesy z Królem.

- Ale...

- Żadne ale - uciął Larkin.

Mac w jednej chwili opanował gniew, wyrzucając sobie, że wybuchnął. Zaczął się nerwowo śmiać.

- Tylko tak się z tobą droczę, Peter - rzekł.

- Czy aby na pewno, Mac? Mój Boże, czy zrobiłem jakieś głupstwo? Nie chciałem sprawić wam zawodu - powiedział Marlowe zmartwionym tonem.

- Nie, nie, chłopcze, po prostu zażartowałem sobie. No, opowiadaj, co było dalej.

I Marlowe opowiedział im wszystko do końca, nie przestając się zastanawiać, czy zrobił coś, czego zrobić nie powinien. Mac był przecież jego najlepszym przyjacielem, był bystry i nigdy się nie złościł. Opowiedział im też o Seanie, a kiedy skończył, ulżyło mu. Potem wyszedł, gdyż na niego właśnie przypadła kolej nakarmić kury.

- Niech to szlag!... Przepraszam - powiedział po jego wyjściu Mac. - Niepotrzebnie się uniosłem.

- Wcale ci się nie dziwię, brachu. Chłopak chodzi z głową w chmurach. Ma dziwne wyobrażenie o pewnych sprawach. No, ale nigdy nie wiadomo. Może znajomość z Królem kiedyś nam się przyda.

- Może - przyznał w zamyśleniu Mac.

Marlowe niósł w ręku blaszaną puszkę napelnioną kawałkami liści, które zdobyli na paszę dla kur. Idąc minął latryny, aż dotarł do wybiegów, w których trzymano obozowy drób.

Były tam wybiegi różne, duże i małe, wybiegi dla pojedynczych wychudzonych kur oraz jeden olbrzymi wybieg dla stu trzydziestu kur, będących własnością całego obozu, których jajka przeznaczone były do podziału między wszystkich jeńców. Reszta wybiegów należała do poszczególnych grup albo do kilku naraz, tych, które połączyły swoje zasoby. Własny wybieg miał jedynie Król.

Wybieg dla drobiu należącego do grupy Marlowe'a zbudował Mac. Były tam trzy kury - cały majątek grupy. Kury kupił Larkin siedem miesięcy temu, kiedy sprzedali ostatnią wartościową rzecz, jaką mieli - złotą obrączkę Larkina. Larkin nie chciał się z nią rozstawać, ale ponieważ Mac był w tym czasie chory, Marlowe miał

czerwonkę, a dwa tygodnie wcześniej znów obniżono racje żywnościowe dla obozu, więc chcąc nie chcąc sprzedał ją. Ale nie za pośrednictwem Króla. Poprosił o to jednego ze swoich ludzi, australijskiego handlarza Tiny Timsena. Za uzyskane pieniądze kupił cztery kury u chińskiego kupca, który otrzymał od Japończyków koncesję na handel w obozie, a wraz z kurami dwie puszkę sardynek, dwie puszkę skondensowanego mleka i pół litra pomarańczowej oliwy palmowej.

Kury były dobre i niosły się regularnie. Ale jedna z nich padła, więc ją zjedli. Kości nie wyrzucili, tylko włożyli je do garnka razem z wnętrznościami, łapami, łbem i niedojrzałym owocem melonowca, który Mac ukradł na robotach poza obozem, i wszystko to razem udusili. Przez cały tydzień mieli uczucie, że spotężnieli i wyzgrabnieli.

Jedną z dwu puszek skondensowanego mleka Larkin otworzył w dniu kupna. Każdy z nich codziennie wypijał łyżeczkę mleka, dopóki starczyło. Skondensowane mleko nie psuło się w wysokiej temperaturze. W dniu, kiedy nie było już co czerpać łyżką, zagotowali wodę w puszcze i wypili otrzymany płyn. Bardzo im smakował.

Dwie puszkę sardynek i puszkę skondensowanego mleka stanowiły zapas żywności ich grupy. Na czarną godzinę. Puszkę przechowywano w kryjówce, której stale strzegł jeden z nich.

Zanim Marlowe otworzył kojec, rozejrzał się i upewnił, czy w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby podpatrzeć, jak się otwiera zamek. Kiedy otworzył drzwiczki, zobaczył dwa jajka.

- Nie bój się, Nonya, nic ci nie zrobię - powiedział do kury, która była ich dumą.

Nonya wysiadywała właśnie siedem jaj. Z dużym wysiłkiem powstrzymali się od podebrania ich kurze, ale gdyby im dopisało szczęście i wykluło się siedem piskląt i gdyby te siedem piskląt wyrosło na kury i koguty, wówczas mieliby wielkie stado drobiu. I mogliby pozwolić sobie na kwokę, która stale wysiadywałaby jajka. A poza tym nie groziłby im już Oddział Szósty.

Oddział Szósty przeznaczony był dla niewidomych jeńców, oślepych wskutek choroby beri-beri.

Nawet niewielka ilość witamin magicznie przeciwdziałała temu zagrożeniu, a jajka były przecież wielkim i na ogół jedynym dostępnym ich źródłem. Dlatego też komendant obozu błagał, kłął i żądał od Najwyższej Władzy, żeby dostarczano ich więcej. Mimo to co tydzień na głowę przypadało prawie zawsze jedno jajko. Niektórzy otrzymywali codziennie po jajku, ale wtedy było już zazwyczaj za późno.

Właśnie dlatego kur strzegli dniem i nocą oficerowie. Właśnie dlatego tak ciężkim przestępstwem było tknąć choćby palcem kurę będącą cudzą własnością albo należącą do obozu. Żołnierza, którego kiedyś przyłapano z uduszoną kurą w rękę, zatłuczono na śmierć. Władze uznały to zabójstwo za uzasadnione.

Marlowe stał na końcu wybiegu i podziwiał kury Króla. Było ich siedem. Siedem kur, w porównaniu z innymi tłustych i olbrzymich. Na wybiegu stał również kogut, duma obozu. Nazywał się Karmazyn. Z jego nasienia wyrastali dorodni synowie i córki i każdy mógł go mieć na rozplodowca. Za opłatą w postaci jednego, wybranego kurczęcia.

Nawet kury Króla były nietykalne i strzeżono ich na równi z innymi.

Marlowe obserwował, jak Karmazyn przyciska pazurami jedną z kur do piachu i dosiada jej. Kiedy kura podniosła się z piasku, pobiegła z gdakaniem i dziobnęła inną kurę. Marlowe gardził sobą za to, że się temu przygląda. Wiedział, że to słabość z jego strony, że będzie potem myślał o N'ai i rozbolą go lędźwie.

Wrócił do kojca, sprawdził, czy go dobrze zamknął, i ruszył z powrotem, przez całą drogę uważając na jajka.

- No, Peter, mamy dzisiaj szczęście! - przywitał go radośnie Mac.

Marlowe odszukał paczkę kooa i podzielił papierosy na trzy kupki.

- Dwa będziemy losować - oznajmił.

- Weź je sobie, Peter - powiedział Larkin.

- Nie, losujemy. Najmłodsza karta przegrywa.

Mac przegrał i udawał, że bierze to poważnie.

- A niech to wszyscy diabli! - powiedział.

Ostrożnie rozerwali papierosy, wsypali tytoń do pudełek i zmieszali go z całym zapasem spreparowanego jawańskiego ziela. Następnie każdy podzielił swoją porcję na cztery części i z tego trzy odsypał do drugiego pudełka, które oddał pod opiekę Larkinowi. Byłoby zbyt wielką pokusą mieć przy sobie tyle tytoniu naraz.

Nagle niebo rozwarło się i lunął deszcz.

Marlowe zdjął sarong, złożył go starannie i położył na łóżku Maca.

- Peter, uważaj z tym Królem. On może być niebezpieczny - powiedział z troską w głosie Larkin.

- Oczywiście. Proszę się nie martwić - odparł Marlowe i wyszedł na ulewę.

Mac i Larkin też rozebrali się prędko i poszli jego śladem, przyłączając się do wielu nagich mężczyzn rozkoszujących się deszczem. Ciała z radością przyjmowały

zacinające strugi, płuca wdychały ochłodzone powietrze, w głowach rozjaśniało się.
Deszcz splukiwał fetor obozu Changi.

ROZDZIAŁ V

Gdy minął deszcz, ludzie siadali, rozkoszując się krótkotrwałym chłodem i wyczekując pory posiłku. Ze strzech kapala woda i spływała rowami, zamiast pyłu wszędzie stało błoto, ale na jasnoniebieskim niebie królowało słońce.

- Boże, jaka różnica - westchnął Larkin.

- Oj, tak - przytaknął Mac.

Siedzieli na werandzie, ale Mac był myślami gdzie indziej, na swojej plantacji kauczuku w stanie Kedah, daleko na północy półwyspu.

- Naprawdę warto przeżyć upał... żeby móc potem docenić chłód. Tak samo jest z gorączką - powiedział cicho.

- Niech szlag trafi te śmierdzące Malaje, ten deszcz, ten upał, malarie, te pchły i te muchy - zaklął Larkin.

- Ale w czasie pokoju jest tu zupełnie inaczej. - Mac mrugnął do Marlowe'a. - I na wsi też, mam rację, Peter?

Marlowe uśmiechnął się. Opowiedział im prawie wszystko o wiosce, w której mieszkał. Był świadom, że Mac wie, co zataił, bo spędził na Wschodzie pół życia i kochał go równie mocno, jak Larkin nienawidził.

- Podobno - rzekł z ironią Larkin i wszyscy trzej uśmiechnęli się.

Nie mówili wiele. Wszystko już sobie opowiedzieli raz i drugi, wszystko, o czym chcieli opowiedzieć.

Tak więc czekali cierpliwie. Kiedy nastała pora posiłku, rozeszli się do swoich kolejek, a potem wrócili do baraku. Prędko wypili przyniesioną zupę. Marlowe włączył maszynkę elektryczną własnej roboty i usmażył jajko. Wtedy włożyli swoje porcje ryżu do jednej miski, a Marlowe położył na ryżu jajko, posolił je i popieprzył. Następnie ubił wszystko tak, żeby równomiernie rozprowadzić żółtko i białko, rozdzielił do misek i wszyscy trzej zjedli ze smakiem.

Kiedy skończyli, Larkin zebrał naczynia i umył je, ponieważ dziś była jego kolej, a potem znów usiedli na werandzie, oczekując na wieczorny apel.

Marlowe przyglądał się leniwie mężczyznom na drodze, rozkoszującym się uczuciem sytości, kiedy nagle spostrzegł zbliżającego się Greya.

- Dobry wieczór, panie pułkowniku - powiedział Grey do Larkina i zgrabnie zsalutował.

- Dobry wieczór, Grey - odparł Larkin i westchnął. - O kogo chodzi tym razem? Ilekroć Grey zjawiał się u niego, oznaczało to nieprzyjemności.

Grey spojrział na siedzącego Marlowe'a. Larkin i Mac wyczuli ich wzajemną wrogość.

- Pułkownik Smedly-Taylor prosił mnie, żebym panu o tym zameldował, panie pułkowniku - rzekł Grey. - Dwaj pańscy ludzie bili się. Kapral Townsend i szeregowy Gurple. Obu osadziłem w areszcie.

- Dobrze, poruczniku - powiedział zimno Larkin. -Może ich pan wypuścić. Proszę powiedzieć im, żeby się u mnie zameldowali po apelu. Już ja im dam! - Urwał. -Czy wie pan, o co poszło?

- Nie, panie pułkowniku. Ale wydaje mi się, że grali w monety.

Idiotyczna gra, pomyślał Grey. Umieszcza się na patyku dwie drobne monety, podrzuca do góry i zakłada o to, czy będą dwie reszki, dwa orły, czy orzeł i reszka.

- Chyba ma pan rację - mruknął Larkin.

- Czy nie mógłby pan zabronić tej gry? Zawsze są kłopoty, kiedy...

- Zabronić? Gry w monety?! - przerwał mu ostro Larkin. - Gdybym to zrobił, pomyśleliby, że oszalałem. Nie zwróciliby najmniejszej uwagi na tak idiotyczny zakaz, i całkiem słusznie. Powinien pan być się do tej pory nauczyć, że Australijczycy to urodzeni hazardziści. Dzięki tej grze chłopcy mają zajęcie, a jeśli nawet czasem wezmą się za łby, to na pewno im to nie zaszkodzi. - Wstał i przeciągnął ramiona odrętwiałe od malarii. - Australijczycy nie potrafią żyć bez hazardu. A skoro już o tym mowa, to u nas każdy stawia choć parę szylingów na loterii. Ja sam lubię od czasu do czasu pograć w monety -dodał uszczypliwie.

- Tak jest, panie pułkowniku - odparł Grey. Widywał już Larkina i innych oficerów australijskich, gdy wraz ze swoimi żołnierzami, w podnieceniu, miotając przekleństwami, grzebali się w błocie jak zwykli szeregowcy.

- Proszę zawiadomić pułkownika Smedly-Taylora, że zajmę się nimi. Już ja im pokażę!

- Szkoda tej zapalniczki Marlowe'a, prawda, panie pułkowniku? - zagadnął Grey, nie spuszczać oczu z Larkina.

Larkin nawet nie mrugnął, tylko spojrział na niego twardo.

- Powinien był bardziej uważać, nie sądzi pan? - spytał.

- Tak jest, panie pułkowniku - odparł Grey po wymownej pauzie. Co tam, pomyślał, warto było spróbować. Pal diabli Larkina i Marlowe'a. Ja mam czas. Już

miał zaszalutować i odejść, kiedy wstrząsnął nim fantastyczny domysł. Opanowawszy podniecenie, powiedział rzeczowo: - Przy okazji, panie pułkowniku. Krąży pogłoska, że jeden z Australijczyków ma pierścionek z brylantem. - Odczekał chwilę i spytał: - Może przypadkiem coś panu o tym wiadomo?

Oczy Larkina były osadzone głęboko pod krzaczastymi brwiami. Zanim odpowiedział, spojrział w zamyśleniu na Maca.

- Do mnie również dotarły te plotki - rzekł. - O ile wiem, nie chodzi o żadnego z moich żołnierzy. A dlaczego pan pyta?

- Po prostu się upewniam - odparł Grey, uśmiechając się nieprzyjemnie. - Pan, panie pułkowniku, oczywiście zdaje sobie sprawę, że taki pierścień byłby jak dynamit. Dla właściciela i wielu innych. Lepiej byłoby trzymać go pod kluczem - dodał.

- Nie zgadzam się z panem, przyjacielu - odezwał się Marlowe, wymawiając słowo "przyjacielu" z ledwo wyczuwalną zjadliwością. - To byłoby najgorsze rozwiązanie... zakładając, że brylant rzeczywiście istnieje, w co wątpię. Gdyby go umieścić w powszechnie znanym miejscu, wtedy wielu miałoby ochotę go obejrzeć. A zresztą Japończycy i tak by go natychmiast zgarnęli.

- To prawda - rzekł w zamyśleniu Mac.

- Lepiej niech będzie tam, gdzie jest, czyli nie wiadomo gdzie. Prawdopodobnie jest to jedna z wielu plotek - powiedział Larkin.

- Mam nadzieję - rzekł Grey, pewien już, że przecucie go nie zawiodło. - Tylko że ta plotka jest bardzo żywotna.

- Tu nie chodzi o żadnego z moich żołnierzy - powtórzył Larkin, któremu różne myśli przemykały przez głowę. Grey chyba coś wiedział... Ale o kogo mogło chodzić? O kogo?

- W każdym razie, gdyby pan się czegoś dowiedział, to proszę mnie zawiadomić, panie pułkowniku. - Grey obrzucił Marlowe'a pogardliwym wzrokiem. - Wolę zapobiegać kłopotom w zarodku, a nie dopiero po fakcie.

Zaszalutował przepisowo Larkinowi, skinął głową Macowi i odszedł.

Przez dłuższą chwilę trwało pełne zadumy milczenie. Larkin spojrział na Maca.

- Ciekawe, dlaczego o to zapytał? - rzekł.

- Tak, mnie to też zastanowiło - odparł Mac. - Zauważyłeś, jak się rozpromienił?

- Właśnie! - Bruzdy na twarzy Larkina pogłębiły się. - Grey co do jednego ma rację. Brylant mógłby kosztować wielu sporo krwi.

- To tylko plotka, pułkowniku - odezwał się Marlowe. - Nikt nie zdołałby czegoś takiego przechować aż tak długo. Wykluczone.

- Obyś miał rację - powiedział Larkin marszcząc brwi. - Mój Boże, żeby tylko nie miał go któryś z moich.

Mac przeciągnął się. Bolała go głowa i czuł zbliżający się atak malarii. No nie, dopiero za trzy dni, pomyślał ze spokojem. Tyle się już nachorował, że malaria stała się elementem jego życia na równi z oddychaniem. Ataki powtarzały się teraz co dwa miesiące. Przypomniawszy sobie, że miał w czterdziestym drugim przejść na emeryturę. Lekarz tak mu zalecił: "Kiedy malaria dojdzie panu do śledziony, niech pan wraca do domu, do Szkocji, do chłodnego klimatu, i kupi sobie małe gospodarstwo niedaleko Killin, z przepięknym widokiem na jezioro Tay. Wtedy pan pożyje".

- Właśnie - odezwał się ze znużeniem, czując ciężar swoich pięćdziesięciu lat. A potem powiedział na głos to, o czym myśleli wszyscy trzej: - Gdybyśmy tak mieli ten przeklęty kamyczek, moglibyśmy przetrwać to piekło nie martwiąc się, co z nami będzie. Ani trochę.

Larkin skręcił papierosa, zapalił go i zaciągnął się. Potem podał skręta Macowi, który też się nim zaciągnął i przekazał go Marlowe'owi. Kiedy papierosa wypalono niemal do końca, Larkin strzepnął rozżarzony koniuszek i wsypał resztę tytoniu do pudełka.

- Chyba się przejdę - oznajmił, przerywając milczenie.

Marlowe uśmiechnął się.

- *Salamat* - powiedział, co znaczyło: "pokój z tobą".

- *Salamat* - odrzekł Larkin i wyszedł na słońce.

Idąc pod górę w stronę baraku żandarmerii, Grey aż kipiał z podniecenia. Obiecał sobie, że gdy tylko dojdzie do baraku i wypuści dwóch aresztowanych Australijczyków, skręci papierosa, żeby uczcić dzisiejszy dzień. Już drugiego dzisiaj, chociaż jawajskiego ziela pozostało mu zaledwie na trzy papierosy, a żołd wypłacano dopiero w przyszłym tygodniu.

Wszedł po schodach i skinął na sierżanta Mastersa.

- Wypuścić ich! - rozkazał.

Masters zdjął z drzwi bambusowej klatki ciężką sztabę. Dwaj nachmurzeni mężczyźni stanęli na baczność przed Greyem.

- Po apelu obaj zameldujecie się u pułkownika Larkina.

Australijczycy zasalutowali i wyszli.

- Przekłęte zbóje - skomentował krótko Grey.

Usiadł i wyjął pudełko z tytoniem i papierki. W tym miesiącu był rozrzutny. Kupił całą kartkę papieru wydartą z Biblii, ponieważ najlepiej nadawał się on na papierosy. Chociaż Grey był niewierzący, to jednak palenie Biblii wydawało mu się odrobinę bluźniercze. Ze skrawka papieru, który szykował na skręta, odczytał: "Wyszedłszy tedy szatan od oblicza Pana, zaraził Joba wrzodem bardzo złym od stopy nogi aż do wierzchu głowy jego, a ten ropę skorupą oskrobywał, siedząc na gnoju. I rzekła mu żona jego..."

Żona! Cholera, że też musiałem akurat trafić na to słowo! - zaklął Grey i przewrócił papierek na drugą stronę.

Pierwsze zdanie brzmiało: "Czemum w żywocie nie umarł, wyszedłszy z żywota wnet nie zginął?"

Wtem, słysząc świst kamienia, zerwał się na równe nogi. Kamień wleciał przez okno, uderzył w ścianę i spadł ze stukiem na podłogę.

Owinięty był w kawałek gazety. Grey podniósł go i skoczył do okna. Ale w pobliżu nie dostrzegł nikogo. Usiadł więc i wygładził papier. Na brzegu było napisane: "Zróbmy interes. Ja panu podam Króla jak na tacy, a pan za to przymknie oko na drobne interesy, które będę robił w jego miejsce. Na znak zgody proszę wyjść na minutę przed barak i trzymać ten kamień w lewej ręce. Potem spław pan tego drugiego glinę. Chłopaki mówią, że pan jest uczciwy gliniarz, więc panu ufam".

- Co tam pisze, panie poruczniku? - spytał Masters, spoglądając kaprawymi oczami na kawałek gazety.

Grey zmiął papier w kulkę.

- Ktoś uważa, że za bardzo pomagamy Japończykom - odrzekł chrapliwie.

- Swołocz - powiedział Masters, podchodząc do okna. - Co oni sobie właściwie myślą? Do czego by doszło, gdybyśmy ich nie zmuszali do dyscypliny? Od świtu do nocy chwytaliby się jeden z drugim za łby.

- Racja - potaknął Grey.

Kulka papieru, którą trzymał w ręku, była jak żywa. Jeżeli ta propozycja jest prawdziwa, to będzie można strącić Króla z tronu, pomyślał.

Decyzja nie była łatwa. Sam też musiał dotrzymać umowy. Dane słowo zobowiązywało. Był uczciwym "gliną" i szczyił się, że jest z tego znany. Czuł, że zrobi wszystko, byleby tylko ujrzyć Króla za prętami bambusowej klatki, odartego z ubrania, w którym paradował... że nawet przymknie oko na łamanie przepisów.

Zastanawiał się, który z Amerykanów jest donosicielem. Wszyscy oni nienawidzili Króla i zazdrościli mu... ale który z nich był Judaszem, który podjął się ryzyka demaskacji? Kimkolwiek był ten człowiek, z pewnością nie mógł stanowić takiego zagrożenia jak Król.

Tak więc Grey z kamieniem w lewej ręce wyszedł z baraku i przyglądał się badawczo przechodzącym. Ale żaden nie dał mu znaku.

Wyrzucił więc kamień i odprawił Mastersa. Potem usiadł w baraku i czekał. Stracił już nadzieję, kiedy przez okno znów wpadł kamień z kolejną wiadomością: "Zagląдай pan do puszki, która leży w rowie przy baraku szesnastym, dwa razy dziennie, rano i po apelu. To będzie nasz kontakt. Dziś wieczór Król handluje z Turasanem".

ROZDZIAŁ VI

Tej nocy Larkin leżał na sienniku pod moskitierą głęboko zatroskany sprawą kaprała Townsenda i szeregowca Gurble'a. Widział się z nimi po apelu.

- O co żeście się bili, do diabła? - pytał raz po raz, ale oni niezmiennie odpowiadali: „O orła i reszkę”. Instynktownie jednak czuł, że kłamią.

- Chcę znać prawdę - powtarzał ze złością. - Mówcie, przecież jesteście kumplami! No więc, dlaczego się pobiliście?

Jednakże obaj uparcie wbijali wzrok w ziemię. Larkin pytał więc każdego z osobna, ale jeden i drugi odpowiadali mu z nachmurzonymi minami: „O orła i reszkę”.

- A więc dobrze, łobuzy - powiedział wreszcie Larkin ochryłym głosem. - Daję wam ostatnią szansę. Jeżeli nie dowiem się od was prawdy, obu wyrzucę z pułku. A wtedy przestaniecie dla mnie istnieć!

- Ależ panie pułkowniku, nie robi pan tego! - przeraził się Gurble.

- Daję wam pół minuty - rzekł jadowicie Larkin.

Obaj wiedzieli, że nie żartuje. Wiedzieli też, że słowo Larkina jest prawem w ich pułku, ponieważ Larkin był dla nich wszystkich jakby ojcem. Wylecieć z pułku znaczyło tyle, co przestać istnieć dla kumpli, a bez kumpli zginęliby przecież.

Larkin odczekał minutę.

- A więc dobrze. Jutro... - zaczął.

- Ja panu powiem, panie pułkowniku - nie wytrzymał Gurble. - Ten skurwiol oskarżył mnie, że podkradam kolegom jedzenie. Powiedział, że kradnę...

- I tak było, parszywcu!

Tylko rzucone przez Larkina „baczność” powstrzymało ich od skoczenia sobie do gardeł.

Pierwszy zaczął mówić kapral Townsend.

- W tym miesiącu mam dyżur w kuchni. Dzisiaj gotujemy dla stu osiemdziesięciu ośmiu ludzi...

- Kogo brak?

- Billy'ego Donahy, panie pułkowniku. Po południu poszedł do szpitala.

- W porządku.

- No więc tak. Stu osiemdziesięciu ośmiu ludzi razy sto dwadzieścia pięć

gramów daje dwadzieścia trzy i pół kilo ryżu dziennie. Zawsze chodzę do magazynu z jakimś kumplem, patrzymy, jak ważą ryż, i pilnujemy, żebyśmy dostali, co nam się należy, a potem zanoszę ryż do kuchni. No, a dziś, właśnie kiedy pilnowałem ważenia, strasznie mnie przyparło. Więc poprosiłem tego tu Gurble'a, żeby zaniósł ryż do kuchni. To mój najlepszy kumpel, więc myślałem, że mogę mu wierzyć...

- Nie tknąłem nawet ziarenka, łachudro. Bóg mi świadkiem...

- Brakowało, kiedy wróciłem! - krzyknął Townsend. - Brakowało prawie ćwierć kilo, a to jest przydział dla dwóch ludzi!

- Wiem, aleja nie...

- Odważniki były w porządku. Sam je sprawdziłem na twoich oczach!

Poszli we trójkę, Larkin sprawdził odważniki i stwierdził, że są dobre. Nie było wątpliwości co do tego, że z magazynu wyniesiono odpowiednią ilość ryżu, gdyż racje żywnościowe były co rano odmierzane publicznie przez podpułkownika Jonesa. Sprawa była jasna.

- No więc, Gurble, przestałeś należeć do mojego pułku. Nie istniejesz dla mnie - oświadczył Larkin.

Kiedy Gurble potykając się i jęcząc odszedł w ciemność, Larkin powiedział do Townsenda:

- A ty trzymaj język za zębami.

- Niech mnie cholera, panie pułkowniku. Gdyby się nasi o tym dowiedzieli, rozerwaliby go na kawałki. I słusznie! Nie powiedziałem im tylko dlatego, że to był mój najlepszy kumpel - odparł Townsend. Oczy zaszczyły mu nagle łzami. - Niech mnie cholera, panie pułkowniku! Razem poszliśmy do woja. Razem z panem przeszliśmy Dunkierkę, parszywy Bliski Wschód i całe Malaje. Znałem go prawie od dziecka i dałbym sobie rękę uciąć...

Rozmyślając teraz o tym wszystkim tuż przed zaśnięciem, Larkin wzdrygnął się. Jak można coś takiego zrobić? - zapytywał siebie. Jak? Nie znajdował odpowiedzi. I to właśnie Gurble, którego znał tyle lat i który nawet pracował kiedyś w jego biurze w Sydney!

Zamknął oczy i przestał o nim myśleć. Spełnił swój obowiązek, a jego obowiązkiem było chronić większość. Dał się ponieść marzeniom o żonie Betty smażącej befsztyk z jajkiem sadzonym na wierzchu, o domu nad zatoką, o małej córeczce, o tym, co robi, kiedy będzie wolny. Tylko kiedy? Kiedy?

Grey wszedł do baraku szesnastego cicho jak zakradający się złodziej i podszedł do łóżka. Ściągnął spodnie, wślizgnął się pod moskitierę i leżał nagi na sienniku, niezmiernie z siebie zadowolony. Właśnie przed chwilą widział, jak Turasan, koreański strażnik, przemknął za róg baraku Amerykanów i skrył się pod zwisającym płótnem. Widział też Króla wyskakującego ukradkiem przez okno, żeby przyłączyć się do Koreańczyka. Stał niewidoczny w ciemnościach tylko przez chwilę. Sprawdzał wiarygodność otrzymanej od szpiega informacji. Nie było potrzeby od razu rzucać się na Króla. Nie. Jeszcze nie, zwłaszcza że donosiciel okazał się godny zaufania.

Grey poruszył się na łóżku i podrapał w nogę. Wyćwiczone palce pochwyciły pluskwę i rozgniotły ją. Usłyszał pyknięcie pękającego pasożyta i poczuł mdłosłodki zapach krwi - jego własnej krwi.

Wokół moskitiery brzęczały chmary komarów szukających dziury, która musiała gdzieś być. W odróżnieniu od innych oficerów Grey odmówił przerobienia swojego łóżka na piętrową pryczę, ponieważ już sama myśl o spaniu nad kimś lub pod kimś budziła w nim wstręt. Mimo że zyskałby w ten sposób sporo miejsca.

Moskitiery przymocowane były do drutów przebiegających symetrycznie przez cały barak. Ludzie byli ze sobą połączeni nawet we śnie. Kiedy ktoś przewracał się na drugi bok albo pociągnął za moskitierę, żeby wcisnąć ją głębiej pod zwilgotniały od potu siennik, wówczas wprawiał w lekkie drżenie pozostałe moskitiery, i wtedy każdy mógł sobie uzmysłwić, że jest otoczony przez innych.

Grey rozgniół jeszcze jedną pluskwę, ale myśli miał zajęte czym innym. Dzisiejszej nocy czuł się bardzo szczęśliwy - z powodu donosiciela, pierścionka z brylantem, Marlowe'a i dlatego że przyrzekł sobie schwytać Króla. Był rad, że rozwiązał zagadkę.

To proste, powtórzył w myślach po raz nie wiadomo który, Larkin wie, kto ma brylant. A w całym obozie tylko Król może załatwić jego sprzedaż. Tylko Król zna odpowiednich ludzi. Larkin nie mógł zwrócić się do niego osobiście, więc posłał Marlowe'a. Marlowe ma być ich pośrednikiem.

Nagle łóżko Greya zatrzęsło się. Potknął się o nie śmiertelnie chory Johnny Carstairs, który szedł do latryny.

- Uważaj pan, do diabła! - zawołał Grey ze złością.

Po kilku minutach Carstairs, potykając się, wrócił do baraku. Odezwało się kilka zaspanych, przeklinających głosów. Ledwie dotarł do swojej pryczy, musiał znowu wyjść. Grey był tak pochłonięty przewidywaniem posunięć nieprzyjaciela, że

tym razem nie spostrzegł nawet drżenia łóżka.

Pod bezksiężycowym niebem, na twardych schodkach baraku szesnastego siedział Peter Marlowe i penetrował ciemności, wytyczając wzrok, słuch i myśli. Z miejsca, gdzie siedział, widział obie drogi; tę, która biegła środkiem obozu, i tę, która opasywała mury więzienia. Z obu korzystali zarówno strażnicy, japońscy i koreańscy, jak i jeńcy. Marlowe trzymał wartę od strony północnej.

Wiedział, że za jego plecami, na schodkach po przeciwnej stronie baraku, siedzi, skupiony tak samo jak on, kapitan lotnictwa Cox, wypatrując w ciemnościach zagrożenia. Strzegł on baraku od południa.

Z baraku i ze wszystkich stron dobiegały odgłosy śpiących snem umarłych ludzi - jęki, szaleńczy śmiech, chrapanie, skamlenie, jakieś zduszone okrzyki zmieszane z cichym szeptem tych, których dręczyła bezsenność. Przyjemnie było tak siedzieć w chłodzie na schodach przy skraju drogi. Nie działo się nic niezwykłego.

Nagle Marlowe drgnął. Wyczuł obecność koreańskiego strażnika, nim zdołał dostrzec wśród ciemności jego postać, a zanim zobaczył go wyraźnie, zdążył dać ostrzegawczy sygnał.

Na drugim końcu baraku Dave Daven był tak zaabsorbowany tym, co robił, że nie usłyszał pierwszego gwizdnięcia. Kiedy usłyszał drugi, ponaglący gwizd, odpowiedział na niego, wyszarpnął igły, położył się na wznak i wstrzymał oddech.

Strażnik człapał przez obóz z karabinem zarzuconym na ramię i nie widział Marlowe'a ani innych jeńców. Czuł jednak na sobie ich wzrok. Zaprzagnął znaleźć się z dala od otaczającej go nienawiści, więc przyśpieszył kroku.

Po chwili, która wydała się wiekiem, Marlowe usłyszał odwołujący zagrożenie sygnał Coxa, odprężył się, ale nie przestał wyostrzonymi zmysłami badać nocy.

Na drugim końcu baraku Daven znów zaczął normalnie oddychać. Uniósł się ostrożnie na spowitej gęstą moskitierą pryczy i z anielską cierpliwością zaczął znów podłączać obie igły do izolowanego przewodu, którym płynął prąd. Po wyczerpujących próbach trafił wreszcie nimi do dziurek wytoczonych przez korniki w poprzecznej grubej i szerokiej na dwadzieścia centymetrów belce, służącej za wezglowie pryczy. Kropla potu zebrała mu się na brodzie i skapnęła na belkę. W tym czasie odszukał pozostałe dwie igły podłączone do słuchawki i znów po pełnych udręki poszukiwaniach odnalazł przeznaczone dla nich otwory i gładko wsunął je w belkę. W słuchawce zatrzeszczało. „...a nasze wojska posuwają się w szybkim tempie przez dżunglę w kierunku Mandalay. Na tym kończymy wiadomości. Tu Kalkuta. Oto skrót

wiadomości:

Wojska amerykańskie i brytyjskie wśród szalejących burz śnieżnych spychają wroga na terenie Belgii oraz na środkowym odcinku frontu w kierunku Świętego Huberta. W Polsce armie radzieckie znajdują się w odległości trzydziestu kilometrów od Krakowa, również wśród ostrych zamieci. Na Filipinach wojska amerykańskie, próbując odbić Manilę, zajęły przyczółek na rzece Ango. Podczas dziennego nalotu amerykańskie superfortece B-29 bez strat zbombardowały Tajwan. W Birmie zwycięskie armie brytyjskie i indyjskie znajdują się w odległości pięćdziesięciu kilometrów od Mandalay. Kolejne wiadomości podamy o godzinie szóstej czasu kalkuckiego”.

Daven chrząknął cicho i poczuł, że izolowany przewód drgnął lekko, a potem oderwał się, kiedy leżący na sąsiedniej pryczy Spence wyciągnął z gniazda swoje igły. Daven odłączył prędko wszystkie cztery igły i włożył je między przybory do szycia. Wytarł spoconą twarz i podrapał miejsce, gdzie pogryzły go pluskwy. Następnie odłączył przewody przyśrubowane do słuchawki, starannie zabezpieczył jej zaciski i wsunął ją do specjalnej kieszonki, umieszczonej w podpasce, za jądrami. Zapiął spodnie, złożył przewody na pół, przeplótł je przez szlufki paska i zawiązał końce w supeł. Odszukał ściereczkę, wytarł ręce, a potem starannie zasypał kurzem maleńkie otworki w belce, idealnie je maskując.

Położył się na chwilę, żeby odzyskać siły, i zaczął się drapać. Kiedy odpoczął, wysunął się spod moskitiery i zeskoczył na podłogę. O tej porze nigdy nie zadawał sobie trudu, żeby założyć protezę, sięgnął więc tylko po kule i kołysząc się ruszył po cichu do drzwi. Mijając pryczę Spence’a, nie dał mu najmniejszego znaku. Taka była reguła. Nigdy nie za dużo ostrożności.

Drewniane kule skrzypiały na drewnianej podłodze i po raz nie wiadomo który Daven pomyślał o swojej nodze. Nie przejmował się nią już tak jak kiedyś, choć kikut bolał go niemiłosiernie. Lekarze powiedzieli, że niedługo trzeba będzie znów ją skrócić. Przeszedł to już dwukrotnie. Raz - w czterdziestym drugim roku - była to operacja z prawdziwego zdarzenia, amputacja poniżej kolana po tym, jak wszedł na minę. Drugi raz powyżej kolana, bez narkozy. Na wspomnienie tego zgrzytał zębami i przysięgał sobie, że już nigdy na coś takiego się nie zgodzi. Ale następna, ostatnia operacja, będzie do zniesienia, myślał. Tu, w Changi, są środki znieczulające. Będzie to już ostatnia, bo niewiele zostało do amputowania.

- Ach, to ty, Peter - rzekł, o mały włos nie potykając się na schodach o Marlowe’a. - Nie zauważyłem, że tu siedzisz.

- Cześć, Dave.

- Ładna noc - powiedział Dave i kołysząc się zszedł po schodkach. - Znów mi się pęcherz daje we znaki.

Marlowe uśmiechnął się. Jeżeli Daven używał tych słów, znaczyło to, że wiadomości są dobre. Jeśli stwierdzał: "Moja kolej, żeby się odlać", chciał przekazać, że na świecie nie dzieje się nic szczególnego. Kiedy mówił: "Ten brzuch mnie dzisiaj wykończy", dawał do zrozumienia, że gdzieś nastąpiło poważne zahamowanie działań wojennych. Jeżeli natomiast prosił: "Przytrzymaj mi na moment kulę", to miał na myśli jakieś wielkie zwycięstwo.

Chociaż Marlowe dowiadywał się szczegółowo o wszystkim następnego dnia, bo uczył się na pamięć wiadomości razem ze Spence'em i przekazywał je innym barakom, to jednak lubił wiedzieć od razu, co słyhać na świecie. Dlatego rozsiadł się na schodach i patrzył, jak Daven, którego darzył sympatią i szacunkiem, idzie o kulach do pisuaru.

Kule zaskrzypiały, Daven zatrzymał się. Pisuar zrobiony był z kawałka falistej blachy. Daven przyglądał się, jak strużka moczu ścieka wijąc się, a potem pienistą kaskadą spada z zardzewiałej krawędzi blachy do dużego bębna i miesza się w nim z pianą zebraną na powierzchni. Przypomniawszy sobie, że jutro jest dzień zbiórki moczu. Pojemnik będzie zabrany i razem z innymi pojemnikami zanieiony do ogrodu. Zgromadzony mocz zostanie zmieszany z wodą, a potem obozowy ogrodnik, odmierzając chochlą troskliwie miarka za miarką, podleje nim korzenie roślin, doglądanych i strzeżonych, aby żywiły obóz. I dzięki temu zielenina, którą jedzą, jeszcze bardziej się zazieleni.

Dave nie znosił zieleniny. Ale przecież i ona stanowiła pożywienie.

Powiew wiatru ochłodził mu spocone plecy, przynosząc z sobą zapach morza, odległego o pięć kilometrów i dziesiątki lat świetlnych.

Daven myślał o tym, jak znakomicie działa radio. Poczł zadowolenie, przypominając sobie, jak delikatnie zdejmował cieką warstwę drewna z górnej powierzchni belki i jak drażył w niej dziury głębokości piętnastu centymetrów. A wszystko to robił w tajemnicy. Przez pięć miesięcy konstruował radio, pracując nocami i o świcie, a odsypiając w dzień. Drewniana przykrywka pasowała tak dokładnie, że kiedy jej brzegi pokryło się kurzem, nawet przy szczegółowych oględzinach nie było widać jej zarysu. Otworki na igły po zasypaniu kurzem również stawały się niewidoczne.

Myśl, że on, Dave Daven, pierwszy w obozie słyszy wiadomości, napawała go niemałą dumą. Dzięki temu czuł się kimś wyjątkowym. Mimo tej nieszczęsnej nogi. Któregoś dnia miał usłyszeć, że wojna się skończyła. Nie tylko wojna w Europie, ale także ich wojna - wojna na Pacyfiku. Jemu zawdzięczał obóz więź ze światem i Daven wierzył, że warto za to płacić niepokojem, mozołem i panicznym strachem. O tym, gdzie jest ukryte radio, wiedzieli oprócz niego tylko Spence, Cox, Peter Marlowe i dwóch angielskich pułkowników. To było rozsądniej, gdyż im mniej wtajemniczonych, tym mniejsze niebezpieczeństwo.

Ale niebezpieczeństwo istniało. Zawsze mógł się znaleźć ktoś wścibski, ktoś, komu trudno ufać. Należało liczyć się z tym, że ktoś doniesie albo nieumyślnie zdradzi.

Kiedy Daven dotarł z powrotem do drzwi, Marlowe zdążył już wrócić na pryczę. Na schodach w drugim końcu baraku siedział Cox, ale nie było w tym nic dziwnego, ponieważ strzegący wejść z zasady nie schodzili z posterunku jednocześnie. Daven poczuł, że zaczyna go niemiłosiernie swędzić kikut, a właściwie nie kikut, ale stopa, której nie miał. Wgramolił się na pryczę, zamknął oczy i pomodlił. Zawsze to robił przed zaśnięciem. Wtedy omijał go sen, w którym widział wyraźnie postać niezapomnianego Toma Cottona, Australijczyka, którego przyłapano z radiem i który pomaszerował pod strażą do więzienia Outram Road w kapeluszu kulisa nasuniętym zawadiacko na jedno oko, śpiewając chrapliwie popularną australijską piosenkę "Walzing Matilda", z refrenem, który brzmiał: "Sraj na Japońca!" Ale we śnie to jego, Davena, nie Toma Cottona, eskortowali strażnicy. To jego prowadzili, ogarniętego śmiertelnym przerażeniem!

Boże - westchnął w głębi duszy Daven - natchnij mnie Twoim spokojem i odwagą. Tak bardzo się boję i taki ze mnie tchórz.

*

Król robił coś, co sprawiało mu największą przyjemność. Przeliczał plik nowiusieńkich banknotów. Zysk ze sprzedaży.

Turasan uprzejmie przyświecał mu latarką, której przytłumione światło padało na stół. Obaj siedzieli w sklepie, jak to nazywał Król, tuż przy amerykańskim baraku. Z brezentowego daszka zwieszał się do samej ziemi długi kawałek brezentu, osłaniając stół i ławki przed wszechobecnymi spojrzzeniami. Strażnikom i jeńcom nie wolno było handlować na mocy japońskiego, a więc także obozowego zakazu.

Król liczył z ponurą miną przechytrzonego w interesie.

- Dobra jest, *ichi-bon!* - powiedział na koniec z westchnieniem, kiedy liczba banknotów doszła do pięciuset.

Turasan skinął głową. Był to niski, krępy mężczyzna o twarzy płaskiej i okrągłej jak księżyc i z garniturem złotych zębów w ustach. Jego karabin stał tuż obok, nie dbale oparty o ścianę baraku. Turasan wziął do ręki wieczne pióro marki Parker i po raz drugi starannie je obejrzał. Biała plamka była na swoim miejscu, a stalówka ze złota. Koreańczyk przybliżył pióro do osłoniętego światła i zmrużył oczy, aby upewnić się powtórnie, że na stalówce wygrawerowany jest napis "14 carat".

- *Ichi-bon* - mruknął wreszcie i wciągnął przez zęby powietrze. On również miał minę "przechytrzonego w interesie" i ukrywał zadowolenie. Takie pióro za pięćset dolarów japońskich było wyjątkowo udanym zakupem, gdyż od Chińczyków w Singapurze powinien za nie dostać lekko dwa razy tyle.

- Jesteś cholernie *ichi-bon* handlarz - powiedział ponuro Król. - Za tydzień może *ichi-bon* zegarek. Ale nie ma *wong*, nie ma handel. Ja też muszę swoje zarobić.

- Aż za dużo *wong* - rzekł Turasan wskazując plik banknotów. - Może niedługo zegarek?

- Może.

Turasan wyjął papierosy. Król wziął jednego i skorzystał z ognia, który podał mu Koreańczyk. Turasan po raz ostatni wciągnął przez zęby powietrze i uśmiechnął się swoim złotym uśmiechem. Zarzucił karabin na ramię, skłonił się grzecznie i znikł w ciemnościach.

Kończąc papierosa Król promieniał. Pracowita noc, pomyślał. Pięć dych za pióro, sto pięćdziesiąt dla szpenia, który podrobił białą plamkę i wrył napis na stalówce, jednym słowem, trzysta dolarów zysku. To, że w ciągu tygodnia złoty kolor spełnie ze stalówki, nie martwiło go wcale. Wiedział, że Turasan do tego czasu sprzeda pióro jakiemuś Chińczykowi.

Wszedł przez okno do baraku.

- Dziękuję, Max - powiedział cicho, ponieważ większość już spała. - Masz, możesz iść spać. - Wyłuskał dwa dziesięciodolarowe banknoty. - Jeden dla Dina.

Zazwyczaj nie płacił swoim ludziom aż tyle za pracę trwającą tak krótko. Ale dziś był hojny.

- O rany, dziękuję.

Max wybiegł i wręczając Dinowi banknot powiedział, że może odpocząć.

Tymczasem Król postawił na maszynie imbryk do kawy, rozebrał się, odwiesił

spodnie, a koszulę, slipy i skarpetki schował do worka na brudną bieliznę. Włożył czystą, świeżą przepaskę na biodra i wsunął się pod moskitierę.

Czekając, aż zagotuje się woda, porządkował w myśli osiągnięcia minionego dnia. Najpierw ronson. Wytargował z majorem Barrym cenę do pięciuset pięćdziesięciu dolarów minus pięćdziesiąt pięć, czyli dziesięć procent dla siebie za pośrednictwo, a potem u kapitana Brougha wciągnął zapalniczkę na listę swoich rzeczy jako wygraną w pokera. Zapalniczka warta była co najmniej dziewięć stów, a więc był to bardzo dobry interes. Przy takiej inflacji mądrze jest mieć jak najwięcej forsy w towarach, pomyślał.

Ruszył też ze sprawą produkcji tytoniu, omawiając na zebraniu temat sprzedaży. Wszystko poszło tak, jak zaplanował. Amerykanie zgłosili się jak jeden mąż na sprzedawców, natomiast współpracujący z nim Australijczycy i Anglicy nawalili. Ale to było do przewidzenia. Zamówił dziesięć kilogramów jawajskiego ziela u A Li, Chińczyka, który miał koncesję na obozowy sklep, i dostał je z przyzwoitą zniżką. Któraś z australijskich kuchni zgodziła się odstępować jeden z pieców na godzinę dziennie, tak że pod okiem Texa można było przygotować naraz całą partię tytoniu. Ponieważ wszyscy pracowali na procent, on finansował tylko koszt tytoniu. Jutrzejsza produkcja mogła pójść od razu do sprzedaży. A sprzedaż zorganizował w taki sposób, żeby mieć sto procent zysku. Co zresztą było jak najbardziej sprawiedliwe.

Teraz, kiedy tytoniowy interes ruszył, mógł się zająć brylantem...

Rozmyślenia te przerwał mu syk bulgoczącego imbryka. Wysunął się spod moskitiery i otworzył czarną skrzynkę. Do gotującej się wody wsypał trzy czubate łyżki kawy i dodał szczyptę soli. Kiedy woda spieniła się, zdjął imbryk z maszynki i odczekał, aż opadnie piana.

Aromat kawy rozszedł się po baraku, drażniąc tych, którzy jeszcze nie spali.

- Chryste - wyrwało się Maxowi.

- Co tam, Max? Nie możesz zasnąć? - spytał Król.

- Tak. Za dużo rzeczy chodzi mi po głowie. Właśnie pomyślałem, że na tym tytoniu możemy zrobić interes jak ta lala.

Tex poruszył się niespokojnie, rozmarzony aromatem.

- Ten zapach przypomina mi poszukiwanie nafty - powiedział.

- Jak to? - spytał Król i dolał do imbryka zimnej wody, żeby fusy opadły na dno, po czym wsypał do kubka czubatą łyżeczkę cukru i nalał kawy.

- Przy wierceniu najlepsze są ranki. Kiedy masz za sobą całą noc ciężkiej roboty

na szybie i o świcie zasiadasz z kumplami wokół parującej maszynki. A kawa jest gorąca, aż parzy, słodka, a przy tym ciut cierpka. Przez gęstwinę wież wiertniczych można wtedy zobaczyć, jak nad Teksasem wschodzi słońce. - Tex westchnął melancholijnie. - Człowieku, to jest życie.

- Nigdy nie byłem w Teksasie - powiedział Król. -Przejechałem całe Stany, ale w Teksasie nie byłem.

- Cudowny, wyjątkowy kraj.

- Chcesz kawy?

- Pytanie!

Tex w jednej chwili znalazł się ze swoim kubkiem przy Królu. Ten po raz drugi napełnił swój kubek, a potem nalał Texowi pół kubka.

- Max? - spytał.

Również Max dostał pół kubka kawy. Wypił ją szybko.

- Rano będziesz miał czysty - powiedział zabierając imbryk, którego dno pokrywały fusy.

Król wsunął się ponownie pod moskitierę i sprawdził, czy jest dobrze naciągnięta i zatknięta na całej długości pod siennik. Potem z przyjemnością wyciągnął się w pościeli. Widział, jak na drugim końcu baraku Max zalewa kawowe fusy wodą i stawia je na noc koło pryczy, żeby się namoczyły. Wiedział, że jutro Max zaparzy sobie te fusy na śniadanie. Osobiście Król nie przepadał za powtórnie parzoną kawą. Była zbyt cierpka. Ale chłopcy twierdzili, że im smakuje. Jeżeli Max chce parzyć fusy, to niech sobie parzy, pomyślał z aprobatą, był bowiem przeciwny marnotrawstwu.

Zamknął oczy i skierował myśli na brylant. Dowiedział się wreszcie, kto go ma i jak go zdobyć, a teraz, kiedy szczęśliwy traf podsunął mu Marlowe'a, wiedział również, w jaki sposób zabrać się do tego niezmiernie skomplikowanego interesu. Kiedy pozna się człowieka, jego najslabszy punkt, wiadomo, jak go podejść, jak włączyć do swoich planów, pomyślał z zadowoleniem. Tak jest, opłaciło się pójść za przecuciem, kiedy po raz pierwszy zobaczył Marlowe'a, przycupniętego wzorem tubylców na ziemi i szwargoczącego po malajsku. Na tym świecie trzeba kierować się wyczuciem.

A gdy przypomniła mu się rozmowa z Marlowe'em po wieczornym apelu, z przyjemnością pomyślał o tym, co go czeka.

- Nic się nie dzieje w tej zasranej dziurze - powiedział niewinnie do Anglika.

Siedzieli obaj koło baraku, pod bezksiężycowym niebem.

- Właśnie - odparł Marlowe. - Niedobrze się człowiekowi robi. Jeden dzień podobny do drugiego. Zwariować można.

Król skinął głową i zgniótł komara.

- Znam takiego jednego, który ma tu czasem aż za dużo rozrywek - powiedział.

- Tak? A co on robi?

- Przeskakuje przez ogrodzenie. W nocy.

- O mój Boże - powiedział Marlowe. - Przecież to jest szukanie guza. Chyba oszalał?!

Jednakże w jego oczach Król dostrzegł błysk podniecenia. Czekał więc w milczeniu.

- Dlaczego to robi?

- Przeważnie po prostu dla draki.

- To znaczy, żeby się rozerwać?

Król potwierdził skinieniem głowy. Marlowe gwizdnął pod nosem. - Chyba nie starczyłoby mi odwagi - powiedział.

Marlowe spojrział ponad ogrodzeniem i przed oczami stanęła mu wioska, która, co wszyscy wiedzieli, leżała nad brzegiem morza, pięć kilometrów od obozu. Któregoś dnia wybrał się do najwyższej położonej celi więzienia i wspinał się na małe okratowane okienko. Wyjrzał przez nie i zobaczył panoramę dżungli i przytuloną do brzegu morza wioskę. Tego dnia na morzu było sporo statków. Statki rybackie i okręty wojenne wroga, jedne duże, inne małe, stały na lustrzanej wodzie nieruchomo jak wyspy. Spoglądał na to wszystko urzeczony bliskością morza, trzymając się krat, dopóki nie omdlały mu ręce i ramiona. Po chwili odpoczynku chciał jeszcze raz wskoczyć na okienko i wyrzucić. Ale nie zrobił tego. Nigdy. Było to zbyt bolesne. Całe życie spędził nad morzem. Z dala od niego czuł się zagubiony. Teraz też był blisko morza. Ale ono było nieosiągalne.

- To bardzo niebezpieczne ufać całej wiosce - powiedział.

- Chyba że się zna jej mieszkańców - odparł Król.

- Tak. Czy ten człowiek naprawdę chodzi do wioski?

- Tak mi powiedział.

- Nawet Suliman by nie zaryzykował.

- Kto?

- Suliman. Malajczyk, z którym rozmawiałem dziś po południu.

- Wydaje się, jakby to było miesiąc temu - rzekł Król.

- Prawda?

- A co on, u diabła, robi w tej dziurze? Czemu po kapitulacji gdzieś nie uciekł?

- Schwytali go na Jawie. Przed wojną pracował u Maca na plantacji przy zbiorze kauczuku. Mac to jeden z mojej grupy. No więc batalion Maca, czyli Pułk Malaj-ski, wysłano z Singapuru na Jawę. Po kapitulacji Suliman musiał trzymać się batalionu.

- E tam, przecież mógł się zgubić. Na Jawie są miliony takich...

- Jawajczycy natychmiast by go rozpoznali i prawdopodobnie wydali Japończykom.

- No, a ta cała gadanina o wspólnocie interesów? No, wiesz, Azja dla Azjatów?

- Niestety, te słowa niewiele znaczą. Jawajczykom nie wyszły one na dobre. Przynajmniej tym, którzy nie podporządkowali się rozkazom.

- Jak to?

- W czterdziestym czwartym, jesienią, byłem w obozie położonym na skraju Bandungu - zaczął Marlowe. - To jest miasto w górach, w środkowej części Jawy. W owym czasie przebywało tam z nami wielu Ambończyków, Menandończyków i Jawajczyków, którzy służyli w armii holenderskiej. Jawajczykom trudno było w obozie wytrzymać, bo wielu z nich mieszkało w Bandungu, a ich żony i dzieci żyły tuż za drutami. Przez dłuższy czas wymykali się na noc z obozu, a przed świtem wracali. Nie było to trudne, bo obóz był słabo strzeżony, ale dla Europejczyka bardzo niebezpieczne, ponieważ Jawajczycy wydaliby go Japończykom i to byłby koniec. Któregoś dnia Japończycy ogłosili, że każdy jeniec schwytany poza obozem będzie rozstrzelany. Jawajczycy uznali oczywiście, że odnosi się to do wszystkich oprócz nich, zresztą zapowiedziano im, że w ciągu paru tygodni zostaną wypuszczeni na wolność. Pewnego ranka złapano na zewnątrz siedmiu z nich. Następnego dnia zebrano nas, cały obóz, na apelu. Schwytanych Jawajczyków postawiono pod ścianą i rozstrzelano. Bez żadnych ceregieli, na oczach nas wszystkich. Ciała pogrzebano z wojskowymi honorami tam, gdzie padły. Potem wokół mogił Japończycy założyli ogródek. Posadzili kwiaty, ogrodzili cały teren płotkiem z białej liny i postawili tabliczkę. Na tabliczce napisano po malajsku, japońsku i angielsku: "Tu spoczywają polegli za ojczyznę".

- Wyglupiasz się!

- Wcale nie. A najdziwniejsze jest to, że Japończycy wystawili przy tych

grobach wartę honorową. Od tej pory wszyscy bez wyjątku japońscy strażnicy i oficerowie salutowali, przechodząc obok tego "świętego miejsca". I to w czasach, kiedy na widok japońskiego szeregowca jeńcy wojenni musieli natychmiast wstawać i kłaniać mu się. Jeżeli ktoś tego nie zrobił, dostawał w głowę kolbą karabinu.

- Kupy się nie trzyma. Ten ogródek i salutowanie.

- A dla nich owszem. Taka jest wschodnia umysłowość. Dla nich to wszystko mając najbardziej sens.

- Gdzie tu sens? To bzdura!

- Dlatego właśnie ich nie lubię - powiedział w zamyśleniu Marlowe. - Budzą we mnie lęk, bo nie ma takiej miarki, którą można by do nich przyłożyć. Oni nigdy nie reagują tak, jak powinni. Nigdy.

- Nie zastanawiałem się nad tym. Wiem za to, że znają wartość pieniądza i że na ogół można im ufać.

- Mówisz o interesach? - Marlowe roześmiał się. -Cóż, nie zastanawiałem się nad tym. Ale jako ludzie... Byłem świadkiem jeszcze jednej historii. Też na Jawie, w Bandungu, ale w innym obozie. Przerzucali nas tam bez przerwy z miejsca na miejsce, nie tak jak tu, w Singapurze. Był tam japoński strażnik, jeden z tych lepszych. Nie dokuczał nam jak inni. Nazywaliśmy go Słoneczko, bo ciągle się uśmiechał. No więc, ten Słoneczko kochał psy. I kiedy robił obchód obozu, zawsze szło za nim kilka. Jego ulubieńcem był owczarek, suka. Któregoś dnia suka urodziła małe, śliczne szczeniaki, jakich w życiu nie widziałeś, i Słoneczko był chyba najszcześniejszym Japończykiem pod słońcem. Śmiał się, tresował je i bawił się z nimi. Kiedy nauczyły się chodzić, zrobił dla nich smyczki ze sznurka i obchodził obóz, a one na sznurku maszerowały za nim. Pewnego razu, właśnie w czasie takiego spaceru, jeden ze szczeniaków usiadł. Szczeniak jak to szczeniak, zmęczy się i siada. Słoneczko pociągnął go kawałek po ziemi, a potem mocno szarpnął. Szczeniak zaskowyczał, ale nadal siedział.

Marlowe urwał i skręcił papierosa. Potem ciągnął:

- Słoneczko schwycił mocno sznurek, na którym był uwiązany szczeniak, i zaczął nim kręcić w powietrzu. Zakręcił tak kilkanaście razy, zaśmiewając się, jakby to był najlepszy kawał na świecie. A kiedy skowyczący szczeniak nabrał prędkości, zakręcił nim jeszcze jeden, ostatni raz i puścił sznurek. Szczeniak przeleciał w powietrzu chyba z pięćdziesiąt metrów. A kiedy spadł na ziemię, twardą jak skała, pękł niczym dojrzały pomidor.

- Skurwysyn!

Po chwili Marlowe podjął opowieść.

- Słoneczko podszedł do szczeniaka. Spojrzał na niego i rozplakał się. Któryś z naszych wziął łopatę i pochował to, co zostało ze zwierzaka, a Słoneczko przez cały ten czas rwał na sobie z żalu ubranie. Kiedy grób był już wyrównany, przestał płakać, przetarł oczy, dał tamtemu paczkę papierosów, potem przez pięć minut obrzucał przekleństwami, ze złością walnął go kolbą karabinu w pachwinę, potem skłonił się przed mogiłą, pokłonił się temu, którego uderzył, i odmaszerował rozpromieniony i szczęśliwy z resztą szczeniaków i psów.

Król z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Może był nienormalny. Może miał syfa.

- Nie, nie Słoneczko. Japończycy czasami zachowują się jak dzieci, ale mają ciała i siłę dorosłych. Po prostu patrzą na świat oczami dziecka. Ich obraz świata, dla nas przynajmniej, jest wykrzywiony i zniekształcony.

- Słyszałem, że po kapitulacji na Jawie było ciężko - powiedział Król. Nie chciał, żeby Marlowe przerwał opowieść. Prawie godzinę skłaniał Anglika do mówienia. Pragnął, żeby czuł się przy nim swojsko.

- Pod pewnymi względami. W Singapurze znajdowało się ponad sto tysięcy wojska, tak że Japończycy nie mogli sobie za dużo pozwalać. Nadal istniała hierarchia wojskowa, a wiele oddziałów zachowało swój pełen stan. Japończycy parli wtedy ostro na Australię i niewiele ich obchodzili jeńcy wojenni. Byleby tylko nie sprawiali kłopotów i sami organizowali dla siebie obozy. Na Sumatrze i na Jawie przez jakiś czas było tak samo. Japończycy planowali, że zajmą Australię i wtedy wyślą tam nas wszystkich jako niewolników.

- Zwariowałaś - rzekł Król.

- Ależ skąd. Powiedział mi to pewien japoński oficer, kiedy mnie schwytano. Ale po załamaniu się ofensywy na Nowej Gwinei Japończycy zaczęli robić porządki na tyłach. Na Jawie było nas niewielu, więc mogli sobie pozwolić na brutalność. Powiedzieli nam, że my, oficerowie, nie mamy honoru, bo daliśmy się wziąć do niewoli, wobec czego nie uważają nas za jeńców wojennych. Zgolili nam włosy i zakazali nosić oficerskie insygnia. Po pewnym czasie pozwolili nam znów "stać się" oficerami, ale nigdy nie przywrócili nam prawa do noszenia włosów. - Marlowe uśmiechnął się. - A ty jak tu trafiłeś?

- Paskudna historia, jak wszystkie. Pracowałem przy budowie lotniska, na Filipinach. Musieliśmy się stamtąd prędko wynieść. Pierwszy okręt, którym mogliśmy

się zabrać, płynął właśnie tutaj, więc wsiedliśmy na niego. Myśleliśmy, że w Singapurze będzie bezpiecznie jak w Forcie Knox. Ale zanim dopłynęliśmy, Japończycy przeszli już prawie Johore. Wybuchła straszna panika i wszyscy zabrali się stąd ostatnim konwojem. Uważałem, że to za duże ryzyko, i zostałem. Konwój rozbito w puch. A ja ruszyłem głową i żyję. Giną najczęściej durnie.

- Gdybym ja znalazł się w takiej sytuacji, chyba nie byłbym na tyle rozsądny, żeby nie popłynąć - rzekł Marlowe.

- Musisz o siebie dbać, Peter. Nikt inny tego za ciebie nie zrobi.

Marlowe długo zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Nocne powietrze przecinały urywki rozmów, czasem wybuch gniewu, szepty, stale obecne roje komarów. W oddali nawoływały się posepnie syreny okrętowe i szeleściły palmy, rysujące się ostro na tle mrocznego nieba. Z pióropusza jednej z nich oderwał się zeschnięty liść i spadł z trzaskiem w poszycie dżungli.

- Czy ten twój znajomy naprawdę chodzi do wioski? - przerwał milczenie Marlowe.

Król zajrzał mu w oczy.

- Chciałbyś pójść? - spytał cicho. - Chciałbyś ze mną pójść, kiedy znów się wybiorę?

Usta Marlowe'a wykrzywiły się w słabym uśmiechu.

- Tak...

W uchu Króla nagłym crescendo zabrzączał komar. Król zerwał się, odszukał latarkę i obejrzał wewnątrz moskitiery. Kiedy wreszcie komar usiadł na siatce, zgniótł go zręcznym ruchem. Potem starannie sprawdził, czy w moskitierze nie ma dziury, i znów się położył.

Po chwili odsunął od siebie wszystkie myśli. Prędko i spokojnie zapadł w sen.

Peter Marlowe nie spał, leżał na pryczy drapiąc miejsca, gdzie pogryzły go pluskwy. Słowa Króla wyzwoliły w nim zbyt wiele wspomnień.

Przypomniał mu się statek, którym rok temu on, Mac i Larkin przyплыли tu z Jawy.

Japończycy nakazali komendantowi Bandungu, gdzie mieścił się jeden z obozów, wyznaczyć tysiąc ludzi do roboty. Jeńcy ci mieli być wysłani na dwa tygodnie do pobliskiego obozu, gdzie miano ich lepiej karmić - podwojonymi racjami żywności

- i dawać papierosy, a potem przerzucić w inne miejsce. Zapewniano dobre warunki pracy.

Wielu zgłosiło się ze względu na te dwa tygodnie. Niektórym kazano jechać. Mac zgłosił na ochotnika siebie, Larkina i Marlowe'a.

- Nigdy nie wiadomo, chłopcy - tłumaczył im, kiedy przeklinali go za to, co zrobił. - Jeżeli uda nam się dostać na jakąś małą wysepkę, to Peter i ja przecież znamy język. A zresztą nie może być gorzej niż tu.

Tak więc postanowili zamienić zło, które znali, na zło, które dopiero mieli poznać.

Statek służący do ich transportu był małym parowym trampem do żeglugi przybrzeżnej. Przy wejściu na trap stał tłum strażników i dwóch ubranych na biało Japończyków, w białych maskach na twarzach. Obaj mieli na plecach duże pojemniki, a w rękę połączone z nimi rozpylacze. Wszystkich jeńców i ich rzeczy spryskiwali sterylizującą cieczą, żeby nie przenieśli na czysty statek jawańskich bakterii.

W małej ładowni rufowej pełno było szczurów, wszy i odchodów, a jej środek stanowił pusty kwadrat o boku sześciu metrów. Dookoła biegły głębokie półki, przymocowane do kadłuba statku w pięciu poziomach, od pokładu po sufit. Miały one po trzy metry szerokości, a odległość między nimi wynosiła metr.

Japoński sierżant pokazał jeńcom, jak należy siadać na półkach po turecku. Pięciu w rzędzie, obok znów pięciu w rzędzie i tak dalej. Aż do wypełnienia wszystkich półek.

Kiedy wybuchły gwałtowne protesty, sierżant wyjaśnił, że tak właśnie przewozi się japońskich żołnierzy i jeżeli z tego sposobu korzysta wspinała armia japońska, to jest on równie dobry dla białoskórej hołoty. Pierwszych pięciu jeńców zapędził w klaustrofobiczne ciemności rewolwer, a nacisk staczających się w dół ludzi zmusił ich do schronienia się na półkach przed napierającym tłumem. Z kolei tych, którzy zeszli, wepchnęli na półki następni. Kolano przy kolanie, plecy przy plecach, bok przy boku. Ci, którzy nie zmieścili się na półkach, a była ich prawie setka, stali jak sparaliżowani na niewielkiej powierzchni sześciu metrów kwadratowych, błogosławiąc swój szczęśliwy los za to, że nie znaleźli się na półkach. Przez nie zamknięte luki do ładowni wlewało się słońce.

Sierżant poprowadził drugą kolumnę jeńców, a wśród nich Maca, Larkina i Marlowe'a, do ładowni dziobowej, i ta z kolei zaczęła się wypełniać ludźmi.

Znalazłszy się na dnie ładowni, Mac zachłysnął się parnym powietrzem i

zemdłał. Marlowe i Larkin schwycili go i torując sobie drogę wśród panującego zgiełku siłą i przekleństwami, po schodni wydostali się na pokład. Strażnik chciał ich zepchnąć z powrotem w dół. Marlowe krzychał i pokazywał na konwulsyjnie drgającą twarz Maca. Wreszcie Japończyk wzruszył ramionami i przepuścił ich, wskazując dziób.

Rozpychając się łokciami i klnąc, Larkin i Marlowe zdobyli dla Maca miejsce leżące.

- I co teraz? - spytał Marlowe Larkina.

- Spróbuję znaleźć lekarza.

- Pułkowniku! - Mac schwycił Larkina za rękę. Odemknął nieznacznie oczy i pośpiesznie wyszeptał: - Nic mi nie jest. Musieliśmy się stamtąd jakoś wydostać. Udawajcie, że się mną zajmujecie i nie przestraszcacie się, jeżeli będę się rzucał.

Tak więc nie odstępowali go ani na moment, a on jęczał, majaczył, wrywał się i wymiotował wodą, którą mu podawali do ust. Zachowywał się tak aż do chwili, kiedy statek rzucił cumy. W tym czasie już nawet na pokładach panował tłok.

Nie było dość miejsca, żeby wszyscy mogli jednocześnie usiąść. Ale ponieważ trzeba było stać w kolejkach po wodę, po ryż, do latryn, każdy mógł spędzić jakiś czas siedząc.

Tej nocy przez sześć godzin miotał statkiem szkwał. Ludzie w ładowniach uchylali się przed wymiocinami, a ci z pokładu chronili się, jak mogli, przed strugami deszczu.

Po nocy nastał spokojny dzień, niebo było wyblakłe od słońca. Ktoś wypadł za burtę. Ludzie na pokładzie, jeńcy i strażnicy, długo się przyglądali, jak tonący pogrąża się w kilwaterze statku. Od tamtej pory już nikt więcej nie wypadł za burtę.

Drugiego dnia podróży wydano morzu trzy ciała. Kilku japońskich strażników wystrzeliło z karabinów, żeby nadać pogrzebowi bardziej wojskowy charakter. Szybko oddano honory - trzeba było ustawić się w kolejkach.

Podróż trwała cztery dni i pięć nocy. Macowi, Larkinowi i Marlowe'owi upłynęła ona w spokoju...

Marlowe leżał na wilgotnym sienniku, czekając na sen, który nie chciał przyjść. Stracił kontrolę nad biegiem myśli, łowiących przeszłe lęki, obawy o przyszłość i wspomnienia, których lepiej nie ruszać. A przynajmniej nie teraz, kiedy był sam. Wspomnienia o niej.

Gdy wreszcie zasnął, na niebo wsunął się już świt. Ale nawet sen nie był wolny od udreki.

ROZDZIAŁ VII

Dni następowały po dniach w monotonnym ciągu. Aż którejs nocy Król wybrał się do obozowego szpitala na poszukiwanie Mastersa. Znalazł go na werandzie jednego ze szpitalnych baraków. Masters leżał na cuchnącym łóżku, w półprzytomny, ze wzrokiem wbitym w ścianę z palmowych liści.

- Cześć, Masters - powiedział Król, upewniwszy się wpierw, że nikt ich nie podsłuchuje. - Jak się czujesz?

- Czuję? - Masters spojrział na niego, ale go nie poznał.

- No właśnie.

Upłynęła minuta, zanim Masters wymamrotał:

- Nie wiem.

Po brodzie spłynęła mu strużka śliny.

Król wyciągnął pudełko z tytoniem i napełnił puste pudełko stojące na stoliku obok łóżka.

- Masters - przemówił. - Dziękuję ci za ten cynk.

- Cynk?

- Za to, że powiedziałaś mi, co było napisane na tym kawałku gazety. Przeszedłem ci podziękować i dać trochę tytoniu.

Masters wysilił pamięć.

- Aha! Żle, kiedy kolega szpieguje kolegę. To świństwo... kapować glinie! - powiedział i umarł.

Do łóżka podszedł doktor Kennedy i starannie naciągnął na głowę zmarłego gruby koc.

- Przyjaciel? - spytał Króla. Jego zmęczone oczy spoglądały nieprzyjaźnie spod gęstwiny krzaczastych brwi.

- W pewnym sensie tak, panie pułkowniku.

- Na szczęście już go nic nie zaboli - powiedział doktor.

- Można i tak na to patrzeć, panie pułkowniku - odparł grzecznie Król. Przesypał tytoń z powrotem do swojego pudełka. Mastersowi nie był już potrzebny. - Na co on umarł?

- Na brak ducha.

Doktor stłumił ziewnięcie. Zęby miał brudne i poźółkłe od tytoniu, włosy

brudne i proste, a ręce różowe i nienagannie czyste.

- To znaczy, że nie chciał żyć?

- Można i tak na to patrzeć. - Doktor obrzucił Króla od stóp do głów groźnym spojrzeniem. - Ty pewnie na nic takiego nie umrzesz, co?

- O nie, panie pułkowniku.

- Skąd bierze się twoja nadzwyczajna odporność? - spytał doktor Kennedy, czując nienawiść do tego rozrośniętego ciała, promieniejącego zdrowiem i siłą.

- Nie bardzo pana rozumiem, panie pułkowniku.

- Wszystkim coś dolega, a tobie nic. Dlaczego?

- Po prostu mam szczęście - odparł Król i ruszył do wyjścia, ale doktor schwycił go za koszulę.

- To nie może być po prostu szczęście. Niemożliwe. A może ty jesteś diabłem, nasłanym, żeby wystawić nas na jeszcze większą próbę? Ty wampirze, oszuście, złodzieju...

- Słuchaj no, pan. Nigdy w życiu nic nie ukradłem ani nikogo nie oszukałem. Nie pozwolę nikomu tak o mnie mówić.

- No to powiedz mi tylko, jak ty to robisz? Jak? O nic więcej nie pytam. Nie rozumiesz? Jesteś odpowiedzią na pytania dręczące nas wszystkich. Jesteś dobry czy zły? Chcę znać prawdę.

- Pan zwariował - powiedział Król, wrywając się doktorowi.

- Możesz nam pomóc...

- Niech każdy pomaga sobie. Ja troszczę się o siebie i wy troszczcie się o siebie.

- Król spostrzegł, że biały fartuch zwisa luźno na wychudzonych piersiach doktora. - Proszę - rzekł, podając Kennedy'emu prawie pustą paczkę kooa. - Niech pan zapali. To dobrze robi na nerwy, panie pułkowniku.

Obrócił się na pięcie i wyszedł, wzdrygając się ze wstrętem. Nie znosił szpitali. Nie znosił smrodu, chorób i bezradności lekarzy.

Król gardził słabością. Ten sukinsyn doktor szykuje się na tamten świat, pomyślał. Taki wariat długo nie pożyje. Tak jak Masters. Szkoda chłopca! Chociaż może nie szkoda - nazywał się Masters, był słaby i dlatego całkiem do niczego. Świat jest dżunglą - silni wygrywiają, a słabi giną. Giniesz albo ty, albo ktoś drugi. I słusznie. Nie ma innego wyjścia.

Doktor Kennedy przyglądał się papierosom, wdzięczny swojemu losowi. Zapalił. Całym ciałem pił słodycz nikotyny. Potem wszedł na salę szpitalną i zbliżył się

do odznaczonego za waleczność kapitana Pierwszego Pułku Pancernego, Johnny'ego Carstairsa, który był już prawie trupem.

- Proszę - powiedział, podając leżącemu papierosa.

- A pan, doktorze?

- Ja nie palę, zresztą nigdy nie paliłem.

- Ma pan szczęście.

Johnny zaciągnął się i zakaszlał. Wraz z flegmą ukazało się trochę krwi. Wysilek przy kaszlu zwarł mu jelita i z odbytnicy, której mięśnie nie funkcjonowały już od dawna, wypłynęła krwawa ciecz.

- Doktorze, mógłby mi pan nałożyć buty? - poprosił. - Muszę wstać.

Doktor rozejrzył się. Trudno było cokolwiek dojrzeć, gdyż w nocy światło na sali było przyćmione i starannie osłonięte.

- Nie ma tu żadnych butów - powiedział, patrząc zmrużonymi oczami krótkowidza na Johnny'ego, który usiadł na brzegu łóżka.

- Ach, no to trudno.

- Jakże to były buty?

Z oczu Johnny'ego cienką strużką popłynęły łzy.

- Dbałem, żeby zawsze były w dobrym stanie - powiedział. - Przymaszerowałem w nich całe życie. Ostatnia rzecz, jaką miałem, to te buty.

- Chce pan zapalić jeszcze jednego?

- Nie, dziękuję. Właśnie kończę.

Johnny położył się z powrotem w swoich nieczystościach.

- Żał mi tych butów - powiedział.

Doktor Kennedy schylił się, ściągnął swoje buty, przy których nie było sznurowadeł, i nasunął je na stopy Carstairsa.

- Mam jeszcze jedną parę - skłamał, a potem wyprostował się i stał bosy. Czuł ból w krzyżu.

Johnny poruszył palcami, wyczuwając z radością chropowatość skóry. Chciał spojrzeć na buty, ale był to dla niego zbyt wielki wysilek.

- Umieram - powiedział.

- Tak - potwierdził doktor. Kiedyś, lecz czy aby na pewno, potrafił zmusić się do znacznie lepszego traktowania konającego pacjenta. Ale teraz, czyż było po co?

- Niewiele w tym sensu, prawda, doktorze? Dwadzieścia dwa lata i nic. Tu nic i tam nic.

Prąd powietrza przywiał do sali zapowiedź świtu.

- Dziękuję za pożyczanie butów - mówił Johnny. - Buty to coś, z czego nigdy nie chciałem zrezygnować. Mężczyzna musi mieć buty.

Umarł.

Doktor Kennedy ściągnął buty z nóg zmarłego i nałożył je z powrotem na własne nogi.

- Sanitariusz! - zawołał, widząc jednego z nich na tarasie.

- Słucham, panie doktorze - odezwał się dziarsko Steven, podchodząc z wiadrem odchodów w lewej ręce.

- Sprowadź tych od trupów, żeby zabrali tego tutaj. Aha, i możesz już zabrać łóżko sierżanta Mastersa.

- Ależ ja naprawdę nie mogę robić wszystkiego naraz, panie pułkowniku - powiedział Steven, odstawiając wiadro. - Mam zanieść trzy baseny: do łóżka dziesiątego, dwudziestego trzeciego i czterdziestego siódmego. A biedny pułkownik Hutton czuje się tak źle, że muszę mu koniecznie zmienić opatrunek. - Spojrzał na łóżko Johnny'ego i potrząsnął głową. - Nic tylko umierają...

- Taka to praca, Steven. Jedyne, co możemy zrobić, to pochować ich. A im szybciej, tym lepiej.

- Chyba tak. Biedacy.

Steven westchnął i delikatnie osuszył spocone czoło czystą chusteczką. Potem schował ją z powrotem do kieszeni swojego białego stroju, wziął wiadro, zachwiał się lekko pod jego ciężarem i wyszedł.

Doktor Kennedy gardził nim, gardził jego lśniącymi czarnymi włosami, wygolonymi pachami i nogami. Jednocześnie trudno mu było go winić. Homoseksualizm był jednym ze sposobów na przeżycie. Jeńcy bili się o Stevena, dzielili się z nim jedzeniem i dawali mu papierosy - a wszystko po to, żeby przez jakiś czas korzystać z jego ciała. Właściwie cóż w tym odrażającego, zapytywał sam siebie. Kiedy pomyśli się o tak zwanym "normalnym seksie", to na dobrą sprawę, z klinicznego punktu widzenia, jest on równie odrażający.

Podrapał się bezmyślnie w krocze, bo świerzb mocno mu dziś dokuczał. Niechcący dotknął członka. Był bez czucia, jak chrząstka.

Przypomniał sobie, że już od wielu miesięcy nie miał erekcji. Wina mało pożywnego jedzenia, pomyślał. Nie ma się czym martwić. Jak tylko stąd wyjdziemy i zaczniemy normalnie jeść, wszystko będzie dobrze. Czterdziestotrzyletni mężczyzna

nie przestaje być mężczyzną.

Steven wrócił z oddziałem grabarzy. Ciało złożono na noszach i wyniesiono. Steven zmienił jedynie koc. Po chwili wniesiono inne nosze, a na nich nowego pacjenta, którego położono na łóżku.

Doktor Kennedy machinalnie zmierzył puls chorego.

- Gorączka spadnie jutro - stwierdził. - To tylko malaria.

- Tak, panie doktorze. - Steven zrobił pretensjonalną minę. - Czy mam mu podać chininę?

- Oczywiście, że chininę!

- Przepraszam, panie pułkowniku. - Steven z urazą odrzucił głowę do tyłu. - Ja się tylko pytałem. Przepisywanie leków należy do lekarzy.

- No więc daj mu chininy, i na miłość boską, Steven, przestań wreszcie udawać, że jesteś kobietą.

- Też coś! Steven znów potrząsnął z oburzeniem głową i odwrócił się do pacjenta, a zrobione z łańcuszka bransoletki zadzwoniły mu na rękę. - To niesprawiedliwe komuś dokuczać, doktorze Kennedy, zwłaszcza jeżeli ten ktoś stara się jak może.

Kennedy byłby się rzucił na niego, gdyby nie doktor Prudhomme, który właśnie wszedł do sali.

- Dobry wieczór, pułkowniku.

- A, dobry wieczór - powiedział doktor Kennedy i zwrócił się ku niemu z wdzięcznością, uświadamiając sobie, że zrobiłby wielkie głupstwo atakując Stevena. - Jak tam, wszystko w porządku?

- Tak. Czy mogę panu zająć chwilę?

- Oczywiście.

Prudhomme był drobnym, pogodnym mężczyzną o kurzej klatce piersiowej i dłoniach trwale poplamionych chemikaliami. Głos miał niski i łagodny.

- Na jutro są dwa wyrostki. Jeden wnieśli właśnie na salę nagłych wypadków.

- Dobrze. Zajrzę do nich przed końcem dyżuru.

- Chce pan operować? - spytał Prudhomme, spoglądając na drugi koniec sali, gdzie Steven podstawiał miskę wymiotującemu pacjentowi.

- Tak. Proszę mi dać coś do roboty - odparł Kennedy. Zerknął w ciemny kąt sali. Przyciemnione światło osłoniętej lampy elektrycznej uwydatniało długie, szczupłe nogi Stevena, a także zarys jego pośladków opiętych obcisłymi spodenkami.

Steven, czując, że mu się przyglądają, obejrzał się.

- Dobry wieczór, doktorze Prudhomme - powiedział z uśmiechem.

- Dobry wieczór, Steven - odparł łagodnie Prudhomme.

Ku swemu przerażeniu doktor Kennedy spostrzegł, że Prudhomme nie spuszcza wzroku ze Stevena.

Prudhomme obrócił się w stronę Kennedy'ego i dostrzegł w jego twarzy zaskoczenie i odrazę.

- Aha, przy okazji. Skończyłem autopsję tego, którego znaleźniono w dole kloacznym. Śmierć od uduszenia - stwierdził.

- Jeżeli znajduje się człowieka głową w dół w dole kloacznym, to więcej niż prawdopodobne, że śmierć nastąpiła wskutek uduszenia.

- Słusznie, doktorze - przyznał beztrasko Prudhomme. - Na świadectwie zgonu napisałem: "Samobójstwo w stanie zachwiania równowagi psychicznej".

- Czy zidentyfikowano ciało?

- A owszem. Dziś po południu. To był Australijczyk. Nazywał się Gurple.

Doktor Kennedy potarł ręką twarz.

- Gdybym miał popełnić samobójstwo, to na pewno nie w taki sposób - powiedział. - Ohyda.

Prudhomme skinął głową, a jego spojrzenie powędrowało znów w stronę Stevena.

- Ma pan całkowitą rację. Oczywiście nie można wykluczyć, że ktoś go wpełchnął do dołu.

- Czy na ciele były jakieś ślady?

- Nie.

Doktor Kennedy starał się nie zwracać uwagi na to, jakim wzrokiem Prudhomme patrzy na Stevena.

- No cóż, morderstwo czy samobójstwo, tak czy owak to okropna śmierć. Straszna! Chyba nigdy się nie dowiemy, jak było naprawdę - powiedział.

- Po południu, jak tylko go zidentyfikowano, przeprowadzono dyskretne dochodzenie. Podobno kilka dni temu przyłapano tego człowieka na podkradaniu racji żywnościowych dla baraku.

- Ach tak!

- Jeśli tak było, moim zdaniem zasłużył na to, co go spotkało. Nie sądzi pan?

- Chyba tak - zgodził się Kennedy, chcąc podtrzymać rozmowę, bo czuł się

samotny. Ale spostrzegłszy, że Prudhomme'a interesuje wyłącznie Steven, rzekł: - No, na mnie czas. Trzeba zrobić obchód. Będzie mi pan towarzyszył? - spytał.

- Dziękuję, ale muszę przygotować pacjentów do operacji.

Wychodząc z sali doktor Kennedy kątem oka dostrzegł, jak Steven przechodząc obok Prudhomme'a ociera się o niego i jak Prudhomme ukradkiem go dotyka. Usłyszał śmiech Stevena i zobaczył, jak odpowiada on na to dotknięcie nie skrywaną, intymną pieszczotą. Poczul się przytłoczony ich nieprzyzwoitym zachowaniem. Zdał sobie sprawę, że powinien wrócić na salę, kazać im się rozejść i oddać obu pod sąd wojenny. Był jednak zbyt zmęczony, więc nie zrobił nic i tylko przeszedł na drugi koniec werandy.

Powietrze było nieruchome, noc ciemna, bez szelestu liści, a księżyc wisiał pod krokwiemi niebios jak olbrzymia lampa łukowa. Drogą nadal przechadzali się ludzie. Milczeli. Wszystko czekało świtu.

Kennedy podniósł wzrok ku gwiazdom, usiłując wyczytać z nich odpowiedź na pytanie, którego nie przestawał sobie zadawać: Boże, kiedy wreszcie skończy się ten koszmar?

Ale nie znalazł odpowiedzi.

Peter Marlowe siedział w latrynie oficerskiej, rozkoszując się pięknem zorzy zodiakalnej i wspaniałym uczuciem, jakie daje regularne wypróżnienie. To pierwsze zdarzało się często, a to drugie rzadko.

Przychodząc do latryny, wybierał zawsze ostatni rząd, bo nadal odczuwał wstręt do załatwiania się na otwartej przestrzeni i nie cierpiał mieć kogoś za plecami, a ponadto przyglądanie się innym dostarczało rozrywki.

Doły kloaczne, głębokie na siedem i pół metra i szerokie na sześćdziesiąt centymetrów, rozmieszczone były co dwa metry, w dwudziestu rzędach schodzących w dół zbocza, po trzydzieści w każdym. Wszystkie przykryto deskami i oddzielnymi pokrywami.

Na środku latryny królował pojedynczy drewniany tron. Zwykła wygodka. Siedzenie na nim było przywilejem pułkowników. Inni musieli kucać miejscowym zwyczajem, stawiając stopy po obu stronach dołu. Nie było żadnych osłon i cały teren był widoczny z obozu.

Na tronie, samotny i majestatyczny, zasiadał właśnie pułkownik Samson. Nie miał na sobie nic oprócz postrzępionego kapelusza kulisa. Na tym polegało jego

dziwactwo, że nigdy się z nim nie rozstawał. Chyba że właśnie golił lub masował głowę, bądź wcierał w nią olej kokosowy albo jakieś podejrzone maści na porost włosów. Zaraził się kiedyś nieznaną chorobą, która sprawiła, że raptem wypadły mu z głowy wszystkie włosy, z brwiami i rzęsami włącznie. Za to resztę ciała miał kosmatą jak u małpy.

Inni jeńcy przykucnęli nad różnymi dołami, trzymając się jak najdalej od siebie. Każdy z nich miał przy sobie butelkę z wodą i każdy odganiał stale krążące roje much.

Marlowe po raz któryś z kolei pomyślał, że załatwiający się w kucki nagi mężczyzna jest najbrzydszym stworzeniem pod słońcem, a być może także najbardziej godnym litości.

Widać było na razie ledwie zapowiedź dnia - coraz jaśniejszą mgiełkę i złociste pasma wpełzające na welwetowe niebo. Od ziemi ciągnęło chłodem, bo w nocy spadły deszcze, a chłodny, łagodny wiatr niósł zapach morza i czerwonego jaśminu.

O tak, dziś będzie dobry dzień, pomyślał Marlowe z zadowoleniem.

Kiedy skończył, nie wstając z kucków przechylił butelkę i posługując się zręcznie palcami lewej ręki zmył wodą ślady odchodów. Zawsze robił to lewą ręką. Prawa służyła do jedzenia. Tubylcy nie rozróżniali lewej i prawej ręki, tylko rękę do gnoju i rękę do jedzenia. Zresztą wszyscy używali wody, gdyż papier, w jakiegokolwiek postaci, był zbyt cenny. Wszyscy z wyjątkiem Króla, który miał prawdziwy papier toaletowy. To właśnie on dał kawałek papieru Marlowe'owi, a ten rozdzielił go pomiędzy członków grupy, ponieważ znakomicie nadawał się na papierosy.

Marlowe wstał, związał sarong i ruszył w stronę baraku, ciesząc się na myśl o śniadaniu. Miało się ono składać jak zwykle z kleiku ryżowego i słabej herbaty, ale dziś grupa dysponowała ponadto orzechem kokosowym, jeszcze jednym prezentem od Króla.

W ciągu kilku dni od chwili, kiedy się poznali, zawiązała się pomiędzy nimi swoista przyjaźń. Łączyły ich po trosze sprawy jedzenia, palenia, a także pomoc, bo Król wyleczył salwarsanem tropikalne wrzody, które Macowi zrobiły się na kostkach obu nóg - wrzody te miał od dwóch lat, a on wyleczył je w ciągu dwóch dni. Marlowe świadom był, że choć wszyscy trzej z wdzięcznością przyjmują od Króla cenne dary i pomoc, to jednak lubią go przede wszystkim za to, jaki jest. Już sama jego obecność dodawała im sił i pewności siebie. Człowiek czuł się przy nim lepiej, był mocniejszy, tak jakby wchłaniał w siebie otaczającą go magiczną aurę.

- To szarlatan! - powiedział mimowolnie na głos.

Kiedy wszedł do baraku szesnastego, większość oficerów jeszcze spała albo leżała na pryczach, czekając na śniadanie. Marlowe wyjął spod poduszki orzech kokosowy, wziął skrobaczkę i duży malajski nóż, parang, a potem wyszedł i usiadł na ławce przed barakiem. Zręcznym uderzeniem parangu rozszczylił orzech na dwie idealnie równe części, odlał mleko do blaszanki i zaczął starannie wyskrobywać jedną z połówkę. Skrawki białego jądra wpadały do mleka.

Drugą połówkę orzecha wyskrobał osobno. Owinął tę część mięszu w kawałek moskitiery i wycisnął starannie gęsty, słodki sok. Dziś kolej na ten sok, dodawany do ryżowej papki, którą jedli na śniadanie, przypadła na Maca.

I znów Marlowe zamyślił się nad tym, jak cudownym pożywieniem jest wnętrze orzecha kokosowego. Bogate w białko i zupełnie pozbawione smaku. A przecież wystarczyło dodać ząbek czosnku, a cały miąższ zamieniał się w czosnek. Ćwiartkę sardynki, żeby nabrał jej smaku i zapachu, którego starczało na wiele miseczek ryżu.

Marlowe poczuł nagle wilczy apetyt na orzech. Był tak oszołomiony głodem, że nie usłyszał nadchodzących strażników. Zdał sobie sprawę z ich obecności dopiero wtedy, kiedy zatrzymali się złowieszczo w drzwiach, a wszyscy mieszkańcy baraku wstali już z prycz.

- W tym baraku jest radio - oznajmił japoński oficer Yoshima, a jego słowa przeszły ciszę jak grom.

ROZDZIAŁ VIII

Pięć minut czekał Yoshima, aż ktoś się odezwie. Kiedy zapalał pierwszego papierosa, trzask zapalki rozległ się jak grzmot. W pierwszej chwili Dave Daven pomyślał sobie: "Boże święty, który to drań nas zdradził albo się wygadał? Marlowe? Cox? Spence? Pułkownicy?" Potem ogarnęło go przerażenie, przerażenie w nedorzeczny sposób zmieszane z ulgą, że oto nadchodzi dzień, który śnił mu się po nocach.

Nie mniejszy lęk dławił Marlowe'a. Zastanawiał się, kto wydał. Cox? Pułkownicy? Przecież nawet Larkin i Mac nie wiedzą tego, co ja wiem! Boże! Outram Road!

Cox stał jak skamieniały. Przenosił spojrzenie z jednej pary skośnych oczu na drugą. Trzymał się na nogach tylko dzięki temu, że opierał się o belki pryczy.

Nominalnym dowódcą baraku był podpułkownik Sellars, który ze spodniami śliskimi ze strachu wszedł do środka w towarzystwie swojego adiutanta, kapitana Foresta.

Zasalutował. Twarz i podbródek miał zaczerwienione i spotniałe.

- Dzień dobry, kapitanie Yoshima...

- To nie jest dobry dzień. Ukrywacie tu radio, co jest wbrew przepisom Cesarskiej Armii Japońskiej.

Yoshima był niski, drobny i niezwykle schludny. U pasa miał zawieszony samurajski miecz, wysokie buty lśniły mu jak lustra.

- Nic o tym nie wiem. Nic. Zupełnie - mówił pewnym siebie głosem Sellars. - Pan! - Drżącym palcem wskazał Davena. - Wie pan coś na ten temat?

- Nie, panie pułkowniku.

Sellars obrócił się twarzą do reszty oficerów.

- Gdzie jest radio? - spytał.

Milczeli.

- Gdzie jest radio? - powtórzył Sellars, bliski hysterii. - Pytam się, gdzie jest radio!? Rozkazuję wydać je natychmiast! Wiecie przecież, że wszyscy odpowiadamy za wypełnianie rozkazów Cesarskiej Armii.

Milczeli.

- Cały barak pójdzie pod sąd wojenny! - wrzasnął, aż mu się zatrzęsło

podgardle. - Wszyscy dostaniecie to, na co zasłużyliście. Pan! Pańskie nazwisko!

- Kapitan lotnictwa Marlowe, panie pułkowniku.

- Gdzie jest radio?

- Nie wiem, panie pułkowniku.

W tym momencie Sellars zauważył Greya.

- Grey! Jest pan podobno komendantem żandarmerii. Jeżeli tutaj jest radio, to właśnie pan za to odpowiada, nikt inny. Powinien pan to od razu zgłosić władzom. Oddam pod sąd wojenny i to się znajdzie w pana aktach...

- Nic nie wiem o żadnym radiu, panie pułkowniku.

- W takim razie powinien pan o nim wiedzieć! - wrzasnął Sellars z twarzą wykrzywioną i spurpurowiałą. Popędził w głąb baraku, gdzie stały prycze pięciu amerykańskich oficerów.

- Brough! Co pan wie na ten temat?

- Nic. Poza tym jestem kapitanem Brough, pułkowniku.

- Nie wierzę panu. Tego właśnie po was, Amerykanach, można się spodziewać.

Wiecie, czym jesteście? Niezdyscyplinowaną hałastrą...

- Nie mam zamiaru dłużej wysłuchiwać tych parszywych bredni!

- Jak pan się do mnie odzywa! Mówić "panie pułkowniku" i stać na baczność!

- Jestem najstarszym stopniem oficerem amerykańskim w tym obozie i nie pozwolę się obrażać. Nic nie wiem o żadnym radiu u moich żołnierzy. Nic nie wiem o żadnym radiu w tym baraku. A gdyby nawet było tutaj radio, to panu na pewno bym o tym nie powiedział, pułkowniku!

Sellars obrócił się, dysząc przeszedł na środek baraku.

- Wobec tego przeszukamy barak. Stanąc przy łózkach! Baczność! Niech Bóg ma w opiece tego, u kogo znajdzie radio. Osobiście dopilnuję, żeby otrzymał najwyższą karę, wy buntownicze świnie!...

- Zamknij się, Sellars.

Wszyscy zamarli. Do baraku wszedł pułkownik Smedly-Taylor.

- Gdzieś tu jest radio i właśnie starałem się...

- Zamknij się.

Zniszczona twarz Smedly-Taylora była napięta, kiedy podchodził do Yoshimy, który od dłuższego czasu ze zdumieniem i pogardą przyglądał się Sellarsowi.

- O co chodzi, kapitanie? - spytał Smedly-Taylor, dobrze wiedząc, jaką usłyszy odpowiedź.

- W tym baraku jest radio - odparł Yoshima i dodał z szyderczym uśmiechem: - Zgodnie z Konwencją Genewską w sprawie jeńców wojennych...

- Kodeks etyki jest mi bardzo dobrze znany - przerwał mu Smedly-Taylor, starając się nie patrzeć w stronę grubej drewnianej belki. - Jeżeli jest pan przekonany, że znajduje się tutaj radio, proszę je odszukać. A jeżeli wie pan, gdzie zostało ukryte, proszę je zabrać i skończyć z tym wreszcie. Mam dziś jeszcze sporo roboty.

- Pańskim obowiązkiem jest wcielać w życie zasady...

- Moim obowiązkiem jest wcielać w życie cywilizowane zasady. Jeżeli już chcecie powoływać się na zasady, to wpierw sami ich przestrzegajcie. Dajcie nam jedzenie i lekarstwa, które nam się należą!

- Któregoś dnia posunie się pan za daleko, pułkowniku.

- Któregoś dnia umrę, być może na apopleksję, próbując wyegzekwować idiotyczne zarządzenia wydane przez niekompetentną administrację.

- Zamelduję o pańskim zuchwalstwie generałowi Shimie.

- Proszę bardzo, niech pan to zrobi. A potem niech pan się go spyta, kto wydał rozkaz, żeby każdy jeniec łapał co dzień po dwieście much, które muszą być zebrane, przeliczone i dostarczone przeze mnie do pańskiego biura.

- Wy, starsi oficerowie, bez przerwy skarżycie się, że tyle jest śmiertelnych przypadków dyzenterii. Dyzenterię szerzą muchy...

- Nie musi mi pan mówić ani o muchach, ani o śmiertelnych przypadkach - rzekł chrapliwie Smedly-Taylor. - Dajcie nam lekarstwa i pozwólcie nam zaprowadzić higienę w najbliższej okolicy, a opanujemy choroby na całej wyspie.

- Jeńcy nie mają prawa...

- To wy macie za dużo chorych na czerwonkę. To wy macie wielu chorych na malarię. Przed waszym najazdem na Singapurze nie było tej choroby.

- Być może. Ale było was tysiące, a my zwyciężyliśmy i wzięliśmy was do niewoli. Jesteście zwierzętami i tak powinniście być traktowani.

- O ile się nie mylę, to na Pacyfiku też wcale niemało japońskich jeńców trafia do niewoli.

- Skąd pan ma te informacje?

- To tylko plotki, kapitanie Yoshima, wie pan, jak to jest. Najpewniej nieprawdziwe. Pewnie nieprawdą jest również to, że przestała istnieć japońska flota, że Japonia jest bombardowana, oraz to, że Amerykanie zdobyli Guadalcanal, Guam, Rabaul, Okinawę i właśnie szykują się do ataku na terytorium Japonii...

- Kłamstwa!!! - Yoshima schwycił wiszący u pasa samurajski miecz i wyszarpnął go z pochwy. - Kłamstwa! Cesarska Armia Japońska zwycięża w wojnie i wkrótce zawładnie Australią i Ameryką. W naszych rękach jest Nowa Gwinea, a japońska flota wojenna w tej właśnie chwili zbliża się do Sydney.

- Oczywiście.

Smedly-Taylor odwrócił się plecami do Yoshimy i rozejrzał po baraku, napotykając wpatrzone w niego oczy i pobladłe twarze.

- Proszę wszystkich o opuszczenie baraku - powiedział cicho.

W milczeniu wykonano rozkaz.

Kiedy barak opustoszał, Smedly-Taylor zwrócił się do Yoshimy:

- Proszę, może pan przystąpić do rewizji.

- A jeżeli znajdzie radio?

- Wszystko w rękach Boga.

Smedly-Taylor poczuł nagle ciężar swoich pięćdziesięciu czterech lat. Przejęła go dreszczem myśl o odpowiedzialności spoczywającej na jego barkach, bo choć odpowiadała mu wojskowa służba, choć cieszył się, że jest tam, gdzie go potrzebują, i z radością pełnił swoje obowiązki, musiał teraz odszukać zdrajcę. A po znalezieniu, ukarać. Człowiek ten zasługiwał na śmierć, bo wykrycie radia oznaczało, że Daven umrze. Boże, żeby tylko nie znaleźli. Tylko to trzyma nas przy zdrowych zmysłach, pomyślał z rozpaczą. Jeżeli jest Bóg na niebie, błagam, niech sprawi, żeby Japończycy nie znaleźli radia! W jednym musiał jednak przyznać Yoshimie rację. On, Smedly-Taylor, powinien mieć dość odwagi, żeby umrzeć śmiercią żołnierza, na polu walki albo w trakcie ucieczki. Żyjącego toczył robak pamięci, pamięci o tym, że chciwość, żądza władzy i nieudolność doprowadziły do pogwałcenia neutralności Wschodu i do bezsensownej śmierci niezliczonych setek tysięcy ludzi.

Tak, ale gdybym zginął, pomyślał, co by się stało z moją ukochaną Maisie, z Johnem, który urodził się, kiedy służyłem w kawalerii, z Percym, który przyszedł na świat, kiedy byłem w lotnictwie, i z Trudy, która tak wcześnie wyszła za mąż, zaszła w ciążę i tak prędko owdowiała? Miałbym ich już nigdy nie zobaczyć, nie dotknąć, miałbym nigdy już nie zaznać ciepła rodzinnego domu?

- Wszystko w rękach Boga - powtórzył, a słowa te, brzmiące starczo i smutnie, przypominały jego samego.

Yoshima rzucał suche rozkazy czterem strażnikom. Strażnicy usunęli prycze z kątów i zrobili wolne miejsce. Potem przesunęli tam pryczę Davena. Yoshima

podszedł do kąta, w którym przedtem stała, obejrzał krokwie, palmową strzechę i nie heblowane deski podłogi. Szukał starannie, ale Smedly-Taylor zorientował się nagle, że Japończyk robi to tylko na pokaz, specjalnie dla niego, i że wie, gdzie jest schowek.

Przypomniał mu się wieczór sprzed wielu, wielu miesięcy, kiedy przyszli powiedzieć mu o radiu.

- To wasze zmartwienie - powiedział wtedy. - Jeżeli was złapią, dostaniecie się w ich ręce i to będzie koniec. W żaden sposób nie będę mógł wam pomóc, w żaden. - Wybrał spośród nich Davena i Coxa i powiedział im po cichu: - Jeżeli wykryją radio, postarajcie się nie wciągać w to innych. Musicie choć na krótko podtrzymać wersję, że to wy. A potem powiedzcie, że to ja was upoważniłem, że to ja rozkazałem zrobić radio. - Po tych słowach odprawił ich, na swój sposób pobłogosławił i życzył szczęścia.

A teraz wszyscy byli beznadziejnie pogrążeni.

Czekał z niecierpliwością, aż Yoshima dobierze się do belki. Nie mógł znieść udręki tej zabawy w kotka i myszkę. Z zewnątrz słyszał przerażone szepty mieszkańców baraku. Ale mógł tylko czekać.

Wreszcie Yoshimie też znudziła się ta zabawa. Drażnił go smród panujący w baraku. Podszedł do pryczy Davena i pobieżnie ją przeszukał. Następnie przyjrzał się grubej belce u wezglowia. Nie zobaczył jednak żadnych nacięć. Z chmurną miną obejrzał belkę z bliska, długimi, delikatnymi palcami obmacując drewno. Mimo to nic nie znalazł.

W pierwszej chwili gotów był sądzić, że go źle poinformowano. Ale nie mógł w to uwierzyć, bo donosiciel nie dostał jeszcze zapłaty.

Mruknął coś i na jego rozkaz koreański strażnik odczepił bagnet i podał mu, trzonkiem do przodu.

Yoshima postukał w belkę, nasłuchując, czy nie rozlegnie się głuchy dźwięk. Aaa, jest! Stuknął jeszcze raz. Odpowiedział mu ten sam głuchy dźwięk. Ale wciąż nie było widać żadnych pęknięć. Że złością wbił bagnet w drewno.

Pokrywka odskoczyła.

- No, tak.

Odnalezienie radia wprowadziło go w dumę. Pomyślał, że generał będzie zadowolony. Może nawet na tyle, żeby przydzielić mu jednostkę bojową, gdyż jego bushido burzyło się przeciw opłacaniu donosicieli i zajmowaniu się tymi zwierzętami.

Smedly-Taylor podszedł do pryczy pełen podziwu dla tej przemyślanej kryjówki i dla cierpliwości człowieka, który ją wykonał. Muszę przedstawić Davena... pomyślał.

To więcej niż obowiązek. Tylko do czego przedstawić?

- Do kogo należy ta prycza? - spytał Yoshima.

Smedly-Taylor wzruszył ramionami i również udał, że musi się tego dowiedzieć.

Yoshimie było bardzo, naprawdę bardzo przykro, że Daven ma tylko jedną nogę.

- Proszę, może pan zapali - powiedział, wyciągając w jego stronę paczkę kooa.

- Dziękuję.

Daven wziął papierosa, przyjął podany mu ogień, lecz nie czuł nawet, co pali.

- Jak się pan nazywa? - spytał grzecznie Yoshima.

- Kapitan piechoty Daven.

- Gdzie pan stracił nogę, panie kapitanie?

- Ja... wszedłem na minę. W Johore, na północ od grobli.

- Czy to pan zbudował radio?

- Tak.

Smedly-Taylor rzucił z siebie paraliżujący go strach.

- To ja kazałem kapitanowi Davenowi zbudować radio. To ja za to odpowiadam. Kapitan Daven tylko wykonał mój rozkaz.

Yoshima spojrzał na Davena.

- Czy to prawda? - spytał.

- Nie.

- Kto jeszcze wie o radiu?

- Nikt. To był mój pomysł, zrobiłem je sam.

- Proszę, niech pan usiądzie, kapitanie Daven - powiedział Yoshima i skinął pogardliwie głową w stronę Coxa, który siedział, szlochając z przerażenia. - A ten jak się nazywa?

- Kapitan Cox - odparł Daven.

- Niech pan na niego spojrzy. To odrażające.

Daven zaciągnął się dymem.

- Ja się boję tak samo jak on - powiedział.

- Pan nad sobą panuje. Pan jest odważny.

- Boję się jeszcze bardziej niż on.

Daven pokuśtykał niezgrabnie do Coxa i z wysiłkiem usiadł przy nim.

- No już dobrze, Cox, staruszkę - pocieszył go, kładąc mu rękę na ramieniu. -

Już dobrze. - Spojrzał na Yoshimę. - Cox dostał Krzyż Walecznych za Dunkierkę, nie miał nawet dwudziestu lat. Teraz jest kimś zupełnie innym. To wasza robota, dranie, oto, co z niego zrobiliście w ciągu trzech lat.

Yoshima stłumił chęć, żeby uderzyć Davena. W stosunku do prawdziwego mężczyzny, choćby wroga, obowiązywały pewne zasady. Obrócił się do Smedly-Taylora i rozkazał mu, żeby zebrał sześciu ludzi, których prycze sąsiadowały z pryczą Davena, a resztę polecił zatrzymać pod strażą na zbiorce.

Wskazana szóstka stanęła przed Yoshimą. O radiu wiedział tylko Spence, ale tak jak pozostali wyparł się, że wie o jego istnieniu.

- Wziąć prycze i za mną - rozkazał Yoshima.

Kiedy Daven sięgał po kule, Yoshima pomógł mu wstać.

- Dziękuję - powiedział Daven.

- Może zapali pan jeszcze jednego?

- Nie, dziękuję.

Yoshima zawahał się.

- Byłbym zaszczycony, gdyby zechciał pan przyjąć całą paczkę - powiedział.

Daven wzruszył ramionami, wziął papierosy, pokuśtykał do kąta, w którym przedtem stała jego prycza, i schylił się po swoją żelazną protezę.

Yoshima rzucił krótki rozkaz, a wtedy jeden z koreańskich strażników podniósł protezę i pomógł Davenowi usiąść.

Palce przypinające protezę nie drżały. Daven wstał, wziął kule i przez chwilę im się przyglądał. Potem odrzucił je do kąta.

Stukając protezą podszedł do pryczy i popatrzył na radio.

- Jestem z niego bardzo dumny - powiedział, zaszalutował Smedly-Taylorowi i wyszedł z baraku.

Skromny orszak ciągnął przez milczące Changi. Na jego czele szedł Yoshima, dostosowując tempo marszu do kroku Davena, u którego boku kroczył Smedly-Taylor. Za nimi, nieświadom płynących łez, podążał Cox. Dwaj spośród czterech strażników czekali wraz z jeńcami z baraku szesnastego.

Czekali jedenaście godzin.

Wrócił Smedly-Taylor, wróciła szóstka mężczyzn. Daven i Cox nie wrócili. Zatrzymano ich na wartowni, a jutro mieli być przewiezieni do więzienia Outram Road.

Jeńcom pozwolono się rozejść.

Od stania na słońcu Marlowe'a potwornie rozboleła głowa. Potykając się wrócił do baraku, a kiedy wziął prysznic, Larkin i Mac rozmasowali mu głowę i nakarmili go. Po kolacji Larkin wyszedł i usiadł na skraju asfaltowej drogi. Marlowe przykucnął w otworze drzwiowym, plecami do wnętrza baraku.

Za horyzontem wzbierała noc. Idący w obie strony drogą ludzie byli jakby bardziej zagubieni niż zwykle w niezmierzonej samotności Changi.

Mac ziewnął.

- Pójdę już chyba, Peter - powiedział. - Wcześniej się dziś położę.

- Dobrze, Mac.

Ułożywszy moskitierę wokół łóżka, Mac wepchnął jej brzegi pod siennik. Przewiązał sobie czoło szmatką, potem wysunął manierkę Marlowe'a z filcowego futerału i wyjął fałszywe denko. W ten sam sposób wyjął denka manierek Larkina i swojej, po czym ostrożnie ułożył wszystkie trzy jedna na drugiej. Wewnątrz każdej kryła się płatanina drutów, kondensator i lampa elektronowa.

Z manierki leżącej na wierzchu Mac wyciągnął wtyczkę z sześcioma kolcami i zwój drutu i wetknął ją zręcznie do gniazdka w środkowej manierce. Potem ze środkowej manierki wydobył wtyczkę z czterema kolcami i wetknął ją do odpowiedniego gniazdka w ostatniej.

Ręce mu drżały i trzęsły się kolana. Było mu bardzo niewygodnie pracować w półmroku, wspierając się na jednym łokciu i osłaniając manierki ciałem.

Noc zagarniała niebo, robiło się coraz parniej. Do ataku przystąpiły komary.

Połączywszy ze sobą manierki, Mac, którego rozboleły plecy, przeciągnął się i wytarł ręce, śliskie od potu. Następnie wyciągnął ze skrytki w pierwszej manierce słuchawki i sprawdził, czy wtyczki siedzą mocno w gniazdkach. Manierka zawierała ponadto izolowany przewód doprowadzający prąd. Mac rozwinął go i sprawdził, czy przylutowane do obu końców igły nadal mocno się trzymają. Znów wytarł ręce i jeszcze raz sprawdził wszystkie połączenia, myśląc o tym, że radio jest równie zgrabne i czyste jak przed dwoma laty na Jawie, kiedy kończył je potajemnie budować, a Larkin i Marlowe trzymali straż.

Zaprojektowanie i skonstruowanie radia zajęło mu pół roku.

Mógł wykorzystać dolną część manierki - górna musiała zawierać wodę - więc nie tylko zmuszony był zmniejszyć radio do trzech małych, zwartych podzespołów, ale również umieścić je w wodoszczelnych pojemnikach, a pojemniki te przylutować we wnętrzu manierek.

Wszyscy trzej od półtora roku nosili je ze sobą. Na wypadek dnia takiego jak dzisiejszy.

Mac ukląkł i wbił obie igły w przewody łączące żarówkę wiszącą u sufitu ze źródłem prądu. Potem odchrząknął.

Peter Marlowe wstał i upewnił się, czy w pobliżu nie ma nikogo. Prędko wykręcił żarówkę i nacisnął kontakt. Potem wrócił do drzwi i stanął tam na straży. Zobaczył, że Larkin siedzi bez ruchu na swoim miejscu po drugiej stronie drogi, i dał Macowi znak, że nie ma niebezpieczeństwa.

Wtedy Mac zwiększył siłę głosu, wziął słuchawkę i zaczął nasłuchiwać.

Sekundy biegły, zamieniając się w minuty. Nagle Marlowe usłyszał jęk Maca i przestraszony obrócił się gwałtownie.

- Co się stało, Mac? - spytał szeptem.

Mac wystawił głowę spod moskitiery. Twarz miał zszarzałą.

- Nie działa, chłopie - powiedział. - To draństwo nie działa!

Księga druga

ROZDZIAŁ IX

Sześć dni później w kącie baraku Amerykanów Max przydybał szczura.

- Spójrzcie tylko na tego bydlaka - szepnął Król. -W życiu nie widziałem większego.

- Rzeczywiście - powiedział Marlowe. - Uważaj, żeby ci ręki nie odgryzł!

Okrzykli go. Napawający się widokiem ofiary Max z bambusową szczotką w ręku, Tex z kijem do baseballa, Marlowe również ze szczotką. Pozostali dzierżyli kije i noże.

Tylko Król był nie uzbrojony, za to nie spuszczał szczura z oka, gotów w każdej chwili uskoczyć. Do tej pory siedział w swoim kącie rozmawiając z Marlowe'em. Poderwał się wraz z innymi, kiedy Max krzyknął. Było tuż po śniadaniu.

- Uwaga! - zawołał, przeczuwając, że szczur rzuci się nagle do ucieczki.

Max zamachnął się z całych sił, ale spudłował. Za drugim razem szczotka potrafiła szczura i przewróciła go na grzbiet, ale poderwał się błyskawicznie, popędził z powrotem do kąta i obrócił się sycząc, parszcząc i odsłaniając cienkie jak szpileczki zęby.

- Chryste, już myślałem, że tym razem sukinkot się wymknie - powiedział Król.

Włochate cielsko miało prawie trzydzieści centymetrów długości. Do tego dochodził trzydziestocentymetrowy ogon, nagi i u nasady gruby jak kciuk dorosłego mężczyzny. Małe, paciorkowate oczka, brunatne i plugawe, biegały to w lewo, to w prawo, szukając drogi ucieczki. Szczur miał zwężający się spiczasty łeb, wąski pysk i duże, bardzo duże siekacze. Ważył chyba z kilogram. Był zły i ogromnie niebezpieczny.

Max dyszał z wysiłku i nie spuszczał szczura z oczu.

- Chryste, jak ja nienawidzę szczurów - powiedział i splunął. - Brzydzę się nawet ich widoku. Zabijmy go. Gotowi?

- Zaczekaj, Max - rzekł Król. - Nie ma pośpiechu. Przecież nam nie ucieknie. Chcę zobaczyć, co robi.

- Co robi? Jeszcze raz spróbuje uciec, i tyle.

- To go zatrzymamy. Śpieszy nam się? - Król spojrział na szczura i uśmiechnął się szeroko. - Wpadłeś, sukinsynu. Już po tobie.

Szczur jakby zrozumiał, co do niego mówią, bo rzucił się na Króla z wyszczerzonymi zębami. Tylko gradem razów i dzikimi okrzykami udało się go zapędzić z powrotem do kąta.

- To bydlę rozerwałoby na strzępy, gdyby dosięgło tymi zębiskami. Nie wiedziałem, że szczury są takie szybkie - powiedział Król.

- Ej, a może byśmy go sobie zatrzymali? - zaproponował Tex.

- Co ci strzeliło do głowy!

- Moglibyśmy go trzymać. Na przykład jako maskotkę. A kiedy nie byłoby nic do roboty, tobyśmy go puszczali i gonili.

- Ty, Tex, to wcale nie jest takie głupie - odezwał się Dino. - Przypomniało ci się pewnie, co robili kiedyś, dawno temu z lisami.

- Obrzydliwy pomysł - powiedział Król. - Zabić drania można. Ale po co się nad nim znęcać, nawet jeżeli to szczur. Nic wam nie zrobił.

- Może i nic. Ale szczury to szkodniki. Nie mają prawa żyć.

- Właśnie, że mają - sprzeciwił się Król. - Gdyby nie one... Przecież one żrą padlinę, tak jak mikroby. Czy wiesz, co by było, gdyby nie szczury? Świat byłby jedną wielką kupą gnoju.

- E tam - powiedział Tex. - Szczury niszczą zbiory. Może to właśnie ten sukinsyn wyżarł od spodu worek z ryżem. Ma taki kałdun, że to całkiem możliwe.

- Właśnie - przyznał Max. - Jednej nocy udało im się ściągnąć prawie piętnaście kilo.

Szczur znów spróbował się uwolnić. Przebił się przez otaczających go ludzi i śmignął wzdłuż baraku. Udało się im osaczyć go w kącie, i to tylko dlatego, że mieli szczęście. Ponownie go otoczyli.

- Lepiej skończmy z nim. Następnym razem może nam się wymknąć - wysapał Król. I raptem go olśniło. - Zaczekajcie - zwrócił się do pozostałych, którzy coraz ciaśniejszym półkolem zamykali kąt baraku.

- O co chodzi?

- Mam pomysł - oznajmił Król i obrócił się szybko do Texa. - Weź koc. Prędko.

Tex podskoczył do swojego łóżka i zerwał z niego koc.

- A teraz weź z Maxem koc i złapcie do niego szczura - poleciał Król.

- Jak to?

- Chcę go mieć żywego. No, ruszcie się!
- Do mojego koca?! Zglupiałeś? Mam tylko ten jeden!
- Załatwię ci inny. Tylko złapcie szczura.

Wszyscy wytrzeszczyli na niego oczy. Tex wzruszył ramionami. Chwytał koc z jednej strony, Max z drugiej, i trzymając go jak parawan zbliżyli się do kąta. Reszta trzymała w pogotowiu kije i szczotki, na wypadek, gdyby szczur próbował uciec bokiem. Tex i Max runęli gwałtownie na podłogę i szczur zaplątał się w fałdach materiału. Zębami i pazurami torował sobie drogę ucieczki, ale Max wśród ogromnej wrzawy zwinął koc, który zamienił się w podrygującą kulę. Podnieceni łupem mężczyźni zaczęli krzyczeć.

- Uciszcie się - zarządził Król. - A ty, Max, trzymaj go i uważaj, żeby nie uciekł. Tex, nastaw kawę. Napijemy się wszyscy.

- Co to za pomysł? - spytał Marlowe.
- Jest za dobry, żeby go od razu zdradzać. Najpierw wypijemy kawę.

Kiedy już wszyscy pili kawę, Król wstał.

- A teraz, chłopcy, posłuchajcie mnie uważnie. Mamy szczura, tak czy nie?
- I co z tego? - spytał Miller, tak jak inni nie mogąc się nadziwić.
- Nie mamy co jeść, tak czy nie?
- No tak, ale...

- O mój Boże - rzekł w osłupieniu Marlowe. - Chyba nie proponujesz nam, żebyśmy go zjedli?

- Ależ skąd - zaprzeczył Król, a potem uśmiechnął się rozanielony. - My go nie będziemy jedli. Ale jest wielu takich, którzy chętnie kupiliby kawałek mięsa.

- Szczurzego? - spytał Byron Jones Trzeci z powagą, wybałuszając jedyne oko.

- Na głowę upadłeś. Myślisz, że ktoś kupi szczurze mięso? Na pewno nie! - zniecierpliwiał się Miller.

- Oczywiście, że nie kupi, jeśli będzie wiedział, że to szczurze. Ale przypuśćmy, że o tym nie wie, co wtedy? - Król odczekał chwilę, żeby do wszystkich dotarł sens jego słów, potem ciągnął dobrotliwym tonem: - Przypuśćmy, że nikomu o tym nie powiemy. Mięso będzie wyglądać jak każde inne. Powiemy, że to królik...

- Na Malajach nie ma królików, stary - przerwał mu Marlowe.

- W takim razie przypomnij sobie jakieś zwierzę, które jest mniej więcej tej samej wielkości.

- Można by powiedzieć, że to wiewiórka - odparł po chwili zastanowienia

Marlowe. - Albo... już wiem. - Rozjaśnił się. - Jelonek. Tak, jelonek...

- Coś ty, przecież jelenie są o wiele większe - wtrącił się Max, który nadal trzymał podrygujący koc. - Sam jednego upolowałem w Alleghenach...

- Tak, ale ja mówię o innym zwierzęciu z tej rodziny, które nazywa się *rusa ticus*. To jest takie małe zwierzątko, ma ze dwadzieścia centymetrów wzrostu i waży chyba niewiele ponad kilogram. Jest mniej więcej rozmiarów szczura. Tubylcy uważają jego mięso za wielki przysmak. - Roześmiał się. - *Rusa ticus* znaczy dosłownie mysi jeleń.

Król, zachwycony, zatarł ręce.

- Wspaniale, stary! - pochwalił go i rozejrzał się po otaczających go ludziach. - Będziemy sprzedawać udka *rusa ticus*. I to wcale nie będzie kłamstwo.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- No, to się pośmialiśmy, a teraz zabijmy tego cholernego szczura. Sprzedajmy nogi - powiedział Max. - Sukinsyn zaraz mi stąd ucieknie. A ja, jak pragnę zdrowia, wcale nie mam ochoty, żeby mnie pogryzł.

- Mamy jednego szczura - rzekł Król, całkowicie go ignorując. - Musimy sprawdzić, czy to samiec, czy samica. A wtedy złapiemy drugiego do pary i dopuścimy je do siebie. Raz, dwa, trzy i interes kwitnie.

- Interes? - zdziwił się Tex.

- A jak. - Król rozejrzał się radośnie. - Ludzie, zostaniemy hodowcami! Założymy hodowlę szczurów. Za zarobioną forszę będziemy kupować kury, a kmiotki niech jedzą *ticusa*. Dopóki nikt słówkiem nie piśnie, powodzenie zapewnione.

Zapadło trwożne milczenie, które przerwał Tex.

- A gdzie je będziemy trzymać, kiedy się będą rozmnażały? - spytał niepewnie.

- W schronie. No bo gdzie?

- Ale w wypadku nalotu... Schron może być nam potrzebny.

- Odgradzimy go z jednej strony. Wydzielimy część dla nich - odparł Król i oczy mu rozbłyły. - Pomyślcie tylko. Pięćdziesiąt takich olbrzymów na sprzedaż tygodniowo. Mamy w rękach kopalnię złota. Znacie to stare powiedzenie: "Mnożyć się jak szczury"...

- A jak szybko one się rozmnażają? - spytał Miller, drapiąc się bezmyślnie.

- Nie wiem. A może któryś z was wie? - Król czekał na odpowiedź, ale wszyscy zaprzeczyli potrząsając głowami. - Cholera, skąd by się dowiedzieć?

- Od Vexleya - powiedział Marlowe.

- Od kogo?

- Od Vexleya. Prowadzi kursy, uczy botaniki, zoologii i tym podobnych. Moglibyśmy go spytać.

Amerykanie wymienili spojrzenia, a potem nagle zaczęli wiwatować. Mało brakowało, a Max wśród okrzyków: "Pilnuj złota, ofiarno", "Nie wypuść go, jak rany", "Uważaj, Max", puściłby koc z miotającym się w środku szczurem.

- Dobra jest, trzymam drania. - Max uciszył harmider i zwrócił się do Marlowe'a: - Jak na oficera, fajny z ciebie chłop. No, to jak, idziemy do szkoły?

- Tak. Ale ty nie pójdziesz. Masz co innego do roboty - powiedział szorstko Król.

- Na przykład...?

- Na przykład skombinuj drugiego szczura. Przeciwnej płci. Ja z Peterem dowiemy się, czego trzeba. Więc do roboty!

Tex i Byron Jones Trzeci przygotowali schron na przyjęcie szczura. Znajdował się on dokładnie pod barakiem, miał dziewięć metrów długości, niecałe dwa metry wysokości i był szeroki na ponad metr.

- Wspaniale! - wykrzyknął podniecony Tex. - Tego ścierwa zmieści się tu tysiące!

W ciągu paru minut powstał plan odpowiednich drzwiczek. Tex poszedł ukraść kawałek drucianej siatki, której używano do budowy kojców dla kur, a Byron Jones Trzeci wybrał się po drewno. Jones uśmiechnął się, przypomniawszy sobie, że kilku Anglików miało parę ładnych kawałków drewna, których nie strzegli zbyt pilnie, i kiedy wrócił Tex, zdążył już zrobić ramę do drzwiczek. Gwoździe wyciągnięto z dachu baraku, a młotek, podobnie zresztą jak klucze, śrubokręty i mnóstwo innych niezbędnych narzędzi, "pożyczono" już dawno od jakiegoś nieuważnego mechanika w zakładzie naprawczym.

Kiedy drzwiczki były już zamontowane jak należy, Tex poszedł do Króla.

- Świetnie, znakomicie - rzekł Król, oglądając ich dzieło.

- Nie pojmuję, jak wy to robicie, że tak wam szybko idzie - dziwił się Marlowe.

- Jak trzeba, to się robi. Tak jest po amerykańsku - powiedział Król i dał znak Texowi, żeby przywołał Maxa.

Max wpełznął pod barak i dołączył do nich. Ostrożnie wypuścił szczura do ogrodzonej części schronu. Szczur miotał się wściekle, szukając możliwości ucieczki. Kiedy próby okazały się daremne, cofnął się do kąta i stamtąd syczał na nich

zapamiętacie.

- Wygląda zdrowo - powiedział uśmiechnięty Król.
- Musimy go jakoś nazwać - wtrącił Tex.
- To proste. Nazwiemy go Adam.
- No dobrze, a jeżeli to jest ona?
- To wtedy Ewa - odparł Król i wyczołgał się spod baraku. - Chodź, Peter.

Idziemy.

Kiedy po dłuższych poszukiwaniach odnaleźli majora lotnictwa Vexleya, wykład już się rozpoczął.

- Słucham? - spytał ze zdumieniem Vexley widząc, że w blasku słońca przed barakiem stoi Król w towarzystwie jakiegoś młodego oficera i obaj mu się przyglądają.

- Pomyśleliśmy sobie... - odezwał się Marlowe z zakłopotaniem - pomyśleliśmy sobie, że moglibyśmy chodzić na pańskie wykłady. Oczywiście, jeżeli nie przeszkadzamy - dodał prędko.

- Na moje wykłady? - spytał oszołomiony Vexley.

Był to jednooki mężczyzna, którego surową, przypominającą pergamin twarz pokrywały plamy i blizny po płomieniach ostatniego bombowca, którym leciał. Jego klasa liczyła zaledwie czterech uczniów, tępych i wcale nie zainteresowanych wykładanym przez niego przedmiotem. Zdawał sobie sprawę, że ciągnie te zajęcia wyłącznie z braku zdecydowania. Łatwiej mu było udawać, że wykłady cieszą się powodzeniem, niż je przerwać. Z początku był pełen entuzjazmu, ale teraz uświadamiał sobie, że to wszystko pozory. Gdyby jednak zawiesił zajęcia, straciłby cel w życiu.

Dawno, dawno temu w obozie powstał uniwersytet - Uniwersytet Changijski. Zorganizowano zajęcia. Tak rozkazała "góra". To dobrze zrobi żołnierzom, stwierdzili. Trzeba dać im coś do roboty. Uszlachetnić. Zmusić do zajęcia się czymkolwiek, a wtedy będzie spokój.

Prowadzono kursy językowe, plastyczne i inżynierskie, gdyż wśród stu tysięcy ludzi, bo tyle liczyła pokonana armia, było przynajmniej po jednym specjalistcie w każdej z tych dziedzin.

Wiedza o świecie. Wielka szansa. Poszerzenie horyzontów. Zdobycie zawodu. Przygotowanie do Utopii, która nastanie, kiedy tylko skończy się ta przeklęta wojna i życie potoczy się zwykłym trybem. Uniwersytet był istic ateński. Nie miał sal wykładowych, a tylko nauczyciela, który wynajdywał jakieś ocienione miejsce i zbierał

wokół siebie swoich uczniów.

Jednakże uwięzieni w Changi jeńcy byli zwykłymi ludźmi. Wciąż sobie powtarzali: "Od jutra zacznę chodzić na wykłady". Niektórzy chodzili na nie, ale kiedy stwierdzili, że nauka nie przychodzi łatwo, opuszczali najpierw jedno, drugie zajęcia, a potem mówili: "Od jutra znów zacznę chodzić. Będę od jutra chodzić, żeby stać się takim, jakim chcę być potem. To grzech tracić czas. Od jutra naprawdę wezmę się za naukę".

Ale w Changi, tak jak wszędzie, żyło się tylko dniem dzisiejszym.

- Naprawdę chcą panowie chodzić na wykłady? - powtórzył z niedowierzaniem Vexley.

- Czy na pewno nie sprawimy panu kłopotu, panie majorze? - spytał serdecznym tonem Król.

Vexley wstał podekscytowany i zrobił dla nich miejsce w cieniu.

Nowy narybek niezmiernie go uradował. I to kto! Sam Król! To dopiero sukces! - pomyślał. Król na moich wykładach! Może będzie miał papierosy...

- Witam cię, chłopcze, witam - rzekł i serdecznie uściśnął wyciągniętą dłoń Króla. - Major lotnictwa Vexley.

- Miło mi pana poznać, panie majorze.

- Kapitan lotnictwa Marlowe - przedstawił się Peter Marlowe, ściskając dłoń majora, i usiadł w cieniu.

Vexley czekał podniecony, aż nowi słuchacze usadowią się. W roztargnieniu nacisnął kciukiem wierzch dłoni i liczył sekundy, w ciągu których wgłębienie w skórze powoli się wyrównało. Pelagra ma swoje dobre strony, pomyślał. Myśl o skórze i kościach skojarzyła mu się z wielorybami i jego wyłupiaste oko zabłysło.

- Dziś chciałem wam opowiedzieć o wielorybach. Czy wiecie coś na ich temat?... Ooo - rzekł zachwycony, kiedy Król wyciągnął paczkę kooa i poczęstował go, a potem także resztę klasy.

Wszyscy czterej uczniowie wzięli po papierosie i przesunęli się, robiąc Królowi i Marlowe'owi więcej miejsca. Dziwili się w duchu, czego, u licha, Król tu szuka, ale tak naprawdę niewiele ich to obchodziło, dostali przecież od niego prawdziwe, fabryczne papierosy.

Vexley podjął wykład o wielorybach. Uwielbiał te zwierzęta. Uwielbiał je nieprzytomnie.

- Wieloryby są bez wątpienia najwyższą formą istnienia, jaką zdołała osiągnąć

natura - rzekł, z wielką przyjemnością wsłuchując się w głęboki ton swego głosu. Zauważył, że Król skrzywił się. - Czy są jakieś pytania? - spytał skwapliwie.

- Owszem - powiedział Król. - Wieloryby są ciekawe, a szczury?

- Nie bardzo rozumiem - odparł grzecznie Vexley.

- To bardzo ciekawe, co pan mówi o wielorybach. Ale właśnie myślałem o szczurach.

- Jak to o szczurach?

- Zastanawiałem się, czy pan coś o nich wie - wypalił Król. Miał sporo roboty i nie chciał tracić czasu na jakieś dyrdymały.

- Koledze chodzi o to - wtrącił szybko Marlowe - że jeśli wieloryby zachowują się bardzo podobnie do człowieka, to czy dotyczy to również szczurów?

Vexley potrząsnął głową i powiedział z niesmakiem:

- Gryzonie są zupełnie inne. Wracając do wielorybów...

- A czym się różnią? - spytał Król.

- Gryzoniami zajmę się w semestrze wiosennym - odparł z rozdrażnieniem Vexley. - To obrzydliwe zwierzęta. Nie ma w nich nic, zupełnie nic, co mogłoby się podobać. A teraz weźmy dla przykładu takiego płetwala błękitnego - wrócił pośpiesznie do tematu. - O, to jest dopiero prawdziwy olbrzym wśród wielorybów. Ma ponad trzydzieści metrów długości, a jego waga dochodzi czasem do stu pięćdziesięciu ton. Jest to największe stworzenie, które żyje - i kiedykolwiek żyło - na ziemi. Jest najpotężniejsze ze spotykanych obecnie zwierząt. No, a jego zwyczaje godowe... - powiedział prędko, wiedząc, że opowieści o życiu seksualnym zwierząt niezawodnie przyciągają uwagę uczniów. - Gody płetwala błękitnego to coś zaiste wspaniałego. Samiec rozpoczyna zaloty wydmuchując przepiękne obłoki pyłu wodnego. Młóci wodę ogonem tuż przy samicy, czekającej cierpliwie i z pożądaniem na powierzchni oceanu. A potem daje głębokiego nura, żeby wystrzelić w powietrze wielki, olbrzymi, ogromny, i spaść z łoskotem grzmocąc ogonem w powierzchnię wody, która kipi spieniona. - Vexley ściszył głos do namiętnego szeptu. - Wreszcie pod pływa do wybranki i zaczyna łaskotać ją płetwami...

Nawet Król, mimo że myśli zajęte miał szczurami, uważnie nadstawił uszu.

- A wtedy porzuca umizgi i znów daje nura, zostawiając ją dyszącą na powierzchni. Czyżby opuszczał ją na dobre? - Vexley zrobił dramatyczną pauzę. - Otóż nie. Nie opuszcza jej. Znika mniej więcej na godzinę w głębinach oceanu, gdzie nabiera sił. A potem znów wystrzela w górę, rozsadzając powierzchnię wody, i spada z

hukiem gromu w niebotycznej fontannie wodnego pyłu. Okręca się raz i drugi, ściskając mocno samicę płetwami, i syci się nią aż do wyczerpania.

Vexley również był wyczerpany, mając przed oczami wspaniały widok spółkujących olbrzymów. Ach, niepozorna ludzka istoto, żebyś mogła ujrzeć to kiedyś na własne oczy, być tam...

- Gody odbywają się koło lipca w ciepłych wodach - ciągnął pośpiesznie. - Po urodzeniu wielorybiątko waży pięć ton i ma około dziewięciu metrów długości. - Roześmiał się wypróbowanym śmiechem. - Pomyślcie tylko...

Słuchacze skwitowali to uprzejmymi uśmiechami, a Vexley wystąpił z "gwoździem" swojego wykładu, niezawodnie wzbudzającym rubaszny śmiech.

- A jak wyobrazicie sobie rozmiary młodego wieloryba, pomyślcie tylko, jakiego małego ma ten duży, co?

I znów grzeczne uśmiechy. Dawni uczniowie już nie raz słyszeli te opowieści.

Następnie Vexley opowiedział im, jak przez siedem miesięcy samica karmi młode wielorybie, dostarczając mu mleka z dwóch ogromnych sutek znajdujących się w tylnej części brzucha.

- Z pewnością zdajecie sobie sprawę, że z dłuższym karmieniem pod wodą wiążą się pewne kłopoty - mówił z zachwytem.

- Czy szczury też karmią młode mlekiem? - wyrwał się z pytaniem Król.

- Tak - potwierdził zbity z tropu major. - A teraz chciałbym wam opowiedzieć o ambrze...

Król westchnął z rezygnacją i słuchał dalej opowieści Vexleya o ambrze i kaszalotach, zębowcach, bielugach, grindwałach, morświnach i dziobaczach, o narwałach, miecznikach i humbakach, o doglingach i fiszbinowcach, wielorybach pospolitych i polarnych, a wreszcie o wałach grenlandzkich.

Zanim major doszedł do tych ostatnich, wszyscy słuchacze, z wyjątkiem Marlowe'a i Króla, rozeszli się. Kiedy Vexley skończył, Król wypalił prosto z mostu:

- Mnie interesują szczury.

Vexley jęknął.

- Szczury?

- Proszę, niech pan sobie zapali - rzekł dobrotliwie Król.

ROZDZIAŁ X

- No dobra, chłopcy, na miejsce - poleciał Król. Odczekał, aż w baraku ucichnie, a w drzwiach stanie ktoś na czatach. - Mamy kłopot - oznajmił.

- Z Greyem? - spytał Max.

- Nie. Chodzi o naszą hodowlę. Opowiedz im, Peter - zwrócił się Król do Marlowe'a, który przysiadł na brzegu łózka.

- Wygląda na to, że szczury... - zaczął Marlowe.

- Opowiedz im od początku.

- Wszystko?

- No pewnie. Oświeć ich, a potem zastanowimy się razem jak i co.

- Dobrze. A więc znaleźliśmy Vexleya, a on powiedział nam, cytując: "*Rattus norvegicus*, czyli szczur norweski, zwany czasem *Mus decumanus*..."

- A co to znowu za mowa? - spytał Max.

- O rany, to łacina. Każdy głupi wie - warknął Tex.

- Ty znasz łacinę, Tex? - spytał Max wytrzeszczając oczy.

- Coś ty, ale te idiotyczne nazwy zawsze są po łacinie...

- Chcecie się dowiedzieć, czy nie? - przerwał im Król, po czym dał znak Marlowe'owi, żeby mówił dalej.

- W każdym razie Vexley opisał je szczegółowo: owłosione, bezwłosy ogon, waga do dwóch kilo, a w tej części świata zwykle około kilograma. Szczury te parzą się bez wyboru i nie mają okresu godowego...

- Cholera, nic z tego nie rozumiem.

- Samiec dmucha każdą samicę, jaka mu się nawinie, i to na okrągło przez cały rok - wyjaśnił zniecierpliwiony Król.

- To znaczy tak jak my? - spytał niewinnie Jones.

- Tak, chyba tak - odparł Marlowe. - W każdym razie szczury parzą się przez cały rok i samica może mieć rocznie do dwunastu miotów, a w nich zwykle po dwanaście, a czasami nawet aż czternaście młodych. Szczury rodzą się ślepe i nieporadne w dwadzieścia dni po... -dobierał starannie odpowiednie słowo - stosunku. Zaczynają widzieć po upływie czternastu do siedemnastu dni, a po dwóch miesiącach osiągają dojrzałość płciową. Przestają się rozmnażać w wieku dwu lat, a mając trzy lata są już stare.

- Ja cię kręcę! - odezwał się z zachwytem Max w przeraźliwej ciszy. - Kłopotów mamy rzeczywiście od groma. Jeżeli po dwóch miesiącach młode zaczną się rozmnażać i będziemy ich mieli po dwanaście, no, powiedzmy dla równego rachunku, po dziesięć w miocie, to sami sobie obliczcie. Dajmy na to, że w pierwszym dniu mamy dziesięć młodych. Kolejne dziesięć w dniu trzydziestym. Do dnia sześćdziesiątego z pierwszej pary mamy ich pięćdziesiąt. W dniu dziewięćdziesiątym rozmnaża się kolejne pięć par i mamy kolejne pięćdziesiąt sztuk młodych. W dniu sto dwudziestym będzie ich dwieście pięćdziesiąt plus pięćdziesiąt i nowa porcja dwustu pięćdziesięciu. O rany, wychodzi sześćset pięćdziesiąt w ciągu pięciu miesięcy. Jeszcze jeden miesiąc i mamy prawie sześć tysięcy pięćset...

- Jezus, trafiliśmy na żyłę złota! - zawołał Miller, drapiąc się zapamiętałe.

- I to jaką - przyznał Król. - Ale najpierw trzeba się trochę zastanowić. Po pierwsze, nie możemy ich trzymać wszystkich razem, bo się zjedzą. Wynika z tego, że musimy oddzielić samce od samic, chyba że akurat będziemy je do siebie dopuszczają. A po drugie, i samce, i samice bez przerwy się ze sobą żrą. Co oznacza, że trzeba porozdzielać wszystkie samce i wszystkie samice.

- To je porozdzielamy. Co w tym trudnego?

- Nic trudnego, Max, ale potrzebujemy klatek i wszystko musimy jakoś zorganizować - tłumaczył cierpliwie Król. - Co wcale nie będzie takie łatwe.

- E tam, nie ma sprawy. Możemy przecież narobić klatek na zapas - powiedział Tex.

- Myślisz, że uda nam się utrzymać hodowlę w tajemnicy? Wtedy kiedy będziemy ją zakładać?

- A niby dlaczego ktoś miałby się o tym dowiedzieć?

- Aha, jeszcze jedno - rzeki Król. Zadowolony był ze swoich pobratymców, a jeszcze bardziej z całego przedsięwzięcia. Bardzo mu to odpowiadało: czekać i nic nie robić. - Żrą wszystko, obojętnie: żywe czy martwe. Dosłownie wszystko. A więc nie będzie problemu z zaopatrzeniem.

- Ale szczury są brudne i będzie je czuć na kilometr - wtrącił Byron Jones Trzeci. - Dość tu wszędzie smrodu, po co go sobie jeszcze dokładać pod własnym barakiem. A poza tym szczury przenoszą dżumę!

- Może to chodzi tylko o jeden rodzaj szczurów, tak samo jak jeden rodzaj komarów przenosi malarię - powiedział z nadzieją Dino, błędząc czarnymi oczami po twarzach towarzyszy.

- Pewnie, że szczury przenoszą dżumę - rzekł Król wzruszając ramionami. - Zresztą przenoszą mnóstwo innych ludzkich chorób. Ale co z tego. Mamy zrobić majątek, a wy, łachy, szukacie minusów! To nie po amerykańsku!

- No, owszem, ale co z tą dżumą? Skąd mamy wiedzieć, czy one są bezpieczne, czy nie? - spytał niezdecydowanie Miller.

Król roześmiał się.

- Spytaliśmy o to Vexleya, a on na to, cytuję: "Można się o tym szybko przekonać. Albo się od razu umiera, albo wcale". Koniec cytatu. Przecież to tak samo jak z kurami. Utrzymuje się je w czystości, dobrze karmi i hodowla kwitnie! Nie ma strachu.

I tak rozmawiali o hodowli, o wynikających z niej niebezpieczeństwach i możliwościach, które doceniali wszyscy - z zastrzeżeniem, że nie będą musieli jeść tego, co wyhodowali, swojego produktu - a także o problemach związanych z tak olbrzymim przedsięwzięciem. I wtedy nagle do baraku wszedł Kurt z wyrwijającym się kocem w rękach.

- Mam drugiego szczura - oznajmił posepnie.

- Naprawdę?

- A jak. Wy tu sobie gadu-gadu, a ja działam. To samica - powiedział i splunął na podłogę.

- Skąd wiesz?

- Obejrzałem. Dosyć się naoglądałem szczurów w marynarce handlowej. A tamten na dole to samiec. Też go obejrzałem.

Wcisnęli się wszyscy pod barak, żeby widzieć, jak Kurt wrzuca Ewę do okopu. Oba szczury natychmiast szczepiły się z furją, a obserwujący je ludzie z trudem powstrzymywali się od wiwatów. Pierwszy miot był już w drodze.

Na hodowcę wybrano Kurta, który bardzo się z tego ucieszył. Dzięki temu mógł mieć pewność, że dostanie to, co mu się będzie należało. Pewnie, trzeba doglądać szczurów. Ale jedzenie to jedzenie. Kurt wiedział, że jeżeli ktoś przeżyje ten obóz, z pewnością będzie nim właśnie on.

ROZDZIAŁ XI

Po upływie dwudziestu dni Ewa urodziła małe. W sąsiedniej klatce Adam szarpał pazurami druty, żeby dostać się do żyjącego mięsa, i dopiąłby swego, gdyby Tex w porę nie zauważył dziury w siatce. Ewa karmiła młode. Byli tam Kain, Abel, Grey i Alliluha oraz samiczki - Beulah, Mabel, Junt, Księżniczka, Mała Księżniczka, Duża Mabel, Duża Junt i Duża Beulah. Z wyborem imion dla samców nie było kłopotu, ale nikt nie chciał się zgodzić, żeby którąś z samiczek nazwano imieniem jego dziewczyny, siostry lub matki. A jeśli już ktoś zaproponował imię swojej teściowej, okazywało się, że takie samo imię nosiła czyjaś dawna sympatia albo krewna. Upłynęły trzy dni, zanim zgodzili się na imiona Beulah i Mabel.

Kiedy młode skończyły dwa tygodnie, przeniesiono je do osobnych klatek. Król, Peter Marlowe, Tex i Max odczekali do południa, żeby Ewa doszła do siebie, a potem dopuścili do niej Adama. Tak poczęty został drugi miot.

- Jesteśmy bogaci, Peter - powiedział z zadowoleniem Król, kiedy przeciskali się przez otwór w podłodze.

Król zdecydował się na zrobienie tego przejścia, gdyż wiedział, że liczne wycieczki pod barak mogą wzbudzić ludzką ciekawość. A niezbędnym warunkiem powodzenia hodowli było zachowanie jej w tajemnicy. Nawet Mac i Larkin nie wiedzieli o niczym.

- Gdzie są wszyscy? - spytał Marlowe, zamykając za sobą drzwiczki w podłodze.

W baraku był tylko Max, który leżał na swojej pryczy.

- Zagnano frajerów do roboty. Tex jest w szpitalu, a reszta plądruje po okolicy.

- Chyba pójde i też popładruję. Przynajmniej będę miał o czym myśleć.

- Myśleć? Mam coś dla ciebie. Jutro w nocy idziemy do wioski - powiedział ściszym głosem Król wchodząc, po czym zawołał do Maxa: - Ej, Max, znasz Prouty'ego, australijskiego majora z jedenastki?

- Tego starego? Oczywiście.

- On wcale nie jest stary. Ma najwyżej czterdziestkę.

- Dla mnie czterdziestolatek jest stary jak świat. Do takiego wieku brakuje mi całych osiemnastu.

- To ci się chyba powinno udać - rzekł Król. - Pójdiesz do Prouty'ego i powiesz mu, że to ja cię przysyłam.

- I co?

- Tylko tyle. Po prostu idź do niego. I sprawdź, czy nie kręci się tu gdzieś Grey... albo któryś z jego szpiclów.

- Już idę - odparł niechętnie Max i zostawił ich samych.

Marlowe spoglądał ponad ogrodzeniem, wypatrując brzegu morza.

- Zastanawiałem się już, czy się nie rozmyśliłeś - powiedział.

- Sądziłeś, że cię nie zabiorę?

- Tak.

- Nie masz się o co martwić, Peter. - Król wyjął kawę i wręczył Marlowe'owi kubek. - Zjesz ze mną? - spytał.

- Nie mam pojęcia, jak ty to robisz – mruknął Marlowe. - Wszyscy głodują, a ty zapraszasz mnie na obiad.

- Będę jadł katchang idju.

Król otworzył kluczykiem czarną skrzynkę, wyjął z niej woreczek z małymi, zielonymi ziarnkami i podał go Marlowe'owi.

- Zajmiesz się tym? - spytał.

Kiedy Marlowe wyszedł na dwór i mył fasolę pod kranem, Król otworzył konserwę z wołowiną i ostrożnie przełożył zawartość puszki na talerz.

Marlowe wrócił z fasolą. Ziarna były porządnie wymyte, na powierzchni wody nic nie pływało. Świetnie, pomyślał Król. Peterowi nie trzeba dwa razy powtarzać. Aluminiowe naczynie zawierało też dokładnie odmierzoną ilość wody, to znaczy sześć razy tyle co grubość warstwy fasoli.

Król postawił blaszankę na maszynie i wsypał do wody łyżkę cukru i dwie szczypty soli. A potem włożył jeszcze połowę konserwowej wołowiny.

- Masz dziś urodziny? - spytał Marlowe.

- Co?

- Chcesz naraz jeść katchang idju i wołowinę?

- Dziwisz się, bo sam jadasz marnie.

Wdychając aromat i słysząc bulgotanie potrawy Marlowe cierpiał katusze. W zeszłym tygodniu było ciężko. Obóz ucierpiał na tym, że odkryto radio. Japoński komendant „z żalem” obniżył jeńcom racje żywnościowe w związku ze „złymi zbiorami”, tak że grupy zużyły nawet skromne zapasy odłożone na czarną godzinę. Jakimś cudem nie było innych reperkusji. Oczywiście, oprócz zmniejszonych racji.

W grupie Marlowe'a zmniejszenie racji najbardziej uderzyło w Maca. A

właściwie to i bezużyteczność ukrytego w ich manierkach radia.

- Niech to szlag! - klął Mac po kilkutygodniowych próbach odszukania usterki.
- Wszystko na nic, chłopcy. Bez rozłożenia tego draństwa na części nic się nie da zrobić. Na oko wszystko jest w porządku. Ale musiałbym mieć narzędzia i jakąś baterię, żeby znaleźć, co tam nie gra.

W jakiś czas potem Larkin zdobył małą baterijkę. Mac zebrał uchodzące siły i znów szukał, próbował, sprawdzał. Wczoraj, właśnie podczas takich prób, jęknął i zemdleł, pogrążając się w malarycznej śpiączce. Marlowe z Larkinem zanieśli go do szpitala i położyli na łóżku. Lekarz stwierdził, że to tylko malaria, ale dodał, że wobec przygnębienia chorego może ona łatwo stać się niebezpieczna.

- Co ci jest, Peter? - spytał Król spostrzegłszy, że Marlowe nagle spowaźniał.

- Nic. Myślę o Macu.

- A co mu jest?

- Wczoraj musieliśmy go zanieść do szpitala. Nie jest z nim najlepiej.

- Malaria?

- Przede wszystkim.

- To znaczy?

- No, ma wysoką gorączkę. Ale nie to jest najgorsze. *Zdarzają* mu się okresy strasznej depresji. Martwi się - o żonę i syna.

- Wszyscy żonaci na to cierpią.

- Z nim jest trochę inaczej - rzekł ze smutkiem Marlowe. - Widzisz, tuż przed wylądowaniem Japończyków na Singapurze Mac wsadził żonę z synkiem na statek odpływający ostatnim konwojem z prawdziwego zdarzenia. Sam ze swoją jednostką wyruszył na Jawę przybrzeżną łajbą. Kiedy tam dotarł, dowiedział się, że cały konwój został albo całkowicie zniszczony, albo schwytany przez wroga. Takie krążyły pogłoski, nic nie wiadomo na pewno. Więc Mac nie ma pojęcia, czy dopłynęli, czy zginęli, czy żyją. A jeśli żyją, to gdzie? Jego synek był całkiem malutki, miał wtedy zaledwie cztery miesiące.

- No to teraz chłopak ma trzy lata i cztery miesiące - orzekł Król. - Zasada numer dwa: "Nie martwić się o nic, czemu nie można zaradzić". - Wyjął z czarnej skrzynki fiolkę z chininą, odliczył dwadzieścia tabletek i podał je Marlowe'owi. - Masz - powiedział. - To załatwi malarię.

- A ty?

- Mam tego mnóstwo. Nie zastanawiaj się, bierz.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego jesteś taki hojny. Dajesz nam jedzenie i lekarstwa. A co masz od nas? Nic. Nie rozumiem tego.

- Jesteś przyjacielem.

- O Boże, ale krępuję się przyjmować aż tyle.

- Daj spokój. Masz - powiedział Król i zaczął wykladać łyżką duszoną potrawę. Siedem łyżek sobie, siedem Marlowe'owi. W blaszance została jeszcze blisko jedna czwarta dania.

Pierwsze trzy łyżki zjedli szybko, żeby zaspokoić głód, resztę spożywali powoli, rozkoszując się niezrównanym smakiem jada.

- Chcesz jeszcze? - spytał Król. Czekać na odpowiedź, myślał: Jak ja ciebie dobrze znam, Peter. Wiem, że zjadłbyś jeszcze tonę. Ale nie zjesz nic, choćby od tego zależało twoje życie.

- Nie, dziękuję. Najadłem się tak, że więcej już mi się nie zmieści.

Król pomyślał, że dobrze jest znać swojego przyjaciela. Trzeba być ostrożnym. Nałożył sobie jeszcze jedną łyżkę, nie dlatego, żeby miał ochotę, czuł jednak, że musi to zrobić, bo inaczej wprawi Anglika w zakłopotanie. Zjadł więc dokładkę, a resztę odstawił.

- Skręć mi dymka, dobrze? - poprosił.

Rzucił Marlowe'owi tytoń i bibułki i odwrócił się. Włożył wołowinę z puszki do resztek potrawy i wymieszał je. Potem rozłożył jedzenie do dwóch menażek, przykrył je i odstawił.

- Sobie też zrób - powiedział.

- Dziękuję.

- O rany, Peter, nie czekaj, aż cię poczęstuję. Masz, nasyp sobie do pudełka.

Wyjął pudełko z rąk Marlowe'a i wypełnił je po brzegi tytoniem "Trzej Królowie".

- Co zrobisz z "Trzema Królami"? - spytał Marlowe. - Tex jest przecież w szpitalu!

- Nic. - Król wypuścił dym nosem. - Podebrano nam ten pomysł. Australijczycy odkryli sposób i obniżyli cenę.

- O, to niedobrze. Jak myślisz, skąd się o tym dowiedzieli?

Król uśmiechnął się.

- To i tak był interes na krótką metę - powiedział.

- Nie rozumiem.

- Na krótką metę? To znaczy, że coś szybko się zaczyna i szybko kończy. Mały kapitał, szybki zysk. Wszystko mi się zwróciło w ciągu dwóch tygodni.

- Mówiłeś przecież, że pieniądze, które zainwestowałeś, zwrócą ci się dopiero po kilku miesiącach.

- Handlowa gadka-szmatka. Dla klienteli. Handlowa gadka to taki chwyt. Jeden ze sposobów na to, żeby ludzie w coś uwierzyli. Ludzie zawsze chcą mieć coś za nic. No więc trzeba ich przekonać, że cię okradają, że jesteś naiwniak, a oni, kupujący, są sto razy sprytniejsi od ciebie. Weźmy na przykład "Trzech Króli". Sprzedawcy, czyli ci, którzy kupowali ode mnie jako pierwsi, byli przekonani, że są u mnie zadłużeni i że jeśli miesiąc dobrze popracują, to staną się moimi wspólnikami i od tej pory zaczną prosperować, oczywiście za moje pieniądze. Myśleli, że jestem głupi, dając im po miesiącu taką szansę. Ale ja wiedziałem, że metoda się wyda i cały interes długo nie potrwa.

- Wiedziałeś o tym? Skąd?

- To jasne. Zresztą tak to zaplanowałem. Sam zdradziłem sposób na ten tytoń.

- Co?!

- Tak jest. Sprzedałem go za pewną informację.

- No tak, rozumiem. Znałeś sposób i mogłeś z nim zrobić, co chciałeś. Ale co z tymi wszystkimi, którzy sprzedawali tytoń?

- Jak to co?

- Wygląda na to, że w jakimś sensie wykorzystałeś ich. Kazałeś im przez miesiąc pracować właściwie za darmo, a potem zostawiłeś ich na lodzie.

- Co ty wygadujesz, Peter! Zarobili na tym parę dolców. Wzięli mnie za naiwniaka, ale byłem od nich sprytniejszy, i to wszystko. Tak to już jest w interesach.

Rozbawiony naiwnością Anglika, Król wyciągnął się na łóżku. Marlowe ściągnął brwi i starał się zrozumieć to, co usłyszał.

- Kiedy ktoś zaczyna mówić o interesach, gubię się całkowicie - powiedział. - Czuję się jak kompletny idiota.

- Posłuchaj, wkrótce będziesz się targował z najlepszymi z nich - rzekł Król i zaśmiał się.

- Wątpię.

- Robisz coś dziś wieczorem? Gdzieś tak godzinę po zmierzchu?

- Nie. A dlaczego pytasz?

- Mógłbyś dla mnie potłumaczyć?

- Chętnie. Będziesz rozmawiał z Malajczykiem?

- Nie, z Koreańczykiem.

- Ach tak! - powiedział Marlowe. - Oczywiście - dodał zaraz, żeby ukryć nieprzyjemne zdziwienie.

Król zauważył jego niechęć, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Zawsze twierdził, że człowiek ma prawo do takich czy innych przekonań. I jeżeli nie kłóciły się one z jego własnymi zamierzeniami, wszystko było w porządku.

Do baraku wszedł Max i zwałił się na pryczę.

- Przez bitą godzinę szukałem skurczybyka - oznajmił. - Wreszcie znalazłem go w ogrodzie. Chryste, przez te szczyny, których używają jako nawozu, całe to kurewskie miejsce cuchnie jak burdel w Harlemlie w letni dzień.

- A ty akurat wyglądasz na takiego, który korzysta z burdelu w Harlemlie.

Opryskliwość Króla i chrapliwość jego głosu zdumiały Marlowe'a. Szybko znikły gdzieś uśmiech i zmęczenie Maxa.

- O rany, przecież nic takiego nie miałem na myśli - zaprotestował. - Tak się po prostu mówi.

- To dlaczego wybrałeś akurat Harleml? Chcesz powiedzieć, że śmierdzi jak w burdelu, proszę bardzo. Wszystkie cuchną jednakowo, bez różnicy, biały czy czarny. - Król mówił głosem twardym i nieprzyjemnym, a twarz miał ściągniętą tak, że przypominała maskę.

- Po co te nerwy? Przepraszam. Nic takiego nie chciałem powiedzieć.

Dopiero teraz Max przypomniał sobie, że Król jest drażliwy na punkcie Murzynów i nie lubi, jak mówi się o nich źle. Kiedy się mieszka w Nowym Jorku, nie można uciec od Harlemlu, bez względu na to, co się o nim myśli. Są tam burdele, a jakże, i nie ma to jak raz na jakiś czas kolorowa dupcia. Tak czy inaczej, niech mnie szlag, jeżeli wiem, czemu on taki drażliwy na punkcie czarnuchów, pomyślał rozgoryczony.

- Nic takiego nie chciałem powiedzieć - powtórzył, starając się ze wszystkich sił nie patrzeć najedzenie. Idąc do baraku, przez całą drogę czuł jego zapach. - Znalazłem go i powiedziałem, co kazałeś.

- No i...?

- Dał mi coś dla ciebie... - powiedział Max, spoglądając na Marlowe'a.

- No to nad czym się zastanawiasz. Dawaj!

Król dokładnie obejrzał przyniesiony zegarek, nakręcił go i przyłożył do ucha.

Max tymczasem cierpliwie czekał.

- Czego chcesz, Max?

- Nie, nic. Ale... mogę pozmywać, jeśli sobie życzysz.

- Dobra, a potem spływaj stąd.

- Jasne.

Max zebrał brudne naczynia i potulnie wyniósł je na dwór, przysięgając sobie w duchu, że kiedyś dostanie Króla w swoje ręce, żeby nie wiem co. Marlowe nie odezwał się ani słowem. Pomyślał tylko, że to dziwne. Dziwne i niewiarygodne. Król ma nerwy! A nerwy to wprawdzie rzecz cenna, ale najczęściej niebezpieczna. Wybierając się na akcję, ważne, żeby wiedzieć, co wart jest skrzydłowy. Przed niebezpieczną akcją, powiedzmy, taką jak wyprawa do wioski, mądrze jest się upewnić, kto zabezpiecza tyły.

Król ostrożnie odkręcił werk zegarka. Był on wodoszczelny, z nierdzewnej stali.

- Aha! Tak właśnie myślałem - rzekł Król.

- Co?

- Podrobiony. Spójrz.

Marlowe przyjrzał się zegarkowi dokładnie.

- Dla mnie jest to dobry zegarek.

- Owszem, ale nie taki, za jaki uchodzi, to znaczy, nie omega. Koperta jest w porządku, ale mechanizm stary. Jakiś sukinsyn go podmienił.

Król przykręcił werk i w zamyśleniu podrzucił zegarek na dłoni.

- A więc widzisz, Peter. Tak jak ci mówiłem. Trzeba być ostrożnym. Powiedzmy, że sprzedaję ten zegarek jako omegę i nie wiem, że jest podrobiony. W rezultacie mogę mieć duże nieprzyjemności. Ale wystarczy, że o tym wiem, i już mogę kombinować. Ostrożność nigdy nie zawadzi. - Uśmiechnął się. - Napijmy się jeszcze trochę kawy, interes się rozkręca.

Uśmiech znikł jednak z jego twarzy na widok Maxa, który wrócił z pozmywanymi naczyniami, postawił je bez słowa, skinął służalczo głową i wyszedł.

- Skurwysyn - wyszeptał Król.

Grey nie doszedł jeszcze do siebie po dniu, w którym Yoshima znalazł radio. Idąc wyboistą ścieżką do baraku zaopatrzeniowego, rozmyślał nad nowymi obowiązkami, które potem szczegółowo nakreślił mu pułkownik Smedly-Taylor. Mimo że oficjalnie powinien wykonywać nowe polecenia, w rzeczywistości na

wszystko miał przymknąć oczy i nie robić nic. I bądź tu mądry, pomyślał. Cokolwiek zrobię, będzie źle.

Poczuł w żołądku narastający paroksyzm bólu. Przystanął czekając, aż minie. To nie była czerwonka, tylko biegunka, a lekko podwyższona temperatura nie była oznaką malarii, tylko lekkim atakiem dungi, gorączki tropikalnej, choroby lżejszej, choć zdradliwszej, która nachodziła go i ustępowała bez widocznego powodu. Był bardzo głodny. Nie miał żadnych zapasów żywności, nawet jednej puszki, ani pieniędzy, za które mógłby kupić coś do jedzenia. Musiały mu wystarczyć przydzielone racje bez najmniejszych dodatków, a były one stanowczo za małe, stanowczo.

Klnę się na wszystko, że kiedy stąd wyjdę, nigdy już nie będę głodny, przyrzekał sobie. Zjem tysiąc jajek, tonę mięsa, będę jadł ryby, pił herbatę i kawę z cukrem. Razem z Triną będziemy gotowali od rana do wieczora, a kiedy nie będziemy akurat gotować czy jeść, będziemy się kochać. Kochać? Raczej zadawać sobie ból. Trina, ta dziwka, z tym jej: "Ach, taka jestem zmęczona" albo: "Boli mnie głowa", albo: "Na miłość boską, znowu?", albo: "No dobrze, zdaje się, że nie mam wyboru", albo: "Możemy zrobić to teraz, jeśli ty sobie tego życzysz", albo: "Nie możesz choć raz zostawić mnie w spokoju?", mimo że to wcale nie było tak często i tyle razy powstrzymywał się i cierpiał. Albo to gniewne: "Dobrze już, dobrze", po którym zapalało się światło, ona wstawała z łóżka i jak burza wypadała z pokoju do łazienki, żeby się "przygotować", a on oglądał jej olśniewająco piękne ciało przez przezroczysty materiał, dopóki nie zamknęły się za nią drzwi, i czekał, czekał w nieskończoność, aż wreszcie światło w łazience gasło i Trina wracała do pokoju. Zanim dotarła od drzwi do łóżka, upływała wieczność, a on widział tylko jej nieskazitelne ciało okryte jedwabną tkaniną, czuł na sobie jej zimne spojrzenie i nie był w stanie spojrzeć jej w oczy. Brzydził się sobą. Potem była z nim, wkrótce wszystko kończyło się w milczeniu, ona wstawała, szła do łazienki i myła się tak, jakby jego miłość była czymś brudnym. Z kranu płynęła woda. Kiedy Trina wracała, była świeżo wyperfumowana, a on, nie zaspokojony, znowu brzydził się sobą za to, że ją wziął, kiedy tego nie chciała. I tak było zawsze. W ciągu sześciu miesięcy małżeńskiego pożycia, z czego razem byli dwadzieścia jeden dni, kiedy on wychodził na przepustkę. Sprawiali sobie ból dziewięć razy. A przecież nigdy nie zrobił jej najmniejszej krzywdy.

Poprosił o jej rękę w tydzień po poznaniu. Rodziny obu stron robiły trudności i oskarżały się wzajemnie. Matka Triny znienawidziła go za to, że chciał się zenić z jej

jedynaczką, dopiero wchodzącą w życie i tak młodziutką. Trina miała zaledwie osiemnaście lat. Jego rodzice mówili: poczekaj, wojna może się wkrótce skończyć, nie masz pieniędzy, a ona, jak by tu powiedzieć, nie pochodzi z rodziny, którą można by nazwać dobrą. Rozejrzał się wtedy po domu, wysłużonej kamieniczce stojącej wraz z tysiącem innych wysłużonych domów pośród płataniny torów tramwajowych Streathamu, i spostrzegł, że pokoje są ciasne i że jego rodzice mają ciasne, pospolite poglądy, a ich miłość jest kręta jak te tory tramwajowe.

W miesiąc później pobrali się. Grey wyglądał elegancko w mundurze i z szablą (wypożyczoną, płatną od godziny). Matka Triny nie przyszła na tę szarą uroczystość, która odbyła się pośpiesznie w przerwie między kolejnymi alarmami lotniczymi. Jego rodzice przybrali miny pełne dezaprobaty i pocałowali oboje tylko dla zachowania pozorów, a Trina rozbeczała się, tak że akt ślubu był mokry od łez.

Tej nocy Grey odkrył, że Trina nie jest dziewicą. Ale zachowywała się, jakby nią była, a jakże, przez wiele dni skarżyła się mówiąc: "Proszę cię, kochanie, tak mnie boli, bądź cierpliwy". Nie była dziewicą i to go bardzo dręczyło, bo przed ślubem nieraz dawała mu do zrozumienia, że jest cnotliwa. Mimo to udawał, że nie wie o jej oszustwie.

Ostatni raz widział ją na sześć dni przed zaokrętowaniem i daleką podróżą. Byli w swoim mieszkaniu. Leżał na łóżku i patrzył, jak się ubiera.

- Wiesz, dokąd płyniesz? - spytała.

- Nie - odparł.

Miał za sobą ciężki dzień. Wczoraj pokłócili się i ciążyła mu świadomość, że jej nie miał i że dziś kończy mu się przepustka. Podniósł się, stanął za nią, objął ją od tyłu i pieścił, opasując dłońmi jej napięte ciało. Kochał ją.

- Przestań!

- Trina, czy moglibyśmy...

- Nie bądź niemądry. Wiesz przecież, że przedstawienie zaczyna się o wpół do dziewiątej.

- Mamy mnóstwo czasu.

- Na miłość boską, Robin, przestań! Zepsujesz mi makijaż!

- Do diabła z makijażem - rzekł. - Jutro już mnie tu nie będzie.

- Może to i lepiej. Nie widzę, żebyś był specjalnie miły czy troskliwy.

- A jaki mam według ciebie być? Czy to źle, jeśli mąż pragnie swojej żony?!

- Przestań krzyczeć. O Boże, sąsiedzi cię usłyszą.

- A niech usłyszą! - krzyknął i ruszył do niej, ale zatrzasnęła mu przed nosem drzwi łazienki.

Kiedy wróciła do pokoju, była oziębła i pachniała perfumami. Miała na sobie stanik, krótką halkę, a pod nią majtki i pończochy trzymające się na wąziutkim pasku. Wzięła przygotowaną krótką suknię wieczorową i zaczęła ją na siebie wciągać.

- Trina - poprosił.

- Nie.

Kiedy stanął przy niej, kolana ugięły się pod nim.

- Przepraszam, przepraszam, że krzyknąłem.

- Nie szkodzi.

Schylił się, żeby pocałować ją w ramię, ale odsunęła się.

- Widzę, że znów piłeś - powiedziała marszcząc nos.

Wtedy ogarnęła go niepoohamowana wściekłość.

- A żeby cię cholera! Wypiłem tylko jeden kieliszek! - krzyknął, odkręcił ją twarzą do siebie, zdarł z niej sukienkę, stanik, i cisnął ją na łóżko. Szarpał na niej ubranie, aż została naga i tylko na nogach wisiały strzępy pończoch. Przez cały ten czas leżała nieruchomo, wlepiając w niego wzrok.

- O Boże, Trina, kocham cię - wychrypiał bezradnie, a potem cofnął się, nienawidząc siebie za to, co zrobił, i za to, do czego omal nie doszło.

Trina zebrała strzępy ubrania. Jakby we śnie widział, jak podchodzi do lustra, siada i zabiera się do poprawiania makijażu, nucąc w kółko jedną i tę samą melodię.

Wyszedł trzaskając drzwiami i wrócił do jednostki, a następnego dnia próbował się do niej dodzwonić. Nikt nie podnosił słuchawki. Było już za późno, żeby wracać do Londynu. Na nic zdały się rozpaczliwe prośby. Jednostka przeniosła się do Greenock, gdzie miała się zaokrętować. Grey dzień w dzień w różnych porach do niej wydzwaniał, ale bezskutecznie. Na telegramy, które wysyłał jak szalony, również nie otrzymał żadnej odpowiedzi. A potem brzegi Szkocji pochłonęła noc, która przeobraziła się w okręt i morze, tak jak on sam zamienił się we lzy.

Pod słońcem Malajów wstrząsnął Greyem dreszcz. Tysiące kilometrów od domu. To nie była jej wina, pomyślał, pełen wstrętu do samego siebie. To nie ona była winna, tylko ja. Za bardzo mi zależało. Może jestem nienormalny? Może powinienem pójść do lekarza? Może jestem chorobliwie pobudliwy seksualnie? To na pewno moja wina, nie jej. Och, Trino, kochanie moje.

- Dobrze się pan czuje, Grey? - spytał pułkownik Jones.

- Tak... tak, panie pułkowniku, dziękuję - odparł Grey. Ocknął się i spostrzegł, że stoi, opierając się niepewnie o ścianę magazynu. - To... to ten skok temperatury.

- Nie wygląda pan najlepiej. Niech pan na chwilę usiądzie.

- Dziękuję, już wszystko dobrze. Tylko napiję się wody.

Grey podszedł do kranu, ściągnął koszulę i wsunął głowę pod strumień wody. Cholerny głupcze, skarcił się w duchu, jak mogłeś tak się zapomnieć. Ale wbrew postanowieniu jego myśli powróciły do Triny. W nocy, jeszcze dziś, będę myślał o niej, obiecał sobie. Od dziś co noc. Niech diabli wezmą to życie, w głodzie, bez nadziei. Chcę umrzeć. O, jakże chciałbym umrzeć.

Wtem spostrzegł idącego pod górę Marlowe'a. Niósł amerykańską menażkę i trzymał ją bardzo ostrożnie.

- Marlowe! - zawołał Grey i zagroził mu drogę.

- Czego pan znowu chce?

- Co pan niesie?

- Jedzenie.

- A nie towar?

- Niech pan się ode mnie odczepi, Grey.

- Ja wcale się nie czepiam. Tylko kto z kim przestaje, takim się staje.

- Niech pan lepiej trzyma się ode mnie z daleka.

- Niestety, nie mogę, przyjacielu. Chciałbym zobaczyć, co tam jest. To należy do moich obowiązków. Proszę otworzyć.

Marlowe zawahał się. Grey miał prawo zajrzeć do menażki, a także zaprowadzić go do pułkownika Smedly-Taylora, gdyby nie zastosował się do jego poleceń. Ale on niósł przecież w kieszeni dwadzieścia tabletek chininy. Nikomu nie wolno było przechowywać lekarstw na prywatny użytek. Gdyby wydało się, że posiada chininę, musiałby powiedzieć, skąd ją ma, a wtedy z kolei Król musiałby się tłumaczyć, skąd ją wziął. Zresztą Mac potrzebował jej natychmiast. Marlowe zdjął pokrywkę.

Z mieszanki *katchang idju* i wołowiny uniósł się niezmierny aromat. Grey poczuł skurcz żołądka, lecz starał się nie okazać, jak bardzo jest głodny. Ostrożnie przechylił naczynie, żeby zobaczyć, co jest na dnie. W menażce nie było nic prócz wołowiny i *katchang idju* - przepysznych!

- Skąd pan to ma?

- Dostałem.

- Od niego?
- Tak.
- Dokąd pan to niesie?
- Do szpitala.
- Dla kogo?
- Dla jednego z Amerykanów.
- Odkąd to odznaczony kapitan lotnictwa jest chłopcem na posyłki u kaprała?
- Idź pan do diabła!
- Być może zrobię to. Ale przedtem dopilnuję, żeby obu was spotkało to, co i tak was czeka.

Spokojnie, tylko spokojnie, perswadował sobie w duchu Marlowe. Jeżeli go uderzysz, wtedy dopiero będzie źle.

- Przesłuchanie skończone, Grey? - spytał.
- Na razie. Ale niech pan sobie zapamięta... - powiedział Grey i zbliżył się o krok, dręczony zapachem jedzenia. - Pan i ten pański przyjaciel, oszust, jesteście na mojej liście. Ja nie zapomniałem o tej zapalniczce.

- Nie wiem, o czym pan mówi. Nie popełniłem żadnego przestępstwa.
- Ale kiedyś pan popełni, Marlowe. Kto zaprzeda je duszę, ten z czasem za to płaci.

- Pan chyba oszalał.
- To oszust, kłamca i złodziej...
- To mój przyjaciel, Grey. On nie oszukuje ani nie kradnie...
- Ale kłamie.
- Wszyscy kłamią. Nawet pan. Przecież zaprzeczył pan, kiedy pytano o radio. Trzeba kłamać, żeby żyć. Trzeba robić wiele rzeczy...

- Na przykład wchodzić w tyłek kapralowi, żeby dostać coś do jedzenia?
Na czole Marlowe'a wystąpiła żyła przypominająca cienkiego czarnego węża. Ale kiedy przemówił, jego głos był cichy i słodki jak miód, choć krył się w nim jad.

- Powinienem pana spruć, Grey. Ale wdawanie się w bijatykę z kimś niżej od nas stojącym świadczyłoby o braku wychowania. Byłoby nieuczciwe, rozumie pan?

- Co pan, Marlowe... - wykrztusił Grey. Nic więcej nie mógł z siebie wydobyć, bo wściekłość wezbrała w nim i odjęła mowę.

Marlowe zajrzał mu głęboko w oczy i zrozumiał, że wygrał. Przez chwilę rozkoszował się świadomością, że zniszczył przeciwnika, ale zaraz potem gniew mu

przeszedł. Wyminął Greya i ruszył pod górę. Nie było potrzeby przedłużać wygranej bitwy. To także świadczyłoby o braku wychowania.

Jak Boga najświętszego kocham, zapłacisz mi za to, przysięgał sobie Grey, zacinając się z wściekłości. Jeszcze będziesz na klęczkach błagał mnie o przebaczenie. Ale ja nigdy ci nie wybaczę. Przenigdy!

Mac wziął sześć z przyniesionych tabletek i skrzywił się z bólu, kiedy Marlowe pomógł mu unieść się trochę, żeby mógł napić się wody z podsuniętej mu do ust manierki. Połknął tabletki i opadł na łóżko.

- Dzięki ci, Peter - szepnął. - To pomoże. Dzięki ci, chłopcze.

Zapadł w sen. Miał rozpaloną twarz, śledzionę nabrzmiąłą i bliską pęknięcia. Jego myśli uleciały w krainę koszmarów. Ujrzał żonę i syna, jak zjadani przez ryby unosili się w głębinach oceanu, krzycząc z całych sił. I zobaczył też w tej otchłani siebie, rzucającego się na rekiny, ale jego rękom brakło sił i głos miał za słaby, a rekiny wyrywały mu ciało, którego wcale nie ubywało. Rekiny te miały głos, śmiech ich był śmiechem demonów. Lecz przy nim stały anioły i mówiły: "Śpiesz się, śpiesz, Mac, śpiesz się, żebyś się nie spóźnił". Wtem rekiny znikły i pojawili się żółci ludzie z bagnetami i ze złotymi zębami, ostrymi jak igły. Otoczyli go i jego rodzinę na dnie morza. Bagnety były ogromne i ostre. "Nie ich, tylko mnie!", krzyczał. "Mnie, mnie zabijcie!" I patrzył, bezradny, jak mu zabijają żonę, zabijają syna, wreszcie zwracają się ku niemu. A anioły też się przyglądały, szepcząc chórem: "Śpiesz się, Mac, śpiesz. Pędź. Pędź. Uciekaj, a będziesz bezpieczny". Więc uciekał, nie pragnąc uciekać, uciekał od syna, od żony, od nasyconego ich krwią morza. Przedzierał się przez krew i dusił się. Biegł jednak dalej, uciekając przed skośnookimi rekinami o ostrych złotych zębach, przed ich karabinami i bagnetami, a one rwały jego ciało, aż wreszcie osaczyły go. Bronił się rękami i nogami, błagał, ale nie mógł powstrzymać. Wtedy Yoshima wbił mu bagnet głęboko w brzuch. Ból był ogromny. Straszniejszy od najstraszniejszych. Yoshima wyrwał bagnet, a on poczuł, jak przez ranę, przez wszystkie otwory ciała, nawet przez pory skóry wypływa krew, aż w nędznej powłoce została tylko dusza. W końcu i dusza wyrwała się z ciała i połączyła z wypełniającą morze krwią. Ogarnęła go wielka, rozkoszna, nieskończona ulga i ucieszył się, że już nie żyje.

Otworzył oczy. Koce były przesiąknięte potem. Gorączka minęła. Wiedział, że znów wrócił do życia.

Przy jego łóżku siedział Peter Marlowe. Gdzieś za nim rozpościerała się noc.

- Jak się masz, chłopcze - przemówił Mac głosem tak cichym, że Marlowe musiał się nachylić, żeby go zrozumieć.

- Lepiej ci, Mac? - spytał.

- Lepiej, chłopcze. Niemal warto pogorączkować, żeby potem czuć się tak dobrze. Teraz sobie pośpię. Przynieś mi jutro coś do jedzenia.

Zamknął oczy i zasnął. Marlowe ściągnął z niego koce i wytarł wychudzone ciało.

- Gdzie mógłbym dostać suche koce, Steven? - spytał, zauważywszy sanitariusza śpieszącego przez salę.

- Nie wiem, panie kapitanie - odparł Steven. Wiele razy widział już tego młodego oficera. Podobał mu się. A może... Ale nie. Lloyd był okropnie zazdrosny. Kiedy indziej. Jest mnóstwo czasu. - Chyba będę mógł panu pomóc - dodał.

Podszedł do łóżka numer cztery, zdjął z leżącego koce, potem zręcznie wysunął spod niego drugi koc i przyniósł oba Marlowe'owi.

- Proszę, niech pan weźmie to - powiedział podając koce.

- A co z tamtym?

- Z tamtym... - Steven lekko się uśmiechnął. - Jemu już nie są potrzebne. Zaraz mają go zabrać. Biedaczysko.

- Ach tak! - Marlowe spojrział w stronę zmarłego, żeby zobaczyć, kto to jest, ale twarz nie była mu znajoma. - Dziękuję - powiedział i zabrał się do układania koców.

- Pan pozwoli, że ja się tym zajmę. Zrobię to o wiele lepiej - zaofiarował się Steven, który był dumny z tego, że potrafi posłać łóżko, nie sprawiając bólu pacjentowi. - Nie musi pan już martwić się o przyjaciela. Dopilnuję, żeby mu niczego nie zabrakło - dodał i obtulił Maca kocem jak małe dziecko. - Proszę bardzo, gotowe. - Poglaskał Maca po głowie, wyciągnął chusteczkę i otarł mu z czoła resztki potu. - Za dwa dni będzie zdrów. Jeżeli zostało panu coś do jedzenia... - nie dokończył, spojrział na Marlowe'a i do oczu napłynęły mu łzy. - Ależ głuptas ze mnie. Ale niech pan się nie martwi, już Steven coś dla niego znajdzie. No, proszę się nie smucić. Dziś nic więcej pan zrobić nie może. Proszę iść i porządnie się wyspać, dobrze? Trzeba się słuchać. Idziemy.

Oniemiały Marlowe pozwolił wyprowadzić się na dwór. Steven uśmiechnął się na dobranoc i wrócił na salę.

Stojąc w ciemnościach, Marlowe widział, jak Steven gładzi czyjeś

rozgorączkowane czoło, jak podtrzymuje drżącą od malarii rękę, jak odpędza pieszczotą nocne zmory, ucisza krzyki śniących, poprawia koce, tu komuś pomoże się napić, tam komuś zwymiotować, przez cały czas łagodny i kojący niby kołysanka. Kiedy doszedł do łóżka numer cztery, zatrzymał się i spojrzął na trupa. Wyprostował mu nogi, złożył ręce na krzyż, po czym zdjął z siebie fartuch i przykrył nim ciało. A każdy jego ruch był jak błogosławieństwo. Jego szczupły, gładki tors i smukłe, gładkie nogi jaśniały w przyćmionym świetle.

- Biedaczysko - szepnął i rozejrzał się po sali przypominającej grobowiec. - Biedaczysko. Moje wy biedaki - westchnął i zapłakał.

Marlowe odwrócił się i ruszył w ciemność pełen litości i wstydu, że kiedyś, dawno temu, Steven budził w nim wstręt.

ROZDZIAŁ XII

Marlowe zbliżał się do baraku Amerykanów pełen obaw. Żałował, że tak łatwo zgodził się być tłumaczem Króla, a przy tym niepokoił go fakt, że czuje do tego taką niechęć. Ładny z ciebie przyjaciel po tym wszystkim, co dla ciebie zrobił, skarcił się w duchu.

Nieprzyjemne uczucie w żołądku wzmogło się. Zupełnie jak przed akcją bojową, pomyślał. Chociaż nie, nie całkiem. Raczej jak wtedy, kiedy wzywa cię do siebie dyrektor szkoły. To pierwsze jest przykre, ale jednocześnie przyjemne. Podobnie z wyprawą do wioski. Serce rośnie, kiedy się o tym myśli. Ryzykować tak wiele wyłącznie dla rozrywki, a prawdę mówiąc, dla jedzenia i dziewczyny, która być może tam się znajdzie.

Po raz nie wiadomo który zastanawiał się, po co właściwie Król chodzi do wioski i co tam robi. Jednakże pytać o to nie wypadało, wiedział zresztą, że gdy wykaże trochę cierpliwości, dowie się. Jego sympatia dla Amerykanina brała się między innymi stąd, że Król nie mówił o niczym nie proszony i swoje myśli zachowywał głównie dla siebie. Tak właśnie robią Anglicy, pomyślał Marlowe z zadowoleniem. Mów o sobie po trochu za każdym razem, kiedy masz na to ochotę. To, kim lub czym jesteś, jest twoją prywatną sprawą, chyba że pragniesz podzielić się tym z przyjacielem. A przyjaciel nigdy nie pyta. Albo się zwierzasz z własnej, nieprzymuszonej woli, albo wcale.

Podobnie było z wyprawą do wioski. Mój Boże, pomyślał Marlowe, jeżeli ktoś w ten sposób zdradza ci swoje zamiary, to okazuje przecież, jak bardzo cię ceni. Ot, po prostu pyta: "Chciałbyś ze mną pójść, kiedy znów się wybiorę?"

Marlowe zdawał sobie sprawę, że wyprawa do wioski jest szaleństwem. Jednakże teraz wyglądało to inaczej. Bo teraz naprawdę istniał do niej powód, i to bardzo ważny: zdobyć uszkodzoną część radia albo nawet cały, kompletny odbiornik. O tak! Dla takiej sprawy warto ryzykować.

Nie zmieniało to jednak w niczym jego przeświadczenia, że wybrałby się tam i bez tego, ponieważ mu to zaproponowano i ponieważ mogło tam być jedzenie, i mogła być dziewczyna.

W cieniu mijanego baraku dostrzegł ukrytego Króla, który rozmawiał z innym cieniem. Głowy rozmawiających niemal się stykały i nie było słychać ich głosów. Stali

tak pochłonięci rozmową, że Marlowe zdecydował się minąć ich bez słowa i wszedł na schody prowadzące do baraku Amerykanów, przecinając smugę światła.

- Ej, Peter! - zawołał Król.

Marlowe przystanął.

- Zaraz do ciebie przyjdę - rzekł Król i odwrócił się ponownie do drugiej, skrytej w cieniu postaci. - Najlepiej jeśli pan tu zaczeka, majorze. Dam znać, jak tylko się zjawi.

- Dziękuję - odezwał się z wyraźnym zakłopotaniem niski mężczyzna.

- Proszę się poczęstować tytoniem - zaproponował Król, z czego major skwapliwie skorzystał.

Kiedy Król ruszył do swojego baraku, major Prouty cofnął się głębiej w cień i nie spuszczał z niego oczu.

- Stęskniłem się za tobą, bracie - powiedział Król do Marlowe'a i szturchnął go po przyjacielsku łokciem. - Co z Makiem?

- Dziękuję, już dobrze - odparł Marlowe. Pragnął czym prędzej skryć się w cieniu. Psiakrew, wstydzę się pokazywać z przyjacielem, pomyślał. Paskudnie. Bardzo paskudnie.

Nie mógł jednak odpędzić myśli, że spoczywa na nim wzrok majora, ani też powstrzymać się od wzdrygnięcia, kiedy Król powiedział:

- Chodź. To nie potrwa długo, a potem weźmiemy się do roboty!

Grey podszedł do skrytki, żeby na wszelki wypadek sprawdzić, czy nie ma tam jakiejś wiadomości. Była.

“Zegarek majora Prouty’ego. Wieczorem. On i Marlowe!”

Grey wrzucił puszkę do rowu równie niedbale, jak ją stamtąd wyjął. Potem, przeciągając się, wstał i ruszył z powrotem do baraku szesnastego. Przez cały ten czas jego mózg pracował z szybkością komputera.

Król i Marlowe. Będą w “sklepie” na tyłach amerykańskiego baraku. Prouty? Zaraz, który to? Major! Czy to nie ten z artylerii? A może Australijczyk? No, jak się starasz, Grey, skarcił siebie w myślach, zniecierpliwiony. Gdzie się podziała twoja szufladkowa pamięć, z której jesteś taki dumny? Mam! Barak jedenasty! Niski! Wojska inżynieryjne! Australijczyk!

Czy jest w jakiś sposób powiązany z Larkinem? Nie. O ile wiem, to nie. Australijczyk. W takim razie dlaczego nie sprzedaje przez Tiny Timsena, też przecież

Australijczyka, który działa na czarnym rynku? Dlaczego przez Króla? Może dla Timsena to zbyt poważna transakcja? A może to coś kradzionego...? To bardziej prawdopodobne, bo wtedy Prouty nie załatwiałby tego zwykłą drogą, przez pośredników australijskich. Tak, to by się zgadzało.

Grey uniósł rękę, żeby spojrzeć na zegarek. Zrobił to odruchowo, bo od trzech lat nie miał zegarka i nie był mu on potrzebny do określania pory dnia lub nocy. Jak wszyscy w obozie, orientował się, która godzina - a przynajmniej na tyle dokładnie, na ile to było konieczne.

Jeszcze za wcześnie, pomyślał. Strażnicy zmieniają się dopiero za jakiś czas. Wtedy z mojego baraku zobaczę, jak strażnik człapie przez obóz w górę drogi i mija mnie, idąc do wartowni. Trzeba obserwować jego zmiennika. Kto nim będzie? Nieważne. Prędeż czy później i tak się dowiem. Bezpieczniej jest zaczekać na odpowiedni moment i wtedy uderzyć. Ostrożnie. Wystarczy grzecznie im przerwać. Być świadkiem ich spotkania. A jeszcze lepiej widzieć na własne oczy, jak pieniądze wędrują z rączki do rączki albo jak Król wręcza je Prouty'emu. A potem raport do pułkownika Smedly-Taylor: "Wczoraj wieczorem byłem świadkiem przekazywania pieniędzy" albo lepiej: "Widziałem amerykańskiego kaprała i odznaczonego Krzyżem Zasługi kapitana lotnictwa Marlowe'a z baraku szesnastego w towarzystwie koreańskiego strażnika. Mam powody sądzić, że był w to zamieszany major Prouty z wojsk inżynierskich jako dostarczyciel sprzedawanego zegarka".

To by wystarczyło. Regulamin precyzuje jasno i wyraźnie: "Zabrania się handlu ze strażnikami!", pomyślał z radością. Schwytani na gorącym uczynku. A potem sąd wojenny!

Na początek sąd wojenny. A potem moja cela, moja malutka cela. Ani dodatków, ani katchang idju z wołowiną. Nic! Żadnych takich! Tylko klatka, a w niej oni, zamknięci jak szczury. Potem wypuszcza się ich, pełnych gniewu i nienawiści. A tacy ludzie popełniają błędy. Być może następnym razem zaczai się na nich Yoshima. Lepiej niech Japończycy sami zrobią, co do nich należy, nie powinno się im w tym pomagać. Ale może w tym przypadku nie byłoby to złe. Jednak nie. A może by tak dać im maleńką wskazówkę?

Już ja ci się odplączę, Marlowe, ty draniu. Może nawet prędzej, niż myślałem. A zemsta na tobie i tamtym oszuście będzie prawdziwą rozkoszą.

Król spojrzął na zegarek. Cztery po dziewiątej. Lada chwila tu będzie, pomyślał.

Trzeba przyznać żółtkom jedno: raz ustalony plan jest nienaruszalny, dzięki czemu można zawsze co do minuty przewidzieć ich ruchy.

Wtem usłyszał kroki. Zza rogu baraku wyszedł Torusumi i szybko skrył się za płócienną zasłoną. Król wstał na powitanie. Marlowe, który również siedział za zasłoną, podniósł się niechętnie, czując do siebie nienawiść.

Torusumi był indywidualnością wśród strażników. Wszystkim znany, niebezpieczny i nieobliczalny. Miał twarz, którą się zauważało, podczas gdy większość strażników w ogóle nie miała twarzy. Był w obozie co najmniej od roku. Lubił gonić jeńców do roboty, przetrzymywać ich na słońcu, krzyczeć na nich i kopać ich, kiedy miał na to ochotę.

- Tabe - przywitał go z szerokim uśmiechem Król. - Chcesz zapalić? - spytał, częstując gościa jawańskim tytoniem.

Torusumi odsłonił błyszczące złotem zęby, oddał Marlowe'owi karabin i usiadł. Wyjął paczkę kooa i poczęstował Króla, a potem wymownie spojrzał na Marlowe'a.

- Ichi-bon przyjaciel - wyjaśnił Król.

Torusumi chrząknął, odsłonił zęby, wciągnął z sykiem powietrze i podał Marlowe'owi papierosa. Marlowe nie był pewien, czy ma go przyjąć.

- Weź, Peter - powiedział Król.

Marlowe usłuchał, a Torusumi usiadł przy małym stoliku.

- Powiedz mu, że jest mile widzianym gościem - rzekł Król do Marlowe'a.

- Przyjaciel mój mówi, że jesteś, panie, mile widzianym gościem i że cieszy się z twojego przybycia.

- A, dziękuję. A czy ma coś dla mnie?

- Pyta się, czy masz coś dla niego.

- Trzymaj się ściśle moich słów, Peter. Pamiętaj, bądź dokładny.

- Muszę się wyrażać w ich języku. To niemożliwe tłumaczyć słowo w słowo.

- Dobrze, tylko żebyś niczego nie przekreślił. I nie śpiesz się.

Król podał zegarek przez stół. Ku swojemu zdziwieniu Marlowe zauważył, że zegarek wygląda jak nowy. Był świeżo wypolerowany, miał nową plastikową tarczę i zgrabny mały futerał z irchy.

- Powiedz mu tak: pewien gość chce to sprzedać. Ale towar jest drogi, więc może mu nie odpowiada.

Mimo braku doświadczenia Marlowe dostrzegł w oczach Koreańczyka błysk chciwości, kiedy wyjął on zegarek z futerału, przyłożył go do ucha, chrząknął

niezdecydowanie i odłożył go na stół.

Marlowe przetłumaczył jego odpowiedź.

- Masz coś jeszcze? Szkoda, że w obecnych czasach na omegach niewiele można zarobić w Singapurze.

- Mówi pan wyśmienicie po malajsku - dodał Torusumi, zwracając się do Marlowe'a i, jak nakazywała grzeczność, wciągnął przez zęby powietrze.

- Dziękuję - odparł niechętnie Marlowe.

- Co on powiedział, Peter?

- A, że dobrze mówię po malajsku.

- Aha. No, to powiedz mu, że żałuję, ale nic innego nie mamy.

Król odczekał, aż zostanie to przetłumaczone, po czym uśmiechnął się, wzruszył ramionami, wziął zegarek ze stołu, schował go do futerału, a potem na powrót do kieszeni, i wstał.

- Salamat - powiedział.

Torusumi znów odsłonił zęby i dał Królowi znak, żeby usiadł.

- Nie chodzi o to, że chcę kupić ten zegarek - rzekł do Króla. - Ale ponieważ jesteś moim przyjacielem i wiele się natrudziłeś, ciekawi mnie, ile za ów nędzny przedmiot chce jego właściciel.

- Trzy tysiące dolarów - odparł Król. - Wybacz, że cena jest zawyżona.

- Istotnie jest zawyżona. Czy właściciel ma chorą głowę? Jestem ubogim człowiekiem, zwykłym strażnikiem, ale ponieważ handlowaliśmy ze sobą w przeszłości, żeby ci oddać przysługę, godzę się dać za niego trzysta.

- Żałuję, ale nie śmiem przyjąć takiej propozycji. Słyszałem o kupcach, którzy poprzez innych pośredników zapłaciliby godziwszą cenę. Przyznaję, że jesteś ubogi i że nie stać cię na ten lichy przedmiot. Pewnie, że omegi są niewiele warte, ale z szacunku dla jej właściciela powinieneś zrozumieć, że byłoby obrazą proponować mu mniej, niż jest tego wart znacznie gorszy zegarek.

- To prawda. Może rzeczywiście powinienem podnieść cenę, bo nawet biedak ma swój honor, a poza tym byłoby szlachetne ulżyć czyimś cierpieniom w tych ciężkich czasach. Czteryście.

- Dzięki ci za troskę okazaną memu znajomemu. Ale chociaż to tylko zwykła omega i chociaż omegi wcześniej spadły w cenie, na pewno masz jakiś inny powód, że nie chcesz ze mną handlować. Człowiek honoru zawsze postępuje godnie...

- I ja jestem człowiekiem honoru. Nie miałem zamiaru podważać twojej dobrej

sławy, ani dobrej sławy twego znajomego, do którego należy zegarek. Więc może rzeczywiście powinienem zaryzykować swoje dobre imię i spróbować, czy nie uda mi się wpłynąć na tych nędznych kupców chińskich, z którymi muszę handlować, ażeby choć raz w swoim podłym życiu zapłacili mi uczciwą cenę. Na pewno przyznasz, że pięćset dolarów to najwyższa suma, jaką uczciwy i honorowy człowiek może dać za omegę, nawet gdyby nie spadły w cenie.

- Tak, to prawda, przyjacielu. Chciałbym jednak, żebyś się zastanowił. Być może omegi zachowały swoją ichi-bon pozycję i nie spadły w cenie. Być może ci skąpi Chińczycy wyzyskują przez pomyłkę człowieka honoru. Nie dalej jak przed tygodniem jeden z twoich koreańskich przyjaciół przyszedł do mnie i kupił taki sam zegarek za trzy tysiące dolarów. Zaproponowałem ci go, bo łączą nas przyjaźń i zaufanie, jak to bywa między ludźmi, którzy długo ze sobą współpracują.

- Czy to, co mi mówisz, jest prawdą? - spytał Torusumi i splunął gwałtownie na ziemię.

Marlowe przygotował się na cios, który zwykle następował po takim wybuchu gniewu. Ale Król siedział nieporuszony. Boże, ten to ma nerwy ze stali, pomyślał Marlowe. Król wziął odrobinę tytoniu i zaczął skręcać papierosa. Widząc to Torusumi opanował się, wyjął paczkę kooa, poczęstował ich papierosami i ochłonął.

- Zdumiewające, że ci nędzni Chińczycy, dla których ryzykuję życie, są aż tak bardzo zepsuci. Jestem zaskoczony tym, co mi powiedziałaś, przyjacielu. Gorzej - zatrwożony. I pomyśleć, że nadużyto mojego zaufania. Od roku już załatwiam sprawy z jednym i tym samym kupcem. I pomyśleć, że od tak dawna mnie oszukuje. Chyba go zabiję.

- Lepiej przechytrzyć - rzekł Król.

- Ale jak? Byłbym niewymownie wdzięczny mojemu przyjacielowi za radę.

- Obrzuć go przekleństwami, nie szczędząc języka. Powiedz, że słyszałeś rzeczy, które świadczą niezbicie, że jest oszustem. Powiedz, że jeśli na przyszłość nie będzie płacić ci uczciwie, więcej, jeżeli do właściwej ceny nie doda dwudziestu procent, aby wynagrodzić nadużycia w przeszłości, to niewykluczone, że szepniesz słówko władzom. A wtedy zabiorą go razem z żoną i dziećmi, ł ku twemu zadowoleniu potraktują tak, jak na to zasłużył.

- To świetna rada. Ucieszył mnie pomysł mego przyjaciela. Za to, że mi go podsunął, a także ze względu na przyjaźń, którą do niego żywię, pozwolę sobie zaproponować tysiąc pięćset dolarów. Są to wszystkie moje pieniądze, łącznie z sumą

powierzoną mi przez mego przyjaciela, który złożony kobiecą chorobą leży w cuchnącym miejscu zwanym szpitalem i który sam nie może pracować.

Król schylił się i klepnął się po kostkach oblepionych przez chmary komarów. Teraz to co innego, cwaniaku, pomyślał. Zastanówmy się. Dwa tysiące byłoby trochę za dużo. Tysiąc osiemset, dobrze. Tysiąc pięćset, nie najgorzej.

Król prosi cię, abyś zaczekał - przetłumaczył Marlowe. - Musi porozumieć się z nieszczęśnikiem, który chce ci sprzedać towar po zawyżonej cenie.

Król wdrapał się przez okno do baraku i przeszedł na jego drugi koniec, sprawdzając, czy wszyscy są na miejscach. Max tkwił na posterunku, Dino był po jednej stronie drogi, a Byron Jones Trzeci po drugiej.

W cieniu sąsiedniego baraku Król odnalazł majora Prouty'ego, który pocił się ze zdenerwowania.

- Strasznie mi przykro, panie majorze - szepnął Król zmartwionym tonem. - Gość wcale nie pali się do kupna.

Niepokój Prouty'ego wzrósł. Musiał sprzedać ten zegarek. Mój Boże, taki już mój los, pomyślał. Przecież muszę zdobyć skądś trochę pieniędzy.

- Czy nie zaproponował żadnej ceny? - spytał.

- Nie mogłem wydusić z niego więcej niż czterysta.

- Czterysta! Ależ każdy wie, że omega jest warta co najmniej dwa tysiące.

- Obawiam się, że to tylko plotka, panie majorze. Poza tym on jakby coś podejrzewał. Jakby myślał, że to nie omega.

- Zwariował. Oczywiście, że omega.

- Bardzo mi przykro, panie majorze - rzekł Król nieco chłodniejszym tonem. - Ja tylko przekazuję...

- Przepraszam, kapralu. Nie zamierzałem was krytykować. Wszystkie te żółte sukinsyny są jednakowe - odparł Prouty.

I co mam teraz zrobić? - zapytywał siebie w duchu. Jeśli nie sprzedam zegarka przez Króla, to go w ogóle nie sprzedam, a grupie potrzebne są pieniądze. Wszystkie nasze zabiegi na nic. Co robić? Zastanawiał się jeszcze przez chwilę, po czym rzekł:

- Zobaczcie, co się da zrobić, kapralu. Nie mogę się zgodzić na mniej niż tysiąc dwieście. Wykluczone.

- No cóż, panie majorze, nie sądzę, żebym wiele zdziałał, ale spróbuję.

- Bądźcie tak dobrzy. Liczę na was. Nie sprzedałbym go tak tanio, ale z jedzeniem jest ostatnio bardzo kiepsko. Sami zresztą wiecie.

- Tak, panie majorze - odparł uprzejmie Król. - Postaram się, ale chyba niewiele będę mógł z niego wycisnąć. Mówi, że Chińczycy nie kupują tak chętnie, jak kiedyś. No, ale zrobię, co się da.

Grey zauważył idącego przez obóz Torusumiego i wiedział, że zbliża się najodpowiedniejszy moment, aby przystąpić do dzieła. Czekał już wystarczająco długo. Wstał i wyszedł z baraku, poprawiając po drodze opaskę na rękę i mocniej wciskając czapkę. Drugi świadek nie był potrzebny, wystarczało jego słowo. A więc wyruszył sam.

Odczuwał przyjemne bicie serca. Tak jak zawsze, kiedy szykował się, żeby kogoś aresztować. Przeszedł na drugą stronę stojących szeregiem baraków i zszedł po schodach na główną drogę. Miał tędy dalej. Ale rozmyślnie wybrał dłuższą trasę, wiedząc, że ilekroć Król przeprowadza transakcję, wystawia czujki. Tylko że on znał ich rozstawienie. Wiedział też, że istnieje sposób, aby przejść nie zauważonym przez to ludzkie pole minowe.

- Grey!

Grey obejrzał się. Ku niemu szedł pułkownik Samson.

- Słucham, panie pułkowniku?

- Dawno pana nie widziałem, Grey. Jak leci?

- Dziękuję, dobrze, panie pułkowniku - odparł Grey, zaskoczony, że przywitano się z nim tak po przyjacielsku. Mimo że bardzo się śpieszył, powitanie to sprawiło mu niemałą przyjemność.

Pułkownik Samson zajmował szczególne miejsce w planach Greya na przyszłość. Samson reprezentował oficerską "górkę", tę najprawdziwszą. Ministerstwo Spraw Wojskowych. W dodatku był bardzo dobrze ustosunkowany. Znajomość z takim człowiekiem była bezcenna, ale później, gdy skończy się to wszystko. Samson był członkiem Sztabu Generalnego Dalekiego Wschodu i piastował jakiś bliżej nie określony, ale ważny urząd, jako szef czegoś tam. Znał wszystkich generałów i opowiadał o tym, jak podejmował ich u siebie, w "wiejskiej siedzibie" w hrabstwie Dorset; o tym, jak zjeżdżała się do niego na polowanie szlachta, a także o organizowanych przez siebie przyjęciach na świeżym powietrzu i balach myśliwskich. Ktoś taki jak Samson mógłby zrekompensować brak wyróżnień w aktach Greya. No i jego pochodzenie.

- Chciałbym z panem porozmawiać, Grey - powiedział Samson. - Mam pomysł,

który być może uzna pan za godny uwagi. Wie pan, że zajmuję się spisywaniem oficjalnej wersji dziejów kampanii dalekowschodniej. Oczywiście nie jest to wersja ostateczna - dodał z humorem - ale kto wie, może innej nie będzie. Generał Sonny Wilkinson jest głównym historykiem w Ministerstwie i z pewnością zainteresuje go relacja świadka wydarzeń. Chciałem się właśnie spytać, czy nie miałby pan ochoty na sprawdzenie kilku faktów dotyczących pańskiego pułku?

Z przyjemnością, pomyślał Grey. Z wielką przyjemnością! Nie wiem, co bym za to dał. Byłe nie teraz.

- Z wielką przyjemnością, panie pułkowniku - odparł. - Pochlebia mi, że moje zdanie uważa pan za coś warte. Czy moglibyśmy umówić się na jutro? Po śniadaniu?

- Ach, liczyłem na to, że trochę sobie porozmawiamy teraz. No tak, odłóżmy to na kiedy indziej. Zawiadomię pana...

Grey instynktownie wyczuł, że jeśli teraz się nie zgodzi, to druga taka okazja już mu się nie nadarzy. Jak dotąd Samson nigdy z nim długo nie rozmawiał. A może, myślał z desperacją, może opowiedziałbym mu o czymś na początek, a potem udałoby mi się jeszcze ich przyłapać. Ubijanie interesu trwa czasem godzinami. Warto zaryzykować!

- Chętnie porozmawiam teraz, jeśli pan sobie życzy, panie pułkowniku. Ale prosiłbym, żeby to nie trwało długo. Trochę boli mnie głowa. Jeśli można prosić, najwyżej kilkanaście minut.

- Dobrze - odparł wielce uszczęśliwiony pułkownik Samson. Ujął Greya pod rękę i poprowadził do swojego baraku.

- Wie pan, Grey - mówił - pański pułk należał do moich ulubionych jednostek. Świetnie się spisaliście. Zdaje się, że pańskie nazwisko wymieniono w komunikacie, chyba pod Kota Bharu?

- Nie, panie pułkowniku - odparł Grey i pomyślał: Mój Boże, przecież właściwie to mi się należało. - Nie było czasu na składanie wniosków o odznaczenia. Co nie znaczy, że zasługiwałem na to bardziej niż inni. - Powiedział to szczerze. - Wielu walczących powinno dostać Krzyż Wiktorii, a miało się doczekać co najwyżej wzmianki. Za późno na wyróżnienia.

- Nigdy nie wiadomo, Grey. Może po wojnie uda się odgrzebać stare sprawy i sporo zmienić - rzekł Samson i posadził Greya na krześle. - Zaczniemy od tego, jak przebiegały linie frontu w momencie, kiedy przybył pan do Singapuru.

- Z przykrością mówię to memu przyjacielowi, ale ten nieszczęsny właściciel zegarka roześmiał mi się w nos - mówił Marlowe w imieniu Króla. - Powiedział, że najniższą sumą, na jaką się zgodzi, jest dwa tysiące sześćset dolarów. Aż wstyd mi powtarzać, ale muszę to zrobić, ponieważ jesteś moim przyjacielem.

Torusumi najwyraźniej posmutniał. Za pośrednictwem Marlowe'a on i Król wymienili parę zdań o pogodzie i braku żywności, a potem Torusumi pokazał im zniszczoną fotografię żony z trojgiem dzieci i opowiedział trochę o tym, jak żył w wiosce pod Seulem i pracował na roli, mimo że posiada niższy stopień naukowy, oraz o tym, jak nienawidzi wojny. Powiedział im też, że sam nienawidzi Japończyków i że wszyscy Koreańczycy nienawidzą swoich japońskich panów. Koreańczykom nie wolno nawet wstępować do armii japońskiej, stwierdził. Są oni obywatelami drugiej kategorii i w żadnej sprawie nie mają nic do gadania. Najpodlejszy Japończyk może nimi pomiatać do woli.

Rozmawiali tak jakiś czas, aż w końcu Torusumi wstał i odebrał karabin z rąk Marlowe'a, który trzymając go, nie mógł opędzić się myśli, że broń jest nabita i że tak łatwo z niej wystrzelić. Tylko po co? Co potem?

- Jeszcze jedno pragnę rzec na koniec mojemu przyjacielowi, bo nie chcę zostawiać go z pustymi rękoma w tę plugawą noc: proszę, żeby porozumiał się z chciwym właścicielem tego nędznego zegarka. Dwa tysiące sto!

- Z całym szacunkiem muszę przypomnieć memu przyjacielowi, że pożałowania godny właściciel zegarka, który jest pułkownikiem i jako taki człowiekiem niewzruszonym, rzekł, iż nie weźmie mniej niż dwa tysiące sześćset. Wiem, że nie życzysz mi, ażeby mnie zelżył.

- To prawda. Chcę ci jednak z całym szacunkiem podsunąć myśl, że powinienes dać mu ostatnią szansę odrzucenia tej, ze szczerzej przyjaźni zrobionej, propozycji, z której ja nie mam najmniejszego zysku. Być może da mu to okazję, żeby odwołać tak dzikie żądania.

- Spróbuję, ponieważ jesteś moim przyjacielem - rzekł Król i zostawił ich samych.

Czas płynął, a oni czekali. Tym razem Marlowe wysłuchał opowieści o tym, jak to Torusumi został zmuszony do służby i jak nienawidzi wojny.

Wreszcie Król wyszedł przez okno z baraku i dołączył do nich.

- Ten człowiek to świnia, szmata bez honoru - oznajmił. - Zwymyślał mnie i zagroził, że rozgłosi, iż nie znam się na interesach, i prędzej wsadzi mnie do więzienia,

niż przystanie na cenę poniżej dwóch tysięcy czterystu...

Torusumi pieklił się i miotał groźby. Król siedział w milczeniu, myśląc: Psiakrew, straciłem wyczucie. Tym razem posunąłem się za daleko, a Marlowe wyrzucał sobie: Niech to diabli, po co ja się w to wplątałem?

- Dwa dwieście - prychnął Torusumi.

Król, pobity, wzruszył ramionami.

- Powiedz mu, że się zgadzam i że twardy z niego kupiec - mruknął do Marlowe'a. - Powiedz mu też, że będę musiał zrezygnować z prowizji, żeby pokryć różnicę w cenie. Tamten sukinsyn nie weźmie ani grosza mniej. Ale gdzie w takim razie mój zysk?

- Jesteś człowiekiem ze stali - przetłumaczył Marlowe. - Powiem temu nędznikowi pułkownikowi, że dostanie, ile zażądał, ale wtedy będę musiał zrezygnować z prowizji, żeby pokryć różnicę między twoją ceną a tą, na którą on, nędznik, przystał. Gdzież tu jednak mój zysk? Interes to sprawa honoru, ale między przyjaciółmi korzyść powinny mieć obie strony.

- Ponieważ jesteś moim przyjacielem, dodam jeszcze sto - rzekł Torusumi. - Wówczas zachowasz twarz, ale na przyszłość nie podejmuj się już pośrednictwa w interesach tak skąpego i podłego klienta.

- Dzięki ci. Jesteś sprytniejszy ode mnie.

Król podał Koreańczykowi zegarek w irchowym futeraliku i przeliczył pokaźny plik japońskich fałszywych dolarów. Dwa tysiące dwieście ułożone w równy stosik. Wtedy Torusumi wręczył mu dodatkowe sto dolarów. Uśmiechał się przy tym, ponieważ przechytrzył Króla cieszącego się wśród wartowników powszechną sławą człowieka, który zna się na interesach. Tę omegę mógł bez trudu sprzedać za pięć tysięcy, a przynajmniej za trzy i pół. Niegorszy zarobek jak na jedną wartę.

Żeby wynagrodzić Królowi kiepski interes, Torusumi zostawił napoczętą paczkę kooa i ponadto drugą, całą. W końcu przed nami jeszcze długa wojna, a interesy idą dobrze, pomyślał. A gdyby wojna trwała krótko... Cóż, tak czy owak Król będzie pożytecznym sojusznikiem.

- Świetnie się spisałeś, Peter - pochwalił Król Marlowe'a.

- Już myślałem, że wybuchnie.

- Ja też. Rozgość się, zaraz wrócę.

Król odnalazł Prouty'ego w tym samym miejscu, w cieniu baraku. Dał mu dziewięćset dolarów, sumę, na którą nieszczęśliwy major niechętnie przystał, i

odebrał swoją prowizję, czyli dziewięćdziesiąt dolarów.

- Z dnia na dzień jest coraz gorzej - powiedział.

A jakże, ty draniu, pomyślał Prouty. No, ale osiemset dolarów to i tak niegorzej jak na podrobioną omegę. Zaśmiał się w duchu, że udało mu się nabrać Króla.

- Jestem strasznie zawiedziony, kapralu. To była ostatnia rzecz, jaką miałem - powiedział. Zastanówmy się, pomyślał rozradowany. Za parę tygodni będzie gotów następny zegarek. A wtedy sprzedażą może się zająć ten Australijczyk Timsen.

Wtem Prouty spostrzegł zbliżającego się Greya. Umknął w labirynt baraków, wtapiając się w ciemności, już całkowicie bezpieczny. Król jednym skokiem przesadził najbliższe okno baraku amerykańskiego, dosiadł się do karciarzy grających w pokera i syknął do Marlowe'a:

- Łap karty, Peter, na co czekasz?

Dwaj pokerzyści, którzy zwolnili miejsca, kibicowali grze, przyglądając się, jak Król rozdziela stos banknotów tak, żeby przed każdym z grających znalazła się mała kupka pieniędzy.

W drzwiach pojawił się Grey.

Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, aż wreszcie Król oderwał wzrok od kart i przywitał go:

- Dobry wieczór, panie poruczniku.

- Dobry wieczór - odparł Grey; twarz ociekała mu potem. - Dużo tu pieniędzy - rzekł i pomyślał: Matko Boska, w życiu tyle nie widziałem. A przynajmniej nie na raz. Ile to ja bym zrobił, gdybym miał choć część tego, co tu jest.

- Lubimy sobie grać, panie poruczniku.

Grey odwrócił się i znikł w ciemnościach nocy. Diabli nadali tego przekłętego Samsona, zaklął w myślach.

W baraku rozegrano jeszcze kilka partii, wreszcie rozległ się sygnał odwołujący alarm. Król zgarnął pieniądze, dał wszystkim po dziesiątkę, a obdarowani podziękowali mu chórem. Dinowi wręczył pewną sumę, żeby zapłacił tym, którzy czuwali na zewnątrz, po czym kiwnął głową na Marlowe'a i poszli we dwójkę do kąta baraku, który zajmował.

- Zasłużyliśmy sobie na małą kawę - powiedział Król. Czuł się trochę zmęczony. Przewodzenie innym było nużące. Wyciągnął się na łóżku, a Marlowe zajął się parzeniem kawy.

- Zdaje się, że nie przyniosłem ci szczęścia - odezwał się Marlowe.

- Że co?

- Przy sprzedaży. Nie poszła najlepiej, prawda?

Król parsknął śmiechem.

- Wszystko przebiegło zgodnie z planem. Masz... - powiedział wyłuskując sto dziesięć dolarów i podał je Marlowe'owi. - Jesteś mi winien dwa dolary reszty.

- Dwa dolary? - spytał Marlowe i spojrzał na pieniądze. - Za co to?

- Twoja prowizja.

- Ale za co?

- Coś ty, Peter, chyba nie myślisz, że kazałbym ci pracować za darmo? Za kogo mnie masz?

- Powiedziałem, że zrobię to z przyjemnością. Za samo tłumaczenie nic mi się nie należy.

- Zwariowałaś? Sto osiem dolarów, czyli dziesięć procent. To nie jest jałmużna. Te pieniądze są twoje. Zarobiłeś je.

- To raczej ty zwariowałaś. Jakim cudem mogłem zarobić sto osiem dolarów, jeżeli ze sprzedaży wpłynęło dwa tysiące dwieście i była to ostateczna cena, bez żadnego zysku. Nie wezmę przecież pieniędzy, które dał tobie.

- Nie masz ich na co wydać? Ani ty, ani Mac, ani Larkin?

- Oczywiście, że mam. Ale to nie jest sprawiedliwe. Poza tym nie rozumiem, dlaczego akurat sto osiem dolarów.

- Peter, naprawdę nie wiem, jak to się stało, że dotąd się uchowałeś na tym świecie. Posłuchaj, zaraz ci wszystko wytłumaczę. Zarobiłem na tym interesie tysiąc osiemdziesiąt dolarów. Dziesięć procent od tego wynosi sto osiem. Sto dziesięć minus dwa równa się sto osiem. Dałem ci sto dziesięć, więc jesteś mi winien dwa dolary.

- Jakim cudem mogłeś tyle zarobić, jeśli...

- Powiem ci. Zasada numer jeden w interesach: "Kupuj tanio, sprzedawaj drogo, jeśli ci się uda". Weźmy dzisiaj, na przykład.

Król z przyjemnością opowiedział o tym, jak przechytrzył Prouty'ego. Kiedy skończył, Marlowe długo milczał, aż wreszcie rzekł:

- Nie wiem, jak to powiedzieć, ale to jest chyba nieuczciwe.

- A co w tym nieuczciwego, Peter? Każdy interes opiera się na założeniu, że sprzedajesz po wyższej cenie, niż kupujesz, bo inaczej na tym tracisz.

- No tak, ale czy twój... zysk nie jest trochę za wysoki?

- Gdzie tam. Wszyscy widzieliśmy, że zegarek jest podrobiony. Wszyscy oprócz Torusumiego. Chyba nie masz nic przeciwko temu, że go wykołowałem. A zresztą bez trudu może go wcisnąć jakiemuś Chińczykowi, i to z zyskiem.

- Nie jestem tego taki pewny.

- Dobra. Weź Prouty'ego. Sprzedawał oszukany towar. Może nawet kradziony, tego przecież nie wiem. Ale dlatego dostał mało, że nie umiał się targować. Gdyby miał na tyle odwagi, żeby zabrać zegarek i pójść sobie, wtedy zatrzymałbym go i podbiłbym cenę. Mógłby mnie przecież wydać. Gównu go obchodzi, co się ze mną stanie w razie jakichś komplikacji. W ramach umowy zawsze chronię moich klientów, tak więc Prouty jest bezpieczny i wie o tym, za to ja będę w razie czego na widoku.

- A co zrobisz, jeśli Torusumi się spostrzeże i wróci?

- Wróci na pewno - powiedział Król i uśmiechnął się nagle tak promiennie, że aż miło było patrzeć. - Wróci, ale nie po to, żeby się awanturować. O nie, bo w ten sposób straciłby twarz. W żadnym razie nie ośmieli się przyznać, że go przechytryłem. Co więcej, gdybym o tym rozpowiedział, jego kumple nie daliby mu żyć. Wróci na pewno, ale po to, żeby spróbować z kolei mnie przechytryć.

Król zapalił i poczęstował Marlowe'a papierosem.

- Jednym słowem, Prouty dostał dziewięćset minus dziesięć procent prowizji - ciągnął wesoło. - Mało, ale nie można powiedzieć, że niesprawiedliwie, i nie zapominaj, że to my dwaj wzięliśmy na siebie całe ryzyko. Wracając do naszych wydatków, musiałem zapłacić stówę za wypolerowanie i oczyszczenie zegarka i za nowe szkiełko. Dwadzieścia dla Maxa za wiadomość, że szykuje się towar, po dziesięć dla czterech czujek, a ponadto sześćdziesiąt dla chłopców, którzy nas kryli. Czyli w sumie tysiąc sto dwadzieścia. Tysiąc sto dwadzieścia odjąć od dwóch dwustu daje równo tysiąc osiemdziesiąt. Dziesięć procent od tego wynosi sto osiem. Proste.

Peter Marlowe potrząsnął głową z niedowierzaniem. Tyle liczb, tyle pieniędzy, tyle emocji. Jeszcze przed chwilą siedzieli rozmawiając z Koreańczykiem, a tu nagle ma w rękę sto dziesięć, a raczej sto osiem dolarów, wręczonych mu ot tak, jak gdyby nigdy nic. Słowo daję! To ponad dwadzieścia orzechów albo góra jajek, myślał, nie posiadając się z radości. Mac! Nareszcie będziemy mogli go odżywić. Jajka będą najlepsze!

Wtem usłyszał głos ojca. Usłyszał go tak wyraźnie, jakby ojciec stał tuż przy nim. Miał przed oczami jego postać: wyprostowany, krępy, w mundurze oficera marynarki. "Posłuchaj, synu. Jest takie coś, co nazywa się honorem. Jeżeli będziesz miał z

kimś do czynienia, mów mu prawdę, a wtedy i on będzie musiał powiedzieć ci prawdę, chyba że jest człowiekiem bez honoru. Opiekuj się innymi tak, jakbyś chciał, żeby oni tobą się opiekowali. A jeśli ktoś nie ma honoru, unikaj jego towarzystwa, bo w przeciwnym razie sam nie pozostaniesz bez skazy. Pamiętaj, ludzie dzielą się na tych, którzy mają honor, i tych, którzy go nie mają. Tak samo jak z pieniędzmi. Albo są zarobione uczciwie, albo nie”.

“Ale te pieniądze są zarobione uczciwie - odparł ojcu mimo woli. - Tak przynajmniej wynika z wyjaśnień Króla. Chciano go nabrać, ale był sprytniejszy”.

“To prawda. Nieuczciwością jest jednak sprzedawać cudzą własność i podawać właścicielowi cenę o tyle niższą od prawdziwej”.

“Tak, ale...”

“Nie ma żadnych ale, synu. Owszem, bywają różne pojęcia honoru, ale człowiek ma tylko jeden kodeks honorowy. Zrobisz, co zechcesz. Decyzja należy do ciebie. Są takie sprawy, w których każdy musi decydować sam. Czasem trzeba się dostosować do okoliczności. Ale na miłość boską, strzeż siebie i swojego sumienia, nikt inny tego za ciebie nie zrobi. I wiedz, że błędna decyzja doprowadzi cię do zguby o wiele prędzej niż kula!”

Marlowe włożył w rękę pieniądze zastanawiając się, co też mogliby za nie kupić on, Larkin i Mac. Podsumował wszystkie racje i szala przechyliła się wyraźnie na jedną stronę. Te pieniądze należały się niewątpliwie Prouty’emu i jego grupie. Może prócz tego nic więcej nie mieli. Prouty i reszta grupy, z której nie znał nikogo, mogli przecież umrzeć dlatego, że ich okradzione. Z powodu jego chciwości. Ale na drugiej szali był Mac. On potrzebował pomocy już teraz. Tak samo Larkin. I ja sam, myślał. Nie wolno ci zapominać o sobie. Przypomniały mu się słowa Króla: “Nie musisz nic od nikogo brać”, a on przecież brał. I to nie raz. Co robić. Boże, co robić? Ale Bóg milczał.

- Dziękuję. Dziękuję ci za pieniądze - powiedział Marlowe i schował je. Czuł, że go parzą.

- Nie masz za co dziękować. Zarobiłeś je. Są twoje. Zapracowałeś na nie. Nic ci za darmo nie dałem - odparł Król.

Trysknął zadowoleniem, które sprawiało, że Marlowe dusił się wstrętem do samego siebie.

- No, to musimy uczcić pierwszy wspólnie ubity interes. Z moją głową i twoją znajomością malajskiego zrobimy kokosy! - powiedział Król, a potem usmażył kilka jajek.

Podczas posiłku opowiedział Marlowe'owi, że kiedy dowiedział się, że Yoshima znalazł radio, natychmiast wyprawił swoich chłopców po zakupy, żeby uzupełnić zapasy żywności.

- W życiu należy ryzykować, mój drogi. To jasne. Pomyślałem sobie, że żółtki już się o to postarają, żeby utrudnić nam przez jakiś czas życie. Ale tylko tym, którzy nie zdążą na czas jakoś się zabezpieczyć. Weź na przykład Texa. Nie miał złamanego grosza, żeby sobie kupić choć jedno parszywe jajko. Albo weź siebie i Larkina. Gdyby nie ja, Mac męczyłby się do tej pory. Oczywiście, cieszę się, że mogę jakoś pomóc. Lubię pomagać przyjaciołom. Człowiek musi pomagać przyjaciołom, bo inaczej nie miałoby sensu.

- Chyba tak - odparł Marlowe. Jak można tak mówić! - pomyślał. Słowa Króla uraziły go. Nie mógł pojąć, że Amerykanie rozumują w pewnych sprawach równie prosto jak Anglicy. Amerykanin jest dumny ze swojej umiejętności robienia pieniędzy, i słusznie, a Anglik w rodzaju Marlowe'a z dumą oddaje życie za sztandar. Też słusznie.

Marlowe zauważył, że Król zerknął przez okno i zamrugał oczami. Podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczył, że ścieżką zmierza w ich stronę jakiś człowiek. Gdy znalazł się on w promieniu padającego z baraku światła, Marlowe rozpoznał go. Był to pułkownik Samson.

Na widok Króla Samson skinął przyjaźnie ręką.

- Dobry wieczór, kapralu - powiedział i nie zatrzymując się poszedł dalej.

Król odliczył dziewięćdziesiąt dolarów i wręczył je Marlowe'owi.

- Zrób coś dla mnie, Peter. Dołóż dziesiątkę i daj to wszystko tamtemu gościowi.

- Samsonowi? Pułkownikowi Samsonowi?

- Oczywiście. Znajdziesz go za rogiem więzienia.

- Mam mu dać pieniądze? Tak bez niczego? Ale co mam mu powiedzieć?

- Powiedz, że to ode mnie.

Boże! - pomyślał z przerażeniem Marlowe. Czyżby Samson był na usługach Króla? Niemożliwe! Nie mogę tego zrobić. Król jest moim przyjacielem, aleja nie mogę podejść do pułkownika i powiedzieć: "Proszę, to jest sto dolarów od Króla". Po prostu nie mogę!

Król na wylot przejrzał jego myśli. Ach, Peter, jakież z ciebie naiwny dzieciak, pomyślał. Niech cię diabli, dodał w duchu, ale zaraz cofnął te słowa, zły na siebie.

Peter był w obozie jedynym człowiekiem, z którym chciał się przyjaźnić, i jedynym, którego potrzebował. Postanowił więc nauczyć go trochę życia. Nie będzie to ani lekkie, ani przyjemne, mój drogi, być może mocno cię zabolą, ale ja i tak cię nauczę, choćbym miał cię złamać. Będziesz żył i będziesz moim współnikiem, postanowił.

- Peter - powiedział. - Są sytuacje, w których musisz mi zaufać. Nigdy nie wystawię cię do wiatru. Jeśli jesteś moim przyjacielem, zaufaj mi. Jeżeli nie chcesz się ze mną przyjaźnić, twoja wola. Ale ja chciałbym mieć w tobie przyjaciela.

Marlowe wiedział, że oto nadeszła kolejna chwila szczerości. Albo musiał zaufać i wziąć pieniądze, albo zostawić je i się wynieść.

Człowiek stoi zawsze na rozstaju dróg. I jeżeli naprawdę jest człowiekiem, to w grę wchodzi nie tylko jego własne, ale także cudze życie.

Zdawał sobie sprawę, że wybór jednej z dróg zagraża życiu Maca i Larkina, jak również jego życiu, bez Króla byli bowiem równie bezbronni jak cała reszta, bez Króla nie mogło być mowy o wiosce, gdyż sam nigdy by się na taką wyprawę nie zdobył, nawet gdyby chodziło o radio. Wybór drugiej zagroziłby dziedzictwu przodków albo przekreśliłby jego przeszłość. Samson był potęgą w zawodowej armii, człowiekiem dobrze urodzonym, zajmującym wysoką pozycję, bogatym, a on, Marlowe, urodził się przecież na oficera - podobnie jak przed nim jego ojciec, a po nim... jego syn. Zarzutów ze strony takiego człowieka nie zapomniano by mu nigdy. Lecz jeśli Samson był najemnikiem, wówczas wszystko, w co nauczono go wierzyć, traciło wartość.

Miał wrażenie, że to nie on, lecz ktoś inny bierze pieniądze, wstępuje w panujące na zewnątrz ciemności, rusza pod górę ścieżką, odnajduje pułkownika Samsona i słyszy szept:

- A, to pan, Marlowe, czy tak?

Wręczając pieniądze, Marlowe nadal widział siebie jakby z zewnątrz.

- Król prosił mnie, żebym to panu dał - wyrzekł.

Obserwował, jak wilgotne od śluzu oczy jaśnieją na widok pieniędzy, jak Samson chciwie je liczy, a potem chowa do kieszeni wytartych spodni.

- Proszę mu podziękować - dobiegł go szept Samsona - i powiedzieć, że przetrzymałem Greya przez godzinę. Dłużej naprawdę nie mogłem. Ale wystarczyło, prawda?

- Owszem, wystarczyło. Ledwo, ledwo - dodał, a potem usłyszał jeszcze swój głos: - Następnym razem radzę go trzymać dłużej albo przynajmniej dać znać, kretynie!

- Trzymałem go tak długo, jak tylko mogłem. Proszę powiedzieć Królowi, że go przepraszam. Naprawdę bardzo przepraszam. Więcej się to nie powtórzy. Przyrzekam. Wie pan, Marlowe, jak to jest. Czasem wynikają trudności.

- Powtórzę mu, że go pan przeprasza.

- Tak, tak, dziękuję, Marlowe, strasznie panu dziękuję. Zazdroszczę panu. Jest pan tak blisko Króla. Ma pan szczęście.

Marlowe wrócił do baraku Amerykanów. Król podziękował mu, on Królowi, a potem ruszył w noc.

Wszedł na niewielkie wzniesienie, skąd mógł widzieć ogrodzenie obozu, i zapragnął znaleźć się w swoim myśliwcu, sam, wznosić się coraz wyżej i wyżej w niebo, tam gdzie wszystko jest czyste i nieskalane i gdzie nie ma wstrętnych ludzi - takich jak on sam - gdzie wszystko jest proste i gdzie można rozmawiać z Bogiem i być Jego dzieckiem, nie wstydząc się samego siebie.

ROZDZIAŁ XIII

Marlowe leżał na pryczy pogrążony w półśnie. Wokół niego mężczyźni budzili się, wstawali, wychodzili za potrzebą, szykowali się do wyjścia na roboty, ktoś bez przerwy wchodził do baraku lub z niego wychodził. Mike zabrał się już do czesania wąsów, mierzących czterdzieści centymetrów od koniuszka do koniuszka, poprzysiął sobie bowiem, że zgoli je dopiero w dniu wyzwolenia. Barstairs stał na głowie ćwicząc jogę, Phil Mint jak zwykle dłużał w nosie, niektórzy zaczęli już grać w brydża, Raylins jak co dzień doskonalił się w śpiewie, Myner wygrywał gamy na drewnianym ksylofonie, kapelan Grover starał się jak mógł podnieść wszystkich na duchu, a Thomas kłął, że znów spóźnia się śniadanie.

Śpiący nad Marlowe'em Ewart obudził się z jękiem i zwiesił nogi z pryczy.

- 'Mahlu, co za noc!

- Rzucałeś się jak wariat - stwierdził po raz nie wiadomo który Marlowe, bo Ewart zawsze spał niespokojnie.

- Wybacz.

Ewart zawsze mówił "wybacz". Zeskoczył ciężko na podłogę. Jego miejsce nie było tu, w Changi. Powinien się znajdować dziesięć kilometrów stąd, w obozie dla cywilów, gdzie podobno znajdowała się jego żona z dziećmi, chociaż nie było to pewne, bo jak dotąd nie zezwolono na łączność pomiędzy obydwojema obozami.

- Może po wzięciu prysznic opalimy łóżko - zaproponował ziewając. Był niskim, ciemnowłosym mężczyzną, który miał spore wymagania.

- Dobrze.

- Kto by pomyślał, że robiliśmy to nie dalej jak trzy dni temu. Jak ci się spało?

- Jak zwykle - odparł Marlowe, chociaż czuł, że od chwili przyjęcia pieniędzy i rozmowy z Samsonem wszystko się odmieniło.

Kiedy wynosili z baraku żelazną pryczę, co niecierpliwi ustawili się już w kolejce po śniadanie. Ewart i Marlowe zestawili górną pryczę, a z otworów dolnej wyciągnęli żelazne pręty. Następnie z wydzielonego przed barakiem skrawka ziemi zebrali łupiny orzechów kokosowych i gałązki i rozpalili małe ogniska wokół wszystkich czterech nóg pryczy.

W czasie gdy nogi rozgrzewały się, oni wkładali płonące liście palmowe pod podłużne pręty i sprężyny pryczy. Po chwili ziemia pod nią zaczęła się od pluskiew.

- Ej, wy tam, jak pragnę zdrowia, musicie to robić przed śniadaniem?! - krzyknął na nich Phil, zgorzkniały mężczyzna z kurzą klatką piersiową i płomiennie rudymi włosami.

Nie zwrócili na niego uwagi. Phil zawsze na nich krzyczał, a oni niezmiennie opalali pryczę przed śniadaniem.

- Słowo daje, Ewart, tyle tu tych bydlaków, że mogłyby wziąć pryczę na plecy i wynieść ją stąd - powiedział Marlowe.

- O mało co nie zepchnęły mnie dziś w nocy z siennika. Śmierdziele - odparł Ewart i ogarnięty nagłą pasją zaczął tłuc mrowie pluskiew.

- Daj spokój, Ewart.

- A co ja poradzę, że na sam ich widok cierpnę.

Kiedy już skończyli z pryczą, zostawili ją, żeby ostygła, a sami zajęli się czyszczeniem siennika. Zajęło im to pół godziny. A potem kolejne pół godziny czyszczenie moskitier.

W tym czasie prycza ostygła na tyle, że mogli się do niej dotknąć. Złożyli ją, wnieśli z powrotem do baraku i wstawili do czterech puszek, starannie oczyszczonych i napełnionych wodą, po czym sprawdzili jeszcze, czy w żadnym miejscu żelazne nogi pryczy nie stykają się z brzegami puszek.

- Jaki dziś dzień, Ewart? - spytał bezmyślnie Marlowe, kiedy czekali na śniadanie.

- Niedziela.

Marlowe przypomniał sobie inną niedzielę i przebiegł go dreszcz.

Miało to miejsce zaraz po tym, jak zabrał go japoński patrol. Leżał wtedy w szpitalu w Bandungu. Tamtej niedzieli Japończycy rozkazali wszystkim chorym jeńcom zebrać swoje manatki i przygotować się do wymarszu, ponieważ przenoszono ich do innego szpitala.

Na dziedzińcu ustawiły się w szeregu setki chorych. Nie było wśród nich tylko wyższych stopniem oficerów. Podobno wysłano ich na Tajwan, przynajmniej taka krążyła plotka. Został jedynie generał. On, który był tu najwyższy stopniem, chodził po obozie i otwarcie się modlił. Niski, barczysty mężczyzna w mundurze mokrym od plwocin zwycięzców.

Marlowe przypomniał sobie, jak niósł siennik ulicami Bandungu, pod rozżarzoną niebem, między dwoma szpalerami kolorowo ubranych ludzi, których milczenie było krzykiem. Przypomniał sobie też, jak porzucił siennik, który był za

ciężki, jak padał i jak się podnosił, jak wreszcie rozwarły się przed nimi bramy więzienia i znów się zatrzasnęły. Na dziedzińcu było dość miejsca, żeby się położyć. Ale jego i kilku innych zamknięto w małych celach. Na ścianach jego celi wisiały łańcuchy, za klozet służyła niewielka dziura w ziemi, wokół której nawarstwiły się wieloletnie odchody, a ziemię wyścielała cuchnąca słoma.

Sąsiednią celę zajmował jakiś umysłowo chory Jawajczyk, który w napadzie szału zamordował trzy kobiety i dwoje dzieci, zanim schwytali go Holendrzy. Ale Holendrzy nie strzegli już więźniów - sami stali się więźniami. Oszałały Jawajczyk bez przerwy, dzień i noc, łomotał łańcuchami w ścianę i wrzeszczał.

W drzwiach celi Marlowe'a była niewielka dziura. Leżąc na słomie widział przez nią nogi przechodzących ludzi i czekał najedzenie, słuchając, jak więźniowie klną i umierają, panowała bowiem dżuma.

Czekał w nieskończoność.

A potem nastał spokój i była czysta woda, a zamiast małej dziurki, zastępującej świat, rozciągało się nad nim niebo. Chłodna woda obmywała go i usuwała brud. Kiedy otworzył oczy, ujrzał łagodną twarz odwróconą do góry nogami i jeszcze jedną twarz. Obie promieniowały spokojem. Pomyślał wtedy, że naprawdę umarł.

Ale twarze te należały do Maca i Larkina. Znaleźli go w ostatniej chwili, kiedy właśnie mieli opuścić więzienie i przejść do innego obozu. Myśleli, że jest Jawajczykiem - tak jak sąsiadujący z nim szaleniec, który nadal wył i walił łańcuchami - ponieważ Marlowe również krzychał coś po malajsku i z wyglądu przypominał Jawajczyka...

- Chodź, Peter. Jest wyzerka! - oznajmił Ewart.

- Ach, tak, dziękuję - odrzekł Marlowe i wziął menażki.

- Dobrze się czujesz?

- Tak - odparł i dodał po chwili: - Dobrze jest żyć, prawda?

Jeszcze przed południem obiegła Changi wieść, że japoński komendant przywróci poprzednie racje ryżu dla uczczenia wielkiego japońskiego zwycięstwa na morzu. Oznajmił, że jeden z amerykańskich oddziałów specjalnych został całkowicie zniszczony, co powstrzymało atak wroga na Filipiny, oraz że wojska japońskie już teraz przegrupowują się przed uderzeniem na Hawaje.

Plotki zaprzeczające jedna drugiej. Sprzeczne opinie.

- Kupa bzdur! Ogłosili to tylko po to, żeby ukryć jakąś porażkę.

- Nie wydaje mi się. Nigdy jeszcze nie zwiększyli nam racji, żeby uczcić porażkę.

- Patrzcie go! Zwiększyli! Zwracają tylko to, co nam niedawno zabrali. O nie, przyjacielu. Możesz mi wierzyć. Te cholerne żółtki dostają wreszcie za swoje. Wspomnisz moje słowa!

- A skąd ty tak dobrze wiesz coś, czego my nie wiemy. Pewnie masz radio, co?

- Gdybym je nawet miał, to bądź pewien, że tobie bym o tym nie powiedział.

- Skoro już o tym mówimy, nie wiesz, co z Davenem?

- Z kim?

- No, z tym, który miał radio.

- A tak, przypominam sobie. Nie znałem go. Jaki on był?

- Porządny chłop, tak słyszałem. Szkoda, że go złapali.

- Chciałbym dostać w swoje ręce skurwysyna, który go wydał. Założę się, że to był któryś z tych z lotnictwa. Albo Australijczyk. Ci to już złamanego grosza nie są warci!

- Ja jestem Australijczykiem, pieprzony wyspiarzu.

- O, naprawdę? Nie denerwuj się. To był żart!

- Masz, draniu, dziwne poczucie humoru.

- Ej, wy dwaj, dajcie spokój. Za gorąco. Czy ktoś mi pożyczy dymka?

- Masz, sztachnij się.

- Rany Boga, ale świństwo.

- Liście melonowca. Sam je obrabiałem. Jak przywykniesz, to smakuje.

- Spójrzcie no!

- Gdzie?

- Tam, na drodze. To Marlowe!

- To ten? O cholera! Słyszałem, że się skumał z Królem.

- Dlatego właśnie ci go pokazuję, głupku. Cały obóz o tym wie. Nieprzytomny jesteś czy jak?

- Ja tam mu się nie dziwię. Gdybym miał okazję, zrobiłbym to samo. Mówią, że Król ma pieniądze, złote obrączki, a żarcia tyle, że starczyłoby dla całej armii.

- Słyszałem, że to pedał, a Marlowe to jego nowa dziewczynka.

- Ja też.

- E tam. Jaki pedał. To po prostu zwykły kanciarz.

- Ja też nie uważam, żeby to był pedał. Ale cwany to on jest na pewno, trzeba

mu to przyznać, podlecowi.

- Pedał czy nie, chciałbym być Marlowe'em. Słyszeliście, że ma cały stos dolarów? Podobno z Larkinem kupowali jajka i całego kurczaka.

- Pieprzysz. Nikt nie ma tyle forsy z wyjątkiem Króla. Mają przecież swoje kury. Pewnie im któraś zdechła, i tyle. Jeszcze jedna z tych twoich głupich historyjek.

- Jak myślisz, co Marlowe ma w tej menażce?

- A co ma mieć? Jedzenie. Nie trzeba być mądrym, żeby zgadnąć.

Marlowe szedł do szpitala.

W menażce niósł pierś, nóżkę i udko kurczaka, którego wspólnie z Larkinem kupili od pułkownika Fostera za sześćdziesiąt dolarów; niósł też dla Maca trochę tytoniu oraz jajko zniesione przez Nonyę, którą wkrótce miał zapłodnić Radża, potomek Karmazyna. Postanowili – za zgodą Maca - dać kurze jeszcze jedną szansę i nie zabijać jej, tak jak na to zasłużyła, ponieważ z żadnego z wysiadywanych przez nią jaj nie wykuło się pisklą. Mac stwierdził, że może to nie wina Nonyi, że może należący do Fostera kogut jest do niczego, a całe to jego trzepotanie skrzydłami, dziobanie i dosiadanie kur jest tylko na pokaz.

Kiedy jadł kurczaka, Marlowe usiadł przy nim.

- O mój Boże, chłopcze, nie pamiętam, kiedy tak dobrze się czułem i byłem tak najedzony - powiedział Mac.

- To wspaniale, Mac. Świetnie wyglądasz.

Marlowe opowiedział mu, skąd pochodzą pieniądze na kupno kurczaka.

- Dobrze zrobiłeś, biorąc te pieniądze - pochwalił go Mac. - Ten Prouty najprawdopodobniej ukradł zegarek albo go podrobił. To nieładnie sprzedawać zły towar. Zapamiętaj sobie, chłopcze: "Caveat emptor".

- No to dlaczego, dlaczego to mnie tak gnębi? - spytał Marlowe. - Obaj z Larkinem mówicie, że zrobiłem dobrze. Chociaż Larkin nie był chyba tego aż tak pewien jak ty...

- To jest biznes, chłopcze. A Larkin jest księgowym, a nie prawdziwym biznesmenem. Ja to co innego. Wiem, na czym świat stoi.

- Jesteś tylko zwykłym plantatorem kauczuku. Co ty możesz wiedzieć o interesach? Całe lata nie ruszyłeś się ani na krok z plantacji.

Mac nastroszył się.

- Trzeba ci wiedzieć, że plantator to przede wszystkim biznesmen - powiedział.

- Co dzień ma do czynienia z Tamilami albo Chińczykami, a to są urodzeni handlarze.

Wiedz, mój chłopcze, że to oni wymyślili wszelkie sztuczki i sposoby.

I tak oto rozmawiali ze sobą, a Marlowe cieszył się, że Mac odpowiada na jego zaczepki. Niemal bezwiednie przeszli z angielskiego na malajski.

Wreszcie Marlowe rzucił od niechcienia:

- Czy znasz rzecz, która składa się z trzech części? - Ze względu na bezpieczeństwo nie mówił wprost.

Mac rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby ich podsłuchać.

- Owszem. I co z tego?

- Czy już wiesz na pewno, co jej dolega?

- Całkowitej pewności nie mam, ale jestem prawie pewien. Czemu pytasz?

- Ponieważ wiatr przywiał wieść o lekach, które skutecznie leczą różne dolegliwości.

Twarz Maca rozjaśniła się.

- Wah-la - powiedział. - Uradowałeś mnie, starego. Za dwa dni opuszczę to miejsce, a wtedy zaprowadzisz mnie tam, skąd przywiało tę wieść.

- Nie, to niemożliwe. Muszę to zrobić sam. I to szybko.

- Nie chcę, żebyś narażał się na niebezpieczeństwo - powiedział w zamyśleniu Mac.

- Wiatr przyniósł nadzieję. Jak napisano w Koranie: "Człowiek żyjący bez nadziei nie różni się niczym od zwierzęcia".

- Lepiej, żebyś zczekał, zamiast szukać śmierci.

- Chętnie bym poczekał, ale już dziś muszę zdobyć wiedzę, której szukam.

- Dlaczego? - spytał szybko Mac po angielsku. - Dlaczego już dziś, Peter?

Marlowe zaklął w duchu, zły na siebie, że wpadł w pułapkę, której tak pragnął uniknąć. Gdyby powiedział o wiosce, Mac zamartwiałby się na śmierć. Sam Mac oczywiście nie mógł go powstrzymać, ale gdyby on i Larkin poprosili go, żeby nie szedł, posłuchałby ich. Do diabła, co robić?

I wtedy przypomniał sobie radę, której udzielił mu Król.

- Dziś, jutro, nieważne. Po prostu jestem ciekaw - rzekł, próbując szczęścia. Wstał. Sztuczka była stara jak świat. - No, to do jutra, Mac. Wieczorem może wpadnę do ciebie z Larkinem.

- Siadaj, chłopcze. Chyba, że masz coś do roboty.

- Nie, nie mam.

- Mówisz prawdę? - spytał Mac, który w rozdrażnieniu przeszedł na malajski. - Czy to "dziś" na pewno nic nie znaczy? Duch mego ojca podszeptał mi, że młody gotów jest podjąć ryzyko, które sam diabeł ominąłby z daleka.

- Napisane jest: "Wiek młody niekoniecznie świadczy o braku mądrości".

Mac przyglądał mu się w zamyśleniu. Co on tam knuje? Może coś w związku z Królem? No cóż, pomyślał ze znużeniem, Peter i tak już jest beznadziejnie uwikłany w sprawę radia. Przecież przewiózł trzecią jego część z Jawy aż tu, do Changi.

- Czuję, że grozi ci niebezpieczeństwo - odezwał się wreszcie.

- Niedźwiedź potrafi bez ryzyka odebrać miód szerszeniom. Pająk szuka bezpiecznie pod skałami, bo wie, gdzie i jak szukać - rzekł Marlowe, nadal niczego po sobie nie pokazując. - Nie obawiaj się o mnie, starcze. Ja szukam pod skałami.

Mac skinął głową, uspokojony.

- Znasz mój pojemnik? - spytał.

- Oczywiście.

- Podejrzewam, że zaszkodziła mu kropla deszczu, która precyzyjnie się przez otwór w niebie i spadła na pewną rzecz, a ta zgniła jak drzewo powalone w dżungli. Jest niewielka, w kształcie maleńkiego węża, cienka jak dżdżownica i nie dłuższa od karalucha. - Mac jęknął i przeciągnął się. - Te plecy mnie wykończą - powiedział po angielsku. - Bądź tak dobry, chłopcze, i popraw mi poduszkę.

Kiedy Marlowe się nachylił, Mac uniósł się nieznacznie i szepnął mu do ucha:

- Kondensator sprzęgający, trzysta mikrofaradów.

- Wygodniej? - spytał Marlowe, kiedy Mac opadł na poduszkę.

- Świetnie, chłopcze, o wiele wygodniej. No, a teraz zmykaj. Zmęczyło mnie to głupie gadanie.

- Sam wiesz, że cię ono bawi, ty stary draniu.

- Może byś tak przestał z tym "starym", puki 'mahlu!

- Senderis! - odparł Marlowe i wyszedł na słońce. Kondensator sprzęgający, trzysta mikrofaradów. Do licha, co to jest mikrofarad? - myślał.

Od strony garażu powiał wiatr i Marlowe wciągnął do płuc powietrze pachnące benzyną, nasycone olejem i smarami. Przykucnął obok drogi na skrawku ziemi porośniętym trawą, żeby nacieszyć się znajomą wonią. Mój Boże, ileż wspomnień budzi zapach benzyny, pomyślał. Samoloty. Gosport, Farnborough i osiem innych lotnisk. Spitfire'y i Hurricane'y.

Ale nie chciał o nich teraz myśleć, chciał myśleć o radiu. Zmienił ułożenie ciała

i usiadł w pozycji lotosu, z prawą stopą założoną na lewe udo, a lewą na prawe, z rękami opuszczonymi i zgiętymi w łokciach, z dłońmi stykającymi się kłykciami i kciukami i z palcami skierowanymi w stronę pępka. Siedział już tak wiele razy. Dopomagało mu to w myśleniu, bo z chwilą kiedy mijał pierwszy ból, ciało wypełniał spokój, a umysł wyzwalał się z wszelkich ograniczeń.

Siedział tak, a mężczyźni przechodzący ścieżką mijali go obojętnie. Nie widzieli nic dziwnego w tym, że ktoś opalony na czarno i ubrany w sarong siedzi na słońcu w południowym żarze. Nie było czemu się dziwić.

Teraz już wiem, co jest potrzebne, myślał, co trzeba jakoś zdobyć. W wiosce na pewno jest radio. Wioski są jak sroki - zbierają i przechowują najbardziej nieprawdopodobne rzeczy. Roześmiał się na wspomnienie j awajskiej wioski, w której kiedyś mieszkał.

Natrafił na nią, daleko od przecinających Jawę dróg, kiedy szedł potykając się przez dżunglę wyczerpany i zagubiony, bliższy śmierci niż życia. Przebył dziesiątki kilometrów i oto nastał dzień jedenasty marca 1943 roku. Stacjonujące na wyspie wojska skapitulowały ósmego marca. Przez te trzy dni wędrówki przez dżunglę gryzło go robactwo i cięły muchy, ostre kolce rozdzierały skórę, pijawki ssały krew, a deszcze przemaczały do suchej nitki. Odkąd opuścił lotnisko północne w Bandungu, gdzie stacjonowały myśliwce, nie widział ani nie słyszał żywej duszy. Porzucił swoją eskadrę, a raczej jej niedobitki, i swojego Hurricane'a. Zanim stamtąd uciekł, wyprawił swojemu martwemu, poskręcanemu i połamanemu przez bombę i pocisk smugowemu myśliwcowi pogrzeb na stosie. Spalić zwłoki - przynajmniej tyle jest winien człowiek swojemu przyjacielowi.

Kiedy stanął na skraju wioski, słońce chyliło się ku zachodowi. Jawajczycy, którzy go otoczyli, byli nastawieni wrogo. Nic złego mu wprawdzie nie zrobili, ale w ich twarzach bez trudu można było wyczytać gniew. Wpatrywali się w niego w milczeniu i żaden nie ruszył się, żeby mu pomóc.

- Czy mógłbym dostać coś do jedzenia i picia? - poprosił.

Nie było odpowiedzi.

Nagle zauważył studnię. Podeszedł do niej odprowadzany gniewnymi spojrzeniami i długo pił. Potem usiadł i czekał.

Wioska była niewielka, dobrze ukryta. Wyglądała na dość bogatą. Ciągające się wokół kwadratowego placu chaty, zbudowane z bambusa i palmowych liści, stały na palach. Wokół nich kręciło się wiele kur i świń. Przy jednej z chat, większej od innych,

znajdowała się zagroda dla bydła, a w niej pięć indyjskich bawołów. Świadczyło to o zamożności wioski.

Wreszcie zaprowadzono go do chaty naczelnika. Tubylcy w milczeniu weszli za nim po schodach, ale na górze zatrzymali się, usiedli na werandzie i czekali nasłuchując.

Naczelnik był stary, skórę miał brązową i wysuszoną. Spoglądał wrogo. Wnętrze chaty zgodnie z miejscowym zwyczajem składało się z jednej wielkiej izby, podzielonej na mniejsze pomieszczenia parawanami uplecionymi z palmowych liści.

Na samym środku pomieszczenia przeznaczonego do spożywania posiłków, prowadzenia rozmów i rozmyślań stała porcelanowa miska klozetowa z deską i pokrywą. Nie była do niczego podłączona i zajmowała honorowe miejsce na ręcznie tkanym dywaniku. Przed nią, na osobnej macie, siedział na piętach naczelnik wioski i przyglądał się mu świdrującym wzrokiem.

- Czego chcesz? Tuan! - przemówił, a "tuan" zabrzmiało jak oskarżenie.

- Chciałem tylko napić się wody i coś zjeść, panie, a poza tym... może mógłbym zatrzymać się tu na krótko, aż dojdę do siebie.

- Mówisz mi: panie, a jeszcze trzy dni temu ty i inni biali nazywaliście nas smoluchami i gardziliście nami!

- Nigdy tak was nie nazywałem. Przesłano mnie tutaj, żebym bronił waszego kraju przed Japończykami.

- To oni wyzwolili nas od tych zapowietrzonych Holendrów. Tak samo jak wyzwolą od białych imperialistów cały Daleki Wschód!

- Być może. Ale wydaje mi się, że jeszcze pożałujecie dnia, w którym tu przybyli!

- Wynoś się z mojej wioski. Idź precz z resztą imperialistów. Odejdź stąd, zanim wezwę Japończyków.

- Napisane jest: "Jeśli przyjdzie do ciebie nieznajomy i poprosi, abyś go przyjął pod swój dach, ugość go, a znajdziesz łaskę w oczach Allacha".

Naczelnik spojrzał na niego osłupiały. W narastających ciemnościach widać było jego ciemnobrązową skórę, krótki kaftan baju, wielobarwny sarong i ozdobne przybranie głowy.

- Czy znany ci jest Koran i słowa Proroka?

- Którego imię niech będzie błogosławione - odparł Marlowe i wyjaśnił: - Wielu ludzi przez wiele lat tłumaczyło Koran na angielski.

Walczył o życie. Gdyby zezwolono mu pozostać w wiosce, być może udałoby mu się zdobyć jakąś łódź i popłynąć do Australii. Nie znał się co prawda na żeglarstwie, ale warto było ryzykować. Dostanie się do niewoli oznaczało śmierć.

- Czy jesteś wyznawcą Proroka? - spytał zdumiony naczelnik.

Marlowe zastanawiał się przez chwilę, co odpowiedzieć. Bez trudu mógłby udać, że jest mahometaninem. Lektura świętej księgi Islamu była częścią jego edukacji. Oficerowie Jego Królewskiej Mości służyli w licznych krajach, na wielu kontynentach, a oficerowie z dziada pradziada uczyli się wielu rzeczy nie przewidzianych oficjalnym programem nauczania.

Gdyby potwierdził, byłby bezpieczny, mahometanizm wyznawano bowiem niemal na całej Jawie.

- Nie, nie jestem wyznawcą Proroka - odparł. Był zmęczony i u kresu sił. - Zresztą nie wiem. Nauczono mnie wierzyć w Boga. Ojciec mówił nam, moim siostrom i mnie, że Bóg ma wiele imion. Nawet chrześcijanie mówią o Świętej Trójcy, o tym, że Bóg jest w trzech osobach. Wydaje mi się, że nie jest ważne, w jaki sposób ktoś zwraca się do Boga. Bogu nie sprawi różnicy, czy pozdrawiany będzie jako Chrystus, Budda, Jehowa czy nawet przez "Ty", bo będąc Bogiem, wie przecież, że jesteśmy tylko ograniczonymi istotami i nasza wiedza jest niewielka.

Wierzę - ciągnął - że Mahomet pochodził od Boga, że był Jego prorokiem. Wierzę, że Chrystus też pochodził od Boga, i tak jak Mahomet mówi w Koranie, był "najnieskazitelniejszym z Proroków". Czy Mahomet, zgodnie z tym, co sam utrzymywał, był ostatnim z proroków, tego nie wiem. Nie sądzę, żebyśmy my, ludzie, byli pewni czegokolwiek, co dotyczy Boga. Ale nie wierzę w to, by Bóg był starcem o długiej siwej brodzie, który zasiada na złotym tronie gdzieś wysoko w niebie. Nie wierzę w to, co obiecywał Mahomet: że wyznawcy jego religii pójdą do raj, gdzie będą leżeć na jedwabnych łożach i pić wino, a usługiwać im będą piękne dziewczęta, ani w to, że raj jest ogrodem pełnym zieleni, przejrzystych strumieni i drzew obsypanych owocem. Nie wierzę też, że aniołowie mają skrzydła, które im wyrastają z pleców.

Nad wioską zapadła noc. Gdzieś zakwiliło dziecko, ale wkrótce, ukołysane, znów zasnęło.

- Przyjdzie taki dzień - ciągnął Marlowe - kiedy zdobędę pewność, jakim imieniem zwracać się do Boga. Będzie to dzień, w którym umrę. - Cisza ogromniała. - Myślę, że byłby to straszny cios, gdyby okazało się, że Boga wcale nie ma.

Naczelnik gestem kazał Marlowe'owi usiąść.

- Możesz zostać - rzekł. - Ale pod kilkoma warunkami. Przysięgniesz, że będziesz przestrzegał naszych praw i staniesz się jednym z nas. Będziesz pracował na polu ryżowym i w wiosce, jak wszyscy mężczyźni. Nie mniej, ale i nie więcej. Nauczysz się naszej mowy i tylko nią będziesz się posługiwał, będziesz ubierał się tak jak my i przefarbujesz skórę na całym ciele. Wprawdzie twój wzrost i kolor oczu i tak zdradzą, że jesteś biały, ale być może barwa skóry, ubranie i mowa na jakiś czas uchronią cię przed rozpoznaniem. Być może uda nam się wmówić, że jesteś na wpół Jawajczykiem, na wpół białym. Nie zbliżysz się bez pozwolenia do żadnej kobiety. A ponadto będziesz mi bezwzględnie posłuszny.

- Zgadzam się.

- I jeszcze jedno. Ukrywanie przed Japończykami ich wroga jest niebezpieczne. Musisz pamiętać, że kiedy przyjdzie taka chwila, że będę musiał wybierać pomiędzy tobą a moimi ludźmi i ratować wioskę, wybiorę wioskę.

- Zapamiętam. Dziękuję ci, panie.

- Przysięgnij na swojego Boga... - po twarzy starca przemknął uśmiešek - przysięgnij na Boga, że będziesz posłuszny i że przyjmujesz te warunki.

- Przysięgam na Boga, że przyjmuję je i będę posłuszny. Przysięgam też, że nie zrobię nic na waszą szkodę.

- Szkodzisz nam samą swoją obecnością, mój synu - odparł starzec.

Kiedy Marlowe napił się i posilił, naczelnik rzekł:

- Od tej chwili nie wypowiesz słowa po angielsku. Będziesz mówił tylko po malajsku. To jedyny sposób, abyś szybko nauczył się naszej mowy.

- Dobrze. Ale czy mogę przedtem spytać cię o jedno?

- Tak.

- Czemu służy tamta miska klozetowa? Nie widzę przy niej żadnych rur.

- Nie służy niczemu ponad to, że bawi mnie przyglądanie się twarzom mych gości, gdy myślą: "Co za bezsens przyozdabiać sobie w taki sposób dom".

Po tych słowach starcem wstrząsnął paroksyzm śmiechu, po policzkach popłynęły mu łzy i wkrótce ryczał na cały dom. Jego żony pośpieszyły z pomocą i zaczęły masować mu plecy i brzuch, ale niebawem także i one zanosily się śmiechem, a razem z nimi Peter Marlowe.

Na wspomnienie tego Marlowe ponownie się uśmiechnął. Tuan Abu. To był

dopiero człowiek! Ale nie chciał dziś myśleć o wiosce, o przyjaciółkach, których tam zostawił, ani o N'ai, córce wioski, którą wybrano, żeby dzieliła z nim życie. Chciał dziś myśleć o radiu i o tym, jak zdobyć kondensator, chciał skupić się przed wieczorną wyprawą do wioski.

Rozplótł nogi z pozycji lotosu i cierpliwie czekał, aż powróci w nich normalne krążenie. Wokół czuć było przyjemny, niesiony łagodnym powiewem wiatru zapach benzyny. Powiew ten przyniósł też ze sobą gromkie głosy śpiewające hymn. Dolatywały od strony amfiteatru, zamienionego dziś w anglikański kościół. Tydzień temu był to kościół katolicki, dwa tygodnie temu przybytek adwentystów, a przed trzema tygodniami kaplica jeszcze innego wyznania. W sprawach wiary panowała w Changi tolerancja.

Proste ławy wypełniali tłumnie zgromadzeni parafianie. Niektórych przywiodła tu wiara, innych jej brak. Niektórzy przyszli tu, żeby czymś się zająć, a inni, ponieważ nie mieli nic lepszego do roboty. Tego dnia nabożeństwo odprawiał kapelan Drinkwater.

Głos miał głęboki i miękki. Promieniowała zeń szczerść, a słowa Biblii ożywiały i budziły nadzieję, dzięki czemu zapominano o Changi i pustych żołądkach.

Parszywy hipokryta, pomyślał Marlowe, gardząc Drinkwaterem i przypominając sobie jeszcze raz tamten dzień...

- Ej, Peter, spójrz no tam - szepnął mu wtedy Dave Daven.

Marlowe zobaczył, że Drinkwater rozmawia z wysuszonym kapralem RAF-u, Blodgerem. Prycza Drinkwatera zajmowała uprzywilejowane miejsce tuż przy drzwiach baraku szesnastego.

- To pewnie jego nowy ordynans - rzekł Daven.

Nawet w obozie utrzymywano starą tradycję.

- A co się stało z poprzednim?

- Z Lylesem? Jeden z moich żołnierzy powiedział mi, że jest w szpitalu. Na Oddziale Szóstym.

Marlowe podniósł się.

- Drinkwater może sobie robić, co chce, z tymi z armii, ale wara mu od moich ludzi - powiedział i przeszedł wzdłuż czterech prycz do drzwi. - Blodger!

- O co chodzi, Marlowe? - spytał Drinkwater.

Marlowe zignorował jego pytanie.

- Co tu robisz, Blodger? - spytał.

- Rozmawiałem właśnie z kapelanem - odparł Blodger i przysunął się bliżej do Marlowe'a. - Przepraszam, ale nie najlepiej pana widzę.

- Kapitan Marlowe.

- Ach, to pan, panie kapitanie. Jak się pan ma? Jestem nowym ordynansem kapelana, panie kapitanie.

- Wynoś się stąd, Blodger. A zanim najmiesz się na ordynansa, przedtem poproś o pozwolenie mnie!

- Ależ panie kapitanie...

- Za kogo pan się uważa, Marlowe? - odezwał się ostro Drinkwater. - Nie ma pan prawa nim rozporządzać.

- On nie będzie pańskim ordynansem.

- A to dlaczego?

- Ponieważ ja tak powiedziałem. Możesz odejść, Blodger.

- Ależ panie kapitanie, będę bardzo dbał o pana kapelana, naprawdę. Będę ciężko pracował...

- Skąd masz papierosa, Blodger?

- Chwileczkę, Marlowe... - zaczął Drinkwater.

Marlowe obrócił się gwałtownie w jego stronę.

- Zamknij się pan! - ryknął.

Wszyscy w baraku oderwali się od swoich zajęć i otoczyli ich.

- Skąd masz tego papierosa, Blodger?

- Dostałem od kapelana - pisnął Blodger cofając się, przestraszony ostrym tonem głosu Marlowe'a. - Dałem za to kapelanowi jajko. Obiecał, że za każde jajko będę dostawał tytoń. A ja chcę dostawać tytoń, jajka nie są mi potrzebne.

- Nie ma przecież nic złego w tym, że daję chłopcu trochę tytoniu - wtrącił Drinkwater. - W zamian za jajko. Sam mnie o to prosił.

- Był pan może ostatnio na Oddziale Szóstym? - spytał Marlowe. - Pomagał pan im przyjąć Lylesa, pańskiego poprzedniego ordynansa, który oślepl?

- To nie moja wina. Nic mu nie zrobiłem.

- A ile jego jajek pan zjadł?

- Żadnego. Żadnego!

Marlowe chwycił Biblię i wcisnął ją Drinkwaterowi do ręki.

- Uwierzę, jak pan na to przysięgnie. Niech pan przysięgnie, bo inaczej, daję słowo, skończę z panem!

- Przysięgam!

- Kłamiesz, łajdaku! - krzyknął Daven. - Sam widziałem, jak brałeś jajka od Lylesa. Wszyscy widzieli.

Marlowe chwycił menażkę Drinkwatera i znalazł w niej jajko. Wyjął je i rozbił na twarzy kapelana, a potem wepchnął mu do ust skorupkę. Drinkwater zemdłał. Marlowe chlusnął mu wodą w twarz i kapelan ocknął się.

- Dziękuję panu, Marlowe - szepnął. - Dziękuję za to, że pokazał mi pan, jak zbłądziłem. - Ukląkł przy pryczy. - Boże, przebacz niegodnemu grzesznikowi. Przebacz mi grzechy...

A dziś, w tę rozslonecznioną niedzielę, Marlowe słuchał, jak Drinkwater kończy kazanie. Blodger już dawno trafił na Oddział Szósty, ale Marlowe nie był w stanie dowieść, że przyczynił się do tego Drinkwater. Kapelan nadal miał skądś wiele jajek.

Żołądek podpowiedział Marlowe'owi, że czas na obiad.

Kiedy powrócił do baraku, wszyscy już czekali niecierpliwie z menażkami w rękę. Dziś mieli się jeszcze obejść bez zwiększonych racji. Jutro także, jak głosiła plotka. Ewart był już w kuchni i sprawdził. Żadnych zmian. Można to było w końcu zrozumieć, ale dlaczego, do diabła, tak się grzebią?

Grey siedział na skraju łóżka.

- Kogo ja widzę, Marlowe. Pan jada z nami? Co za miła niespodzianka - rzekł.

- Owszem, Grey, nadal tu jadam. Czemu pan nie pobiega sobie i nie pobawi się w złodziei i policjantów? W tej zabawie można się wyżyć na kimś, kto nie może oddać.

- Nie ma mowy, kolego. Mam na oku poważniejszą grę.

- Życzę szczęścia - odparł Marlowe i naszykował menażki.

Siedzący po drugiej stronie przejścia Brough, który przyglądał się grze w brydża, mrugnął do niego porozumiewawczo.

- Szkoda gadać - szepnął. - Wszystkie gliny są jednakowe.

- Owszem - odparł Marlowe, mając się na baczności.

- Tutaj każdy może robić, co chce. Ale czasem trzeba odsłonić karty i powiedzieć, w co się gra.

- Naprawdę?

- Tak. W niepewnym towarzystwie można stracić panowanie nad sytuacją.

- To może się zdarzyć wszędzie.

- Nie pogadaliśmy sobie kiedyś o tym przy kawie? - zaproponował Brough,

uśmiechając się szeroko.

- Bardzo chętnie. Może jutro? Po korycie... - Marlowe posłużył się bezwiednie określeniem, którego używał Król. Nie poprawił się jednak. Uśmiechnął się tylko do Brougha, a ten odpowiedział mu uśmiechem.

- Hej, jest żarło - zawołał Ewart.

- Dzięki Bogu, nareszcie - wystękał Phil. - Proponuję ci wymianę, Peter: twój ryż za moją zupę. Co ty na to?

- Optymista z ciebie!

- Spróbować nigdy nie zaszkodzi.

Marlowe wyszedł z baraku i ustawił się w kolejce po jedzenie. Ryż wydawał Raylins. Świetnie, pomyślał, nie ma się o co martwić.

Raylins, łysy mężczyzna w średnim wieku, przed wojną zastępca dyrektora w Banku Singapurskim, tak jak Ewart należał do Pułku Malajskiego. W czasie pokoju była to wspaniała organizacja. Jej członkowie spotykali się na przyjęciach i towarzyskich meczach krykieta i polo. Kto nie należał do tego pułku, był nikim. Raylins opiekował się finansami kasyna, a jego specjalnością było organizowanie bankietów. Kiedy dostał do ręki karabin i usłyszał, że bierze udział w wojnie, a potem rozkazano mu przeprowadzić pluton przez groblę i walczyć z Japończykami, spojrzął na pułkownika i roześmiał się. Znał się tylko na księgowości. Ale nic mu to nie pomogło. Musiał zebrać dwudziestu ludzi, równie nie wyszkolonych jak on sam, i pomaszerować. Maszerował więc, aż raptem z dwudziestu zrobiło się trzech. Trzynastu natychmiast zginęło w zasadzce. Tylko czterech było rannych. Leżeli na środku drogi i darli się wniebogłosy. Jeden z nich, któremu odstrzelono dłoń, wpatrywał się ogłupiały w kikut i jedyną dłonią, jaka mu pozostała, zbierał krew i starał się wlać ją z powrotem do żył. Inny, nie przestając się śmiać, wpychał sobie wnętrzności do otworu w jamie brzusznej.

Ogłupiały Raylins przyglądał się japońskiemu czołgowi, który nadjeżdżał drogą ziejąc ogniem z karabinów. A kiedy przejechał, po czterech ludziach zostały tylko mokre plamy na asfalcie. Raylins spojrzął na swoich trzech pozostałych przy życiu żołnierzy - jednym z nich był Ewart - a oni na niego. I wtedy zaczęli biec, uciekać w panicznym strachu przez dżunglę. Pogubili się. Raylins został sam pośród budzącej grozę nocy, pełnej pijawek i tajemniczych odgłosów. Od szaleństwa uratowało go malajskie dziecko, które spotkało go bełkoczącego coś bez sensu i odprowadziło do wioski. Wśliznął się do budynku, w którym zbierały się niedobitki angielskiej armii.

Nazajutrz Japończycy rozstrzelali po dwóch z każdej dziesiątki. Raylinsa i kilku innych zatrzymano w budynku. Później załadowano ich na ciężarówkę i przewieziono do obozu, gdzie znalazł się wśród rodaków. Nigdy jednak nie zapomniał o swoim przyjacielu Charlesie, o tym z wybebeszonymi wnętrznościami.

Niemal przez cały czas Raylins żył w stanie oszołomienia. Za żadne skarby nie mógł pojąć, dlaczego nie siedzi w banku sumując liczby, wyraźne i schludne, ani też dlaczego przebywa w obozie, w którym był wszakże niezastąpiony pod jednym względem: potrafił mianowicie podzielić każdą ilość ryżu na tyle porcji, ile trzeba. I to równo, niemal co do ziarnka.

- Znałeś Charlesa, Peter, prawda? - spytał, nakładając Marlowe'owi porcję ryżu.

- Tak, to bardzo miły człowiek - odparł Marlowe, choć go nie znał. Nie znał go zresztą nikt.

- Jak myślisz, udało mu się wreszcie wepchnąć je z powrotem? - spytał Raylins.

- O, tak. Na pewno.

Marlowe ustąpił miejsca następnemu jeńcowi, do którego zwracał się właśnie Raylins.

- Ciepło dziś, kapelanie Grover. Znał pan Charlesa, prawda?

- Tak - odparł kapelan, nie odrywając wzroku od porcji ryżu. - Na pewno mu się udało, panie Raylins.

- Och, to dobrze, to dobrze. Cieszę się. To chyba dziwne uczucie tak ni stąd, ni zowąd znaleźć swoje wnętrzności na zewnątrz.

Myśli Raylinsa powędrowały do banku, w którym było tak przyjemnie chłodno, i do żony, którą zobaczy wieczorem po powrocie z pracy w ich schludnym, małym domku w pobliżu toru wyścigowego. Zaraz, zaraz, a co będzie na kolację? - zastanawiał się w duchu. Już wiem, jagnię! Tak, jagnię! I butelka zimnego piwa. Potem pobawię się z Penelopą, a żona posiedzi sobie na werandzie i poszyje.

- Ooo - powiedział z radością, rozpoznając Ewarta. - Może wpadłbyś dziś do nas na kolację, Ewart? No jak, stary? Jeśli chcesz, to razem z żoną.

Ewart odburknął coś przez zaciśnięte zęby. Wziął ryż i zupę i odszedł na bok.

- Daj spokój, Ewart! - ostrzegł go Marlowe.

- To ty daj spokój! Nie wiesz, co czuję. Jak Boga kocham, kiedyś go zamorduję...

- Nie przejmuj się...

- Nie przejmuj się! One nie żyją. Jego żona i córka nie żyją! Widziałem to na własne oczy. A moja żona i dwoje dzieci? Gdzie są, co? No gdzie? Pewnie też już nie żyją. Na pewno. Przecież to tyle czasu. Nie żyją!

- Są w obozie dla cywilów...

- A ty niby skąd jesteś tego taki pewny? Ani ty tego nie wiesz, ani ja, a przecież to tylko dziesięć kilometrów stąd. Nie żyją! O Boże - jęknął Ewart, a potem usiadł i rozplakał się, wysypując na ziemię ryż i wylewając zupę. Marlowe zgarnął łyżką ryż i pływające w zupie liście i włożył je z powrotem do jego menażki.

- W przyszłym tygodniu pozwolą ci wysłać list, a może nawet pozwolą ci tam pojechać - rzekł. - Przecież komendant wciąż prosi o listę z nazwiskami kobiet i dzieci. Nie martw się, są bezpieczni.

Marlowe zostawił Ewarta, który jadł ryż, rozsmazując go sobie po twarzy, i poszedł ze swoją porcją do baraku przyjaciół.

- Czołem, kolego - przywitał go Larkin. - Byłeś u Maca?

- Tak. Wygląda znakomicie. Zaczął się nawet złościć, kiedy mówiłem mu "stary".

- Jak to dobrze, że nasz stary Mac niedługo wraca - powiedział Larkin i wyciągnął spod siennika zapasową menażkę. - Niespodzianka! - uprzedził i uchylił pokrywkę, odsłaniając mały placek z brązowawej, podobnej do kitu substancji.

- Czy mnie wzrok nie myli?! Blachang! Do licha, skąd pan to wytrzasnął?

- Oczywiście zwędziłem.

- Jest pan geniuszem, pułkowniku. Że też go wcześniej nie poczułem - zdziwił się Marlowe. Pochylił się nad naczyniem i wziął odrobinę blachangu. - Starczy nam na parę ładnych tygodni.

Blachang był miejscowym przysmakiem, zresztą łatwym do przyrządzenia. O określonej porze roku szło się na brzeg morza i łowiło siatką roje małych morskich żyjątek, unoszących się w płytkiej przybrzeżnej wodzie. Następnie zakopywało się je w jamie wymoszczonej wodorostami, przykrywało nimi również z wierzchu i zostawiało na dwa miesiące.

W ciągu tego czasu żyjątki rozkładały się, tworząc cuchnącą maź. Fetor po odgrzebaniu jamy był tak silny, że urywał głowę i na tydzień odbierał węch. Maź wybierało się z dołu powstrzymując oddech, a potem smażyło na patelni. Trzeba było przy tym uważać, żeby stać od nawietrznej, bo inaczej człowiek mógł się udusić. Po ostygnięciu substancji formowało się ją w bryły i sprzedawało za ciężkie pieniądze.

Przed wojną kostka kosztowała dziesięć centów. Teraz trzeba było płacić po dziesięć dolarów za plutek. Dlaczego był to przysmak? Otóż blachang był koncentratem białka. Nawet niewielki kawałeczek przesycał aromatem pełną miskę ryżu. Oczywiście łatwo mógł się stać przyczyną czerwonki. Ale jeśli dojrzewał dostatecznie długo, był dobrze wysmażony i nie tknięty przez muchy, wtedy jak najbardziej nadawał się do spożycia.

Ale kto by o to pytał. Mówiło się po prostu: "Pułkowniku, jest pan genialny", dokładało blachangu do ryżu i zjadało ze smakiem.

- Zaniósłbyś trochę Macowi?

- Świetny pomysł. Tylko że on na pewno się skrzywi, że blachang jest nie dosmażony.

- Nasz Mac skrzywiłby się nawet na najlepszy blachang... - powiedział Larkin i urwał. - Hej, Johnny! - zawołał do wysokiego mężczyzny, który właśnie przechodził drogą, prowadząc na postronku wychudłego kundla. - Chce pan blachangu, przyjacielu?

- Czy chcę? Ależ tak.

Nałożyli mu porcję blachangu na liść banana, porozmawiali o pogodzie i spytali, jak się miewa pies. John Hawkins kochał swojego psa ponad wszystko na świecie. Razem z nim jadł - zdumiewające, co potrafi zjeść pies -i razem z nim spał. Pirat był dobrym przyjacielem. Sprawiał, że człowiek czuł się przy nim po ludzku.

- Może macie ochotę pograć dziś wieczorem w brydża? Przyrowadzę czwartego - powiedział Hawkins.

- Dziś nie mogę - odparł Marlowe, tłukąc muchy.

- Mogę zaprosić Gordona, z sąsiedniego baraku - zaproponował Larkin.

- Świetnie. No to co, po kolacji?

- Dobrze, a więc do zobaczenia.

- Dziękuję za blachang - powiedział na odchodnym Hawkins, a Pirat zaszczeakał radośnie.

- Zielonego pojęcia nie mam, jak on daje radę wyżywić siebie i tego psiaka - rzekł Larkin. - I jak mu się do tej pory udało utrzymać go z dala od cudzej menażki!

Marlowe zamieszał ryż, starannie rozprowadzając blachang. Miał ogromną ochotę podzielić się z Larkinem tajemnicą dzisiejszej nocnej wyprawy, ale zdawał sobie sprawę, że byłoby to zbyt niebezpieczne.

ROZDZIAŁ XIV

Wydostać się z obozu było aż nazbyt łatwo. Wystarczyło przebiec krótki odcinek dzielący od pogrążonej w cieniu części ogrodzenia, na które składało się sześć poziomów kolczastego drutu, potem przedostać się na drugą stronę, co nie było trudne, i szybko zniknąć w dżungli. Kiedy przystanęli dla złapania oddechu, Marlowe zapragnął znaleźć się z powrotem w obozie, rozmawiać z Makiem, Larkinem, choćby nawet z Greyem.

Cały czas pragnąłem się stamtąd wydostać, myślałem, a kiedy to nastąpiło, boję się własnego cienia.

Niesamowite uczucie tak patrzeć na obóz z zewnątrz. Z miejsca, gdzie stali, mieli dobry widok. Barak amerykański był o sto metrów od nich. Jeńcy spacerowali tam i z powrotem; Hawkins ze swoim psem. Po obozie przechadzał się również koreański strażnik. Od wieczornego apelu upłynęło sporo czasu i w barakach pogasły już światła. A jednak w obozie panował ruch - to chodzili ci, którzy nie mogli zasnąć. Tak było co noc.

- Chodź, Peter - szepnął Król i ruszył w gęstwinę, torując drogę.

Jak dotąd wszystko przebiegało zgodnie z planem. Kiedy tego wieczoru Marlowe zjawił się w baraku Amerykanów, zastał Króla gotowego do drogi.

- Żeby dobrze wykonać robotę, trzeba mieć odpowiedni sprzęt - powiedział Król, wskazując na porządnie natłuszczone japońskie buty z miękkiej, nie wydającej dźwięków skóry, na gumowych spodach, i na swój "strój": czarne chińskie spodnie i krótki kaftan.

O wyprawie wiedział tylko Dino. Zabrał ich podwójny ekwipunek i podrzucił go ukradkiem w miejsce, skąd mieli wyruszyć. Potem wrócił do baraku, a kiedy w pobliżu nie było nikogo, Marlowe i Król wyszli jak gdyby nigdy nic, mówiąc, że idą zagrać w brydża z Larkinem i jakimś drugim Australijczykiem. Musieli odczekać denerwujące pół godziny, zanim zrobiło się pusto, a wtedy pomknęli do znajdującego się przy ogrodzeniu rowu, przebrali się i wymazali błotem ręce i twarze. Zanim mogli podbiec nie zauważeni do ogrodzenia, minął następny kwadrans. Kiedy znaleźli się już poza drutami i ukryli, Dino zabrał pozostawione przez nich ubranie.

Nocą dżungla budziła grozę. Ale Marlowe czuł się w niej swojsko. Wszystko przypominało mu tu Jawę, najbliższe otoczenie wioski, dlatego też po chwili jego zdenerwowanie nieco ustąpiło.

Król bezbłędnie torował drogę. W wiosce był już pięciokrotnie. Posuwał się naprzód, wyteżając wszystkie zmysły. Trzeba było jeszcze ominąć wartownika, który nie miał ustalonej trasy i chodził, jak chciał. Król wiedział jednak, że najczęściej wyszukuje on sobie jakąś polankę i kładzie się spać.

Po pełnej napięcia wędrówce, kiedy każdy spróchniały patyk lub uschły liść zdawał się zdradzać ich obecność, a każda gałąź pragnęła zatrzymać, dotarli wreszcie do ścieżki. Wartownika mieli już za sobą. Ścieżka wiodła nad brzeg morza, a potem - do wioski.

Przeszli na drugą stronę ścieżki i zaczęli krążyć. Na bezchmurnym niebie, ponad gęstą kopułą listowia tkwił półksiężyc. Dawał akurat tylko tyle światła, żeby byli bezpieczni.

Wolność. Bez otaczającego zewsząd drutu i ludzi. Nareszcie sami. I nagle Marlowe'owi wydało się to koszmarem.

- Co z tobą, Peter? - spytał szeptem Król, wyczuwając, że coś się stało.

- Nic, nic... Tylko że to taki szok znaleźć się na zewnątrz.

- Przyzwyczaisz się - zapewnił Król i spojrzął na zegarek. - Jeszcze z półtora kilometra. Pośpieszyliśmy się, więc musimy poczekać.

Wyszukał pnącza oplecione wokół powalonych drzew i oparł się o nie.

- Tu możemy sobie odpocząć - powiedział.

Czekali, przysłuchując się odgłosom dżungli. Świerszczom, żabom, nagłemu świergotaniu. I nagłej ciszy. Szelestowi wędrujących zwierząt.

- Zapaliłbym.

- Ja też.

- Ale nie tutaj - ostrzegł Król.

Jego mózg nie próżnował ani chwili. Jednym uchem łowiąc odgłosy dżungli, skupił się na powtórzeniu w myślach przebiegu mającej wkrótce nastąpić transakcji. Uznał, że plan jest dobry.

Sprawdził godzinę. Minutowa wskazówka przesuwiała się powoli. A więc mógł jeszcze zastanowić się nad planem. Im dłużej planuje się jakąś transakcję, tym lepiej się ona udaje. Nie ma wpadek, a i zysk jest większy. Dzięki Bogu, że istnieje coś takiego jak zysk! Gość, który wymyślił interesy, był geniuszem. Sprzedawaj drożej, niż kupiłeś. Ruszaj głową. Rzykuj, a pieniądze same będą ci się pchały do ręki. Masz pieniądze - masz wszystko. A przede wszystkim - władzę.

Kiedy stąd wyjdę, myślał Król, zostanę milionerem. Zbiję taką forszę, że Fort

Knox będzie przy niej wyglądał jak dziecięca skarbonka. Założę organizację. Będą w niej pracować goście lojalni, ale posłuszni. Fachowców zawsze można kupić. A jeśli wiesz, za ile da się kupić gościa, to potem możesz go używać i nadużywać do woli. Na tym polega życie. Ludzie dzielą się na elitę i resztę. Ja należę do elity. I tak już będzie zawsze. Nie pozwolę sobą pomiatać i nie dam się ciągać z miasta do miasta. Było, minęło. A zresztą byłem wtedy szczeniakiem zależnym od tatusia, który raz był kelnerem, raz pomagierem na stacji benzynowej, innym razem roznosił książki telefoniczne, a kiedy indziej wywoził śmiecie albo rozdawał ulotki reklamowe. A wszystko po to, żeby zarobić na butelkę. Potem trzeba było po nim sprzątać. To już się nigdy nie powtórzy. Teraz po mnie będą sprzątać. A do tego potrzeba mi tylko forsy. "Wszyscy ludzie zostali stworzeni równymi sobie... w pewnych niezbywalnych pracach". Bogu dzięki, że jest Ameryka, powtórzył w duchu Król po raz tysięczny. Bogu dzięki, że jestem Amerykaninem.

- Wspaniały kraj - powiedział do siebie.

- Jaki kraj?

- Stany.

- Dlaczego?

- Są jedynym miejscem na świecie, gdzie możesz wszystko kupić i gdzie masz szansę się dorobić. To bardzo ważne dla kogoś, komu nie zapewnia tego urodzenie, a takich szczęśliwców jest cholernie mało, Peter. Każdy, kto tylko chce pracować, ma przed sobą tyle możliwości, że aż się w głowie kręci. Natomiast taki, co nie pracuje i nie daje sobie rady, jest do niczego, nie jest Amerykaninem i...

- Cicho - ostrzegł go nagle Marlowe, zdwajając czujność.

Z oddali dobiegł ich ledwo dosłyszalny odgłos zbliżających się kroków.

- To człowiek, Malajczyk - szepnął Marlowe, wciskając się głębiej w listowie.

- A ty skąd niby o tym wiesz?

- Na nogach ma malajskie chodaki. Jest chyba stary. Szura nogami. O, już słychać jego oddech.

W chwilę później tubylec wyłonił się z mroków dżungli i nie zwróciwszy na nich uwagi, poszedł dalej ścieżką. Był stary, a na plecach niósł ubitego pekari. Odprowadzali go wzrokiem, dopóki nie zniknął.

- Zauważył nas - rzekł z niepokojem Marlowe.

- Ale gdzie tam.

- Jestem tego pewien. Mógł pomyśleć, że to wartownik. Przyglądałem się jego

nogom. Zmylił krok. To niezawodny sposób, żeby się przekonać, czy ktoś cię zauważył...

- A może na ścieżce była jakaś nierówność albo patyk?

Marlowe potrząsnął przecząco głową.

Przyjaciół czy wróg? - myślał gorączkowo Król. Jeżeli to ktoś z wioski, nic nam nie grozi. Cała wioska wiedziała o tym, kiedy ma przyjść Król, ponieważ miała swój udział w zyskach Czeng Sana, z którym handlował. Nie poznałem go, ale nic w tym dziwnego, bo kiedy u nich bywałem, wielu łowiło nocą ryby. Co robić? - zastanawiał się.

- Zaczekamy, a potem zrobimy szybki zwiad - oświadczył Marlowe'owi. - Jeśli to nieprzyjaciel, to pójdzie do wioski i doniesie naczelnikowi, a ten da nam znać, żebyśmy wzięli nogi za pas.

- Możesz im zaufać?

- Ja tak. Trzymaj się kilkanaście metrów za mną, Peter - rzekł Król i ruszył w drogę.

Z łatwością odnaleźli wioskę. Podejrzenie łatwo, pomyślał Marlowe. Przyjrzeni się jej ze szczytu niewielkiego wzniesienia, gdzie się zatrzymali. Na werandzie jednej z chat siedziało w kucki kilku Malajczyków i paliło papierosy. Tu i ówdzie pochrząkiwały świnię. Przez otaczające wioskę kokosowe palmy prześwitywały przybrzeżne fale. Dostrzegli też kilka łodzi ze zwiniętymi żaglami i nieruchome, suszące się sieci. Wszystko tchnęło spokojem.

- Wygląda bezpiecznie - szepnął Marlowe.

Król szturchnął go w bok. Na werandzie swojej chaty stali naczelnik wioski i człowiek, którego widzieli w dżungli. Obaj pochłonięci byli rozmową. Nagle panującą ciszę rozproszył daleki śmiech i nieznajomy zszedł na dół po schodach.

Usłyszeli, jak kogoś woła. Wkrótce podbiegła do niego jakaś kobieta, zdjęła mu z pleców pekari, zaniósła do ogniska i nabiła na rożen. W chwilę potem zebrali się tam inni Malajczycy żartując i śmiejąc się.

- Idzie! - wykrzyknął Król.

Od brzegu nadchodził wysoki Chińczyk. Za jego plecami jakiś Malajczyk związał żagle małej łodzi rybackiej. Chińczyk podszedł do naczelnika. Przywitali się cicho i kucnęli, czekając na Króla.

- Dobra - powiedział Król z uśmiechem. - Idziemy.

Wstał i trzymając się cienia, obszedł wioskę dookoła. Na tyłach chaty

naczelnika pięła się w górę wysoka drabina, prowadząca na werandę. Król wszedł po niej, a za nim Marlowe. Ledwo stanęli na górze, drabina zaczęła głośno skrzypieć pod czyimiś stopami.

- *Tabe* - rzekł Król, witając z uśmiechem Czeng Sana i Sutrę, naczelnika wioski.

- Dobrze cię widzieć, *tuan* - rzekł naczelnik, z trudem przypominając sobie angielskie słowa. - Ty, *makan*, jeść, tak? - spytał i uśmiechnął się odsłaniając zęby, ściemniałe od żucia orzechów arekowych.

- *Trima kassih...* dziękuję - odparł Król i podał rękę Czeng Sanowi. - Jak leci, Czeng San?

- Ja zawsze dobrze. Ja... - Czeng San urwał, szukając w pamięci odpowiedniego słowa, aż wreszcie je znalazł. - Proszę, może zawsze tak samo dobrze.

Król wskazał na Marlowe'a.

- *Ichi-bon* przyjaciel. Peter, zagadaj do nich, no wiesz, przywitaj ich i tak dalej. Do roboty, chłopie - powiedział, uśmiechnął się, wyciągnął paczkę kooa i wszystkich poczęstował.

- Mój przyjaciel i ja dziękujemy wam za powitanie - rzekł po malajsku Marlowe. - To bardzo miło z waszej strony, że zapraszacie nas na posiłek, zwłaszcza że ostatnio niełatwo o pożywienie. Z pewnością tylko wąż mógłby odrzucić tak uprzejmą propozycję.

Czeng San i naczelnik wioski rozplnęli się w uśmiechach.

- *Wah-lah* - przemówił Czeng San. - Jak to dobrze, że dzięki tobie, panie, moje niegodne usta będą mogły rozmawiać z Radzą o wszystkim. Wiele razy pragnęłam powiedzieć mu coś, czego ani ja, ani mój przyjaciel Sutra nie potrafiliśmy wyrazić słowami. Powiedz Radży, że jest mądry i sprytny, ponieważ znalazł sobie tak biegłego tłumacza.

- Mówi, że najałeś sobie niekiepską papugę - rzekł radośnie Marlowe, czując się spokojnie i bezpiecznie. - No, cieszy się, że będzie ci mógł teraz walić kawę na ławę.

- Na miłość boską, Peter, mów tą swoją przyzwoitą kulturalną angielszczyzną. Przez tę gadkę-szmatkę wychodzisz na ostatniego dupka.

- Naprawdę? A tak pilnie przysłuchiwałam się Maxowi - zmartwił się Marlowe.

- Na przyszłość nie rób tego.

- Poza tym nazwał cię Radżą. Od tej pory będzie to twój przydomek. Chciałem powiedzieć: ksywka...

- Skończ tę gadkę, Peter!

- A ty, bracie, odwal się ode mnie!

- Dość tego. Nie mamy czasu. Powiedz Czeng Sanowi, że sprawa, którą...

- Ależ jest grubo za wcześnie na omawianie interesów - przerwał mu z oburzeniem Marlowe. - Chcesz wszystko zepsuć? Najpierw musimy napić się kawy i coś zjeść, a dopiero potem można przejść do sprawy.

- Powiedz im to od razu.

- Jeżeli to zrobię, będą urażeni, i to bardzo. Wierz mi na słowo.

Król zastanawiał się nad tym przez chwilę. No cóż, pomyślał, żaden interes płacić komuś, kto się zna na rzeczy, i z tego nie korzystać. Chyba że ma się przeczuć... Bystry biznesmen traci lub zyskuje wtedy właśnie, kiedy idzie za podszeptem intuicji, zamiast brać wszystko na tak zwany chłopski rozum. Ale ponieważ nie miał żadnych przeczuć, skinął po prostu głową.

- Dobra - rzekł. - Niech będzie, jak chcesz.

Pałac papierosa przysłuchiwał się, jak Marlowe rozmawia z tamtymi, i przyglądał się dyskretnie Czeng Sanowi. Chińczyk był ubrany lepiej niż poprzednio. Miał na palcu nowy pierścień z kamieniem wyglądającym na szafir, na oko chyba pięciokaratowy. Jego twarz, gładka, czysta i bez zarostu, miała miodowozłoty odcień, a włosy były starannie uczesane. Tak, Czeng Sanowi musiało się nieźle powodzić. Za to staremu Sutrze nie najlepiej. Sarong miał stary i wystrzępiony na brzegach. Nie nosił żadnych ozdób. A przecież poprzednim razem miał złoty pierścień. Teraz już go nie miał, a na palcu, na którym go nosił, pozostał tylko ledwie dostrzegalny ślad. A więc to nie dzisiejsze spotkanie sprawiło, że go zdjął.

Cała wioska pogrążona była w nocnej ciszy, tylko z oddzielonej części chaty dobiegały ciche rozmowy kobiet. Przez nie oszklone okno wpadał aromat pekari pieczonego nad ogniskiem. Oznaczało to, że wioska naprawdę potrzebowała Czeng Sana, czarnorynkowego kupca ryb, które należało odsprzedawać bezpośrednio Japończykom, i chciała go ugościć pieczeniem. A może stary Malajczyk, który złapał pekari w sidła, szykował przyjęcie dla przyjaciół? Tłum zgromadzony wokół ogniska czekał równie niespokojnie jak oni sami. Ci ludzie też byli głodni. A to znaczyło, że w Singapurze jest ciężko. W wiosce powinno być w bród jedzenia, picia i wszystkiego. Czyżby Czeng San nie radził sobie najlepiej ze szmuglowaniem ryb na targowiska? A może Japończycy mieli go na oku? Może jego dni były już policzone?

W takim razie wioska była mu zapewne bardziej potrzebna niż on wiosce. A ten strój i biżuteria służyły tylko na pokaz. Może Sutra miał już dość zastoju w interesach i

gotów był w każdej chwili pozbyć się Chińczyka, żeby nawiązać kontakt z jakimś innym czarnorynkowym kupcem?

- Peter, spytaj Czeng Sana, jak wygląda handel rybami w Singapurze - poprosił Król, a Marlowe przetłumaczył pytanie.

- Mówi, że handel idzie dobrze - przetłumaczył Marlowe w odpowiedzi. - Tak bardzo brakuje żywności, że Japończycy coraz bardziej dokręcają śrubę i z dnia na dzień trudniej jest handlować. Poza tym łamanie przepisów kosztuje coraz drożej.

Aha? Tu cię mam, triumfował w duchu Król. A więc Czeng nie przypłynął tu wyłącznie po to, żeby ubić ze mną interes. Chodzi mu także o ryby i wioskę. Zaraz, zaraz, jak by to obrócić na swoją korzyść? Założę się, że Czeng San ma problemy z dostarczaniem towaru na rynek. A może Japończycy przechwycili parę łodzi i zaczęli być bezwzględni? Stary Sutra nie jest głupi. Nie ma forsy, nie ma sprawy, i Czeng dobrze o tym wie. Nie ma handelku, interesik nie idzie, to Sutra sprzeda komu innemu. A jakże. W związku z tym Król zdecydował, że będzie nieustępliwy, i podniósł w myśli swoją cenę wywoławczą.

Wniesiono jedzenie. Pieczone bataty, smażone bakłażany, mleko kokosowe i grube, ociekające oliwą płaty wieprzowiny z różną. A do tego banany i owoce melonowca. Król zwrócił uwagę, że nie podano ani "kapusty milionerów", ani wołowiny saute, ani uwielbianych przez Malajczyków słodczy. Tak, tak, czasy były ciężkie.

Usługiwała im stara pomarszczona kobieta, główna żona naczelnika. Pomagała jej jedna z jego córek, Sulina. Piękna, o miękkich kobiecych kształtach i złotawej skórze. Pachnąca i ubrana w sarong wyprany na ich cześć.

- Tabe, Sam - rzekł Król, mrugając do Suliny.

Dziewczyna zachichotała, wstydliwie próbując ukryć zakłopotanie.

- Nazywasz ją Sam? - spytał Marlowe, krzywiąc się odruchowo.

- Owszem - odparł chłodno Król. - Przypomina mi mojego brata.

- Brata?

Marlowe spojrział na niego zaskoczony.

- Żartowałem. Nie mam brata.

- Ach tak! Dlaczego akurat "Sam"? - spytał Marlowe po krótkim zastanowieniu.

- Stary nie kwapił się mnie przedstawić, więc nazwałem ją po swojemu - wyjaśnił Król nie patrząc na dziewczynę. - Moim zdaniem to imię do niej pasuje.

Sutra zorientował się, że rozmawiają o jego córce. Zrozumiał, że wpuszczając ją tu, popełnił błąd. Gdyby to były inne czasy, być może chciałby nawet, aby jeden albo

drugi tuan zwrócił na nią uwagę i zabrał do swojego domu na rok czy dwa jako kochankę. Wróciłaby potem do wioski obeznana ze zwyczajami mężczyzn, ze sporym posagiem i łatwo by ją było wydać dobrze za męża. Tak wyglądałoby to kiedyś. Ale teraz romansowanie kończyło się na przypadkowych schadzках w krzakach, a tego Sutra nie pragnął dla córki, mimo że przyszedł czas, aby stała się kobietą.

Nachylił się i poczęstował Marlowe'a wybornym kawałkiem wieprzowiny.

- A może tym skuszę pański apetyt? - spytał.

- Dziękuję.

- Możesz odejść, Sulina - polecił Sutra.

Marlowe wyczuł w głosie starego stanowczy i nieodwołalny ton, a na twarzy dziewczyny zauważył cień przestachu. Sulina skłoniła się nisko i bez słowa wyszła. Teraz usługiwała im już tylko stara żona naczelnika.

Sulina, powtórzył w myśli Marlowe, czując, że budzi się w nim z dawien dawna nieobecne pożądanie. Nie dorównuje urodą N'ai, nieskazitelnie pięknej, ale jest ładna i w tym samym wieku. Ma nie więcej niż czternaście lat i jest już dojrzała. I to jak!

- Nie smakuje panu jedzenie? - spytał Czung San, rozbawiony tak jawnym zainteresowaniem Marlowe'a dziewczyną. A może da się to w jakiś sposób wykorzystać? - pomyślał.

- Wprost przeciwnie. Jest chyba aż za smaczne dla mego podniebienia odwykłego od dobrej kuchni - odparł Marlowe, przypominając sobie, że u Jawajczyków w dobrym tonie jest mówić o kobietach wyłącznie w przenośni. - Kiedyś, dawno temu, pewien mądry guru rzekł, że jest kilka rodzajów pokarmu - zwrócił się do Sutry. - Jest pożywienie dla żołądka, dla oczu i dla ducha. Nakarmiłem już dziś swój żołądek. Twoje zaś słowa, panie, i słowa tuana Czung Sana były karmą dla mego ducha. Jestem więc nasycony. A mimo to przecież dane mi... dane nam było nasycić także oczy. Jakże mam ci dziękować za tyle gościnności?

Twarz Sutry zmarszczyła się w uśmiechu. To było ładnie powiedziane. Skłonił się więc, dziękując za komplement, i rzekł szczerze:

- To były mądre słowa. Być może we właściwym czasie oko znów stanie się głodne. Musimy jeszcze kiedyś porozmawiać o mądrości naszych przodków.

- Coś się tak napuszył, Peter? - spytał Król.

- Wcale się nie napuszyłem, tylko najzwyczajniej w świecie jestem z siebie zadowolony. Mówiłem mu właśnie, że jego córka wydaje nam się bardzo ładna.

- O, tak! Niezła lalczka! A może ją poprosić, żeby przysiadła się do nas na

kawę?

- Bój się Boga - powiedział Marlowe, starając się zachować spokojny ton. - Nie możesz z tym tak wyjeżdżać i umawiać się z nią prosto z mostu. Trzeba to przygotować, co wymaga czasu.

- Eee tam, to nie po amerykańsku. Poznajesz cieżę, podoba ci się, a ty jej, no to siup do łóżka.

- Subtelny to ty nie jesteś.

- Możliwe. Za to bab mam na kopy.

Roześmieli się, a kiedy Czeng San spytał o powód, Marlowe odparł, że Król stwierdził, iż powinni otworzyć w wiosce sklep i nie wracać już do obozu.

Kiedy wypili kawę, Czeng San pierwszy napomknął o interesach.

- Chyba wiele ryzykujecie, przychodząc tu nocą z obozu. Więcej niż ja przyplływając do wioski.

Pierwsza runda dla nas, pomyślał Marlowe. Zgodnie ze wschodnim zwyczajem bowiem Czeng San znalazł się w gorszej sytuacji, jako że rozpoczynając rokowania stracił na prestiżu.

- W porządku, Radzo - zwrócił się Marlowe do Króla. - Możesz zaczynać. Zarobiliśmy już jeden punkt.

- Naprawdę?

- Tak. Co chcesz, żebym mu powiedział?

- Powiedz, że chodzi o dużą sprawę. Czterokaratowy brylant. Osadzony w platynie. Bez skazy, błękitnobiały. Chcę za niego trzydzieści pięć tysięcy dolarów. Pięć tysięcy w brytyjskiej walucie używanej na Malajach, resztę w fałszywych banknotach japońskich.

Oczy Marlowe'a powiększyły się. Był zwrócony twarzą do Króla, tak że Chińczyk nie mógł widzieć jego zdumienia. Ale nie uszło ono uwagi Sutry. Sutra nie brał udziału w transakcji, uczestnicząc w zyskach jedynie z tytułu pośrednictwa, dlatego rozsiadł się wygodnie, by rozkoszować się pojedynkiem. O Czeng Sana mógł być spokojny. Na własnej skórze przekonał się, że kto jak kto, ale ten Chińczyk nikomu nie da się wywieść w pole.

Marlowe przetłumaczył propozycję Króla. Niezwykłość transakcji była w stanie zatuszować każdy niedostatek manier. Chciał zresztą wstrząsnąć Chińczykiem.

Czeng San, nie panując nad sobą, wyraźnie się rozpromienił i spytał, czy może zobaczyć brylant.

- Powiedz mu, że nie mam go przy sobie, dostarczę za dziesięć dni - rzekł Król.
- Pieniądze muszę mieć na trzy dni przed dostawą towaru, bo właściciel nie wypuści go z rąk, zanim nie otrzyma zapłaty.

Czeng San wiedział, że Król ma opinię uczciwego handlarza. Jeśli stwierdził, że ma pierścień i dostarczy go, to z pewnością to zrobi. Nigdy jeszcze nie zawiódł. Ale zdobyć taką sumę i dostarczyć ją do obozu, gdzie można nigdy nie odnaleźć Króla... Cóż, to wielkie ryzyko.

- Kiedy mógłbym obejrzeć ten pierścień? - spytał.

- Powiedz mu, że jeśli chce, może wejść do obozu za tydzień - przekazał Król.

A więc muszę dostarczyć pieniądze, nawet nie zobaczywszy diamentu, pomyślał Czeng San. Wykluczone i tuan Radża dobrze o tym wie. Bardzo podła sprawa. Jeśli ten kamień ma rzeczywiście cztery karaty, mógłbym za niego dostać pięćdziesiąt, a nawet sto tysięcy dolarów. W końcu znam przecież Chińczyka, który sam drukuje japońskie dolary. No, ale pięć tysięcy malajskich dolarów to co innego. Trzeba by je kupić po czarnorynkowej cenie. Tylko po jakim kursie? Sześć do jednego było drogo, dwadzieścia do jednego tanio.

- Powiedz memu przyjacielowi Radży, że jest to dziwna propozycja - rzekł. - Dlatego będę się musiał nad nią zastanowić dłużej, niż przystało na człowieka interesu.

Po tych słowach podszedł do okna i wyjrzał przez nie.

Miał już dosyć wojny i tajemnych machinacji, do których musiał się uciekać człowiek interesu, żeby mieć jakiś zysk. Pomyślał o nocy, gwiazdach i ludzkiej głupocie, każącej walczyć i umierać za sprawy nietrwalej wartości. Ale zarazem zdawał sobie sprawę, że tylko silni utrzymują się przy życiu, a słabi giną. Pomyślał o żonie i o dzieciach - trzech synach i córce, i o wszystkim, co chciałby dla nich kupić, żeby im uprzyjemnić życie. Pomyślał też o tym, że dobrze byłoby sobie kupić drugą żonę. Tak czy inaczej, musiał ubić ten interes. Warto zaryzykować i zaufać Królowi.

Cena jest przystępna, argumentował w duchu. Tylko jak by tu zabezpieczyć pieniądze? Trzeba by znaleźć pośrednika, któremu można zaufać. Musiałby nim być któryś ze strażników. Strażnik mógłby obejrzeć pierścień. Gdyby pierścień okazał się dobry, a waga by się zgadzała, wówczas można by wręczyć pieniądze. Potem tuan Radża dostarczyłby pierścień tu, do wioski. W ten sposób uniknęłoby się powierzenia pierścienia strażnikowi. Ale czy można któremuś z nich zaufać? Czy nie lepiej wymyślić jakąś historyjkę - na przykład, że pieniądze pożyczyci jeńcom Chińczycy z

Singapuru? Nie, nic z tego. Przecież strażnik musiałby obejrzeć pierścień i trzeba by go wtajemniczyć w sprawę. Oczekiwałby sowitej zapłaty.

Czeng San obrócił się twarzą do Króla i spostrzegł, że Amerykanin obficie się spocił. Aha, bardzo ci zależy na jego sprzedaży, pomyślał. Tylko że ty pewnie wiesz, iż mnie bardzo zależy na kupnie. Ty i ja jesteśmy jedynymi, którzy mogą dokonać takiej transakcji. Nikt nie jest bardziej znany z uczciwości w handlu niż ty, tak samo jak nikt spośród handlujących z obozem Chińczyków prócz mnie nie jest w stanie dostarczyć tak dużej sumy.

- A więc do rzeczy, tuan Marlowe - rzekł. - Mam plan, który powinien zadowolić tak mojego przyjaciela Radzę, jak i mnie. Po pierwsze, uzgodnimy cenę. Ta, którą wymienił, jest za wysoka, ale to na razie nieistotne. Po drugie, wybierzemy pośrednika, to znaczy strażnika, któremu obaj możemy zaufać. Za dziesięć dni przekażę temu strażnikowi połowę sumy. Obejrzy on pierścień. Jeżeli właściciel mówi prawdę, strażnik przekaże pieniądze mojemu przyjacielowi Radży. Radża dostarczy mi towar osobiście do wioski. Przyrowadzę ze sobą rzeczoznawcę, który zważy kamień. A wtedy ja wezmę kamień i wypłacę drugą połowę sumy.

Król przysłuchiwał się uważnie tłumaczeniu Marlowe'a.

- Powiedz mu, że wszystko gra, ale muszę dostać od razu całą sumę - powiedział. - Gość nie wypuści pierścienia, zanim nie dostanie forsy do ręki.

- Przekaż mojemu przyjacielowi Radży, że dla ułatwienia pertraktacji z właścicielem dam strażnikowi trzy czwarte uzgodnionej sumy - odparł Czeng San.

Wydawało mu się, że owe siedemdziesiąt pięć procent z pewnością wystarczy, żeby zapłacić właścicielowi pierścienia sumę, jakiej żądał, i że Król zaryzykuje swój zysk, bo z pewnością jest na tyle wytrawnym biznesmenem, by zapewnić sobie dwudziestopięcioprocentowe honorarium!

Król z kolei zastanawiał się nad trzema czwartymi sumy. Dawało to dużą swobodę manewru. Być może udałoby mu się uszczknąć parę dolarów z żądanej przez właściciela ceny, wynoszącej dziewiętnaście i pół tysiąca. Tak jak dotąd, wszystko szło dobrze. Dochodzimy więc do sedna, pomyślał.

- Powiedz mu, że się zgadzam - zwrócił się do Marlowe'a. - Kogo proponuje na pośrednika?

- Torusumiego.

Król potrząsnął przecząco głową. Zastanawiał się przez chwilę, po czym zwrócił się bezpośrednio do Czeng Sana:

- A może Immuri?

- Proszę przekazać mojemu przyjacielowi, że wolałbym kogoś innego. Może Kimina? - podsunął Czeng San.

Król aż gwizdnął z wrażenia. Ależ to kaprał, wykrzyknął w duchu. Nigdy jeszcze nie robiłem z nim interesów. Zbyt niebezpieczne. To musi być ktoś, kogo znam.

- Shagatasan? - zaproponował.

Czeng San skinął głową na znak zgody. Od razu wybrał sobie tego strażnika, ale nie chciał go proponować jako pierwszy. Chciał zobaczyć, kogo wybierze Król - miał to być ostateczny sprawdzian jego uczciwości. O tak, Shagata nadawał się jak najbardziej. Ani za bystry, ani za głupi, w sam raz. Załatwiał już z nim kiedyś interesy. Doskonale.

- Wracając do ceny - rzekł Czeng San. - Proponuję, żebyśmy rozważyli następującą propozycję. Po cztery tysiące fałszywych dolarów za karat. Razem szesnaście tysięcy. Do tego cztery tysiące dolarów malajskich, po kursie piętnaście do jednego.

Król zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy, po czym rzekł do Marlowe'a:

- Powiedz mu, że nie będę się bawił w żadne bzdurne targi. Cena wynosi trzydzieści pięć tysięcy, w tym pięć tysięcy w dolarach malajskich po kursie osiem do jednego, wszystko w małych banknotach. To moje ostatnie słowo.

- Musisz się jeszcze trochę potargować - odparł Marlowe. - Może byś tak powiedział najpierw trzydzieści trzy i dopiero wtedy...

Król potrząsnął głową.

- Nie. A kiedy będziesz tłumaczył, użyj jakiegoś słowa w rodzaju "bzdurne".

Marlowe z ociąganiem zwrócił się do Czeng Sana.

- Mój przyjaciel mówi, że nie będzie się wdawał w żadne zbędne targi. Jego ostateczna cena wynosi trzydzieści tysięcy, pięć tysięcy w dolarach malajskich po kursie osiem do jednego. Wszystko w drobnych banknotach.

Ku jego zdziwieniu Czeng San natychmiast się zgodził. On także nie chciał tracić czasu na targi. Cena była przystępna, a poza tym wyczuł, że Król i tak nie ustąpi. W każdej transakcji zawsze nadchodziła chwila, kiedy trzeba było powiedzieć "tak" lub "nie". A Radża znał się na handlu.

Podali sobie ręce. Sutra uśmiechnął się i postawił przed nimi butelkę sake. Pili nawzajem za swoje zdrowie, aż opróżnili butelkę. Potem ustalili szczegóły.

Za dziesięć dni podczas nocnej warty Shagata przyjdzie do baraku

Amerykanów. Będzie miał przy sobie pieniądze i wręczy je Królowi po obejrzeniu pierścienia. W trzy dni potem Król i Marlowe spotkają się z Czeng Sanem w wiosce. Gdyby z jakichś powodów Shagata nie mógł przybyć o ustalonej porze, wówczas cała operacja przesunie się o jeden dzień, a w razie potrzeby nawet o dwa. To samo dotyczy Króla i Marlowe'a. Gdyby nie mogli dotrzymać umówionego terminu, przyjdą do wioski dzień później.

Po wymianie grzecznościowych komplementów Czeng San powiedział, że musi już iść, żeby zdążyć na odpływ morza, po czym skłonił się uprzejmie. Sutra wyszedł razem z nim, by odprowadzić go na brzeg. Przy łódce jak zwykle wdali się w uprzejmy spór na temat ryb.

Król triumfował.

- Wspaniale, Peter! Udało się!

- Byłeś fantastyczny! - przyznał Marlowe. - Kiedy powiedziałeś, żeby mu wypalić prosto z mostu, to przyznam ci się, myślałem, że on zrezygnuje. Dla Chińczyków takie stawianie sprawy jest nie do pomyślenia.

- Miałem przecucie - powiedział tylko Król. - Należy ci się dziesięć procent - dodał po chwili, żując kawałek mięsa. - Oczywiście, dziesięć procent od zysku. Ale będziesz musiał jeszcze na to popracować, synku.

- Jak wół! Pomyśl tylko, ile to pieniędzy! Trzydzieści tysięcy dolarów to plik banknotów wysoki chyba na trzydzieści centymetrów.

- Wyższy - rzekł Król, zarażony podnieceniem Marlowe'a.

- Ależ ty masz nerwy! Skąd wiedziałeś, jaką zaproponować cenę? Bach, i zgodził się bez niczego. Chwila rozmowy, bach, i jesteś bogaty!

- Trzeba będzie jeszcze sporo pogłórkować, zanim załatwi się tę sprawę do końca. Tyle rzeczy może się nie udać. Interes nie jest interesem, dopóki nie dostaniesz forsy i jej nie schowasz.

- Rzeczywiście, nie pomyślałem o tym.

- Podstawowa zasada biznesmena: rozmowa o pieniądzu to jedno, a liczą się tylko zielone, które trzymasz w ręku.

- Ciągle jeszcze nie mogę się przyzwyczaić. Jesteśmy poza obozem, zjedliśmy na raz więcej niż w ciągu paru tygodni i perspektywy są znakomite. Jesteś absolutnie genialny.

- Pożyjemy, zobaczymy, Peter.

Król podniósł się.

- Zaczekaj tu na mnie - powiedział. - Wrócę mniej więcej za godzinę. Muszę jeszcze coś załatwić. Jeżeli wyruszymy stąd nie dalej jak za dwie godziny, wszystko będzie dobrze. Dotrzemy do obozu tuż przed świtem. To najlepsza pora. Strażnicy są wtedy w najgorszej formie. No, to na razie.

Zszedł ze schodów i zniknął w ciemnościach.

Marlowe poczuł się nagle samotny i nie mógł opanować obaw.

Co też on knuje? Dokąd poszedł? Co będzie, jeśli się spóźni? Albo w ogóle nie wróci? A gdyby tak przyszedł do wioski Japończyk, co wtedy? Co zrobię, jeżeli zostanę tu sam? A może go poszukać? Jeśli nie wrócimy przed świtem, zameldują o naszej nieobecności i będziemy musieli uciekać. Ale dokąd? Może Czeng by nam pomógł. Nie, to zbyt niebezpieczne! Gdzie on właściwie mieszka? A może udałoby się dotrzeć do portu i złapać jakąś łódź? Albo skontaktować się z partyzantami, którzy podobno gdzieś tu są? Weź się w garść, Marlowe, ty podły tchórze! Zachowujesz się jak małe dziecko!

Tłumiąc w sobie niepokój, postanowił czekać. Nagle przypomniał sobie o kondensatorze. Kondensator sprzęgający, trzysta mikrofaradów, powtórzył w myślach.

- *Tabe, tuan* - powiedziała Kasseh na widok wchodzącego do chaty Króla.

- *Tabe*, Kasseh!

- Ty chcesz jeść, tak?

Zaprzeczył ruchem głowy, przygarnął ją do siebie i zaczął gładzić jej ciało. Stała na palcach, żeby zarzucić mu ręce na szyję. Czarne, złotawo połyskujące włosy spływały jej gęstą falą aż do pasa.

- Długo nie być - powiedziała rozgrzana dotykiem jego rąk.

- Długo nie być - powtórzył. - Tęsknisz za mną?

- Mhmm - odparła ze śmiechem, naśladując jego wymowę.

- Tamten już przyszedł?

Potrząsnęła głową.

- To mi się nie podoba, *tuan*. Niebezpieczne - powiedziała.

- Wszystko jest niebezpieczne - odparł Król.

Usłyszeli czyjeś kroki i na zasłonie w drzwiach pojawił się cień. Zasłona odchyliła się i do środka wszedł niski ciemnowłosy Chińczyk. Ubrany był w sarong, a na nogach miał indyjskie sandały. Uśmiechnął się, odsłaniając wyszczerbione,

spróchniałe zęby. Na plecach, w pochwie, nosił wojenny parang. Król zauważył, że pochwa jest starannie naoliwiona. Łatwo było wyciągnąć z niej parang i jednym ruchem odciąć komuś głowę. Za pasem przybysza tkwił rewolwer.

Człowiek ten zjawiał się dlatego, że uprzednio Król prosił Kasseh, aby skontaktowała się z partyzantami działającymi w Johore. Większość z nich była przestępcami, którzy zmieniwszy poglądy, walczyli teraz pod sztandarem komunistów dostarczających im broni.

- *Tabe*. Znasz angielski? - spytał Król z wymuszonym uśmiechem. Chińczyk wcale mu się nie podobał.

- O czym chcesz z nami rozmawiać?

Przybysz łypnął pożądliwie na Kasseh. Dziewczyna wzdrygnęła się.

- Wyjdź stąd, Kasseh - polecił Król.

Bezszelestnie odchyliła zasłonę z koralików i przeszła do tylnej części chaty. Chińczyk odprowadził ją wzrokiem.

- Masz szczęście - powiedział do Króla. - Dużo szczęścia. Na pewno zadowoliliby dwóch albo i trzech mężczyzn jednej nocy. Co?

- Mamy rozmawiać o interesach. Tak czy nie?

- Uważaj, biały człowieku, bo może powiem Japończykom, że tu jesteś. Może im powiem, że jeńcy są bezpieczni w wiosce. A wtedy oni zniszczą wioskę.

- W ten sposób sami byście się szybko wykończyli.

Chińczyk burknął coś i przykucnął. Nieznacznym, złowieszczym ruchem poprawił parang.

- A może pójde do tej kobiety - powiedział.

Chryste, czyżbym popełnił jakiś błąd? - pomyślał Król.

- Mam dla was, chłopcy, pewną propozycję - rzekł. - Gdyby wojna nagle się skończyła albo Japończykom wpadło do łbów, żeby nas, jeńców, wyróżnić, chciałbym, żebyście w razie czego byli gdzieś niedaleko obozu. Zapłacę dwa tysiące amerykańskich dolarów, jeżeli mnie uratujecie.

- A skąd będziemy wiedzieć, że Japończycy zabijają jeńców?

- Dowiedcie się. Na ogół dobrze wiecie, co się dzieje.

- Skąd pewność, że zapłacisz?

- Zapłaci wam rząd Stanów Zjednoczonych. Przecież wiadomo, że płaci nagrody za uratowanie życia swoim obywatelom.

- Dwa tysiące! 'Mahlu! Dwa tysiące możemy mieć, kiedy chcemy. Rozbić bank.

Proste.

Król zagrał na całego.

- Jestem upoważniony przez naszego dowódcę do zagwarantowania wam po dwa tysiące za każdego uratowanego Amerykanina - oświadczył. - W razie strzelaniny.

- Nie rozumiem.

- No, gdyby Japończycy chcieli nas wykończyć, zabić. Jeżeli alianci wylądują tu, Japonce się wściekną, a jeżeli w Japonii, to czeka nas odwet. Więc jeśli wylądują, to się o tym dowiedziecie, i chciałbym, żebyście pomogli nam uciec.

- Ilu ludzi?

- Trzydziestu.

- Za dużo.

- Ilu możecie uratować?

- Dziesięciu. Ale cena będzie pięć tysięcy od sztuki.

- Za dużo.

Chińczyk wzruszył ramionami.

- No dobra, zgoda - rzekł Król. - Wiecie, gdzie jest obóz?

Chińczyk odsłonił zęby w krzywym uśmiechu.

- Wiemy - potwierdził.

- Nasz barak stoi od wschodu. Taki mały - wyjaśnił Król. - Gdybyśmy musieli uciekać, wydostaniemy się przez ogrodzenie właśnie z tamtej strony. Siedząc w dżungli, możecie nas osłonić. Jak poznamy, że tam jesteście?

Chińczyk ponownie wzruszył ramionami.

- Jeżeli nas nie będzie, to i tak zginiecie - powiedział.

- Czy moglibyście dać nam jakiś znak?

- Nie.

To szaleństwo, pomyślał Król. Nie wiadomo przecież, kiedy uciekać. A jeżeli wypadnie zrobić to nagle, nie będzie jak zawiadomić partyzantów na czas. A jeśli ich tam nie będzie? No, ale kiedy wyliczą sobie, że wezmą po pięć patyków za każdego, kto się wydostanie, może będą mieli oko na obóz.

- Będziecie mieli oko na obóz? - spytał.

- Może wódz powie tak, może nie.

- A kto jest waszym wodzem?

Chińczyk wzruszył ramionami i zaczął dłubać w zębach.

- Więc jak, umowa stoi?

- Może. - Skośne oczy spoglądały nieprzyjaźnie. - Skończyłeś?

- Tak - odparł Król i wyciągnął rękę. - Dzięki. Chińczyk spojrział na wyciągniętą rękę, uśmiechnął się szyderczo i ruszył do drzwi.

- Pamiętaj, tylko dziesięciu. Resztę zabijemy! - powiedział i wyszedł.

Co tam, warto spróbować, pocieszył się w duchu Król. Założę się o nie wiem co, że te sukinsyny potrzebują pieniędzy. Wujek Sam zapłaci. No, bo niby dlaczego nie?! W końcu za co, do cholery, płacimy podatki!

- To mi się nie podobać, *tuan* - powiedziała Kasseh, zatrzymując się przy drzwiach.

- Muszę ryzykować. Jeżeli nagle zacznie się masakra, może uda się uciec - rzekł Król i mrugnął do niej porozumiewawczo. - Warto spróbować. I tak byśmy zginęli, więc co za różnica? A tak, może zapewnią nam bezpieczną drogę ucieczki.

- Czemu nie umówić się tylko o siebie? Nie iść teraz z nim i nie uciec?

- To proste. Po pierwsze, bezpieczniej jest w obozie niż z partyzantami. Nie można im ufać, chyba że nie będzie wyboru. A po drugie, nie opłaca im się ratować jednego człowieka. Dlatego wspomniałem o trzydziestu. Ale on twierdzi, że dziesięciu to góra.

- Jak tu wybrać dziesięciu?

- Nieważne, kto to będzie, bylebym ja był bezpieczny.

- Twój oficer może nie cieszyć się, że tylko dziesięciu.

- Na pewno się ucieszy, jeżeli będzie jednym z nich.

- Ty myśleć, Japończycy zabijają jeńców?

- Może. Ale zapomnijmy o tym, dobrze?

- Zapomnijmy - powtórzyła Kasseh z uśmiechem. - Gorąco. Ty wziąć prysznic, tak?

- Tak.

W służącej za łazienkę oddzielonej zasłonami części chaty Król oblał się wodą zaczerpniętą z betonowej studni. Woda była tak chłodna, że polewając się nią sykał, czując zimno na całym ciele.

- Kasseh!

Dziewczyna odchyliła zasłonę i weszła z ręcznikiem. Stała i przyjrzała mu się. O tak, mój *tuan* to piękny mężczyzna, pomyślała. Silny, przystojny i ma taki przyjemny kolor skóry. *Wah-lah*, szczęściara ze mnie, że mam takiego mężczyznę. Tylko że on jest taki duży, a ja taka mała. Jest wyższy ode mnie o całe dwie głowy.

Ale i tak wiedziała, że mu się podoba. Łatwo jest podobać się mężczyźnie. Jeżeli jest się kobietą. I jeśli nie wstydy się tego, że się nią jest.

- Z czego się śmiejesz? - spytał widząc, że się uśmiecha.

- Ach, *tuan*, tak sobie myślę, ty taki duży, ja taka mała. A przecież kiedy leżymy, to nie ma takiej różnicy.

Parsknął śmiechem, klepnął ją pieszczotliwie w pośladki i wziął z jej rąk ręcznik.

- A może byśmy się czegoś napili?

- Mam gotowe, *tuan*.

- A co jeszcze masz gotowe?

Jej usta i oczy roześmiały się. Oczy były ciemnobrązowe, zęby olśniewająco białe, a skóra gładka i pachnąca.

- Kto wie? - odpowiedziała i wyszła.

Kobitka jak się patrzy, pomyślał Król, odprowadzając ją wzrokiem i wycierając się energicznie. Szczęściarz ze mnie.

Spotkanie z Kasseh zaaranżował Sutra, kiedy Król po raz pierwszy przyszedł do wioski. Zawarto wtedy szczegółową umowę. Za każde spotkanie z Kasseh Król miał jej wypłacić po wojnie dwadzieścia amerykańskich dolarów. Cena wywoławcza była wyższa, ale wytargował parę dolarów - interes to interes, a zresztą za dwie dychy trudno o wspanialszą dziewczynę.

- Skąd wiesz, czy ci zapłacę? - zagadnął ją kiedyś.

- Nie wiem. Jeśli nie, to nie. Wtedy będę mieć tylko przyjemność. Zapłacisz, będzie i przyjemność, i pieniądze - odparła z uśmiechem.

Wsunął stopy w malajskie pantofle, które mu przygotowała, a potem przeszedł przez zasłony z koralików. Czekala na niego.

Marlowe obserwował Sutrę i Czeng Sana, którzy stali na brzegu. Czeng San uklonił się i wszedł do łódki, a Sutra pomógł mu ją zepchnąć na fosforyzującą wodę. Potem wrócił do chaty.

- *Tabé-lah!* - powiedział Marlowe.

- Zje pan coś jeszcze?

- Nie, dziękuję, *tuanie* Sutró.

Słowo daję, nie pamiętam, kiedy ostatni raz odmówiłem poczęstunku, pomyślał. Najadł się jednak do syta, a poza tym nie byłoby grzecznie jeść więcej.

Rzucalo się w oczy, że wioska jest biedna i że jedzenie tu się nie marnuje.

- Słyszałem... - zagadnął - że wieści z frontu są dobre.

- Ja też tak słyszałem, ale nic, co nadawałoby się do powtórzenia. Nie sprawdzone plotki.

- Szkoda, że czasy się zmieniły i nie jest tak jak dawniej. Kiedyś można było mieć radio i słuchać wiadomości albo czytać gazety.

- To prawda. Wielka szkoda.

Sutra nie okazał po sobie, że cokolwiek rozumie. Przykucnął na macie i skręcił lejkowatego papierosa. Trzymając go wszystkimi palcami, zaciągnął się głęboko.

- Z obozu dochodzą nas złe wieści - odezwał się wreszcie.

- Nie jest aż tak źle - odrzekł Marlowe. - Jakoś sobie radzimy. Ale najgorsze jest na pewno to, że nie wiemy, co się dzieje na świecie.

- Doszły mnie słuchy, że w obozie było radio i że tych, co je mieli, schwytano. Podobno są teraz w więzieniu Outram Road.

- Wie pan coś o ich losie? Jeden z nich jest moim przyjacielem.

- Nic. Słyszeliśmy tylko, że ich tam zabrano.

- Wiele bym dał, żeby się o nich czegoś dowiedzieć.

- Wiadomo, co to za miejsce i co się dzieje z tymi, którzy tam trafiają. Więc sam pan wie, co się z nimi stało.

- To prawda. Ale trzeba wierzyć, że niektórzy mają więcej szczęścia od innych.

- Powiada Prorok, że wszyscy jesteśmy w rękach Allacha.

- Którego imię niech będzie pochwalone.

Sutra spojrział na Marlowe'a, a potem, nie przestając ćmić spokojnie papierosa, zapytał:

- Gdzie się pan nauczył malajskiego?

Marlowe opowiedział mu o jawajskiej wiosce i o tym, jak tam żył, jak pracował na polach ryżowych i jak upodobił się do Jawajczyków, których życie tak niewiele różniło się od życia Malajczyków. Te same były zwyczaje, taka sama mowa, z wyjątkiem kilku słów będących nazwami zachodnich wynalazków: na Malajach mówiło się "motocykl" i "samochód", a na Jawie "motor" i "auto". Poza tym wszystko było takie samo. Miłość, nienawiść, choroba i słowa, których mężczyzna używał wobec mężczyzny lub kobiety. Ważne rzeczy zawsze są do siebie podobne.

- Jak nazywała się kobieta, z którą żyłeś w tamtej wiosce, mój synu? - spytał Sutra. Nie wypadalo pytać o to wcześniej, teraz jednak, kiedy porozmawiali już trochę

o sprawach ducha i innych, należących do tego świata, o filozofii, Allachu i niektórych sentencjach Proroka, chwała jego imieniu, nie było w tym pytaniu nic obraźliwego.

- Nazywała się N'ai Jahan.

Starzec westchnął z zadowoleniem, przypominając sobie swoje młode lata.

- I kochała cię pewnie długo i mocno?

- Tak - odparł Marlowe, mając przed oczami jej postać.

Przyszła do jego chaty któregoś wieczoru, kiedy właśnie szykował się do snu. Ubrana była w sarong w czerwonożłoty wzór, a spod jego skraju wyglądały małe sandały. Jej szyję oplatał wąski naszyjnik z kwiatów, których woń wypełniała chatę i cały świat.

Położyła u swoich stóp zwiniętą matę do spania i skłoniła się przed nim głęboko.

- Nazywam się N'ai Jahan - powiedziała. - Mój ojciec, *tuan* Abu, wybrał mnie, żebym dzieliła z tobą życie, ponieważ to niedobrze, kiedy mężczyzna żyje sam. A ty jesteś sam już od trzech miesięcy.

N'ai miała wtedy nie więcej niż czternaście lat, ale w krainach słońca i deszczu czternastoletnia dziewczyna jest już dojrzałą kobietą i pożąda jak kobieta, a więc powinna wyjść za mąż albo przynajmniej żyć z wybranym przez ojca mężczyzną.

Jej ciemna skóra miała w sobie mleczną jasność, oczy świeciły jak dwa topazy, dłonie były jak płatki płomiennobarwnej orchidei, stopy drobne i wąskie, a ciało, jeszcze dziecka, a już kobiety, aksamitne i tak pełne radości jak koliber. Była dzieckiem deszczu i słońca. Nos miała cienki, subtelny, o delikatnych nozdrzach.

Cała była jak aksamit, jak płynny aksamit. Ciało miała miękkie tam, gdzie powinno być miękkie, i twarde tam, gdzie powinno być twarde, słabe tam, gdzie powinno być słabe, i mocne tam, gdzie powinno być mocne.

Długie, kruczoczarne włosy okrywały ją płaszczem lekkim jak puch.

Marlowe uśmiechnął się do niej. Starał się ukryć zakłopotanie i być, jak ona, wolny i szczęśliwy, nie znający wstydu. Zdjęła sarong, stanęła przed nim z dumą i powiedziała:

- Chciałabym być godna tego, żeby przynosić ci szczęście i słodki sen. Proszę cię, żebyś nauczył mnie wszystkiego, co powinnam umieć, żebyś był "blisko Boga".

Blisko Boga. Jakie to piękne, pomyślał Marlowe. Jakie to piękne nazywać miłość przebywaniem „blisko Boga”. Spojrzał na Sutrę.

- O tak, kochaliśmy się długo i mocno - powiedział. - Dziękuję Allachowi, że

żyłem i kochałem w nieskończoność. Jakże wspaniałe są Jego zrządzenia.

Na niebie jakaś chmura wydłużyła się i zaczęła mocować z księżycem o to, kto zawładnie nocą.

- Dobrze jest być człowiekiem - rzekł Marlowe.

- Czy dokucza ci dziś twoje niezaspokojenie? - spytał Sutra.

- Szczerze mówiąc, nie. Dziś nie. - Marlowe przyjrzał się staremu Malajczykowi, wdzięczny za tę propozycję i ujęty jego łagodnością. - Posłuchaj, *tuanie* Sutro - rzekł. - Otworzę przed tobą serce, bo wierzę, że z czasem moglibyśmy się zaprzyjaźnić. Mógłbyś wtedy ocenić mnie i moją przyjaźń. Ale wojna to niszczycielka czasu. A więc będę mówił z tobą jak przyjaciel, choć nim jeszcze nie jestem.

Starzec nie odpowiedział. Palił papierosa i czekał, aż Marlowe znów zacznie mówić.

- Potrzebuję małej części do radia. Czy macie w wiosce stare radio? A może jest zepsute i mógłbym z niego wyjąć tę część?

- Wiesz dobrze, że Japończycy surowo zakazali posiadania odbiorników.

- To prawda, ale są takie ukryte miejsca, gdzie chowa się to, co zakazane.

Sutra zamyślił się. Radio było w jego chacie. A może to sam Allah zesłał tuana Marlowe'a, żeby je stąd usunąć? Miał wrażenie, że może mu zaufać, ponieważ zaufał mu już kiedyś tuan Abu. Ale gdyby przyłapano młodego tuana poza obozem, nieuchronnie wmieszano by w to wioskę.

Pozostawienie radia w wiosce również groziło niebezpieczeństwem. Oczywiście, można je było zakopać gdzieś w głębi dżungli, ale nie zrobiono tego. A należało to zrobić. Nigdy jednak do tego nie doszło, bo pokusa słuchania radia była wielka. Kobiety za bardzo kusiło słuchanie "kołyszących melodii". Wielką pokusą było też wiedzieć to, czego inni nie wiedzą. Słusznie napisano: "Marność, wszystko to marność".

W końcu postanowił, że najlepiej, jeśli to, co pochodzi od białego człowieka, pozostanie w rękach białego człowieka.

Wstał, dał znak Marlowe'owi, żeby poszedł za nim, i poprowadził go przez zasłony z koralików w głąb ciemnej chaty. Przed wejściem do izby Suliny zatrzymał się. Dziewczyna leżała na łóżku w rozwiązanym, luźnym sarongu. Oczy jej błyszczały.

- Wyjdź na werandę, Sulina, i uważaj - polecił Sutra.

- Tak, ojciec - odparła posłusznie. Zsunęła się z łóżka, zawiązała sarong i obciągnęła krótki kaftanik baju.

Sutra pomyślał, że zrobiła to trochę za mocno, bo pod kaftanikiem zarysowały się jej młode, jeszcze niedojrzałe piersi. No tak, najwyższy czas, żeby wyszła za mąż, pomyślał. Tylko za kogo? Nie było odpowiednich kandydatów.

Ustał jej z drogi, a ona prześlizgnęła się obok niego ze spuszczonej oczami i skromną miną. Ale w jej kołyszących się biodrach nie było nic ze skromności, co zauważył także Marlowe. Powinienem sprawić jej lanie, pomyślał Sutra. Ale zdawał sobie sprawę, że niesłusznie się gniewa. Jego córka była dziewczyną, w której po prostu budzi się kobieta. Naturą kobiet jest przecież kusić; być pożądanymi - ich wielką potrzebą.

A może powinien dać ją temu Anglikowi? Może to ostudziłoby jej zapęły? Przecież mu nic nie brakuje, jest mężczyzną jak się patrzy! Sutra westchnął. Ach, żeby tak znów być młodym.

Wyciągnął spod łóżka mały odbiornik radiowy.

- Zaufam ci - powiedział do Marlowe'a. - To dobre radio, działa. Możesz je wziąć.

Marlowe z wrażenia omal nie wypuścił radia z rąk.

- A ty, *tuanie* Sutra? Ono jest przecież bezcenne.

- Dla mnie nie ma żadnej wartości. Weź je sobie.

Marlowe obrócił radio. Był to odbiornik sieciowy w dobrym stanie. Brakowało mu tylnej ścianki i jego części połyskiwały w świetle naftowej lampy. Miał dużo kondensatorów. Bardzo dużo. Marlowe przysunął odbiornik bliżej światła i centymetr po centymetrze zbadał całe wnętrze skrzynki.

Z twarzy zaczął mu kapać pot. Wreszcie znalazł kondensator, którego szukał - trzysta mikrofaradów.

I co z tym teraz zrobić? - zapytywał siebie w duchu. Wziąć sam kondensator? Mac powiedział, że jest prawie pewien, ale "prawie" to nie to samo co "całkowicie". Lepiej zabrać całe radio, bo gdyby kondensator nie pasował do naszego, będziemy mieli drugie. Można je przecież gdzieś ukryć. Tak, dobrze będzie mieć zapasowe.

- Dzięki ci, *tuanie* Sutra - powiedział. - Nie wiem, jak ci dziękować za ten dar. I to nie tylko we własnym imieniu, ale w imieniu tysięcy z Changi.

- Proszę cię, chroń nas przed niebezpieczeństwem. Gdyby cię spostrzegł strażnik, zakop je w dżungli. W twoich rękach spoczywa los mojej wioski.

- Nie obawiaj się. Będę go strzegł jak oka w głowie.

- Wierzę ci, choć być może postępuję nierozsądnie.

- Bywają chwile, gdy zaczynam wierzyć, że ludzie to po prostu głupcy.

- Mądrzejszy jesteś, niżby wskazywały na to twoje lata.

Sutra wręczył mu kawałek tkaniny, żeby mógł owinąć radio. Kiedy wrócili do głównego pomieszczenia chaty, Sulina siedziała w kucki w cieniu werandy. Na ich widok wstała.

- Podać ci coś do jedzenia albo picia, ojczec? - spytała. *Wah-lah*, pyta mnie, ale jego ma na myśli, pomyślał zrzędlawie Sutra.

- Nie. Idź już spać - odparł.

Urażona Sulina wdzięcznym ruchem potrząsnęła głową, ale posłuchała ojca.

- Coś mi się wydaje, że moja córka zasłużyła sobie na lanie - powiedział Sutra.

- Żał byłoby oszpecać tak delikatne stworzenie - rzekł Marlowe. - *Tuan* Abu miał zwyczaj mówić: "Bij kobietę przynajmniej raz na tydzień, a będziesz miał w domu spokój. Ale rób to nie za mocno, bo jeśli ją zgniewasz, wówczas na pewno ci odda i sprawi ci wielki ból!"

- Znam to powiedzenie. Jest w nim wiele racji. Kobiety są niepojęte, nie sposób ich zrozumieć.

Siedząc tak w kucki na werandzie i patrząc na morze, rozmawiali o wielu rzeczach. Przybrzeżne fale były bardzo drobne, więc Marlowe spytał, czy może popływać.

- Tu nie ma prądów, ale czasem podpływają rekiny - odparł stary Malajczyk.

- Będę ostrożny.

- Trzymaj się cienia i nie odpływaj od łodzi. Już parę razy zdarzyło się, że brzegiem szli Japończycy. Pięć kilometrów stąd, idąc plażą, jest stanowisko armat. Dlatego miej oczy otwarte.

- Będę uważał - zapewnił Marlowe.

Idąc w stronę łodzi, trzymał się cienia drzew. Księżyc był już nisko na niebie. Marlowe pomyślał, że zostało mu niewiele czasu.

Przy łodziach, śmiejąc się i rozmawiając, grupka kobiet i mężczyzn wiązała i reperowała sieci. Nie zwrócili na niego uwagi, kiedy rozbierał się i wchodził do wody.

Woda była ciepła, jednak miejscami wyraźnie chłodniejsza, jak we wszystkich morzach Wschodu. Marlowe znalazł więc sobie jedno takie chłodne miejsce i starał się w nim utrzymać. Wspaniałe uczucie swobody sprawiło, że poczuł się znów jak kąpiący się o północy w ciepłym Pacyfiku mały chłopiec, do którego stojący nie opodal ojciec krzyczał: "Peter, nie wypływaj za daleko! Pamiętaj, że tu są prądy!"

Marlowe przepłynął kawałek pod wodą, całą skórą wchłaniając morską sól. Kiedy się wynurzył, parsknął, rozpryskując wodę jak wieloryb, podpłynął leniwie do płycizny i spoczął na plecach, obmywany falami. Upajał się wolnością.

Bijąc nogami o fale tworzące małe wiry wokół jego bioder, uświadomił sobie nagle, że jest całkiem nagi i że kilkanaście metrów stąd, na brzegu, są mężczyźni i kobiety. Ale wcale nie czuł się tym skrępowany.

Nagość była przecież nieodłączna od obozowego życia, a kilka miesięcy spędzonych w wiosce na Jawie nauczyło go, że to żaden wstyd być człowiekiem i mieć ludzkie potrzeby.

Zmysłowe ciepło igrających z jego ciałem fal i wspaniałe ciepło rozlewające się z żołądka rozpały mu lędźwie nagłym pożądaniem. Obrócił się gwałtownie na brzuch i zepchnął rękami z płycizny, kryjąc się głębiej w morzu.

Leżąc na piaszczystym dnie, po szyję zanurzony w wodzie, spojrzał na brzeg i na wioskę. Grupka kobiet i mężczyzn nadal zajęta była reperowaniem sieci. Na werandzie, skryty w cieniu, siedział paląc papierosa Sutra. Nie opodał w świetle naftowej lampy Marlowe dostrzegł Sulinę opartą o framugę okna. Patrzała w morze, zasłaniając się sarongiem.

Zdał sobie sprawę, że patrzy na niego, i zawstydził się z obawy, że zauważyła jego podniecenie. Patrzyli na siebie. Widział, jak odkłada sarong i bierze do ręki czysty biały ręcznik, żeby osuszyć mokre od potu ciało.

Była dzieckiem deszczu i słońca. Długie, ciemne włosy okrywały ją niemal całą. Odgarnęła je do tyłu i zaczęła splatać. A przez cały czas patrzyła na niego z uśmiechem.

I wtedy nagle każde poruszenie wody stało się pieszczotą, pieścił go najłżejszy podmuch wiatru, pieściły wodorosty - niczym palce kurtyzan z dawien dawna wyuczone zmyślności.

Wezmę cię, Sulina, przyrzekał sobie. Wezmę, choćbym miał drogo za to zapłacić.

Siłą woli starał się zmusić Sutrę, żeby opuścił werandę. Sulina wpatrywała się w niego i czekała. Równie niecierpliwie jak on.

Wezmę ją, Sutro. Nie wchodź mi w drogę. Nie wchodź. Bo inaczej...

Nie zauważył Króla, który wyszedł na ocienioną przestrzeń i zobaczywszy go leżącego na brzuchu w płytkiej wodzie, stanął jak wryty.

- Hej, Peter! Peter!

Słyszając docierający jak przez mgłę głos, Marlowe obrócił powoli głowę i spostrzegł wołającego, który przyzywał go gestem.

- Chodź, Peter. Czas na nas.

Widok Króla przypomniał Marlowe'owi obóz, kolczaste druty, radio, brylant, obóz i wojnę, obóz i radio, strażnika, którego musieli ominąć, i zmusił do myślenia o tym, czy zdążą na czas, o tym, co dzieje się na świecie i jak ucieszy się Mac, mając te trzysta mikrofaradów, a w zapasie sprawne radio. Podniecenie, które czuł przed chwilą, ustąpiło. Ale gorycz pozostała.

Wstał i podszedł do pozostawionego na brzegu ubrania.

- Odważny jesteś - powiedział Król.

- A to dlaczego?

- Paradujesz tak na golasa. Nie widzisz, że ta mała Sutry przygląda ci się?

- Widziała już niejednego nagiego mężczyznę i nic w tym złego - odparł Marlowe. Bez pożądania nie ma nagości, pomyślał.

- Czasami mnie zadziwiasz. Gdzie twoja skromność?

- Straciłem ją dawno temu - odrzekł Marlowe, po czym szybko się ubrał i dołączył do stojącego w cieniu Króla. W łędźwiach czuł ostry ból. - Dobrze, że akurat przyszedłeś. Dziękuję.

- Za co?

- Och, za nic.

- Co, bałeś się, że o tobie zapomnę?

Marlowe zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie. Mniejsza z tym. W każdym razie, dziękuję.

Król przyjrzał się mu uważnie i wzruszył ramionami.

- No, to chodźmy - powiedział. - Najgorsze za nami. Ruszył przodem, a kiedy mijali chatę Sutry, pomachał mu na pożegnanie ręką.

- Salamat - pozdrowił go.

- Zaczekaj chwilę. Zaraz wrócę! - powiedział Marlowe.

Wbiegł po schodach i wszedł do chaty. Radio stało, tak jak je zostawił, owinięte w materiał. Trzymając je pod pachą, skłonił się naczelnikowi.

- Dziękuję ci. Jest w dobrych rękach.

- Idź z Bogiem - odpowiedział Sutra i po chwili wahania uśmiechnął się. - Strzeż swoich oczu, mój synu - dodał - mogą bowiem ujrzeć pożywienie, którego nie będziesz mógł zjeść.

- Będę o tym pamiętał - odparł Marlowe i nagle zrobiło mu się gorąco. Czyżby prawdą było, że starzy ludzie potrafią czasem czytać w myślach? - Dzięki ci. Pokój z tobą.

- Pokój z tobą. Do następnego spotkania.

Marlowe odwrócił się i wyszedł. Kiedy mijali okno Suliny, stała w nim, tym razem okryta sarongiem. Jej oczy i oczy Marlowe'a spotkały się. Wymienili spojrzenia. Patrzyła za nimi, kiedy szli pod górę w cieniu drzew, śląc im życzenia szczęśliwej drogi tak długo, aż znikli w dżungli.

Sutra westchnął, a potem wśliznął się bezszelestnie do izby córki. Stała rozmarzona w oknie, z sarongiem zarzuconym na ramiona. Sutra trzymał w ręku cienki bambusowy pręt. Uderzył ją nim po gołych pośladkach równo i mocno, ale nie za mocno.

- To za to, że bez mojego polecenia kusiałś tego Anglika - powiedział, udając, że jest bardzo rozgniewany.

- Tak, ojciec - załkała, a każdy jej szloch rozdzierał mu serce. Ale kiedy została sama, zwinęła się wygodnie na sienniku i z przyjemnością sobie popłakała. Ogarnęła ją fala pożądania, które podsyczał piekący ból po uderzeniu.

*

W odległości około półtora kilometra od obozu Król i Marlowe zatrzymali się, żeby złapać oddech. Dopiero wtedy Król zauważył mały, owinięty w materiał pakunek.

Przez całą drogę szedł przodem i tak był pochłonięty rozpamiętywaniem sukcesu dzisiejszej wyprawy i wypatrywaniem czyhającego na nich gdzieś w ciemnościach niebezpieczeństwa, że do tej pory nie zwrócił na to uwagi.

- Co tam masz? Żarcie na zapas? - spytał.

Przyglądał się uśmiechniętemu Marlowe'owi, jak z dumą odwija materiał.

- Niespodzianka!

Serce Króla zamarło.

- Ach, ty skurwysynu! Na łeb upadłeś?! - zawołał.

- O co chodzi? - spytał oszołomiony Marlowe.

- Czyś ty zgłupiał? Będziemy mieli przez to taki bał, jakiego świat nie widział.

Nie masz prawa narażać naszych głów dla byle radia. Nie masz prawa wykorzystywać moich znajomości do załatwiania swoich zapieprzonych interesów.

Marlowe'owi pociemniało w oczach. Wpatrywał się w Króla z niedowierzaniem.

- Nie miałem złych zamiarów... - rzekł po chwili.

- Ach, ty sukinsynu! - pieklił się Król. - Nie ma nic gorszego niż radio.

- Przecież w obozie nie ma ani jednego...

- Wielka szkoda! W tej chwili pozbądź się tego świństwa! I jeszcze jedno ci powiem. Z nami koniec. Z tobą i ze mną. Nie masz prawa mieszać mnie w nic bez mojej wiedzy. Powinienem tak ci dołożyć, żeby cię rodzona matka nie poznała!

- Spróbuj - zaperzył się Marlowe. Teraz już i on był zły i rozjątrzony nie mniej niż Król. - Zdaje się, że zapomniałeś o wojnie i o tym, że w obozie nie ma radia. Poszedłem z tobą między innymi dlatego, że liczyłem, że uda mi się zdobyć kondensator. A teraz mam całe radio, i to sprawne.

- Wyrzuć je!

- Nie.

Mierzyli się wzrokiem, napięci i nieustępliwi. Przez ułamek sekundy Król gotów był rozerwać Marlowe'a na strzępy. Wiedział jednak, że gniew nic nie daje, kiedy trzeba podjąć ważną decyzję. Teraz, kiedy trochę oprzytomniał i pierwszy szok minął, mógł trzeźwiej ocenić sytuację.

Po pierwsze, musiał przyznać, że chociaż to fatalny interes aż tak ryzykować, to jednak ryzyko mogło się opłacić. Gdyby Sutra nie był skory dać Peterowi radia, po prostu zrobiliby unik i powiedział: "Tu nie ma żadnego radia". A więc nic złego się nie stało. Poza tym była to prywatna umowa pomiędzy Peterem a Sutrą, Czeng Sana już przy tym nie było.

Po drugie, z radia, o którym wiedział i które znajdowałyby się nie w jego baraku, byłoby aż nadto pożytku. Mógłby trzymać rękę na pulsie wydarzeń i w ten sposób wiedziałby dokładnie, kiedy spróbować ucieczki. W sumie więc nic takiego się nie stało, poza tym, że Peter działał bez jego zgody. Trzeba liczyć się z tym, że jeśli ma się do kogoś zaufanie i się go najmuje, to tym samym najmuje się jego pomysłu. Żaden pożytek z gościa, który usiądzie na tyłku i zrobi tylko to, co mu się powie. A Peter, nie ma co ukrywać, w czasie rozmów spisał się wspaniale. Gdyby trzeba było uciekać, na pewno byłby jednym z nich. Przecież musieliby mieć kogoś, kto potrafi się dogadać z tubylcami. W dodatku Peter niczego się nie bał. Tak więc w sumie to on, Król, byłby szalony, rzucając się na Marlowe'a, zanim rozum podpowiedział mu, jak rozwiązać nową sytuację w sposób godny biznesmena. Nie ma co, dał się ponieść wściekłości jak mały bachor.

- Pete - zagadnął. Zauważył, że Marlowe zacisnął wyzywająco szczęki. Ciekawe, czy dałbym skurczybykowi radę, pomyślał. Na pewno ważę od niego więcej ze dwa-

dzieńcia albo i trzydzieści kilo.

- Słucham.

- Powiedziałem, że cię przepraszam. To był świetny pomysł z tym radiem.

- Co?

- Powiedziałem, że cię przepraszam. To był świetny pomysł.

- Zupełnie cię nie rozumiem - powiedział bezradnie Marlowe. - Najpierw rzucasz się jak wariat, a zaraz potem mówisz, że to dobry pomysł.

Podoba mi się ten skurczybyk, pomyślał Król. Nie da sobie w kaszę dmuchać.

- A, bo jak widzę radia, to ciarki mnie przechodzą. Stracona sprawa - powiedział i zaśmiał się pod nosem. - To żaden towar!

- Czy to znaczy, że nie masz mnie jeszcze dość?

- Coś ty, przecież jesteśmy kumplami - powiedział Król, dając mu przyjacielskiego kuksańca. - Wyszedłem z siebie tylko dlatego, że nic mi nie powiedziałaś. A to nie było w porządku.

- Przepraszam. Masz rację, przepraszam. Postąpiłem idiotycznie i nielojalnie. Słowo daję, absolutnie nie miałem zamiaru cię narażać. Naprawdę, jest mi bardzo przykro.

- Dawaj grabę. Przepraszam, że tak się wściekłem. Ale na przyszłość, zanim coś zrobisz, to mi o tym powiedz.

- Masz na to moje słowo - powiedział Marlowe, podając mu rękę.

- Dobra jest - rzekł Król. Całe szczęście, że na tym się skończyło, pomyślał. - A co to jest ten cały kondensator?

Marlowe opowiedział mu o trzech manierkach.

- Czyli że Macowi potrzebny jest tylko ten jeden kondensator, tak?

- Powiedział, że tak mu się wydaje.

- Wiesz ty co? A mnie się wydaje, że najlepiej wyjąć ten kondensator, a radia się pozbyć. Zakop je tutaj. Będzie bezpieczne. A jeśli to wasze nie zacznie działać, w każdej chwili możemy tu po nie wrócić. Mac bez trudu zainstaluje kondensator z powrotem. W obozie byłoby je bardzo ciężko ukryć, a zresztą, czy nie kusiłoby was jak wszyscy diabli, żeby podłączyć je do sieci i dać sobie spokój z tym?

- Owszem - przyznał Marlowe i spojrzał na Króla badawczo. - Wrócisz tu po nie ze mną?

- Jasne.

- A gdybym ja z jakiegoś powodu nie mógł przyjść, czy przyszedłbyś po nie

sam, jeśli by poprosili cię o to Mac i Larkin?

- Jasne - odparł po chwili zastanowienia Król.

- Dajesz słowo?

- Tak - stwierdził Król i uśmiechnął się nieznacznie. - Bardzo przejmujesz się tą szopką z dawaniem słowa, co, Peter?

- A jak inaczej poznać w kimś człowieka?

Przecięcie dwóch przewodów, którymi kondensator połączony był z resztą radia, zajęło Marlowe'owi jedną chwilę. Niewiele dłużej trwało zawinięcie aparatu w kawałek materiału i wykopanie w ziemi małej dziury. Wspólnie z Królem ułożyli na dnie zagłębienia płaski kamień, postawili na nim radio, przykryli je grubą warstwą liści, wyrównali ziemię i przyciągnęli na to miejsce pień powalonego drzewa. Po dwóch tygodniach spoczywania w tym wilgotnym grobowcu z radia nie byłoby pożytku, ale dwa tygodnie to dość czasu, żeby po nie wrócić, gdyby manierki nadal nie działały.

Marlowe otarł pot z czoła. Niespodziewanie napłynęła ku nim fala rozgrzanego powietrza, a zapach potu wprawił w szal kłębiące się coraz gęstsza chmarą owady.

- Cholerne komarzyska! - powiedział i spojrzał w ciemne niebo, z lekkim niepokojem próbując ustalić, która godzina. - Jak myślisz, chyba powinniśmy już pójść?

- Jeszcze nie. Dopiero kwadrans po czwartej. Najlepiej wchodzić tuż przed świtem. Zaczekamy jeszcze dziesięć minut, a i tak na miejscu będziemy sporo przed czasem. - Król uśmiechnął się. - Kiedy pierwszy raz wyszedłem za druty, też się bałem i miałem pietra. Wracając, musiałem czekać pod ogrodzeniem. Zanim droga była wolna, upłynęło chyba z pół godziny albo więcej. O rany, myślałem, że nie wytrzymam. - Odpędził ręką rojące się owady. - Cholerne ścierwa!

Siedzieli jakiś czas przysłuchując się nie milkącym odgłosom dżungli. W wąskich, wyżłobionych przez deszcze rowkach ciągnących się po obu stronach ścieżki błyszczały pasma świetlików.

- Zupełnie jak Broadway nocą - zauważył Król.

- Widziałem kiedyś Broadway na filmie pod tytułem "Times Square". To taka historyjka o światku dziennikarskim. O ile dobrze pamiętam, grał w nim Cagney.

- Nie przypominam sobie takiego filmu. Ale Broadway to coś, co trzeba widzieć na własne oczy. W środku nocy jest tam jasno jak w dzień. Wszędzie olbrzymie neony i światła.

- Mieszkaś w Nowym Jorku?
- Nie. Byłem tam parę razy. A zresztą objechałem całe Stany.
- A gdzie mieszkałeś na stałe?
- Tatuńcio nie usiedzi w jednym miejscu - odparł Król, wzruszając ramionami.
- A co robi?
- Pytanie za sto punktów. Raz to, drugi raz tamto. Najczęściej jest pijany.
- O, to musi być okropne.
- Najgorsze dla dzieciaka, co ma takiego ojca.
- Masz jeszcze jakąś rodzinę?
- Mama nie żyje. Umarła, kiedy miałem trzy lata. Rodzeństwa nie mam.

Wychował mnie tatuńcio. Stary łachudra, ale zawdzięczam mu to, że nauczył mnie życia. Po pierwsze, nauczył mnie, że nędza to choroba. Po drugie, że za pieniądze masz wszystko. A po trzecie, że nieważne, jak je zdobywasz, bylebyś tylko zdobył.

- Przyznam ci się, że nigdy nie zastanawiałem się nad pieniędzmi. Może wojskowi... krótko mówiąc, zawsze pod koniec miesiąca dostajesz czek, żyjesz na pewnej z góry określonej stopie, tak że pieniądze znaczą właściwie niewiele.

- Ile zarabia twój ojciec?

- Dokładnie nie wiem. Ale chyba około sześciuset funtów rocznie.

- O rany, to raptem dwa tysiące czterysta dolarów. Ja sam jako kapral dostaję tysiąc trzysta. Nigdy w życiu bym nie pracował za takie grosze.

- Może w Stanach jest inaczej, ale w Anglii można za to całkiem nieźle żyć. Pewnie, że mamy stary samochód, ale czy to ważne? Za to po skończeniu służby dostajesz emeryturę.

- Ile?

- Mniej więcej połowę pełnej pensji.

- To tyle, co nic. Nie rozumiem, dlaczego ludzie wstępują do woja. Pewnie dlatego, że do niczego innego się nie nadają.

Król spostrzegł, że Marlowe zeszywniał.

- Oczywiście w Anglii jest inaczej - dorzucił pośpiesznie. - Mówię tylko o Stanach.

- Służba w wojsku to dobry zawód dla mężczyzny. Zapewnia dosyć pieniędzy i ciekawe życie w różnych zakątkach świata. Towarzysko też urozmaicone. No, a poza tym oficer zawsze cieszy się dużym poważaniem - rzekł Marlowe i dodał niemal przeprasającym tonem: - Rozumiesz, tradycja i te rzeczy.

- Po wojnie chcesz zostać w wojsku?

- Oczywiście.

- A mnie się zdaje, że takie życie jest za łatwe - powiedział Król, dłubiąc w zębach cienkim kawałkiem kory. - Co ciekawego i jakie perspektywy w tym, że musisz słuchać rozkazów gości, z których większość to zwykłe nygusy. Przynajmniej ja tak to widzę. A w dodatku płacą ci tyle, co nic. Tak, Pete, powinieneś zobaczyć, jak jest w Stanach. Nie znajdziesz tego w żadnym innym kraju. Nigdzie. Każdy odpowiada za siebie i jest tyle wart, co każdy inny. Wystarczy tylko ruszać głową i być lepszym od tego drugiego. To ja nazywam ciekawym życiem.

- Jakoś nie widzę siebie w takiej sytuacji. Czuję przez skórę, że nie nadaję się do zbijania forsy. Lepiej mi z tym, do czego się urodziłem.

- Bzdury. Tylko dlatego, że twój stary jest wojskowym...

- To się ciągnie od 1720 roku i przechodzi z ojca na syna. Jakże można odrzucić taką tradycję?

- Tak, to rzeczywiście kawał czasu! - mruknął Król, a potem dodał: - Ja wiem tylko o ojcu i dziadku. A dalej nic. Najwyżej to, że moi przodkowie przyjechali ze starej ojczyzny do Stanów w zeszłym wieku gdzieś między osiemdziesiątym a dziewięćdziesiątym rokiem.

- Z Anglii?

- Gdzie tam. Chyba z Niemiec. Albo może ze Środkowej Europy. A zresztą, czy to nie wszystko jedno? Liczy się tylko to, że jestem Amerykaninem.

- A Marlowe'owie byli i są wojskowymi, i tyle!

- E tam, przecież wszystko zależy od ciebie. No, spójrz teraz na siebie. Masz w rękę trochę grosza, bo ruszasz głową. Gdybyś tylko chciał, robiłbyś świetne interesy. Znasz miejscowy język, no nie? Potrzebuję twojego pomysłu, więc ci płacę. No, no, tylko się nie obrażaj, bo nie ma o co. Tak jest po amerykańsku. Płaci się za pomysłu. To nie ma nic wspólnego z tym, że jesteśmy kumplami. Byłbym ostatnim draniem, gdybym ci nie płacił.

- Nie powinno tak być. Przecież przysługa nie musi być od razu interesowna.

- Widzę, że musisz się jeszcze dużo nauczyć. Miałbym ochotę sprowadzić cię do Stanów i zrobić z ciebie komiwojażera. Wystarczyłoby, żebyś otworzył usta i zaczął mówić z tym swoim wymyślnym angielskim akcentem, a baby ścinałoby z nóg. Raz-dwa zgarnąłbyś kupę forsy. Sprzedawałbyś damską bieliznę.

- Boże święty - westchnął Marlowe, odpowiadając uśmiechem na uśmiech

Króla, ale minę miał lekko przerażoną. - Prędzej bym zaczął fruwać, niż coś bym sprzedał.

- Przecież umiesz fruwać.

- Ja nie mówię o samolocie.

- Wiem. Żartowałem - odparł Król i spojrzał na zegarek. - Ale ten czas się wlecze, kiedy człowiek czeka.

- Czasem wydaje mi się, że nigdy nie wydostaniemy się z tej parszywej dziury.

- E, wuj Sam siedzi żółtkom na karku. To już długo nie potrwa. A jeżeli nawet, to co z tego? Jesteśmy zabezpieczeni. I tylko to się liczy.

Król ponownie spojrzał na zegarek.

- No, to wrywamy - oznajmił.

- Co?

- Ruszamy.

- Aha! - Marlowe podniósł się. - Prowadź, Makdufie! - powiedział wesoło.

- Co?

- To takie powiedzenie. Znaczy to samo, co: "no, to wrywamy".

Szczęśliwi, że znów są przyjaciółmi, zagłębili się w dżungłę. Bez żadnych trudności przekroczyli drogę prowadzącą do obozu. Teraz, kiedy znaleźli się już poza nieregularnie patrolowanym terenem, poszli na skrót ścieżką. Do drutów pozostało im kilkaset metrów. Król podążał przodem, spokojny i pewny siebie. Gdyby nie roje światełek i komarów, szłoby się im całkiem znośnie.

- Cholera, wściekły się czy co?

- Gdybym mógł, to bym je wszystkie usmażył na patelni - odparł szeptem Marlowe.

Nagle stanęli jak wryci na widok wymierzonego w ich stronę bagnetu.

Japończyk siedział oparty o drzewo i wpatrywał się w nich nieruchomym wzrokiem, z twarzą wykrzywioną przerażającym uśmiechem. Bagnet trzymał na kolanach.

Pomyśleli o tym samym. O Boże! Outram Road! Koniec ze mną! Zabić!

Król zareagował pierwszy. Runął na wartownika, wyrwał mu karabin z bagnetem, odskoczył w bok, przeturlał się po ziemi i zerwał się na równe nogi, wznosząc nad głową kolbę, żeby zadać nią cios w twarz siedzącemu człowiekowi. Marlowe skoczył wartownikowi do gardła, ale w ostatniej chwili jakiś szósty zmysł ostrzegł go o niebezpieczeństwie, i zamiast zacisnąć ręce na szyi Japończyka, zwałił

się na drzewo.

- Uciekaj! - krzyknął, poderwał się na nogi, schwycił Króla za rękę i odciągnął go od siedzącego.

Wartownik ani drgnął. Jego oczy były wciąż tak samo wytrzeszczone, a uśmiech złośliwy.

- Co jest, do cholery? - wydusił z siebie ogarnięty paniką Król, nadal trzymając karabin wysoko nad głową.

- Uciekaj! Rany boskie, prędziej! - popędzał go Marlowe. Wyrwał mu z rąk karabin i rzucił na ziemię obok martwego Japończyka.

W tym momencie Król dostrzegł węża pomiędzy nogami trupa.

- Chryste! - jęknął i zrobił krok do przodu, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

Marlowe błyskawicznie chwycił go za rękę.

- Uciekaj, jak Boga kocham! Biegiem! - krzyknął.

Rzucił się pędem, byle dalej od tego miejsca, hałaśliwie przedzierając się przez gęste poszycie dżungli. Król popędził za nim. Zatrzymali się dopiero wtedy, gdy wypadli na polanę.

- Czyś ty oszalał? - wysapał Król krzywiąc się, bo każdy oddech sprawiał mu nieznosny ból. - To był tylko wąż!

- Latający wąż - wycharczał Marlowe. - Te węże żyją na drzewach. Człowieku, to śmierć na miejscu. Wspinają się na drzewa, spłaszczają i spadają na ofiarę lotem zbliżonym do spirali. Jeden siedział mu na brzuchu, a drugi pod nogami. Na pewno było ich więcej, bo one zawsze żyją w stadzie.

- Chryste!

- Prawdę mówiąc, stary, powinniśmy być wdzięczni tym gadzinom - rzekł Marlowe, starając się opanować przyśpieszony oddech. - Japończyk był jeszcze ciepły. Umarł najdalej przed paroma minutami. Byłby nas przyłapał, gdyby go nie pokąsały. Dziękujmy Bogu, że się pokłóciliśmy. To dało im czas, żeby się z nim załatwić. O mały włos, a byłoby po nas! Nigdy nie będziemy bliżsi śmierci!

- W każdym razie wolałbym w życiu nie widzieć po raz drugi Japończyka celującego do mnie bagnetem w środku nocy. Chodź. Lepiej odejźmy stąd.

Kiedy znaleźli się opodal ogrodzenia, okazało się, że muszą poczekać. Nie mogli jeszcze podbiec do drutów, bo kręciło się za nimi zbyt wielu ludzi. Zawsze tam spacerowali - żywe trupy, ci, których dręczyła bezsenność, i ci, którym oczy kleiły się już do snu.

Obaj potrzebowali odpoczynku. Drżały im kolana i nie przestawali myśleć o tym, jakie mieli szczęście, że jeszcze żyją.

Jezu, co za noc, pomyślał Król. Gdyby nie Peter, byłoby po mnie. Kiedy zamachnąłem się karabinem, chciałem stanąć temu żółtkowi na brzuchu. Brakowało kilkunastu centymetrów. Węże! Ach, jak ja nienawidzę tego ścierwa!

Kiedy tak stopniowo napięcie mijało, rósł w nim szacunek dla Marlowe'a.

- Już drugi raz uratowałeś mi życie - szepnął.

- Przecież to ty pierwszy skoczyłeś do karabinu. Gdyby ten Japończyk żył, zabiłbyś go. Ja byłem za wolny.

- E, to tylko dlatego, że szedłem pierwszy. - Król urwał i uśmiechnął się szeroko. - Ty, Peter, dobrana z nas para. Z twoją urodą i moją głową idzie nam jak się patrzy.

Marlowe roześmiał się. Starając się zdusić w sobie wesołość, padł na ziemię. Ale powstrzymywanym śmiechem i płynącymi po policzkach łzami zaraził Króla, który też zaczął się zwijać ze śmiechu.

- Przestań, jak Boga kocham - wydusił wreszcie z siebie Marlowe.

- Sam zacząłeś.

- Nic podobnego.

- Ależ tak, powiedziałaś... - Król nie miał siły dokończyć. Otarł mokrą od łez twarz. - Widziałeś tego Japońca? Skurwysyn siedział sobie jak mała...

- Patrz!

Śmiech zamarł im na ustach.

Po drugiej stronie ogrodzenia przechadzał się Grey. Widzieli, jak zatrzymuje się przed barakiem Amerykanów, jak czai się w cieniu i spogląda ponad drutami, niemal dokładnie w ich kierunku.

- Myślisz, że wie? - spytał szeptem Marlowe.

- Nie wiem. Ale jedno jest pewne: przez jakiś czas nie możemy ryzykować wejścia. Poczekamy.

Czekali. Niebo zaczynało się rozjaśniać. Grey stał ukryty w cieniu i obserwował barak Amerykanów. Potem rozejrzał się po obozie. Król wiedział, że Grey ze swojego miejsca widzi jego łóżko. Widzi też na pewno, że łóżko jest puste. Ale koc na nim był odchyłony, a więc mógł być jednym ze spacerujących po obozie mężczyzn, którzy cierpieli na bezsenność. Przecież nikomu nie zabroniono wstawać w nocy. Pośpiesz się, Grey, rozkazywał mu w myślach. Wynoś się do cholery!

- Wkrótce będziemy musieli się ruszyć. Im jaśniej, tym gorzej dla nas - powiedział na głos.

- A może spróbujemy w innym miejscu?

- Widzi stamtąd całe ogrodzenie, aż do rogu.

- Myślisz, że był jakiś przeciek, że ktoś sypnął?

- Niewykluczone, choć może to być zwykły przypadek - odparł Król, ze złością przygryzając wargę.

- To może koło latryn? - zaproponował Marlowe.

- Za duże ryzyko.

Czekali. Wreszcie Grey spojrział jeszcze raz poza ogrodzenie, w ich stronę, i odszedł. Odprowadzali go wzrokiem, dopóki nie skręcił za róg muru więzienia.

- To może być dla picu - rzekł Król. - Dajmy mu jeszcze ze dwie minuty.

Sekundy wlokły się jak godziny, a tymczasem niebo rozjaśniało się coraz bardziej i cienie zaczęły się rozplýwać. Koło ogrodzenia nie było teraz nikogo, nikogo w zasięgu wzroku.

- Teraz albo nigdy. Chodź.

Rzucili się biegiem, w ciągu paru sekund przecisnęli się pod drutami i wskoczyli do rowu.

- Wracaj do baraku, Radża. Ja zaczekam.

- Dobra.

Mimo swojej postury Król biegł jak na skrzydłach i błyskawicznie przebył odległość dzielącą go od baraku. Marlowe wydostał się z rowu. Jakiś wewnętrzny impuls kazał mu usiąść na jego skraju i spojrzeć poza druty. Nagle kątem oka dostrzegł Greya, który wyszedł z za rogu więzienia i zatrzymał się. Marlowe wiedział, że Grey od razu go spostrzegł.

- Marlowe.

- A, witam, Grey. Pan również nie może zasnąć? - spytał przeciągając się.

- Jak długo pan tu jest?

- Kilka minut. Zmęczyło mnie chodzenie, więc usiadłem.

- A gdzie pański koleżka?

- To znaczy, kto?

- Amerykanin - powiedział szyderczym tonem Grey.

- Nie wiem. Pewnie śpi.

Grey spojrział na jego chiński strój. Tunika była rozdarta na plecach i mokra od

potu. Na brzuchu i kolanach Marlowe miał ślady błota i liści. Na twarzy ciemną smugę.

- Gdzie pan tak się ubrudził? Dlaczego pan taki spocony? Co pan knuje?

- Jestem brudny, ponieważ... trochę uczciwego brudu nigdy nie zaszkodzi. Prawdę powiedziawszy - mówił Marlowe, wstając i otrzepując sobie kolana i siedzenie - nie ma to jak trochę brudu, żeby docenić czystość, kiedy człowiek się umyje. Jestem spocony, bo i pan jest spocony. Wie pan, jak to jest w tropikach - upał i te pe!

- Co pan ma w kieszeniach?

- To, że pański ptasi mózdzek ciągle coś podejrzewa, wcale nie oznacza, że każdy, kogo pan spotyka, coś przemyca. Nie jest zabronione spacerować po obozie, jeśli nie można zasnąć.

- Owszem, spacer po obozie nie jest zabroniony - odparł Grey. - Ale nie spacer poza obozem.

Marlowe patrzył na niego wyzywająco, chociaż wcale tak pewnie się nie czuł, i starał się wyczytać z jego twarzy, co, do diabła, chciał przez to powiedzieć. Czyżby wiedział?

- Coś takiego mógłby zrobić tylko głupiec - rzekł.

- Właśnie.

Grey obrzucił go długim, twardym spojrzeniem, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

Marlowe popatrzył za nim, a potem również się odwrócił i poszedł w przeciwną stronę, nie spojrzawszy nawet na barak Amerykanów. Dziś miał wyjść ze szpitala Mac. Marlowe uśmiechnął się na myśl, jakim go przywita prezentem.

Leżąc bezpiecznie w łóżku, Król przyglądał się odchodzącemu Marlowe'owi. Potem przeniósł wzrok na Greya, swojego wroga, którego wyprostowaną, złowrogą postać widział w coraz silniejszym świetle dnia.

Chudy jak szkielet, w wystrzępionych spodniach i zwykłych malajskich chodakach, bez koszuli, z oficerską opaską na ramieniu i w wytartym berecie na głowie. Promień słońca padł na przyczepiony do beretu niewidoczny znaczek wojsk pancernych i w jednej chwili przemienił go w złoto.

Ile ty wiesz, Grey, sukinsynu? - zastanawiał się w duchu Król.

Księga trzecia

ROZDZIAŁ XV

Było tuż po świcie.

Marlowe leżał w półśnie na pryczy.

Czy to mi się przyśniło? - zadał sobie pytanie, nagle przytomniejąc. Ostrożnie wymacał małe zawiniątko z kondensatorem i teraz był już pewien, że to nie sen.

Na górnej pryczy Ewart przekręcił się na bok i obudził z jękiem.

- 'Mahlu, co za noc - powiedział spuszczać nogi.

Marlowe przypomniał sobie, że dziś na jego grupę przypada kolej, żeby obrobić doły kłoczne. Poszedł więc obudzić Larkina.

- Co? A, to ty - wymamrotał Larkin otrząsając się ze snu. - Co się stało?

Marlowe z trudem opanował chęć podzielenia się z nim dobrą wiadomością o kondensatorze, ale ponieważ chciał, żeby przy jej przekazywaniu był obecny Mac, rzekł tylko:

- Dziś nasza kolej obrobić doły.

- Co, znowu? A niech to dunder świśnie!

Larkin rozprostował obolałe plecy, zawiązał sarong i wsunął stopy w chodaki.

Zabrali siatkę, dwudziestolitrowy kanister i ruszyli przez obóz, w którym zaczynała się poranna krzątania. Kiedy doszli do latryn, nie zwrócili najmniejszej uwagi na obecnych tam mężczyzn, sami też nie wzbudzili żadnego zainteresowania.

Larkin zdjął pokrywę z jednego z dołów, a Marlowe szybkim ruchem przeciągnął siatką po jego ścianach. Kiedy wydobył ją na zewnątrz, była pełna karaluchów. Wytrząsnął całą zawartość do kanistra i jeszcze raz przejechał siatką po ścianach dołu. Połów znów się udał.

Larkin zakrył dół pokrywą i przeszli do następnego.

- Niech pan trzyma równo - rzekł Marlowe. - No proszę, nie mówiłem? Chyba ze sto mi uciekło.

- Nic straconego, jest ich całe mnóstwo - powiedział z obrzydzeniem Larkin, przytrzymując mocniej kanister.

Smród był nie do zniesienia, ale za to plon obfity. Po niedługim czasie kanister

wypełnił się. Najmniejsze z karaluchów miały prawie cztery centymetry długości. Larkin wcisnął wieczko i zanieśli kanister do szpitala.

- Jako regularna dieta, to nie dla mnie - rzekł Marlowe.

- Naprawdę jadłeś je na Jawie, Peter?

- Oczywiście. Pan zresztą też. Tu, w Changi.

- Co? - wykrzyknął Larkin, o mały włos nie wypuszczając kanistra z ręki.

- Nie myśli pan chyba, że oddałbym lekarzom malajski przysmak i źródło białka, nie uszczknąwszy przy tym czegoś dla nas.

- Przecież zawarliśmy umowę! Uzgodniliśmy we trzech, że żaden z nas nie będzie przygotowywał dziwacznych potraw bez wiedzy pozostałych.

- Powiedziałem o tym Macowi, a on się zgodził.

- Ale nie ja, do jasnej cholery!

- No, niech się pan już nie złości, pułkowniku. Nie mogliśmy sobie odmówić tej przyjemności, żeby je złapać, przyrzadzić w tajemnicy przed panem, a potem słuchać, jak pan wychwala naszą kuchnię. Brzydzimy się tak samo jak pan.

- Tak czy owak, następnym razem chcę wiedzieć, co pichciecie. To rozkaz!

- Tak jest, panie pułkowniku! - odparł Marlowe uśmiechając się.

Zanieśli kanister do szpitalnej kuchni. Mieściła się ona w oddzielnym budynku. Przygotowywano tam posiłki dla śmiertelnie chorych.

Kiedy wrócili do baraku, Mac już na nich czekał. Miał szarozółtą cerę, przekrwione oczy i trzęsły mu się ręce, ale atak malarii minął. Na twarz powrócił mu uśmiech.

- Dobrze, że wróciłeś, chłopie - powiedział Larkin i usiadł.

- No chyba.

Marlowe niedbałym ruchem wyjął szmaciane zawiniątko.

- A, przypomniałem sobie właśnie - powiedział z udaną obojętnością - że to może ci się kiedyś przydać.

Mac odwinął szmatkę bez zainteresowania.

- A niech mnie wszyscy diabli! - wykrzyknął Larkin.

- Cholera jasna, Peter, chcesz mnie przyprawić o atak serca? - powiedział Mac. Palce mu drżały.

Marlowe był bardzo podniecony i ogromnie się cieszył, ale zachował beznamiętną minę i równie beznamiętnie oświadczył:

- A kto by się przejmował byle drobiazgiem?

Jednakże już po chwili, nie mogąc dłużej powstrzymać uśmiechu, cały się rozpromienił.

- A niech cię diabli, za tę twoją angielską powściągliwość - rzekł Larkin starając się to powiedzieć cierpkim tonem, ale on też promieniował radością. - Jak to zdobyłeś, chłopie?

Marlowe wzruszył ramionami.

- Głupie pytanie. Przepraszam, Peter - powiedział Larkin ze skruchą.

Marlowe był pewien, że więcej go o to nie spytają. Będzie lepiej, jeśli żaden z nich nie dowie się o wiosce, pomyślał.

Zmierzchało.

Larkin i Marlowe stali na straży. Osłonięty moskitierą Mac wymienił kondensator. A potem, z wielką niecierpliwością, modląc się w duchu podłączył przewód do prądu. Spocony, nasłuchiwał, czy w małej słuchawce nie rozlegnie się jakiś dźwięk.

Czekanie było udręką. Pod moskitierą zrobiło się duszno nie do wytrzymania, a betonowe ściany i podłoga trzymały ciepło, choć słońce już zachodziło. Wtem napastliwie bzyknął komar. Mac zaklął, ale nawet nie próbował go wytropić i zatłuc, ponieważ w słuchawce niespodziewanie zatrzeszczało.

Zesztywniałe palce, mokre od potu, który spływał mu po rękach, ześlizgnęły się po śrubokręcie. Wytarł je. Ostrożnie wymacał śrubkę, którą regulowało się stroik, i zaczął ją delikatnie, nieskończenie delikatnie obracać. Trzaski. Nic, tylko trzaski. I wtedy usłyszał muzykę. Nagranie orkiestry Glenna Millera.

Muzyka urwała się i odezwał się spiker:

- Mówi Kalkuta. W dalszym ciągu recitalu Glenna Millera usłyszymy w jego wykonaniu "Księżycową serenadę".

Przez otwarte drzwi Mac widział przykucniętego w cieniu Larkina, a dalej mężczyzn idących korytarzem utworzonym przez szeregi betonowych baraków. Miał ochotę wybiec na dwór i krzyknąć: Chcecie za chwilę posłuchać wiadomości, chłopcy? Złapałem Kalkutę!

Przez minutę słuchał muzyki, a potem rozmontował radio, powkładał manierki do szarzielonych filcowych futerałów i niedbale rzucił je na łóżka. Rozgłośnia w Kalkucie podawała wiadomości o dziesiątej, więc zamiast włożyć przewód i słuchawkę do trzeciej manierki, Mac schował je, dla zaoszczędzenia czasu, pod siennik.

Tak długo leżał skulony pod moskitierą, że kiedy wstawał, w plecach chwycił go bolesny skurcz. Jęknął. Larkin obejrzał się ze swojego stanowiska przed barakiem.

- Co ci jest, chłopie? Nie możesz spać? - spytał.

- Jakoś nie mogę - odparł Mac i przycupnął obok Larkina.

- Pierwszego dnia po wyjściu ze szpitala powinieneś odpoczywać - powiedział Larkin, któremu nie trzeba było mówić, że radio działa. Oczy Maca płonęły podnieceniem. Larkin wymierzył mu przyjacielskiego kuksańca. - Nic ci nie jest, stary draniu.

- Gdzie Peter? - spytał Mac, dobrze wiedząc, że Marlowe trzyma wartę obok pryszniców.

- Tam. Siedzi jak głupek. Spójrz tylko na niego.

- Hej, 'mahlu sana! - zawołał Mac.

Marlowe zorientował się już wcześniej, że Mac skończył próbę, ale dopiero teraz wstał i podszedł do nich.

- 'Mahlu senderis - powiedział, co znaczyło: "sam się 'mahlu". Jemu też nie trzeba było nic mówić.

- A może byśmy zagraли w brydża? - zaproponował Mac.

- Kogo weźmiemy na czwartego?

- Hej, Gavin - zawołał Larkin. - Chce pan z nami zagrać w brydża?

Major Gavin Ross zdjął nogi z krzesła. Wspierając się na kulach wyszedł z sąsiedniego baraku. Zaproszenie ucieszyło go. Noce zawsze były najgorsze. Przeklęty paraliż. Kiedyś był człowiek mężczyzną, a teraz... Nogi do niczego. Do końca życia skazany na wózek inwalidzki.

Tuż przed kapitulacją Singapuru trafił go w głowę drobny odłamek szrapnela. Lekarze mówili mu, że to nic poważnego, że się nie śpieszy, że wyjmą mu ten odłamek, jak tylko znajdzie się odpowiedni szpital z odpowiednim wyposażeniem. Ale ten odpowiednio wyposażony szpital jakoś nigdy się nie znalazł, a potem było już za późno.

- Z przyjemnością z wami zagram - wykrztusił, siadając na betonowej podłodze. Mac rzucił mu poduszkę. - Dziękuję, kochany! - powiedział z wdzięcznością.

Chwilę trwało, zanim się usadowił. W tym czasie Marlowe przyniósł karty, a Larkin ich rozsadził. Gavin podniósł lewą nogę i zgiął ją tak, żeby mu nie przeszkadzała, odczepiając jednocześnie metalową sprężynę łączącą czubek buta z opaską na nodze tuż pod kolanem. Następnie odsunął drugą nogę, również

sparaliżowaną, i podłożywszy pod plecy poduszkę, oparł się o ścianę.

- Zupełnie co innego - powiedział, szybkim nerwowym ruchem podkreślając wąsy a la cesarz Wiluś.

- Jak tam bóle głowy? - spytał odruchowo Larkin.

- Nie najgorzej, mój drogi, nie najgorzej - równie odruchowo odparł Gavin. - Kto jest moim partnerem? Pan?

- Nie. Proszę zagrać z Peterem.

- Oj, tylko nie to. Ten chłopak zawsze mi przebija asa atutem.

- To się zdarzyło tylko raz - zaprotestował Marlowe.

- Raz na wieczór - rzekł ze śmiechem Mac, zaczynając rozdawać karty.

- *Mahlu.*

- Dwa piki - rozpoczął z fantazją Larkin.

Zawiązała się ostra i zaciekle licytacja.

Tego samego dnia późnym wieczorem Larkin zapukał do drzwi jednego z baraków.

- Przepraszam, że pana niepokoję, panie pułkowniku.

- Ach, to pan. Czy coś się stało? - spytał Smedly-Taylor. Pewnie to co zwykle, pomyślał. Kiedy obolały wstawał z łóżka, zastanawiał się, co też ci Australijczycy znowu nabroili.

- Nie, nic się nie stało, panie pułkowniku - odparł Larkin i upewnił się, czy nikt go nie słyszy. Mówił cicho i wyraźnie. - Rosjanie są sześćdziesiąt pięć kilometrów od Berlina. Manila jest wolna. Amerykanie wylądowali na Corregidorze i Iwo Jimie.

- Człowieku, jest pan tego pewien?

- Tak, panie pułkowniku.

- Kto... - zaczął Smedly-Taylor, ale urwał. - Nie. Nie chcę nic wiedzieć. Niech pan siada, pułkowniku - powiedział cicho. - Jest pan tego absolutnie pewien?

- Tak, panie pułkowniku.

- Mogę jedynie powiedzieć - rzekł beznamiętnym i poważnym tonem Smedly-Taylor - że nie będę mógł w żaden sposób pomóc nikomu, kto zostanie przyłapany z... kto zostanie przyłapany. - Nie chciał nawet wymawiać słowa "radio". - Nic na ten temat nie chcę wiedzieć. - Ciężki uśmiech przemknął po jego granitowej twarzy, łagodząc jej surowy wyraz. - Proszę tylko, żebyście go strzegli jak oka w głowie i natychmiast wszystko mi przekazywali.

- Tak jest, panie pułkowniku. Mamy zamiar...

- Nie chcę o niczym słyszeć. Interesują mnie tylko wiadomości - powiedział Smedly-Taylor i ze smutkiem dotknął ramienia Larkina. - Przepraszam.

- Tak będzie bezpieczniej, panie pułkowniku - zapewnił go Larkin, zadowolony, że pułkownik nie chce wiedzieć, jakie mają plany. Postanowił mianowicie, że każdy z ich trójki poda wiadomości tylko dwu osobom. On sam - Smedly-Taylorowi i Gavinowi Rossowi, Mac - majorowi Toolejowi i porucznikowi Bosleyowi, którzy byli jego serdecznymi przyjaciółmi, a Marlowe - Królowi i katolickiemu kapelanowi Donovanowi. Ci z kolei mieli je przekazać dwóm zaufanym osobom, i tak dalej. Plan jest dobry, pomyślał. Peter słusznie zatrzymał dla siebie informację, skąd wziął kondensator. Dobry z niego chłopak.

Kiedy późnym wieczorem Marlowe wrócił do baraku po odwiedzinach u Króla, Ewart jeszcze nie spał. Wysadził głowę spod moskitiery i szepnął podnieconym głosem:

- Peter, słyszałeś wiadomości?

- Jakie wiadomości?

- Rosjanie są sześćdziesiąt pięć kilometrów od Berlina. Amerykanie wylądowali na Corregidorze i Iwo Jimie.

Marlowe'a ogarnęło przerażenie. O Boże, już?!

- Znów jakieś cholerne plotki, Ewart. Bzdura, i tyle - oświadczył.

- Ależ nie, Peter. W obozie jest nowe radio. Żadne plotki. To wszystko prawda. Czy to nie wspaniale? O rany, zapomniałem o najważniejszym. Amerykanie wyzwolili Manilę. Teraz to już nie potrwa długo, prawda?

- Uwierzę, jak zobaczę na własne oczy.

A może trzeba było powiedzieć tylko Smedly-Taylorowi i nikomu więcej, zastanawiał się Marlowe kładąc się na pryczy. Jeżeli Ewart już wie, to wszystko jest możliwe.

Przysłuchiwał się nerwowo odgłosom obozu. Niemal czuło się, że w Changi rośnie podniecenie. Obóz wiedział, że znów ma łączność ze światem.

Spocony ze strachu Yoshima stał na baczność przed rozwścieczonym generałem.

- Ty głupcze! Ty nieudolny idioto! - grzmiał generał.

Yoshima przygotował się na cios, który teraz powinien nastąpić. I rzeczywiście, generał uderzył go otwartą dłonią w twarz.

- Ma pan odnaleźć to radio, bo jeśli nie, zdegradowe do szeregowca. Odwołuje pańskie przeniesienie. Odmaszerować!

Yoshima zasalutował przepisowo, a niski ukłon, jaki złożył, był uosobieniem pokory. Wszedł z kwatery generała szczęśliwy, że skończyło się tylko na tym. Żeby ich zaraza wybiła, tych przeklętych jeńców! - zaklął w myślach.

W koszarach kazał swoim podwładnym stanąć w szeregu i obrzucił ich stekiem wyzwisk, wymierzając policzki tak długo, aż go rozboleła ręka. Z kolei sierżanci policzkowali kaprali, kaprale szeregowców, a szeregowcy Koreańczyków. Rozkaz był wyraźny: "Znaleźć radio, bo inaczej..."

Przez pięć dni nic się nie działo. Szóstego dnia strażnicy rzucili się na obóz, roznosząc go niemal na kawałki. Ale nic nie znaleźli. Obozowy zdrajca nie wiedział jeszcze, gdzie należy szukać radia. Nic więcej się nie wydarzyło poza tym, że odwołano obiecane przywrócenie normalnych racji żywnościowych. Obóz postanowił przeczekać dłużące się dni, dłużące się tym bardziej, że nie było co jeść. Jedno wszakże wiedziano na pewno, że przynajmniej będą docierały wiadomości. Prawdziwe wiadomości, a nie jakieś tam plotki. A były one pomyślne. Wojna w Europie miała się ku końcowi.

Ale mimo to jeńców nie opuszczał strach. Nieliczni mieli jeszcze jakieś zapasy żywności. Jednakże za dobrymi wiadomościami z frontu czaiła się groźba. Gdyby wojna w Europie się skończyła, wówczas na Pacyfik przerzucono by nowe siły. Musiało dojść w końcu do ataku na samą Japonię. A taki atak wprowadziłby w szal pilnujących obozu Japończyków. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że koniec Changi może być tylko jeden.

Marlowe szedł w stronę kurzych kojców. U biodra kołysała mu się manierka. Wspólnie z Makiem i Larkinem uzgodnili, że najbezpieczniej będzie nie rozstawać się z manierkami i nosić je zawsze przy sobie. Na wypadek niespodziewanej rewizji.

Był w dobrym nastroju. Choć pieniądze zarobione na sprzedaży zegarka dawno się skończyły. Król częstował go jedzeniem i papierosami na konto przyszłych zarobków. Co za człowiek, pomyślał z podziwem. Gdyby nie on, Mac, Larkin i ja przymieralibyśmy głodem jak całe Changi.

Dzień był chłodniejszy niż zwykle. Po wczorajszym deszczu kurz osiadł na ziemi. Zbliżała się pora obiadu. Podchodząc do kojców, Marlowe przyśpieszył kroku. Może będą dziś jakieś jajka, pomyślał. Raptem zatrzymał się, zaskoczony niezwykłym widokiem.

Niedaleko wybiegu dla kur, należącego do jego grupy, zebrał się tłum

gniewnych, gotowych na wszystko mężczyzn. Ku swojemu zdziwieniu Marlowe dostrzegł wśród nich Greya. Naprzeciw Greya pułkownik Foster, nagi, jeśli nie liczyć brudnej przepaski na biodrach, podskakiwał w miejscu jak szalony i wykrzykiwał bez ładu i składu obelgi pod adresem Johnny'ego Hawkinsa, który tulił opiekuńczo do piersi swojego psa.

- Cześć, Max - powiedział Marlowe przechodząc obok kojca Króla. - Co się tu dzieje?

- Cześć, Pete - pozdrowił go swobodnie Max, przekładając z ręki do ręki grabki. Zauważył, że Anglik drgnął na dźwięk swojego zdrobniałego imienia. Ci oficerowie..., pomyślał. Wszyscy jednakowi! Spróbuj tylko takiego potraktować jak równiaczę i zwróć się do niego po imieniu, a zaraz się wścieka. Cholera by ich wzięła! - Ano tak, Pete - powtórzył z rozmysłem. - Cała draka wybuchła z godzinę temu. Wygląda na to, że pies Hawkinsa wpadł do kojca tego Irlandczyka i zagryzł mu kurę.

- Niemożliwe!

- Nie będzie się już długo cieszył tym psem, to pewne.

- Żądam w zamian kurę i odszkodowanie! - wrzeszczał Foster. - Ten potwór zabił jedno z moich dzieci. Żądam aresztowania go za morderstwo...

- Ależ panie pułkowniku, przecież to była kura, nie dziecko - powiedział Grey, który był już u kresu cierpliwości. - Nie można oskarżać...

- Moje kury są moimi dziećmi, idioto! Kura, dziecko, co za różnica? Hawkins to parszywy morderca! Morderca, słyszy pan?!

- Niechże pan mnie posłucha, pułkowniku - rzekł ze złością Grey. - Hawkins nie może zwrócić panu kury. Powiedział już, że przeprasza. Pies zerwał mu się ze smyczy...

- Żądam sądu wojennego. Hawkins to morderca, tak samo jak ten jego potwór.

- Fosterowi wystąpiła na usta piana. - Ta bestia z piekła rodem zabiła moją kurę i zjadła ją. Po moim dziecku zostały tylko pióra.

Odsłoniwszy zęby, pułkownik rzucił się nagle na Hawkinsa z wyciągniętymi rękami. Zakrzywionymi jak szpony palcami zaczął szarpać psa, którego Hawkins trzymał na rękach, krzycząc:

- Zabiję ciebie i twoją przeklętą bestię!

Hawkins uchylił się i odepchnął go. Foster upadł, a Pirat zaskomlił ze strachu.

- Powiedziałem już, że przepraszam - wykrztusił Hawkins. - Gdybym miał pieniądze, chętnie bym dał panu dwie, a nawet dziesięć kur, ale nie mogę! Grey -

powiedział z desperacją - na miłość boską, niechże pan coś zrobi.

- A co ja tu mogę poradzić? - Grey był zmęczony, zły i miał czerwonkę. - Wie pan dobrze, że nic nie mogę zrobić. Będę musiał zameldować o tym, co się stało. A pan niech jak najszybciej pozbędzie się tego psa.

- Jak to?

- Do jasnej cholery! - huknął na niego Grey. - Powiedziałem wyraźnie: niech pan się go pozbędzie. Niech pan go zabije. Jeżeli nie sam, to proszę znaleźć kogoś, kto to zrobi. Wszystko jedno, byleby jeszcze dziś zniknął z obozu.

- To jest mój pies. Pan nie może rozkazać...

- Nie mogę? Właśnie, że mogę! - przerwał mu Grey, napinając mięśnie brzucha. - Zna pan regulamin. Ostrzegano pana, żeby trzymał pan psa na smyczy i jak najdalej stąd. Pirat zagryzł i zjadł kure. Są na to świadkowie.

Pułkownik Foster podniósł się z ziemi. Oczy miał jak czarne paciorki.

- Zabiję go - wysyczał. - To ja zabiję tego psa. Oko za oko.

Grey zastąpił mu drogę. Foster pochylił się, gotów do kolejnego ataku.

- Pułkowniku Foster, złożę w tej sprawie meldunek. Kapitan Hawkins otrzymał rozkaz zabicia psa...

Foster jakby nie słyszał słów Greya.

- Ten potwór należy do mnie - mówił. - Zabiję go, tak jak on zabił moją kure. On jest mój. Zabiję go. - Zaczął skradać się w stronę Hawkinsa, z kącików ust ciekła mu ślina. - Zabiję go, tak jak on zabił moje dziecko.

Grey zagroził mu drogę ręką.

- Nie! Hawkins sam się tym zajmie.

- Pułkowniku Foster, ja proszę, błagam pana, niech pan przyjmie moje przeprosiny - korzył się Hawkins. - Proszę, niech mi pan pozwoli zatrzymać psa. To już się nigdy nie powtórzy.

- Pewnie, że się nie powtórzy. - Foster zaśmiał się obłąkańczo. - On już nie żyje i jest mój.

Rzucił się na Hawkinsa, ale ten się cofnął, a Grey złapał pułkownika za ramię.

- Dość tego, bo pana zaaresztuję! - krzyknął. - Kto to widział, żeby tak się zachowywał wyższy oficer. Proszę zostawić Hawkinsa w spokoju. Proszę stąd odejść.

Foster wyswobodził rękę z uścisku Greya.

- Już ja się z tobą policzę, morderco - zwrócił się do Hawkinsa cichym, ledwie słyszalnym szeptem. - Już ja się z tobą policzę.

Wrócił do kojca i wczuł się do środka. To był jego dom, miejsce, gdzie żył, jadł i spał ze swoimi dziećmi - kurami.

- Przykro mi, Hawkins, ale musi pan się pozbyć tego psa - rzekł Grey.

- Grey, bardzo pana proszę, niech pan cofnie ten rozkaz. Proszę, błagam pana, zrobię wszystko, co pan każe, wszystko.

- Nie mogę - powiedział Grey. Nie miał innego wyboru. - Sam pan wie, że nie mogę. Nie mogę, człowieku. Niech pan się go pozbędzie, i to jak najszybciej.

Powiedziawszy to, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Policzki Hawkinsa były mokre od łez. Tulił do siebie psa. Nagle zauważył wśród zgromadzonych Marlowe'a.

- Na miłość boską, Peter, pomóż mi - zwrócił się do niego.

- Nie mogę, Johnny. Jest mi bardzo przykro, ale ani ja, ani nikt inny nie może ci pomóc.

Zrozpaczony Hawkins rozejrzał się po milczących twarzach. Nie krył się już z płaczem. Mężczyźni odwrócili się, bo nic nie mogli poradzić na to, co się stało. Nie ma co, gdyby to nie pies, ale człowiek zabił kurę, skończyłoby się podobnie, jeśli nie tak samo. Jeszcze chwilę trwała ta żalosna scena, aż wreszcie Hawkins uciekł z łkaniem, nie wypuszczając Pirata z objęć.

- Żal mi go - powiedział Marlowe do Maxa.

- Pewnie, ale całe szczęście, że to nie była kura Króla. O rany, to byłby mój koniec.

Max zamknął klatkę i skinął Marlowe'owi głową na pożegnanie.

Lubił zajmować się kurami. Nie ma to jak od czasu do czasu dodatkowe jajko. A ryzyko żadne, trzeba tylko było prędko wyssać zawartość, ubić skorupkę na proszek i domieszać go kurom do żarcia. W ten sposób po jajku nie pozostawało śladu. Poza tym skorupki też przecież były kurom potrzebne. A zresztą, cóż znaczyło dla Króla podebranie mu raz czy drugi jajka? Dopóki Król miał zapewnione codziennie przynajmniej jedno, nie było się o co martwić. Ani trochę! Max naprawdę ogromnie się cieszył. Przez cały najbliższy tydzień miał doglądać kur.

Tego samego dnia po obiedzie Marlowe leżał na pryczy odpoczywając.

- Przepraszam, panie kapitanie.

Marlowe obrócił głowę i zobaczył, że obok stoi Dino.

- Słucham? - powiedział i z lekkim zakłopotaniem rozejrzał się po baraku.

- Mmm... Czy mogę prosić o chwilę rozmowy, panie kapitanie?- spytał Dino.

“Panie kapitanie” jak zwykle zabrzmiało impertynencko.

Czemu ci Amerykanie nie potrafią wymówić tego zwyczajnie? - pomyślał Marlowe, po czym wstał i wyszedł za Dinem na dwór.

Dino poprowadził go na środek niewielkiego placyku pomiędzy barakami.

- Słuchaj, Pete. Król chce się z tobą widzieć. Masz zabrać ze sobą Larkina i Maca - wyszeptał nagłym tonem.

- O co chodzi?

- Powiedział tylko, żebyś ich przyprowadził. Macie się z nim spotkać za pół godziny w więzieniu, w celi pięćdziesiąt cztery na czwartym piętrze.

Oficerom nie wolno było przebywać na terenie więzienia. Tak brzmiał japoński rozkaz, a obozowa żandarmeria pilnowała, żeby go przestrzegano. Ryzykowna sprawa, pomyślał Marlowe.

- Nic więcej nie mówił? - spytał.

- Nie. To wszystko. Cella pięćdziesiąt cztery, czwarte piętro, za pół godziny. To tymczasem, Pete.

Co się znów szykuje? - zastanawiał się Marlowe. Wrócił prędko do baraku i powtórzył Macowi i Larkinowi rozmowę z Dinem.

- Co o tym sądzisz, Mac? - spytał.

- Cóż, nie sądzę, żeby Król zaprosił wszystkich trzech ot tak sobie, bez wyjaśnienia, gdyby nie szło o coś ważnego - odparł ostrożnie Mac.

- A co zrobimy z wejściem do więzienia?

- Na wypadek gdyby nas przyłapano, musimy mieć w pogotowiu jakąś historyjkę - powiedział Larkin. - Grey na pewno się o tym dowie i zaraz zacznie coś podejrzewać. Najlepiej, jeśli każdy z nas pójdzie osobno. Zawsze mogę powiedzieć, że idę zobaczyć się z kilkoma Australijczykami zakwaterowanymi w więzieniu. A ty, Mac?

- Jest tam też paru z Pułku Malajskiego. Mógłbym akurat odwiedzić któregoś z nich. No, a ty, Peter?

- Mógłbym się spotkać z paroma gośćmi z RAF-u - rzekł Marlowe i po chwili wahania dodał: - A może najpierw pójdę sam, dowiem się, o co chodzi, i wrócę was zawiadomić?

- Nie. Jeżeli nawet nie zauważą, że wchodzisz, to mogą cię złapać przy wyjściu i zatrzymać. A wtedy już cię tam nie wpuszczą. Przecież nie mógłbyś nie usłuchać bezpośredniego rozkazu i wejść tam znowu. Idźmy wszyscy, ale każdy oddzielnie -

powiedział Larkin i uśmiechnął się. - Tajemnicza sprawa, co? Ciekaw jestem, o co właściwie chodzi?

- Oby tylko nie wynikły z tego jakieś nieprzyjemności - rzekł z troską Marlowe.

- W naszych czasach, mój chłopcze, nieprzyjemności wynikają z faktu, że się żyje - rzekł Mac. - Wcale nie czułbym się bezpiecznie, gdybym tam nie poszedł. Król ma wpływowych znajomych. Może coś wie.

- A co z manierkami?

Zastanawiali się przez chwilę. Pierwszy odezwał się Larkin.

- Weźmiemy je ze sobą - zdecydował.

- Czy to aby bezpieczne? Jak już znajdziemy się w środku, to w razie nagłej rewizji w żaden sposób nie zdołamy ich ukryć.

- Jeżeli mają nas złapać, to i tak złapią - rzekł surowo Larkin. - Albo jest to nam pisane, albo nie - dodał z zaciętą miną.

- Ej, Peter, zapomniałeś założyć opaskę - zawołał Ewart w ślad za wychodzącym z baraku Marlowe'em.

- A, rzeczywiście, dziękuję. Całkiem zapomniałem.

Wracając do przyczty Marlowe kłął w duchu.

- Mnie też to się ciągle zdarza. Ostrożność nie zawadzi.

- Racja. Dziękuję.

Marlowe przyłączył się do mężczyzn spacerujących ścieżką wydeptaną przy murze więzienia, Poszedł nią na północ, skręcił i znalazł się przed bramą. Zsunął opaskę z ramienia i nagle poczuł się nagi. Miał wrażenie, że mijający go mężczyźni przyglądają mu się i dziwią, dlaczego ten oficer nie nosi opaski. Na wprost, dwieście metrów dalej, kończyła się prowadząca na zachód droga. Ale w tej chwili nie zamykała jej blokada z drutów, ponieważ po skończonym dniu pracy wracało do obozu kilka oddziałów jeńców. Wyczerpani ludzie ciągnęli na olbrzymich płozach pnie drzew, które w wielkim znoju wydobyli z bagna, a które przeznaczone były dla obozowych kuchni. Marlowe przypomniał sobie, że pojutrze jego też czeka podobna praca. Nie miał nic przeciwko robotom na lotnisku, gdzie pracował niemal codziennie. Praca była tam lekka. Ale roboty w lesie to zupełnie co innego. Holowanie ciężkich pni było niebezpieczne. Brak odpowiedniego sprzętu, który ułatwiałby pracę, sprawiał, że wielu nabawiało się przepukliny. Wielu łamało ręce, nogi albo skręcało kostki.

Wszyscy sprawni, zarówno żołnierze, jak i oficerowie, mieli obowiązek raz lub dwa razy w tygodniu pracować przy drewnie, ponieważ kuchnie pochłaniały duże

ilości opału. I było to w końcu słuszne, że zdrowi pracują dla chorych.

Po jednej stronie bramy stał żandarm, a po drugiej koreański strażnik, który opierał się o mur, palił papierosa i ospale przyglądał się mijającym go jeńcom. Żandarm obserwował wracających z robót ludzi, którzy szurając nogami wchodzili przez obozową bramę. Na saniach leżał jakiś człowiek. Dla jednego czy dwóch tak to się zwykle kończyło. Tylko śmiertelnie wyczerpanych albo ciężko chorych ciągnięto w ten sposób z powrotem do Changi.

Marlowe prześliznął się pomiędzy nieuważnymi strażnikami i wmieszał w tłum krążący bezustannie po wielkim betonowym dziedzińcu więzienia.

Odszukał właściwy blok i zaczął wspinać się po metalowych schodach, wymijając prycze i rozłożone na podłodze maty do spania. Wszędzie tu pełno było ludzi. Na schodach, na korytarzach, w otwartych celach - po czterech, po pięciu w celi przeznaczonej dla jednego więźnia. Narastało w nim przerażające uczucie stłamszenia, naporu z dołu, z góry, zewsząd. Panujący tu smród przyprawiał o mdłości: smród więziennych murów, smród ciał gnijących i nie mytych, smród ludzi zamkniętych i stłoczonych.

Marlowe znalazł wreszcie celę numer pięćdziesiąt cztery. Drzwi były zamknięte, nacisnął więc klamkę i wszedł do środka. Mac i Larkin już tam byli.

- Jezu, ten smród mnie wykończy - powiedział.

- Mnie też - odparł spocony Larkin.

Również i Mac był spocony. W celi panowała duchota, a betonowe ściany zionęły wilgocią i pokryte były pleśnią na skutek wielu lat potnienia.

Cela miała ze dwa metry szerokości, dwa i pół długości i trzy wysokości. Jej środek zajmowało spojone zjedną ze ścian łóżko - betonowa bryła dwumetrowej długości, wysoka i szeroka na metr. Betonowy występ łóżka służył za poduszkę. W kącie była toaleta - otwór w podłodze, połączony ze ściekiem. Ale kanalizacja od dawna nie działała. Pod samym sufitem znajdowało się małe zakratowane okienko. Nie było przez nie widać nieba, bo ściany miały ponad pół metra grubości.

- Mac. Dajmy mu jeszcze parę minut, a potem zmykamy stąd - odezwał się Larkin.

- Dobra.

- Otwórzmy chociaż drzwi - zaproponował Marlowe. Pot lał się z niego strumieniami.

- Lepiej niech będą zamknięte, Peter. Tak jest bezpieczniej - rzekł z niepokojem

Larkin.

- Wolalbym umrzeć, niż tu mieszkać.

- Pewnie. Dziękujemy Bogu za świeże powietrze.

- Widzisz to, Larkin? - spytał Mac, wskazując leżące na betonowym łóżku koce.

- Nie rozumiem, gdzie się podziali mieszkańcy tej celi. Przecież wszyscy jednocześnie nie mogli pójść na roboty.

- Nic z tego nie rozumiem - odparł Larkin, który zaczynał się już denerwować. - Chodźmy stąd...

W tej samej chwili drzwi otworzyły się i do celi wszedł rozpromieniony Król. W rękach trzymał kilka paczek.

- Cześć, chłopcy! - zawołał i zrobił miejsce, żeby przepuścić Texa, który również był obładowany paczkami. - Połóż to na łóżku, Tex - polecił.

Przysłuchali się zdumieni, jak Tex stawia na łóżku maszynkę elektryczną i garnek, a potem kopniakiem zamyka drzwi.

- Przynieś wody - polecił mu Król.

- Dobra.

- Co tu się dzieje? W jakiej sprawie chciał pan się z nami widzieć? - spytał

Larkin.

Król roześmiał się.

- Zaraz sobie coś ugotujemy - oznajmił.

- Mam rozumieć, że sprowadził pan nas tu tylko po to? Psiakrew, przecież mogliśmy to zrobić u nas, na kwaterze! - wściekł się Larkin.

Król spojrział na niego i uśmiechnął się. Odwrócił się do Larkina plecami i otworzył jakąś paczkę. Tex wrócił z garnkiem napełnionym wodą i postawił go na maszynie.

- Słuchaj, Radża, co... - zaczął Marlowe i urwał.

Król wsypywał właśnie do wody niemal całą, kilogramową torbę fasolki *katchang idju*. Następnie wsypał do garnka soli i dwie czubate łyżki cukru. Znów się odwrócił, wyjął coś zapakowanego w liść banana, odwinął i podniósł to do góry.

- Matko święta!

W celi zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

Król był zachwycony wrażeniem, jakie zrobiła na nich jego niespodzianka.

- A nie mówiłem, Tex? - powiedział z uśmiechem. - Jesteś mi winien dolara.

Mac wyciągnął rękę i dotknął mięsa.

- 'Mahlu. Prawdziwe.

Larkin też dotknął mięsa.

- Zapomniałem już, jak wygląda mięso - powiedział ściszym i pełnym podziwu głosem. - Słowo honoru daję, jest pan genialny. Genialny.

- Dziś są moje urodziny, więc pomyślałem sobie, że trzeba to jakoś uczcić. Mam jeszcze to - powiedział Król unosząc butelkę.

- Co to jest?

- Sake!

- Nie do wiary - wyszeptał Mac. - Przecież to jest cały świński zad. - Nachylił się i powąchał mięso. - Wielki Boże, prawdziwe, prawdziwe i świeże jak wiosenny ranek. Hurra!

Wszyscy się roześmieli.

- Przekręć klucz, Tex - polecił Król i zwrócił się do Marlowe'a. - No i jak, wspólniku?

Marlowe nadal nie odrywał oczu od mięsa

- Skąd je wytrzasnąłeś?

- Długo by mówić - odparł Król. Wziął nóż, naciął mięso i rozerwał mały zad na dwie części, a następnie włożył je do garnka. Wszyscy przyglądali się zafascynowani, jak soli wodę, ustawia rondel idealnie pośrodku maszynki, opiera się plecami o ścianę i zakłada nogę na nogę. - Nieźle, co?

Przez dłuższy czas wszyscy milczeli.

Ciszę przerwało nagłe poruszenie klamki. Król skinął na Texa, który przekręcił klucz w zamku i uchylił lekko drzwi, a potem szeroko je otworzył. Wszedł Brough.

Rozejrzał się zdumiony po celi. Zauważył maszynkę. Podszedł i zajrzał do garnka.

- O, do pioruna! - zawołał.

- Dziś są moje urodziny - wyjaśnił z uśmiechem Król. - Dlatego zaprosiłem cię na obiad.

- A więc masz we mnie gościa - rzekł Brough i wyciągnął rękę do Larkina. - Don Brough, panie pułkowniku -przedstawił się.

- Mów mi Grant! Znasz Maca i Petera?

- Pewnie, że znam. - Brough uśmiechnął się do nich i zwrócił się do Texa. - Cześć, Tex! - pozdrowił go.

- Fajnie, że jesteś, Don.

- Siadaj, Don - powiedział Król wskazując łóżko. - Zabierajmy się do roboty.

Marlowe zastanawiał się, co sprawia, że amerykańscy żołnierze i oficerowie tak łatwo przechodzą ze sobą na "ty". Nie było w tym żadnego pospolitowania się czy podlizywania. Miało się wrażenie, że tak właśnie powinno być. Zresztą już wcześniej zwrócił uwagę, że amerykańscy żołnierze uznają Brougha za swojego dowódcę i są mu posłuszni, chociaż wszyscy zwracają się do niego po imieniu. Zastanawiające.

- A ta robota to niby co? - spytał Brough.

Król wyciągnął kilka kawałków koca.

- Będziemy musieli uszczelnić drzwi - oznajmił.

- Co takiego? - spytał z niedowierzaniem Larkin.

- Bezwarunkowo. Jak tylko zacznie się gotować, może się zrobić drała. Wystarczy, żeby ludzie poczuli zapach, a wtedy... sami rozumiecie. Rozerwaliby nas na strzępy. Myślałem nad tym i wyglówkowałem, że więzienie to jedyne miejsce, gdzie nikt nam nie przeszkodzi w gotowaniu. Zapach wyleci przez okno. Jeśli, ma się rozumieć, dobrze uszczelnimy drzwi. W każdym razie gdzie indziej na pewno nie można by było tego zrobić.

- Larkin miał rację. Jest pan genialny - oświadczył z powagą Mac. - Ja nawet bym o tym nie pomyślał. Słowo daję, od tej chwili Amerykanów zaliczam do moich przyjaciół! - dodał ze śmiechem.

- Dziękuję, Mac. A teraz bierzmy się do roboty.

Goście Króla wzięli kawałki koca, powpychali je w szpary wokół drzwi i zasłonili okratowanego judasza. Kiedy skończyli, Król obejrzał dzieło.

- W porządku - orzekł. - No, a co z oknem?

Spojrzeli na mały, okratowany otwór pod sufitem.

- Zostawmy je tak, jak jest, aż jedzenie się zagotuje. Wtedy je zakryjemy i postaramy się wytrzymać, ile się da. Potem możemy je na chwilę odsłonić - powiedział Król i rozejrzał się po zgromadzonych. - Chyba nie zaszkodzi wypuścić raz na jakiś czas trochę zapachu. Coś jak indiański sygnał dymny.

- Jest wiatr?

- Żebym to ja wiedział. Czy ktoś zwrócił na to uwagę?

- Podesadź mnie, Peter - powiedział Mac.

Mac, jako najniższy, mógł stanąć Marlowe'owi na ramionach. Wyjrzał przez kratę, poślinił palec i wystawił go na zewnątrz.

- Pośpiesz się, Mac, jak Boga kocham, nie myśl, że z ciebie takie piórko! -

krzyczał z dołu Marlowe.

- Muszę przecież sprawdzić, skąd wieje, bezczelny młokosie!

Mac znowu poślinił palec i wystawił go za okno. Miał przy tym tak skupioną minę i wyglądał do tego stopnia komicznie, że Marlowe wybuchnął śmiechem. A kiedy zawtórował mu Larkin, obaj tak skręcali się ze śmiechu, że Mac spadł z wysokości prawie dwóch metrów, otarł sobie nogę o betonowe podłoże i zaczął kląć na czym świat stoi.

- No popatrz, tylko popatrz, co sobie przez ciebie zrobiłem. A niech cię szlag - wykrztusił. Było to tylko małe zadrapanie, ale pociekła z niego strużka krwi. - Cholera jasna, o mały włos nie zdarłem sobie skóry z całej nogi.

- Popatrz no, Peter, Macowi płynie w żyłach prawdziwa krew - wystękał Larkin trzymając się za brzuch. - A ja zawsze myślałem, że mleczko kauczukowe!

- A idźcie do diabła, sukinsyny, *'mahlul* - powiedział rozdrażniony Mac, aż nagle też zdjął go pusty śmiech, wstał, chwycił Marlowe'a i Larkina za ręce i zaczął śpiewać: - *Dalej wszyscy wkoło, kręcmy się wesolo...*

Marlowe pochwycił rękę Brougha, Brough Texa i korowód rozśpiewanych i zanoszących się histerycznym śmiechem mężczyzn obtańczył garnek i siedzącego przy nim po turecku Króla. Mac zatrzymał korowód.

- Witaj, Cezarze! - zawołał. - Mający jeść pozdrawiają ciebie.

Wszyscy jak jeden mąż zaszalowali po rzymsku Królowi i zwałili się na podłogę, jeden na drugiego.

- Przygniotłeś mi rękę, Peter!

- Wsadziłeś mi nogę w jaja! - krzyknął Larkin na Brougha.

- Przepraszam, Grant. O Jezus! Dawno tak się nie uśmieiałem.

- Słuchaj, Radza, chyba wszyscy powinniśmy zamieszać w garnku na szczęście - zaproponował Marlowe.

- No, to chodź, zamieszaj - odparł Król. Serce w nim rosło, kiedy widział, jak się cieszą.

Ustawili się uroczyście w kolejce i pierwszy zamieszał gorącą już potrawę Marlowe. Mac wziął od niego łyżkę i mieszając obdarzył garnek sprośnym błogosławieństwem. Żeby nie być gorszym, Larkin zaczął mieszać ze słowami:

- *Wrzuj, wrzuj, kotle, wrzuj i buchaj...*

- Czyś ty oszalał? Cytujesz *Makbeta*?! - przerwał mu Brough.

- A czemu nie?

- To przynosi pecha. Tak samo jak gwizdanie w garderobie teatru.

- Naprawdę?

- Każdy głupi to wie!

- Niech mnie diabli! Nigdy o tym nie słyszałem - powiedział Larkin, marszcząc brwi.

- A zresztą, pomyliłeś się - rzekł Brough. - To leci: *Dalej! zwawo! hopsa! hej! Buchaj, ogniu! kotle, wrzeź!*

- Co mi tu będziesz mówić, Jankesie! Już ja znam Szekspira!

- Założmy się o jutrzejszą porcję ryżu.

- Pilnuj się, Larkin - ostrzegł podejrzliwie Mac, znając skłonność Larkina do hazardu. - Nie wolno się tak lekkomyślnie zakładać.

- Ależ ja mam rację, Mac - powiedział Larkin, któremu wcale nie podobał się pewny siebie wyraz twarzy Amerykanina. - Skąd jesteś taki pewien, że wiesz to lepiej ode mnie?

- Zakład stoi? - spytał Brough.

Larkin zastanawiał się przez chwilę. Lubił się zakładać, ale jutrzejsza porcja ryżu była zbyt wysoką stawką.

- Nie. Mogę grać o ryż w karty, ale na Szekspira go nie postawię, żeby nie wiem co.

- Szkoda - rzekł Brough. - Przydałaby mi się dodatkowa porcja. To był akt czwarty, scena pierwsza, wiersz dziesiąty.

- A skąd ty to tak dokładnie wiesz?

- Nie masz się czemu dziwić - odparł Brough. - Studiowałem dziennikarstwo i dramatopisarstwo. Kiedy stąd wyjdę, zostanę pisarzem.

Mac pochylił się nad garnkiem i zajrzał do środka.

- Zazdroszczę ci, chłopie - powiedział. - Praca pisarza może się okazać najważniejsza ze wszystkich. Pod warunkiem, że jest coś warta.

- Bzdury pleciesz, Mac - rzekł Marlowe. - Są przecież tysiące innych, ważniejszych zajęć.

- To tylko świadczy o tym, jak mało wiesz o świecie.

- O wiele ważniejszy jest biznes - wtrącił Król. - Bez tego świat stanąłby w miejscu, a bez pieniędzy i stabilnej gospodarki nie miałby kto kupować książek.

- Wypchaj się ze swoim biznesem i gospodarką - rzekł Brough. - To są rzeczy materialne. Mac ma rację. Jest właśnie tak, jak powiedział.

- Mac, dlaczego pisarstwo jest takie ważne? - spytał Marlowe.

- No cóż, chłopcze, po pierwsze, jest to coś, czym zawsze chciałem się zająć, ale mi nie wyszło. Próbowałem wiele razy, ale nigdy nie udało mi się niczego doprowadzić do końca. Zakończyć coś - to jest właśnie najtrudniejsze. Ale najważniejsze wydaje mi się to, że pisarze są jedynymi ludźmi, którzy mogą zrobić coś z tym światem. Biznesmen nie robi nic...

- Bzdura - przerwał mu Król. - A Rockefeller! A Morgan, Ford, a du Pont i cała reszta? To oni finansują instytuty naukowe, biblioteki, szpitale i galerie sztuki. Gdyby nie ich forsa...

- Tak, ale doszli do swoich pieniędzy cudzym kosztem -zareplikował szorstko Brough. - Mogliby zwrócić część tych krociowych zysków ludziom, którzy je wypracowali. Te pijawki...

- Zdaje się, że jesteś demokratą? - spytał zaperzony Król.

- Żebyś wiedział, że jestem. Weź na przykład Roosevelta. Spójrz, co on robi dla kraju. Postawił go na nogi, podczas gdy ci cholerni republikanie...

- To bzdura, sam dobrze o tym wiesz. Republikanie nie mieli z tym nic wspólnego. To był cykl ekonomiczny.

- Nie wciskaj mi tu bredni o cyklach ekonomicznych. Republikanie...

- Ej, koledzy - przerwał im łagodnie Larkin. - Odłóżmy politykę do czasu, aż zjemy. Co wy na to?

- Dobrze, niech będzie - zgodził się niechętnie Brough. - Ale ten tutaj gada jak potłuczony.

- Mac, a ja nadal nie rozumiem, dlaczego pisarstwo jest takie ważne - rzekł Marlowe.

- Jak by ci to powiedzieć... Pisarz może przelać na kawałek papieru jakąś ideę albo punkt widzenia. Jeżeli naprawdę ma coś do powiedzenia, to może poruszyć ludzi, choćby pisał na papierze toaletowym. I tylko on jeden w tym naszym wieku nowoczesnej ekonomii może to zrobić, on jeden może zmienić świat. Biznesmen nie, jeśli nie dysponuje odpowiednim kapitałem. Polityk też nie, jeśli nie zajmuje wysokiego stanowiska i nie ma w ręku władzy. A już na pewno nie plantator. Księgowy też nie, prawda, Larkin?

- Oczywiście.

- Ale pan mówi o propagandzie - rzekł Brough. - A ja nie chcę pisać propagandy.

- Pisałeś może do filmu, Don? - spytał Król.

- Nigdy nikomu nic nie sprzedałem, a pisarzem zostajesz dopiero wtedy, kiedy coś sprzedasz. Ale film to cholernie ważna rzecz. Wiecie, Lenin powiedział, że kino to najważniejszy wynalazek wszechczasów, za pomocą którego można rozpowszechniać idee. - Brough zauważył, że Król szykuje się do ataku. - Tylko sobie, sukinsynu, nie myśl, że ponieważ jestem demokratą, to muszę być komunistą. Cholera jasna - zwrócił się do Maca - wystarczy, że ktoś czyta Lenina, Stalina czy Trockiego, a już z niego robią komunistę.

- Dobra, Don, ale musisz przyznać, że kupa demokratów jest nastawionych lewicowo - rzekł Król.

- A odkąd to ktoś, kto ma proradzieckie poglądy, musi być od razu komunistą? W końcu są to nasi sprzymierzeńcy!

- Historycznie rzecz biorąc, wcale mnie to nie cieszy - powiedział Mac.

- A to dlaczego?

- Bo po wojnie będziemy mieli z nimi kłopoty. Zwłaszcza na Wschodzie. Już przed wojną zaczęli mieszać na całego.

- W przyszłości karierę zrobi telewizja - powiedział Marlowe wpatrując się w smużkę pary tańczącą na powierzchni gotującej się strawy. - Widziałem kiedyś pokaz telewizji nadany z Alexandra Pałace w Londynie. Baird raz na tydzień nadaje stamtąd jakiś program.

- Słyszałem o telewizji, ale jej nie widziałem - rzekł Brough.

- Ja też nie - wyznał Król. - Można by pewnie na tym zrobić kapitalny interes.

- Na pewno nie w Stanach - mruknął Brough. - Pomyśl tylko, jakie tam są odległości! Może to dobre dla małych państweczek, jak na przykład Anglia, ale nie dla państwa z prawdziwego zdarzenia, jakim są Stany.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Marlowe, sztywniejąc.

- A to, że gdyby nie my, to ta wojna nigdy by się nie skończyła. To przecież nasze pieniądze, nasza broń, nasza potęga...

- Posłuchaj no, stary, radziliśmy sobie nieźle sami, dając czas wam, leniom, żebyście wreszcie ruszyli tyłki. To jest tak samo wasza, jak i nasza wojna.

Zmierzyli się wzrokiem.

- Bzdura! Czemu wy, Europejczycy, nie powybijacie się nawzajem, tak jak to robiliście od wieków, i nie zostawicie nas w spokoju, tego nie wiem. Musieliśmy przyjść wam z pomocą, zanim...

Nie wiadomo kiedy rozpętała się powszechna kłótnia: jeden przez drugiego kłęli, nikt nikogo nie słuchał, każdy miał swoją rację, a wszystkie racje były słuszne.

Król i Brough wygrazali sobie zapamiętałe pięściami, Marlowe wrzeszczał na Maca. Wtem rozległo się walenie do drzwi.

Natychmiast zapadła cisza.

- Co się tak drzecie, do jasnej niespodziewanej? - dobiegł zza drzwi czyjś głos.

- To ty, Griffiths?

- A co se myślisz, że to może ten zasrany Adolf Hitler? Chceta, żeby nas zamkli, czy co?

- Nie. Przepraszamy.

- No, to siedźta cicho, do cholery!

- Kto to? - spytał Mac.

- Griffiths. To jego cela.

- Jak to?

- Ano tak. Wynająłem ją od niego na pięć godzin. Po trzy dolce za godzinę. Nic nie ma za darmo.

- Wynajął pan tę celę? - spytał z niedowierzaniem Larkin.

- Oczywiście. Spryciarz z tego Griffithsa - rzekł Król i wyjaśnił: - Jest tu kupa ludzi, tak czy nie? Siedzą sobie na głowach i nie mają chwili spokoju. Więc ten Anglik wynajmuje celę wszystkim, którzy chcą, żeby im nie przeszkadzać. Nie powiem, żeby to była wymarzona kryjówka, ale Griffiths nieźle na tym wychodzi.

- Założę się, że on tego nie wymyślił - rzekł Brough.

- Kapitanie, nie umiem kłamać - powiedział z uśmiechem Król. Przyznaję, że pomysł był mój. Ale Griffiths ma z tego tyle, że jemu i jego grupie wiedzie się bardzo dobrze.

- A ile z tego masz ty?

- Normalne dziesięć procent.

- Jeżeli to jest tylko dziesięć procent, to w porządku - stwierdził Brough.

- Tylko dziesięć - potwierdził Król. Nigdy by mu nie skłamał, chociaż Broughowi guzik było do tego, co on robi.

Brough nachylił się nad garnkiem i zamieszał w nim.

- Hej, chłopcy, już się gotuje.

Stłoczyli się wokół maszynki. Rzeczywiście, teraz już naprawdę wrzało.

- W takim razie trzeba się zająć oknem. Lada chwila zacznie rozchodzić się

zapach.

Zasłonili zakratowany otwór kocem i wkrótce cela wypełniła się smakowitą wonią.

Mac, Larkin i Tex przykucnęli pod ścianą ze wzrokiem utkwionym w garnek. Marlowe usiadł po drugiej stronie łoża, a ponieważ był najbliżej garnka, od czasu do czasu w nim mieszał.

Woda wrzała łagodnie wynosząc na powierzchnie delikatne, sierpowato zakrzywione ziarna, które umykały potem kaskadą w głąb płynu. Od kipiącej powierzchni oderwał się obłoczek pary, przynosząc ze sobą intensywny zapach mięsa. Król nachylił się i wrzucił do środka garść malajskich ziół: szafran indyjski, *kajang*, *huan*, *taka* oraz goździki i czosnek, co jeszcze bardziej wzbogaciło intensywny aromat. A po następnych dziesięciu minutach dodał jeszcze niedojrzały owoc melonowca.

- I pomyśleć tylko, że facet, który znalazłby sposób na produkcję melonowca w proszku, mógłby zrobić po wojnie fortunę - powiedział. - To by zmięczyło nawet skórę bawołu!

- Malajczycy używają melonowca od niepamiętnych czasów - odezwał się Mac, ale właściwie nikt go nie słuchał, on sam też zresztą nie myślał o tym, co mówi, pochłonięty otaczającą ich rozkosznie intensywną wonią.

Pot skapywał im z bród, spływał po piersiach, rękach i nogach, ale nie zdawali sobie sprawy ani z tego, ani z panującej duchoty. Myśleli wyłącznie o tym, że to nie sen, że oto na ich oczach gotuje się mięso, które już niedługo będą jedli.

- Skąd je masz? - spytał Marlowe, choć właściwie nie był ciekaw odpowiedzi. Czuł po prostu, że musi coś powiedzieć, żeby przerwać przytłaczającą ciszę.

- To pies Hawkinsa - odparł Król, myśląc tylko: Chryste, jak to pachnie, co za zapach!

- Pies Hawkinsa?

- To jest Pirat?

- Jego pies?

- Myślałem, że to małe prosię!

- Pies Hawkinsa?!

- To straszne!

- Chcesz powiedzieć, że to zad Pirata? - spytał Marlowe z przerażeniem.

- Oczywiście - odparł Król. Teraz, kiedy sprawa się wydała, było mu wszystko jedno. - Chciałem powiedzieć wam o tym później, ale niech tam. Teraz już wiecie.

Rozejrzeli się po sobie w osłupieniu.

- Matko Boska, pies Hawkinsa! - odezwał się wreszcie Marlowe.

- Ej, słuchajcie, właściwie co to za różnica? - starał się trafić im do rozsądku Król. - W życiu nie widziałem czyściej utrzymanego psa. Był czystszy niż prosiak, a nawet, dajmy na to, kura. Mięso to mięso. Proste jak drut!

- Słusznie - przyznał z rozdrażnieniem Mac. - Nic złego w tym, że je się psa. Chińczycy jadali je zawsze i nadal jedzą. To dla nich przysmak. Tak, tak. Nie da się ukryć.

- Niby racja - rzekł Brough z nutą obrzydzenia w głosie. - Ale my nie jesteśmy Chińczykami, a to jest przecież pies Hawkinsa!

- Czuję się jak kanibal - powiedział Marlowe.

- Zrozumcie, Mac ma rację - rzekł Król. - Nic złego w tym, że to pies. No, tylko powąchajcie.

- Powąchajcie! - powtórzył Larkin. Z trudem wydobywał z siebie głos, bo krztusił się śliną. - Czuję tylko mięso. To najwspanialszy zapach, jaki spotkałem w życiu, i nic mnie nie obchodzi, czy to jest Pirat, czy nie. Chcę jeść. - Potarł rękami brzuch, jak gdyby miał boleści. - Nie wiem jak wy, ale ja jestem taki głodny, że aż mnie łapią skurcze. Ten zapach dziwnie wpływa na moją przemianę materii.

- Mnie też jest niedobrze. I to wcale nie dlatego, że to jest psie mięso - powiedział Marlowe, po czym dodał niemal z płaczem: - Ja po prostu nie chcę jeść Pirata. Jak my potem spojrzemy w oczy Hawkinsowi? - spytał Maca.

- Nie wiem, chłopcze. Spojrzę gdzieś w bok. Tak. Chyba nie zdołam patrzeć mu w oczy - wyznał Mac. Nozdrza mu zadrżały. Skierował wzrok na bulgoczący garnek. - Ach, jak to pachnie.

- Kto nie chce jeść, może oczywiście wyjść - rzekł ze spokojem Król.

Nikt się nie poruszył. Wkrótce wszyscy usiedli opierając się plecami o ścianę i pograżyli się w myślach, wsłuchując się w bulgotanie i sycąc aromatem. To była rozkosz.

- Kiedy się nad tym zastanowić, nic w tym szokującego - powiedział Larkin, bardziej po to, żeby przekonać samego siebie niż innych. - Weźmy na przykład nasze kury. Bardzo się do nich przywiązujemy, ale to nie przeszkadza nam zjadać je albo ich jajka.

- Masz rację, stary - przyznał Mac. - A pamiętasz tego kota, którego złapaliśmy i zjedliśmy? Wcale nam nie przeszkadzało, że to kot, prawda, Peter?

- Tak, ale on był niczyj. A to jest Pirat!

- To był Pirat! A teraz to jest zwykłe mięso.

- To wy złapaliście tego kota? - spytał Brough, nie mogąc opanować złości. - Jakież pół roku temu?

- Nie. Tamto było na Jawie.

- Ach tak - rzekł Brough. Po chwili jego wzrok spoczął na Królu. - Powinienem się być domyślić - wybuchnął. - To twoja sprawka, sukinsynu. Polowaliśmy na tego kota przez cztery godziny!

- Nie masz się o co złościć, Don. Przecież to my go zdobyliśmy. Grunt, że zwycięstwo zostało przy Ameryce.

- Coś ci moi Australijczycy wychodzą z wprawy - rzekł Larkin.

Król nabrał łyżkę wywaru i drżącą ręką podniósł go do ust.

- Smaczne - zawyrokował, a potem dźwignął mięso. Wciąż trzymało się mocno kości. - Jeszcze z godzinę - dodał.

Po dziesięciu minutach znowu posmakował.

- Może trochę dosolić? Jak myślisz, Peter?

Marlowe spróbował wywaru. Ach, jak mu smakował, jak smakował.

- Kapkę, kapeczkę! - stwierdził.

I tak po kolei, próbowali wszyscy. Szczypta soli, kawałek *huanu*, odrobina cukru, ździebko szafranu indyjskiego. Potem znów się rozsiedli i czekali, bliscy uduszenia w tej celi wyszukanych tortur.

Co jakiś czas usuwali z okienka koc, wpuszczając do środka nieco świeżego powietrza i wypuszczając trochę zapachu. Wiatr rozniósł aromatyczną woń po obozie. Wewnątrz więzienia smużki zapachu wydostawały się przez drzwi na korytarz, nasycając powietrze.

- Jasny gwint! Smithy, czujesz?

- Pewnie, że czuję. Myślisz, że nie mam nosa? Skąd to tak zalatuje?

- Czekać, czekać. Gdzieś od więzienia, o, stamtąd!

- To pewnie te żółte sukinsyny pichcą coś sobie tuż za drutem.

- Tak, to oni. Bydlaki.

- A ja myślę, że to wcale nie oni. To leci prosto od więzienia.

- O rany, zobaczysz, co powie Smithy. Spójrz tylko, stoi i węszy. Całkiem jak pies.

- Mówię wam, czuję, że to zalatuje od więzienia.
- To wiatr. Wiatr wieje z tamtej strony.
- Przecież wiatr nigdy tak nie pachnie. Mówię wam, ktoś gotuje mięso.

Wołowinę. Głowę daję. Duszona wołowina!

- Nowa japońska tortura. Sukinsyny! Żeby nam robić taki świński kawał!
- A może to się nam tylko wydaje. Mówią, że zapach można sobie wyobrazić.
- Jakim cudem może się to wydawać nam wszystkim? Popatrz na innych,

wszyscy stoją.

- Kto tak mówi?

- Co?

- Powiedziałeś przed chwilą: "Mówią, że zapach można sobie wyobrazić". To niby kto tak mówi?

- O Boże, Smithy. To takie powiedzenie.

- No, ale ci, co tak "mówią", to kto?

- Skąd mam, do diabła, wiedzieć?!

- To przestań z tym "mówią" to, "mówią" tamto. Zwariować można od takiego gadania.

Siedzący w celi wybrańcy Króla przyglądali się mu, jak odmierza warząchwią porcję i wręcza napełnioną menażkę Larkinowi. Następnie wszystkie oczy oderwały się od naczynia Larkina i skierowały na warząchew, potem na Maca i znowu na warząchew, na Brougha i z powrotem na warząchew, na Texa i na warząchew, na Marlo-we'a i ponownie na warząchew, a wreszcie na porcję Króla. Kiedy obdzielił wszystkich i zabrano się do jedzenia, w garnku zostało jeszcze tyle jada, że starczyłoby dla każdego na co najmniej dwie porcje.

Jakąż udręką było tak dobrze jeść.

Ziarna *katchang idju* rozpadły się w czasie gotowania i stały się częścią zawieszanej zupy. Melonowiec zmiękczył mięso i sprawił, że odpadło od kości, rozdrobniło się, a od fasoli i ziół nabrało brunatnej barwy. Potrawa była gęsta jak prawdziwy irlandzki gulasz z baraniny duszonej z ziemniakami i cebulą. I tak jak przy prawdziwym gulaszu ścianki menażek pokrywały krople miodowożłotego tłuszczu.

Król uniósł głowę znad wyczyszczonej do sucha menażki. Dał Larkinowi znak, a ten bez słowa podał mu swoje naczynie. Potem w milczeniu wszyscy po kolei przyjęli dokładkę, która zniknęła szybko i bez śladu, tak zresztą jak następna, tym razem już

ostatnia porcja. Wreszcie Król odłożył menażkę.

- Kurwa jego mać - powiedział z rozkoszą.

- Wyśmienite! - rzekł Larkin.

- Coś wspaniałego - dodał Marlowe. - Zapomniałem już, co to znaczy żuć. Aż mnie szczęki bołą.

Mac zebrał łyżką resztki fasolki. Odbiło mu się. Było to głębokie i donośne czknięcie.

- Powiem wam, chłopcy, że jadałem swego czasu różne rzeczy w różnych miejscach, począwszy od rostbefu w restauracji Simpsona na Picadilly, a skończywszy na *rijsttafelu* w Hotel des Indes na Jawie. Ale żadne, przysięgam wam, żadne z tych dań nie umywa się do tego - powiedział.

- Zgadzam się z tobą - rzekł Larkin, sadowiąc się wygodniej. - Nawet w najlepszej restauracji w Sydney, chociaż muszę przyznać, befsztyki są tam znakomite, nic mi tak nie smakowało.

Król czknął i poczęstował wszystkich papierosami. Potem odpięczętował butelkę z sake i pociągnął długi łyk. Wódka była mocna i ostra w smaku, ale usuwała z ust wrażenie przesyty.

- Trzymaj - powiedział Król, podając butelkę Marlowe'owi.

Napili się wszyscy i wszyscy wypalili papierosa.

- Ej, Tex, nie zająłbyś się kawą? - spytał Król ziewając.

- Zaczekajmy jeszcze parę minut z otwarciem drzwi - zaproponował Brough, choć było mu wszystko jedno, czy drzwi zostaną otwarte, czy nie. Zależało mu tylko na tym, żeby choć jeszcze przez chwilę się nie ruszać. - O Boże, jak mi dobrze!

- Tak się najadłem, że chyba pęknę - stwierdził Marlowe. - Nie ma co, to był naj...

- Daj spokój, Peter. Wszyscyśmy to już powiedzieli. Wszyscy o tym wiemy.

- Owszem, ale ja musiałem to powiedzieć.

- Jak to załatwiłeś? - spytał Brough Króla i stłumił ziewnięcie.

- Max powiedział mi, że pies zagryzł kurę. Wysłałem więc Dina do Hawkinsa i ten oddał mu Pirata. Potem daliśmy psa Kurtowi, żeby go zabił. Ja miałem dostać z niego zadek.

- A dlaczego to Hawkins oddał psa Dinowi? - spytał Marlowe.

- Bo Dino jest weterynarzem.

- Aha, teraz rozumiem.

- Jakim znowu weterynarzem - wtrącił się Brough. - Przecież to jest marynarz.

Król wzruszył ramionami.

- No więc dziś dla odmiany był weterynarzem. Przestań się czepiać!

- Cholera, jesteś niezrównany. Muszę ci to przyznać!

- Dziękuję, Don.

- W jaki... w jaki sposób Kurt to załatwił? - spytał Brough.

- Nie pytałem go.

- I słusznie, chłopcze - rzekł Mac. - A teraz proponuję, żebyśmy przestali o tym mówić, zgoda?

- Dobra myśl.

Marlowe wstał i przeciągnął się.

- A co z kośćmi? - spytał.

- Przeszmuglujemy je, kiedy będziemy stąd wychodzić.

- A może byśmy tak zegrali w pokera? - zaproponował Larkin.

- Świetnie - zgodził się Król. - Tex, nastaw wodę na kawę, Peter, sprzątnij tu trochę. Grant, zajmij się drzwiami. A ty, Don, może byś zebrał naczynia.

Brough podniósł się ociężale.

- A ty niby co będziesz robił? - spytał.

- Ja? - Król uniósł brwi. - Posiedzę sobie.

Brough spojrział na niego. Inni też. Wreszcie Brough rzekł:

- Mam wielką ochotę awansować cię na oficera... i to wyłącznie dla tej przyjemności, żeby ci dołożyć.

- Za każde dwa ciosy zarobiłbyś ode mnie pięć, a to nie wyszłoby ci na zdrowie - odparł Król.

Brough rozejrzał się po wszystkich i znów spojrział na Króla.

- Chyba masz rację - powiedział. - Trafiłbym pod sąd wojenny. - Roześmiał się.

- Ale nic mi nie broni zabrać ci trochę forsy. Powiedziawszy to, wyciągnął pięciodolarowy banknot i wskazał talię kart, którą Król trzymał w ręku. - Starsza wygrywa!

Król rozłożył karty.

- Wybieraj - powiedział.

Brough triumfalnie odsłonił damę. Król przyjrzał się kartom i wybrał jedną z nich - był to walet.

- Podwójna stawka albo nic - powiedział Brough uśmiechając się szeroko.

- Don, zrezygnuj, dopóki jesteś wygrany - poradził mu Król, po czym wziął

jeszcze jedną kartę i odwrócił ją. Tym razem był to as. - Mógłbym ci w ten sposób odsłonić jeszcze jednego. Przecież to są moje karty!

- No to dlaczego mnie nie ograłeś? - spytał Brough.

- Ależ panie kapitanie - powiedział Król ogromnie ubawiony. - Byłoby bardzo niegrzecznie z mojej strony, gdybym zabierał panu forszę. Jest pan w końcu naszym nieustraszonym wodzem.

- Odpieprz się! - rzekł Brough, zaczynając zbierać puste menażki. - Nie ma rady. Jak nie można kogoś pobić, to trzeba się podporządkować.

Tej nocy, kiedy prawie cały obóz spał, Marlowe leżał z otwartymi oczami pod moskitierą i nie pragnął zasnąć. Wreszcie wstał i omijając po drodze moskitiery towarzyszy, wyszedł na świeże powietrze. Brough również nie spał.

- Cześć, Peter - zawołał cicho. - Chodź tu i siadaj. Co, ty też nie możesz zasnąć?

- Nie, po prostu nie mam ochoty spać. Za dobrze się czuję.

Niebo nad nimi było jak aksamit.

- Cudowna noc.

- Tak.

- Jesteś żonaty?

- Nie - odparł Marlowe.

- Masz szczęście. Takim jak ty nie jest chyba aż tak ciężko - rzekł Brough i zamilkł na dłuższą chwilę. - Wariuję na myśl, czy ona tam jeszcze jest. A jeżeli jest, to co się z nią teraz dzieje. Co mogła do tego czasu wymyślić?

- Nic - powiedział odruchowo Marlowe, mając przed oczami N'ai jak żywą. - Nie martw się - dodał, co brzmiało jak: "Nie oddychaj".

- Nie, żebym miał do niej pretensje, bo nie miałbym ich do żadnej kobiety. Tak długo już tu jesteśmy, tak długo. Trudno ją winić.

Trzęsącymi się palcami Brough zrobił sobie skręta z wysuszonych liści herbaty i niedopałka fabrycznego papierosa. Zapaliwszy, zaciągnął się głęboko i podał skręta Marlowe'owi.

- Dziękuję, Don.

Marlowe zaciągnął się i zwrócił papierosa. Dręczeni tęsknotą, wypalili go do końca. Brough wstał.

- Chyba już się położę - powiedział. - Do zobaczenia, Peter.

- Dobranoc, Don.

Marlowe odwrócił głowę i wpatrzywszy się w mrok znów pomknął myślami ku N'ai. Wiedział, że tak samo jak Brough, nie zaśnie, dopóki nie zrobi pewnej rzeczy.

ROZDZIAŁ XVI

W Europie nadszedł Dzień Zwycięstwa. Napełnił on jeńców z Changi radością i dumą. Poza tym był to dzień jak inne i nic nie zmienił w ich życiu. Takie samo było jedzenie, takie samo niebo, taki sam upał, takie same choroby i muchy i taka sama beznadziejność. Grey nadal czekał i czuwał. Szpieg zawiadomił go, że brylant wkrótce zmieni właściciela. Należało się tego spodziewać lada dzień. Równie niespokojnie oczekiwali tego dnia Marlowe i Król.

Pozostały już tylko cztery doby.

Nadszedł dzień "U" i Ewa wydała na świat następane dwanaścioro młodych. Skrót ten, oznaczający dzień urodzin, ogromnie ubawił Króla i jego współników, ponieważ Grey, który dowiedział się o dniu "U" od szpiega, obstawił tego dnia barak Amerykanów swoimi ludźmi i rewidował wszystkich, szukając zegarków lub czegokolwiek, co mogłoby być sprzedane w dniu ubijania interesów. Głupi glina! Król wcale nie przejął się kolejnym dowodem na to, że w baraku jest szpieg. Poczęty został trzeci miot.

Pod barakiem znajdowało się teraz siedemdziesiąt klatek. Czternaście z nich było już zajętych, a wkrótce miało się zapełnić kolejne dwanaście.

Problem imion rozwiązano w najprostszy sposób. Samce oznaczano numerami parzystymi, samice nieparzystymi.

- Słuchajcie - rzekł Król. - Nie ma rady, trzeba przygotować więcej klatek.

W baraku odbywało się właśnie zebranie. Noc była chłodna i przyjemna, a cienki sierp księżyca spowijała mgiełka.

- Gonimy resztkami materiału - poskarżył się Tex. - Po prostu nie ma skąd wziąć dodatkowej siatki. Jedyne wyjście, to poprosić Australijczyków.

- Pewnie - powiedział wolno Max. - Równie dobrze możemy oddać patafianom cały ten interes.

Wszelkie wysiłki Amerykanów skupiły się wokół żywego złota, które gwałtownie rozrastało się pod ich stopami. Czteroosobowa brygada zdążyła już przemienić wąskie rowy w sieć podziemnych przejść. Mieli więc mnóstwo miejsca na klatki, tyle że nie było ich z czego zrobić. Na gwałt potrzebowali siatki. Znów szykował się dzień "U", a wkrótce potem następny i znów następny.

- Gdyby znaleźć z tuzin gości, którym można zaufać, to dalibyśmy im po parze,

żeby założyli własne hodowle -powiedział w zamyśleniu Marlowe. - Moglibyśmy wtedy uzupełniać stan hodowli.

- To na nic, Peter. Za nic w świecie nie udałoby się tego utrzymać w tajemnicy.

Król skręcał papierosa, myśląc o tym, że ostatnio interesy idą marnie i od tygodnia nie palił nic porządnego.

- Jedyne wyjście, to dopuścić do spółki Timsena - rzekł po chwili zastanowienia.

- I bez tego ten australijski parch dość nam szkodzi - sprzeciwił się Max.

- Nie ma wyjścia - powiedział Król stanowczo. - Musimy mieć klatki, a tylko on jeden będzie wiedział, jak je zdobyć, i tylko jemu możemy zaufać, że będzie trzymał gębę na kłódkę. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, forsę starczy dla wszystkich.- Spojrzał na Texa. - Sprowadź Timsena.

Tex wzruszył ramionami i wyszedł.

- Chodź, Peter, zobaczymy, co słychać na dole - rzekł Król i pierwszy spuścił się przez otwór w podłodze. - Ja cię kręcę - wyrwało mu się, gdy zobaczył, jak daleko posunęły się podziemne prace. - Pokopimy jeszcze trochę i cały barak nam się zapadnie, a my razem z nim!

- Spokojna główka, szefie - powiedział z dumą Miller, który dowodził brygadą kopaczy. - Wszystko jest zaplanowane tak, żeby ominąć betonowe słupy. Mamy już dość miejsca na tysiąc pięćset klatek, byleby tylko była siatka. Aha, jeszcze jedno. Miejsca może być dwa razy więcej, jeśli tylko dostaniemy drewno na stemple.

Król ruszył środkowym rowem, żeby obejrzeć szczury. Na jego widok Adam rzucił się wściekle na siatkę, jakby gotów był rozszarpać go na kawałki.

- Sympatyczny, nie?

Miller uśmiechnął się szeroko.

- Tak jakby ciebie skądś znał, sukinsyn.

- Może przerwiemy na jakiś czas rozmnażanie - zaproponował Marlowe. - Do czasu, aż będą gotowe klatki.

- Jedyne rozwiązanie to Timsen - odparł Król. - Tylko jego złodziejska banda może nam dostarczyć, czego trzeba.

Wdrapali się z powrotem do baraku i otrzepali z ziemi. Poczuli się lepiej, kiedy wzięli prysznic.

- Cześć, kolego - rozległ się głos Timsena. Australijczyk przemierzył barak i usiadł przy Królu. - Co to, strach was obleciał, boicie się, że wam jaja poodstrzelają?

Był wysoki i silny, miał głęboko osadzone oczy.

- O czym ty mówisz?

- Tak kopiecie te rowy i kopiecie, myślałby kto, że tylko patrzeć, jak zleci się nad Changi całe lotnictwo.

- Nigdy nie za dużo ostrożności - odparł Król. Znowu ogarnęły go wątpliwości, czy dobrze robią przyjmując Timsena do spółki. - Niezadługo dobiorą się do Singapuru. Ale wtedy my będziemy pod ziemią.

- Nigdy w życiu nie uderzą w Changi. Przecież wiedzą, że tu jesteśmy. Przynajmniej Anglicy, bo jak wy, Amerykance, jesteście w powietrzu, nigdy nie wiadomo, gdzie wam spadną bomby.

Zaprowadzono Timsena pod barak i pokazano mu hodowlę. Zorientował się od razu, ile wymagała pracy i na jaką ogromną skalę jest obliczona.

- Daj żyć, bracie - powiedział Timsen z podziwem, kiedy znaleźli się znowu w baraku. - Zaskoczyłeś mnie, muszę ci to przyznać. A myśmy myśleli, że się spietrałeś. Daj żyć, tam się chyba zmieści z pięćset albo sześćset.

- Tysiąc pięćset - przerwał mu niedbałym tonem Król. - A w najbliższym dniu "U" będzie...

- Dniu "U"?

- W dniu urodzin.

Timsen roześmiał się.

- A więc to znaczy ten dzień "U" - powiedział. - A myśmy tak nad tym główkowali. Słowo daję! - Wybuchnął gromkim śmiechem. - Cholera, jesteście genialni.

- Przyznaję, pomysł był mój - powiedział Król, bezskutecznie starając się ukryć dumę. Przecież sam na to wpadł. - Najbliższy dzień "U" przyniesie nam co najmniej dziewięćdziesiąt młodych. A następny około trzystu.

Timsen uniósł brwi w najwyższym zdumieniu.

- Gotowi jesteście pójść na następujące warunki - rzekł Król i zamilkł na chwilę, wprowadzając w myśli poprawki do oferty. - Dostarczycie nam materiału na tysiąc klatek. Utrzymamy hodowlę na poziomie tysiąca sztuk, samych najlepszych. Wy zajmiecie się sprzedażą, a zyskami podzielimy się pół na pół. Przy takiej ilości towaru każdy zarobi swoje.

- Kiedy zaczynamy? - spytał Timsen bez chwili wahania, czując niesmak na przekór otwierającej się przed nim perspektywie olbrzymich zysków.

- Damy wam za tydzień dziesięć udek. Wykorzystamy najpierw samce, a zachowamy samice. Postanowiliśmy sprzedawać tylko udka. Stopniowo będziemy dostarczać ich coraz więcej.

- Dlaczego tylko dziesięć?

- Jeżeli od razu rzucimy na rynek więcej, klientela zacznie coś podejrzewać. Musimy robić to ostrożnie.

Timsen zamyślił się.

- Jesteś pewien, że... że mięso będzie... dobre?

Teraz, kiedy Król zobowiązał się już do dostaw towaru, ogarnęły go wątpliwości. Ale co tam. Mięso to mięso, a interes to interes.

- Oferujemy mięso *rusa ticsusa*, i tyle - odparł.

Timsen potrząsnął głową z powątpiewaniem.

- Nie mógłbym tego sprzedawać Australijczykom - powiedział z uczuciem mdłości. - Słowo daję, to chyba nie byłoby w porządku. Na pewno nie. Nie to, żebym... No, w każdym razie to na pewno nie byłoby w porządku. Swojakom nie będę sprzedawał.

Marlowe skinął głową. Jemu też zrobiło się niedobrze.

- Ani ja swoim - powiedział.

Wszyscy trzej wymienili spojrzenia. Tak, pomyślał Król. To z pewnością nie byłoby w porządku. Ale przecież musimy jakoś przetrwać. I nagle olśniła go pewna myśl. Pobladł.

- Zwołajcie resztę. Mam pomysł - wykrztusił.

Amerykanie zbiegli się szybko i patrzyli na niego w napięciu. Ochłonął już, choć dalej milczał, paląc papierosa, tylko pozornie nieświadom ich obecności. Marlowe i Timsen wymienili zaniepokojone spojrzenia.

Król wstał i napięcie wzrosło jeszcze bardziej. Zgasił papierosa.

- Koledzy - zwrócił się do nich cichym, dziwnie zmęczonym głosem. - Za cztery dni kolejne urodziny. Spodziewamy się - spojrzał na zawieszoną na ścianie kartkę ze stanem hodowli. - No właśnie, spodziewamy się zwiększyć nasz stan posiadania do ponad stu sztuk. Zawarłem umowę z naszym przyjacielem i wspólnikiem Timsenem. Ma nam dostarczyć materiału na tysiąc klatek, tak więc do czasu oddzielenia młodych od samic nie będzie problemu, gdzie je trzymać. Timsen i jego grupa zajmą się rozprowadzeniem towaru. My skoncentrujemy się na hodowli i krzyżowaniu najlepszych okazów. - Urwał i pewnym siebie wzrokiem powiódł po otaczających go

twarzach. - Koledzy. Od dziś za tydzień wychodzimy z towarem na rynek.

Teraz, gdy wiadomo już było, kiedy nastąpi ów przerażający dzień, wszystkim zrzędy miny.

- Naprawdę uważasz, że powinniśmy to zrobić? - spytał lękliwie Max.

- Daj mi skończyć, Max, dobrze?

- Ja tam się nie znam na handlu - odezwał się Byron Jones Trzeci, dotykając palcami opaski na oku. - Ale jak sobie pomyślę, że...

- Dajcie mi skończyć, do cholery - zniecierpliwiał się Król. - Koledzy. - Wszyscy pochylili się, kiedy z trudem opanowując podniecenie kończył ledwie dosłyszalnym szeptem: - Będziemy sprzedawać tylko wyższym oficerom! Od majorów w górę!

- Daj ty żyć! - wyszeptał Timsen.

- Jak Boga Kocham! - powiedział Max w natchnieniu.

- Co takiego!?! - zawołał oszołomiony Marlowe.

Król czuł się jak bóg.

- Pewnie, że oficerom. Tylko ich na to stać. Zamiast towaru dla mas, luksus dla wybranych.

- Przy tym dranie, których na to stać, są tymi, których chciałoby się tym mięsem nakarmić! - powiedział Marlowe.

- Główkę to ty masz, niech cię cholera - rzekł z podziwem Timsen. - To genialne. Ja sam znam trzech takich sukinsynów, że dałbym sobie rękę uciąć, żeby widzieć, jak wpięprzają szczurze mięso, a potem im o tym powiedzieć...

- Ja znam dwóch, którym dałbym to mięso nawet za darmo - przerwał mu Marlowe. - Ale jeśli ci dranie dostaną za darmo, to zaraz wywąchają szczura nosem!

Max wstał, starając się przekrzyczeć ogólny śmiech i wrzawę.

- Posłuchajcie, chłopcy. Posłuchajcie. Wiesz - zwrócił się do Króla - czasami, no, czasami... - Był tak przejęty, że mówienie przychodziło mu z trudnością. - Czasami... nie zawsze byłem po twojej stronie. W końcu każdemu wolno myśleć swoje, nic w tym złego. Ale to... to jest coś tak wielkiego... coś tak... że, no... - Uroczyście podał Królowi rękę. - Chciałbym uścisnąć rękę człowieka, który na coś takiego wpadł! Wszyscy powinniśmy uścisnąć dłoń prawdziwego geniusza. W imieniu wszystkich żołnierzy świata... jestem z ciebie dumny, Królu!

Max i Król uścisnęli sobie ręce.

- Sellars, Prouty, Grey... - wyliczał Tex, kołysząc się zamasyście z boku na bok.

- Grey nie ma pieniędzy - przerwał mu Król.

- Co tam, damy mu trochę - powiedział Max.

- Tego zrobić nie możemy. On nie jest głupi. Zaraz zacznie coś podejrzewać - sprzeciwił się Marlowe.

- No, a ten drań Thorsen...

- Tylko nie Amerykanom - zaprotestował Król. - No, najwyżej paru - dodał ostrożnie. Wiwaty urwały się nagle.

- A co z Australijczykami?

- Zostaw to mnie, przyjacielu - odparł Timsen. - Mam już na oku kilkudziesięciu klientów.

- No, a Anglicy?

- Każdy z nas paru znajdzie - rzekł Król. Ogarnęło go uczucie potęgi, ekstaza. - Jak to dobrze, że to właśnie sukinsyny, co mają forszę albo wiedzą, jak ją zdobyć, są tymi, których chcemy nakarmić i powiedzieć im po wszystkim, co zjedli.

Tuż przed porą gaszenia świateł do baraku wpadł Max.

- Idzie tu strażnik - szepnął do Króla.

- Który?

- Shagata.

- W porządku - powiedział Król, starając się zachować obojętny ton. - Sprawdź, czy wszystkie czujki są na miejscu.

- Dobra - odparł Max i wybiegł na dwór.

Król nachylił się do Marlowe'a.

- Może to jakaś wpadka - powiedział nerwowo. - Chodź, trzeba się przygotować.

Wysunął się przez okno i sprawdził, czy brezentowy daszek wisi na swoim miejscu. Potem on i Marlowe usiedli i czekali.

Shagata wetknął głowę pod daszek, a poznawszy Króla, wsunął się cicho pod płótno i usiadł. Oparł karabin o ścianę i wyciągnął paczkę kooa.

- *Tabe* - powiedział.

- *Tabe* - odparł Marlowe.

- Cześć - rzekł Król. Kiedy brał papierosa, ręka mu drżała.

- Czy dziś masz coś dla mnie do sprzedania? - spytał Shagata ze świstem.

- Pyta, czy masz dziś coś dla niego?

- Powiedz mu, że nie!

- Mój przyjaciel sam się sobie dziwi, że nie ma dzisiaj nic, czym mógłby skusić

konesera.

- Czy pański przyjaciel będzie miał taki przedmiot, powiedzmy, za trzy dni?

Kiedy Marlowe przetłumaczył Królowi pytanie, ten odetchnął z ulgą.

- Powiedz mu, że tak. A poza tym, że mądrze zrobił, chcąc się upewnić.

- Mój przyjaciel mówi, że najprawdopodobniej tego właśnie dnia będzie miał coś, co być może skusi człowieka o wybrednym smaku. Stwierdza też, że układy z tak poważnym kupcem dobrze wróżą rzeczonyj transakcji.

- Tak właśnie nakazuje rozsądek, kiedy trzeba załatwiać sprawy pod osłoną nocy - rzekł Shagata, znów wciągając ze świstem powietrze. - Jeżeli nie zjawię się za trzy dni, czekajcie na mnie każdej następnej nocy. Nasz wspólny przyjaciel zaznaczył, że być może nie uda mu się dotrzymać swojej obietnicy na czas. Zapewniono mnie jednak, że będzie to za trzy dni, licząc od dzisiejszego wieczoru.

Strażnik wstał i ofiarował Królowi resztę papierosów. Lekki ukłon, i znowu pochłonęły go ciemności.

Kiedy Marlowe przetłumaczył słowa Shagaty, Król uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Świetnie. Znakomicie - rzekł. - Może wpadłbyś jutro rano? Omówilibyśmy plany.

- Jutro pracuję na lotnisku.

- Chcesz, żebym ci załatwił zastępstwo?

Marlowe roześmiał się i zaprzeczył ruchem głowy.

- Zresztą lepiej będzie, jeśli pójdziesz. A nuż Czeng San zechce się skontaktować.

- Myślisz, że coś jest nie tak?

- Nie. Shagata mądrze zrobił, że chciał się upewnić. Na jego miejscu zrobiłbym to samo. Wszystko leci zgodnie z planem. Jeszcze tydzień i ubijemy interes.

- Mam nadzieję - powiedział Marlowe i pomyślał o wiosce. Modlił się w duchu, żeby transakcja doszła do skutku. Przemożnie pragnął znów się tam znaleźć, czując, że jeśli do tego dojdzie, musi osiąść Sulinę, bo inaczej zwariuje.

- Co z tobą? - spytał Król, spostrzegając, że Marlowe'em wstrząsnął ledwie zauważalny dreszcz.

- Pomyślałem właśnie, że chciałbym teraz mieć w ramionach Sulinę - odparł z zakłopotaniem Marlowe.

- Rozumiem.

Król zastanawiał się, czy z powodu tej dziewczyny Peter nie pokrzyżuje mu planów. Marlowe przechwycił jego spojrzenie i uśmiechnął się słabo.

- Nie masz się co martwić, stary - zapewnił. - Nie zrobię żadnego głupstwa, jeśli o tym myślisz.

- Jasne - powiedział z uśmiechem Król. - Jest na co czekać... a jutro mamy jeszcze przedstawienie. Wiesz, o czym to jest?

- Wiem tylko, że ma tytuł *Trójkąt* - odparł Marlowe. - No i że gra w nim Sean - dokończył zgaszonym tonem.

- Jak do tego doszło, że o mało go nie zabiłeś? – spytał Król. Nigdy dotąd o nic nie pytał Marlowe'a tak prosto z mostu, wiedząc, że człowiekowi takiemu jak on niebezpiecznie jest zadawać wprost pytania natury osobistej. Ale teraz wyczuł instynktownie, że nadeszła odpowiednia pora, żeby to zrobić.

- Niewiele tu do opowiadania - odparł natychmiast Marlowe, zadowolony, że Król zadał to pytanie. - Sean i ja byliśmy na Jawie w jednej eskadrze. W przeddzień kapitulacji Sean nie wrócił z akcji bojowej. Myślałem, że już po nim. Mniej więcej rok temu, następnego dnia po przybyciu z Jawy tu, do Changi, wybrałem się na jedno z przedstawień. Możesz sobie wyobrazić, jaki to był dla mnie szok, kiedy rozpoznałem Seana na scenie. Grał rolę kobiecą, aleja niczego się nie domyślałem - w końcu ktoś musi grać te role - po prostu siedziałem sobie i z przyjemnością oglądałem przedstawienie. Trudno mi było dojść do siebie po tym, jak zobaczyłem go żywego i całego, tak samo jak nie mogłem oswoić się z tym, że tak fantastycznie gra tę dziewczynę, oswoić się ze sposobem, w jaki chodzi, mówi, siedzi. Ubranie i peruka przemieniały go w kobietę. Jego gra zrobiła na mnie olbrzymie wrażenie, a przecież wiedziałem, że nigdy nie miał nic wspólnego ze sceną.

Po przedstawieniu poszedłem za kulisy, żeby się z nim zobaczyć. Zostałem tam jeszcze paru czekających i po chwili odniosłem przedziwne wrażenie, że ci faceci przypominają typów, jakich można spotkać wszędzie, za kulisami każdego teatru, rozumiesz, takich, którzy z wywieszonymi ozorami czekają na swoje wybranki.

Wreszcie drzwi garderoby otworzyły się i wszyscy wcisnęli się do środka. Ja byłem ostatni i zatrzymałem się w drzwiach. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie nagle, że wszyscy ci faceci to pedały! Sean siedział na krześle, a oni stłoczeni wokół przymilali się, tulili, mówili mu "kochanie", opowiadali, jaki był "cudowny", i traktowali go jak piękną bohaterkę z przedstawienia. A jemu... jemu to sprawiało przyjemność! Chryste, naprawdę sprawiały mu przyjemność ich obmacywanki, jak

podnieczonej dziwce.

Wtedy nagle spostrzegł mnie i oczywiście też był kompletnie zaskoczony. Powiedział: "Cześć, Peter", ale ja nie mogłem wydusić z siebie ani słowa. Wpatrywałem się jak urzeczony w jednego z tych przeklętych pedziów, który trzymał rękę na kolanie Seana. Sean miał na sobie jakiś zwiewny szlafroczek, jedwabne pończochy i majtki. Wydawało mi się, że nawet fałdy szlafroka ułożył w ten sposób, żeby odsłonić kawałek nogi tam, gdzie kończy się pończocha... I to wrażenie, że pod szlafrokiem kryją się kobiece piersi. Zorientowałem się nagle, że Sean wcale nie nosi peruki, że te włosy, długie i falujące jak u dziewczyny, są jego własne.

Poprosił wszystkich, żeby wyszli. Powiedział im:

- Peter to mój stary przyjaciel. Myślałem, że nie żyje. Muszę z nim porozmawiać. Proszę, zostawcie nas samych.

Kiedy wyszli, spytałem go:

- Co się z tobą stało, Sean? Najwyraźniej sprawia ci przyjemność, kiedy cię obmacują te zakazane typy.

- A co się stało z nami wszystkimi? - odparł na to, a potem uśmiechając się, jak tylko on to potrafi, powiedział: - Tak się cieszę z naszego spotkania, Peter. Myślałem, że zginąłeś. Usiądź na chwilę, a ja tymczasem zmyję twarz. Tyle mamy sobie do opowiedzenia. Przyjechałeś z tą grupą z Jawy?

Skinąłem głową, nadal nie mogąc przyjść do siebie, a Sean odwrócił się do lustra i zaczął zmywać makijaż mleczkiem kosmetycznym.

- Co się z tobą działo, Peter? - spytał. - Zostałeś zestrzelony?

Kiedy zaczął ścierać szminki, stopniowo uspokajałem się. Wszystko wyglądało jakby normalniej. Powiedziałem sobie w duchu, że zachowałem się idiotycznie, że wszystko to jest dalszym ciągiem przedstawienia - rozumiesz, podtrzymywaniem mitu. Byłem pewien, że Sean tylko udaje, że sprawia mu to przyjemność. Przeprosiłem go więc i powiedziałem:

- Nie gniewaj się, Sean, pomyślałeś pewnie, że na głowę upadłem. Nie masz pojęcia, jaka to radość dowiedzieć się, że jesteś cały i zdrowy. Myślałem, że już po tobie.

Opowiedziałem mu, co się ze mną działo, i poprosiłem, żeby opowiedział o sobie.

Skosiły go cztery Japonce i musiał skakać ze spadochronem. Kiedy wreszcie dotarł na lotnisko, z mojego myśliwca pozostała kupa złomu. Opowiedziałem mu, jak

przed odejściem sam go podpałiłem, bo nie chciałem dopuścić, żeby te japońskie dranie zreperowały skrzydło.

- A, więc to tak - powiedział. - A ja myślałem, że po prostu roztrzaskałeś się przy lądowaniu, że już po tobie. Zostałem z resztą naszych w bazie w Bandungu, a potem wsadzono nas wszystkich do obozu. Wkrótce odesłano nas do Batawii, a stamtąd tutaj.

Kiedy tak rozmawialiśmy, Sean przeglądał się w lustrze, a cerę miał gładką i delikatną jak u dziewczyny. Nagle wydało mi się, że całkiem o mnie zapomniał. Nie wiedziałem, co robić. Wtedy odwrócił się od lustra i spojrzał mi prosto w oczy, w dziwny sposób marszcząc przy tym brwi. Od razu wyczułem, że jest bardzo nieszczęśliwy, więc spytałem go, czy chce, żebym sobie poszedł.

- Nie - powiedział. - Nie, Peter, chcę żebyś został.

A potem wziął z toaletki kosmetyczkę, wyjął z niej pomadkę do ust i zaczął się malować.

Zamurowało mnie.

- Co ty robisz? - spytałem.

- Maluję usta, Peter.

- Skończ z tym, Sean - powiedziałem. - Każdy żart ma swoje granice. Przedstawienie skończyło się pół godziny temu.

Ale on dalej malował sobie usta, a kiedy skończył, przypudrował nos, uczesał się i - słowo daję - znów zamienił się w piękną dziewczynę z przedstawienia. Wprost nie mogłem w to uwierzyć. Dziwne, ale nadal myślałem, że się ze mnie zgrywa.

Tu i ówdzie poprawił fryzurę, a potem usiadł wyprostowany i przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze; był najwyraźniej zadowolony z tego, co widzi. Nagle dostrzegł w lustrze, że wpatruję się w niego, i roześmiał się.

- Co ci jest, Peter? - spytał. - Nigdy nie byłeś w garderobie?

Odparłem mu na to:

- Owszem, byłem. W damskiej garderobie.

Przez dłuższy czas wpatrywał się we mnie, a potem poprawił szlafroczek i założył nogę na nogę.

- To jest właśnie damska garderoba - powiedział.

Zdenerwowałem się.

- Przestań, Sean - powiedziałem. - To ja, Peter Marlowe. Jesteśmy w Changi, pamiętasz o tym? Przedstawienie skończone i znów wszystko jest, jak było.

- Tak - odparł z niewzruszonym spokojem. - Wszystko jest, jak było.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim odzyskałem mowę.

- No więc - wydusiłem z siebie wreszcie - nie masz zamiaru się przebrać i zmyć z twarzy tego paskudztwa?

- Lubię się tak ubierać, Peter, i zawsze się teraz maluję - powiedział. Wstał i otworzył szafkę. Własnym oczom nie wierzyłem, ale była wypełniona sarongami, sukniami, majtkami, stanikami i tak dalej. Sean obrócił się do mnie i z całym spokojem oświadczył: - Teraz ubieram się tylko w to. Jestem kobietą.

- Oszalałeś - powiedziałem.

Sean podszedł do mnie i spojrzał mi w oczy, a ja nie mogłem się pozbyć wrażenia, że mam przed sobą dziewczynę. Brało się to nie tylko z tego, jak wyglądał, ale także ze sposobu, w jaki się poruszał, mówił, a nawet pachniał.

- Posłuchaj, Peter - powiedział - wiem, że trudno ci to zrozumieć, aleja się zmieniłem. Nie jestem już mężczyzną, jestem kobietą.

- Do jasnej cholery, taka z ciebie kobieta, jak i ze mnie! - wrzasnąłem, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Stał i łagodnie się uśmiechał.

- Jestem kobietą, Peter - powiedział. Dotknął ręką mojego ramienia tak, jak to robi dziewczyna. - Proszę cię, traktuj mnie jak kobietę.

Coś mnie napadło. Schwyciłem go za rękę, ściągnąłem mu z ramion szlafrok, zerwałem wypchany biustonosz i zaciągnąłem przed lustro.

- Mówisz, że jesteś kobietą? - krzychałem na niego. - Spójrz tylko na siebie! Gdzie masz piersi, no, pokaż, gdzie?!

Ale on nie spojrzał. Stał przed lustrem z opuszczoną głową, z włosami opadającymi na twarz. Szlafrok zsunął mu się z pleców, obnażając go do pasa. Chwyciłem go za włosy i podciągnąłem do góry głowę.

- Spójrz na siebie, zboczeńcu! - wrzeszczałem. - Jesteś mężczyzną i nigdy tego nie zmienisz!

A on stał bez słowa. Wreszcie spostrzegłem, że płacze. Wtedy właśnie wpadli do środka Rodrick i Frank Parrish i odepchnęli mnie na bok. Parrish owinął Seana szlafrokiem i objął go. A przez cały ten czas Sean wciąż płakał.

Frank tulił go i powtarzał:

- No, już dobrze, Sean, już dobrze! - Potem spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby chciał mnie zabić. - Wynoś się stąd, do cholery - powiedział.

Nie pamiętam nawet, jak stamtąd wyszedłem. Kiedy wreszcie oprzytomniałem,

stwierdziłem, że błąkam się bez celu po obozie. Uświadamiałem sobie stopniowo, że nie miałem najmniejszego, ale to najmniejszego prawa tak postąpić. Zachowałem się jak wariat.

Twarz Marlowe'a nie tała udreki.

- Wróciłem do teatru - ciągnął. - Chciałem spróbować jakoś pogodzić się z Seanem. Drzwi jego garderoby były zamknięte na klucz, ale wydawało mi się, że Sean jest w środku. Pukałem i pukałem, ale on ani się nie odzywał, ani nie otwierał drzwi, więc rozzłościłem się i pchnąłem drzwi tak mocno, że się otworzyły. Chciałem go przeprosić osobiście, a nie przez drzwi.

Leżał na łóżku. Przegub lewej ręki miał szeroko przecięty i wszystko dookoła było zakrwawione. Założyłem mu opaskę uciskową i odszukałem doktora Kennedy'ego, Rodricka i Franka. Sean wyglądał jak trup. Przez cały czas, kiedy Kennedy zszywał mu ranę, nawet nie pisnął. Gdy już było po wszystkim, Frank spytał mnie:

- No i co, draniu, jesteś zadowolony?

Nie byłem w stanie nic odpowiedzieć. Po prostu stałem, sam siebie nienawidząc.

- Idź stąd i nie wracaj - powiedział mi Rodrick.

Ruszyłem do drzwi i wtedy nagle usłyszałem głos Seana. Przywoływał mnie cichym szeptem. Obróciłem się i zobaczyłem, że patrzy na mnie bez złości, tak, jakby mi współczuł.

- Przepraszam, Peter - powiedział. - To nie była twoja wina.

- Boże święty, Sean - wydusiłem z siebie. - Nie chciałem ci zrobić nic złego.

- Wiem. Proszę cię, bądź moim przyjacielem - powiedział i spojrzał na Parrisha i Rodricka. - Chciałem odejść, ale teraz - uśmiechnął się tym swoim cudownym uśmiechem - tak się cieszę, że znów jestem w domu.

Twarz Marlowe'a zdradzała wyczerpanie. Po szyi i klatce piersiowej spływał mu strugami pot. Król zapalił papierosa.

Marlowe bezradnie wzruszył ramionami, a potem wstał i odszedł, przytłoczony wyrzutami sumienia.

ROZDZIAŁ XVII

- No, prędeż, prędeż, ruszać się - poganiał Marlowe ziewających mężczyzn, którzy ustawili się w posepnym szeregu przed barakiem. Słońce dopiero co wzeszło, śniadanie było już tylko wspomnieniem, a jego skąpość wzmagiała jedynie powszechne rozdrażnienie. Tak samo zresztą jak perspektywa długiego, upalnego dnia na lotnisku. Chyba że mieliby szczęście.

Z ust do ust podawano sobie wiadomość, że jedna z brygad ma dziś pójść na zachodni skraj lotniska, gdzie rosły palmy kokosowe. Plotka głosiła również, że mają zostać ścięte trzy palmy. Rdzeń palmy kokosowej był nie tylko jadalny, ale także bardzo pożywny i stanowił wielki rarytas, zwany kapustą milionerów, ponieważ aby go zdobyć, trzeba było ściąć całe drzewo. Oprócz kapusty milionerów należało oczekiwać także orzechów kokosowych. Wystarczająco dużo, żeby obdzielić trzydziestoosobowy oddział. Dlatego właśnie tak wśród oficerów, jak i żołnierzy panowało napięcie.

Podoficer służbowy baraku podszedł do Marlowe'a i zasalutował.

- To już wszyscy, panie kapitanie. Dwudziestu ludzi łącznie ze mną - zameldował.

- Powinno być trzydziestu.

- Tak, ale jest tylko dwudziestu. Reszta chora albo ściąga drewno na opał. Nic nie poradzę.

- Dobrze. W takim razie idziemy do bramy.

Sierżant dał znak i żołnierze ruszyli w rozsypce wzdłuż muru więzienia w stronę barykady służącej od zachodu za bramę, gdzie mieli połączyć się z resztą brygady wyruszającej na roboty na lotnisku. Marlowe skinął na sierżanta i zebrał swoich ludzi w najlepszym miejscu, to znaczy bliżej końca kolumny, gdzie istniało większe prawdopodobieństwo, że zostaną skierowani do ścinania palm. Kiedy spostrzegli jego manewr, ożywili się i szybko ustawili w szyku.

Wszyscy zaopatrzeni byli w stare, podarte koszule wsadzone do worków na łupy. Nikt nie wyruszał poza obóz bez tych worków, a wyglądały one rozmaicie. Czasami był to zwykły żołnierski chlebak, czasem walizka, innym razem pleciony koszyk, a kiedy indziej jakaś torba albo szmata, zawiązana na kij, lub po prostu kawałek materiału. Tak więc wszyscy mieli do czego włożyć to, co uda im się zdobyć

podczas robót. Bo praca poza obozem przynosiła zawsze okazję do zdobycia łupu, jeśli już nie kapusty milionerów albo orzechów kokosowych, to przynajmniej chrustu, łupin po orzechach, bananów, orzechów palmy olejowej, jadalnych korzeni, najprzeróżniejszych liści, a czasem nawet melonowca.

Większość jeńców miała na nogach chodaki, drewniane albo z gumy. Niektórzy nosili półbuty z dziurą wyciętą na palce, a jeszcze inni wysokie buty. Do tych należał Marlowe, który pożyczył takie buty od Maca. Były ciasne, ale bardziej od chodaków nadawały się do pięciokilometrowego marszu i do pracy.

Wąż ludzi zaczął wpełzać przez zachodnią bramę, każda kompania pod wodzą oficera. Na przodzie szła grupka Koreańczyków, a pochód zamykał jeden koreański strażnik.

Grupa Marlowe'a czekała z tyłu, aż uda jej się dołączyć do maszerującej kolumny. Marlowe cieszył się na myśl o marszu i palmach, które być może im przypadną. Przesunął na plecy koszulę przewiazaną rzemykiem od plecaka i poprawił manierkę, oczywiście nie tę z częścią radia, gdyż zabranie jej ze sobą na roboty byłoby zbyt ryzykowne. Nigdy nie wiadomo, kiedy jakiś strażnik lub ktoś inny poprosi, żeby dać mu się napić.

Nadeszła wreszcie pora, żeby ruszyć, podszedł więc ze swoimi ludźmi do bramy. Mijając wartownię zasalutowali, a stojący na tarasie przysadzisty japoński sierżant sztywno im odsalutował. Marlowe podał innemu strażnikowi stan swojego oddziału, a tamten porównał go z wcześniej podaną liczbą.

Wreszcie znaleźli się poza obozem. Szli żwirowaną drogą, która początkowo wiała się łagodnie pośród pagórków i kotlin, aby potem przeciąć plantację kauczuku. Kauczukowe drzewa były zaniedbane, nikt nie ściągał z nich soku. Marlowe pomyślał, że to dziwne, bo kauczuk to przecież towar poszukiwany i niezmiernie ważny dla wojska.

- Cześć, Duncan - przywitał kapitana Duncana, który mijal go właśnie z grupą swoich ludzi. Zrównał z nim krok, nie spuszczał jednak oka ze swojej, idącej nieco w przodzie, grupy.

- Czy to nie wspaniale, że znów wiemy, co słyhać na świecie? - rzekł Duncan.

- Tak - odparł machinalnie Marlowe. - O ile to wszystko prawda.

- Rzeczywiście, aż trudno w to uwierzyć.

Marlowe lubił tego drobnego, rudowłosego i niemłodego Szkota. Duncan był zawsze spokojny i dla każdego miał w zanadrzu uśmiech i dobre słowo. Wydało mu

się, że Duncan jest dziś jakiś inny. Zaraz, co się w nim zmieniło?

Szkot zauważył jego zaciekawienie i wykrzywił usta, odsłaniając nowy garnitur sztucznych zębów.

- Aha, teraz rozumiem - powiedział Marlowe. - Zastanawiałem się właśnie, co się w tobie zmieniło.

- No i jak?

- Och, lepiej takie niż żadne.

- Też mi komplement. Myślałem, że wyglądają nie najgorzej.

- Nie mogę się przyzwyczaić do widoku zębów z aluminium. Zupełnie mi nie pasują do twarzy.

- Przeszedłem prawdziwe piekło, kiedy wyrywano mi moje. Prawdziwe piekło!

- Całe szczęście, że mam zdrowe zęby. Musiałem je rok temu plombować. To było straszne. Chyba miałeś rację, że kazałeś sobie wszystkie wyrwać. Ile ci...?

- Osiemnaście - odparł Duncan ze złością. - Rzygać się chce. Ale były kompletnie zepsute. Lekarz mówił coś o wodzie, braku wapna, o tym, że jemy tylko ryż i zęby nie mają co żuć. Zresztą z tymi sztucznymi, słowo daję, czuję się świetnie. - Klepnął się w zamyśleniu po szczęce i mówił dalej: - Ci technicy od zębów robią to bardzo sprytnie. Szalenie pomysłowo. Pewnie, że to spore przeżycie nie mieć nagle białych zębów. No, ale na pocieszenie, mój chłopcze, mam to, że dawno się tak dobrze nie czułem. Białe czy aluminiowe, co za różnica. Zawsze miałem słabe zęby. A zresztą, bierz je lichy.

Przód kolumny maszerujących zszedł na pobocze drogi, ustępując miejsca jadącemu z naprzeciwka autobusowi. Był to wiekowy, zasapany, dymiący pojazd z miejscami siedzącymi dla dwudziestu pięciu pasażerów. Jechało nim jednak ponad dwa razy tyle mężczyzn, kobiet i dzieci, a ponadto z tuzin ludzi uczepionych rękami i nogami na zewnątrz. Na dachu autobusu piętrzyły się klatki z kurami, bagaże i maty. Jadący astmatycznym pojazdem tubylcy spoglądali z zaciekawieniem na jeńców, ci zaś wpatrywali się w klatki z na wpół żywymi kurami, licząc w duchu na to, że ten sakramencki grat zepsuje się albo stoczy do rowu, a wtedy pomagając go wepchnąć z powrotem na drogę uda im się przy okazji uwolnić kilkanaście kur. Dziś jednak przejechał bez wypadku, ściągając na siebie potok przekleństw.

Marlowe szedł obok Duncana, który nadal opowiadał o swoich nowych zębach i odsłaniał je, uśmiechając się szeroko. Ale nie był to naturalny uśmiech. Wyglądał groteskowo.

Posuwający się za nimi jak w letargu koreański strażnik krzyknął na jeńca, który odłączył się od szeregu i zszedł na pobocze, ale ten zsunął spodnie i szybko się załatwił, wołając *“sakit marah”* - czerwotka - na co strażnik wzruszył ramionami, zapalił papierosa i zaczął czekać na jeńca, który po chwili dołączył do maszerujących.

- Oślaniaj mnie, Peter - prosił Duncan.

Marlowe spojrzął przed siebie. O jakieś dwadzieścia metrów od drogi wąską ścieżką, biegnącą brzegiem rowu, nadchodziła żona Duncana z córeczką. Ming Duncan była Chinką z Singapuru. Ze względu na kolor skóry nie wtrącono jej do obozu razem z żonami i dziećmi innych jeńców i żyła na wolności na przedmieściu Singapuru. Dziewczynka była równie piękna jak jej matka i wysoka na swój wiek, a jej twarz wskazywała, że nigdy nie płacze. Raz na tydzień *“przypadkiem”* przechodziły koło drogi, tak żeby Duncan je zobaczył. On zaś stale powtarzał, że dopóki może je widzieć, Changi nie jest takie straszne.

Gdy przechodził na bok swojego oddziału, Marlowe wysunął się przed niego, osłaniając go przed wzrokiem strażnika.

Matka i córka nie dały żadnego znaku mijającej je kolumnie. Kiedy przechodził Duncan, jego oczy spotkały się z ich oczami na ułamek sekundy i obie spostrzegły, że upuścił na skraj drogi skrawek papieru, ale nie zatrzymały się i wkrótce potem Duncan znalazł się za nimi, wtopiony w masę jeńców. Wiedział jednak, że zauważyły upuszczoną kartkę, jak również to, że będą szły dalej, aż jeńcy i strażnicy znikną im z oczu, a wtedy wrócą, odszukają kartkę i przeczytają ją. Ta myśl napępiała go szczęściem. *“Kocham was, tęsknię za wami, jesteście obie moim życiem”*, napisał. Pisał zawsze to samo, ale i dla niego, i dla nich słowa te były za każdym razem nowe, bo pisane od nowa, były słowami, które warto powtarzać, powtarzać ciągle i niezmiennie. W nieskończoność.

- Jak myślisz, dobrze wygląda, co? - spytał Duncan, kiedy znalazł się znów przy Marlowie.

- Cudownie, szczęściarz z ciebie. A z Mordeen wyrośnie kiedyś piękna dziewczyna.

- Oj tak, to prawdziwa ślicznotka. We wrześniu skończy sześć lat. - Chwila szczęścia minęła i Duncan zamilkł. - Ach, żeby ta wojna wreszcie się skończyła - westchnął.

- Już niedługo.

- Kiedy zechcesz się ożenić, Peter, weź sobie Chinkę. To najwspanialsze żony

na świecie - powiedział Duncan. Mówił to już wiele, wiele razy. - Wiem, że ciężko żyć z dala od swoich i że to odbija się na dzieciach, ale będę szczęśliwy, jeśli umrę w jej ramionach. - Westchnął. - Ale ty i tak mnie nie posłuchasz. Ożenisz się z jakąś Angielką i będziesz myślał, że to jest prawdziwe życie. Wielka szkoda! Już ja dobrze wiem, spróbowałem i jednego, i drugiego.

- Chyba będę musiał sam się o tym przekonać, nie uważasz? - odparł ze śmiechem Marlowe, a potem przyśpieszył kroku, żeby wyjść na czoło swojej grupy. - Do zobaczenia.

- Dziękuję, Peter - zawołał za nim Duncan.

Zbliżali się do lotniska. Strażnicy, którzy mieli rozprościć poszczególne grupy na stanowiska pracy, już czekali. Obok nich leżały oskardy i łopaty, a przez lotnisko ciągnęło już pod strażą wielu jeńców.

Marlowe spojrział na zachód. Jakaś grupa zmierzała właśnie w stronę drzew. Psiakrew, zaklął w duchu.

Zatrzymał swój oddział i zsalutował strażnikom. Spozrzegł wśród nich Torusumiego.

Torusumi poznał Marlowe'a i uśmiechnął się.

- *Tabe!*

- *Tabe* - odrzekł Marlowe, zakłopotany rzucającą się w oczy serdecznością Koreańczyka.

- Pójdę z panem i pańskimi ludźmi - powiedział Torusumi i wskazał narzędzia.

- Dziękuję - odparł Marlowe i skinął na sierżanta. - Mamy iść z nim.

- Ten nygus zawsze idzie na wschodnią stronę - powiedział sierżant ze złością. - Takie już nasze zasrane szczęście.

- Wiem o tym - odparł Marlowe, również zły. A kiedy jego ludzie brali narzędzia, powiedział do Torusumiego:

- Mam iść na wschód. Wiem, że po zachodniej stronie jest chłodniej, ale mnie zawsze wysyłają na wschód.

Marlowe postanowił zaryzykować.

- A może powinien pan poprosić, żeby lepiej pana traktowano? - powiedział.

Proponowanie czegokolwiek Koreańczykowi czy Japończykowi było niebezpieczne. Torusumi obrzucił Marlowe'a zimnym spojrzeniem, a potem odwrócił się nagle i podszedł do japońskiego kaprała Azumiego, który stał z boku z posepną miną. Azumi znany był z tego, że łatwo wpadał we wściekłość.

Marlowe obserwował z lękiem, jak Torusumi kłania się i mówi coś szybko i chrapliwie po japońsku. Czuł na sobie wzrok Azumiego.

Stojący obok Marlowe'a sierżant również przyglądał się z niepokojem rozmawiającym strażnikom.

- Co pan mu powiedział, panie kapitanie? - spytał.

- Powiedziałem, że dobrze byłoby pójść dzisiaj dla odmiany na zachodnią stronę.

Sierżant wzdrygnął się. Jeśli oficer dostawał w twarz, to automatycznie to samo czekało sierżanta.

- Nie ma co, zaryzykował pan... - powiedział, urywając nagle, bo Azumi i trzymający się z szacunku o dwa kroki za nim Torusumi ruszyli właśnie w ich stronę.

Niski Japończyk o kabłąkowatych nogach zatrzymał się na pięć kroków przed Marlowe'em i chyba przez dziesięć sekund patrzył mu prosto w oczy. Marlowe spodziewał się dostać w twarz, co powinno było teraz nastąpić. Ale nic takiego się nie stało. Azumi uśmiechnął się nagle, odsłaniając złote zęby, ze świstem wciągnął przez nie powietrze i wydobyl paczkę papierosów. Poczęstował Marlowe'a i powiedział po japońsku coś, z czego Marlowe nie zrozumiał nic prócz słowa "shokosan", które napełniło go tym większym zdumieniem, że dotychczas nikt się do niego w ten sposób nie zwracał. "Shoko" znaczyło "oficer", a „san” - tyle co "pan"; zostać nazwanym "panem oficerem" przez takiego wcielonego diabła jak Azumi było więc nie lada pochwałą.

- *Arigato* - powiedział Marlowe, korzystając z podanego ognia. Jego znajomość japońskiego ograniczała się do słowa "dziękuję", a ponadto do rozkazów "bacność", "spocznij", "szybkim krokiem marsz", "salutować" oraz "do mnie, biały sukinsynu". Poleciał osłupiałemu sierżantowi, żeby ustawił ludzi w szyku.

- Tak jest, panie kapitanie - odparł sierżant, szczęśliwy, że może odejść.

Azumi jeszcze raz powiedział coś krótko do Torusumiego, a ten podszedł do jeńców i rozkazał: "Hotchatore", czyli "szybkim krokiem marsz".

Kiedy znaleźli się w połowie lotniska, gdzie Azumi na pewno nie mógł ich usłyszeć, Torusumi uśmiechnął się do Marlowe'a.

- Idziemy dziś na zachód - powiedział. - I będziemy ścinać drzewa.

- Naprawdę? Nic nie rozumiem.

- To proste. Powiedziałem Azumiemu, że pan jest tłumaczem Króla i że on, jak mi się zdaje, powinien o tym wiedzieć, bo ma dziesięcioprocentowy udział w naszych

zyskach. A więc... - Torusumi wzruszył ramionami - musimy oczywiście nawzajem o siebie dbać. Być może będzie dziś okazja, żeby omówić pewną sprawę.

Osłabłym z wrażenia głosem Marlowe nakazał swoim ludziom zatrzymać się.

- Co się stało, panie kapitanie? - spytał sierżant.

- Nic takiego, sierżancie. A teraz, posłuchajcie. Tylko bez krzyków. Dostały nam się palmy.

- O rany, to wspaniale.

Prędko uciszono pierwsze wiwaty.

Kiedy dotarli do trzech palm, zastali już tam grupę Spence'a ze strażnikiem. Torusumi podszedł do niego i rozpoczął się pomiędzy nimi pojedynek na miotane po koreańsku wyzwiska. W końcu jednak wściekły strażnik kazał Spence'owi i jego ludziom ustawić się w szeregu i odmaszerować.

- Dlaczego to wam się dostały te palmy, draniu? Myśmy byli pierwsi - krzyknął Spence.

- Wiem - odparł Marlowe ze współczuciem. Zdawał sobie sprawę, co tamten w tej chwili czuje.

Torusumi skinął na Marlowe'a i usiadł w cieniu, opierając karabin o drzewo.

- Niech pan wystawi czujkę - powiedział ziewając. - Będzie pan odpowiedzialny za to, żeby żaden zapowietrzony Japończyk ani Koreańczyk nie przyłapał mnie, że śpię.

- Może pan mi zaufać i spać spokojnie - odparł Marlowe.

- Proszę mnie obudzić na posiłek.

- Zrobi się.

Wystawiwszy czujki w miejscach, z których najlepiej było obserwować okolice, Marlowe przeprowadził zacięty szturm na palmy. Chciał, żeby zostały zwalone i pocięte, zanim jakiemuś Japończykowi przyjdzie do głowy zmienić rozkaz.

Do południa wszystkie palmy leżały na ziemi. Wycięto już z nich "kapustę milionerów". Żołnierze byli wyczerpani i pogryzieni przez mrówki, ale nikt o to nie dbał, dzisiejszy dzień przyniósł bowiem obfite łupy. Każdemu przypadły dwa orzechy kokosowe, a ponadto zostało ich jeszcze piętnaście. Marlowe postanowił, że pięć dadzą Torusumiemu, a pozostałe dziesięć rozdzielią pomiędzy siebie na obiad. Rozdzielił także między wszystkich dwie "kapusty milionerów", natomiast trzecią postanowił zachować dla Torusumiego i Azumiego na wypadek, gdyby mieli na nią ochotę. W przeciwnym razie nią też mieli się podzielić.

Siedział właśnie opierając się plecami o drzewo i dysząc z wysiłku, kiedy rozległ się ostrzegawczy gwizd. Poderwał się, szybko podbiegł do Torusumiego i potrząsnął go za ramię.

- Torusumi-san, szybko. Strażnik!

Koreańczyk wstał niezgrabnie i wygładził mundur.

- Dobrze. Wracajcie do drzew i czymś się zajmijcie - powiedział cicho.

Potem nonszalanckim krokiem wyszedł na otwartą przestrzeń. Kiedy zobaczył, kto idzie, odprężył się i przywołał tamtego gestem do cienia. Obaj odłożyli karabiny, wyciągnęli się na ziemi i zapalili.

- Shoko-san! - zawołał Torusumi. - Możecie odpoczywać, to tylko mój przyjaciel.

Marlowe uśmiechnął się w odpowiedzi, a potem zawołał do sierżanta:

- Ej, sierzancie, rozetnijcie dwa najładniejsze młode orzechy i zanieście strażnikom.

Nie mógł zrobić tego osobiście, ponieważ nie licowałoby to z jego godnością.

Sierżant starannie wybrał dwa owoce i ściał ich wierzchołki. Brązowozielone łupiny otaczały kilkucentymetrową jędrną warstwą skryte głęboko jądro. Bielmo wysięlające wnętrze owocu było tak miękkie, że bez trudu dałoby się jeść łyżką, jeśli komuś przyszlaby na to ochota, a wypełniające orzech mleko miało słodki i orzeźwiający smak.

- Smith! - zawołał sierżant.

- Słucham, sierzancie.

- Zanieś to żółtkom.

- A dlaczego ja? Zawsze, jak rany, muszę robić więcej niż...

- Nie gadaj, tylko rusz dupę.

Smith, niski, chudy londyńczyk, wstał wyrzekając na swój los i wykonał rozkaz.

Torusumi i drugi strażnik pociągnęli długie łyki.

- Dziękujemy - zawołał Torusumi do Marlowe'a.

- Pokój z wami - odparł Marlowe.

Torusumi wyciągnął zmiętą paczkę papierosów i podał mu ją.

- Dziękuję - powiedział Marlowe.

- Pokój z tobą, panie - odrzekł grzecznie Koreańczyk.

W paczce było siedem papierosów. Wszyscy upierali się, żeby Marlowe wziął dwa dla siebie. Pięć rozdano pozostałym i zgodnie postanowiono, że zostaną

wypalone po obiedzie.

Obiad składał się z porcji ryżu, pachnącej rybą wody i herbaty. Marlowe wziął tylko ryż, do którego domieszał odrobinę blachangu. Na deser zjadł ze smakiem swoją część orzecha. Potem, zmęczony, oparł się o pień jednej ze ściętych palm i zaczął rozglądać się po lotnisku, czekając, aż dobiegnie końca godzina przeznaczona na obiad.

Na południe od nich, na wzgórzu, pracowało tysiące chińskich kulisów. Wszyscy mieli na ramionach bambusowe kije, z których zwisały po dwa bambusowe kosze; wchodzili na szczyt wzgórza, napelniali kosze ziemią, schodzili na dół i tam je opróżniali. Ruch kulisów w górę i w dół trwał bez przerwy i zdawało się, że wzgórze niknie w oczach w promieniach piekącego słońca.

Już prawie od dwóch lat Marlowe chodził na lotnisko cztery, pięć razy w tygodniu. Kiedy on i Larkin po raz pierwszy zobaczyli ten pagórkowaty, piaszczysty, a zarazem bagnisty teren, roześmiali się i pomyśleli, że nigdy nie powstanie tu lotnisko. Przecież Chińczycy nie mieli żadnych maszyn, ani traktorów, ani spychaczy. A teraz, po dwóch latach, czynny już był jeden pas startowy, a drugi, większy, przeznaczony dla bombowców, prawie gotów.

Marlowe nie mógł się nadziwić cierpliwości i mrówczej pracowitości tych ludzi i zamyślił się nad tym, co też zdziałyby ich ręce, gdyby operowały nowoczesnym sprzętem.

Powieki opadły mu i zasnął.

- Ewart! Gdzie Marlowe? - spytał szorstko Grey.

- Pracuje na lotnisku. A o co chodzi?

- Proszę mu powiedzieć, żeby po powrocie natychmiast się u mnie zameldował.

- Gdzie pan będzie?

- A skąd mogę wiedzieć? Niech mu pan tylko powie, żeby mnie znalazł.

Wychodząc z baraku, Grey czuł w brzuchu narastający skurcz, przyśpieszył więc kroku, żeby zdążyć do latryny. Ale skurcz nastąpił, zanim zdążył przejść połowę drogi, wyciskając z niego trochę krwawego śluzu, który wsiąkł w i tak już wilgotny tampon z trawy, który Grey nosił w spodniach. Udręczony, ledwie trzymając się na nogach, oparł się o ścianę jakiegoś baraku, żeby nabrać sił.

Czuł, że znów pora zmienić tampon, po raz czwarty dzisiejszego dnia, ale to mu nie przeszkadzało. Tampon był przynajmniej higieniczny i chronił przed zabrudze-

niem spodnie, jedyne, jakie miał. Bez niego w ogóle nie mógłby się poruszać po obozie. Ohyda, przyznał w duchu. Zupełnie jak podpaska. Co za paskudztwo! No, ale za to skuteczne.

Powinien był zgłosić się dziś do szpitala, ale nie mógł zrobić tego teraz, kiedy zdemaskował Marlowe'a. O nie, to za duża przyjemność, żeby z niej zrezygnować. Chciał poza tym zobaczyć jego minę, kiedy się o tym dowie. Warto było pocierpieć w zamian za świadomość, że ma się go w ręku. Nędzny łajdak. A przez Marlowe'a Król też naje się trochę strachu, myślał. Za parę dni będę miał ich obu w ręku. Wiedział bowiem o brylancie i o tym, że spotkanie w sprawie sprzedaży ma się odbyć w ciągu najbliższego tygodnia. Nie wiedział jeszcze dokładnie kiedy, ale miano go o tym powiadomić. Sprytny jesteś, pomyślał o Królu, sprytny, jeśli masz tak sprawnie działający system.

Poszedł do baraku, w którym mieścił się areszt. Tam kazał żandarmowi wyjść i zaczekać na zewnątrz. Kiedy zmienił tampon, zaczął szorować ręce w nadziei, że zmyje z nich niewidoczną plamę.

Poczuwszy się lepiej, Grey całą siłą woli zmusił się, żeby zejść po schodach z werandy, i skierował się do magazynu. Miał dziś przeprowadzić cotygodniową kontrolę dostaw ryżu i innych artykułów żywnościowych. Zawsze wszystko się zgadzało, ponieważ podpułkownik Jones wypełniał swoją funkcję sprawnie i z oddaniem i zawsze odważał codzienny przydział ryżu osobiście i publicznie. Nie mogło być więc mowy o żadnych machlojkach.

Grey podziwiał podpułkownika Jonesa. Podobało mu się, że zawsze robi wszystko osobiście, dzięki czemu nie zdarzają się żadne szwindle. Poza tym zazdrościł mu, gdyż jak na podpułkownika Jones był bardzo młody. Miał dopiero trzydzieści trzy lata. Rzygać się chce, pomyślał. Jones jest już podpułkownikiem, a ja dopiero porucznikiem, a przecież różnimy się tylko tym, że on we właściwym czasie dostał właściwą robotę. No, ale ja też nieźle ląduję, zawieram znajomości z ludźmi, którzy po wojnie wstawią się za mną. Jones nie jest zawodowym, oczywiście, więc wróci do cywila. Ale koleguje z Samsomem, a także z moim szefem, Smedly-Taylor, i gra w brydża z komendantem obozu. Ma drań szczęście. Ja gram w brydża nie gorzej od niego, ale mnie nie zapraszają, chociaż haruję jak nikt.

Kiedy dotarł do magazynu, wydawanie ryżu jeszcze się nie skończyło.

- Dzień dobry, Grey - przywitał go Jones. - Zaraz do pana przyjdę.

Jones był wysoki, przystojny i spokojny. Ukończył dobre szkoły, a z powodu

chłopięcej twarzy przezywano go pułkowniczkim.

- Dziękuję, panie pułkowniku.

Grey przystanął, obserwując, jak do wagi podchodzi jakiś sierżant z żołnierzem - wysłannicy którejś z obozowych kuchni. Każda kuchnia wysyłała po przydział żywności dwu ludzi po to, żeby nawzajem mieli na siebie oko. Liczba jeńców zgłoszonych przez przedstawiciela kuchni wpisywana była na kartę kontrolną, po czym odważano ryż, a następnie podpisywano kartę inicjałami.

Kiedy obsłużono ostatnią kuchnię, sierżant kwatermistrz Blakely zabrał worek z resztką ryżu i zaniósł go do magazynu. Grey wszedł za Jonesem do środka i w roz-targnieniu wysłuchał podanych przez niego liczb.

- Dziewięć tysięcy czterystu osiemdziesięciu trzech żołnierzy i oficerów. Wydano dziś tysiąc sto osiemdziesiąt pięć kilogramów i trzysta siedemdziesiąt pięć gramów ryżu, to jest po sto dwadzieścia pięć gramów na osobę. Około dwunastu worków - powiedział Jones, wskazując głową puste worki z juty. Grey przyglądał się, jak je przelicza, wiedząc, że jest ich na pewno dwanaście. - W jednym worku brakowało pięciu kilo - ciągnął Jones (brak ten nie był niczym niezwykłym) - a pozostało dziesięć kilo i sześćset dwadzieścia pięć gramów.

Jones podniósł z ziemi prawie pusty worek i położył go na wadze, którą sierżant Blakely wciągnął do magazynu. Potem zaczął starannie ustawiać na szali odważniki, a kiedy doszedł do dziesięciu kilo i sześciuset gramów, worek podjechał do góry i jęczyczki wagi spotkały się.

- Zgadza się - powiedział Jones i spojrzał na Greya uśmiechając się z zadowoleniem.

Wszystko inne: płat wołowiny, szesnaście beczek suszonych ryb, dwadzieścia kilogramów *gula malacca*, pięć tuzinów jaj, dwadzieścia pięć kilo soli oraz torby z pieprzem i suszona papryka, również idealnie się zgadzało.

Grey złożył podpis w książce magazynowej, krzywiąc się pod wpływem kolejnego bolesnego skurczu.

- Czerwotka? - spytał z troską w głosie Jones.

- To tylko mały atak, panie pułkowniku, przejdzie - odparł Grey. Rozejrzał się po mrocznym pomieszczeniu i zasalutował. - Dziękuję, panie pułkowniku. Do zobaczenia za tydzień.

W drodze do wyjścia doznał następnego skurczu, tak że potknął się o wagę i przewracając ją spowodował, że odważniki potoczyły się we wszystkie strony po

klepisku.

- Przepraszam - powiedział. - Straszny ze mnie niezgrabiasz.

Postawił leżącą wagę i po omacku zaczął wyszukiwać odważniki, ale Jones i Blakely klęczeli już podnosząc je z ziemi.

- Niech pan to zostawi, damy sobie radę - powiedział Jones i warknął na sierżanta: - Mówiłem ci przecież, żebyś postawił wagę w kącie.

Ale Grey zdążył już wziąć do ręki kilogramowy odważnik. Nie wierzył własnym oczom. Zaniósł odważnik do drzwi i obejrzał go w pełnym świetle, żeby się upewnić, czy nic mu się nie przywidziało. Ale nie. Żelazny odważnik miał na spodzie wydrążoną małą dziurkę, szczelnie wypełnioną gliną. Z twarzą białą jak kreda wydłubał glinę paznokciem.

- Co się stało, Grey? - spytał Jones.

- Ktoś majstrował przy tym odważniku - odparł. Słowa te zabrzmiały jak oskarżenie.

- Co takiego? Niemożliwe! - powiedział Jones i podszedł do Greya. - Proszę mi go pokazać.

Nieskończenie długo przyglądał się odważnikowi, wreszcie uśmiechnął się.

- Nikt się do niego nie dotykał - rzekł. - To jest po prostu zagłębienie korygujące ciężar. Prawdopodobnie stwierdzono, że ten odważnik jest minimalnie cięższy niż powinien. - Roześmiał się bez przekonania. - Słowo daję, nieźle mnie pan przestraszył.

Grey podszedł szybko do pozostałych odważników i wziął pierwszy z brzegu. Ten również miał wydrążoną dziurę.

- Chryste! Wszystkie są sfalszowane!

- Bzdura - powiedział Jones. - To są po prostu korygujące...

- Znam się coś niecoś na miarach i wagach - przerwał mu Grey. - Wystarczająco, żeby wiedzieć, że wydrążenia w odważnikach są niedozwolone. To na pewno nie są wydrążenia korygujące ciężar. Jeśli odważnik jest zły, w ogóle nie wchodzi do użytku.

Obrócił się gwałtownie do Blakely'ego, który skulił się ze strachu pod drzwiami.

- A wy, co o tym wiecie?

- Nic, panie poruczniku - odparł przerażony Blakely.

- Radzę wam mówić!

- Ja nic nie wiem, panie poruczniku, naprawdę...

- Jak chcecie, Blakely. Wiecie, co teraz zrobię? Wyjdę z baraku i każdemu, kogo spotkam na drodze, opowiem o was i pokażę ten odważnik, a zanim zdążę zameldować o tym pułkownikowi Smedly-Taylorowi, wy będziecie już rozszarpani na strzępy.

Powiedziawszy to, Grey ruszył do wyjścia.

- Niech pan zaczeka, panie poruczniku - wydusił z siebie Blakely. - Wszystko panu powiem. To nie ja, panie poruczniku, to pan pułkownik. To on mnie do tego zmusił. Przyłapał mnie, kiedy ściągałem ociupinkę ryżu, i przysiągł, że mnie wyda, jeżeli mu nie pomogę...

- Zamknij się, idioto - warknął Jones, a potem spokojniejszym tonem zwrócił się do Greya: - Ten głupiec usiłuje mnie w to wmieszać. Ja nic o tym nie wiedziałem...

- Niech pan go nie słucha, panie poruczniku - przerwał mu bełkotliwie Blakely. - Sam zawsze waży ryż. Zawsze! I ma klucz od kasy, gdzie zamyka odważniki. Sam pan wie, jak koło tego chodzi i nikogo innego nie dopuszcza. Przecież każdy, kto używa odważników, musi czasem spojrzeć na nie od spodu. Żeby nie wiem jak zamaskować te dziury, musi się je zauważyć. I tak to się ciągnie od roku albo i więcej.

- Zamknij się, Blakely!!! - wrzasnął Jones. - Zamknij się!

Zamilkli.

- Pułkowniku, od jak dawna używane są te odważniki?

- Nie wiem.

- Rok? Dwa?

- Skąd mogę wiedzieć? Jeżeli nawet odważniki są podrobione, to ja nie mam z tym nic wspólnego.

- Ale to pan trzyma je pod kluczem i tylko pan ma do nich dostęp.

- Owszem, ale to jeszcze nie znaczy...

- Czy przyglądał się pan spodom tych odważników?

- Nie, ale...

- To trochę dziwne, nie uważa pan? - nie ustępował Grey.

- Nie, to wcale nie jest dziwne, a poza tym nie pozwolę, żeby wypytywał mnie...

- Lepiej, żeby pan mówił prawdę. Dla własnego dobra.

- Pan mi grozi, poruczniku? Oddam pana pod sąd...

- Nie wiem, o czym pan mówi, panie pułkowniku. Reprezentuję tu prawo, a odważniki są sfalszowane, tak czy nie?

- Proszę posłuchać, Grey...

- Tak czy nie? - spytał Grey podnosząc odważnik na wysokość ściągniętej strachem twarzy Jonesa, która straciła swój chłopięcy wyraz.

- No... chyba... tak - odparł Jones. - Ale to jeszcze nie znaczy...

- To znaczy, że odpowiada za to Blakely albo pan. A może obaj. Tylko wy dwaj macie tu prawo wstępu. Odważniki nie doważały i któryś z was, albo obaj, przywłaszczał sobie dodatkowe racje żywności.

- To nie ja, poruczniku - skamlał Blakely. - Ja dostawałem tylko pół kilo ryżu raz na dziesięć...

- Kłamiesz! - krzyknął Jones.

- Nie, wcale nie. Tysiąc razy panu powtarzałem, że w końcu wpadniemy. - Sierżant odwrócił się do Greya załamując ręce. - Błagam pana, panie poruczniku, proszę, niech pan nikomu nie mówi. Oni by nas rozszarpali.

- Mam nadzieję, że zrobią to, ty łajdaku.

Grey cieszył się, że odkrył sfalszowane odważniki. O tak, cieszył się ogromnie.

Jones wyjął pudełko z tytoniem i zaczął skręcać papierosa.

- Zapali pan? - spytał. Szczęki rysowały się ostro w jego chłopięcej twarzy, a cera dziwnie zmatowiała. Uśmiechnął się na próbę.

- Nie, dziękuję - odparł Grey, choć od czterech dni nie miał w ustach papierosa i bardzo go w tej chwili potrzebował.

- Możemy to jakoś załatwić - powiedział Jones, któremu powróciły chłopięca beztroska i dobre wychowanie. - Być może ktoś rzeczywiście majstrował przy odważnikach. Ale różnica jest nieistotna. To żaden kłopot. Przyniosę drugi komplet odważników, tych dobrych...

- A więc przyznaje pan, że te są podrobione?

- Powiedziałem tylko, że... - Jones urwał. - Wyjdź stąd, Blakely. Wyjdź i zaczekaj na zewnątrz.

Blakely natychmiast odwrócił się w stronę drzwi.

- Stać, Blakely - powiedział Grey, a potem spojrział na Jonesa i spytał tonem pełnym szacunku: - Nie ma chyba potrzeby, panie pułkowniku, żeby Blakely wychodził?

Jones przyjrzał mu się przez papierosowy dym.

- Nie, nie ma potrzeby - rzekł. - Ściany nie mają uszu. A więc dobrze. Będzie pan dostawał pół kilo ryżu tygodniowo.

- To wszystko?
- Powiedzmy, kilogram ryżu i ćwierć kilo suszonych ryb. Raz na tydzień.
- A cukier? A jajka?
- Jedno i drugie idzie do szpitala, wie pan o tym.

Jones umilkł i czekał, Grey również, Blakely szlochał. Wreszcie Grey ruszył do wyjścia, wkładając odważnik do kieszeni.

- Chwileczkę, Grey - powiedział Jones, wziął dwa jajka i podsunął mu je. - Proszę to wziąć. Będzie pan dostawał jedno jajko tygodniowo, razem z resztą prowiantu. I trochę cukru.

- Powiem panu, co teraz zrobię. Pójdę zaraz do pułkownika Smedly-Taylor, powtórzę mu pańskie słowa i pokażę odważnik. A jeżeli będzie robota przy latrynach, a modłę się o to, żeby była, to zjawię się tam i wepchnę pana do dołu, ale powolutku. Chcę być świadkiem pańskiej śmierci, chcę słyszeć pański wrzask i widzieć, jak pan zdycha. Bardzo wolno. Jak obaj zdychacie.

Wyszedł z magazynu na słońce. Oblał go żar, a wnętrzości przeszył ból. Zmusił się jednak do marszu i powoli zaczął schodzić w dół zbocza.

Jones i Blakely stali w drzwiach magazynu i patrzyli za nim. Obaj byli śmiertelnie przerażeni.

- O Jezusie, co teraz będzie, panie pułkowniku? - wyjącał Blakely. - Powiesz nas...

Jones wciągnął go do środka, zatrzasnął drzwi i uderzył go na odlew wierzchem dłoni.

- Zamknij się! - rozkazał.

Blakely leżał na ziemi bełkocząc, z twarzą zalaną łzami.

Jones poderwał go na nogi i ponownie uderzył.

- Niech mnie pan nie bije, nie ma pan prawa...

- Zamknij się i słuchaj - powiedział Jones i znów nim potrząsnął. - Słuchasz, do jasnej cholery, czy nie?! Przekłety idioto, ile razy ci mówiłem, żebyś używał dobrych odważników, kiedy Grey ma przyjść na inspekcję? Przestań ryczeć i słuchaj. Po pierwsze, masz zaprzeczyć wszystkiemu, co zostało powiedziane. Rozumiesz? Nic Greyowi nie proponowałem, rozumiesz?

- Ale panie pułkowniku...

- Masz temu zaprzeczyć, rozumiesz?

- Tak, panie pułkowniku.

- Dobrze. Obaj zaprzeczmy i jeśli tylko będziesz się trzymał jednej wersji, obu nas z tego wyciągnę.

- Naprawdę? Naprawdę może pan to zrobić, panie pułkowniku?

- Tak, jeżeli tylko zaprzeczysz temu, co się tu zdarzyło. Dalej: nic nie wiesz na temat odważników. Ja też. Rozumiesz?

- A przecież tylko my...

- Rozumiesz?

- Tak, panie pułkowniku.

- Dalsza sprawa: nic tu nie zaszło poza tym, że Grey wykrył sfalszowane odważniki, a ty i ja byliśmy równie zdumieni jak on. Rozumiesz?

- Ale...

- To opowiedz mi teraz, jak to było. Mów, do jasnej cholery! - ryknął Jones, pochylając się nad nim groźnie.

- Koń... kończyliśmy właśnie kontrolę, no a potem... potem Grey upadł na wagę, odważniki się poprzewracały... no i odkryliśmy, że są sfalszowane. Czy tak dobrze, panie pułkowniku?

- Co dalej?

- No więc, panie pułkowniku... - Blakely zastanawiał się przez chwilę, wreszcie twarz mu się rozjaśniła. - Grey spytał nas, co wiemy o odważnikach. Ja powiedziałem, że nigdy nie zauważyłem, żeby były sfalszowane, a pan dziwił się tak samo jak ja. A potem Grey wyszedł.

Jones poczęstował sierżanta tytoniem.

- Zapomniałeś o tym, co Grey jeszcze powiedział. Nie przypominasz sobie? Powiedział tak: "Nie zamelduję o tym, jeżeli będziecie mi dawać co tydzień trochę ryżu, pół kilo, a do tego choć jedno jajko". A ja na to, żeby go diabli wzięli i że sam zamelduję o odważnikach i o nim też. Na śmierć się zamartwiałem tymi odważnikami. Co za świnka to zrobiła? Jak się tu mogła dostać?

Małe oczka Blakely'ego napełniły się podziwem.

- Tak, tak, panie pułkowniku - powiedział. - Pamiętam dokładnie. Poprosił o pół kilo ryżu i choć jedno jajko. Właśnie tak, jak pan pułkownik powiedział.

- No więc zapamiętaj to sobie, kretyńco! Gdybyś wziął dobre odważniki i trzymał język za zębami, nie wpakowalibyśmy się w tę kabałę. Spróbuj jeszcze raz mnie zawieść, a całą winę zwałę na ciebie. Moje słowo honoru będzie przeciwko tobie.

- Nie zawiedzie się pan na mnie, panie pułkowniku, przysięgam...

- W każdym razie słowo Greya jest przeciwko naszemu, więc nie masz się o co martwić. Pod warunkiem, że nie stracisz głowy i nie zapomnisz, co masz mówić!

- Będę pamiętał, panie pułkowniku, na pewno.

- To dobrze.

Jones zamknął na klucz kasę i drzwi magazynu i odszedł w swoją stronę.

Jones to bystry facet, przekonywał sam siebie Blakely. Wyciągnie nas z tego. Teraz, kiedy szok po zdemaskowaniu minął, poczuł się znów bezpiecznie. Tak, Jones musi mnie ratować, żeby samemu wyjść z tego cało. Muszę ci przyznać, Blakely, pochwalił się w duchu, że i tobie nie zabrakło sprytu, żeby zebrać przeciwko niemu dowody winy, w razie gdyby chciał cię wystawić do wiatru.

Pułkownik Smedly-Taylor bez pośpiechu oglądał odważnik.

- Zdumiewające! Po prostu nie mogę w to uwierzyć - powiedział i spojrzał przenikliwie na Greya. - Naprawdę twierdzi pan, że podpułkownik Jones usiłował pana przekupić? Obozowym prowiantem?

- Tak, panie pułkowniku. Było dokładnie tak, jak panu opowiedziałem.

Smedly-Taylor usiadł na łóżku i otarł pot z czoła, w jego baraczkę było bowiem gorąco i parno.

- Nie wierzę - powtórzył potrząsając głową.

- Tylko oni dwaj mieli dostęp do odważników...

- Wiem o tym. Rzecz nie w tym, żebym podważał pańskie słowo, ale to wszystko jest po prostu, cóż, niewiarygodne.

Smedly-Taylor zamilkł na dłuższą chwilę, a Grey czekał cierpliwie.

- Zastanowię się, co zrobić z tym fantem - powiedział pułkownik, nie przestając przyglądać się odważnikowi i wyborowanej w nim małej dziurce. - Cała ta... sprawa... może być bardzo groźna w skutkach. Nie wolno panu nikomu, powtarzam, nikomu o niej wspomnieć, rozumie pan?

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Mój Boże, jeżeli to, co pan mówi, jest prawdą, ci ludzie mogą zostać zmasakrowani. - Smedly-Taylor znów potrząsnął głową. - Czyżby ci dwaj... Czyżby podpułkownik Jones mógł... obozowe racje żywności! Więc wszystkie odważniki są sfalszowane?

- Tak, panie pułkowniku.

- Jak pan myśli, ile to daje w sumie niedowagi?

- Trudno powiedzieć, może kilogram na czterysta kilo. Sądzę, że udawało im się ściągnąć od półtora do dwóch kilo ryżu dziennie. Nie licząc suszonych ryb i jaj. Być może inni też są w to wmieszani. Na pewno. Nie mogliby ugotować ryżu, tak żeby nikt tego nie zauważył. Pewnie ma w tym swój udział jakaś kuchnia.

- Boże święty! - Smedly-Taylor wstał i zaczął się przechadzać po pokoju. - Dziękuję panu, Grey, świetnie się pan spisał. Przypilnuję, żeby wpisano to do pańskiej opinii. - Wyciągnął rękę. - Dobra robota, Grey.

Grey uściśnął mocno podaną dłoń.

- Dziękuję, panie pułkowniku. Żałuję tylko, że wcześniej tego nie wykryłem.

- A teraz, nikomu ani słówka. To rozkaz!

- Rozumiem.

Grey zasalutował i wyszedł, stopami ledwie dotykając ziemi.

Sam Smedly-Taylor mu powiedział: "Przypilnuję, żeby wpisano to do pańskiej opinii!" W przyplýwie nadziei Grey pomyślał, że a nuż awansuje. Było już w obozie kilka awansów, a jemu bardzo by się przydał wyższy stopień. Kapitan Grey - jak to ładnie by brzmiało. Kapitan Grey!

Popołudnie dłużyło się nieznośnie. Teraz, kiedy zrobili już swoje, Marlowe'owi trudno było utrzymać podwładnych na nogach. Zorganizował więc plądrujące grupy i zmieniające się czujki, bo Torusumi znowu spał. Skwar był straszny, w wysuszonym powietrzu nie było czym oddychać, ludzie złorzeczyli słońcu i modlili się o nadejście nocy.

Po jakimś czasie Torusumi wstał, załatwił się w krzakach, wziął karabin i zaczął się przechadzać, żeby do reszty otrząsnąć się ze snu. Wrzasnął na kilku drzemiących jeńców i krzyknął do Marlowe'a:

- Niech pan każe wstać tym świńskim synom i zapędzi ich do roboty albo zrobi coś, żeby wyglądało, że pracują.

- Przepraszam za kłopot - powiedział Marlowe, zbliżając się do Koreańczyka, po czym zwrócił się do sierżanta: - Mielście na niego uważać, do cholery! - zgromił go. - Zabierzcie tych durniów, niech wykopią dziurę, porąbią tę przeklętą palmę albo zetną parę liści. Co za osioł!

Sierżant był bardzo skruszony, przeproszał i już po chwili wszyscy jeńcy krzatali się przy palmach, udając, że pracują w pocie czoła. Tę sztukę mieli

opanowaną do perfekcji.

Przeniesiono z miejsca na miejsce łupiny po orzechach, złożono kilka palmowych liści i w paru miejscach nacięto piłą powalone drzewa. Gdyby dzień w dzień pracowali w takim tempie, to ani by się obejrzano, a cały teren byłby równiuteńki i dokładnie oczyszczony z roślinności.

Znużony sierżant zameldował się u Marlowe'a.

- Pracują, panie kapitanie, tak że już lepiej nie można.

- Dobrze. To już niedługo.

- Mam do pana, panie kapitanie, pewną... prośbę...

- Jaką?

- Więc, to jest tak. Widziałem, jak... że pan... no... -Sierżant w zakłopotaniu przetarł usta szmatką. Nie mógł przecież przepuścić tak dobrej okazji. - Proszę, niech pan to obejrzy. - Wyciągnął wieczne pióro. - Mógłby pan się spytać żółtka, czy tego nie kupi?

- Jednym słowem, chcecie, żebym ja wam to sprzedał? - spytał Marlowe, ze zdumienia wytrzeszczając oczy.

- Tak, panie kapitanie. Pomyślałem sobie, że... no... że jest pan przyjacielem Króla i że będzie pan wiedział... jak to załatwić.

- Regulamin zabrania handlu ze strażnikami, zabrania nam i im.

- Co pan, panie kapitanie, mnie można zaufać. Przecież pan i Król...

- Co ja i Król?

- Nic, panie kapitanie - powiedział sierżant ostrożnie, myśląc: Co się facetowi stało? Kogo on chce zrobić w konia? - Nic. Tak tylko pomyślałem, że mógłby pan mi pomóc. To znaczy, oczywiście, mnie i mojej grupie.

Marlowe spojrział na sierżanta, na pióro, zastanawiając się, dlaczego wpadł w taką złość. W końcu przecież sprzedawał dla Króla, a przynajmniej pomagał mu w sprzedaży, i rzeczywiście był jego przyjacielem. Nic w tym złego. Gdyby nie Król, nigdy by nie dostali roboty przy palmach. Zamiast tego trzymałby się pewnie za zwichniętą szczękę albo w najlepszym razie zarobiłby siarczasty policzek. Tak więc, prawdę mówiąc, miał obowiązek podtrzymać sławę, jaką cieszył się Król. Ostatecznie tylko dzięki niemu dostały im się orzechy.

- Ile za nie chcecie? - spytał.

Sierżant uśmiechnął się uszczęśliwiony.

- Parker to nie jest, ale ma złotą stalówkę - powiedział, zdjął nakrętkę i odsłonił

stalówkę. - Więc powinno być coś niecoś warte. Może dowie się pan, ile by za nie dał.

- Będzie chciał najpierw usłyszeć, ile za nie chcecie. Spytam go, czy zechce kupić, ale to wy ustalacie cenę.

- Gdyby dostał pan za nie... sześćdziesiąt pięć dolarów, bardzo bym się ucieszył.

- Jest tyle warte?

- Myślę, że tak.

Pióro rzeczywiście miało złotą stalówkę z wrytą cyfrą czternaście, oznaczającą liczbę karatów, i o ile Marlowe potrafił ocenić, było prawdziwe. W przeciwieństwie do pióra, które sprzedawał z Królem.

- To moje pióro, panie kapitanie. Trzymałem je na czarną godzinę. A ostatnio robi się właśnie coraz czarniej.

Marlowe skinął głową na znak, że przyjmuje to wyjaśnienie. Wierzył temu człowiekowi.

- Dobrze, zobaczę, co mi się uda załatwić. Pilnujcie ludzi i żeby mi ktoś cały czas trzymał wartę.

- Spokojna głowa, panie kapitanie. Żaden oka nie zmruży.

Marlowe znalazł Torusumiego opartego o przysadziste, obrośnięte winoroślą drzewo.

- *Tabe* - powiedział.

- *Tabe* - odparł Torusumi, spojrzał na zegarek i ziewnął. - Za godzinę możemy iść. Jeszcze nie pora. - Zdjął czapkę i otarł pot z twarzy i karku. - Parszywy upał i parszywa wyspa!

- Tak. Jeden z moich ludzi ma pióro, które chciałby sprzedać. Przyszło mi na myśl, że pan, jako przyjaciel, być może zechciałby je kupić - powiedział Marlowe, starając się nadać tym słowom taką wagę, jakby to nie on je wypowiadał, ale Król.

- *Astaghfaru'llah!* Czy to parka?

- Nie - zaprzeczył Marlowe. Wyciągnął pióro, rozkręcił je i ustawił tak, żeby w stalówce odbił się promień słońca. - Ale ma złotą stalówkę - powiedział.

Torusumi obejrzał pióro. Był rozczarowany, że to nie parker, ale czyż mógł się spodziewać czegoś więcej? Zwłaszcza na lotnisku. Zresztą parkera sprzedawałby Król osobiście.

- Niewiele jest warte - powiedział.

- Oczywiście. Jeżeli pan nie chce zastanowić się... - rzekł Marlowe chowając pióro do kieszeni.

- Mogę się zastanowić. Mamy jeszcze godzinę na zastanawianie się nad ceną tej bezwartościowej rzeczy. - Koreańczyk wzruszył ramionami. - Może być warte najwyżej siedemdziesiąt pięć dolarów.

Tak wysoka cena zaproponowana przez Torusumiego na samym początku targów wprowadziła Marlowe'a w najwyższe zdumienie. W takim razie sierżant nie ma najmniejszego pojęcia o jego wartości, pomyślał. Psiakrew, żebym to ja wiedział, ile ono jest naprawdę warte.

Usiedli więc i zaczęli się targować. Torusumi rozzłościł się, ale Marlowe nie ustępował i wreszcie uzgodnili cenę na sto dwadzieścia dolarów i paczkę papierosów.

Torusumi wstał i znowu ziewnął.

- Pora iść - powiedział i uśmiechnął się. - Król to dobry nauczyciel. Powiem mu przy najbliższej okazji, jak nieustępliwie pan się targował, wykorzystując moją przyjaźń. - Potrząsnął głową udając, że się nad sobą lituje. - Taka cena za takie nędzne pióro! Król na pewno mnie wyśmieje. Niech pan mu, proszę, powie, że będę na warcie równo za tydzień, licząc od dzisiaj. Może uda mu się znaleźć dla mnie jakiś zegarek. Tylko tym razem... żeby był dobry.

Marlowe cieszył się, że udało mu się doprowadzić do końca swoją pierwszą prawdziwą transakcję handlową i że uzyskał przy tym chyba niezłą cenę. Stał jednak przed dylematem. Gdyby oddał wszystkie pieniądze sierżantowi, Król bardzo by się tym przejął. Zrujnowałoby to bowiem strukturę cen, którą tak pracowicie tworzył. A Torusumi mógł przecież wspomnieć Królowi o piórze i o tym, za ile je kupił. Natomiast gdyby wręczył sierżantowi tylko tyle, ile ten sobie zażyczył, a resztę zatrzymał, byłoby to po prostu oszustwo. A może "dobry interes"? Sierżant chciał sześćdziesiąt pięć dolarów, to prawda, i tyle powinien dostać. Poza tym Marlowe winien był przecież Królowi mnóstwo pieniędzy.

Żałował, że w ogóle podjął się załatwienia tej głupiej sprawy. Teraz wpadł we własne sidła. Najgorszą swoją wadą, Peter, mówił sobie w duchu, jest to, że masz o sobie zbyt wygórowane mniemanie. Gdybyś odmówił sierżantowi, nie byłbyś teraz w kropce. I co zrobisz? I tak źle, i tak niedobrze.

Szedł bez pośpiechu, zastanawiając się. Sierżant zdążył już zrobić zbiórkę. Z nadzieją odprowadził Marlowe'a na bok.

- Ludzie gotowi do wymarszu, panie kapitanie - zameldował. - Narzędzia też już przeliczone. No i co, kupił? - spytał ściszym głosem.

- Tak - odparł Marlowe i podjął decyzję. Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął

garść banknotów. - Proszę bardzo. Sześćdziesiąt pięć dolarów.

- Równy z pana gość, panie kapitanie! - ucieszył się sierżant i oddzielił od zwitka pięciodolarowy banknot, chcąc go wręczyć Marlowe'owi. - Będę panu winien dolar pięćdziesiąt.

- Nic mi nie jesteście winni.

- Należy się panu dziesięć procent. Całkiem legalnie. I ja chętnie płacę. Oddam panu te półtora dolara, jak tylko będę miał drobne.

Marlowe nie chciał przyjąć pieniędzy.

- Nie - powiedział, ogarnięty nagle wyrzutami sumienia. - Zatrzymajcie to sobie.

- Ależ ja nalegam - upierał się sierżant, wciskając mu banknot do ręki.

- Proszę posłuchać, sierżancie...

- No, to niech pan weźmie chociaż tego piątała. Czuję się okropnie, panie kapitanie, gdyby pan nie przyjął. Okropnie. Nie wiem, jak panu dziękować.

Przez całą powrotną drogę Marlowe milczał. Czuł się brudny z grubym zwitkiem banknotów w kieszeni. Miał przy tym świadomość, że pieniądze te zawdzięcza Królowi, i cieszył się, że je ma, bo mógł nimi poratować grupę. Przecież sierżant poprosił go o tę przysługę tylko dlatego, że on, Marlowe, znał Króla, i to Król, a nie sierżant, był jego przyjacielem. Cała ta pożałowania godna sprawa nie dawała mu spokoju nawet wtedy, gdy wrócił do baraku.

- Grey chce się z tobą widzieć, Peter - powiadomił go Ewart.

- Czego chce?

- Nie wiem, mój drogi. Ale wyraźnie był czymś podniecony.

Marlowe skupił swój zmęczony umysł na nowym niebezpieczeństwie. Na pewno chodzi o coś, co ma związek z Królem, pomyślał. Grey zawsze oznacza nieprzyjemności. No, zastanów się, Peter, pomyśl. Wyprawa do wioski? Zegarek? Brylant? Boże święty, pióro! Nie, co za głupota. Grey nie mógł się jeszcze o tym dowiedzieć. A może pójść do Króla? Może on już coś o tym wie. To niebezpieczne. Grey chce mnie zmusić do popełnienia jakiegoś błędu. Pewnie dlatego przekazał mi wiadomość przez Ewarta. Przecież musiał wiedzieć, że jestem na robotach. Nie ma sensu iść potulnie jak baranek na rzeź, kiedy człowiek jest brudny i spocony. Najpierw prysznic, a dopiero potem spokojnie do niego. Nie będę się śpieszył.

Tak więc poszedł do pryszniców. Pod jednym ze strumieni wody stał Johnny Hawkins.

- Cześć, Peter - przywitał Marlowe'a.

Marlowe zarumienił się nagle, czując wyrzuty sumienia.

- Cześć, Johnny - odparł. Zauważył, że Hawkins źle wygląda, jakby był chory. -
Wiesz, Johnny, było... było mi bardzo przykro...

- Nie chcę o tym mówić - powiedział Hawkins. - Wolałbym, żebyś nigdy do tego nie wracał.

Czy on wie, że jestem jednym z tych, którzy... zjedli?... - przeraził się Marlowe. Nawet teraz - czyżby to zdarzyło się naprawdę ledwie wczoraj? - myśl o tym przyprawia o mdłości: kanibalizm. Hawkins na pewno nie wie, nie może wiedzieć, bo inaczej próbowałby mnie zabić. Ja na jego miejscu tak bym właśnie postąpił. Chociaż... Boże mój, do czego doszliśmy. To, co wydaje się złe, jest dobre, i na odwrót. Za dużo tego, żeby zrozumieć. O wiele za dużo. Głupi, zapieprzony świat! Do kogo należy te sześćdziesiąt dolarów i paczka papierosów, które zarobiłem, a jednocześnie ukradłem? A może na nie zapracowałem? Czy powinienem je zwrócić? Nie, to byłoby całkiem do niczego.

- Marlowe!

Obrócił się i zobaczył Greya, stojącego złowieszczo obok prysznic.

- Powiedziano panu, że ma się pan zameldować u mnie po powrocie?!

- Powiedziano mi, że chce się pan ze mną widzieć. Zaraz po wzięciu prysznicu zamierzałem...

- Zostawiłem rozkaz, żeby zgłosił się pan natychmiast - powiedział Grey i na jego twarzy pojawił się uśmieszek. - Zresztą nieważne. Ma pan areszt domowy.

Pod prysznicami zrobiło się cicho. Wszyscy oficerowie patrzyli i przysłuchiwali się w milczeniu.

- Za co?

Cień niepokoju na twarzy Marlowe'a niezwykle Greya uradował.

- Za nieprzestrzeganie rozkazów.

- Jakich rozkazów?

- Wie pan jakich równie dobrze jak ja.

Tak jest, pocierp, Marlowe, myślał Grey. Niech cię trochę podręczą wyrzuty sumienia, jeśli je masz, w co wątpię.

- Zamelduje się pan po kolacji u pułkownika Smedly-Taylora - powiedział. - I niech się pan ubierze jak oficer, a nie jak jakaś dziwka!

Marlowe zakręcił prysznic, wciągnął na siebie sarong i zręcznie zawiązał go na

supel, czując zaciekawione spojrzenia reszty oficerów. Zachodził w głowę, o co może chodzić, starał się jednak nie okazać zdenerwowania. Miałby dawać Greyowi powód do satysfakcji? Jeszcze czego.

- Doprawdy, Grey, jest pan tak źle wychowany, że aż trudno pana znieść - powiedział.

- Sporo się dowiedziałem na temat dobrego wychowania, sukinsynu - odparł Grey. - I cieszę się, że nie należę do tych pańskich śmierdzących sfer. Sami kanciarze, oszuści, złodzieje...

- Ostatni raz ostrzegam pana, Grey. Proszę zamknąć usta, bo inaczej sam je panu zamknę.

Grey z trudem się opanował. Miał ochotę zmierzyć się z tym człowiekiem, właśnie tu i teraz. Pobiłby go, czuł, że dałby mu radę. Wszystko jedno, chory czy zdrow. W każdej chwili.

- Jeśli kiedykolwiek wydostaniemy się z tego bagna, odszukam pana - powiedział. - Od tego zacznę. To będzie pierwsza rzecz, którą zrobię.

- Bardzo mnie to cieszy - odparł Marlowe. - Ale jeśli do tego czasu jeszcze raz mnie pan obrazi, spiorę pana na kwaśne jabłko. Biorę was na świadków - zwrócił się do obecnych. - Ostrzegłem go. Nie będę słuchał wyzwisk tej plebejskiej małpy. - Odwrócił się gwałtownie do Greya. - A teraz niech pan się trzyma ode mnie z daleka.

- Jak mogę to zrobić, jeżeli narusza pan prawo?

- Jakie prawo?

- Zgłosi się pan po kolacji do pułkownika Smedly-Taylora. I jeszcze jedno: do tego czasu obowiązuje pana areszt domowy.

Grey oddalił się. Radosne uniesienie, którym tak niedawno był przepełniony, ulotniło się niemal całkowicie. Głupio zrobił obrzucając Marlowe'a wyzwiskami. Zwłaszcza że nie było po temu powodów.

ROZDZIAŁ XVIII

Kiedy Marlowe dotarł do baraczku pułkownika Smedly-Taylor, Grey czekał już na niego na zewnątrz.

- Zamelduję pułkownikowi, że pan jest - powiedział.

- Strasznie pan uprzejmy - odparł Marlowe. Czuł się nieswojo. Drażniła go pożyczona lotnicza czapka z daszkiem. Drażniła go wystrzępiona, choć czysta koszula. Pomyślał, że o wiele sensowniejsze i wygodniejsze są sarongi. Myśl o sarongach przypomniała mu o jutrzejszym dniu. Jutro Król ma otrzymać pieniądze za brylant. Pieniądze przyniesie Shagata, a po trzech dniach wyprawią się do wioski. Może Sulina...

Głupiec z ciebie, że o niej myślisz, skarcił się w duchu. Skup się, bo za chwilę będziesz musiał ruszyć głową.

- W porządku, Marlowe. Baczość! - szczerknął Grey.

Marlowe wyprężył się i wmaszerował nienagannym defiladowym krokiem do izby pułkownika. Mijając Greya, rzucił mu szeptem: "Spierdalaj!", i to mu trochę ulżyło. W następnej chwili stał już przed pułkownikiem. Zasalutował przepisowo i utkwiał wzrok przed siebie.

Smedly-Taylor, który miał na głowie czapkę, spojrzał na niego posepnie i pedantycznie odsalutował zza stołu, gdzie leżała oficerska trzcinka. Chlubił się dyscypliną, jaką utrzymywał w obozie. Był wcieleniem wojskowego ducha. Zawsze postępował zgodnie z regulaminem.

Zmierzył wzrokiem od stóp do głów młodego oficera, który przed nim stał - a stał prosto. Pomyślał, że to dobrze, bo przynajmniej przemawia na jego korzyść. Przez dłuższą chwilę, jak to miał w zwyczaju, milczał. Najpierw należało zawsze spieszyć oskarżonego.

- No więc, kapitanie Marlowe... - przemówił wreszcie. - Co pan ma do powiedzenia na swoją obronę?

- Nic, panie pułkowniku. Nie wiem, o co jestem oskarżony.

Smedly-Taylor spojrzał zaskoczony na Greya, a potem znów groźnie na Marlowe'a.

- A może łamie pan tyle zasad, że ma pan trudności z ich zapamiętaniem? Był pan wczoraj w więzieniu. To wbrew regulaminowi. Nie miał pan na rękę opaski. To

także wbrew regulaminowi.

Marlowe odetchnął. A więc chodziło tylko o pobyt w więzieniu. Tylko zaraz, chwileczkę. A co zjedzeniem?

- A więc zrobił pan to czy nie? - spytał lakonicznie pułkownik.

- Tak jest, panie pułkowniku.

- W jakim celu był pan w więzieniu?

- Odwiedziłem kilku żołnierzy.

- Ach tak? - Pułkownik odczekał chwilę, po czym powtórzył zjadliwie: - "Odwiedziłem kilku żołnierzy".

Marlowe nic na to nie odpowiedział, czekał. I doczekał się.

- W więzieniu był również ten Amerykanin. Był pan razem z nim?

- Przez jakiś czas. To nie zabronione, panie pułkowniku. A co do tamtych dwóch zakazów, owszem, złamałem je.

- Coście tam znowu wypichcili?

- Nic, panie pułkowniku.

- A więc przyznaje pan, że jesteście czasem zamieszani w ciemne sprawy?

Marlowe był wściekły na siebie, że nie zastanowił się przez chwilę, zanim odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że z tym człowiekiem, z tym wspaniałym człowiekiem nie może rozmawiać jak równy z równym.

- Nie, panie pułkowniku - odparł i spojrzał mu w oczy.

Ale nic więcej nie powiedział. Pierwsza zasada: w obliczu dowódców odpowiada się tylko: "Tak jest, panie pułkowniku" albo "Nie, panie pułkowniku" i mówi się prawdę. Zasada głosząca, że oficerowie zawsze mówią prawdę, była czymś nienaruszalnym, a on, Marlowe, na przekór dziedzictwu pokoleń, wbrew wszystkiemu, co uznawał za słuszne, kłamał i mówił tylko część prawdy. A więc postępował źle? Ale czy na pewno?

Pułkownik Smedly-Taylor rozpoczął teraz grę, którą prowadził już wiele razy. Jeśli tylko miał na to ochotę, mógł bez trudu zabawić się kosztem podwładnego, a potem zniszczyć go.

- Proszę posłuchać, Marlowe - rzekł, przybierając ojcowski ton. - Doniesiono mi, że zadaje się pan z niepożądanym elementem. Mądrze by pan zrobił, zastanawiając się nad tym, że jest pan oficerem i dżentelmenem. Weźmy na przykład pańskie powiązania... z tym Amerykaninem. Jest to bezsprzecznie czarnorynkowy handlarz. Jeszcze go nie przyłapano, ale my wiemy o tym, a więc i pan musi o tym wiedzieć.

Radzę panu zerwać tę znajomość. Nie mogę oczywiście wydać takiego rozkazu, ale szczerze to panu doradzam.

Marlowe nie odezwał się ani słowem, cierpiąc w duchu męki. Pułkownik mówi prawdę, pomyślał, ale przecież Król to mój przyjaciel, który karmi i wspomaga zarówno mnie, jak i moją grupę. A poza tym to wspaniały, naprawdę wspaniały człowiek.

Miał ochotę powiedzieć: “Nie ma pan racji i nie obchodzi mnie to, co pan mówi. Lubię Króla, to dobry człowiek, dużo razem przeżyliśmy i często było nam wesoło”, ale jednocześnie miał ochotę przyznać się do transakcji, do wyprawy do wioski, do brylantu i do dzisiejszego pośrednictwa w sprzedaży pióra. Jednakże wyobraźnia podsunęła mu obraz Króla za kratami więzienia - pozbawionego wpływów i znaczenia. Umocnił się więc w postanowieniu, że nic nie powie.

Smedly-Taylor widział jak na dłoni wewnętrzne zmagania stojącego przed nim młodego oficera. Wystarczyłoby powiedzieć: “Niech pan poczeka za drzwiami, Grey”, a potem: “Posłuchaj, chłopcze, wiem, co cię gnębi. Mój Boże, jak sięgam pamięcią, zawsze musiałem matkować jakiemuś pułkowi. Rozumiem, że jesteś w kłopotcie - nie chcesz zdradzić przyjaciela. Postawa godna pochwały. Ale jesteś przecież oficerem zawodowym, i to z dziada pradziada - pomyśl o rodzinie, o pokoleniach oficerów, którzy zasłużyli się ojczyźnie. Pomyśl o nich. Stawką jest twój honor. Musisz mówić prawdę, takie jest prawo”. Tu nastąpiłoby ciche westchnienie, wypróbowane od dziesiątków lat, i: “Puśćmy w niepamięć ten idiotyczny zakaz wchodzenia do więzienia. Sam go już kilka razy złamałem. Gdybyś jednak chciał mi się zwierzyć...” A wtedy zawiesiłby głos, nadając tej chwili odpowiednią wagę, i wyszłyby na jaw wszystkie tajemnice Króla. Król znalazłby się w obozowym więzieniu. Tylko czemu by to mogło służyć?

Tymczasem pułkownik miał na głowie większe zmartwienie: odważniki. Mogły one doprowadzić do katastrofy o nieobliczalnych skutkach.

Smedly-Taylor pewien był, że jeśli tylko przyjdzie mu na to ochota, w każdej chwili wydobędzie z tego dzieciaka, co zechce - znał przecież swoich ludzi jak własną kieszeń. Wiedział, że jest inteligentnym dowódcą - jakże mogło być inaczej po tylu latach dowodzenia - i podstawowa zasada, jakiej przestrzegał, brzmiała: podtrzymywać szacunek oficerów dla przełożonych, traktować ich wyrozumiale dopóty, dopóki nie zaczną sobie za wiele pozwalać, a wtedy zniszczyć jednego z nich, żeby dać pozostałym nauczkę. W tym celu należało jednak wybrać odpowiednią porę,

odpowiednie przestępstwo i odpowiedniego oficera.

- A więc tak, Marlowe - powiedział stanowczym tonem. - Cofnę panu miesięczny żołd. Nie wciągnę tego do pańskiej opinii i nie będziemy już do tego wracać. Ale na przyszłość proszę nie łamać regulaminów.

- Dziękuję, panie pułkowniku - odparł Marlowe, zasalutował i wyszedł, ciesząc się, że ma raport za sobą. Niewiele brakowało, a wszystko by wygadał. Pułkownik był dobrym, porządnym człowiekiem, który słusznie cieszył się opinią sprawiedliwego dowódcy.

- Sumienie nas dręczy? - spytał czekający przed barakiem pułkownika Grey, widząc, że Marlowe jest cały spocony.

Ale Marlowe nie odpowiedział. Wciąż jeszcze zdenerwowany, odczuwał przeogromną ulgę, że udało mu się z tego wykryć.

- Grey! Pozwoli pan na chwilę - zawołał pułkownik.

- Tak jest, panie pułkowniku - odparł Grey i po raz ostatni spojrział na Marlowe'a.

Miesięczny żołd! To niewiele, zważywszy, że pułkownik miał drania w ręku. Grey był zaskoczony i zły, że Marlowe'owi tak mało się dostało. Jednakże widział już Smedly-Taylora w akcji i wiedział, że pułkownik jest nieustępliwy jak buldog i robi z ludźmi, co chce. Karząc tamtego tak lekko, musiał mieć w tym jakiś cel.

Grey wyminął Marlowe'a i wszedł do baraczk.

- Proszę zaniknąć drzwi, Grey.

- Tak jest, panie pułkowniku.

Po zamknięciu drzwi Smedly-Taylor oznajmił:

- Widziałem się już z podpułkownikiem Jonesem i sierżantem kwatermistrem Blakelym.

- Tak, panie pułkowniku - rzekł Grey i pomyślał: No, nareszcie przechodzimy do rzeczy.

- Z dniem dzisiejszym odwołałem ich z dotychczasowych funkcji - ciągnął Smedly-Taylor, obracając w ręku odważnik.

- Tak jest, panie pułkowniku - powiedział Grey, uśmiechając się radośnie. Ciekawe, kiedy odbędzie się sąd wojenny i jak go zorganizują, czy przy drzwiach zamkniętych? A może zdegradują tych dwóch do stopnia szeregowca? - myślał. Cały obóz dowie się wkrótce, że to ja, Grey, przyłapałem ich na oszustwie, że to ja, Grey, jestem obozowym aniołem stróżem. Chryste, to będzie wspaniałe!

- A poza tym zapomniamy o całej sprawie - dokończył pułkownik.

Uśmiech Greya znikł.

- Co takiego?!

- Tak. Postanowiłem zapomnieć o tej sprawie. I pan również o niej zapomni. Jednym słowem, powtarzam poprzedni rozkaz. Nie wspomni pan o tym nikomu i wymaże to zdarzenie z pamięci.

Grey osłupiał, osunął się na łóżko Smedly-Taylora i wbił w niego wzrok.

- Ależ nie możemy tego zrobić, panie pułkowniku! - wybuchnął. - Przyłapaliśmy ich na gorącym uczynku. Na kradzieży żywności dla obozu. A to znaczy, że pańskiej i mojej. Poza tym oni próbowali mnie przekupić. Przekupić! - Grey wpadł w histeryczny ton. - Chryste Panie, przecież ich przyłapałem. To złodzieje. Zaslужują na to, żeby ich powiesić i poćwiartować!!!

- To prawda - przyznał Smedly-Taylor i z powagą skinął głową. - Sądzę jednak, że w tych okolicznościach tak będzie najmądrzej.

Grey zerwał się na równe nogi.

- Nie może pan tego zrobić! - krzyknął. - Nie może pan im tego darować! Nie może pan...

- Proszę mnie nie pouczać, co mogę, a czego nie mogę!

- Przepraszam - rzekł Grey, z całych sił próbując się opanować. - Ale ci ludzie to złodzieje, panie pułkowniku. Przyłapałem ich na kradzieży. Ma pan przecież w ręku sfalszowany odważnik.

- Postanowiłem na tym zakończyć tę sprawę - powiedział spokojnie pułkownik.

- Uznaję ją za zamkniętą.

Smedly-Taylor westchnął ciężko i wziął do ręki kartkę papieru.

- Mam tu pańską opinię - powiedział. - Coś niecoś dzisiaj do niej dopisałem. Odczytani to panu: "Wysoko oceniam pracę porucznika Greya jako komendanta żandarmerii obozowej. Wykonuje on swoje obowiązki pod każdym względem wzorowo. Chciałbym polecić jego kandydaturę na pełniącego obowiązki kapitana". - Pułkownik spojrzał na Greya znad kartki. - Zamierzam przesłać to jeszcze dziś komendantowi obozu z prośbą, żeby pański awans wszedł w życie z dniem dzisiejszym. - Uśmiechnął się. - Wiadomo panu oczywiście, że komendant ma pełne prawo pana awansować. A więc, gratuluje, kapitanie Grey. Zasłużył pan na to - zakończył i wyciągnął do Greya rękę.

Ale Grey nie przyjął jej. Spojrzał tylko na nią, na kartkę papieru i zrozumiał.

- A więc to tak, ty parszywy draniu! Chce mnie pan przekupić! Nie jest pan lepszy... Może nawet jadł pan też ryż razem z nimi. Och, co za gówno, co za śmierdzące gówno...

- No, no, trzymać język za zębami, ty oficerku z awansu! Baczość! Powiedziałem: baczość!

- Pan jest z nimi w zмовie. Nie pozwolę, żeby któremuś z was uszło to na sucho! - krzyknął Grey, po czym schwycił stojący na stole odważnik i cofnął się. - Na razie nic nie mogę panu udowodnić, ale im tak. Ten odważnik...

- No, co z tym odważnikiem, Grey? Upłynęło wiele czasu, zanim Grey spojrzał na odważnik. Spód był gładki, nie naruszony.

- Spytałem: co z tym odważnikiem? - powtórzył Smedly-Taylor.

Beznadziejny głupiec, myślał z pogardą, przyglądając się, jak Grey szuka w odważniku dziury. Co za idiota. Mógłbym go sto razy kupić i sprzedać i nawet by tego nie zauważył.

- To nie jest ten, który panu dałem - wykrztusił Grey. - To nie ten sam. Nie ten sam.

- Myli się pan. To jest ten sam odważnik - powiedział z całkowitym spokojem Smedly-Taylor. - Niech pan posłucha, Grey - ciągnął łagodnym, zatroskanym tonem. - Jest pan młody. Po wojnie chce pan, o ile się nie mylę, zostać w wojsku. To świetnie. Potrzeba nam inteligentnych, pracowitych oficerów. Zawodowym wojskowym żyje się wspaniale. Na pewno. Pułkownik Samson mówił mi, jak bardzo pana ceni. Jak pan wie, to mój przyjaciel. Z pewnością uda mi się go namówić, żeby dołączył się do mojego wniosku o przyznanie panu patentu kapitana. Jest pan po prostu przepracowany, to zrozumiałe. Żyjemy w strasznych czasach. Dlatego właśnie uważam za słusne pominąć tę sprawę milczeniem. Rozpętanie skandalu w obozie byłoby bardzo nierozważnym posunięciem. Jestem pewien, że widzi pan słuszość tej decyzji.

Odczekał chwilę, gardząc w duchu Greyem, i w najważniejszym momencie - był w tej sztuce mistrzem - spytał:

- Czy chce pan, żebym przesłał wniosek o pański awans komendantowi obozu?

Grey z wolna skierował przerażony wzrok na kartkę papieru. Wiedział, że pułkownik może równie dobrze udzielić poparcia, jak je cofnąć, a tam, gdzie to się liczyło, można było też doszczętnie zniszczyć człowieka. Zrozumiał, że przegrał. Przegrał. Chciał coś powiedzieć, ale cierpienie odebrało mu mowę. Skinął tylko głową

i jak przez mgłę dotarły do niego słowa Smedly-Taylor:

- Świetnie, może pan być pewien, że pański awans na kapitana jest faktem. Jestem przekonany, że zarówno moja rekomendacja, jak i poparcie pułkownika Samsona przyczynią się wydatnie do przyznania panu po wojnie patentu.

A potem, jak gdyby bez udziału własnej woli, wyszedł z baraczkę i udał się do baraku żandarmerii, gdzie zwolnił dyżurującego strażnika, nie dbając ani trochę o to, że ten spojrział na niego jak na wariata. Kiedy został wreszcie sam, zamknął drzwi baraku, usiadł na skraju pryczy i jego cierpienie znalazło upust w płaczu.

Był załamany.

Wewnętrznie rozdarty.

Łzy zwilżyły mu twarz i ręce. Ogarnięta przerażeniem dusza zawirowała, zachwiała się na skraju niewiadomego i zapadła w wieczność...

Ocknął się na noszach niesionych przez dwóch żandarmów. W przedzie człapał doktor Kennedy. Grey wiedział, że umiera, ale było mu wszystko jedno. I wtedy ujrzał Króla, który stał przy ścieżce i przyglądał mu się z góry.

Dostrzegł jego wypucowane do połysku buty, kant na spodniach, fabrycznego papierosa, dobrze odżywione oblicze. I to mu przypominało, że jeszcze nie wszystko załatwił. Nie mógł jeszcze umrzeć. Nie mógł umrzeć, dopóki Król chodził w wyprasowanych spodniach, wypastowanych butach i z pełnym żołądkiem. Nie teraz, kiedy lada dzień miał być sprzedany brylant. O nie, na Boga, nie!

- To już chyba ostatnie rozdanie - rzekł pułkownik Smedly-Taylor. - Nie wolno nam się spóźnić na przedstawienie.

- Nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł się znowu napatrzeć na Seana - powiedział Jones, układając w ręku karty. - Dwa kara - zameldował z pewną siebie miną, rozpoczynając licytację.

- Masz diabelne szczęście - odezwał się uszczypliwie Sellars. - Dwa piki.

- Pas.

- To diabelne szczęście nie zawsze mu dopisuje - rzekł Smedly-Taylor z bladym uśmiechem. Jego kamienny wzrok spoczął na Jonesie. - Dziś na przykład zachował się pan bardzo głupio.

- Po prostu miałem pecha.

- Pech to żadne usprawiedliwienie - odparł Smedly-Taylor przyglądając się swoim kartom. - Powinien pan być sprawdzić. To, że pan tego nie zrobił, świadczy o

nieudolności.

- Powiedziałem już, że przepraszam. Myśli pan, że nie zdaję sobie sprawy, jakie palnąłem głupstwo? To się już nigdy nie powtórzy. Nigdy. Nie wiedziałem, co to znaczy wpaść w panikę.

- Dwa bez atutu - zaliczył Smedly-Taylor i uśmiechnął się do Sellarsa. - W ten sposób zrobimy robota. Poprosiłem komendanta - zwrócił się znów do Jonesa - żeby na pańskie miejsce wyznaczył Samsona, bo panu potrzebny jest odpoczynek. W ten sposób Grey straci trop. Aha, kwatermistrzem będzie sierżant Donovan. - Zaśmiał się. - Szkoda, że musimy zmienić system, ale trudno. Trzeba tylko czymś zająć Greya w te dni, kiedy będzie się używać fałszywych odważników. - Przeniósł wzrok na Sellarsa. - Pan się tym zajmie.

- Doskonale.

- A przy okazji: cofnąłem Marlowe'owi za karę miesięczny żołd. Zdaje się, że on mieszka w jednym z pańskich baraków.

- Tak - potwierdził Sellars.

- Potraktowałem go łagodnie, ale to porządny chłopak, pochodzi z dobrej rodziny, nie jak ten plebejski chamuś Grey. A jaki bezczelny! Uwierzył, że pomogę mu zdobyć patent oficerski! Właśnie takich jak on uliczników nie potrzeba nam w zawodowej armii. Broń nas Panie Boże! Nie dostanie tego patentu, chyba że po moim trupie!

- Całkowicie się z panem zgadzam - rzekł z niesmakiem Sellars. - Ale co do Marlowe'a, to powinien pan mu cofnąć nie miesięczny, a kwartalny żołd. Stać go na to. Ten cholerny Amerykanin trzyma w ręku cały obóz.

- Do czasu - mruknął Smedly-Taylor i ponownie wsadził nos w karty w nadziei, że nikt nie zwrócił uwagi na to, co mu się właśnie wymknęło.

- Ma pan przeciwko niemu jakieś dowody? - spytał od niechcienia Jones, po czym dodał: - Trzy kara.

- Niech cię szlag - rzekł Sellars. - Cztery piki.

- Pas.

- Sześć pików - zaliczył Smedly-Taylor.

- Naprawdę może pan coś udowodnić temu Amerykaninowi? - powtórzył pytanie Jones.

Pułkownik Smedly-Taylor nie zmienił wyrazu twarzy. Wiedział o pierścieniu z brylantem, o umowie i o tym, że pierścień wkrótce zmieni właściciela. A także to, że

kiedy pieniądze znajdą się w obozie... Cóż, został obmyślony plan, dobry, pewny plan ich zdobycia. Pułkownik odchrząknął i uśmiechnąwszy się półgębkiem, rzekł bezceremonialnie:

- Jeżeli nawet mogę, to panu z pewnością o tym nie powiem. Panu nie można ufać.

Uśmiechnął się.

I wtedy uśmiechnęli się wszyscy - z ulgą.

Marlowe i Larkin dołączyli do potoku jeńców śpieszących do obozowego amfiteatru.

Scena była już oświetlona, a z góry świecił księżyc. Amfiteatr mógł pomieścić naraz dwa tysiące osób. Za siedzenia służyły deski oparte na palmowych pniach i rozchodzące się wachlarzowato od sceny. Każde przedstawienie powtarzano pięciokrotnie, tak żeby wszyscy mogli je zobaczyć przynajmniej raz. Zawsze bardzo zabiegano o miejsca, które przydzielane były drogą losowania.

Prawie wszystkie rzędy, z wyjątkiem tych na przodzie, były już nabite ludźmi. W pierwszych rzędach, przed żołnierzami, zasiadali oficerowie, którzy przychodzili na ostatku. Tylko Amerykanie nie mieli takiego zwyczaju.

- Hej, wy dwaj! - zawołał Król. - Chcecie usiąść z nami?

Siedział na bardzo korzystnym miejscu przy przejściu między rzędami.

- Owszem, chciałbym, ale sam rozumiesz... - odparł zakłopotany Marlowe.

- Tak. No, to tymczasem.

Marlowe spojrzał na Larkina i poznał po jego minie, że on także uważa, iż to brzydko nie siadać z przyjaciółmi, jeśli ma się na to ochotę, a jednocześnie, że nie powinni tu siadać.

- Czy... czy chciałby pan tu usiąść, pułkowniku? - spytał uchylając się od decyzji i nienawidząc siebie za to.

- Czemu nie? - odparł Larkin.

Mocno zakłopotani, czując na sobie zdumione spojrzenia, usiedli ze świadomością, że zdradzają uświęcony zwyczaj.

- Hej, pułkowniku - powiedział Brough nachylając się ku nim z twarzą zmarszczoną uśmiechem - dostanie się panu po głowie. Zły przykład, rozluźnienie dyscypliny itp. itd...

- Jeśli mam ochotę tu siedzieć, to będę siedział - odparł Larkin, żalując w

duchu, że tak łatwo na to przystał.

- Jak leci, Peter? - spytał Król.

- Dobrze, dziękuję - odparł Marlowe, starając się przezwyciężyć skrepowanie. Miał wrażenie, że wszyscy na niego patrzą. Jeszcze nie zdążył opowiedzieć Królowi o sprzedaży pióra ani o tym, że Smedly-Taylor wziął go na spytki i że o mały włos nie pobił się z Greyem...

- Dobry wieczór, Marlowe.

Marlowe uniósł głowę i wzdrygnął się. Obok przechodził Smedly-Taylor, wzrok miał kamienny.

- Dobry wieczór, panie pułkowniku - odparł słabym głosem. O mój Boże, tylko tego mi brakowało, pomyślał.

Ogólne podniecenie wzrosło wraz z pojawieniem się komendanta obozu, który przeszedł pomiędzy ławami i zajął miejsce w pierwszym rzędzie, tuż przed sceną. Światła przygasły, kurtyna rozjechała się na boki. Na scenie siedziała pięcioosobowa orkiestra, a na samym środku stał jej dyrygent, Phil.

Rozległy się brawa.

- Dobry wieczór - zaczął Phil. - Przedstawimy dziś nową sztukę Franka Parrisha pod tytułem *Trójkąt*, której akcja toczy się przed wojną w Londynie. Wystąpią Frank Parrish, Bród Rodrick oraz jedyny i неповtarzalny Sean Jennison...

Rozległy się burzliwe oklaski. Wiwaty. Gwizdy. Okrzyki: "Gdzie jest Sean?", "Przed którą wojną?", "Niech żyje Anglia!", "Na co czekacie?", "My chcemy Seana!"

Phil zamasztył gestem dał znak orkiestrze i rozległy się pierwsze takty uwertury.

Wraz z rozpoczęciem przedstawienia Marlowe odprężył się.

I wtedy zdarzyło się coś неповtarzalnego.

Nagle u boku Króla wyrósł Dino i szepnął mu coś w podnieceniu do ucha.

- Gdzie? - usłyszał Marlowe pytanie Króla, a potem: - Dobra, Dino. Dyguj z powrotem do baraku.

Król nachylił się ku niemu.

- Musimy iść, Peter - powiedział. Twarz miał ściągniętą, mówił ledwie dosłyszalnym szeptem. - Pewien gość chce się koniecznie z nami widzieć.

Boże święty! Shagata! - pomyślał Marlowe. Co teraz?

- Nie możemy przecież tak po prostu wstać i wyjść - zaprotestował.

- Jak to: nie możemy?! Obaj mamy sraczkę. Chodź - rzekł Król i nie czekając na

odpowiedź ruszył przejściem w górę.

Marlowe podążył za nim, czując się jak obnażony pod zdumionymi spojrzeniami.

Odnaleźli Shagatę w cieniu, na tyłach sceny. On także był zdenerwowany.

- Wybaczcie, że tak źle się zachowałem i wezwałem was nagle, ale mamy kłopot - oznajmił. - Jedna z dżonek naszego wspólnego przyjaciela wpadła w ręce tej niegodziwej policji, która zarzuca mu przemyt i właśnie go przesłuchuje. - Shagata bez karabinu czuł się zagubiony, a poza tym zdawał sobie sprawę, że jeśli go przyłapią na terenie obozu, kiedy nie ma służby, trafi na trzy tygodnie do ciasnej, pozbawionej okna celi. - Przyszło mi na myśl, że jeśli nasz przyjaciel będzie przesłuchiwany brutalnie, może o nas wspomnieć.

- Chryste - wyszeptał Król i drżącą ręką wziął podanego mu papierosa.

Wszyscy trzej cofnęli się głębiej w cień.

- Pomyślałem sobie - ciągnął pośpiesznie Shagata - że pan, jako człowiek doświadczony, może mieć plan, który pozwoliłby nam wyjść z tej opresji.

- Proszę, jaki optymista! - prychnął Król. Gorączkowo szukał w myślach jakiegoś rozwiązania, ale odpowiedź była niezmiennie ta sama: czekać i drzeć.

- Peter, spytaj go, czy Czeng San był na tej dżonce, kiedy ją zatrzymano.

- Mówi, że nie.

Król westchnął.

- W takim razie może Czeng Sanowi uda się jakoś z tego wywinąć - powiedział i po kolejnej chwili namysłu dodał: - Cholera, pozostaje nam tylko czekać. Powiedz mu, żeby nie wpadał w panikę. Musi mieć stały dopływ informacji o Czeng Sanie, żebyśmy wiedzieli, czy nie zaczął gadać. Jeżeli okaże się, że interes jest spalony, musi nam przesłać wiadomość.

Marlowe przetłumaczył słowa Króla na malajski.

Shagata wciągnął przez zęby powietrze i rzekł:

- Podziwiam wasz spokój, bo ja trzęsę się ze strachu. Jeżeli mnie złapią, to będę miał szczęście, jeśli od razu zostaną rozstrzelany. Zrobię, jak pan mówi. Jeżeli was złapią, błagam, starajcie się nie wymieniać mojego nazwiska. Ja ze swej strony uczynię to samo. - Obejrzał się nerwowo, bo rozległ się cichy, ostrzegawczy gwizd. - Muszę iść. Gdyby wszystko poszło dobrze, będziemy się trzymać planu. - W pośpiechu wetknął Marlowe'owi do ręki paczkę papierosów. - Nie wiem nic o panu ani o bogach, jacy się panem opiekują, ale może mi pan wierzyć, że ja modłę się do swoich bogów

długo i żarliwie za was wszystkich.

Powiedziawszy to, znikł.

- A jeżeli Czeng San puści farbę? - spytał Marlowe ze ściśniętym gardłem. - Co wtedy?

- Uciekniemy - odparł Król. Drżącymi dłońmi zapalił drugiego papierosa i oparłszy się o ścianę sceny wtulił się w cień. - Lepsze to niż Outram Road.

Za jego plecami, przy akompaniamencie braw, wiwatów i śmiechu, dobiegła końca uwertura. Ale oni nie słyszeli ani braw, ani wiwatów, ani śmiechu.

Stojący za kulisami Rodrick miał groźne spojrzenia na pomocników, którzy ustawiali na scenie rekwizyty, popędzał ich i poganiał.

- Majorze! - krzyknął biegnąc do niego Mike. - Sean dostał ataku. Płacze, aż się zanosi!

- Co się stało, jak Boga kocham? Przed chwilą wszystko było dobrze - wybuchnął Rodrick.

- Żebym to ja wiedział - odrzekł z ponurą miną Mike.

Rodrick zaklął i pośpieszył do garderoby. Z niepokojem zapukał do drzwi.

- Sean, to ja. Mogę wejść? - spytał.

Zza drzwi dobiegł stłumiony szloch.

- Nie. Odejdź. Nie wyjdę na scenę. Po prostu nie mogę.

- Sean, nic się przecież nie stało. Jesteś tylko przemęczony. Zrozum...

- Idź sobie i zostaw mnie w spokoju - krzyknął histerycznie Sean zza zamkniętych drzwi. - Nie wyjdę na scenę!

Rodrick nacisnął klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Popędził z powrotem na scenę.

- Frank! - zawołał.

- Czego chcesz? - spytał spocony i zirytowany Parrish z wysokości drabiny, gdzie stał walcząc z lampą, która nie chciała się zapalić.

- Schodź! Muszę z tobą...

- Kurczę blade, nie widzisz, że jestem zajęty? Poradź sobie sam - wściekał się. - Czyja zawsze muszę wszystko robić? Muszę się jeszcze przebrać. Nawet nie jestem ucharakteryzowany! - Znów spojrzał na pomost nad głową. - Duncan, spróbuj może tamte drugie przełączniki. Prędejj, człowieku, nie ma czasu.

Zza kurtyny dobiegały coraz liczniejsze gwizdy zniecierpliwienia. No i co mam teraz zrobić? - zapytywał się w duchu rozgorączkowany Rodrick. Ruszył z powrotem

do garderoby.

Wtedy dostrzegł stojących przed bocznym wejściem Marlowe'a i Króla. Zbiegł do nich po schodkach.

- Marlowe, musi mi pan koniecznie pomóc!

- O co chodzi?

- Sean histeryzuje - mówił zdyszany Rodrick. - Odmawia wyjścia na scenę. Niech pan z nim porozmawia. Błagam. Nie chce mnie słuchać. Błagam pana, niech pan z nim porozmawia. Dobrze?

- Ale...

- To zajmie panu jedną chwilę - przerwał mu Rodrick. - W panu moja ostatnia nadzieja. Błagam pana. Już od wielu tygodni martwię się o Seana. Taką rolę trudno byłoby *zagrać* kobiecie, a co dopiero... - Urwał, a potem dodał bezsilnie: - Marlowe, bardzo pana proszę. Boję się o niego. Oddałby pan nam wszystkim ogromną przysługę.

Marlowe zawahał się.

- Dobrze - powiedział wreszcie.

- Nie wiem, jak panu dziękować, kochany.

Rodrick otarł pot z czoła i poszedł przodem przez panujące na scenie piekło, kierując się w głąb budynku, za nim z ociąganiem podążał Marlowe, a za nimi zatopiony w myślach Król, rozważający, jak, gdzie i kiedy zorganizować ucieczkę.

Zatrzymali się w małym korytarzyku. Marlowe z niepokojem zapukał do drzwi.

- Sean? To ja, Peter. Czy mogę wejść? - spytał.

Do przerażonego Seana, który osunął się na toaletkę, głos Marlowe'a docierał jak przez mgłę.

- To ja, Peter. Mogę wejść?

Sean wstał i odsunął rygiel. Spływające mu po twarzy łzy rozmazywały makijaż. Marlowe wszedł do garderoby niepewnym krokiem. Sean zamknął drzwi.

- Już dłużej nie mogę, Peter. Koniec ze mną - powiedział bezradnie. - Już nie mogę udawać, nie mogę. Jestem skończony, skończony! Boże, pomóż mi! - Ukrył twarz w dłoniach. - Co mam robić? Już nie daję rady. Jestem niczym. Niczym!

- Wszystko będzie dobrze, Sean - pocieszał go Marlowe, przejęty do głębi współczuciem. - Nie trzeba się martwić. Jesteś bardzo ważny. Jeśli chcesz wiedzieć, to jesteś najważniejszą osobą w obozie.

- Wolalbym nie żyć.

- To za proste.

Sean obrócił się twarzą do Marlowe'a.

- Spójrz tylko na mnie! Kim ja jestem! Na miłość boską, kim ja jestem?!

Wbrew własnym chęciom Marlowe widział przed sobą tylko dziewczynę, dziewczynę szarpaną wątpliwościami i budzącą współczucie. Dziewczynę ubraną w białą spódnicę, buty na wysokich obcasach, której długie nogi obleczone były w jedwabne pończochy i pod której bluzką rysowały się krągłe piersi.

- Jesteś kobietą, Sean - powiedział bezradnie. - Nie wiem, jakim sposobem ani dlaczego... ale jesteś kobietą.

W tym momencie przerażenie, nienawiść do samego siebie i udręka opuściły Seana.

- Dziękuję ci, Peter. Dziękuję ci z całego serca - powiedział.

Ktoś nieśmiało zapukał do drzwi.

- Za dwie minuty wychodzimy na scenę - rozległ się zza drzwi niespokojny głos Franka Parrisha. - Mogę wejść?

- Jedną chwileczkę - powstrzymał go Sean. Podszedł do toaletki, starł ślady łez, przypudrował twarz i przejrzał się w lustrze. - Wejdz, Frank - zawołał.

Na widok Seana Frankowi, jak zawsze zresztą, zapało dech w piersiach.

- Wyglądasz cudownie! - powiedział. - Już wszystko dobrze?

- Tak. Chyba się trochę wygłupiłem. Przepraszam.

- To z przepracowania - powiedział Frank, kryjąc niepokój. Spojrzał na Marlowe'a. - Dobry wieczór, miło mi pana widzieć.

- Dziękuję.

- Idź już, Frank, bo się spóźnimy. Już mi przeszło - powiedział Sean.

Frank, głęboko poruszony dziewczęcym uśmiechem Seana, bezwiednie wpadł w rolę, jaką razem z Rodrickiem przed trzema laty zaczęli grać i czego od tamtej pory gorzko żalowali.

- Będiesz wspaniała, Betty - powiedział przytulając Seana. - Jestem z ciebie dumny.

Ale tym razem, w odróżnieniu od innych niezliczonych okazji, stali się nagle kobietą i mężczyzną. Sean miękko oparł się całym ciałem o Franka. Potrzebował go każdą najmniejszą cząsteczką swojej istoty. A Frank pojął tę potrzebę.

- Zaraz... za chwilę wchodzimy na scenę - powiedział drżącym głosem, wytrącony z równowagi nagłym przyływem pożądania. - Muszę... muszę się przebrać

- dodał i wyszedł.

- W takim razie... chyba wrócę na swoje miejsce - powiedział Marlowe. Był głęboko zaniepokojony. Bardziej wyczuł, niż zobaczył iskrę porozumienia, która połączyła tych dwóch.

- Dobrze - odparł Sean, ledwie dostrzegając jego obecność.

Jeszcze jedno spojrzenie w lustro, czy makijaż jest w porządku, i po chwili Sean czekał już za kulisami na znak, żeby wejść na scenę. Jak zwykle radosne uniesienie mieszało się z przerażeniem. A potem wszedł na scenę i przeistoczył się. To na jej cześć wiwatowano, to ona była przedmiotem zachwyty i pożądania, to ją śledziły oczy, kiedy siadała zakładając nogę na nogę, kiedy chodziła i mówiła, to ku niej wędrowały spojrzenia, dotykając jej, sycąc się nią. Ona i spojrzenia stały się jednością.

- Majorze, dlaczego nazywacie go Betty? Co to znowu za historia? - spytał Marlowe, który z Królem i Rodrickiem oglądał przedstawienie zza kulis.

- Ach, to ciąg dalszy tej beznadziejnej maskarady - odparł przygnębiony Rodrick. - Betty to imię postaci, którą Sean gra w tym tygodniu. Nazywamy go, to znaczy, Frank i ja, nazywamy go zawsze imieniem bohaterki sztuki, w której aktualnie występuje.

- Dlaczego? - spytał Król.

- Żeby mu pomóc. Pomóc mu wcielić się w rolę. - Rodrick obejrzał się, oczekując na sygnał do wejścia na scenę. - Zaczęło się od zabawy, ale teraz to już tylko niesmaczny żart - dodał z goryczą. - To my stworzyliśmy tę... kobietę. To my jesteśmy za to odpowiedzialni.

- Jak to? - spytał wolno Marlowe.

- Pamiętacie, jak ciężko było na Jawie - rzekł Rodrick i zerknął na Króla. - Ponieważ przed wojną byłem aktorem, polecono mi zorganizować w obozie teatr amatorski. - Mimo woli spojrzął na scenę, na Franka i Seana. Pomyślał, że są dziś jacyś niezwykli. Uważnie przyjrzał się ich grze i zrozumiał, że grają jak natchnieni. - Jedyną osobą w obozie zawodowo związaną z teatrem był Frank, zabraliśmy się więc razem do przygotowań. Ale kiedy przyszło nam obsadzić role, okazało się oczywiście, że musimy mieć kogoś do ról kobiecych. Ponieważ ochotników nie było, dowództwo wyznaczyło paru ludzi. Jednym z nich był Sean. Nie chciał się zgodzić i ostro protestował, ale wiecie, jacy uparci są wyżsi oficerowie. Ktoś przecież musi zagrać dziewczynę, perswadowali mu. A wy jesteście młodzi i akurat się do tego nadajecie. Golicie się najwyżej raz na tydzień. W końcu chodzi tylko o to, żeby na parę godzin

zmienić ubranie. Pomyślcie, jak to wpłynie na ogólne morale. I choć Sean się wściekał, błagał, przeklinał, nic mu to nie pomogło. Prosił mnie, żebym go nie przyjmował. A ponieważ nie należy wiele oczekiwać po kimś, kto nie chce współpracować, próbowałem pozbyć się go z naszej trupy. “Zrozumcie, przekonywałem dowództwo, gra na scenie, to olbrzymie obciążenie psychiczne...” Bzdura, odpowiedziano mi. Co to komu może zaszkodzić? “Odgrywanie ról kobiecych może go wypaczyć. Gdyby miał najmniejszą skłonność...” Głupie gadanie, usłyszałem w odpowiedzi. Wy, aktorzy, macie przewrócone w głowach. Sierżant Jennison? Niemożliwe! Przecież temu chłopakowi nic nie brakuje! Pilot jak się patrzy! Niech pan posłucha, majorze. Skończmy z tym. Ma pan go przyjąć do teatru, a on ma grać. To rozkaz!

Tak więc próbowaliśmy z Frankiem obłaskawić Seana, ale on zaklinał się, że będzie najgorszą aktorką na świecie i że już się postara o to, żeby go wyrzucono po pierwszym fatalnie nieudanym występie. Powiedzieliśmy mu, że może robić, co chce, i że nas to wcale nie obchodzi. Za pierwszym razem zagrał okropnie. Ale potem jego niechęć do gry jakby zmaląła, a nawet, ku swojemu zdziwieniu, polubił ją. Wtedy dopiero zabraliśmy się na serio do roboty. Dobrze było mieć jakieś zajęcie, człowiek przestawał myśleć o parszywym żarciu i obozie. Uczyliśmy go, jak kobieta mówi, chodzi, siedzi, pali papierosa, popija z kieliszka, jak się ubiera, a nawet, jak myśli. Potem, żeby utrzymać go w odpowiednim nastroju, zaczęliśmy bawić się w udawanie. Ile razy byliśmy w teatrze, wstawaliśmy, kiedy wchodził, podsuwaliśmy mu krzesło, no i w ogóle traktowaliśmy go jak prawdziwą kobietę. Z początku była to fascynująca gra: podtrzymywaliśmy złudzenia, pilnowaliśmy, żeby nikt nie widział Seana, kiedy się przebierał, zwracaliśmy też uwagę, żeby jego stroje maskowały go, a jednocześnie to i owo sugerowały. Wystaraliśmy się nawet o specjalne zezwolenie na osobny pokój. Z własnym prysznicem.

A potem, niespodziewanie, nasze wskazówki przestały mu być potrzebne. Na scenie całkowicie przeistaczał się w kobietę.

Stopniowo ta kobiecość zaczęła brać w nim górę również poza sceną, tyle że my tego nie zauważyliśmy. W tym czasie Sean zdążył już zapuścić długie włosy, zresztą trzeba przyznać, że peruki, którymi dysponowaliśmy, były do niczego. Potem przestał się przebierać i cały czas chodził ubrany jak kobieta. Aż pewnego razu ktoś napadł na niego i chciał go zgwałcić.

Po tym wydarzeniu Sean o mały włos nie zwariował. Starał się zdusić w sobie tę

kobiecość, ale mu się nie udawało. Potem próbował popełnić samobójstwo. Co oczywiście zatuszowano. Ale jemu nic to nie pomogło, było z nim jeszcze gorzej niż przedtem i przeklinał nas za to, że go odratowaliśmy.

Kilka miesięcy później znów ktoś próbował go zgwałcić. Od tej chwili Sean ostatecznie zrezygnował z męskości.

- Nie mam zamiaru dłużej z tym walczyć - powiedział. - Chcieliście, żebym był kobietą, no to teraz wszyscy uwierzyli, że nią jestem. Dobrze. Będę nią. Czuję się nią w środku, więc niczego już nie muszę udawać. Jestem kobietą i macie mnie w związku z tym odpowiednio traktować.

Próbowaliśmy z Frankiem przemówić mu do rozsądku, ale nie docierały do niego żadne nasze argumenty. Powiedzieliśmy więc sobie, że to niedługo potrwa, że później Sean znów wróci do siebie. On naprawdę wspaniale podtrzymywał wszystkich na duchu, a poza tym wiedzieliśmy, że nie uda nam się znaleźć nikogo do kobiecych ról, kto choć trochę by mu dorównywał. Machnęliśmy więc ręką i dalej prowadziliśmy naszą grę. Biedny Sean. Wspaniała z niego człowiek. Gdyby nie on, Frank i ja dawno pożegnaliśmy się z tym światem.

Ryk wiwatów powitał Seana, który właśnie wchodził na scenę po przeciwnej stronie.

- Nie macie pojęcia, ile dla aktora znaczą brawa, brawa i uwielbienie - powiedział Rodrick na wpuł do siebie. - Musielibyście sami to przeżyć. Tam, na scenie. Nie macie o tym pojęcia. To jest fantastycznie podniecające, jak jakiś straszny, przerażający, wspaniały narkotyk. A skupiało się to zawsze na Seanie. Zawsze. I nie tylko to, ale także żądza - wasza, moja, nas wszystkich.

Rodrick otarł z potu twarz i rękę.

- Tak, my jesteśmy za to odpowiedzialni. Niech nam Bóg przebaczy - powiedział.

Na dany znak wyszedł na scenę.

- Chcesz wrócić na miejsce? - spytał Marlowe Króla.

- Nie. Oglądajmy stąd. Nigdy w życiu nie byłem za kulisami teatru. A zawsze o tym marzyłem - odparł Król, martwiąc się, że może właśnie w tej chwili Czeng San śpiewa wszystko policji. Wiedział jednak, że martwienie się nic nie daje. Siedzieli w tym po uszy i był przygotowany na każdą ewentualność. Spojrzał na scenę. Patrzył na Rodricka, Franka i Seana. Potem jego wzrok spoczął na Seanie. Śledził każdy jego ruch, każdy gest.

Wszyscy na niego patrzyli. Zauroczeni.

Sean, Frank, wlepione w nich spojrzenia - wszystko to stało się jednością, a rodzące się na scenie pożądanie ogarnęło i aktorów, i widzów, obnażając ich myśli i uczucia.

Gdy opadła kurtyna po ostatnim akcie, zaległa cisza jak makiem zasiał. Widzowie siedzieli jak urzeczeni.

- Mój Boże, to największy komplement, jakim mogli nas obdarzyć - powiedział oszołomiony Rodrick. - Oboje na to zasłużyliście, graliście jak natchnieni. Naprawdę.

Kurtyna zaczęła się rozsuwać i przeraźliwą ciszę przerwała burza oklasków, a potem dziesięć razy wywoływano aktorów na scenę i klaskano, aż wreszcie Sean został na scenie sam, upajając się życiodajnym uwielbieniem.

Wśród nie milknącej owacji Rodrick i Frank po raz ostatni wyszli przed kurtynę, żeby wspólnie nacieszyć się sukcesem - dwaj twórcy i ich dzieło: piękna dziewczyna, która była ich dumą, a zarazem karą za to, co zrobili.

Widzowie opuszczali amfiteatr w milczeniu. Każdy myślał o domu, o niej, zatopiony w bolesnych domysłach. Co ona teraz robi?

Najbardziej wstrząśnięty był Larkin. Dlaczego nazwali tę dziewczynę Betty? Dlaczego? A moja Betty... Czy... czy byłaby zdolna?... Może teraz, może jest teraz w czyichś objęciach?

Mac też był wstrząśnięty. Ogarnął go strach o Mem. A może statek zatonął? Czy ona żyje? A syn? Czy Mem... byłaby zdolna... do... byłaby? Tyle czasu, mój Boże, jak długo...?

Tak samo Peter Marlowe. Co z N'ai? - myślał. Jedyne moja ukochana, ukochana.

Wszyscy.

Nawet Król. Zastanawiał się, z kim ona może teraz być - urokliwe zjawisko, które widział jeszcze jako kilkunastoletni chłopak pozostający na garnuszku ojca - dziewczyna, która przykładając do nosa poperfumowaną chusteczkę powiedziała, że biała biedota śmierdzi gorzej od czarnej.

Uśmiechnął się szyderczo. To ci dopiero była panna, pomyślał i zajął się ważniejszymi sprawami.

Tymczasem w teatrze pogasły już światła i wszyscy sobie poszli, prócz dwójga ludzi zamkniętych w garderobie.

Księga czwarta

ROZDZIAŁ XIX

Król i Marlowe niecierpliwili się coraz bardziej. Shagata bardzo się spóźniał.

- Ale parszywa noc. Spociłem się jak mysz - powiedział z rozdrażnieniem Król.

Siedzieli w zajmowanym przez niego kącie baraku. Marlowe przyglądał się, jak Król stawia pasjansa. W parnym powietrzu, które spowijało obóz, pod bezksiężycowym niebem wisiało jakieś napięcie. Ucichł nawet nieustanny chrobot dochodzący spod baraku.

- Jeżeli w ogóle ma przyjść, to wołałbym, żeby już tu był - odezwał się Marlowe.

- A ja chciałbym wiedzieć, co się, do jasnej cholery, dzieje z Czeng Sanem. Skurwysyn mógłby przynajmniej przesłać wiadomość.

Po raz nie wiadomo który Król wyjrzał przez okno i popatrzył w stronę ogrodzenia z kolczastego drutu. Wypatrywał sygnału od partyzantów, którzy powinni -którzy musieli - tam być! Ale nie dostrzegł najmniejszego ruchu, żadnego znaku. Dżungla, tak jak obóz, zamarała w omdlewającej duchocie.

Marlowe skrzywił się z bólu, zginając palce lewej dłoni i układając wygodniej obolałą rękę.

Król obejrzał się na niego.

- Jak z twoją ręką? - spytał.

- Boli jak cholera, bracie.

- Powinieneś pójść z tym do lekarza, żeby obejrzał.

- Jestem zapisany na jutro.

- Przeklęty pech!

- Wypadki chodzą po ludziach. Nic na to nie poradzisz.

Do wypadku doszło przed dwoma dniami, podczas ściągania drewna na opał. W jednej chwili Marlowe zapierał się nogami w grzęzawisku, uginając się pod ciężarem pnia z korzeniami, który wraz z dwudziestoma parami innych spoconych rąk wciągał na przyczepę, a w następnej dłonie ześlizgnęły mu się i ręka dostała się między pień a przyczepę. Czuł, jak twarde zadry rozrywają mu mięsień, a ciężki pień omal nie druzgoce kości. Wrzeszczał z bólu na całe gardło.

Minęło kilka minut, zanim pozostali unieśli pień, wyciągnęli spod niego bezwładną rękę i ułożyli Marlowe'a na ziemi. Krew sączyła się i wsiąkała w muł, a dokoła zaroilo się od much, komarów i innych owadów podrażnionych jej słodkim zapachem. Rana miała kilkanaście centymetrów długości, kilka centymetrów szerokości i w paru miejscach była głęboka. Jego towarzysze powyciągali z niej spiczaste drzazgi, przemyli ją wodą i ile się dało, oczyścili. Założyli mu opaskę uciskową, a potem, wyteżywszy wszystkie siły, wepchnęli pień na przyczepę i pociągnęli ją w pocie czoła do obozu. Marlowe szedł obok nękany napadami mdłości.

Doktor Kennedy obejrzał i obficie zajodynował ranę, a Steven przez cały czas trzymał zeszywniałego z bólu Marlowe'a za drugą, zdrową rękę. Potem doktor posmarował część rany maścią cynkową, a resztę tłustą mazią, żeby krzepnąca krew nie zlepiła się z opatrunkiem. W końcu zabandażował rękę.

- Ma pan cholerne szczęście - powiedział. - Żadnych złamań, mięśnie nie uszkodzone. W zasadzie jest to rana powierzchowna. Proszę przyjść za parę dni. Jeszcze raz do niej zajrzemy.

Król poderwał głowę znad kart, bo do baraku wbiegł Max.

- Są kłopoty oznajmił cichym, napiętym głosem. - Grey wyszedł właśnie ze szpitala i idzie w tę stronę.

- Śledźcie go, Max. Wyślij Dina.

- Dobra - odparł Max i wybiegł.

- Co o tym myślisz, Peter?

- Jeżeli Grey wyszedł ze szpitala, to znaczy, że coś wie.

- Pewnie, że wie.

- Jak to?

- Jasna sprawa. W baraku jest kapuś.

- O rany. Jesteś pewien?

- Tak. I wiem, kto nim jest.

Król położył czarną czwórkę na czerwonej piątce, a czerwonej piątce na czarnej szóstce i zagarnął kolejnego asa.

- Kto?

- Tego ci nie powiem, Peter - odparł Król i uśmiechnął się z przymusem. - Lepiej, żebyś nie wiedział. Ale Grey ma tu swoją wtyczkę.

- I co chcesz zrobić z tym fantem?

- Nic. Na razie. Może później rzucę go szczerom na pożarcie - rzekł z

uśmiechem Król i zmienił temat. - Świetny pomysł z tą hodowlą, no nie?

Marlowe zamyślił się nad tym, co by zrobił, gdyby wiedział, kto donosi. Był pewien, że Yoshima też ma gdzieś w obozie swojego szpicla, tego, który wydał Davena, nie został jeszcze przyłapany, działa bezimiennie i właśnie szuka radia ukrytego w manierkach. Pomyślał, że Król mądrze robi zatrzymując wiadomość dla siebie, bo w ten sposób unika się wpadki. I nie miał mu za złe, że nie wyjawiał, kto jest zdrajcą. Ale mimo wszystko zastanawiał się, kto nim może być.

- Naprawdę myślisz, że to... mięso da się jeść? - spytał.

- Skąd mam wiedzieć - odparł Król. - Niedobrze się robi, jak o tym pomyśleć. Ale, a jest to duże „ale”, interes to interes. Przy naszej smykałce pomysł jest genialny!

Marlowe uśmiechnął się, zapominając o bolącej ręce.

- Tylko pamiętaj. Pierwsze udko dla mnie.

- Chcesz je podsunąć komuś, kogo znam?

- Nie.

Król roześmiał się.

- Chyba nie zataisz tego przed kumplem? - powiedział.

- Powiem ci po fakcie.

- I tak w końcu wychodzi na to, że mięso to mięso, a jedzenie to jedzenie. Weź na przykład tamtego psa.

- Spotkałem Hawkinsa parę dni temu.

- No i co?

- Nic. Oczywiście nie miałem najmniejszego zamiaru o tym mówić, a on też nie chciał do tego wracać.

- Przesadza. Było, nie ma i już - rzekł Król. - Żeby ten Shagata wreszcie przyszedł - dodał z niepokojem, odwracając karty.

- Hej! - zawołał przez okno Tex.

- Co jest?

- Timsen mówi, że właściciel zaczyna panikować. Jak długo chcesz czekać?

- Pójdę do niego - powiedział Król. Wysunął się przez okno i szepnął: - Pilnuj „sklepu”, Peter. Będę niedaleko.

- Dobrze - odparł Marlowe. Zebrał karty i zaczął je tasować, wstrząsany dreszczami, a ból na przemian to się nasilał, to malał.

Król szedł trzymając się cienia. Czuł, że śledzi go wiele par oczu. Niektóre należały do jego straży, reszta była wroga i obca. Gdy dotarł do Timsena, Australijczyk

zlany był potem.

- Cześć, kolego - przywitał go Timsen. - Nie mogę go tu trzymać bez końca.

- A gdzie on jest? - spytał Król.

- Przyjdzie twój człowiek, to go przyprowadzę. Taka była umowa. Jest niedaleko.

- No to pilnuj go dobrze. Nie chcesz chyba, żeby go ktoś załatwił?

- Ty rób swoje, ja swoje. Ma dobrą obstawę.

Timsen zaciągnął się papierosem i podał go Królowi.

- Dziękuję - powiedział Król i skinął na mur więzienia po wschodniej stronie. - O tamtych wiesz?

- Pewnie. - Australijczyk zaśmiał się. - Powiem ci jeszcze coś. Właśnie idzie tu Grey. W okolicy aż roi się od glin i "wolnych strzelców". Wiem o jednym australijskim gangu, ale słyszałem, że powstał drugi, który też zwał nasz interes. Tylko że moi chłopcy rozpracowali teren. Jak tylko dostaniemy forszę, ty dostaniesz brylant.

- Damy strażnikowi jeszcze dziesięć minut. Jeżeli nie przyjdzie, umówimy się na nowo. Plan ten sam, tylko z drobnymi zmianami.

- Dobra, bracie. Zobaczymy się jutro po żarciu.

- Miejmy nadzieję, że jeszcze dzisiaj.

Ale nie zobaczyli się. Czekali, Shagata jednak nie nadszedł i Król odwołał akcję.

Nazajutrz Marlowe dołączył do tłumu mężczyzn oczekujących przed szpitalem. Niedawno skończył się obiad i bezlitosne słońce rozpałało powietrze, ziemię i wszystkie jej stworzenia. Nawet muchy były senne. Marlowe wyszukał skrawek cienia, przykucnął w pyłe i czekał. Ręka pulsowała mu coraz silniej.

Zmierzchało już, kiedy przyszła jego kolej.

Doktor Kennedy skinął mu głową na powitanie i wskazał krzesło.

- Jak pan się dziś czuje? - spytał machinalnie.

- Dziękuję, nie najgorzej.

Kennedy pochylił się i dotknął bandaża. Marlowe krzyknął.

- Co z panem, do diabła? Przecież ledwo pana dotknąłem - zezłościł się doktor.

- Nie wiem. Ale przy najlżejszym dotknięciu boli mnie jak cholera.

Doktor Kennedy wetknął Marlowe'owi termometr do ust, nastawił metronom i zmierzył puls. Dziewięćdziesiąt, puls przyśpieszony. Żle. Gorączki nie ma, też źle. Uniósł obandażowaną rękę i powąchał. Wyraźny mysi odór. Żle.

- No tak. Zdejmę opatrunek. Proszę - powiedział i podał Marlowe'owi kawałek

gumy, który wyciągnął szczypcami ze sterylizującego płynu. - Niech pan zaciśnie na tym zęby. Będzie bolało, nic na to nie poradzę.

Począł, aż Marlowe włoży gumę do ust, a potem - najdelikatniej, jak umiał - zaczął odwijać bandaż. Ale bandaż przywarł do rany i zrósł się z nią, a więc nie pozostało mu nic innego, jak zerwać go na siłę, a nie był już tak zręczny jak kiedyś.

Marlowe zaznał w życiu wiele bólu. Kiedy poznaje się coś gruntownie, poznaje się tym samym jego granice, barwę i odmiany. Mając doświadczenie - i odwagę - można się poddać bólowi i wówczas nie jest on taki straszny, wprawdzie wzbiera, ale daje się go kontrolować. Czasem nawet dobrze robi.

Ten ból był jednak gorszy od najgorszych.

- O Boże - jęknął przez zaciśnięte na gumie zęby, płacząc i z trudem łapiąc oddech.

- Już po wszystkim - rzekł Kennedy, wiedząc, że to nieprawda. Ale cóż więcej mógł zrobić? Nic. Przynajmniej w tych warunkach. Pacjent powinien oczywiście dostać morfinę, każdy dureń to wiedział, ale doktor miał jej za mało, żeby szafować zastrzykami. - Popatrzmy, jak to wygląda.

Obejrzał dokładnie otwartą ranę. Była nabrzmiąta i zapuchnięta, koloru żółtego w różnych odcieniach, miejscami purpurowa. Pokryta śluzem.

- Hmm - mruknął w zamyśleniu, wyprostował się, złożył dłonie i przeniósł wzrok na złączone palce. - Tak - powiedział wreszcie. - Mamy do wyboru trzy możliwości. - Wstał i zaczął się przechadzać, przygarbiony, a potem mówić monotonnym głosem, jak gdyby zwracał się do grona studentów: - Rana zmieniła charakter. Nastąpiło zakażenie pałeczkami *clostridium*. Mówiąc prościej, rozwinęła się zgorzel. Zgorzel gazowa. Mógłbym odkryć ranę i usunąć zakażoną tkankę, ale nie sądzę, żeby to coś dało, ponieważ zakażenie jest głębokie. Musiałbym więc usunąć częściowo mięśnie przedramienia, a wówczas dłoń i tak byłaby niesprawna. Najlepszym rozwiązaniem byłoby amputować...

- Co?!

- Bez wątplenia tak. - Doktor Kennedy nie mówił do pacjenta, tylko wygłaszał wykład w sterylnej auli rozumu. - Proponuję natychmiastową amputację. Być może wtedy uda nam się uratować staw łokciowy...

- Przecież to tylko rana powierzchowna! - wybuchnął zrozpaczony Marlowe. - Przecież nic się poza tym nie stało, to tylko rana powierzchowna!

Strach brzmiący w jego głosie przywołał doktora do rzeczywistości. Kennedy

przyglądał się przez chwilę pobladłej twarzy siedzącego przed nim pacjenta.

- To jest rzeczywiście rana powierzchowna, ale bardzo głęboka. Poza tym nastąpiło zatrucie krwi. Prosta sprawa, mój drogi. Gdybym miał surowicę, dałbym ją panu, ale jej nie mam. Gdybym miał środki sulfonamidowe, leczyłbym nimi ranę, ale ich nie mam. Wobec tego mogę tylko amputować...

- Pan chyba oszalał! - wrzasnął na niego Marlowe. - Mówi pan o amputowaniu ręki, kiedy ja mam tylko ranę powierzchowną!

Doktor wysunął niepostrzeżenie rękę i ujął palcami rękę Marlowe'a znacznie powyżej rany. Ten wrzasnął z bólu.

- A widzi pan! To wcale nie jest zwykła rana powierzchowna. Pan ma zatrutą krew. Zakażenie rozszerzy się na całą rękę i cały organizm. Jeżeli chce pan żyć, będziemy musieli ją uciąć. Przynajmniej wyjdzie pan z tego żywy!

- Nie pozwolę amputować ręki!

- Jak pan sobie życzy. Albo operacja, albo... - Doktor urwał i znużony usiadł na krześle. - Ma pan chyba prawo sam zdecydować, czy woli pan umrzeć. Nie mam o to do pana pretensji. Ale na Boga, chłopcze, niechże pan zrozumie, co do pana mówię! Umrze pan, jeśli tej ręki nie amputujemy.

- Nie pozwolę się dotknąć! - ostrzegł Marlowe, odsłaniając zęby. Czuł, że zabiłby doktora, gdyby ten się do niego zbliżył. - Pan oszalał! - krzyknął. - To tylko zwykła rana!

- Proszę bardzo. Może mi pan nie wierzyć. Spytajmy innego lekarza.

Kennedy przywołał drugiego doktora, który potwierdził diagnozę, i wtedy Marlowe zrozumiał, że to wszystko nie jest potwornym snem, ale prawdą. Miał gangrenę. Boże! Strach odebrał mu siły. Zdjęty śmiertelnym przerażeniem słuchał wyjaśnień obu lekarzy, że gangrenę spowodowały rozmnażające się głęboko pod skórą zarazki, które właśnie teraz, w tej chwili płodziły śmierć. Jego rękę opanował jakby rak, powiedzieli. Należy ją koniecznie uciąć. Pod łokciem. Trzeba zrobić to szybko, bo inaczej przyjdzie ją usunąć całą, aż do barku. Nie ma się czym przejmować, zapewniali. Nie będzie bolało. Mieli teraz pod dostatkiem eteru, nie to co kiedyś.

A potem Marlowe, zachowawszy rękę, którą owinięto mu czystym bandażem i w której cały czas mnożyły się zarazki, znalazł się przed szpitalem i ruszył po omacku w dół zbocza. Powiedział im, lekarzom, że musi to przemyśleć... Tylko co przemyśleć? Nad czym się tu zastanawiać? Stwierdził nagle, że stoi przed barakiem Amerykanów. W środku dostrzegł samotnego Króla. Wszystko było gotowe na przyjście Shagaty - na

wypadek gdyby dziś się zjawił.

- Rany boskie, Peter, co ci jest? - spytał Król i wysłuchał opowieści Marlowe'a z rosnącym przerażeniem. - Chryste! - wykrzyknął, wlepiając oczy w opartą na stole obandażowaną rękę.

- Klnę się na wszystko, co mam najświętszego, że prędzej umrę, niż będę kaleką!

Marlowe, nie kryjąc swoich uczuć, spojrzał żałośnie na Króla, a jego oczy wołały: "Pomóż mi, pomóż mi, na miłość boską, pomóż mi!"

Kurczę, pomyślał Król, co bym zrobił na jego miejscu, gdyby to była moja ręka? I co będzie z brylantem?... Przecież Peter musi mi w tym pomóc, musi...

- Hej - szepnął od progu Max. - Shagata idzie.

- Dobra, Max. Co z Greyem?

- Schował się pod murem. Timsen o tym wie. Jego ludzie nas osłaniają.

- Dobrze, no to zwiewaj i przygotuj się. Zawiadom wszystkich.

- Dobra - odparł Max i popędził.

- Chodź, Peter, musimy się przyszykować - rzekł Król.

Ale Marlowe był w szoku, niezdolny do niczego.

- Peter! - ponaglił go Król i potrząsnął nim brutalnie. - Wstawaj, rusz się! - powiedział natarczywie. - Chodź. Musisz mi pomóc. Wstawaj!!!

Szarpnął Marlowe'a i poderwał go na nogi.

- Co, do licha...

- Zaraz przyjdzie Shagata. Musimy dokończyć interes.

- Do diabła z twoim interesem! - wrzasnął Marlowe bliski obłądu. - Do diabła z brylantem! Mają mi uciąć rękę!

- Nie zrobią tego!

- Masz rację, na pewno nie zrobią. Bo przedtem umrę...

Król uderzył go na odlew w twarz, a potem poprawił z całej siły z drugiej strony.

Marlowe natychmiast oprzytomniał i potrząsnął głową.

- Co jest, do cholery... - powiedział.

- Zaraz przyjdzie Shagata. Musimy być gotowi.

- Zaraz przyjdzie? - spytał Marlowe bezmyślnie, czując, że policzki pieką go od uderzeń.

- Tak.

Król zauważył, że w oczach Marlowe'a pojawiła się czujność, co znaczyło, że doszedł do siebie.

- Chryste - powiedział, aż osłabły z ulgi. - Musiałem coś zrobić, Peter, darłeś się jak opętany.

- Naprawdę? Przepraszam, nie chciałem.

- Czujesz się już dobrze? Musisz mieć teraz głowę na karku.

- Już mi przeszło.

Marlowe wyśliznął się za Królem przez okno. Dotykając stopami ziemi, poczuł w ręce przeszywający ból. Ucieszył się. Wpadłeś w panikę, głupcze, skarcił się w duchu. Zestrachales się, Marlowe, jak dzieciak. Głupiec z ciebie. Musisz stracić rękę, i co z tego? Masz szczęście, że nie nogę, to by dopiero było kalectwo. A ręka? Cóż znaczy ręka? Nic. Możesz sobie sprawić sztuczną. Jasne, że tak. Na haczyk. Co komu przeszkadza sztuczna ręka? Mogłoby z tym być całkiem znośnie. Na pewno.

- *Tabe* - przywitał ich Shagata, nurkując pod kawałek brezentu osłaniający miejsce pod dachem.

- *Tabe* - odparli Król i Marlowe.

Shagata był bardzo niespokojny. Im dłużej się zastanawiał nad tym interesem, tym mniej mu się on podobał. Za dużo pieniędzy, za duże ryzyko. Wciągnął powietrze przez nos jak pies robiący stójkę.

- Czuję niebezpieczeństwo - powiedział.

- Mówi, że wyczuwa niebezpieczeństwo - przetłumaczył Marlowe.

- Przekaż mu, żeby się nie martwił. Wiem, co to za niebezpieczeństwo, i już się tym zająłem. Co z Czeng Sanem?

- Powiem wam, że bogowie uśmiechnęli się do was, do mnie i do mojego przyjaciela - szeptał pośpiesznie Sha-gata. - To prawdziwy lis, bo ta niegodziwa policja wypuściła go ze swojej pułapki. - Pot ściekał mu po twarzy i wsiąkał w koszulę. - Mam pieniądze.

Króla aż ścisnęło w dołku.

- Powiedz mu, że najlepiej darować sobie tę gadkę i przystąpić do rzeczy. Zaraz wrócę z towarem.

Król odszukał kryjącego się w cieniu Timsena.

- Gotowe? - spytał.

- Gotowe - odparł Timsen i zagwizdał naśladując głos ptaka. Niemal natychmiast zagwizdano mu w odpowiedzi. - Tylko się pośpiesz, bracie - ostrzegł. -

Nie mogę ci długo gwarantować bezpieczeństwa.

- Dobrze.

Król odczekał chwilę i z ciemności wyłonił się chudy australijski kapral.

- Cześć. Nazywam się Townsend. Bili Townsend - przedstawił się.

- Chodź - powiedział Król i pośpieszył z powrotem pod dach.

Tymczasem Timsen stał na czatach, a jego ludzie rozstawili się na terenie, przygotowując drogę ucieczki.

Przy rogu więzienia, niecierpliwiąc się, czekał Grey. Wprawdzie Dino szepnął mu przed chwilą do ucha, że przyszedł Shagata, ale on wiedział, że wstępne rozmowy wymagają czasu. Jeszcze trochę i mógł wkroczyć do akcji.

Zastęp Smedly-Taylora również był gotów i czekał tylko na sfinalizowanie transakcji. Na pierwszy ruch ze strony Greya mieli przystąpić do działania.

Król stał już pod brezentem, a przy nim zdenerwowany Townsend.

- Pokaż mu brylant - rozkazał Król.

Townsend rozchylił postrzępioną koszulę i wyciągnął sznurek, na którego końcu przywiązany był pierścień z brylantem. Drżąc pokazał go Shagacie, który skierował nań światło przenośnej lampy. Japończyk dokładnie obejrzał kamień - krople jarzącego się zimno światła na końcu sznurka. Następnie poskrobał nim szklaną osłonę lampy. Kamień zazgrzytał i zostawił ślad.

Shagata, cały spocony, skinął głową z aprobatą.

- Bardzo dobrze. To rzeczywiście brylant - zwrócił się do Marlowe'a, a potem wyjął cyrkiel i dokładnie zmierzył kamień. Znów skinął głową. - Ma rzeczywiście cztery karaty.

Król poderwał głowę.

- W porządku - powiedział. - Zaczekaj z Townsendem, Peter.

Marlowe wstał, skinął na Townsenda i wysunęli się spod brezentowego daszka. Czekali w ciemnościach, czując na sobie otaczające ich zewsząd spojrzenia. Spojrzenia setek par oczu.

- Cholera, wołałbym nie mieć tego kamienia - powiedział Townsend i wzdrygnął się. - Słowo daję, odehciewa się żyć przez tę nerwówkę. - Jego porażone strachem palce dotykały sznurka i klejnotu, po raz tysięczny upewniając się, że nadal wisi na szyi. - Bogu dzięki, że to już ostatnia noc.

Z rosnącym podnieceniem Król śledził, jak Shagata otwiera ładownicę, rzuca na stół kilkucentymetrowy plik banknotów, potem zza koszuli wyciąga drugi plik, a z

kieszoni spodni następne i na stole formują się dwa stosy pieniędzy, każdy wysoki na kilkanaście centymetrów. Król błyskawicznie zabrał się do liczenia, a Shagata złożył szybki, nerwowy ukłon i odszedł. Znalazłszy się z powrotem na drodze, poczuł się bezpieczniej. Poprawił karabin i właśnie ruszył przez obóz, kiedy nadbiegający z przeciwnej strony Grey o mało nie zwałił go z nóg.

Grey zaklął, lecz nie zwolnił kroku, ignorując stek wyzwisk, którymi obrzucił go strażnik. Tym razem jednak Shagata nie pobiegł za tym “przeklętym zawszonym jeńcem”, żeby poduczyć go uprzejmości, ponieważ cieszył się, że już oddał pieniądze, i chciał jak najszybciej wrócić na posterunek.

- Gliny - doszedł zza brezentowej zasłony ponaglający szept Maxa.

Król zgarnął banknoty, wybiegł spod daszku i ściszone głosem rzucił w biegu do Townsenda:

- Zmykaj stąd. Powiedz Timsenowi, że mam forszę i zapłacę później, jak się uspokoï. Townsend zniknął.

- Chodź, Peter - powiedział Król i pierwszy wśliznął się pod barak.

W tej samej chwili zza rogu wyłonił się Grey.

- Nie ruszać się, wy dwaj! - krzyknął.

- Rozkaz! - odezwał się demonstracyjnie ukryty w cieniu Max i razem z Texem zasłi Greyowi drogę, osłaniając Króla i Marlowe'a.

- Nie wy.

Grey próbował przecisnąć się pomiędzy nimi.

- Przecież kazał pan nam się zatrzymać... - mówił bezczelnie Max i cofając się zastępował mu drogę.

Grey z wściekłością przedarł się przez nich i rzucił w pościg pod barak.

Król i Marlowe zdążyli tymczasem wskoczyć do rowu pod barakiem i wydostać się z niego po drugiej stronie. Ścigającemu ich Greyowi zabiegła teraz drogę następna grupa.

Grey dostrzegł uciekających, gdy pędzili co sił w nogach pod murem więzienia, i zaalarmował gwizdkiem swoich rozstawionych w pogotowiu ludzi. Żandarmi wyszli z ukrycia, obstawiając teren pomiędzy murami więzienia, a także pomiędzy więziennym murem a ogrodzeniem z drutu kolczastego.

- Tędy - rzucił Król, wskakując przez okno do baraku Timsena.

Nikt z obecnych nie zwrócił na nich uwagi, ale wielu dostrzegło zgrubienie pod koszulą Króla.

Król i Marlowe przebiegli przez barak i wypadli drzwiami. Oslaniająca ich ucieczkę grupa Australijczyków pojawiła się akurat w chwili, gdy do okna dopadł zdyszany Grey, któremu mignęły w przelocie postacie uciekających. Grey obiegł barak.

- Którędy pobiegli? Mówcie! Którędy?! - krzyczał.

- Kto? Kto, panie kapitanie? - zapytał chór głosów.

Grey przecisnął się pomiędzy Australijczykami i wydostał się na otwartą przestrzeń.

- Wszyscy na miejscach, panie kapitanie - zameldował żandarm, który do niego podbiegł.

- Dobrze. Daleko uciec nie mogą. Nie odważą się porzucić pieniędzy. Zaczynamy ich okrążyć. Przekażcie reszcie.

Król i Marlowe biegli właśnie ku północnemu narożnikowi więzienia, ale zatrzymali się.

- Jasna cholera! - zaklął Król.

Tam, gdzie powinna być grupa Australijczyków, którzy mieli opóźnić pościg, natknęli się na ludzi Greya. Pięciu żandarmów.

- Co teraz? - spytał Marlowe.

- Zawracamy. Szybko!

Biegąc Król zastanawiał się, co, do diabła, nie wypaliło. I nagle znalazł odpowiedź. Drogę zastąpiło im czterech zamaskowanych mężczyzn z potężnymi kijami w ręku.

- Dawaj forszę, koleś, jeśli nie chcesz oberwać po żebrach - usłyszał.

Zamarkował unik i mając Marlowe'a u boku, zaatakował. Runął całym ciałem na jednego z mężczyzn, a drugiego kopnął między nogi. Marlowe z kolei zablokował spadający na niego cios, zaciskając zęby, żeby nie krzyknąć z bólu, kiedy kij obsunął się po jego chorej ręce, i wyrwał napastnikowi broń. Czwarty rabuś wziął nogi za pas i wsiąkł w ciemności.

- Pryskamy stąd - wyrzucił z siebie zdyszany Król.

Pobiegli dalej. Czuli na sobie śledzące ich spojrzenia i lada chwila spodziewali się kolejnego ataku. Nagle Król stanął jak wryty.

- Uwaga! Grey!

Odwrócili się i dali nura pod najbliższy barak. Leżeli tam przez chwilę, ciężko dysząc. Koło baraku przebiegli jacyś ludzie i do uszu Króla i Marlowe'a dobiegły

gniewne szepty.

- Pobiegli tamtędy. Musimy ich capnąć przed glinami.

- Cały obóz nas ściga - powiedział Król.

- To zostawmy te pieniądze tutaj - zaproponował bezradnie Marlowe. -
Możemy je przecież zakopać.

- Za duże ryzyko. Zaraz by je znaleźli. Psiakrew, a tak dobrze wszystko szło. Tylko że ten łajdak Timsen wystawił nas do wiatru. - Król otarł twarz z potu i ziemi. -
Gotów?

- Którędy?

Król nie odpowiedział. Cicho wyczołgał się spod baraku i ruszył dalej, trzymając się cienia. Tuż za nim Marlowe. Bez wahania przebiegli przez ścieżkę i wskoczyli do głębokiego rowu ciągnącego się wzdłuż ogrodzenia z kolczastego drutu. Król pomknął przodem, aż znaleźli się prawie naprzeciwko baraku Amerykanów. Tam zatrzymał się i oparł plecami o brzeg rowu, z trudem łapiąc oddech. Zewsząd dobiegał ich zgiełk podnieconych szeptów.

- Co się dzieje?

- Król uciekł z Marlowe'em. Mają przy sobie tysiące dolarów.

- Coś ty! Szybko, może ich złapiemy.

- Prędzej!

- Dorwiemy te pieniądze.

Tymczasem Grey wysłuchiwał meldunków, podobnie zresztą Smedly-Taylor i Timsen. Ale meldunki były sprzeczne, więc Timsen kłął i syczał poganiając swoich ludzi, żeby wytropili Króla i Marlowe'a, zanim zrobią to grupy Greya lub pułkownika.

- Macie zdobyć tę forszę! - rozkazał.

Ludzie Smedly-Taylora czekali, śledząc Australijczyków Timsena, i też byli zdezorientowani. Którędy tamci uciekli? Gdzie ich szukać?

Grey także czekał, świadom, że obie drogi ucieczki, od strony północnej i południowej, są odcięte. Złapanie Króla i Marlowe'a było więc tylko kwestią czasu. Krąg się zacieśniał. Wiedział, że trzyma ich w ręku i że kiedy ich złapie, będą mieli przy sobie pieniądze. Nie odważą się ich porzucić - teraz już na to za późno. To za duża suma. Ale nie wiedział nic o istnieniu ludzi Smedly-Taylora i Australijczykach Timsena.

- Spójrz - powiedział Marlowe, który wysunął ostrożnie głowę z rowu i wpatrywał się w otaczające ich ciemności.

Król zmrużył oczy wytyżając wzrok. W odległości kilkudziesięciu metrów spostrzegł żandarmów. Obrócił gwałtownie głowę w drugą stronę. Krążyło tam wiele widm, pośpiesznie szukając i węsząc.

- Już po nas - powiedział z wściekłością.

A potem spojrzął ponad drutami kolczastymi, poza obóz. W dżungli panowały nieprzeniknione ciemności. Po drugiej stronie ogrodzenia przechadzał się ciężkim krokiem wartownik. Dobra, rzekł do siebie. Ostatnia możliwość. Wóz albo przewóz.

- Trzymaj - powiedział napychając kieszenie Marlowe'a pieniędzmi. - Będę cię osłaniał. Przejdiesz za druty. To nasza jedyna szansa.

- Coś ty, to się nie może udać. Wartownik mnie zauważy...

- Prędeż, to nasza jedyna szansa!

- Nie uda mi się. Nie ma mowy.

- Kiedy będziesz po drugiej stronie, zakop pieniądze i wróc tą samą drogą. Będę cię osłaniał. Psiakrew, musisz to zrobić!

- O czym ty mówisz? Przecież on mnie zastrzeli. To tylko kilkanaście metrów. Będzie mnie miał jak na dłoni. Musimy się poddać!

Marlowe rozejrzał się, błędnym wzrokiem szukając drogi ucieczki, i zapomniawszy o chorej ręce, nagłym, nieuważnym ruchem uderzył się o brzeg rowu. Jęknął z bólu.

- Uratuj pieniądze, Peter, a ja uratuję ci rękę - powiedział zdesperowany Król.

- Co?

- Przecież słyszałeś! Zasuważ!

- Ale jak możesz...

- Zasuważ - przerwał mu ostro Król. - Warunek: uratuj forszę.

Marlowe spojrzął mu prosto w oczy, po czym wysliznął się z rowu, pobiegł do ogrodzenia i precyzyjnie się pod nim oczekując, że lada moment dostanie kulę w łeb. W tej samej chwili Król wyskoczył z rowu i rzucił się w stronę ścieżki. Umyślnie się potknął i runął jak długi z okrzykiem wściekłości. Wartownik gwałtownie obejrzał się i głośno się roześmiał, a kiedy z powrotem się obrócił, dostrzegł tylko jakiś cień, który mógł być wszystkim, ale nie człowiekiem.

Tuląc się do ziemi, podobny leśnemu stworzeniu, Marlowe wpadł w wilgotne zarośla. Wstrzymał oddech i zamarł w bezruchu. Wartownik zbliżał się, potem jedna z jego stóp znalazła się tuż przy dłoni Marlowe'a, a druga minęła ją w powietrzu i stanęła o krok dalej. Kiedy wartownik odszedł na pięć metrów, Marlowe poczołgał się

głębiej w gąszcz, w ciemność, pięć, dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści kroków, gdzie był już bezpieczny. I wtedy serce zaczęło mu bić jakby od nowa, więc musiał się zatrzymać, zatrzymać, żeby złapać oddech, żeby serce odnalazło rytm, żeby zelżał ból w ręce, tej ręce, która znów miała być jego ręką. Która była jego ręką, skoro to obiecał Król!

Przywarł więc do ziemi i modlił się o to, żeby wrócił mu oddech, żeby wróciło życie, żeby wróciły siły, modlił się też za Króla.

Z chwilą kiedy Marlowe'owi udało się dotrzeć bezpiecznie do dżungli, Król odetchnął. Ledwie wstał i zaczął się otrzępywać, wyrósł przy nim Grey z jednym ze swoich żandarmów.

- Nie ruszać się!

- Kto, ja? - spytał Król udając, że wpatruje się w ciemność i dopiero teraz poznaje Greya. - A, to pan. Dobry wieczór, panie kapitanie. - Odepchnął przytrzymującą go rękę żandarma. - Ręce przy sobie!

- Jesteście aresztowani - oznajmił Grey, spocony i zabrudzony podczas pościgu.

- Za co, kapitanie?

- Zrewidujcie go, sierżancie.

Król spokojnie poddał się rewizji. Nie miał przy sobie pieniędzy, więc Grey nic mu nie mógł zrobić. Absolutnie.

- Nie ma nic, panie kapitanie - zameldował sierżant.

- Przeszukajcie rów - rozkazał Grey. - Gdzie Marlowe? - zwrócił się do Króla.

- Kto? - spytał z kpina w głosie Król.

- Marlowe! - krzyknął Grey i pomyślał z rozpaczą: Nie dość, że ta świnią nie ma pieniędzy, to na dodatek przepadł gdzieś Marlowe!

- Pewnie wybrał się na spacer... panie kapitanie - odparł grzecznie Król, myśląc wyłącznie o Greyu i o własnym zagrożeniu, czuł bowiem, że na tym nie koniec - spod więziennego muru przyglądała mu się grupka złowrogich ludzkich cieni, które znikły dopiero po jakimś czasie.

- Gdzie są pieniądze? - spytał Grey.

- Jakie pieniądze?

- Pieniądze ze sprzedaży brylantu.

- Brylantu? Ależ panie kapitanie!

Grey zrozumiał, że na razie przegrał. Przegrał, chyba że udałoby mu się odnaleźć Marlowe'a z pieniędzmi w ręku. A więc dobrze, ty sukinsynu, pomyślał, nie

posiadając się z wściekłości. A więc dobrze, puszczę cię, ale będę cię śledził, aż zaprowadzisz mnie do Marlowe'a.

- To na razie wszystko - powiedział. - Tym razem z nami wygraliście. Ale to jeszcze nie koniec.

Król wrócił do baraku chichocząc. Spodziewasz się, że cię zaprowadzę do Petera, prawda, Grey? - myślał po drodze. Ale ty jesteś taki sprytny, że aż naiwny.

W baraku zastał Maxa i Texa. Siedzieli jak na szpilkach.

- Co się stało? - spytał Max.

- Nic. Sprowadź Timsena, Max. Powiedz, żeby zaczekał pod oknem. Tam z nim porozmawiam. Żeby nie wchodził do baraku. Grey nas śledzi.

- Dobra.

Król nastawił wodę na kawę, przez cały czas myśląc o tym, jak dokonać wymiany forsy na diament. I gdzie? Co zrobić z Timsenem? Jak odciągnąć uwagę Greya od Petera?

- Chciałeś ze mną rozmawiać, kolego? - rozległ się głos Timsena.

Król nie odwrócił się do okna. Spojrzał tylko w stronę drzwi. Amerykanie zrozumieli i zostawili go samego. Król odprowadził wzrokiem wychodzącego Dina i odpowiedział uśmiechem na jego krzywy uśmiech.

- Timsen? - spytał, nie odrywając się od parzenia kawy.

- Słucham cię.

- Powinienem ci bez pytania poderżnąć gardło.

- Nie moja wina, bracie. Coś się pokręciło...

- Dajmy na to. Chciałeś mieć i pieniądze, i brylant.

- Spróbować nigdy nie zawadzi - rzekł Timsen i zaśmiał się cicho. - To już się nie powtórzy.

- Święta racja.

Król lubił Timsena. Czujny facet. A próbować przy tak dużej stawce rzeczywiście nie zawadzi, myślał. Poza tym Timsen był mu jeszcze potrzebny.

- Wymianę zrobimy w ciągu dnia - powiedział. - W ten sposób uniknie się wsypy. Dam ci znać, kiedy.

- Zgoda, chłopie. A gdzie Anglik?

- Jaki Anglik?

Timsen roześmiał się.

- No, to do jutra!

Król napił się kawy i przywołał Maxa, żeby strzegł czarnej skrzynki. Potem ostrożnie wyskoczył przez okno, rzucił się biegiem tam, gdzie było najciemniej, i zaczął podkładać się pod mur więzienia. Starał się nie zwrócić na siebie uwagi, ale zbytnio się tym nie przejmował i po chwili roześmiał się w duchu, czując, że podąża za nim Grey. Udawał znakomicie, cofając się po własnych śladach między barakami, klucząc i lawirując. Grey tropił go nieustępliwie, aż Król doprowadził go do bramy więzienia, a potem przez bramę do bloków. Wreszcie skierował się do celi na czwartym piętrze, a wchodząc do niej udał rosnący niepokój i zostawił nie domknięte drzwi. Co kilkanaście minut uchylał drzwi i rozglądał się niespokojnie. Trwało to aż do nadejścia Texa.

- Możesz wracać - powiedział Tex.

- Dobrze.

Peterowi udało się wrócić do obozu i nie było już sensu udawać. Tak więc Król poszedł prosto do baraku i tam mrugnął porozumiewawczo do Marlowe'a.

- Gdzie byłeś? - spytał.

- Pomyślałem, że wpadnę zobaczyć, jak ci leci.

- Chcesz kawy?

- Poproszę.

W progu stanął Grey. Nic nie mówił, patrzył. Marlowe miał na sobie sarong. W sarongu nie było kieszeni. Na ręce, zgodnie z przepisami, nosił opaskę.

Marlowe podniósł do ust filiżankę i wypił kawę, ani na chwilę nie spuszczać prześladowcy z oczu. Po chwili Grey zniknął równie nagle, jak się pojawił.

Marlowe wstał z trudem, dobywając resztek sił.

- Chyba już pójdę się położyć - powiedział.

- Jestem z ciebie dumny, Peter.

- Czy to, co powiedziałaś, było serio?

- Jasne.

- Dziękuję.

Tej nocy Król miał nowe zmartwienie - w jaki sposób spełnić daną obietnicę.

ROZDZIAŁ XX

Larkin był bardzo przygnębiony, gdy szedł ścieżką do baraku Australijczyków. Martwił się o Marlowe'a. Ręka dokuczala Peterowi bardziej niż powinna, za bardzo go bolała, żeby bagatelizować to jako zwykłą powierzchowną ranę. Martwił się również o Maca, który zeszłej nocy mówił i krzyczał przez sen. A poza tym gnębiła go myśl o Betty. On też przez kilka ostatnich nocy miał okropne sny - wszystko pomieszane: Betty i on, ona w łóżku z obcymi mężczyznami, wyśmiewająca się, kiedy na to patrzył.

Larkin wszedł do baraku i podszedł do leżącego na pryczy Townsenda.

Townsend miał podrapaną twarz, oczy zapuchnięte i zamknięte, a ręce i pierś posiniaczone i poranione. Kiedy otworzył usta, żeby odpowiedzieć na pytanie, Larkin ujrzał w miejscu zębów krwawą dziurę.

- Kto to zrobił, Townsend? - spytał.

- Nie wiem - odparł płaczliwie Townsend. - Napadli na mnie.

- Dlaczego?

Z zapuchniętych oczu popłynęły łzy i rozmazały się na posiniaczonej twarzy.

- Miałem... miałem... nic... już nic. Nie... wiem.

- Jesteśmy sami, Townsend. Kto to zrobił?

- Nie wiem - powiedział Townsend i zaskomlał z bólu. - O Jezusie, jak oni mnie pobili, jak mnie pobili.

- Dlaczego cię napadli?

- Ja... ja...

Townsend miał ochotę krzyknąć: "To przez ten brylant! To ja miałem ten brylant". Chciał, żeby pułkownik pomógł mu złapać sukinsynów, którzy mu go ukradli. Ale przecież nie mógł wspomnieć o brylancie, bo wtedy Larkin chciałby wiedzieć, skąd go miał, i musiałby się przyznać, że od Gurble'a. A potem padłoby pytanie, skąd Gurble miał brylant. Gurble? Ten samobójca? A więc może to nie samobójstwo, powiedziano by, może to morderstwo. Ale to nie było morderstwo, tak przynajmniej uważa on, Townsend. Czy to zresztą wiadomo? Przecież ktoś mógł załatwić Gurble'a, żeby zdobyć brylant. W rzeczywistości, ponieważ tamtej nocy Gurble nie spał na swojej pryczy, Townsend wymacał w jego sienniku pierścioneł, wydobyl go i wyszedł. Kto mi więc może cokolwiek udowodnić, myślał. A poza tym tamtej nocy Gurble skończył z sobą, więc nic złego się nie stało. Chyba że to ja go

zabiłem, zabiłem - kradnąc mu pierścionek. Może kradzież brylantu ostatecznie go dobiła po tym, jak go wyrzucono z grupy. Może to właśnie dlatego zwariował i wskoczył do dołu! Ale jaki sens kraść żywność, kiedy ma się do sprzedania brylant? To się kupy nie trzyma, ani trochę. Tyle tylko, że być może to przeze mnie się zabił i dlatego bez przerwy przeklinam siebie za tę kradzież. Odkąd stałem się złodziejem, nie zaznałem ani chwili, ani jednej najmniejszej chwili spokoju. Więc teraz, teraz cieszę się, że go nie mam, że mi go ukradli.

- Nie wiem - załkał.

Larkin stwierdził, że nic tu nie wskóra, i pozostawił Townsenda sam na sam z jego cierpieniem.

- Ach, przepraszam księdza - powiedział, kiedy o mały włos nie stracił ze schodów księdza Donovaną wchodzącego do baraku.

- Witaj, przyjacielu - pozdrowił go ksiądz Donovan. Wyglądał jak widmo, był nieprawdopodobnie wychudzony, ale zapadnięte oczy miał dziwnie spokojne. - Jak się pan miewa? A Mac? A nasz młodzieniec, Peter?

- Dziękuję, dobrze - odrzekł Larkin i skinął w stronę Townsenda. - Wie ksiądz coś o tym?

Donovan spojrział na Townsenda i odparł łagodnie:

- Widzę przed sobą człowieka cierpiącego.

- Przepraszam, nie powinienem był pytać - rzekł Larkin i po chwili zastanowienia uśmiechnął się. - Miałby ksiądz ochotę na brydża? - spytał. - Wieczorem? Po kolacji?

- Tak. Dziękuję. Chętnie zagram.

Ksiądz Donovan odprowadził pułkownika wzrokiem, a potem zbliżył się do pryczy Townsenda. Townsend nie był katolikiem. Ale ksiądz Donovan był oddany wszystkim, ponieważ wiedział, że wszyscy ludzie są dziećmi Boga. Tylko czy aby na pewno? - zapytywał się czasem w duchu. Czy dzieci boże byłyby zdolne do takich rzeczy?

W południe nadciągnął wiatr z deszczem. Wkrótce wszyscy i wszystko było przemoczone do suchej nitki. Potem przestało padać, ale wiatr się utrzymał. Oderwane kawałki strzech wirowały po całym Changi wraz z palmowymi liśćmi, szmatami i słomianymi kapeluszami kulisów. Wreszcie wiatr ustał i w obozie jak zwykle zapanowało słońce, upał i muchy. Przez pół godziny rowami

odprowadzającymi deszczową wodę płynął rwący strumień, a potem rowy zamieniły się we wsiąkające w ziemię bajora. Zaroilo się od much.

Marlowe wspinał się apatycznie na wzgórze. Zabłocone miał całe nogi, nie tylko stopy, bo w czasie burzy długo stał pod gołym niebem w nadziei, że deszcz i wiatr złagodzą doskwierający ból ręki. Ale wcale mu to nie pomogło.

Zatrzymał się przed oknem Króla i zajrzał do środka.

- Jak się czujesz, Peter? - spytał Król, podnosząc się z łóżka i wyciągając paczkę papierosów.

- Fatalnie - odparł Marlowe i usiadł na ławie pod daszkiem. Ból przyprawiał go o mdłości. - Ta ręka nie daje mi żyć. - Roześmiał się piskliwie. - Żartuję!

Król zeskoczył na ziemię i zmusił się do uśmiechu.

- Nie myśl o tym...

- Jak, do cholery, mam o tym nie myśleć?! - wybuchnął Marlowe i natychmiast tego pożałował. - Przepraszam. Jestem zdenerwowany. Sam nie wiem, co mówię.

- Zapal sobie - zaproponował Król i zapalił mu papierosa. Tak, tak, jesteś w kropce, pomyślał. Anglik szybko się uczy, bardzo szybko. Przynajmniej tak mi się wydaje. Sprawdźmy to. - Jutro dobijemy targu - powiedział. - Dziś w nocy będziesz mógł pójść po pieniądze. Będę cię osłaniał.

Ale Marlowe go nie słyszał. Ręka wypalała mu w świadomości jedno słowo: "Amputacja!", a w uszach zgrzytała piła i czuł, jak miażdży mu kość, jego własną kość! Wstrząsnął nim dreszcz.

- A co... z tym? - wymamrotał, przenosząc wzrok z ręki na Króla. - Naprawdę możesz coś na to poradzić?

Król skinął głową. No widzisz, miałaś rację, rzekł w myślach. Tylko Pete wie, gdzie są pieniądze, ale nie pójdzie po nie, dopóki nie zorganizujesz lekarstw. Nie ma lekarstw, nie ma forsy. Nie ma forsy, nie ma handlu. Nie ma handlu, nie ma zysku... Westchnął. Tak, tak, sprytna z ciebie sztuka, znasz się na ludziach, pochwalił się w duchu. Jak się dobrze zastanowić, to twoje wczorajsze posunięcie nie było złe. Gdyby Pete nie zaryzykował, obaj siedzielibyśmy w ciupie, bez pieniędzy i bez niczego. W końcu Pete przyniósł mi szczęście. Interes udał się jak nigdy. A poza tym to gość w porządku. Fajny chłop. Zresztą kto, do licha, chciałby stracić rękę. Pete ma prawo trochę mnie przycisnąć. Cieszę się, że się czegoś nauczył.

- Zostaw to Wujkowi Samowi! - powiedział.

- Komu?

- Nie wiesz, kto to Wujek Sam? - spytał Król, patrząc zaskoczony na Marlowe'a.
- Symbol Stanów Zjednoczonych. O rany... - zirytował się. - To samo co John Bull.

- Ach tak, przepraszam - odparł Marlowe. - Jestem dziś... jestem dziś trochę...
Ogarnęła go fala mdłości.

- Leć do siebie, połóż się i odpocznij rzekł Król. - Już ja się tym zajmę.

Marlowe podniósł się chwiejnie. Chciał się uśmiechnąć, podać Królowi rękę i podziękować z całego serca, ale myśli podsuwały mu wciąż to jedno straszne słowo i wciąż czuł tylko piłę tnącą kość, więc skinął lekko głową i wyszedł.

Rany boskie, pomyślał z goryczą Król. Jemu się wydaje, że bym mu nie pomógł, że palcem bym nie kiwnął, gdyby nie to, że ma mnie w garści. Rany boskie, Peter, przecież bym ci pomógł. Jasne, że tak. Nawet gdybyś nie trzymał mnie w szachu. Cholera jasna! Przecież jesteś moim przyjacielem.

- Max! - zawołał.

- Co?

- Sprowadź Timsena. Ale na jednej nodze.

- Robi się - odparł Max i wyszedł.

Król wziął kluczyk, otworzył czarną skrzynkę i wyjął z niej trzy jajka.

- Tex. Chcesz usmażyć sobie jajko? - spytał. - A przy okazji te dwa?

- Nie, skądże znowu - odparł Tex, biorąc jajka i uśmiechając się od ucha do ucha. - Wiesz, przyglądałem się dzisiaj Ewie. Głowę daję, że jest grubsza.

- Niemożliwe. Przecież dopuszczaliśmy ją ledwo wczoraj.

Tex zatańczył z radości.

- Dwadzieścia dni i znów jesteśmy dziadziusiami - oznajmił. Wziął od Króla olej i wyszedł z baraku do polowej kuchni.

Król wyciągnął się na łóżku i podrapał w zamyśleniu miejsce po ukąszeniu komara. Przyglądał się jaszczurkom polującym na krokwiach i szepiącym się ze sobą. Zamknął oczy i zapadł w przyjemną drzemkę. Było dopiero południe, a odwalił robotę za cały dzień. Do szóstej rano wszystko zdążył obgadać i zaklepać.

Aż się zaśmiał na wspomnienie dzisiejszego ranka. Tak jest, nie ma to jak dobra firma, nie ma to jak reklama...

Zdarzyło się to tuż przed świtem. Spał sobie spokojnie, kiedy obudził go czyjś ostrożny, stłumiony głos.

Przebudził się natychmiast, wyrztał przez okno i wśród porannych cieni zobaczył wpatrującego się w niego człowieka o szczurowatym wyglądzie. Widział go

po raz pierwszy w życiu.

- Słucham? - spytał.

- Mam tu coś dla ciebie - powiedział przybysz bezbarwnym, chrapliwym głosem.

- A ty co za jeden?

W odpowiedzi nieznajomy rozchylił brudne, zaciśnięte w pięść palce z połamanymi, czarnymi paznokciami. Na jego dłoni leżał pierścionek z brylantem.

- Cena dziesięć tysięcy. Do natychmiastowej sprzedaży - dodał z ironią.

Kiedy Król sięgnął po pierścionek, palce zwarły się gwałtownie, a brudna pięść cofnęła.

- Dziś wieczorem - powiedział człowiek i uśmiechnął się, odsłaniając bezzębne dziąsła. - Nie bój biedy, to ten sam.

- Jesteś jego właścicielem?

- Mam go w rękę, tak czy nie?

- Dobra. O której?

- Zaczekasz w środku. Przyjdę, jak przestaną się tu kręcić szpicle - odparł nieznajomy.

A potem znikł równie nagle, jak się pojawił.

Król ułożył się wygodnie, napawając się sukcesem. Ten drań, Timsen, dał się, biedak, zrobić w konia, myślał. Będę miał pierścionek za pół ceny.

- Się masz, bracie - przywitał go Timsen. - Chciałeś pogadać?

Kiedy Tiny Timsen szedł przez barak, Król otworzył oczy i ziewnął, przykrywając usta dłonią.

- Cześć - powiedział. Spuścił nogi z łóżka i rozkosznie się przeciągnął. - Zmęczony jestem. Za dużo wrażeń. Chcesz jajko? Właśnie się smażą.

- Jeszcze się pytasz.

- Rozgość się - rzekł Król, bo mógł sobie pozwolić na gościnność. - A teraz, do rzeczy. Interes ubijemy dziś po południu.

- Nie - sprzeciwił się Timsen potrząsając głową. - Dziś nie. Jutro.

Król z trudem opanował promienny uśmiech.

- Do jutra skończy się nagonka - argumentował Timsen. - Słyszałem, że Grey wyszedł ze szpitala. Będzie kręcił się tu i węszył. - Widać było, że jest mocno zaniepokojony. - Powinniśmy uważać - ciągnął. - Obaj. Nie chcesz przecież, żeby się coś pochrzaniło. Muszę być czujny także dla twojego dobra. Nie zapominaj, że

jesteśmy kumplami.

- Mam gdzieś jutro - odparł Król, udając rozczarowanie. - Załatwmy to dziś po południu.

A potem słuchał, zaśmiewając się w duchu do rozpuku, jak Timsen tłumaczy mu, jakie to ważne, żeby zachować ostrożność: "Właściciel boi się, w nocy to nawet go pobito, a jak. Uratował się, chłopina, tylko dzięki mnie i moim ludziom". W ten sposób Król upewnił się, że Timsen nie posiada się ze zmartwienia, gra na zwłokę i że brylant wysliznął mu się z rączek. Założył się, myślał rozpromieniony, że Australijczycy wychodzą z siebie, żeby znaleźć złodziejaszka. Nie chciałbym być w jego skórze... jeżeli go znajdą. Tak więc dał się przekonać. Przecież gdyby Timsen odnalazł tamtego gościa, obowiązywałaby pierwotna umowa.

- No więc dobrze - zgodził się niechętnie. - Chyba masz rację. Niech będzie jutro. - Zapalił kolejnego papierosa, zaciągnął się, podał go Timsenowi i powiedział niewinnym tonem, ciągnąc swoją grę: - Niewielu moich chłopców śpi w taki upał. Przynajmniej czterech czuwa. Całą noc.

Timsen zrozumiał groźbę. Ale głowę zaprzętały mu teraz inne sprawy. Kto, jak Boga kocham, napadł na Townsenda? Modlił się, żeby jego ludzie szybko odnaleźli tamtych sukinsynów. Wiedział, że musi ich znaleźć, zanim dotrą z brylantem do Króla, bo inaczej będzie klops.

- Wiem, jak to jest - odparł. - To samo z moimi. Całe szczęście, że na krok nie odstępują mojego kumpla, tego biednego Townsenda. - Co za głupek, myślał. Jak można być tak słabym, żeby dać się obrobić i nie podnieść wrzasku, zanim jest za późno? - Czasy są takie, że trzeba uważać na każdym kroku - dodał.

Tex przyniósł jajka i zjedli je we trzech z obiadową porcją ryżu, a potem popili mocną kawą. Kiedy Tex wynosił naczynia, żeby je pozmywać, rozmowa zesłała na temat, który interesował Króla.

- Znam takiego jednego, który poszukuje lekarstw - zaczął.

Timsen potrząsnął głową.

- Łudzi się chłopina - odparł. - Nic z tego. To niemożliwe! - Aha! pomyślał. Lekarstwa! Ciekawe dla kogo? Bo przecież nie dla Króla. Król wygląda zdrowo, a odsprzedaż też nie wchodzi w grę, bo on nie handluje lekarstwami. No i dobrze, dzięki temu mam monopol. Wobec tego dla kogoś, z kim trzyma. Bo inaczej w życiu by się w to nie mieszał. Handel lekarstwami to nie jego branża. Stary McCoy! Oczywiście. Słyszałem, że ostatnio z nim nie najlepiej. A może chodzi o pułkownika? Też nietęgo

ostatnio wygląda. - Słyszałem o jednym Angliku, który ma trochę chininy. Ale, słodki Jezu, żąda za nią majątek.

- Potrzebna mi jest butelka surowicy i sulfamidy w proszku - rzekł Król.

Timsen gwizdnął.

- Nie ma szans! - powtórzył. Surowica i sulfamidy! Gangrena! To ten Anglik. Chryste, gangrena! Wszystko się zgadza, pomyślał. To na pewno chodzi o Anglika!

Monopol w handlu lekarstwami zawdzięczał Timsen nie tylko swojemu sprytowi. Znał się trochę na tym, bo w cywilu pracował w aptece, o czym nikt poza nim nie wiedział, bo w przeciwnym razie wsadziliby go, dranie, do służby sanitarnej i tyle by sobie powalczył i postrzelał. Żaden szanujący się Australijczyk nie zawiódłby ojczyzny ani starej kochanej Anglii, zostając jakimś tam parszywym łapiduchem, który w ogóle nie dotyka broni.

- Nie ma szans - powtórzył raz jeszcze potrząsając głową.

- Posłuchaj, będę z tobą szczerzy - rzekł Król. Tylko Timsen mógł zdobyć te lekarstwa, tak więc musiał go pozyskać. - To dla Petera.

- Ma pecha - odparł Timsen, w duchu jednak bardzo współczuł Marlowe'owi. Biedaczysko. Gangrena. Równy chłop, z charakterem. Do tej pory czuł cios, jaki zainkasował zeszłej nocy od Anglika, kiedy zasadzili się we czterech na niego i na Króla.

Timsen zasięgnął informacji o Marlowie, kiedy Król przyjął go do spółki. Tam gdzie wciąż trzeba mieć się na baczności, liczył się każdy szczegół. Dlatego też wiedział o strąconych czterech "niemcach" i trzech "japończykach", o jawajskiej wiosce i o tym, jak Marlowe chciał uciekać z Jawy, nie tak jak kupa innych siedzących jak barany i pogodzonych z losem. Z drugiej strony, jeżeli się dobrze zastanowić, próba ucieczki stamtąd świadczyła o głupocie. Taka odległość! Oczywiście, za daleko. Nie ma co, cudak z tego Anglika, zadecydował.

Zastanowił się, czy może zaryzykować wysłanie kogoś po lekarstwa do kwatery japońskiego lekarza. Było to niebezpieczne, ale samą kwaterę i dojście do niej już rozpracowano. Biedny Marlowe. Chłopaczyna pewnie wariuje ze zmartwienia. Jasne, że się wystaram o lekarstwa, i to za darmo, a co najwyżej za zwrotem kosztów, postanowił.

Timsen nie znosił handlu lekarstwami, ale ktoś przecież musiał się tym zająć, i lepiej, że robił to on, a nie kto inny, bo dzięki temu cena pozostawała przystępna, o tyle, o ile było to możliwe. Zdawał sobie sprawę, że mógłby zbić majątek sprzedając

lekarstwa Japończykom, ale nie robił tego nigdy i handlował wyłącznie z obozem, czerpiąc z tego doprawdy minimalne zyski, zważywszy, na co się narażał.

- Rzygać się chce, kiedy się pomyśli, ile przesyłek Czerwonego Krzyża leży w magazynie przy Kedah Street - powiedział.

- Coś ty, przecież to plotka.

- O nie. Widziałem je, bracie, na własne oczy. Wysłali nas tam do roboty. Zawalone od podłogi do sufitu, a wszystko z Czerwonego Krzyża - osocze, chinina, sulfamidy - nawet nie rozpakowane. Mało tego, cały ten skład ma dobre sto metrów długości i ze trzydzieści szerokości. A wszystko idzie dla tych cholernych żółtków. Przyjmować dostawy, a jakże, przyjmują. Słyszałem, że transport odbywa się przez Czongking. Czerwony Krzyż daje lekarstwa Syjamczykom, ci z kolei przekazują je Japończykom, wszystko adresowane: "Obóz jeniecki. Changi". Jezu, na własne oczy widziałem nalepki, ale żółtki zachowują to dla swoich.

- Czy ktoś oprócz ciebie o tym wie?

- Powiedziałem pułkownikowi, on komendantowi, a ten z kolei temu złotemu sukinsynowi - jak mu tam, aha, Yoshima - no i komendant, kapujesz, zażądał tamtych lekarstw. Ale żółtki wyśmiali go, powiedzieli, że to plotka, i na tym stanęło. Odtąd nie posłali tam nikogo do roboty. Skurwiele parszywe. To draństwo, bo przecież nam bardzo potrzeba lekarstw. Mogliby dać chociaż trochę. Pół roku temu umarł mój kumpel tylko z braku insuliny, a ja na własne oczy widziałem całe jej skrzynie. Skrzynie!

Timsen zrobił sobie skręta, kaszlnął i splunął, tak wściekły, że aż kopnął w ścianę. Wiedział jednak, że nerwy nic tu nie pomogą. Nie było sposobu na dostanie się do tamtego magazynu. Ale surowicę i sulfamidy dla Anglika mógł zdobyć. Jasne, że tak. I podarować mu je.

Jednakże był za sprytny, aby dać się przejrzeć. Byłby dziecięco naiwny, zdradzając Królowi swój słaby punkt, bo tak jak wierzył, że Australia to najwspanialszy kraj na świecie, tak miał pewność, że prędzej czy później Król wykorzystalby tę jego słabość do swoich celów. O tak, a przecież Król był mu potrzebny do sprzedaży brylantu. Jasny gwint, przypomniał sobie nagle. Całkiem zapomniałem o tym parszywym złodzieju.

Dlatego też podał wygórowaną cenę i pozwolił Królowi trochę z niej utargować. Ale i tak ostateczna suma pozostała wysoka, bo wiedział, że Króla stać na zapłacenie, a zresztą, gdyby sprzedał towar tanio, Król zacząłby coś podejrzewać.

- No dobra. Umowa stoi - zgodził się ponuro Król. Ale w duchu nie był tak bardzo ponury. O tyle, o ile. Spodziewał się, że Timsen z niego zedrze, ale cena, choć wyższa od tej, którą gotów był zapłacić, okazała się do przyjęcia.

- Załatwienie tego wymaga trzech dni - rzekł Timsen, wiedząc, że za trzy dni będzie za późno.

- Muszę je mieć jeszcze dziś.

W takim razie będzie cię to kosztowało dodatkowe pięćset.

- Przecież jestem twoim przyjacielem! - zaprotestował Król, dotkliwie odczuwając cios. - Jesteśmy kumplami, a ty skubiesz mnie na następne pięć stów.

- Proszę bardzo, jak chcesz, bracie - rzekł markotnie Timsen. - Ale sam wiesz, jak jest. Zajmie mi to co najmniej trzy dni.

- A niech cię cholera! Zgadzam się.

- Pielęgniarsz też będzie kosztował pięćset.

- Cholerny świat! A na co tu pielęgniarsz?

Timsen z ogromną przyjemnością przyglądał się cierpieniom Króla.

- No, a co zrobisz, jak dostaniesz leki? - spytał uprzejmym tonem. - Jak zamierzasz je zastosować?

- A skąd, do diabła, mam wiedzieć?

- I za to właśnie płacisz te pięć stów. A może chcesz dać Anglikowi leki, żeby je zaniósł do szpitala i zwrócił się do pierwszego z brzegu konowała: "Mam tu surowicę i sulfamidy, zróbcie coś z tą sakramencką ręką", i żeby tamten powiedział: "Nie mamy surowicy. Skądżeś pan to wytrzasnął?" A jeżeli Anglik im tego nie powie, to łachudry ukradną mu wszystko i dadzą jakiemuś parszywemu pułkownikowi z lekkim przypadkiem hemoroidów.

Timsen zręcznym ruchem wyciągnął Królowi z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował się bez pytania.

- Poza tym - ciągnął, tym razem poważnym tonem - musisz znaleźć jakieś miejsce, gdzie można go leczyć po cichu i gdzie mógłby się położyć. Niektórzy źle znoszą surowicę. Do umowy należy i to, że nie przyjmuję odpowiedzialności, jeżeli z leczenia nic nie wyjdzie.

- Co może nie wyjść, jeżeli masz surowicę i sulfamidy?

- Niektórzy tego nie wytrzymują. Wymioty. Ciężka sprawa. No i może nie poskutkować. Zależy, ile trucizny weszło do organizmu.

Timsen wstał.

- Zobaczymy się wieczorem - powiedział. - Nie wiem dokładnie, kiedy. Aha, byłbym zapomniał, potrzeba jeszcze pięćset na wyposażenie.

- Jakie wyposażenie, do jasnej cholery?! - wybuchnął Król.

- Strzykawka, bandaż i mydło - wyliczył niemal z oburzeniem Timsen. - Co ty myślisz, że surowica jest w czopkach, które się wtyka do tyłka?

Król odprowadził go wzrokiem pełnym goryczy, w duchu wściekając się na siebie: "Myślałeś, że jesteś cwaniak, co? Że za papierosa dowiedziałeś się, co leczy gangrenę? Tylko że potem, zakuty łbie, zapomniałeś spytać, jak się to robi. A zresztą, pal diabli. Umowa zawarta. No i Pete będzie miał rękę. Cena też jest w końcu do przyjęcia".

Wtedy przypomniał mu się chytry złodziejasek, który zbudził go dzisiejszego rana, i rozpromienił się. O tak, był bardzo zadowolony z tego, co dzisiaj zdziałał.

ROZDZIAŁ XXI

Tego wieczoru Marlowe nie tknął jedzenia. Oddał je Ewartowi, a nie, jak powinien, swojej grupie. Wiedział, że gdyby oddał je Macowi i Larkinowi, zmusiliby go do wyjawienia, co mu jest. A to nie miałyby sensu.

Tego dnia wcześniej, po południu, omdlewając z bólu i rozpacz, udał się do doktora Kennedy'ego. I znów odchodził od zmysłów, czując straszliwy ból, kiedy zdzierano mu bandaż.

- Zakażenie dotarło powyżej łokcia - powiedział bez ogródek doktor. - Mógłbym amputować pod łokciem, ale to strata czasu. Lepiej operować wszystko za jednym zamachem. Będzie pan miał przyzwoity kikut: dobre kilkanaście centymetrów od ramienia. Wystarczy na przytroczenie sztucznej ręki. W zupełności. - Kennedy złożył dłonie tak, że palce stykały się opuszkami. - Niech pan nie traci czasu, Marlowe - powiedział, po czym zaśmiał się sucho i dorzucił żartobliwie: - *Domani é troppo tardi*. - A kiedy Marlowe spojrział na niego tępo, nic nie rozumiejąc, wyjaśnił beznamiętnie: - Jutro może być za późno.

Marlowe potykając się wrócił do siebie i leżał na pryczy zdjęty przerażeniem. Nadeszła pora kolacji i wtedy oddał swoją porcję Ewartowi.

- Masz malarię? - spytał uszczęśliwiony Ewart, najedzony do syta dzięki dodatkowej porcji.

- Nie.

- Może coś ci przynieść?

- Odczep się i daj mi spokój! - krzyknął Marlowe i odwrócił się do niego plecami. W jakiś czas potem wstał i wyszedł z baraku żalując, że zgodził się zagrać w brydża z Makiem, Larkinem i księdzem Donovanem. Wyrzucał sobie z goryczą, że jest głupi i że powinien dalej leżeć, aż nadejdzie pora, żeby przekraść się do dżungli po pieniądze. Ale zdawał sobie sprawę, że nie wytrzymałby leżenia na pryczy godzinami i czekania, aż będzie mógł bezpiecznie wyruszyć. Lepiej było czymś się zająć.

- Cześć, kolego! - przywitał go Larkin uśmiechając się.

Ale Marlowe nie odwzajemnił mu się uśmiechem. Usiadł bez słowa w progu, z ponurą miną. Mac zerknął na Larkina, a ten wzruszył lekko ramionami.

- Wiadomości są z dnia na dzień coraz lepsze, nie sądzisz, Peter? - zagadnął Mac, siląc się na dobry humor. - Jeszcze trochę i stąd wyjdziemy.

- Święta racja! - rzekł Larkin.

- Nadzieja matką głupich. Nigdy nie wyjdziemy z Changi - odparł Marlowe.

Nie chciał być opryskliwy, ale nie mógł się pohamować. Wiedział, że uraził Maca i Larkina, ale nie zrobił nic, żeby to załagodzić. Prześladowała go obsesyjna myśl o kikucie. Po kręgosłupie rozlał mu się nieprzyjemny chłód, który przeniknął do jąder. Czy Król rzeczywiście może coś zaradzić? W jaki sposób? Bądź realistą, ostrzegł się w duchu. Gdyby to chodziło o rękę Króla, co mógłbyś dla niego zrobić, choćbyś był nie wiem jak oddanym przyjacielem? Nic. Wątpliwe, żeby zdążył coś załatwić na czas. Nic nie załatwi. Lepiej spójrz prawdzie w oczy, Peter. Albo amputacja, albo śmierć. Proste. A jeśli tak się sprawy mają, to przecież nie możesz umrzeć. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Skoro już się urodziłeś, to masz obowiązek żyć. Tak, musisz być realistą. Król nic tu nie zdziała, nic. Nie powinieneś być go stawiać w takiej sytuacji. W końcu to twoje zmartwienie, nie jego. Musisz przynieść pieniądze, zwrócić mu je, a potem pójść do szpitala, położyć się na stole i dać im uciąć rękę.

Tak więc Marlowe, Mac i Larkin siedzieli w milczeniu, a wokół cuchnęła noc. Kiedy przyłączył się do nich ksiądz Donovan, zmusili go do zjedzenia porcyjki ryżu z blachangiem. Kazali mu ją zjeść od razu, przy nich, bo gdyby tego nie zrobili, ksiądz oddałby komuś jedzenie, tak jak to robił z większością przydziałowej żywności.

- Jesteście dla mnie bardzo dobrzy - rzekł Donovan. - Gdybyście jeszcze wszyscy trzej zrozumieli, że krocycie złą drogą, i weszli na ścieżkę wiary, byłby to dla mnie naprawdę udany wieczór - dodał z iskierką wesołości w oczach.

Mac i Larkin roześmieli się razem z nim. Marlowe nawet się nie uśmiechnął.

- Co ci jest, Peter? - spytał z rozdrażnieniem Larkin. - Cały czas zachowujesz się, jakby cię coś ugryzło.

- Nie szkodzi, każdy może być czasem trochę nie w humorze - powiedział szybko Donovan, przerywając nieprzyjemną ciszę. - Przyznacie, że wiadomości mamy dobre, prawda?

Jednemu Marlowe'owi nie udzieliła się przyjacielska atmosfera wypełniająca pokój. Czuł, że jego obecność przytłacza pozostałych, ale nie mógł na to nic poradzić. Nic.

Przystąpiono do gry i ksiądz Donovan rozpoczął licytację zgłaszając dwa piki.

- Pas - powiedział gderliwie Mac.

- Trzy kara - zaliczył Marlowe i natychmiast tego pożałował, gdyż głupio się pomylił, zgłaszając kara zamiast kierów.

- Pas - odezwał się z rozdrażnieniem Larkin. Żałował, że w ogóle zaproponował grę. Nie sprawiała mu ona żadnej przyjemności. Najmniejszej.

- Trzy piki - powiedział Donovan.

- Pas.

- Pas - rzekł Marlowe, ściągając tym na siebie zaskoczone spojrzenia pozostałych.

Ksiądz Donovan uśmiechnął się.

- Powinieneś mieć więcej wiary... - powiedział.

- Dość już mam wiary - odburknął Marlowe, a jego słowa zabrzmiały niespodziewanie zaczepnie i gniewnie.

- Przepraszam, Pete, ja tylko...

- Słuchaj no, Peter - wtrącił ostro Larkin. - To, że jesteś akurat w złym humorze...

- Mam prawo do własnego zdania i uważam, że to był kiepski żart - przerwał mu porywczo Marlowe, a potem zwrócił się gwałtownie do Donovana: - Tylko dlatego, że ksiądz robi z siebie męczennika, oddając innym jedzenie i śpiąc z prostymi żołnierzami, rości sobie ksiądz, jak się zdaje, prawo, żeby być najwyższym autorytetem. Wiara to wielkie nic! To dobre dla dzieci, tak samo jak Bóg. A na co On, do diabła, ma wpływ? Na co? No, na co?!!!

Mac i Larkin wpatrywali się w Marlowe'a, jakby widzieli go po raz pierwszy w życiu.

- Może uzdrawiać - odparł ksiądz Donovan wiedząc, że Marlowe ma gangrenę. Wiedział o wielu rzeczach, o których wolałby nie wiedzieć.

Marlowe cisnął karty na stół.

- Gówno! - krzyknął ogarnięty szałem. - Gówno prawda i ksiądz dobrze o tym wie. I jeszcze jedno, skoro już przy tym jesteśmy: Bóg! Chce ksiądz wiedzieć, co ja o Nim myślę? Bóg to maniak, sadysta, krwiopijca...

- Czyś ty oszalał, Peter? - nie wytrzymał Larkin.

- Bynajmniej. Przyjrzyjcie się temu Bogu! - krzyczał Marlowe z nieprzytomnie wykrzywioną twarzą. - Bóg to samo zło, jeśli rzeczywiście jest Bogiem. Pomyślcie o tym morzu krwi, które przelano w Jego imię. - Przysunął twarz do twarzy Donovana. - Inkwizycja. Przypomina sobie ksiądz? Te tysiące spalonych i zamęczonych na śmierć przez katolickich sadystów? W Jego imię. A czy chociaż przyjdą nam na myśl Aztekowie, Inkowie, miliony niewinnie wymordowanych Indian? A protestanci,

palący na stosach i mordujący katolików? A katolicy, Żydzi, mahometanie i znów Żydzi, i jeszcze raz Żydzi, a mormoni, a kwakrzy i reszta tej hołoty? Bij, zabij, na tortury, na stos! Byłoby tylko w imię boże, a wszystko jest w porządku. Co za bezgraniczna hipokryzja! Niech mnie tu ksiądz nie namawia do wiary! Wiara to wielkie nic.

- Mimo to wierzysz w Króla - rzekł cicho ksiądz Donovan.

- Może jeszcze ksiądz powie, że jest on narzędziem Boga?

- Być może tak. Nie wiem.

- Muszę mu to powtórzyć - Marlowe roześmiał się histerycznie. - Uśmieje się jak wszyscy diabli.

- Słuchaj no, Marlowe - powiedział Larkin i wstał, trzęsąc się z wściekłości. - Albo natychmiast przeprosisz księdza, albo wynoś się stąd!

- Nie ma obawy, pułkowniku - odkrzyknął Marlowe. - Już wychodzę. - Wstał i obrzucił ich nienawistnym spojrzeniem, czując przy tym nienawiść do samego siebie.

- Posłuchaj, klecho. Jesteś niczym więcej jak tylko żartem. Tak samo jak twoja sukienka. I ty, i Bóg jesteście pośmiewiskiem z piekła rodem. Nie służysz Bogu, bo Bóg to diabeł. Jesteś sługą diabła.

Powiedziawszy to, zgarnął ze stołu karty, cisnął je księdzu Donovanowi w twarz i wybiegł w ciemność.

- W imię Ojca i Syna - powiedział ze współczuciem ksiądz Donovan. - Peter ma gangrenę. Muszą mu amputować rękę, bo inaczej umrze. Nad łokciem ma wyraźne purpurowe pręgi.

- Co?!

Larkin spojrzał osłupiały na Maca, a potem obaj jednocześnie poderwali się i rzucili do wyjścia. Ale ksiądz Donovan przywołał ich z powrotem.

- Stójcie, nic mu nie pomożecie.

- Psiakrew, przecież musi być jakieś wyjście - rzekł Larkin stojąc w progu. - Biedny chłopak... a ja myślałem... biedny chłopak...

- Nic nie możemy poradzić, tylko czekać. Czekać, modlić się i mieć nadzieję. Może Król coś pomoże, może jest w stanie pomóc - rzekł Donovan zmęczonym głosem i dodał: - On jeden może to zrobić.

Potyając się Marlowe wszedł do baraku Amerykanów.

- Idę po pieniądze - mruknął do Króla.

- Czyś ty oszalał? Za dużo ludzi się tu jeszcze kręci.

- Do diabła z ludźmi - zezłościł się Marlowe. - Chcesz mieć te pieniądze czy nie?

- Siadaj. No, siadaj!

Król zmusił go, żeby usiadł, poczęstował papierosem i dal filiżankę kawy. Chryste, co też ja muszę robić dla nędznego grosza, pomyślał. Cierpliwie przemawiał Marlowe'owi do rozsądku, obiecywał, że wszystko będzie dobrze, że leki są już w drodze, aż wreszcie po godzinie Peter uspokoił się trochę i można było się z nim porozumieć. Niemniej Król zdawał sobie sprawę, iż jego słowa nie docierają do Anglika. Widział, że Marlowe od czasu do czasu potakuje skinieniem głowy, lecz w głębi duszy był pewien, że nie słyszy, co się do niego mówi, a jeśli nie słyszy jego, Króla, to nikt nie jest w stanie z nim się porozumieć.

- Już czas? - spytał Marlowe, niemal oślepy z bólu, czując, że jeśli w tej chwili nie pójdzie, to nie zrobi tego nigdy.

Król zdawał sobie sprawę, że jest jeszcze za wcześnie i zbyt niebezpiecznie, ale wiedział też, że dłużej nie zatrzyma Marlowe'a w baraku. Wysłał więc na wszystkie strony czaty. Obstawiono całą okolicę. Max pilnował Greya, który leżał u siebie na pryczy. Byron Jones Trzeci miał oko na Timsena, który czekał właśnie przy północnej bramie obozu na transport leków, podczas gdy jego ludzie, stanowiący jeszcze jedno zagrożenie, nadal zaciekle przeczesywali obóz w poszukiwaniu złodzieja brylantu.

Król i Tex obserwowali, jak przypominający wskrzeszonego ducha Marlowe wychodzi z baraku i idzie przez ścieżkę do odwadniającego rowu. Na brzegu rowu Marlowe zachwiał się, ale potem przeczłgał się na jego drugą stronę i ruszył zataczając się w stronę ogrodzenia.

- Chryste - westchnął Tex. - Nie mogę na to patrzeć.

- Ja też - przyznał Król.

Marlowe walczył z przemożnym, paraliżującym świadomością bólem, próbując skupić wzrok na ogrodzeniu. W duchu modlił się, żeby jakaś kula położyła kres męce. Ból stał się nie do zniesienia. Ale kula nie nadlatywała, więc szedł dalej, posępny, wyprostowany, aż wreszcie zatoczył się na ogrodzenie. Chwycił się drutu, żeby złapać równowagę. Potem schylił się, chcąc przejść na drugą stronę, jęknął cicho i zapadł się w otchłanie piekieł.

Król z Texem podbiegli do ogrodzenia, podnieśli go i odciągnęli na bezpieczną odległość.

- Co mu jest? - spytał ktoś niewidoczny w ciemnościach.

- Pewnie odbiła mu szajba - wyjaśnił Król. - Chodź, Tex, zabierz go do baraku.

Przenieśli go do baraku i ułożyli na łóżku Króla. Potem Tex wybiegł na dwór, żeby odwołać rozstawione czujki, i wkrótce barak wrócił do normalnego życia. Czuwał tylko jeden czatownik.

Marlowe leżał na łóżku pojękując i majacząc. Po jakimś czasie odzyskał przytomność.

- O Boże - stęknął i spróbował się podnieść, ale ciało miał słabsze od chęci.

- Weź to - powiedział z troską Król podając mu cztery pastylki aspiryny. - Leż spokojnie, wszystko będzie dobrze.

Kiedy pomagał Marlowe'owi napić się wody, trzęsła mu się ręka. Psiakrew, a to mnie urządził, pomyślał gorzko. Jeżeli Timsen nie załatwi lekarstw, Peter się z tego nie wyliże, i jak wtedy znajdzie forse?! Psiakrew, a to mnie urządził!

Do chwili nadejścia Timsena Król zdążył zmienić się w kłębek nerwów.

- Cześć, bracie - powitał go również zdenerwowany Timsen.

Dopiero co musiał osłaniać przy głównej bramie swojego najlepszego kumpla, kiedy ten przełaził przez druty i przekradał się do kwatery japońskiego lekarza, znajdującej się kilkadziesiąt metrów od ogrodzenia i niedaleko domu Yoshimy, a do tego stanowczo za blisko wartowni jak na czyjekolwiek nerwy. Australijczykowi udało się jednak wymknąć z obozu i wślizgnąć do niego z powrotem. Czekać na jego bezpieczny powrót, Timsen nie przestawał pocić się ze strachu, mimo iż wiedział, że na całym świecie nie masz złodzieja nad Australijczyka, który wyprawił się po towar.

- Gdzie zrobimy zabieg? - spytał.

- Tutaj.

- Dobra. Wystaw czujki.

- A pielęgniarz?

- Na początek ja nim będę - rzekł Timsen z urazą w głosie. - Steven nie może wpaść. Ale potem on się tym zajmie.

- A czy ty w ogóle wiesz, co masz robić?

- Zapal światło, do cholery - odparł Timsen. - Pewnie, że wiem. Nastawiłeś wodę?

- Nie.

- To na co czekasz? Czy wy, Amerykanie, na wszystkim się tak znacie?

- Tylko się nie denerwuj!

Król skinął na Texa, który zajął się wodą. Timsen otworzył torbę lekarską i

rozłożył mały ręcznik.

- Niech mnie drzwi ścisną! - zawołał Tex. - W życiu nie widziałem czegoś równie czystego. To jest takie białe, że aż niebieskie.

Timsen splunął, wymył starannie ręce nowym mydłem i włożył do wrzątku strzykawkę i szczypcę. Następnie pochylił się nad leżącym i trzepnął go w twarz.

- Hej, bracie!

- Tak - odezwał się Marlowe słabym głosem.

- Zaraz będę ci czyścił ranę, rozumiesz?

Marlowe musiał się skoncentrować.

- Co? - spytał.

- Zaraz dam ci surowicę...

- Muszę wstać, iść do szpitala - odparł Marlowe nieprzytomnie. - Już czas... uciąć... mówię ci... - Ponownie zapadł w omdlenie.

- No i dobrze - rzekł Timsen.

Po wysterylizowaniu strzykawki zrobił Marlowe'owi zastrzyk z morfiny.

- Pomóż mi - ponaglił szorstko Króla. - Wycieraj mi czoło, bo mnie pot zalewa.

Król posłusznie sięgnął po ręcznik.

Timsen odczekał, aż zastrzyk zacznie działać, po czym zdarł bandaż i odsłonił ranę.

- Rany boskie! - Zranione miejsce było opuchnięte i purpurowe. - Chyba już za późno.

- O Boże - przeraził się Król. - Nie dziwię się, że chłopaczyna wariował.

Zgrzytając zębami, Timsen ostrożnie wyciął najbardziej zgniłe kawałki rozkładającej się skóry i sięgając w głąb rany, wymył ją najlepiej, jak umiał, posypał sproszkowanymi sulfamidami i zabandażował.

- Cholerny krzyż! - stęknął, kiedy się wreszcie wyprostował. Spojrzał na jaśniejący czystością bandaż i spytał Króla: - Masz jakąś koszulę?

Król chwycił pierwszą lepszą z wiszących na ścianie koszul i podał mu ją. Timsen oddał rękaw, podał go na kawałki i tym prymitywnym bandażem owinął właściwy opatrunek.

- A to znów po co? - spytał słabym głosem Król.

- Kamuflaż - wyjaśnił Timsen. - Wyobrażasz sobie pewnie, że będzie paradował po obozie z czystym bandażem na ręce i że nie zatrzyma go żaden żandarm, zdziwiony, skąd on go wytrzasnął?

- Rozumiem.

- No, proszę, kto by się spodziewał!

Król puścił mimo uszu przytyk. Robiło mu się niedobrze na wspomnienie ręki Marlowe'a, jej wyglądu, zapachu, przyprawiał go o mdłości widok krwi i pozlepiany, pokryty śluzem bandaż, który leżał jeszcze na podłodze.

- Ej, Tex, zrób coś z tym paskudztwem.

- Kto, ja? Dlaczego...

- Zrób coś z tym.

Tex z ociąganiem podniósł bandaż z podłogi i wyszedł. W miękkiej ziemi wygrzebał nogą dołek, zakopał bandaż i zwymiotował.

- Bogu dzięki, że nie muszę tego robić codziennie - powiedział, wróciwszy do baraku.

Timsen drżącymi rękami wciągnął do strzykawki surowicę i pochylił się nad ręką Marlowe'a.

- Musisz patrzeć, co robię. Patrz, do jasnej cholery! - huknął, widząc, że Król się odwraca. - Jeżeli Steven nie przyjdzie, być może sam będziesz musiał to zrobić. Zastrzyk musi być dożylny, kapujesz? Znajdujesz żyłę. Potem wbijasz igłę i powolutku cofasz tłok, aż wciągniesz do strzykawki trochę krwi. Widzisz? Wtedy masz pewność, że igła siedzi w żyłę. A jak już się upewnisz, wtedy po prostu naciskasz i wstrzykujesz surowicę. Byle nie za szybko. Ten jeden centymetr przez trzy minuty.

Król przyglądał się z odrazą, aż wreszcie Timsen wyszarpnął igłę i przycisnął miejsce po nakłuciu małym tamponikiem z waty.

- Cholera - zaklął Król. - W życiu tego nie zrobię.

- Jak chcesz, żeby umarł, to proszę bardzo - powiedział Timsen. Był zlany potem i też mu się zbierało na mdłości. - A mój stryj chciał, żebym został lekarzem! - Odepchnął Króla, wystawił głowę przez okno i gwałtownie zwymiotował. - O Jezu, zrób mi kawy.

Marlowe poruszył się i spojrzał wółprytnym wzrokiem.

- Wyjdiesz z tego, bracie. Rozumiesz mnie? - spytał Timsen, pochylając się nad nim łagodnie.

Marlowe kiwnął głową i uniósł chorą rękę. Przez chwilę wpatrywał się w nią, jakby nie dowierzał własnym oczom, a potem wymamrotał:

- Co się stało? Jeszcze... jest... jeszcze jest!

- Pewnie, że jest - rzekł z dumą Król. - Właśnie ci to załatwiliśmy. Surowica i te

pe... Ja i Timsen!

Ale Marlowe nic nie odpowiedział, wpatrywał się tylko w Króla, bezgłośnie poruszając ustami.

- Jeszcze... jest - wyszeptał wreszcie. Sięgnął prawą ręką, żeby dotknąć lewej, której nie powinien był mieć, a jednak miał. Upewniwszy się, że to nie sen, opadł na przepecony siennik, zamknął oczy i rozplakał się. Wkrótce potem zasnął.

- Biedaczyna - rzekł Timsen. - Pewnie myślał, że leży na stole operacyjnym.

- Jak długo będzie tak spał?

- Jeszcze ze dwie godziny. Słuchaj uważnie. Co sześć godzin musi dostawać zastrzyk, tak długo, aż wyjdzie z niego cała trucizna. Powiedzmy, przez mniej więcej dwie doby. Trzeba mu codziennie zmieniać opatrunek. I dawać sulfamidy. Nie wolno ci zapomnieć. Bezwarunkowo musi dostawać zastrzyki. I nie dziw się, jak ci tu wszystko zarzyga. Reakcja, i to ostra, nastąpi na pewno. Zaaplikowałem mu dużą pierwszą dawkę.

- Myślisz, że z tego wyjdzie?

- Na to pytanie odpowiem za dziesięć dni - odparł Timsen i zebrawszy zawartość torby, zrobił zręczny, niewielki pakunek z ręcznika, mydła, strzykawki, surowicy i sulfamidów. - No, to się teraz policzymy, dobra?

Król wyjął zostawioną mu przez Shagatę paczkę papierosów.

- Zapalisz? - spytał.

- Dzięki.

Kiedy obaj zapalili, Król zaproponował:

- Możemy się rozliczyć po załatwieniu sprawy z brylantem.

- O nie, bracie. Ja dostarczam towar, a ty mi za niego płacisz. Jedno nie ma z drugim nic wspólnego - sprzeciwił się ostro Timsen.

- A co ci szkodzi parę dni zaczekać?

- Masz dość forsy, nie mówiąc o zysku... - Timsen urwał nagle, pojawiwszy w czym rzecz. - Aha! - wykrzyknął, uśmiechając się od ucha do ucha i wskazując na Marlowe'a. - Nie ma forsy, dopóki kolega po nią nie pójdzie i nie przyniesie, mam rację?

Król zsunął z ręki zegarek.

- Chcesz go wziąć pod zastaw? - zaproponował.

- Coś ty, bracie, mam do ciebie zaufanie - rzekł Timsen i spojrzał na Marlowe'a.

- Wygląda na to, stary, że dużo od ciebie zależy. - Kiedy znowu zwrócił się w stronę

Króla, wokół oczu miał zmarszczki wesołości. - A ja też mam dzięki temu więcej czasu, no nie?

- Mhm?

- Nie udawaj, bracie. Dobrze wiesz, że ktoś ukradł pierścień. W całym obozie ty jeden możesz załatwić tę transakcję. Myślisz, że dopuściłbym cię do interesu, gdybym mógł to załatwić na własną rękę? - Na twarzy Timsena pojawił się rozanielony uśmiech. - Więc mam czas, żeby znaleźć złodzieja, tak czy nie? Bo jeśli przedtem zdąży on przyjść do ciebie, nie będziesz miał mu czym zapłacić. Zgadza się? A bez tego on nie wypuści brylantu z ręki. Mam rację? Nie ma forsy, nie ma interesu. - Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał dobrotliwie: - Mógłbyś mnie oczywiście powiadomić, kiedy ten drań się do ciebie zgłosi. W końcu to moja własność, tak czy nie?

- Owszem - zgodził się Król.

- Ale nie zrobisz tego - rzekł Timsen i westchnął. - Cholerny świat, co za złodziejskie towarzystwo.

Pochylił się nad Marlowe'em i zmierzył mu puls.

- Hm - mruknął w zamyśleniu. - Puls mu podskoczył.

- Dziękuję ci za pomoc, Tim.

- Nie ma o czym mówić, bracie. Ja też będę coś z tego miał, kiedy skubaniec wyzdrowieje, no nie? Tak czy owak, oka z niego nie spuszczę. Mam rację?

Znów się roześmiał i wyszedł.

Król padał z nóg. Poczul się lepiej, kiedy napił się kawy, a potem usadowiwszy się na krześle zasnął.

Obudził się nagle i spojrzał na łóżko. Marlowe miał otwarte oczy i patrzył na niego.

- Cześć - powiedział słabym głosem.

- Jak się czujesz? - spytał Król. Przeciągnął się i wstał.

- Okropnie. Zaraz zwymiotuję. Słuchaj, nie mam... nie mam słów...

Król zapalił ostatniego papierosa z paczki i wetknął go Marlowe'owi do ust.

- Zasłużyłeś sobie, stary - rzekł.

Kiedy Marlowe leżał zbierając siły, Król wyjaśnił mu, na czym polega leczenie i co należy robić.

- Przychodzi mi do głowy tylko jedno takie odosobnione miejsce: pokój pułkownika - powiedział Marlowe. - Mac będzie mnie budził i pomagał mi tam dojść.

Większość czasu mogę leżeć na swojej pryczy.

Kiedy wymiotował, Król ostrożnie przytrzymał mu menażkę.

- Miej to gdzieś pod ręką - poprosił Marlowe. - Przepraszam. Boże! - przeraził się, przypominając sobie ostatnie wydarzenia. - Pieniądze! Przyniosłem je?

- Nie. Zemdlałeś po tej stronie drutów.

- O mój Boże, dziś jeszcze nie dam rady.

- Nie ma pośpiechu, Peter. Pójdiesz, jak tylko lepiej się poczujesz. Nie ma sensu ryzykować.

- Nie będziesz stratny?

- Nie. Już ty się o to nie martw.

Marlowe'owi znów zrobiło się niedobrze, a kiedy doszedł do siebie, wyglądał okropnie.

- To dziwne - powiedział, tłumiąc nawrót mdłości. - Miałem przykry sen. Śniło mi się, że strasznie się pokłóciłem z Makiem, pułkownikiem i księdzem Donovanem. Jak się cieszę, że to był tylko sen. - Podparł się zdrową ręką, zachwiał i położył z powrotem. - Pomożesz mi wstać?

- Poleż sobie jeszcze. Dopiero co pogasili światła.

- Ej, kolego!

Król podskoczył do okna i wpatrzył się w ciemność. Dostrzegł ledwie widoczną postać znajomego szczirowatego człowieczka, który kulił się pod ścianą baraku.

- Prędko - szepnął tamten. - Mam ten kamyk.

Musisz poczekać - odparł Król. - Przez najbliższe dwa dni nie będę ci mógł zapłacić.

- Ty parszywy draniu...

- Posłuchaj tylko, sukinsynu. Chcesz zaczekać dwa dni, to świetnie! A jak nie, to się wypchaj!

- Dobra, dwa dni.

Człowieczek zaklął szpetnie i znikł.

Król usłyszał tupot nóg, a po chwili odgłosy pościgu. Potem zapadła cisza, zakłócona tylko jednostajnym cykaniem świerszczy.

- Co to było? - spytał Marlowe.

- Nic - odparł Król, ciekaw, czy tamtemu udało się uciec. Ale bez względu na to brylant i tak był jego. Dopóki miał pieniądze.

ROZDZIAŁ XXII

Przez dwa dni Marlowe walczył ze śmiercią. Miał jednak w sobie wolę życia. Więc żył.

- Peter!

Mac potrząsnął nim lekko, żeby go obudzić.

- Słucham, Mac?

- Już czas.

Mac pomógł Marlowe'owi wstać z pryczy, a potem obaj zeszli powoli po schodach - młody wsparty na starym - i przeszli po ciemku do baraczkę pułkownika.

Steven już na nich czekał. Marlowe położył się na łóżku Larkina i dostał kolejny zastrzyk. Musiał mocno zagryźć wargi, żeby nie krzyknąć, bo choć Steven robił zastrzyk delikatnie, to igła była zupełnie tępa.

- Już po wszystkim. A teraz zmierzmy temperaturę - powiedział Steven i włożył Marlowe'owi do ust termometr. Potem odwinął bandaż i obejrzał chorą rękę. Opuchlizna zeszła, znikło też purpurowo-zielone zabarwienie rany, która pokryła się twardymi strupami. Steven posypał zasklepioną ranę sulfamidami w proszku. - Znakomicie - stwierdził, ciesząc się z wyników kuracji, chociaż, prawdę mówiąc, dzisiejszy dzień nie dał mu na ogół powodów do radości. Ten wstrętny, obrzydliwy sierżant Flaherty, pomyślał. Wie, że nie cierpię tej roboty, ale nie przepuści okazji, żeby mnie do niej wyznaczyć. - Paskudna sprawa - wyrwało mu się na głos.

- Co? - zaniepokoił się Mac, Larkin i Marlowe.

- Czy coś jest nie tak? - spytał Marlowe.

- Ależ nie, kochany - uspokoił go Steven. - Mówiłem o czym innym. No, a teraz popatrzmy na temperaturę. - Sięgnął po termometr i uśmiechnął się do Marlowe'a spoglądając na słupek rtęci. - Normalna. Właściwie podwyższona o jedną kreseczkę, ale to drobiazg. Ma pan szczęście, bardzo dużo szczęścia. - Obejrzał pod światłem pustą buteleczkę po surowicy. - Właśnie wstrzyknąłem panu resztę. - Zmierzył Marlowe'owi puls. - Znakomicie - oświadczył i podniósł wzrok na Maca. - Czy ma pan jakiś ręcznik? - spytał.

Kiedy Mac podał mu ręcznik, Steven zmoczył go zimną wodą i przyłożył do czoła leżącemu.

- Znalazłem też to - powiedział, podając Marlowe'owi dwie tabletki aspiryny. -

Trochę pomaga. A teraz, kochany, niech pan chwilę poleży. - Odwrócił się do Maca, wstał, westchnął i wygładził na biodrach sarong. - Już nic tu po mnie. Jest bardzo słaby. Musicie dać mu rosół, panowie. I jak najwięcej jajek. Opiekujcie się nim dobrze. - Odwrócił się znów do Marlowe'a i spojrzał na jego wychudzone ciało. - W ciągu ostatnich dwu dni na pewno stracił ze sześć, siedem kilo, a to jest niebezpieczne przy jego wzroście. Biedaczek chyba nie waży nawet pięćdziesięciu, a więc jak na niego, niewiele.

- Mmm... chcielibyśmy ci podziękować, Steven - powiedział ochryple Larkin. - Jesteśmy, mmm... jesteśmy ci bardzo wdzięczni. Sam rozumiesz, za wszystko.

- Zawsze chętnie panom pomogę - rzekł pogodnie Steven, poprawiając opadający mu na czoło pukiel włosów.

Mac zerknął na Larkina.

- Gdybyśmy mogli, mhm, coś dla ciebie zrobić, Steven, powiedz tylko, a na pewno ci pomożemy - rzekł.

- Bardzo mi miło. Obaj jesteście tacy... mili - powiedział łagodnie Steven, przyglądając się z podziwem Larkinowi, czym wprawiał go w coraz większe zakłopotanie, i obracając w palcach medalionik z wizerunkiem świętego Krzysztofa, który nosił na szyi. - Gdybyście mogli wyręczyć mnie jutro przy dołach, gotów byłbym zrobić dla was wszystko. Dosłownie wszystko. Nie mogę znieść tych cuchnących karaluchów. Są obrzydliwe. Zrobilibyście to?

- Dobrze, Steven - zgodził się z kwaśną miną Larkin.

- W takim razie zobaczymy się o świcie - mruknął Mac i cofnął się trochę, w porę uchodząc pieszczocie Stevena. Ale Larkin nie był dość szybki i Steven poklepał go czule po biodrze.

- Dobranoc, kochani. Ach, obaj jesteście dla mnie tacy mili.

Kiedy Steven wyszedł, Larkin spojrzał groźnie na Maca.

- Spróbuj tylko coś powiedzieć, a oberwę ci uszy - zagroził.

Mac zachichotał.

- Ależ nie przejmuj się, człowieku. Chociaż wyglądało na to, że sprawił ci przyjemność - powiedział i nachylił się do Marlowe'a, który ich obserwował. - Jak myślisz, Peter?

- Obu przydałoby się parę słów do słuchu - odparł Marlowe z bladym uśmiechem. - Jemu dobrze płacą, a wy go kusicie i oferujecie swoje usługi. Niech mnie diabli, jeśli wiem, co on widzi w takich dwóch prykach jak wy.

Mac uśmiechnął się szeroko do Larkina.

- Oho, nasz chłopaczek ma się lepiej. Wreszcie będzie mógł się złapać za jakąś robotę, zamiast... Jak to mówi Król?... Aha, zamiast ciągle "się objać".

- Czy od pierwszego zastrzyku minęły już dwa, czy trzy dni? - spytał Marlowe.

- Dwa.

Dwa dni? Marlowe'owi wydawały się one latami. Pomyślał, że do jutra uda mu się zebrać dostatecznie dużo sił, żeby pójść po pieniądze.

Tego wieczoru, już po ostatnim apelu, przyszedł do nich na brydza ksiądz Donovan. Kiedy Marlowe opowiedział wszystkim trzem o strasznym śnie, w którym miał z nimi awanturę, roześmiali się.

- Oj, chłopcze - rzekł Mac. - Dziwne psikusy płała ci w gorączce ta twoja głowa.

- Tak - potwierdził ksiądz Donovan i uśmiechnął się do Marlowe'a. - Cieszę się, że wyleczyłeś rękę, Peter.

Marlowe odpowiedział mu uśmiechem.

- Niewiele jest rzeczy, o których by ksiądz nie wiedział, prawda? - spytał.

- Niewiele jest rzeczy, o których On nie wie - odparł Donovan z głębokim przekonaniem i spokojem. - Jesteśmy w dobrych rękach. Zaśmiał się cicho i dodał: - To dotyczy nawet waszej trójki!

- No proszę, kto by się spodziewał - rzekł Mac. - Chociaż, moim zdaniem, nasz pułkownik jest bezpowrotnie stracony!

Gdy skończyli grę i Donovan poszedł, Mac dał znak Larkinowi.

- Popilnuj - rzekł. Posłuchamy wiadomości, a potem spać.

Larkin obserwował drogę, a Marlowe siedział na werandzie, walczył z sennością i wyteżał wzrok. Dwa dni, myślał. Kilka ukłuć igłą i jestem zdrów, nie straciłem ręki. Takie dziwne dni, prześnione. A teraz wszystko jest już dobrze.

Wiadomości były niezwykle pomyślne. Każdy wrócił do siebie i zasnął snem spokojnym i głębokim.

O świcie Mac poszedł do kojca z kurami i znalazł tam trzy jajka. Zabrał je, usmażył z nich omlet, dodał do niego odrobinę ryżu, który specjalnie wczoraj odłożył, i poprawił ząbkiem czosnku.

Potem zaniósł omlet do baraku Marlowe'a. Obudził przyjaciela i przyglądał się, jak ten zmiata wszystko do czysta.

Wtem do baraku wpadł Spence.

- Hej, chłopcy! - krzyknął. - Przywieźli pocztę!

Maca aż ścisnęło w dołku. O Boże, żeby tak coś dla mnie! - pomyślał. Ale nie było dla niego listu.

Listów było w sumie czterdzieści trzy na dziesięć tysięcy ludzi. W ciągu trzech lat Japończycy dwukrotnie przywieźli do obozu pocztę. Niewiele tego było. A ponadto trzy razy pozwolili jeńcom napisać po dwadzieścia pięć słów na kartce pocztowej. Ale czy kartki te dotarły do adresatów, tego nie wiedział nikt.

Do tych, którzy dostali listy, należał Larkin. Był to jedyny list, jaki do tej pory otrzymał.

Nosił datę 21 kwietnia 1945 roku, a więc pochodził sprzed trzech miesięcy. Najnowsze spośród listów nosiły datę sprzed trzech tygodni, a najstarsze sprzed dwóch lat.

Larkin wciąż na nowo odczytywał list i nie mógł się nim nacieszyć. Wreszcie przeczytał go na głos Macowi, Marlowe'owi i Królowi, siedzącym na werandzie jego baraczk.

Kochanie! Ten list jest dwieście piątym listem, jaki piszę - brzmiały pierwsze słowa. - Jesteśmy obie zdrowe, ja i Jeannie. Przyjechała do nas mama i mieszkamy wszystkie razem, tam gdzie zawsze. Ostatnią wiadomością, jaką miałyśmy od Ciebie, był list wysłany z Singapuru z datą 1 lutego 1942. Mimo to wierzymy, że jesteś zdrow i cały, i modlimy się, żebyś szczęśliwie do nas wrócił.

Wszystkie listy zaczynałam tak samo, wybaczyć więc, jeśli już czytałeś to, co właśnie napisałam. Ale trudno mi się nie powtarzać, bo przecież nie wiem, czy dostaniesz ten list, jeśli w ogóle go dostajesz. Kocham Cię. Tęsknię za Tobą. I tak mi Ciebie brak, że czasem nie mogę tego znieść.

Jest mi dziś smutno. Nie wiem dlaczego, ale tak właśnie jest. Nie chcę być przygnębiona, miałam Ci napisać o tylu cudownych rzeczach.

Może dlatego jest mi smutno, że pani Gurple dostała wczoraj kartkę od męża, a ja nie dostałam nic. Chyba przemawia przeze mnie egoizm. Ale nic na to nie poradzę, taka już jestem. W każdym razie przy najbliższej okazji powtórz Yicowi Gurple, że jego żona Sarah dostała od niego kartkę z 6 stycznia 1943. Czuje się dobrze, a ich synek to przemiły chłopak. Sarah jest taka szczęśliwa, że znów dostała wiadomość. A tak przy okazji, to inne panie też się mają dobrze. Matka Timsena trzyma się wprost pierwszorzędnie. Nie zapomnij pozdrowić Toma Mastersa. Widziałam się wczoraj z jego żoną. Też jest zdrowa, no i zbija dla niego pieniądze. Wzięła się za jakieś nowe interesy. Aha, widziałam się z Elizabeth Ford, Mary Vickers...

Larkin oderwał wzrok od listu.

- Wymienia tu kilkanaście nazwisk żon. Ale wszyscy ci żołnierze już nie żyją. Żyje tylko Timsen.

- Czytaj dalej, stary - rzekł szybko Mac, aż do bólu świadom cierpienia, które malowało się w oczach Larkina.

Gorąco dziś - czytał dalej Larkin - siedzę na werandzie, Jeannie bawi się w ogrodzie, a ja sobie myślę, że pojedę na najbliższy weekend w Błękitne Góry, do naszego domku.

Napisałabym ci, co się dzieje na świecie, ale to zabronione.

Mój Boże, jak tu pisać w próżnię? Nie potrafię. Gdzie jesteś, kochany, gdzie jesteś? Nic więcej już nie napiszę. Skończę na tym i nie wyślę tego listu... O ukochany, modlę się za Ciebie. A Ty módl się za mnie. Proszę Cię, módl się za mnie...

- Nie ma podpisu - rzekł Larkin po chwili - a adres napisany jest charakterem pisma mojej matki. I co wy na to?

- Wiesz, jak to jest z dziewczynami - odparł Mac. - Odłożyła pewnie ten list do szuflady, a potem twoja matka znalazła go i nie pytając nadała na pocztę. Wiesz, jakie są matki. Najprawdopodobniej Betty całkiem zapomniała o tym liście i następnego dnia, kiedy miała lepszy nastrój, napisała drugi.

- Ale co znaczy "módl się za mnie"? - spytał Larkin. - Przecież wie, że codziennie to robię. Co tam się dzieje? Chora jest czy co, na miłość boską?

- Niepotrzebnie się pan martwi, pułkowniku - powiedział Marlowe.

- A co ty możesz o tym wiedzieć? - zaciętrzewił się Larkin. - Jak, do diabła, mogę się nie martwić?!

- Przynajmniej wiesz, że jest zdrowa i córka też - odburknął Mac, zżerany tęsknotą. - Z tego się ciesz! Żaden z nas nic nie dostał! Tylko ty miałeś szczęście! - zakończył i odszedł waląc wściekle butami.

- Przepraszam, Mac - zawołał Larkin, pobiegł za nim i przyprowadził go z powrotem. - Przepraszam. Wiesz, to już tyle czasu...

- Co tam, chłopie, wcale nie chodzi o to, co powiedziałeś. To ja tu zawiniłem. I to ja powinienem cię przeprosić. Mało szlag mnie nie trafił z zazdrości. Czasami zdaje mi się, że nie cierpię tych listów.

- Nie musisz mi tego mówić - odezwał się Król. - Oszaleć można. Ci, co je dostają, wariują, a ci, co ich nie dostają, też. Te listy to nic dobrego.

*

Zmierzchało. Było tuż po kolacji. W baraku Amerykanów nie brakowało

nikogo.

Kurt splunął na podłogę i postawił na stole tackę.

- Macie dziewięć. Wziąłem jedno - swoje dziesięć procent - oznajmił, raz jeszcze splunął na podłogę i wyszedł.

Wszyscy patrzyli na tackę.

- Chyba zaraz znowu zwymiotuję - powiedział Marlowe.

- Wcale ci się nie dziwię - przyznał Król.

- Mnie tam to nie bierze - rzekł Max i odchrząknął. - Wyglądają jak udka królika. Pewnie, że małe, ale jak królicze udka.

- Chcesz spróbować? - spytał Król.

- Coś ty! Powiedziałem tylko, że wyglądają podobnie. Chyba mam prawo mieć swoje zdanie?

- Dajcie żyć - powiedział Timsen. - Nie myślałem, że naprawdę będziemy je sprzedawać.

- Gdybym nie wiedział, że to... - zaczął Tex i urwał. - Ale jestem głodny. Takiej góry mięsa nie widziałem od czasu tamtego psa.

- Jakiego psa? - spytał podejrzliwie Max.

- O rany, to było... kupę lat temu - odparł Tex. - Jeszcze... w czterdziestym trzecim.

- Aha.

- Cholera - zaklął Król, wciąż nie mogąc oderwać wzroku od tacki. - Wygląda dobrze. - Pochylił się i powąchał mięso, trzymał jednak nos z daleka. - Pachnie dobrze...

- Ale nie jest dobre - przerwał mu zgryźliwie Byron Jones Trzeci. - To szczurze mięso.

Król poderwał głowę.

- I po co to mówisz, sukinsynu! - powiedział wśród ogólnego śmiechu.

- O rany, przecież to jest szczur. A ty go tak obskakiwałeś, że każdy by zgłodniał!

Marlowe wziął jedno z udek w dwa palce i położył je na bananowym liściu.

- To będzie dla mnie - powiedział.

Potem wrócił do swojego baraku, podszedł do pryczy i szepnął do Ewarta:

- Dzisiaj być może najemy się do syta.

- Co?

- Nieważne. Mam coś wyjątkowego - rzekł Marlowe, wiedząc, że ich rozmowę słyszy Drinkwater. Ukradkiem położył bananowy liść na swojej półce i powiedział: - Zaraz wracam.

Kiedy wrócił po półgodzinie, bananowy liść znikł, a wraz z nim Drinkwater.

- Wychodziłeś? - spytał Marlowe Ewarta.

- Tylko na chwilę. Drinkwater prosił, żebym przyniósł mu trochę wody. Powiedział, że strasznie kiepsko się czuje.

W tym momencie Marlowe'a chwycił atak histerycznego śmiechu i wszyscy w baraku pomyśleli, że zwariował. Opanował się dopiero wtedy, kiedy potrząsnął nim Mike.

- Przepraszam - powiedział - coś mnie rozśmieszyło.

Kiedy wrócił Drinkwater, Marlowe udał, że jest śmiertelnie przejęty stratą jakiegoś jedzenia. Drinkwater też się tym przejął.

- Co za świński kawał - powiedział oblizując wargi.

A wtedy Marlowe znów wybuchnął histerycznym śmiechem.

Po chwili wczołgał się na prycę, nie mając już siły się śmiać. Wkrótce zmęczenie śmiechem i wyczerpanie będące wynikiem ostatnich dwu dni sprawiły, że Marlowe zasnął. Śnił, że przygląda się Drinkwaterowi, który pochłania całe stopy małych udek i nie przestaje powtarzać: „O co chodzi? Są wyśmienite, wyśmienite...”

Obudził go Ewart.

- Peter, jakiś Amerykanin chce się z tobą widzieć. Czeka pod barakiem - powiedział.

Marlowe, mimo że nadal czuł się słabo i mdliło go, wstał.

- Gdzie Drinkwater? - spytał.

- Nie wiem. Wyszedł zaraz po tym, jak dostałeś napadu śmiechu.

- Aha. - Marlowe znów się roześmiał. - Już się bałem, że to mi się tylko przyśniło.

- Co ci się przyśniło? - spytał Ewart, przyglądając mu się uważnie.

- Nic takiego.

- Doprawdy nie wiem, co cię naszło, Peter. Ostatnio zachowujesz się bardzo dziwnie.

Pod osłoną baraku czekał na Marlowe'a Tex.

- Pete - szepnął. - Król mnie przysłał. Spóźniasz się.

- A niech to lichy! Przepraszam, zasnęłam.

- Tak, domyślił się tego. Kazał ci powiedzieć, żebyś się wziął do roboty - powiedział Tex, marszcząc brwi. - Dobrze się czujesz?

- Tak. Jestem jeszcze trochę osłabiony. Ale nie szkodzi.

Tex skinął głową na pożegnanie i pośpiesznie odszedł. Marlowe potarł twarz dłońmi, zszedł po schodkach na asfaltową drogę i stanął pod prysznicem, całym ciałem chłonąc siły z zimnego strumienia wody. Potem napełnił manierkę wodą i ruszył ciężkim krokiem do latryny. Wybrał dół u stóp zbocza, jak najbliżej ogrodzenia.

Księżyc świecił blado. Marlowe odczekał, aż latryna się wyludni, a wtedy przemknął przez odsłonięty kawałek gruntu, pod drutami, i ruszył do dżungli. Okrążył obóz chyłkiem, trzymając się z dala od krętej, biegnącej pomiędzy ogrodzeniem a dżunglą ścieżki, po której przechadzał się strażnik. Odszukanie pieniędzy zajęło mu godzinę. Kiedy znalazł schowek, usiadł, przywiązał sobie grube pliki banknotów wokół ud i owinął się w pasie podwójnie złożonym sarongiem. W ten sposób materiał nie sięgał do ziemi, lecz do kolan, i jego obfite fałdy dość skutecznie ukrywały wyraźne zgrubienie nóg.

Kolejną godzinę spędził tuż przy ogrodzeniu naprzeciwko latryny czekając, aż będzie mógł się wśliznąć z powrotem do obozu. Przykucnął w ciemnościach nad tym samym dołem co poprzednio, żeby złapać oddech i odczekać, aż uspokoi mu się serce. Po jakimś czasie podniósł z ziemi manierkę i opuścił latrynę.

- Cześć, bracie - przywitał go z uśmiechem Timsen wyłaniając się z nocnych cieni. - Wspaniała noc.

- Owszem - odparł Marlowe.

- Jakby wymarzona na spacer, no nie?

- Tak myślisz?

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli się z tobą przejdę?

- Bynajmniej, Tom. Chodź. Bardzo się cieszę, że jesteś. Dzięki temu nikt na mnie nie napadnie. No nie?

- Tak jest, bracie. Równy z ciebie facet.

- Ty też nie jesteś najgorszy, stary draniu - rzekł Marlowe i klepnął Timsena po ramieniu. - Do tej pory ci nie podziękowałem.

- Nie ma o czym mówić, bracie - odparł Timsen i zaśmiał się pod nosem. - Jasny gwint, o mały włos mnie nie nabrałeś. Myślałem, że idziesz się załatwić.

Na widok Timsena Król sposepniał, ale nie zanadto, bo przecież odzyskał pieniądze. Przeliczył je i schował do czarnej skrzynki.

- No to teraz został już tylko brylant - rzekł.

- Ano właśnie, bracie - zaczął Timsen i chrząknął. - Jeżeli złapiemy złodzieja, zanim tu się zjawi, albo kiedy tu przyjdzie, wtedy dostaję tyle, ileśmy ustalili, dobrze mówię? Ale jeśli kupisz od niego pierścionek, a nam się nie uda go złapać, to wygrywasz ty. Tak będzie najuczciwiej, dobrze mówię?

- Oczywiście - odparł Król. - Umowa stoi.

- Dobra nasza! Niech Bóg ma go w swojej opiece, jeśli go złapiemy.

Timsen skinął głową Marlowe'owi i wyszedł.

- Połóż się, Peter - rzekł Król, siadając na czarnej skrzynce. - Wyglądasz, jakby cię ktoś przez wyzymaczkę przekręcił.

- Chyba już sobie pójdę.

- Zostań. Mogę potrzebować kogoś, do kogo mam zaufanie.

Król pocił się, a schowane w skrzynce pieniądze parzyły go przez drewno.

Marlowe położył się na jego łóżku. Od dużego wysiłku wciąż jeszcze bolało go serce. Usnął, ale spał czujnie.

- Kolego!

Król podskoczył do okna.

- Już! - spytał.

- Szybko.

Mały człowieczek bał się okropnie, w świetle błyskały białka jego rozbieganych na wszystkie strony oczu.

- Dawaj, szybko - ponaglił.

Król jednym ruchem wepchnął klucz do zamka, odrzucił wieko skrzynki, złapał wcześniej odliczony plik banknotów i pobiegł do okna.

- Masz. Dziesięć patyków. Przeliczone. Gdzie brylant?

- Najpierw forsa.

- Najpierw brylant - powiedział Król, ściskając w garści banknoty.

Człowieczek spojrział na niego wojowniczo, po czym rozchylił zaciśnięte w pięść palce. Król wlepił oczy w pierścionek i badał go wzrokiem nie czyniąc najmniejszego ruchu, żeby po niego sięgnąć. Muszę mieć pewność, myślał gorączkowo. Muszę mieć pewność. Tak, to ten sam. Tak mi się wydaje.

- Na co czekasz, człowieku? - wychrypiał złodziej. - Bierz!

Król wypuścił banknoty z ręki dopiero wtedy, gdy zacisnął palce na pierścieniu. Człowieczek pomknął jak strzała. Król wstrzymał oddech, nachylił się i w świetle

lampy obejrzał dokładnie pierścionek.

- Peter, udało nam się, bracie - szepnął podniecony. - Udało się. Mamy brylant i mamy pieniądze.

Czując, jak napięcie ostatnich dni zaczyna dawać mu się we znaki, Król otworzył woreczek z ziarnem kawy i udał, że zagrzebuje tam pierścień. Ale zamiast tego ukrył go zręcznie w dłoni. Nawet Marlowe, który był najbliżej, dał się na to nabrać. Ledwie Król zamknął skrzynkę, złapał go atak kaszlu. Nikt nie zauważył, kiedy wsuwał pierścionek do ust. Potem wymacał filiżankę z ostygłą kawą i wypił ją, połykając pierścionek. Teraz brylant był już bezpieczny. Bardzo bezpieczny.

Król usiadł na krześle i czekał, aż minie napięcie. Tak jest, triumfował w duchu. Udało się!

Ciszę przeciął ostrzegawczy gwizd.

Przez drzwi wśliznął się Max.

- Gliny - rzucił i przysiadł się szybko do grupki grającej w pokera.

- Psiakrew - zaklął Król i zmusił się, żeby wstać.

Złapał stosik pieniędzy, jeden plik rzucił Marlowe'owi, drugi wepchnął sobie do kieszeni, a potem podbiegł do stolika pokerzystów i każdemu z grających wręczył po pliku banknotów, które ci z kolei wepchnęli sobie do kieszeni. Resztę pieniędzy rozłożył na stole, przysunął jeszcze jedno krzesło i dosiadł się do gry.

- Na co czekasz, jak rany, rozdawaj! - zniecierpliwił się.

- Dobra, dobra - odparł Max. - Po pięć. - Popchnął na środek stolika studolarowy banknot. - Wchodzę za sto.

- Za dwieście - powiedział rozpromieniony Tex.

- Jestem!

I tak wszyscy przyłączyli się do gry, sycąc wzrok widokiem pieniędzy. Max rozdał po dwie karty, a przy trzeciej kolejce położył przed sobą asa.

- Dokładam do czterystu!

- Twoje czterysta i czterysta - powiedział Tex, który miał na stole odsłoniętą parę i nic poza tym.

- Jestem - rzekł Król, a potem uniósł głowę i zobaczył w drzwiach Greya. Grey stał pomiędzy Broughem a Yoshimą. Za Yoshimą zaś stał Shagata i jeszcze jeden strażnik.

ROZDZIAŁ XXIII

- Stanąc przy łózkach - rozkazał Brough z twarzą ściągniętą i zmartwiałą.

Król rzucił mordercze spojrzenie Maxowi, który stał dziś na czatach. Max zawałił robotę. Powiedział "gliny", a nie zauważył Japończyków. Gdyby krzyknął "żółtki", plan działania byłby całkiem inny.

Marlowe spróbował dźwignąć się na nogi. Kiedy stanął, mdłości nasiliły się, tak że zatoczył się na stół Króla i oparł się na blacie.

Yoshima patrzył na leżące na stole pieniądze. Brough spostrzegł je przed chwilą i wzdrygnął się na ich widok. Grey także je zauważył i serce zabiło mu szybciej.

- Skąd są te pieniądze?! - spytał Yoshima.

Zaległa martwa cisza.

- Skąd są te pieniądze?! - krzyknął Yoshima.

Król zmartwiał z przerażenia. Kiedy zobaczył Shagatę, zorientował się, że strażnik jest zdenerwowany, i zrozumiał, że znajduje się o krok od Outram Road.

- Z hazardu, panie kapitanie - powiedział.

Yoshima przemierzył barak i zatrzymał się tuż przed Królem.

- A nie z czarnego rynku? - spytał.

- Nie, panie kapitanie - odparł Król uśmiechając się z przymusem.

Marlowe'owi znów zebrało się na wymioty. Zachwiał się mocno i o mało nie upadł. Świat zaczął mu się rozmywać przed oczami.

- Czy mogę... usiąść? - zapytał.

Yoshima spojrział w głąb baraku i dostrzegł na ramieniu Marlowe'a opaskę.

- A co tutaj robi angielski oficer? - spytał. Był zaskoczony, ponieważ jego informatorzy od dawna donosili mu, że jeńcy innych narodowości rzadko bratają się z Amerykanami.

- Ja... właśnie... przyszedłem odwiedzić... - zaczął Marlowe, ale nie skończył. - Przepra...

Wychylił się przez okno i wymiotował.

- Co mu jest? - spytał Yoshima.

- To chyba... malaria, panie kapitanie.

- Ty - zwrócił się Yoshima do Texa. - Posadź go na tamtym krześle.

- Tak jest, panie kapitanie.

Yoshima przeniósł wzrok na Króla.

- A więc, skąd macie aż tyle pieniędzy, jeśli nie z czarnego rynku? - spytał jedwabistym głosem.

Król czuł wlepione w siebie spojrzenia, przygniatała go przerażająca cisza i świadomość, że w żołądku ma brylant i że w drzwiach stoi Shagata. Odchrząknął.

- No, bo my... - zaczął - oszczędzamy na to, żeby sobie pograć.

- Kłamiesz!

Ręka Yoshimy spadła mu na twarz z takim rozmachem, że aż się zatoczył. Uderzenie właściwie nie było bolesne, ale Król odczuł je jak śmiertelny cios. O Boże, już po mnie, pomyślał. Skończyła się dobra passa.

- Kapitanie Yoshimę - odezwał się Brough, ruszając od progu. Zdawał sobie sprawę, że wtrącanie się nic tu nie da, może nawet pogorszyć sytuację, ale musiał spróbować.

- Milczeć!!! - rozkazał Yoshimę. - Ten człowiek kłamie. To oczywiste. Śmierdzący Jankes. - Odwrócił się plecami do Brougha i spojrzał na Króla. - Daj mi swoją manierkę!

Król jak we śnie zdjął z półki manierkę i podał ją Yoshimie. Japończyk wylał wodę, potrząsnął manierką i zajrzał do środka. Potem rzucił ją na podłogę i podszedł do Texa.

- Daj mi swoją manierkę - powiedział.

Marlowe'owi znów żołądek podjechał do gardła. W głowie kłębiły mu się pytania: "O co chodzi z tymi manierkami? Czy Mac i Larkin też są rewidowani? Co będzie, jeśli Yoshima zechce obejrzeć moją?" Poczł mdłości i zataczając się podszedł do okna.

Yoshima przeszedł przez cały barak, sprawdzając po drodze wszystkie manierki. Wreszcie zatrzymał się przed Marlowe'em.

- Pańska manierka?

- Ja... - zdążył powiedzieć Marlowe i ponownie ogarnęły go mdłości. Kolana ugięły się pod nim i nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

Yoshima odwrócił się do Shagaty i z wściekłością powiedział do niego coś po japońsku.

- *Hai* - odparł Shagata.

- Pan! - Yoshima wskazał palcem Greya. - Pan i strażnik pójdziecie z tym człowiekiem po jego manierkę.

- Proszę bardzo.

- Przepraszam, panie kapitanie - wtrącił szybko Król. - Jego manierka jest tutaj.

Sięgnął pod łóżko i wyciągnął stamtąd zapasową manierkę, którą chował na czarną godzinę.

Yoshima wziął manierkę do ręki. Była bardzo ciężka. Na tyle ciężka, że mogła kryć w sobie radio, a przynajmniej jego część. Odkorkował ją i odwrócił do góry dnem. Przez otwór wysypał się strumień suchych ziaren ryżu i leciał dotąd, aż manierka opróżniła się i zrobiła lekka. Radia w niej nie było.

Yoshima odrzucił manierkę ze złością.

- Gdzie jest radio? - krzyknął.

- Tu nie ma żadnego... - zaczął Brough, modląc się w duchu o to, żeby Yoshimie nie przyszło czasem do głowy spytać, czemu to Anglik, który przyszedł tu w odwiedziny, schował manierkę pod łóżkiem.

- Milczeć!

Yoshima ze strażnikami przeszukał barak, aby upewnić się, że nie ma innych manierek, a potem jeszcze raz obejrzał te, które znalazł.

- Gdzie jest manierka z radiem? - krzyknął. - Wiem, że ją macie. Należy do jednego z was! Gdzie ona jest?!

- Tu nie ma żadnego radia - powtórzył Brough. - Jeśli pan sobie życzy, rozbierzemy cały barak.

Yoshima zrozumiał, że w przekazanej mu informacji tkwi jakaś nieścisłość. Tym razem nie określono mu dokładnie, gdzie znajduje się radio, podano tylko, że jest ono ukryte w jednej lub kilku manierkach i że jeden z jego właścicieli przebywa właśnie w baraku Amerykanów. Rozejrzał się po obecnych. Który z nich? O, pewnie, że mógłby kazać im odmaszerować na wartownię, ale bez radia byłoby to bezcelowe. Generał nie znosił niepowodzeń. A bez radia...

A więc tym razem nie powiodło się.

- Zawiadomi pan komendanta obozu, że wszystkie manierki ulegają konfiskacie - zwrócił się do Greya. - Mają być jeszcze dzisiaj dostarczone na wartownię!

- Tak jest, panie kapitanie - odparł Grey. Miało się wrażenie, że jego twarz składa się wyłącznie z oczu.

Yoshima zdawał sobie sprawę, że do czasu, gdy manierki trafią na wartownię,

ta lub te z radiem w środku zostaną gdzieś zakopane albo ukryte. Nie miało to jednak znaczenia, mogło tylko ułatwić poszukiwania. Kryjówkę trzeba przecież zmieniać, a w trakcie takiej zmiany znajdą się oczy, które to zobaczą. Kto by pomyślał, że w manierce można zmieścić radio?

- Amerykańskie świnie - warknął. - Myślicie, że jesteście sprytni. Silni. Potężni. No to zapamiętajcie sobie. Choćby ta wojna trwać miała sto lat, i tak was pokonamy. Nawet jeśli zwyciężyliście Niemców. Damy sobie radę sami. Nigdy nas nie pokonacie. Nigdy! Możecie zabić wielu z nas, ale my zabijemy was więcej. Nigdy nas nie zwyciężycie. A to dlatego, że jesteśmy cierpliwi i nie boimy się śmierci. Zniszczymy was, choćby walka miała trwać dwieście lat!

Powiedziawszy to, gwałtownie wymaszerował z baraku.

Brough zwrócił się do Króla:

- Masz podobno łeb na karku, a pozwalasz, żeby ci wszedł do baraku ten żółty skurwysyn ze strażnikami i zobaczył tyle rozłożonej forsy. Przydałby ci się psychiatra - powiedział.

- Tak jest, panie kapitanie. Jestem tego samego zdania.

- I jeszcze jedno. Gdzie masz brylant?

- Jaki brylant, panie kapitanie?

Brough usiadł.

- Pułkownik Smedly-Taylor wezwał mnie i powiedział, że według kapitana Greya masz pierścionek z brylantem, który nie jest twoją własnością. To znaczy, macie go ty i kapitan Marlowe. Oczywiście każda rewizja wymaga mojej obecności. Nie mam zresztą nic przeciwko temu, żeby kapitan Grey przeszukał barak, bylebym tylko był przy tym obecny. Właśnie mieliśmy do was pędzić, kiedy wpadł Yoshima ze strażnikami i zaczął jazgotać, że chce zrobić tu rewizję, bo któryś z was ma podobno radio w manierce. Ciekawe, co jeszcze wymyślicie? Rozkazał mnie i Greyowi iść ze sobą.

Teraz, kiedy rewizja się skończyła, Brough dziękował Bogu, że w baraku nie ma manierki z radiem. Dzięki rewizji zorientował się, że zarówno Marlowe, jak i Król są zamieszani w sprawę radia. W przeciwnym razie po co Król udawałby, że amerykańska manierka należy do Anglika?

- Dobra, rozbieraj się - powiedział do Króla. - Zostaniesz zrewidowany. Łóżko i skrzynka też. - Odwrócił się. - A wy, chłopcy, siedźcie cicho i grajcie sobie dalej. - Spojrzał na Króla. - Chyba że sam wolisz oddać brylant.

- Jaki brylant, panie kapitanie?

Kiedy Król się rozbierał, Brough podszedł do Marlowe'a.

- Podać ci coś, Pete? - spytał.

- Trochę wody.

- Tex, przynieś wody - polecił Brough. - Wyglądasz fatalnie, co ci jest? - zwrócił się do Marlowe'a.

- Nic takiego... malaria... podle się czuję - odparł Marlowe, położył się na łóżku Texa i zmusił do słabego uśmiechu. - Ten przeklęty żółtek śmiertelnie mnie przeraził.

- Mnie też.

Grey przeszukał ubranie Króla, czarną skrzynkę, półki na ścianie, woreczek z fasolą i ku zdumieniu obecnych poszukiwania te okazały się bezowocne.

- Marlowe!

Grey stanął przed leżącym. Marlowe miał przekrwione oczy i ledwie na nie widział.

- Słucham?

- Chcę pana zrewidować.

- Niech pan posłucha, Grey - rzekł Brough. - Wprawdzie wolno panu przeprowadzać rewizję w mojej obecności, ale nie ma pan prawa...

- Nie szkodzi - przerwał mu Marlowe. - Nie mam nic przeciw temu. Gdybym odmówił... pomyślałby... od razu... Pomóż mi wstać, Don.

Marlowe zdjął sarong i rzucił go wraz z plikiem banknotów na łóżko.

Grey starannie obmacał szwy. Kiedy skończył, odrzucił sarong ze złością.

- Skąd pan ma te pieniądze?

- Wygrałem w karty - odparł Marlowe biorąc sarong.

- Kapralu - warknął Grey na Króla. - Co powiecie na to? - spytał, trzymając w ręku jeszcze jeden gruby plik banknotów.

- Wygrałem w karty, panie kapitanie - odparł niewinnie Król ubierając się, a Brough ukrył uśmiech.

- Gdzie jest brylant?

- Jaki brylant, panie kapitanie?

Brough wstał i podszedł do stolika pokerzystów.

- Wygląda na to, że brylantu nie ma - powiedział.

- To skąd w takim razie są te wszystkie pieniądze?

- Ten człowiek twierdzi, że z gry w karty. Regulamin tego nie zabrania.

Oczywiście ja też nie pochwalam hazardu - dodał Brough z lekkim uśmiechem, przypatrując się Królowi.

- Przecież pan wie, że to niemożliwe!

- Chciał pan raczej powiedzieć: mało prawdopodobne - wtrącił Brough. Żal mu było Greya; jego oczy świeciły chorobliwym blaskiem, usta drgały, a ręce się trzęsły. Naprawdę było mu go żal. - Chciał pan przeprowadzić rewizję, więc ją pan przeprowadził. Brylantu tu nie ma...

Urwał na widok Marlowe'a, który chwiejnym krokiem ruszył do drzwi i byłby upadł, gdyby Król nie podtrzymał go w ostatniej chwili.

- Chodź, pomogę ci - rzekł Król. - Odprowadzę go - oznajmił.

- Zostaniesz tutaj - powiedział Brough. - Grey, może by tak pan mu pomógł?

- Dla mnie on może paść trupem - warknął Grey i przeniósł wzrok na Króla. - Wy też! Ale dopiero wtedy, gdy was złapię, kapralu. A złapię na pewno.

- Już ja go wtedy urządzę - powiedział Brough, spoglądając na Króla. - Zgoda?

- Tak, panie kapitanie.

- Ale do tego czasu - rzekł Brough, znów patrząc na Greya - albo do czasu, kiedy złamię mój rozkaz, nic mu nie można zrobić.

- W takim razie niech pan mu zabroni handlu na czarnym rynku.

Brough panował nad sobą.

- Czego to się nie robi dla świętego spokoju - powiedział, wyczuwając pogardę swoich podkomendnych. Uśmiechnął się w duchu i pomyślał: "Sukinsyny". - Kapralu - zwrócił się do Króla - zabraniam wam handlu na czarnym rynku. Rozumiem przez to sprzedaż naszym ludziom artykułów żywnościowych, sprzedaż czegokolwiek dla zdobycia zysku. Zabraniam wam sprzedawania z zyskiem.

- Czarnorynkowy handel to przecież handel przemycanym towarem.

- Kapitanie Grey, zarobek ze sprzedaży wrogowi albo okradanie go nie jest działalnością czarnorynkową. Trochę pohandlować nie zaszkodzi.

- Ależ to jest wbrew rozkazom!

- Japońskim rozkazom! A ja nie uznaję rozkazów nieprzyjaciela. W końcu Japończycy to nasz wróg - rzekł z naciskiem Brough, który miał już dość tych bzdur. - Koniec z czarnym rynkiem. To rozkaz.

- Wy, Amerykanie, trzymacie razem. To wam trzeba przyznać.

- Niechże pan znowu nie zaczyna, Grey. Jak na jeden wieczór to za wiele. Dość już się nasłuchałem od Yoshimy. O ile mi wiadomo, nikt tu nie handluje na czarnym

rynku ani nie łamie żadnych przepisów, które rzeczywiście nas obowiązują. To wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia. Jeżeli przyłapię kogoś na kradzieży albo na tym, że sprzedaje z zyskiem jedzenie lub lekarstwa, osobiście urwę mu rękę i wepchnę mu ją do gardła. Jestem najwyższym stopniem oficerem amerykańskim, to są moi ludzie, a pan słyszy, co mówię. Skończyłem.

Grey przyjrzał się Broughowi i obiecał sobie w duchu, że jego też będzie miał na oku. Gównu warci żołnierze, gównu warci oficerowie. Odwrócił się i z godnością wymaszerował z baraku.

- Zajmij się Peterem, Tex - polecił Brough.

- Już się robi, Don.

Tex wziął Marlowe'a na ręce i uśmiechnął się szeroko do Brougha.

- Całkiem jak z małym dzieckiem, panie kapitanie - powiedział i wyszedł.

Brough spojrział na pieniądze leżące na stoliku pokerzystów.

- Tak, tak. Hazard to nic dobrego. Absolutnie - powiedział niby do siebie, kiwając głową. Podniósł wzrok na Króla i spytał słodko: - Osobiście nie pochwalam hazardu, a ty?

Pilnuj się, Brough ma w sobie coś z typowej oficerskiej świni, ostrzegł się w duchu Król. Jak to jest, że tylko oficerskie skurwiele mają taki wygląd i że zawsze ich poznasz i wyczujesz niebezpieczeństwo na kilometr?

- Wiesz, wszystko zależy, jak się na to patrzy - rzekł Król, częstując Brougha papierosem i podając mu ogień.

- Dziękuję, kapralu. Nie ma to jak prawdziwy papieros - powiedział Brough i znów spojrział Królowi w oczy. - No więc, jak ty na to patrzysz?

- Kiedy wygrywam, wygląda to dobrze. Kiedy przegrywam, trochę gorzej - odparł Król i dodał w myślach: Co ty tam knujesz, sukinsynu?

Brough mruknął coś niezrozumiale i spojrział na stertę pieniędzy leżącą na stole na wprost krzesła, które niedawno zajmował Król. Kiwając w zamyśleniu głową, przejrzał banknoty i zatrzymał je w rękach. Wszystkie. Ogarnął spojrzeniem grube pliki pieniędzy leżące przed każdym z graczy i powiedział z zadumą, nie wiadomo do kogo:

- Wygląda na to, że tu wszyscy wygrywają.

Król nic na to nie odpowiedział.

- Wygląda też na to, że stać cię na składkę.

- Mhm?

- Do jasnej cholery! On mi tu jeszcze mówi „mhm” - powiedział Brough i podniósł rękę z banknotami. - Mniej więcej tyle. Do wspólnej kasy. Oficerowie, żołnierze, bez różnicy.

Król jęknął. Prawie czterysta dolarów, pomyślał.

- Rany boskie, Don... - zaczął.

- Hazard to nałóg - przerwał mu Brough. - Jak przeklinanie, do jasnej cholery. Grasz w karty, więc mógłbyś po prostu przegrać te pieniądze. I co wtedy? Dasz składkę, a zapisze ci się to jako dobry uczynek.

Potarguj się, głupi, myślał Król. Zgódź się na połowę.

- Fajnie, z wielką chęcią...

- Dobra. Ty też, Max - zwrócił się Brough do Maxa.

- Ależ kapitanie... - zaniepokoił się Król.

- Powiedziałeś już swoje.

Max starał się nie patrzeć na Króla.

- Tak jest, Max - mówił Brough. - Popatrz tylko na niego. Porządny facet. Dołożył się do wspólnej kasy, dlaczego więc ty nie miałbyś zrobić tego samego?

Brough pobierał po trzy czwarte z każdej kupki i szybko przeliczył to, co wziął. Na ich oczach. Król nie miał innego wyboru, jak tylko siedzieć i patrzeć.

- Wypada dychę od łebka na tydzień przez sześć tygodni - oznajmił Brough. - Wypłata w czwartek. Aha, byłbym zapomniał. Max! Zbierz wszystkie manierki i zanieś je na wartownię. Ale już!

Wepchnął pieniądze do kieszeni i ruszył do wyjścia. Kiedy znalazł się przy drzwiach, zaświtała mu pewna myśl. Wyjął zwitek pieniędzy i wyciągnął z niego pięciodolarowy banknot. Patrząc na Króla, rzucił go na środek stołu.

- To na kosztą stypy - powiedział z anielskim uśmiechem. - Dobranoc, chłopcy.

W całym obozie trwała zbiórka manierek. Mac, Larkin i Marlowe siedzieli w baraczkę pułkownika. Na łóżku obok Marlowe'a leżały trzy manierki.

- Moglibyśmy wymontować z nich radio i wpuścić pojemniki do latryny - zaproponował Mac. - Trudno nam teraz będzie ukryć te cholerne manierki.

- Moglibyśmy je spuścić do latryny, tak jak są - powiedział Larkin.

- Chyba nie mówi pan tego serio, pułkowniku? - zdziwił się Marlowe.

- Tak, masz rację, ale skoro już to powiedziałem, musimy wspólnie na coś się zdecydować. Mac wziął do ręki manierkę.

- Może za parę dni zwrócą nam tamte - powiedział. - Nie wymyślimy lepszej kryjówki dla radia niż ta. - Oderwał wzrok od manierki. - Kto jest tą świnią, która o niej wie? - spytał jadowicie.

Popatrzyli na manierki.

- Czy to aby nie pora na wiadomości? - spytał Marlowe.

- Masz rację, chłopcze - rzekł Mac i spojrzał na Larkina.

- Też tak myślę - zgodził się Larkin.

Król nie spał jeszcze, kiedy przez okno zajrzał Timsen.

- Stary?

- Co jest?

Timsen pokazał mu zwitek banknotów.

- Mam te dziesięć kafli, które dałeś tamtemu - powiedział.

Król westchnął, otworzył czarną skrzynkę i wypłacił Timsenowi należność.

- Dzięki, bracie - powiedział Timsen i zachichotał. - Słyszałem, że miałeś starcie z Greyem i Yoshimą.

- I co z tego?

- Nic. Szkoda tylko, że Grey nie znalazł tego kamyka. Nie chciałbym być w twojej skórze ani Petera. Uchowaj Boże. To musi być okropnie niebezpieczne. Mam rację?

- Idź do diabła, Timsen.

Timsen roześmiał się.

- Ja cię tylko po przyjacielsku ostrzegam, no nie? Aha. Pierwsza partia siatki jest już pod barakiem. Wystarczy na jakieś sto klatek. - Odliczył z otrzymanych pieniędzy sto dwadzieścia dolarów. - Sprzedałem pierwszą partię po trzydzieści za udko. Masz swoją działkę - pół na pół.

- Kto je wziął?

- Znajomi - odparł Timsen robiąc perskie oko. - Dobranoc, bracie.

Król położył się i ponownie sprawdził, czy moskitiera jest wszędzie zatknięta pod siennik. Czuł się zagrożony. Zdawał sobie sprawę, że w ciągu najbliższych dwu dni nie zdoła wybrać się do wioski i że przez ten czas wiele par oczu będzie czekać i śledzić każdy jego ruch. Tej nocy spał niespokojnie, a nazajutrz nie ruszał się z baraku, pozostając pod strażą swoich ludzi.

Po obiedzie odbyła się niespodziewana rewizja baraków wyższych oficerów. Strażnicy trzykrotnie przeszukali małe izdebki, zanim ich odwołano.

Z zapadnięciem zmroku Mac ruszył po omacku do latryny i wyciągnął z jednego z dołów trzy manierki wiszące tam na sznurku. Oczyszczył je, przyniósł do izdebki pułkownika i połączył. Razem z Larkinem i Marlowe'em wysłuchał wiadomości, ucząc się ich na pamięć. Potem jednak nie odniósł manierek do kryjówki, bo choć wyjmując je zachował wielką ostrożność, zorientował się, że ktoś go podpatrzył.

Postanowili wspólnie, że nie będą chować manierek. Zdawali sobie sprawę, że wkrótce zostaną schwytani. Ale nie poddawali się rozpacz.

ROZDZIAŁ XXIV

Król pędził przez dżunglę. Im bliżej obozu, tym był ostrożniejszy. Wreszcie znalazł się dokładnie na wprost swojego baraku. Położył się na ziemi i z zadowoleniem ziewnął. Czekał na chwilę, kiedy będzie mógł przemknąć przez ścieżkę, prześliznąć się pod drutami i wrócić bezpiecznie do baraku. Kieszonki miał wypchaną pieniędzmi - resztą należności za brylant.

Do wioski wybrał się sam. Marlowe był jeszcze za słaby, żeby mu towarzyszyć. Król spotkał się z Czeng Sanem i oddał mu pierścionek. Potem biesiadowali, a na koniec Król odwiedził Kasseh, która przywitała go z otwartymi ramionami.

Kiedy przekradł się pod drutami i wśliznął do baraku, jutrzienka malowała już niebo na wschodzie. Dopiero gdy się położył, spostrzegł, że znikła czarna skrzynka.

- O żeż wy głupie skurwysyny! - wrzasnął na cały głos. - Za grosz nie można wam ufać!

- Niech mnie cholera! - zaklął Max. - Była tu jeszcze parę godzin temu, kiedy wychodziłem do latryny.

- No to gdzie jest teraz, co ?!!

Ale nikt w baraku nic nie widział ani nie słyszał.

- Sprowadź tu Samsona i Branta - polecił Król Maxowi.

- Rany boskie, jest ciut za wcześnie...

- Powiedziałem: sprowadź ich!

Po półgodzinie zjawił się pułkownik Samson, mokry ze strachu.

- Co się stało, kapralu? - spytał. - Przecież wiecie, że nikt nie może mnie tu widzieć.

- Jakiś skurwysyn ukradł mi skrzynkę. Pan może mi pomóc go zdemaskować.

- Ale jakże ja...

- Nie obchodzi mnie jak - nie pozwolił mu dokończyć Król. - Niech pan tylko słucha, co się mówi wśród oficerów. Nie ma dla pana forsy, dopóki się nie dowiem, kto to zrobił.

- Ależ kapralu, przecież ja nie mam z tym nic wspólnego.

- Dowiem się, to wznowię tygodniówkę. A teraz zmykaj pan stąd.

Parę minut później stawiał się pułkownik Brant i spotkał się z podobnym przyjęciem. Zaraz po jego odejściu Król zrobił sobie śniadanie, a tymczasem reszta

mieszkańców baraku przetrząsała obóz. Ledwie Król skończył jeść, wszedł Marlowe. Król powiedział mu o kradzieży skrzynki.

- A to cholerny pech - rzekł Marlowe.

Król pokiwał głową, a potem mrugnął do niego.

- Nic nie szkodzi. Czeng San wypłacił mi resztę, więc forsy mamy w bród. Myślę, że najwyższy czas dać trochę chłopcom do wiwatu. Zrobili się niedbali. Tu przecież chodzi o zasadę. - Wręczył Marlowe'owi niewielki plik banknotów. - Twoja dola ze sprzedaży brylantu.

Marlowe bardzo potrzebował tych pieniędzy. Ale mimo to potrzęsął przecząco głową.

- Zatrzymaj je - powiedział. - I tak jestem ci winien tyle, że nigdy tego nie spłacę. Nie mówiąc już o pieniądzach, które wyłożyłeś na lekarstwa.

- Jak chcesz, Peter. Ale nadal jesteśmy współnikami.

Marlowe uśmiechnął się.

- Dobrze - powiedział.

W podłodze uchyliła się kłapa i do baraku wgramolił się Kurt,

- Jak na razie, siedemdziesiąt - oznajmił.

- Mhm? - mruknął Król.

- Dziś jest dzień U.

- Cholera, całkiem o tym zapomniałem.

- Ale nie ja. Za kilka dni zatłukę następne dziesięć sztuk. Samców nie trzeba nawet karmić. Pięć czy sześć jest już dostatecznie dużych!

Królowi zrobiło się niedobrze, ale opanował się.

- Dobra. Dam znać Timsenowi – odparł.

- Przez parę najbliższych dni nie będę do ciebie zachodził - powiedział Marlowe po wyjściu Kurta.

- Co mówisz?

- Uważam, że tak będzie najlepiej. Nie możemy dłużej ukrywać radia. We trzech postanowiliśmy, że będziemy się trzymać izby pułkownika.

- Chcecie popełnić samobójstwo? Wyrzucicie to cholerne radio, jeżeli wydadzie wam się, że ktoś je wypatrzył. A jak was zaczną wypytywać, nie przyznawajcie się do niczego.

- Myśleliśmy o tym, ale w obozie nie ma innego, więc chcemy z niego korzystać, jak długo się da. Przy odrobinie szczęścia nie złapią nas.

- Pomyślałbyś lepiej o własnym karku, koleżko!

Marlowe uśmiechnął się.

- Tak, wiem. Dlatego przez jakiś czas nie będę tu przychodził. Nie chcę w nic cię mieszać.

- A co zrobisz, jeśli zobaczysz, że idzie po was Yoshima?

- Wezmę nogi za pas.

- Ale dokąd uciekniesz, jak Boga kocham?

- Lepsze to, niż siedzieć i czekać.

Przez drzwi wetknął głowę Dino, który właśnie trzymał wartę.

- Przepraszam, ale idzie tu Timsen - poinformował.

- Dobrze. Porozmawiam z nim - odparł Król i zwrócił się do Marlowe'a. - Wprawdzie sam decydujesz o własnym losie, Peter, ale radzę wam, pozbądźcie się tego radia.

- Chcielibyśmy bardzo, ale nie możemy.

Król zrozumiał, że nic tu nie wskóra.

- Cześć, bracie - powiedział od progu Timsen. Twarz miał ściągniętą gniewem. - Słyszałem, że miałaś cholernego pecha, zgadza się?

- Jedno jest pewne: potrzebuję nowej obstawy.

- Nie tylko ty, ja także - rzekł Timsen z wściekłością. - Ci złodzieje podrzucili twoją skrzynkę pod mój barak. Pod mój barak!!!

- Co takiego?

- To, co słyszysz. Leży tam, pod moim barakiem, wyczyszczona do cna. Cholerne dranie, i tyle. Żaden Australijczyk nie ukradłby jej i nie podrzucił mi pod barak. Nie ma mowy. To musiał zrobić jakiś Anglik albo Jankes.

- Na przykład kto?

- Nie wiem. Wiem tylko, że to żaden z moich chłopców. Masz na to moje słowo.

- Wierzę ci - uspokoił go Król. - Ale możesz rozgłosić, że na tego, kto udowodni, że wie, kto mi zgrandził skrzynkę, czeka tysiąc dolarów nagrody.

Król sięgnął pod poduszkę i z rozmysłem wyciągnął cały plik banknotów, które dał mu Czeng San na zakończenie transakcji. Odliczył trzysta dolarów i podał je Timsenowi, pozerającemu wzrokiem stertę pieniędzy.

- Potrzebuję cukru, kawy, oleju... i może ze dwa orzechy kokosowe - powiedział. - Załatwisz mi to?

Timsen wziął pieniądze, nie odrywając oczu od reszty banknotów.

- Widzę, że zakończyłeś transakcję. Słowo daję, nie myślałem, że ci się to uda. Ale ci się udało, mam rację?

- Jasne - odparł niedbale Król. - Na miesiąc, dwa mi wystarczy.

- Na miesiąc? Na cały rok, bracie - powiedział Timsen, przytłoczony bogactwem Króla. Odwrócił się, ruszył powoli ku drzwiom, ale obejrzał się i nagle się roześmiał. - Powiedziałaś, tysiąc? Powinno poskutkować, no nie?

- Tak - odparł Król. - To tylko kwestia czasu.

Nie minęła godzina, gdy wieść o nagrodzie obiegła cały obóz. Wścibskie oczy zaczęły się rozglądać z nowym zainteresowaniem. Wyczulano słuch na pogłoski. Bezustannie grzebano w pamięci. Czyjeś zgłoszenie się po obiecany tysiąc było rzeczywiście tylko kwestią czasu.

Przechadzając się wieczorem po obozie, Król po raz pierwszy odczuł z taką mocą nienawiść, zazdrość i siłę śledzących go spojrzeń. Czuł się dzięki temu świetnie, znakomicie, świadom, że wszyscy wiedzą o jego wielkim stosie pieniędzy, sami nie mając nic, i że jemu jednemu wśród wszystkich naprawdę się powiodło.

Szukali jego towarzystwa Samson, Brant i wielu, wielu innych, więc chociaż ich łaszenie przyprawiało go o mdłości, to fakt, że po raz pierwszy robili to publicznie, sprawiał mu niezwykłą przyjemność. Kiedy przechodził koło baraku żandarmerii, nawet Grey, który stał przed progiem, odsalutował mu tylko, nie każąc wejść do środka dla dokonania rewizji. Król uśmiechnął się do siebie, gdyż wiedział, że Grey też pochłonięty jest myślami o stercie banknotów i o nagrodzie.

Nic już mu nie mogło zagrozić. Pieniądze zapewniały życie, bezpieczeństwo, władzę. I należały wyłącznie do niego.

ROZDZIAŁ XXV

Tym razem Yoshima nadszedł ukradkiem i błyskawicznie. Nie poszedł jak zwykle drogą przez obóz, ale wraz z dużą grupą strażników przelazł przez ogrodzenie z drutu, tak że kiedy Marlowe spostrzegł pierwszego z nich, baraczek Larkina został już otoczony i nie było jak uciec. Gdy Yoshima wpadł do środka, Mac leżał jeszcze pod moskitierą ze słuchawką przy uchu.

Marlowe'a, Larkina i Maca zapędzono w kąt, a Yoshima wziął słuchawkę i przyłożył ją do ucha. Radio nadal było włączone i Japończyk usłyszał koniec dziennika.

- Niezwykle pomysłowe - powiedział odkładając słuchawkę. - Jak się panowie nazywacie?

- Ja jestem pułkownik Larkin, to major McCoy, a to kapitan lotnictwa Marlowe.

Yoshima uśmiechnął się.

- Zapalicie, panowie? - spytał.

Wszyscy trzej poczęstowali się papierosami i skorzystali z ognia podanego im przez Japończyka, który również zapalił. Palili w milczeniu. Kiedy skończyli, Yoshima powiedział:

- Proszę rozłączyć radio i iść ze mną.

Kiedy Mac pochylał się nad manierkami, ręce mu drżały. Obejrzał się niespokojnie. Z mroków nocy wyłonił się niespodziewanie jakiś japoński oficer. Przybyły szepnął coś w podnieceniu Yoshimie na ucho. Przez chwilę Yoshima wpatrywał się w tamtego bez słowa, a potem warknął coś do strażnika, który natychmiast stanął w drzwiach, i w pośpiechu odszedł z drugim oficerem i resztą strażników.

- Co się dzieje? - spytał Larkin, nie spuszczając oka z wartownika, który celował w nich z karabinu uzbrojonego w bagnet.

Mac, ledwie oddychając, stał z trzęsącymi się kolanami obok łóżka, pochylony nad radiem. Wreszcie odzyskał głos.

- Zdaje się, że wiem - powiedział chrapliwie. - Chodzi o wiadomości. Nie miałem wam kiedy przekazać. Mamy... nową bombę. Bombę atomową. Wczoraj rano o dziewiątej piętnaście zrzucono jedną taką bombę na Hiroszimę. Zmiotła całe

miasto. Podali, że są setki tysięcy ofiar, mężczyzn, kobiet, dzieci!

- Boże święty!

Larkin nagle usiadł, a zdenerwowany strażnik odbezpieczył karabin i już naciskał spust, kiedy Mac zawołał do niego po malajsku:

- Stój! On tylko usiadł!

- Wszyscy siadać! - krzyknął po malajsku strażnik i zaklął. - Głupcy! - powiedział, kiedy wykonali polecenie. - Nie róbcie takich gwałtownych ruchów, bo ja odpowiadam za to, żebyście nie uciekli. Siedzcie na swoich miejscach. I nie podnoście się! Będę strzelał bez ostrzeżenia.

Trwali więc w bezruchu, milcząc. Po jakimś czasie przysnęli. Drzemali niespokojnie w ostrym świetle lampy, tłukąc komary aż do świtu, który je przepędził.

O świcie zmieniono strażnika, a oni wciąż siedzieli. Ścieżką przed baraczkami przechodzili zaniepokojeni jeńcy, ale szli odwracając wzrok w drugą stronę, póki nie znaleźli się w bezpiecznej odległości od tej celi śmierci.

Ponury dzień włókł się pod rozpalonym niebem. Ciągnął się niemiłosiernie, był dłuższy od najdłuższego obozowego dnia.

Dawno już minęło południe, kiedy trzech przyjaciele unieśli głowy i zobaczyli Greya, który podszedł do strażnika i zaszutował. W ręku miał dwie menażki.

- Czy mogę im to dać? *Makan?* - spytał i uchylwszy pokrywki, pokazał strażnikowi jedzenie.

Strażnik wzruszył ramionami i skinął przyzwalająco głową.

Grey przeszedł przez werandę i postawił blaszanki w progu izby. Miał zaczerwienione powieki i badawcze spojrzenie.

- Przepraszam, że zimne - powiedział.

- Przeszedł pan nacieszyć oczy, kolego Grey? - spytał ponuro Marlowe.

- Dla mnie to żadna satysfakcja, że to oni, a nie ja, wsadzą pana do więzienia. Chciałem pana przyłapać na łamaniu prawa, a nie patrzeć, jak łapią pana, gdy dla dobra nas wszystkich ryzykuje pan życie. Tylko dzięki cholernemu szczęściu odejdzie pan opromieniony chwałą.

- Peter - szepnął Mac. - Zwróć na siebie uwagę strażnika!

Marlowe wstał i szybko podszedł do drzwi. Zaszutował i spytał strażnika, czy może iść do latryny. Strażnik wskazał mu skrawek ziemi tuż przy baraczkach. Marlowe kucnął i załatwił się pełen wstrętu, że musi robić to na otwartej przestrzeni, a jednocześnie wdzięczny, że nie każą im się załatwiać w środku. W czasie gdy strażnik

pilnował Marlowe'a, Mac szeptem przekazał wiadomości Greyowi, który słuchając ich zbladł. Potem podniósł się, skinął głową Marlowe'owi, który odpowiedział mu skinieniem, i ponownie zaszalutował strażnikowi. Ten wskazał na obsiadłe przez muchy odchody i polecił Greyowi przynieść kubek i posprzątać.

Grey przekazał wiadomości Smedly-Taylorowi, ten paru innym i wkrótce poznało je całe Changi. Poznało na długo przed tym, zanim Grey wystarał się o kubek, sprzątnął po Marlowie i postawił na tym miejscu inny kubek, żeby trójka uwięzionych mogła z niego korzystać.

Na obóz padł wielki strach. Strach przed odwetem.

O zachodzie słońca znów zmieniono strażnika, a tym nowym okazał się Shagata. Marlowe próbował nawiązać z nim rozmowę, ale Shagata pokazał bagnetem, że ma się cofnąć do środka.

- Nie wolno mi z panem rozmawiać. Przyłapano was z radiem, a radio jest zabronione. I zastrzelę, jeśli któryś spróbuje uciekać. Nie chciałbym tego robić - powiedział i wrócił do drzwi.

- Słowo daję, wołałbym, żeby nas od razu załatwili - wyznał Larkin.

Mac spojrzął na Shagatę.

- Panie strażniku - powiedział wskazując na łóżko. - Chciałbym pana o coś prosić. Czy mógłbym tam spocząć? W nocy mało spałem.

- Proszę. Niech pan odpoczywa, póki czas.

- Dzięki ci. Pokój z tobą.

- I z tobą.

Mac podszedł do łóżka, położył się i oparł głowę na poduszce.

- Cały czas gra - powiedział, z trudem opanowując głos. - Dają jakiś koncert. Bardzo wyraźnie słyhać.

Larkin dostrzegł leżącą koło głowy Maca słuchawkę i głośno się roześmiał. Po chwili śmieli się wszyscy trzej. Shagata skierował karabin w ich stronę.

- Przestańcie! - krzyknął, przerażony ich wesołością.

- Proszę nam wybaczyć, ale nas, którzy stoimy na progu wieczności, śmieszą rzeczy drobne i nieważne - wyjaśnił Marlowe.

- To prawda, że wkrótce umrzecie, ale głupcy z was, że daliście się przyłapać na łamaniu prawa. Jednak i ja chciałbym się zdobyć na śmiech, kiedy wybije moja godzina. Proszę - powiedział Shagata, rzucając im paczkę papierosów. - Przykro mi, że

pana schwytano.

- Mnie tym bardziej - odparł Marlowe. Rozdzielił papierosy i spojrzął na Maca.

- Co to za koncert? - spytał.

- Bach, chłopcze - odrzekł Mac, z całych sił powstrzymując wybuch śmiechu. Przyniósł głowę do słuchawki. - A teraz się zamknijcie, dobrze? Chciałbym sobie trochę posłuchać.

- A może tak byśmy się zmieniali? - zaproponował Larkin. - Chociaż ten, kto z przyjemnością może słuchać Bacha, musi mieć trochę nierówno pod sufitem.

- Dziękuję za papierosy - podziękował uprzejmie Shagacie Marlowe pałac.

Wokół kubła i na jego pokrywie roilo się od much. Popołudniowy deszcz spadł wcześniej, tłumiąc panujący smród, a potem wyjrzało słońce i zaczęło osuszać wilgoć Changi.

Król mijał baraczki oficerskiej starszyny, czując na sobie spojrzenia. Przed baraczkiem skazańców ostrożnie przystanął.

- *Tabe*, Shagata-san - pozdrowił strażnika. - *Ichi-bon* dzień, tak? Mogę porozmawiać z moim *ichi-bon* przyjacielem?

Japończyk spojrzął na niego nie rozumiejąc.

- On prosi, żeby pan pozwolił mu ze mną porozmawiać - wyjaśnił Marlowe.

Shagata zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął przyzwalająco głową.

- Ponieważ zarobiłem na ostatniej transakcji, pozwolę wam porozmawiać - zwrócił się do Marlowe'a. - Ale przyrzeknie mi pan, że nie będzie pan próbował uciekać.

- Przyrzekamy to obaj.

- Pośpieszcie się. Popilnuję - powiedział Shagata i ustawił się tak, żeby dobrze widzieć drogę.

- Poszła plotka, że strażnicy walą kupą na wartownię - zaczął zdenerwowanym głosem Król. - Niech mnie szlag, jeśli dzisiaj zmrużę oko. To bardzo podobne do tych sukinsynów, żeby załatwić nas w nocy. - Zaszło mu w ustach. Przez cały dzień wypatrywał jakiegoś znaku od partyzantów, po którym natychmiast zdecydowałby się na ucieczkę. Ale żadnego znaku nie było. - Posłuchajcie - ściszył głos i przedstawił im swój plan. - Kiedy zaczną nas wybijać, rzućcie się na wartownika i przedrzyjcie się przez ogrodzenie koło naszego baraku. Będę starał się was osłaniać, ale za bardzo na to nie liczcie.

Powiedziawszy to, wstał, skinął głową Shagacie i odszedł. Gdy tylko znalazł się w swoim baraku, zwołał naradę wojenną. Nakreślił swój plan, zatajając jednak, że dotyczy on zaledwie dziesięciu ludzi. Amerykanie przedyskutowali plan i postanowili czekać.

- Nic innego nam nie pozostaje - stwierdził Brough, powtarzając tylko to, czego obawiali się wszyscy. - Gdybyśmy próbowali uciekać teraz, wystrzelaliby nas jak zające.

Tylko ciężko chorzy spali tej nocy. Albo ci - bardzo nieliczni - którzy zdali się na łaskę Opatrzności lub losu. Spał także Dave Daven.

- Przywieźli po południu Dave'a z Outram Road - szepnął Grey, kiedy przyniósł uwięzionym kolację.

- Jak się czuje? - spytał Marlowe.

- Waży tylko trzydzieści dwa kilo.

Daven przespał noc, złowieszczy dzień, który po niej nastąpił, i nie ocknąwszy się ze śpiączki zmarł, akurat w chwili, gdy Mac słuchał głosu spikera radiowego, podającego ostatnie wiadomości: "Druga bomba atomowa zniszczyła Nagasaki. Prezydent Truman przedstawił Japonii ostatnie ultimatum: bezwarunkowa kapitulacja albo całkowite zniszczenie kraju".

Nazajutrz brygady robocze wyruszyły do pracy, i, o dziwo, wróciły. Nadal dostarczano do obozu żywność, a Samson publicznie odważał racje i odnosił nadwyżkę tym, którzy powierzyli mu tę funkcję. W magazynie i kuchniach nadal przechowywano zapas jedzenia na dwa dni, nadal wydawano gorące posiłki, nadal roiły się muchy i obozowe życie toczyło się bez zmian.

Dokuczały pluskwy i komary, a szczury karmiły młode. Zmarło kilku jeńców. Na Oddziale Szóstym przybyło trzech nowych pacjentów.

I tak minął kolejny dzień, noc i jeszcze jeden dzień. I wtedy Mac usłyszał błogosławione słowa: "Mówi Kalkuta. Rozgłosnia tokijska podała przed chwilą, że rząd Japonii ogłosił bezwarunkową kapitulację. Po trzech latach i dwustu pięćdziesięciu dniach od japońskiego ataku na Pearl Harbour wojna się skończyła. Boże, zbaw Króla!"

Wkrótce dowiedział się o tym cały obóz. I słowa te stały się częścią ziemi, nieba, murów i więziennych cel obozu w Changi.

Ale mimo to przez dwa następne dni nic się nie zmieniło. Trzeciego dnia na

drodze biegnącej wzdłuż baraków pojawił się komendant obozu w asyście japońskiego sierżanta Awaty.

Marlowe, Mac i Larkin, zobaczywszy zbliżającą się parę, po tysięckroć przeżywali własną śmierć obserwując każdy stawiany przez tamtych krok. Pojęli natychmiast, że oto wybiła ich godzina.

ROZDZIAŁ XXVI

- Szkoda - powiedział Mac.

- Tak - potwierdził Larkin.

Znieruchomiały Marlowe wpatrywał się w Awatę.

Zmęczenie wyryło na twarzy komendanta obozu głębokie bruzdy, niemniej trzymał się prosto i szedł pewnym krokiem. Był jak zwykle schludnie ubrany, lewy rękaw koszuli miał zatknięty równo za pasek, na nogach drewniane chodaki, a na głowie czapkę z daszkiem, która po latach nasiąkania potem tropików nabrała szarzielonej barwy. Komendant wszedł po schodach na werandę i zatrzymał się niepewnie w progu izby.

- Dzień dobry - przywitał ich ochrypłym głosem, kiedy wstali.

Awata rzucił gardłowy rozkaz strażnikowi, który uklonił się i stanął obok niego. Znów suchy rozkaz i obaj Japończycy, zarzuciwszy na ramiona karabiny, odeszli.

- Wojna skończona - oznajmił komendant. - Weźcie, panowie, radio i chodźcie ze mną.

W odrętwieniu wykonali jego polecenie i wyszli z izdebki na słońce. Słońce i powietrze sprawiło, że poczuli się lepiej. Ruszyli za komendantem, odprowadzani zdumionymi spojrzeniami całego Changi.

W kwaterze komendanta czekała już cała szóstka pułkowników. Był też Brough. Zgromadzeni oficerowie zaszalutowali.

- Spocznijcie, panowie - rzekł komendant oddając salut, a potem zwrócił się do trójki z radiem: - Siadajcie. Mamy wobec was dług wdzięczności.

- Czy to już naprawdę koniec? - wydobył wreszcie z siebie Larkin.

- Tak. Rozmawiałem właśnie z generałem - potwierdził komendant i rozejrzał się po oniemiałych twarzach, zbierając myśli. - Przynajmniej według mnie to koniec - rzekł. - U generała był Yoshima. Powiedziałem... powiedziałem: "Wojna skończona". Kiedy Yoshima tłumaczył moje słowa, generał tylko na mnie patrzył. Czekałem, ale on milczał, więc powtórzyłem: "Wojna skończona. Żądam... żądam, żeby pan się poddał". - Komendant potarł łysą głowę. - Nie wiedziałem, co mam mówić dalej. Generał wciąż tylko na mnie patrzył, a Yoshima nie odzywał się ani słowem.

Wreszcie generał przemówił, a Yoshima przetłumaczył jego słowa: "Tak. Wojna skończona. Obejmie pan z powrotem komendę nad obozem. Polecilem już

wartownikom zrobić w tył zwrot i bronić was przed każdym, kto chciałby wdrzeć się tu siłą i was zaatakować. Są teraz waszymi strażnikami i będą strzec waszego bezpieczeństwa, aż do nadejścia dalszych rozkazów. Jest pan nadal odpowiedzialny za dyscyplinę w obozie”.

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć, poprosiłem więc o podwojenie racji żywnościowych i dostarczenie nam lekarstw, na co odparł: “Racje zostaną podwojone jutro. Otrzymacie też lekarstwa. Niestety, nie mamy ich wiele. Ale dyscyplina to wasza sprawa. Moi ludzie będą was chronić przed tymi, którzy chcieliby was pozabijać”. Spytałem go, co to za “ci”. Generał wzruszył ramionami i powiedział: “Wasi wrogowie. Uważam naszą rozmowę za skończoną”.

- Do diabła - odezwał się Brough. - Może chcą, żebyśmy stąd wyszli i dali im w ten sposób pretekst do wystrzelania nas.

- Nie możemy wypuścić żołnierzy, bo mogliby się zbuntować - powiedział przerażony Smedly-Taylor. - Ale coś zrobić musimy. Może zażądać od Japończyków złożenia broni?...

Komendant uniósł rękę, nakazując ciszę.

- Moim zdaniem pozostaje nam tylko czekać. Jestem... Sądzę, że ktoś tu w końcu dotrze. A do tego czasu chyba najlepiej będzie, jeśli wszystko pozostanie tak, jak jest. Aha, jeszcze jedno. Pozwolono nam na wysyłanie ludzi oddziałami nad morze, żeby się mogli wykąpać. Po pięciu z każdego baraku. Na zmianę. Mój Boże - powiedział, a słowa te zabrzmiały jak modlitwa - oby tylko żadnemu nie uderzyło to do głowy. Wciąż nie mamy gwarancji, że stacjonujący tu Japończycy usłuchają rozkazów i skapitulują. Mogą walczyć nadal. Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze, a szykować się na najgorsze.

Urwał i spojrzał na Larkina.

- Wydaje mi się, że radio powinno zostać tutaj - rzekł i skinął na Smedly-Taylora. - Zorganizuje pan stałą straż.

- Rozkaz.

- Panowie oczywiście nadal będą je obsługiwać - zwrócił się komendant do Larkina.

- Jeśli pan komendant nie ma nic przeciwko temu, to może zająłby się tym ktoś inny - powiedział Mac. - Jeżeli coś się zepsuje, naprawię, ale pan będzie pewnie chciał, żeby grało przez okrągłą dobę. Nie dalibyśmy rady, a zresztą przynajmniej ja tak to odczuwam, teraz, kiedy można to robić otwarcie, niech inni też sobie

posłuchają.

- Pan się tym zajmie, pułkowniku - polecił komendant.

- Rozkaz - odparł Smedly-Taylor.

- A teraz omówmy plan działania.

Przed kwaterą komendanta obozu rosła powoli grupa ciekawskich. Znalazł się wśród nich Max. Czekali niecierpliwie na wyjaśnienia, czego dotyczą rozmowy, co się właściwie stało i dlaczego japoński strażnik nie pilnuje już radia.

Nie mogąc dłużej znieść napięcia, Max pobiegł do swojego baraku.

- Hej, chłopaki! - wykrzyknął, z trudem łapiąc oddech.

- Japończycy idą? - spytał Król, gotów w każdej chwili wyskoczyć przez okno i biec do ogrodzenia.

- Nie! O rany...

Max był tak zadyszany, że nie był w stanie mówić.

- No to co się, do diabła, dzieje?

- Japonce przestały pilnować Pete'a i radia - powiedział wreszcie Max. - Komendant zabrał Pete'a, Larkina i tego Szkota, radio też, i poszedł z nimi do swojej kwatery. A teraz jest tam wielka narada. Są wszyscy pułkownicy, a nawet Brough!

- Jesteś pewien?

- Mówię ci tylko to, co widziałem na własne oczy, chociaż sam w to nie mogę uwierzyć.

Wśród nagłej ciszy Król wyciągnął papierosa i wtedy Tex wypowiedział na głos to, z czego Król właśnie zdał sobie sprawę.

- W takim razie to koniec wojny. Naprawdę koniec. To, że przestali pilnować radia, może znaczyć tylko jedno! - rzekł Tex i rozejrzał się. - No nie?

Max opadł ciężko na prycze i otarł spoconą twarz.

- Też tak myślę - powiedział Król. - Jeżeli odwołali strażnika, znaczy, że się poddają... że przestają walczyć. - Spojrzał bezradnie na Texa. - No nie?

Ale Tex nie odpowiedział, oszołomiony tym, co się stało. Wreszcie powtórzył beznamiętnie:

- Koniec wojny.

Król spokojnie palił papierosa.

- Uwierzę, kiedy sam zobaczę - powiedział i wtedy nagle wśród niesamowitej ciszy obleciał go strach.

Dino machinalnie tłukł muchy. Byron Jones Trzeci bezmyślnie wykonał ruch

gońcem, Miller zbił mu go i odsłonił królową. Max wpatrywał się we własne stopy. Tex się drapał.

- Ja tam czuję się tak samo - oświadczył Dino i wstał. - Muszę się odlać - dodał i wyszedł.

- Sam nie wiem, śmiać się czy płakać - powiedział Max. - A w ogóle to chce mi się rzygać.

- Nic z tego nie rozumiem. - Tex nawet nie zdawał sobie sprawy, że mówi na głos. - Po prostu nic z tego nie rozumiem.

- Hej, Max - zawołał Król. - Może byś tak nastawił wodę na kawę?

Max odruchowo wyszedł z rondlem po wodę. Kiedy wrócił, włączył maszynkę i ustawił na niej naczynie. Wracał już na pryczę, gdy nagle zatrzymał się, obrócił i spojrzał na Króla.

- O co chodzi, Max? - spytał niepewnie Król.

Max wpatrywał się w niego bez słowa, a usta drżały mu bezgłośnie.

- No, co się tak gapisz?

Raptem Max schwycił rondel i wyrzucił go przez okno.

- Czyś ty na łeb upadł?! - wybuchnął Król. - Przez ciebie jestem cały mokry!

- Masz pecha - krzyknął Max, wytrzeszczając oczy.

- Powinienem obić ci za to mordę! Zwariowałaś?

- Wojna się skończyła! Sam sobie zrób swoją zasraną kawę! - wrzasnął Max, a w kącikach jego ust pojawiły się banieczki piany.

Król zerwał się na nogi i stanął wściekły z twarzą pokrytą czerwonymi cętkami.

- Spieprzaj stąd, zanim ci wsadzę nogę w ryj! - syknął.

- Spróbuj, tylko spróbuj, ale pamiętaj, że jestem sierżantem! I oddam cię pod sąd wojenny!

Max wybuchnął histerycznym śmiechem, a potem nagle śmiech zamienił się w płacz, rozdierający płacz, i Max wybiegł z baraku zostawiając po sobie pełne grozy milczenie.

- Zwariował sukinsyn - mruknął Król. - Nastaw mi wodę, dobrze, Tex? - powiedział i usiadł na swoim miejscu w kącie.

Tex stał w progu, patrząc za Maxem. Obejrzał się powoli.

- Jestem zajęty - odparł, choć wiele go to kosztowało.

Króla aż zemdlilo. Opanował się jednak i przybrał zaciętą minę.

- Rzeczywiście - powiedział z ponurym uśmiechem. - Właśnie widzę. -

Panująca w baraku cisza porażała. Król sięgnął po portfel i wyciągnął z niego banknot.

- Tu jest dycha. Przestań być zajęty i pójdz po wodę.

Nie okazując po sobie niepokoju, obserwował Texa.

Ale Tex milczał. Wzruszył tylko niespokojnie ramionami i odwrócił głowę.

- I tak musisz jeść... dopóki to się naprawdę nie skończy - powiedział Król z pogardą i rozejrzał się po baraku. - Kto chce kawy? - spytał.

- Ja bym się napił - odezwał się bez skrępowania Dino. Poszedł po rondel, nalał do niego wody i postawił na maszynie.

Król upuścił na stół dziesięciodolarowy banknot. Dino spojrział na pieniądze.

- Nie, dziękuję - powiedział ochryple, potrząsając głową. - Wystarczy kawa.

Chwiejnym krokiem przeszedł przez barak wracając na swoje miejsce. Reszta obecnych z zakłopotaniem odwróciła się od Króla, od jego pałających pogardą oczu.

- Mam nadzieję, sukinsyny, że na wasze szczęście wojna rzeczywiście się skończyła - powiedział.

Marlowe opuścił kwaterę komendanta obozu i pośpieszył do baraku Amerykanów. Odruchowo odpowiadał na pozdrowienia znajomych, czując, że bez przerwy ściera na siebie zdumione i pełne niedowierzania spojrzenia. Tak, nawet ja sam w to nie wierzę, pomyślał. Niedługo znajdę się w domu, będę znowu latać, już niedługo zobaczę się z ojczulkiem, opijemy to i pośmiejemy się. Z całą rodziną. Boże, ależ to będzie dziwne. Żyję. Żyję. Udało mi się!

- Witajcie, chłopaki! - zawołał rozpromieniony wchodząc do baraku.

- Jak się masz, Peter - przywitał go Tex, zeskakując z pryczy i ściskając mu serdecznie rękę. - Nie masz pojęcia, stary, jak się ucieszyliśmy, kiedy odwołali strażnika!

- Co za mistrzowskie niedomówienie - odparł Marlowe ze śmiechem. Amerykanie otoczyli go i rozczulili serdecznością swoich gratulacji.

- A co z "górami"? - spytał Dino.

Marlowe opowiedział im o odprawie u komendanta, a wtedy złękli się jeszcze bardziej. Wszyscy z wyjątkiem Texa.

- Co wy, o co tu się martwić? Najgorsze za nami. Wojna skończona! - oświadczył z przekonaniem.

- Pewnie, że skończona - burknął Max, wchodząc do baraku.

- Cześć, Max, właśnie... - zaczął Marlowe, ale nie dokończył, przerażony

wyrazem jego oczu. - Dobrze się czujesz? - spytał zaniepokojony.

- A dlaczego miałbym się źle czuć?! - wybuchnął Max. Poszedł prosto do swojej pryczy i zwałił się na nią. - Co się tak gagicie, do cholery?! Czy jak ktoś traci dobry humor, to musicie tak od razu wybałuszać gały?

- Nie denerwuj się - uspokajał go Tex.

- Dzięki Bogu, niedługo wyjdę z tego szamba - powiedział Max. Twarz miał szarobrazową, usta mu drżały. - To się odnosi także do was, gnoje!

- Zamknij się, Max!

- Idź do cholery!

Max otarł z brody ślinę, sięgnął do kieszeni i wyciągnął zwitek dziesięciodolarowych banknotów, podarł je z wściekłością i rozrzucił jak konfetti.

- Co cię, u licha, napadło? - spytał Tex.

- Nic mnie nie napadło, sukinsynu! Ta forsa jest do niczego.

- Co?

- Byłem przed chwilą w sklepie. A tak! Chciałem sobie kupić orzech. Ale ten cholerny kitajec za nic nie chciał przyjąć tych pieniędzy. Za nic w świecie. Powiedział, że wszystko, co miał, sprzedał komendantowi. Za weksel. "Rząd angielski zobowiązuje się wypłacić tyle to a tyle malajskich dolarów!" Za to japońskimi dolarami możesz sobie teraz dupę podetrzeć, bo tylko do tego się nadają!

- A to heca, toś nam zabił ćwieka - rzekł Tex. - Jeżeli Chińczycy nie przyjmą tej forsy, no, to rzeczywiście wyszliśmy na swoje, co, Peter?

- Właśnie - odparł Marlowe, szczęśliwy, że cieszy się ich przyjaźnią. Uczucia tego nie zakłócało nawet wrogie spojrzenie Maxa. - Nie macie pojęcia, chłopcy, jak bardzo mi pomogliście, no, wiecie, wygłupami, żartami... wszystkim.

- Coś ty, przecież jesteś jednym z nas - rzekł Dino i szturchnął go po przyjacielsku. - Całkiem niezły z ciebie gość, jak na Anglika!

- Zaraz po wyjściu stąd powinieneś kopnąć się do Stanów. Kto wie, może nawet pozwolimy ci zostać Amerykaninem! - powiedział Byron Jones Trzeci.

- Musisz zobaczyć Teksas, Peter. Jeśli kiedyś trafisz do Stanów, to ten stan odwiedź koniecznie!

- Raczej się na to nie zanosi - odparł Marlowe wśród gwizdów i wiwatów. - Ale obiecuję, że jeśli przyjadę do Stanów, to Teksas odwiedzę na pewno. - Spojrzał w kąt baraku zajmowany przez Króla. - A gdzie nasz nieustraszony wódz?

- Zdechł! - oznajmił Max i nieprzyzwoicie zarechotał.

- Żyje, żyje - wyjaśnił Tex. - Ale tak czy owak umarł.

Marlowe spojrział na niego badawczo, potem dostrzegł miny innych i zrobiło mu się nagle bardzo przykro.

- Czy, waszym zdaniem, trochę nie za nagle? - spytał.

- Jakie tam nagle - rzekł Max i splunął. - Umarł, i tyle. Robiliśmy na skurwysyna, a teraz koniec. Umarł, i już.

- Tak, tylko że kiedy było źle, żywił was, dawał wam pieniądze...

- Tyraliśmy na to! - wrzasnął Max z taką siłą, że na szyi wystąpiły mu ścięgna. - Dość się nasłuchałem tego drania! - Jego wzrok spoczął na oficerskiej opasce na ramieniu Marlowe'a. - I ciebie też, angielski wypierdku! Chcesz mnie pocałować w dupę, tak jak jego całowałaś?

- Zamknij dziób, Max - ostrzegł go Tex.

- Spadaj, ty teksaski pomywaczu!

Max plunął na Texa. Na drewnianej podłodze pojawiła się strużka śliny.

Tex poczerwieniał. Rzucił się na Maxa i uderzył go na odlew w twarz. Max wyrznął w ścianę, zachwiał się i spadł z pryczy, ale natychmiast poderwał się na nogi, chwycił z półki nóż i zamachnął się nim na Marlowe'a. Nóż zadrasnął tylko skórę na brzuchu Anglika, bo Texowi udało się w porę złapać Maxa za rękę. Dino schwycił Maxa za gardło i cisnął go na pryczę.

Max uniósł głowę. Twarz mu drgała, a oczy miał wlepione w Marlowe'a. Nagle wrzasnął i zerwał się z pryczy z wyszczerzonymi zębami i rozcapierzonymi palcami, miotając się nieprzytomnie i młóćąc rękami powietrze. Marlowe złapał go za jedną rękę, a potem wszyscy razem doskoczyli do niego i zaciągnęli z powrotem na pryczę. Kiedy kopał, wrzeszczał, wyrywał się i gryzł, musiało go trzymać aż trzech ludzi.

- Odbiło mu! - krzyknął Tex. - Dołóż mu który!

- Dajcie sznur! - wrzasnął Marlowe, przytrzymując Maxa i wciskając mu przedramię pod podbródek, tak żeby nie dosięgły go zgrzytające zęby.

Dino oswobodził jedną rękę i walnął Maxa w szczękę, pozbawiając go przytomności.

- Chryste - powiedział do Marlowe'a, kiedy obaj wstali. - Mało brakowało, a by cię zabił!

- Prędeż - ponaglał Marlowe. - Włóżcie mu coś między zęby, bo sobie język odgryzie.

Dino znalazł gdzieś kawałek drewna i wcisnęli go Maxowi między zęby. Potem

związali mu ręce.

Kiedy go unieruchomili, Marlowe odetchnął z ulgą.

- Dziękuję, Tex - powiedział. - Gdybyś nie zatrzymał tego noża, byłoby po mnie.

- Drobiazg. Działiałem instynktownie. Co z nim zrobimy?

- Trzeba wezwać lekarza. Powiemy, że miał atak, i to wszystko. Żadnego noża nie było - rzekł Marlowe i przyglądając się podrygującemu konwulsyjnie Maxowi, potarł zadraśnięte miejsce. - Szkoda biedaka!

- Całe szczęście, że go przytrzymałeś, Tex - powiedział Dino. - Gorąco mi się robi, jak o tym pomyślę.

Marlowe spojrział w kąt zajmowany przez Króla. Sprawiał wrażenie opustoszałego. Bezwiednie zgiął w łokciu wyleczoną rękę, ciesząc się, że jest zdrowa i silna.

- Jak twoja ręka, Peter? - spytał Tex.

Marlowe długo szukał odpowiednich słów.

- Po prostu żyje, żyje, nie jest martwa - odparł, po czym obrócił się i wyszedł na słońce.

Gdy wreszcie odszukał Króla, zapadał już zmierzch. Król siedział na rozwalonym palmowym pniaku w północnym ogrodzie warzywnym, na wpół widoczny spoza winorośli. Wpatrywał się smętnie gdzieś ponad ogrodzenie, udając, że nie usłyszał zbliżającego się Marlowe'a.

- Cześć, stary - przywitał go wesoło Marlowe, ale jedno spojrzenie w oczy Króla odebrało mu całą radość ze spotkania.

- O co chodzi, panie kapitanie? - spytał Król obraźliwym tonem.

- Chciałem się z tobą zobaczyć. To wszystko - odparł Marlowe. Przejrzał na wskroś przyjaciela i było mu go żal.

- No więc zobaczyłeś mnie. I co? - spytał Król i odwrócił się do niego plecami. - Zjeżdżaj!

- Jestem twoim przyjacielem, przypominasz sobie?

- Ja nie mam przyjaciół. Zjeżdżaj!

Marlowe przykucnął obok pieńka i wydobyl z kieszeni dwa papierosy, które mu jeszcze pozostały.

- Zapal - powiedział. - Wyobraź sobie, że dostałem je od Shagaty.

- Sam sobie zapal. Kapitanie!

Marlowe żałował przez chwilę, że go odnalazł. Ale nie odszedł. Z uwagą

przypalił oba papierosy i podał jednego Królowi. Ten nawet nie drgnął.

- Weź, bardzo cię proszę.

Król wytrącił mu papierosa z ręki.

- Mam w dupie ciebie i twoje papierosy - powiedział. - Chcesz tu zostać? Proszę bardzo!

Wstał i ruszył przed siebie. Marlowe przytrzymał go za rękę.

- Zaczekaj! Przecież to jest najwspanialszy dzień w naszym życiu! Nie psuj go tylko dlatego, że twoi kumple trochę się zapomnieli.

- Zabierz tę rękę, bo ci ją wyrwę! - wycedził Król przez zęby.

- Nie przejmuj się nimi - powiedział Marlowe i słowa same potoczyły mu się z ust. - Wojna się skończyła i tylko to się liczy. Skończyła się, a myśmy przeżyli. Pamiętasz, jak stale wbijałeś mi do głowy, żeby dbać o siebie? No i miałaś rację! Udało się! Czy to ważne, co oni mówią?

- Mam ich gdzieś! To wcale nie o nich chodzi. I ciebie też mam gdzieś!

Król wyrwał rękę z uścisku Marlowe'a.

Marlowe patrzył na niego bezradnie.

- Do diabła, przecież jestem twoim przyjacielem! Pozwól sobie pomóc - zawołał.

- Nie potrzebuję twojej pomocy!

- Wiem. Ale chciałbym, żebyśmy pozostali przyjaciółmi. Posłuchaj - ciągnął z trudem. - Wrócisz niedługo do domu...

- Akurat - przerwał mu Król, w uszach szumiała mu krew. - Ja nie mam żadnego domu!

W liściach szeleścił wiatr. Monotonnie zgrzytały świerszcze. Wokół roilo się od komarów. W barakach zapalano światła, które rzucały ostre, nierówne cienie, a po aksamitnym niebie żeglował księżyc.

- Nie martw się, bracie. Wszystko się ułoży - powiedział ze współczuciem Marlowe. Widział czający się w oczach Króla lęk, ale tego po sobie nie okazał.

- Ułoży? - spytał Król, dręczony niepokojem.

- Tak. - Marlowe zawahał się. - Żałujesz, że to już koniec, prawda?

- Odczep się. Odczep się, do cholery! - krzyknął Król i usiadł na pniu tyłem do Marlowe'a.

- Wszystko będzie dobrze - powtórzył Marlowe. - I pamiętaj, że zawsze masz we mnie przyjaciela. - Wyciągnął lewą rękę i położył ją na ramieniu Króla. Poczuł, jak

ramię usuwa się gwałtownie. - Dobranoc, bracie. Do jutra - pożegnał go cicho i odszedł przygnębiony, obiecując sobie w duchu, że jutro, jutro zdoła mu pomóc.

Król poruszył się na palmowym pniu, zadowolony, że jest sam, a zarazem przerażony swoją samotnością.

Pułkownicy Smedly-Taylor, Jones i Sellars z zapalem kończyli ucztę.

- Wyborne - rzekł Sellars oblizując się.

Smedly-Taylor wyssał kość, chociaż była już dokładnie oczyszczona z mięsa.

- Jones, muszę wyrazić panu uznanie - powiedział i czknął. - Co za wspaniałe zakończenie takiego dnia jak dzisiejszy. Pyszne! Nie ustępuje królikowi! Trochę żylaste i twarde, niemniej wyśmienite!

- Nie pamiętam, kiedy ostatni raz coś tak mi smakowało - rzekł Sellars i zarechotał. - Mięso jest wprawdzie nieco za tłuste, ale mimo to cudowne. - Spojrzał na Jonesa. - Możesz zdobyć więcej? Udko na głowę to niewiele!

- Zobaczymy - odparł Jones i wziął w dwa palce ostatnie ziarenko ryżu. Talerz był pusty i czysty, za to on czuł się bardzo najedzony. - Mieliśmy szczęście, co?

- Gdzie je zdobyłeś?

- Blakely powiedział mi, że sprzedaje je jakiś Australijczyk. - Jonesowi odbiło się. - Kupiłem od niego wszystko, co miał. - Spojrzał na Smedly-Taylora. - Szczęście, że miał pan pieniądze.

- Tak - mruknął Smedly-Taylor, a potem rozłożył portfel i rzucił na stół trzysta sześćdziesiąt dolarów. - Starczy jeszcze na sześć. Nie mamy co sobie żałować, prawda, panowie?

Sellars spojrział na banknoty.

- Jeśli chował pan w zanadrzu aż tyle pieniędzy, dlaczego wcześniej nie wydał pan choć trochę?

- Właśnie, dlaczego? - spytał Smedly-Taylor, wstał i przeciągnął się. - Ponieważ odkładałem je na dzisiejszy dzień! I to wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia - dodał, utkwivszy w Sellarsie kamienne spojrzenie.

- Och, człowieku, ani mi się śni ciągnąć pana za język. Po prostu nie pojmuję, jak pan tego dokonał.

Jones uśmiechnął się.

- Trzeba mieć bezpośrednią "wtyczkę" - powiedział. - Słyszałem, że Król o mało co nie dostał ataku serca!

- A co ma wspólnego Król z moimi pieniędzmi? - spytał Smedly-Taylor.

- Nic - odparł niewinnie Jones i zabrał się do przeliczania dolarów. Rzeczywiście, było ich trzysta sześćdziesiąt, a więc dość, żeby nabyć dwanaście udek *rusa ticusa* po trzydzieści dolarów sztuka, a nie, jak sądził Smedly-Taylor, po sześćdziesiąt. Jones uśmiechnął się pod nosem pomyślawszy, że pułkownika stać na zapłacenie podwójnej ceny, skoro ma tyle pieniędzy. Ciekaw był, w jaki sposób Smedly-Taylorowi udało się okraść Króla, wiedział jednak, że pułkownik ma rację, trzymając język za zębami. Podobnie jak on sam miał rację, zatajając trzy udka *rusa ticusa*, które z Blakelym ugotowali potajemnie i zjedli dziś po południu. Blakely zjadł jedno, a on dwa. Tamte dwa razem z tym, które dopiero co sprzątnął, sprawiły, że poczuł się syty.

- O mój Boże - powiedział, głaszcząc się po brzuchu. - Chyba nie dałbym rady co dzień tyle zjeść!

- Przyzwyczaisz się - rzekł Sellars. - Ja jestem jeszcze głodny. Postaraj się, chłopie, o więcej, dobrze?

- A może tak roberka? - zaproponował Smedly-Taylor.

- Znakomicie odparł Sellars. - Kogo weźmiemy na czwartego?

- Samsona?

Jones roześmiał się.

- Byłby niepokieszony, gdyby się dowiedział o mięsie - rzekł.

- Ile czasu zajmie naszym dotarcie do Singapuru? - spytał Sellars, starając się nie okazać po sobie niepokoju.

Smedly-Taylor spojrzał na Jonesa.

- Kilka dni. Najwyżej tydzień. Jeśli miejscowi Japończycy rzeczywiście złożą broń.

- Skoro zostawili nam radio, to chyba mają taki zamiar.

- Oby. Oby tak było.

Popatrzyli po sobie, zapominając o pożywnym posiłku, zatroskani o przyszłość.

- Nie martwmy się. Wszystko... wszystko na pewno będzie dobrze - powiedział Smedly-Taylor bez przekonania. Był przerażony myśląc o Maisie, synach, córce i gubiąc się w domysłach, czy żyją.

Tuż przed świtem nad obozem zahuczał samolot. Nikt nie wiedział - aliancki czy japoński, ale gdy tylko usłyszano silniki, spodziewających się gradu bomb jeńców

ogarnęła panika. Kiedy bomby nie spadły i warkot samolotu ucichł, znów zapanował błąd strach. A może o nas zapomniano? - myśleli. A może nigdy nikt tu się nie zjawi? Ewart wszedł po omacku do baraku i zbudził Marlowe'a.

- Peter, ludzie mówią, że ten samolot krążył nad lotniskiem i że ktoś wyskoczył z niego na spadochronie.

- Widziałeś to?

- Nie.

- Rozmawiałeś z kimś, kto to widział?

- Nie. Tylko tak mówią - odparł Ewart, starając się ukryć lęk. - Boję się, że jak tylko nasza flota wpłynie do zatoki, Japończycy wpadną w szal.

- Nic podobnego!

- Zaszedłem pod kwaterę komendanta. Jest tam cały tłum facetów, którzy ciągle ogłaszają komunikaty. W ostatnim było, że... - Ewart umilkł na chwilę, nie mogąc dobrać głosu - ...że liczba ofiar w Hiroszynie i Nagasaki przekracza trzysta tysięcy - ciągnął. - Podobno ludzie wciąż padają jak muchy. Ta straszna bomba robi coś z powietrzem i zabija jeszcze przez długi czas. Mój Boże, gdyby taka bomba spadła na Londyn, a ja miałbym pod sobą obóz taki jak ten, to... to wyróżniłbym wszystkich do nogi. Słowo honoru, tak bym właśnie zrobił.

Marlowe uspokoił go, a potem wyszedł z baraku i skierował się do północnej bramy. Dniało. W duchu ciągle jeszcze bał się i przyznał Ewartowi rację. Taka straszliwa bomba to już naprawdę za wiele, myślał. I wtedy nagle pojął wielką prawdę i poczuł wdzięczność wobec tych, którzy wymyślili ową broń. To ona uratowała Changi od zapomnienia. O tak, upewnił się, bez względu na skutki, muszę być wdzięczny dwu pierwszym bombom i ludziom, którzy je skonstruowali. To one sprawiły, że żyję, choć straciłem już wszelką nadzieję. I choć pochłonęły taką masę ofiar, przez to samo uratowały życie niezliczonym setkom tysięcy innych ludzi. Naszych. A także ich. I taka właśnie jest prawda!

Zauważył, że stoi przed główną bramą. Strzegli jej jak zwykle strażnicy. Zwróceni byli plecami do obozu, ale nadal ściskali w rękach karabiny. Marlowe przyglądał się im z ciekawością. Pewien był, że bez wahania oddaliby życie w obronie wczorajszych wrogów, którymi tak pogardzali.

Mój Boże, aż się nie chce wierzyć, że tacy potrafią być ludzie.

Wtem w coraz jaśniejszym świetle poranka dostrzegł zjawę - dziwnego człowieka, prawdziwego trójwymiarowego człowieka, który nie tylko miał ciało, ale

również wyglądał jak człowiek. Biały człowiek. Ubrany w dziwny zielony mundur, wypucowane buty lotnicze, beret ze znaczkiem rzucającym oślepiające błyski, u szerokiego pasa miał pistolet, a na ramionach schludny plecak.

Przybysz szedł środkiem drogi postukując obcasami, aż znalazł się przed wartownią. Był w stopniu kapitana; z tej odległości Marlowe widział już wyraźnie jego szarżę. Obcy zatrzymał się przed wartownią, obrzucił strażników piorunującym spojrzeniem i przemówił:

- Salutować, gnojki.

Widząc, że strażnicy tępo wpatrują się w niego, podszedł do najbliższego z nich, wyrwał mu z rąk karabin z bagnetem, wbił go ze złością w ziemię i powtórzył:

- Salutować, gnojki.

Strażnicy popatrzyli na niego z obawą. Wówczas wyciągnął pistolet, wystrzelił cały magazynek w ziemię tuż przed ich stopami i ponownie rozkazał:

- Salutować, gnojki.

Sierżant Awata, Awata zwany Nieustraszonym, cały spocony i drżący zrobił krok do przodu i uklonił się. Za jego przykładem uklonili się pozostali.

- Tak już lepiej - powiedział kapitan, a potem jednemu po drugim odebrał broń i cisnął ją na ziemię. - A teraz jazda do wartowni - rozkazał.

Awata zrozumiał gest jego ręki i polecił strażnikom ustawić się w szeregu. Potem na jego komendę wszyscy jeszcze raz się uklonili.

Kapitan stał i przyglądał się im. W odpowiedzi na ich ukłon przyłożył dłoń do czapki i znowu powtórzył:

- Salutować, gnojki.

Strażnicy ponownie się uklonili.

- Dobrze - pochwalił kapitan. - A następnym razem, kiedy powiem: salutować, macie salutować!

Awata i pozostali uklonili się, a kapitan obrócił się i podszedł do barykady z drutu kolczastego, zagradzającej drogę do obozu.

Marlowe czując, że oczy przybysza spoczęły na nim i na stojącym obok jeńcu, drgnął przestraszony i cofnął się. W oczach tych dostrzegł wpierw obrzydzenie, a potem współczucie.

- Otwórzcie tę cholerną bramę, gnojki - krzyknął kapitan na strażników.

Awata pojął, co wskazuje wyciągnięta ręka, wybiegł szybko z wartowni wraz z trzema podwładnymi, by odciągnąć barykadę na bok.

Kapitan wkroczył do obozu, a kiedy tamci zabrali się do zastawiania drogi barykadą, krzyknął:

- Zostawić mi to, do cholery!

Strażnicy odstąpili od barykady i uklonili się.

Marlowe usiłował zebrać myśli. Nie tak to sobie wyobrażał. Zupełnie nie tak. To się nie mogło dziać naprawdę. Wtem zobaczył tuż przed sobą kapitana.

- Dzień dobry - odezwał się przybysz. - Nazywam się Forsyth. Kto tu jest dowódcą?

Mówił cicho i bardzo łagodnie. Ale Marlowe widział tylko jego oczy, bacznie oglądające go od stóp do głów.

O co chodzi? Czy ja źle wyglądam? - zastanawiał się rozpaczliwie. Co mi jest? Przestraszony, cofnął się o krok.

- Nie trzeba się mnie bać - powiedział kapitan tubalnym głosem, w którym brzmiało współczucie. - Wojna skończona. Przysłano mnie tu po to, żeby was dobrze traktowano.

Zrobił krok do przodu, ale Marlowe wzdrygnął się, więc się zatrzymał. Potem wyjął powoli paczkę papierosów. Porządnych, angielskich playersów.

- Zapali pan? - spytał.

Kiedy zrobił następny krok, przerażony Marlowe uciekł.

- Chwileczkę! - krzyknął za nim kapitan, a potem zwrócił się do drugiego jeńca, ale ten również zrobił w tył zwrot i czmychnął. Wszyscy przed nim uciekali.

Po raz drugi padł na Changi wielki strach.

Strach o siebie. Czy jestem normalny? Przecież to tyle czasu, więc czy aby na pewno normalny? To znaczy, czy mam po kolei w głowie? W końcu to całe trzy i pół roku. Boże, jak przypomnę sobie, co Van de Velde mówił o impotencji!... Czy jestem zdrow? Czy się sprawdzę w łóżku? Czy będę mógł...? Przecież w oczach tamtego zobaczyłem przestrach. Dlaczego? Czy coś ze mną nie tak? Czy ośmielę się go spytać, czy odważy się?... Czy jestem zdrow?

Wiść o kapitanie dotarła do Króla, kiedy leżał na łóżku pogrążony w myślach. Co prawda nadal zajmował uprzywilejowany kąt pod oknem, ale miał teraz tyle samo miejsca co inni, czyli mniej więcej metr na dwa. Kiedy powrócił wczoraj z ogrodu, zastał łóżko i fotele przesunięte, a przestrzeń, do której miał prawo, zajęły teraz cudze prycze. Nic na to nie powiedział, jego współtowarzysze także, ale kiedy na nich

spojrzał, pospuszczali oczy.

Nikt też nie zadbał o jego kolację. Po prostu zjedli ją.

- O rany - powiedział z roztargnieniem Tex. - Musieliśmy o tobie zapomnieć. Na przyszłość bądź na miejscu. Każdy odpowiada za swoje żarcie.

Wobec tego przyrzędził sobie na kolację kurę. Oczyszczył ją, usmażył i zjadł. To znaczy zjadł pół, drugą połowę zachowując na śniadanie. Zostały mu już tylko dwie kury. Pozostałe zjedzono w ciągu ostatnich kilku dni: Król podzielił się mięsem z tymi, którzy przygotowywali posiłek. Wczoraj chciał coś kupić w obozowym sklepie, ale stos pieniędzy, które otrzymał za brylant, stracił wszelką wartość. Król miał jeszcze w portfelu jedenaście amerykańskich dolarów, i te były coś warte, zdawał sobie jednak sprawę, a myśl o tym przejmowała go dreszczem, że z jedenastu dolarów i dwóch kur nie można żyć wiecznie.

Zeszłej nocy mało spał. Udręczony bezsennością ponurych godzin przedświt, zebrał się w sobie i skarcił za to, że okazał słabość i głupotę i zachował się nie tak, jak przystało na Króla. Tylko to miało znaczenie, a nie fakt, że kiedy przechadzał się po obozie, ludzie nie zauważali go. Brant, Prouty, Samson i cała reszta mijali go, nie odpowiadając na saluty. Tak było ze wszystkimi. Tinker Bell, Timsen, żandarmi, donosiciele i ci, których zatrudniał -jednym słowem, ludzie, których znał, którym pośredniczył w sprzedaży, pomagał, dawał jedzenie, papierosy albo pieniądze - wszyscy oni patrzyli na niego jak na powietrze, jakby w ogóle nie istniał. Gdzie te oczy, nieustannie szpiegujące każdy jego krok, gdzie nienawiść, która go otaczała, kiedy szedł przez obóz? Nic z tego nie zostało. Ani oczu, ani nienawiści, ani śladu zainteresowania.

Wszystko w nim zamierało, kiedy chodził po obozie, wracał do baraku i kładł się na łóżku, jakby był niewidzialnym duchem, a nie człowiekiem z krwi i kości.

Nicość.

A teraz słuchał niewiarygodnej opowieści Texa o przybyciu kapitana i wyczuwał lęk nękający tamtych.

- O co właściwie chodzi? - spytał. - Coście tak zaniemówili? Przyjechał gość spoza obozu, i to wszystko.

Nikt się nie odezwał.

Nie mogąc znieść tej ciszy, zirytowany Król wstał, ubrał się w najlepszą koszulę, czyste spodnie, starł pył z wypastowanych butów i nałożył na bakier czapkę. Przed wyjściem z baraku zatrzymał się na chwilę w drzwiach.

- Chyba sobie coś dzisiaj ugotuję - powiedział nie wiadomo do kogo.

Gdy patrzył po otaczających go twarzach, dostrzegł w nich głód, a w oczach ledwie skrywaną nadzieję. Zrobiło mu się lżej na sercu i znów poczuł się normalnie. Przyjrzał się im, dokonując wyboru.

- Jesteś dzisiaj zajęty, Dino? - spytał wreszcie.

- Ee, nie. Nie - odparł Dino.

- Mam nie posłane łóżko i trochę bielizny do uprania.

- Chcesz... żebym się tym zajął? - spytał Dino, czując się nieswojo.

- A ty?

Dino zaklął w duchu, ale na wspomnienie aromatu wczorajszej kury złamał się.

- Dobra - powiedział.

- Dziękuję, kolego - rzekł z drwiną Król, ubawiony jego wewnętrzną walką, a potem odwrócił się i zszedł ze schodów.

- A... a którą kurę chcesz zjeść? - zawołał za nim Dino.

- Jeszcze się nad tym zastanowię. Zajmij się tylko łóżkiem i praniem - odparł Król, nie zwalniając kroku.

Oparty o framugę drzwi Dino obserwował go, jak idzie w słońcu pod murem więzienia, a potem skręca za róg.

- Skurwysyn! - wycedził.

- Złap się za pranie - dociął mu Tex.

- Odwał się! Jestem głodny.

- Daleś się zrobić i gówno będziesz z tego miał, a nie kurę.

- On będzie jadł dzisiaj kurę - upierał się Dino. - A ja mu w tym pomogę. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby zjadł całą sam i nie dał trochę temu, który mu pomaga.

- A wczoraj?

- Wczoraj miał prawo się spienić, bo zabraliśmy mu miejsce.

Dino myślał o angielskim kapitanie, o domu i swojej dziewczynie, zastanawiając się, czy na niego czeka, czy też wyszła już za męża. Pewnie, że wyszła, odpowiedział sobie ponuro w myślach. Nikogo już nie zastanę. Do diabła, jak ja sobie znajdę robotę?

- Tak było kiedyś. Założę się, że sukinsyn ugotuje kurę i zje ją, a my będziemy tylko na to patrzeć - mówił Byron Jones Trzeci, ale myślał o czym innym. O domu. Niech skonam, jeśli tam wrócę, przysięgał sobie. Muszę znaleźć samodzielne mieszkanie. Jasne. Tylko skąd, u licha, wezmę forszę?

- A jeśli nawet, to co? - spytał Tex. - Zostało nam dwa, może trzy dni do wyjazdu.

A potem do domu, do Teksasu, pomyślał. Czy uda mi się wrócić do starej pracy? Gdzie ja się podzieję? Czym będę płacił? A co będzie, jak pójdę z dziewczyną do łóżka?

- To co z tym Anglikiem, Tex? Uważasz, że powinniśmy do niego pójść i pogadać?

- Owszem. Ale nie teraz, później albo jutro. Musimy się oswoić z tą myślą - odparł Tex, opanowując dreszcz niepokoju. - Kiedy na mnie spojrział... miał taką minę, jakby patrzył na... cyrkowego dziwoląga! Kurczę blade, czy aż tak ze mną źle? Przecież chyba wyglądam normalnie, no nie?

Wszyscy przyjrzeni mu się, starając się zobaczyć w nim to, co dostrzegł przybysz. Ale wciąż widzieli tylko Texa takiego, jakiego znali od trzech i pół roku.

- Dla mnie wyglądasz normalnie - zawyrokował Dino. - Jeżeli ktoś tu jest cudakiem, to właśnie on. Prędzej bym skonał, niż skakał sam jeden na Singapur między tych wszystkich Japońców. Szkoda gadać! To on jest nienormalny.

Król szedł pod więziennym murem, rozmawiając sam ze sobą. Ależ z ciebie cymbał. Czym się tak właściwie przejmujesz? Świat się kręci i dobra jest. Jasne, że tak. Wciąż jesteś Królem. Wciąż tylko ty jeden wiesz, jak sobie radzić.

Zsunął czapkę zawadiacko na ucho i przypomniawszy sobie Dina zaśmiał się. Nie ma co, drań będzie kłął i martwił się, czy dostanie kure, wiedząc, że wcisnąłem mu robotę. Pies go trącał, niech się męczy, pomyślał radośnie.

Przekroczył ścieżkę biegnącą między dwoma barakami. Zgromadziły się przy nich grupki mężczyzn. Zamarli w bezruchu, spoglądali na północ, w stronę bramy. Król obszedł następny barak i zobaczył odwróconego tyłem przybysza. Stał na środku pustego placu i oszołomiony rozglądał się dookoła. Widząc, jak oficer podchodzi do kilku jeńców i jak tamci się wycofują, Król zaśmiał się szyderczo.

Dom wariatów, pomyślał cynicznie. Istny dom wariatów. Czego tu się bać? Przecież to tylko kapitan. Tak, bez pomocnika nie da sobie rady. Ale czego on taki wystraszony? Tego już zupełnie nie rozumiem!

Przyśpieszył kroku, choć nadal szedł bezszelestnie.

- Dzień dobry, panie kapitanie - rzekł dobitnie i zsalutował.

Zaskoczony kapitan Forsyth obrócił się gwałtownie.

- Och! Dzień dobry - powiedział i odetchnął z ulgą. - Bogu dzięki, że jest tu ktoś normalny. - Zorientował się, co powiedział, i dodał: - Ach, przepraszam. Nie chciałem...

- Nie szkodzi - odparł uprzejmie Król. - W takim miejscu każdemu może odbić. Chłopie, nie ma pan pojęcia, ile pan nam sprawił radości. Witamy w Changi!

Forsyth uśmiechnął się. Był znacznie niższy od Króla, za to masywny jak czołg.

- Dziękuję. Nazywam się Forsyth. Wysłano mnie, żebym zajął się obozem, aż do przybycia floty.

- A kiedy przypłyną?

- Za sześć dni.

- Nie mogliby się pośpieszyć?

- Takie sprawy zawsze wymagają czasu - rzekł Forsyth i wskazał najbliższy barak. - Co jest z tymi ludźmi? Zachowują się tak, jakbym był trędowaty.

Król wzruszył ramionami.

- Pewnie są tak zaskoczeni, że nie mogą dojść do siebie - odparł. - Nie wierzą jeszcze własnym oczom. Wie pan, jak to jest z niektórymi. W końcu to kawał czasu.

- No tak, oczywiście - rzekł powoli Forsyth.

- To idiotyzm, żeby aż tak się pana bać - ciągnął Król i znów wzruszył ramionami. - Ale to ich sprawa, takie jest życie.

- Jesteście Amerykaninem?

- Tak. Jest nas tu dwudziestu pięciu. To znaczy, żołnierzy i oficerów. Naszym dowódcą jest kapitan Brough. Zestrzelono go w czterdziestym trzecim nad górami. Chce pan się z nim zobaczyć?

- Oczywiście.

Forsyth był śmiertelnie zmęczony. Zadanie to powierzono mu cztery dni temu w Birmie. Oczekiwanie, przelot, skok ze spadochronem, droga do wartowni i niepokój o to, co tu zastanie, jak zachowają się Japończycy i jak, do diabła, wypełni rozkazy - wszystko to prześladowało go w snach i spędzało sen z powiek. No i co, przyjacielu, myślał. Sam prosiłeś o to zadanie, dostałeś je, więc rób, co do ciebie należy. W końcu pierwszą próbę przy bramie przeszedłeś pomyślnie. Stałeś, idioto, jak słup i w kółko powtarzałeś jedno: "Salutować, gnojki".

Z miejsca, gdzie stał, widział gromadki wpatrujących się w niego mężczyzn, wyglądających z okien i drzwi, zza węglów i z cieni. Milczeli.

Forsyth widział też biegnącą środkiem obozu drogę, a w oddali latryny.

Obejmował wzrokiem dziesiątki baraków, a w nozdrza wdzierał mu się smród potu, pleśni i moczu. Gdziekolwiek się obrócił, wszędzie dostrzegał żywe trupy - szkielety w łańchmanach, w przepaskach na biodrach, w sarongach - same obleczone w skórę kości.

- Dobrze się pan czuje? - spytał troskliwie Król. - Bo nie wygląda pan najlepiej.

- Czuję się dobrze. Kim są ci nieszczęśnicy?

- To paru naszych - odparł Król. - Oficerowie.

- Co takiego?

- Tak, oficerowie. Coś się w nich panu nie podoba?

- Mówicie, że ci ludzie to oficerowie?

- Tak jest. Wszystkie te baraki należą do oficerów. A w tamtych mniejszych, które stoją rzędem, mieszka "góra", majorzy i pułkownicy. W barakach na południe od więzienia mieszka około tysiąca Australijczyków i dżemoja... i Anglików. A w więzieniu jest ich jakieś siedem, osiem tysięcy. Sami żołnierze.

- Czy wszyscy są w takim stanie?

- Nie rozumiem, panie kapitanie.

- Czy wszyscy tak wyglądają, tak są ubrani?

- Tak - potwierdził Król i roześmiał się. - Rzeczywiście, kiedy im się przyjrzeć, można ich wziąć za zgraję żebraków. Jakoś nigdy nie przyszło mi to do głowy.

W tym momencie zauważył, że Forsyth bacznie mu się przygląda.

- O co chodzi? - spytał, gubiąc gdzieś swój uśmiech.

Zewsząd obserwowali ich jeńcy, a wśród nich Peter Marlowe. Ale wszyscy trzymali się z daleka, wciąż zadając sobie pytanie, czy naprawdę widzą Króla rozmawiającego z człowiekiem, który ma u pasa pistolet i wygląda naprawdę jak człowiek.

- Dlaczego tak bardzo różnicie się od nich? - spytał Forsyth.

- Nie rozumiem, panie kapitanie.

- Jesteście porządnie ubrani, a tamci mają na sobie łańchmany.

Na twarzy Króla znów pojawił się uśmiech.

- Bo ja dbałem o swoje ubranie. A oni chyba nie - odparł.

- Jesteście, jak widzę, w niezłej formie.

- Nie w takiej, jak bym chciał, ale owszem, trzymam się dobrze. Chce pan, żebym pana oprowadził po obozie? Właśnie pomyślałem, że przyda się panu ktoś do pomocy. Mógłbym skrzyknąć paru chłopców, zorganizować oddział. O zaopatrzeniu w

obozie szkoda nawet mówić. Ale w garażu stoi ciężarówka. Moglibyśmy pojechać do Singapuru i skombinować...

- Jak to jest, że najwyraźniej stanowicie tu wyjątek? - przerwał mu Forsyth, wyrzucając z siebie słowa jak pociski.

- Słucham?

Forsyth wskazał palcem wprost na obóz.

- Na tych paruset ludzi, których tu widzę, tylko wy jesteście ubrani - powiedział. - Gdzie spojrzę, widzę ludzi wychudzonych jak szczapy, tylko wy - tu obrócił się i spojrzał twardo na Króla - wy jeden trzymacie się dobrze.

- Niczym się od nich nie różnię. Miałem tylko głowę na karku. I szczęście.

- W takim piekle nie ma miejsca na szczęście czy pech!

- Ależ jest - sprzeciwił się Król. - A poza tym, to nic złego dbać o ubranie, o to, żeby nie wyjść z formy. Człowiek musi o sobie myśleć. To nie zbrodnia!

- Owszem, to nie zbrodnia - odparł Forsyth. - Pod warunkiem, że nie dzieje się to cudzym kosztem! Gdzie jest kwatera komendanta obozu? - warknął.

- Tam. - Król wskazał kierunek. - W pierwszym rzędzie tamtych baraczków. Naprawdę nie wiem, co pana ugryzło. Chciałem pomóc. Myślałem, że przyda się ktoś, kto wprowadziłby pana w sytuację...

- Nie potrzebuję waszej pomocy, kapralu! Jak nazwisko?

Król żałował, że zadał sobie tyle trudu. Kurwa mać, pomyślał z wściekłością, chcesz komuś pomóc, no to masz!

- Król, panie kapitanie - odparł.

- Możecie odmaszerować, kapralu. Zapamiętam was sobie. I wiedzcie, że postaram się jak najszybciej zobaczyć z kapitanem Broughem.

- A to dlaczego?

- Dlatego, że jesteście wysoce podejrzani - odparł ostro Forsyth. - Chcę wiedzieć, dlaczego w przeciwieństwie do innych tak dobrze wyglądacie. Żeby utrzymać się w takim obozie w formie, trzeba mieć pieniądze, a niewiele mogło być sposobów ich zdobycia. Bardzo niewiele. Na przykład, donosicielstwo! Po drugie, handel lekarskimi lub żywnością...

- Nie mam zamiaru wysłuchiwać tych bredni...

- Odmaszerować, kapralu! I pamiętajcie, że osobiście się wami zajmę!

Z największym trudem Król powstrzymał się, żeby nie dać mu w zęby.

- Odmaszerować - powtórzył Forsyth i wyszczał: - Zejdźcie mi z oczu!

Król zasalutował i odszedł oślepiiony wściekłością.

- Witaj - rzekł Marlowe, zachodząc mu drogę. - Boże, chciałbym mieć tyle odwagi co ty.

Król oprzytomniał.

- Czołem, panie kapitanie - wychrypiął i nie zatrzymując się zasalutował.

- O mój Boże, Radza, co się stało?

- Nic. Tylko... nie mam ochoty na rozmowę.

- Dlaczego? Jeżeli czymś cię uraziłem albo masz mnie dość, to powiedz. Proszę cię.

- Pan nie ma z tym nic wspólnego - odparł Król i zmusił się do uśmiechu, choć wszystkie jego myśli zagłuszało pytanie: Jezu, co ja takiego zrobiłem? Karmiłem drani, pomagałem im, a teraz traktują mnie jak powietrze.

Obejrzał się i zobaczył, jak Forsyth idzie między barakami, a potem znika. A ten? Ten bierze mnie za donosiciela, pomyślał z udręką.

- Co ci powiedział? - spytał Marlowe.

- Nic. Chcę... muszę... coś dla niego zrobić.

- Jestem twoim przyjacielem. Pozwól sobie pomóc. Czy nie wystarcza ci, że jestem z tobą?

Ale Król pragnął tylko jednego - ukryć się. Forsyth i cała reszta pozbawili go władzy. Wiedział, że jest stracony. A brak władzy napawał go przerażeniem.

- No, to na razie - bąknął, zasalutował i oddalił się pośpiesznie... Jezu - łkał w duchu - spraw, żeby mnie poznawano. Błagam cię, spraw, żeby mnie poznawano.

Nazajutrz nad obozem zahuczał samolot. Z jego wnętrza wyleciały zrzuty. Część z nich spadła na teren obozu. Tych, które spadły poza ogrodzenie, nie próbowano nawet odszukać. Nikt nie opuszczał Changi, tu było najbezpieczniej. Przecież mogła to być pułapka. Roilo się od much. Kilku jeńców zmarło.

Kolejny dzień. Nad lądowiskiem zaczęły krążyć samoloty. Do obozu wkroczył angielski pułkownik, a wraz z nim doktorzy i sanitariusze. Przywieźli ze sobą lekarstwa. Nadlatywały i lądowały coraz to nowe samoloty.

Ni stąd, ni zowąd zawyły w obozie jeepy, zjawili się potężni mężczyźni z cygarami w zębach i czterej lekarze. Byli to Amerykanie. Wpadli do obozu, pokłuli swoich współziomków igłami, napoili świeżym sokiem pomarańczowym, nakarmili, nawtykali im papierosów i wyściskali ich - swoich chłopców, swoich bohaterów. A

potem wsadzili wszystkich do jeepów i podwieźli do głównej bramy Changi, gdzie czekała ciężarówka.

Marlowe przyglądał się temu zaskoczony. Przecież oni nie są bohaterami, myślał ze zdumieniem. Ani my. My przegraliśmy. Przegraliśmy wojnę, naszą wojnę. Tak czy nie? A więc jacy z nas bohaterowie? Jacy?

Gdy głowa pękała mu od sprzecznych myśli, dostrzegł Króla, swojego przyjaciela. Przez te wszystkie dni szukał okazji, żeby z nim porozmawiać, ale ilekroć się spotykali, Król zbywał go powtarzając, że później, że teraz jest zajęty. A kiedy przyjechali Amerykanie, zupełnie już nie było czasu na rozmowę.

Marlowe stał więc przy bramie w tłumie gapiów, przyglądając się przygotowaniom Amerykanów do odjazdu. Pragnął pożegnać się ze swoim przyjacielem. Czekał cierpliwie na sposobność, kiedy będzie mógł mu podziękować za uratowanie ręki i za chwilę wspólnej radości.

Pośród gapiów był również Grey.

Przy ciężarówce stał zmęczony Forsyth. Wyciągnął rękę z listą.

- Oryginał dla pana, majorze - powiedział do Amerykanina. - Pańscy ludzie są tu spisani według stopnia, rodzaju służby i numeru identyfikacyjnego.

- Dziękuję - odparł major, przysadzisty spadochroniarz o wydatnych szczękach. Podpisał dokument i zwrócił pięć kopii. - Kiedy zjawi się reszta waszych? - spytał.

- Za parę dni.

Major rozejrzał się i wzdrygnął.

- Z tego, co widzę, przydałaby się panu pomoc.

- Czy przypadkiem nie ma pan na zbyciu leków?

- Ależ mam. W naszym samolocie jest ich mnóstwo. Wie pan co? Jak tylko wyprawię w drogę naszych chłopców, przywieziemy panu to wszystko jeepami. Zostawię panu lekarstwa i dwóch sanitariuszy do czasu, aż dotrą tu wasi.

- Dziękuję - rzekł Forsyth i potarł twarz, usiłując odpędzić znużenie. - Bardzo nam się przydadzą. Pokwituję panu odbiór lekarstw. Władze będą honorowały mój podpis.

- Żadnych papierzyk. Potrzebuje pan lekarstw, to je pan dostanie. Po to przecież są - powiedział major i odwrócił się. - Dobra, sierżancie, każcie im wsiadać do ciężarówki - zawołał.

Podszedł do jeepa i przyjrzał się noszom umocowanym przez sanitariuszy.

- I co pan na to, doktorze? - spytał.

- Do domu dojedzie - rzekł doktor, odrywając wzrok od nieprzytomnego mężczyzny, starannie skrępowanego kaftanem bezpieczeństwa. - Ale to wszystko. Zwariował na dobre.

- Pechowiec - powiedział major znużonym głosem i zrobił na liście znaczek przy nazwisku Maxa. - To niesprawiedliwe - dodał i ściszył głos. - A co z resztą?

- Niedobrze. Najczęściej uciezka przed rzeczywistością. Lęk przed przyszłością. A fizycznie tylko jeden z nich jest w jakim takim stanie. Nie mogę pojąć, jak oni to wytrzymali. Był pan w więzieniu?

- Oczywiście. Zajrzałem tam na chwilę. To mi w zupełności wystarczyło.

Przygnębiony Marlowe obserwował ruch przy bramie. Czuł, że jest nieszczęśliwy nie tylko z powodu odjazdu przyjaciela. Chodziło o coś więcej. Było mu smutno, bo odjeżdżali Amerykanie. Miał wrażenie, że poniekąd należy do nich. Absurdalne, bo przecież byli obcokrajowcami. A jednak przebywając wśród nich nie czuł się obco. Czy to zazdrość? - zastanawiał się w duchu. Nie, to nie to. Nie wiem czemu, ale czuję się tak, jakby oni jechali do domu, a mnie zostawiali.

Kiedy wydano rozkazy i Amerykanie zaczęli wdrapywać się na ciężarówkę, Marlowe podszedł nieco bliżej. Brough, Tex, Dino, Byron Jones Trzeci i cała reszta, we wspaniałych, nowych, sztywnych mundurach, wydawali się przywidzeniem. Wszyscy mówili, pokrzykiwali, śmiali się. Tylko Król stał nieco z boku. Sam.

Marlowe ucieszył się, że przyjaciel znów jest wśród swoich, i życzył mu w duchu, żeby doszedł do siebie, jak tylko ruszy w drogę.

- Wsiadać, chłopcy.

- Jazda, wsiadać na ciężarówkę.

- Następny przystanek: Ameryka!

Grey nie zdawał sobie sprawy, że stoi tuż obok Marlowe'a.

- Podobno mają samolot, którym polecą prosto do Stanów - powiedział, patrząc na ciężarówkę. - Specjalny samolot, wyłącznie do ich dyspozycji. Czy to możliwe? Dla takiej garstki żołnierzy i paru młodszych oficerów?

Marlowe do tej pory również nie zdawał sobie sprawy z obecności Greya. Przyjrzał mu się teraz z pogardą.

- Jak przyjdzie co do czego, zaraz wychodzi z pana cholerny snob - powiedział.

Grey gwałtownie odwrócił głowę.

- Ach, to pan - wycedził.

- Tak - odparł Marlowe i skinął głową na ciężarówkę. - Oni nie dzielą ludzi na

gorszych i lepszych, więc dają samolot wyłącznie do ich dyspozycji. I to właśnie jest wspaniałe.

- Nie powie pan chyba, że klasy posiadające zrozumiały wreszcie...

- Zamknij się pan! - warknął Marlowe i czując, że rośnie w nim gniew, odsunął się od Greya.

Przy ciężarówce stał sierżant, potężny mężczyzna z naszywkami na rękawie i nie zapalonym cygarem w zębach, który cierpliwie powtarzał:

- Jazda! Wsiadać, wsiadać!

Nie wsiadł jeszcze tylko Król.

- Wsiadać, jak rany Boga! - warknął sierżant.

Król ani drgnął. Sierżant zniecierpliwionym gestem rzucił cygaro i dźgając palcem powietrze, krzyknął:

- Ej, wy! Kapralu! Ruszcie tyłek, do jasnej cholery!

Król ocknął się z odrętwienia.

- Tak jest, panie sierzancie. Przepraszam, panie sierzancie.

Potulnie wdrapał się na tył ciężarówki i stanął tam, choć wszyscy inni siedzieli. Otoczony był zewsząd przez rozgadanych, podnieconych żołnierzy i tylko do niego nikt się nie odzywał. Nie zauważali go. Musiał przytrzymać się bocznej ścianki, bo ciężarówka właśnie ruszyła, wzbijając w powietrze kurz Changi.

Marlowe rzucił się raptownie do przodu i podniósł rękę, żeby pomachać przyjacielowi na pożegnanie. Ale Król nie obejrzał się. Nie robił tego nigdy.

I wtedy nagle, tam, przy głównej bramie Changi, Marlowe poczuł się straszliwie samotny.

- Warto było to zobaczyć - powiedział z satysfakcją Grey.

- Niech pan stąd lepiej odejdzie, zanim zrobię panu coś złego - naskoczył na niego Marlowe.

- Przyjemnie było słyszeć, jak mu mówią: „Ej, wy! Kapralu! Ruszcie tyłek, do jasnej cholery!” - Oczy Greya błysnęły nienawistnie. - Dobrze mu tak, łobuzowi.

Ale Marlowe pamiętał Króla tylko takim, jakim był naprawdę. Prawdziwy Król nie odpowiadał potulnie: “Tak jest, panie sierzancie”. To nie był Król. To był inny człowiek, wydarty z łona Changi, człowieka, którego Changi tak długo hołubiło.

- Dobrze mu tak, złodziejowi - dodał Grey z premedytacją.

Marlowe zacisnął lewą, zdrową pięść.

- Ostrzegalem pana - powiedział, po czym walnął go w twarz. Grey zatoczył się

do tyłu, ale nie stracił równowagi i rzucił się na Marlowe'a. Zaczęli się bić. Nagle znalazł się przy nich Forsyth.

- Dość - rozkazał. - Do diabła, o co się bijecie?

- O nic - odparł Marlowe.

- Puszczaj pan - rzekł Grey i wyrwał rękę z uścisku Forsytha. - Z drogi!

- Jeszcze raz któryś z was narozrabia, a dostanie areszt domowy - ostrzegł Forsyth i z przerażeniem stwierdził, że ma przed sobą dwu kapitanów. - Jak wam nie wstyd, panowie, awanturować się jak zwykli żołnierze! Już was tu nie ma. Na miłość boską, przecież wojna się skończyła!

- Czyżby?

Grey obrzucił Marlowe'a groźnym spojrzeniem i odszedł.

- O co wam poszło? - spytał Forsyth.

Marlowe patrzył w dal. Nie było już widać ciężarówki.

- I tak by pan nie zrozumiał - odparł i odwrócił się.

Forsyth obserwował go, dopóki nie znikł mu z oczu. Masz rację, i to jaką rację, pomyślał bezsilnie. Każdy z was jest dla mnie niepojętą zagadką.

Zawrócił w stronę bramy. Jak zwykle stały tam milczące grupki mężczyzn, wpatrujących się w przestrzeń za drutami. I jak zwykle brama była strzeżona. Ale teraz strzegli jej oficerowie, a nie Japończycy i Koreańczycy. W dniu, kiedy tu przybył, zwolnił ich i wystawił straż złożoną z oficerów, by strzegli obozu i nie wypuszczali żołnierzy na zewnątrz. Ale straż okazała się zbędna, bo nikt nie próbował uciekać. Nic z tego nie rozumiem, zwierzał się sobie zmęczony. To wszystko nie ma sensu. A zresztą tu wszystko jest na opak.

I wtedy dopiero uświadomił sobie, że nie zameldował o tym podejrzanym amerykańskim kapralu. Musiał myśleć o tylu rzeczach naraz, że zupełnie mu to wyleciało z głowy. Zły był na siebie, że jest już na to za późno. Ale potem przypomniał sobie, że przecież wróci do obozu amerykański major. Świetnie, pomyślał. Powiem mu o tamtym. A on już sobie z nim poradzi.

W dwa dni później zjechali do obozu nowi Amerykanie. Przyjechał też prawdziwy amerykański generał. Otaczał go rój fotografów, sprawozdawców wojennych i adiutantów. Zaprowadzono generała do baraczkę komendanta obozu. Wezwano tam też Marlowe'a, Maca i Larkina. Generał wziął słuchawkę udając, że słucha radia.

- Proszę się nie ruszać, panie generale!

- Jeszcze tylko jedno ujęcie, panie generale!

Marlowe'a ustawiono z przodu i kazano mu pochylić się nad radiem, tak jakby właśnie objaśniał generałowi jego konstrukcję.

- Nie tak, niech pan się zwróci twarzą do nas. O tak, i niech pan da do światła te chude ręce. Teraz może być.

Tej nocy po raz trzeci i ostatni padł na mieszkańców Changi strach, i to strach najsilniejszy. Przed tym, co przyniesie jutro.

Teraz już całe Changi wiedziało, że wojna skończyła się naprawdę. Że trzeba będzie spojrzeć w oczy przyszłości. Przyszłości poza Changi. Przyszłości zaczynającej się od dziś. Od dziś!

Ludzie z Changi pozamykali się w sobie, bo poza sobą nie było dokąd się udać ani gdzie się schronić. Ale tam czyhało na nich przerażenie.

Do portu w Singapurze wpłynęła aliancka flota. Do Changi zjeżdżało coraz więcej obcych.

I wtedy zaczęło się wypytywanie:

- Nazwisko, stopień, numer identyfikacyjny, jednostka?

- Gdzie pan walczył?

- Kto umarł?

- Kogo zabito?

- A przypadki okrucieństwa? Ile razy pana bito? Kogo na pana oczach zakłuto bagnetem?

- Nikogo? Niemożliwe. Niech pan się zastanowi. Wyteży pamięć. Przypomni sobie. Ile osób zginęło? Na statku? Trzy, cztery, pięć? Dlaczego? Kto tam był?

- Ilu zostało z pana jednostki? Dziesięciu? Z całego pułku? Dobrze, to już coś. No, a jak zginęli pozostali? Tak, ze szczegółami!

- Aha, więc widział pan, jak zakłuto ich bagnetami?

- Przełęcz Trzech Pagód? Aha, tory kolejowe! Tak. Już o tym wiemy. Co pan mógłby dodać? Ile dostawaliście jedzenia? Środki znieczulające? No tak, oczywiście, przepraszam, zapomniałem. Cholera?

- Tak, mam już dokładne informacje o obozie numer trzy. A obóz numer czternaście? Ten na granicy birmańsko-syjamskiej? Zdaje się, że umarło tam tysiące ludzi?

Obcy nie tylko pytali, ale również komentowali. Mieszkańcy Changi słyszeli, jak szepcą do siebie ukradkiem:

- Widziałeś tamtego? O rany, to niemożliwe! On chodzi nago! W obecności wszystkich!

- A spójrz tam! Któryś załatwia się na oczach ludzi! Rany boskie, on nie używa papieru! Podmywa się wodą! Kurczę, inni też!

- Popatrz tylko na tę brudną pryczę! Chryste Panie, tu wszystko chodzi od pluskiew.

- Na jakie dno się stoczyły te świnię... Gorszi od bydła!

- Powinni siedzieć w domu wariatów! Pewnie, że to żółtki z nimi to zrobiły, ale mimo to byłoby bezpieczniej trzymać ich pod kluczem. Przecież oni nie odróżniają dobra od zła!

- Przyjrzyj się tylko, jak pożerają to świństwo! Boże święty, i dawaj takim chleb i ziemniaki, kiedy oni chcą jeść tylko ryż!

- Muszę wrócić na okręt. Nie mogę się doczekać, żeby sprowadzić tu kumpli. Takie coś widzi się tylko raz w życiu.

- No, a pielęgniarce, które tu spacerują! Te to dopiero ryzykują.

- Bzdura, nic im nie grozi. Widziałem tu sporo dziewczyn, które przychodzą sobie popatrzeć. O kurczę, co za szprota!

- To obrzydliwe, jak oni na nie patrzą.

Obcy nie tylko zadawali pytania i wygłaszali komentarze, ale również udzielali odpowiedzi.

- A, kapitan Marlowe? Tak, dostaliśmy telegraficzną odpowiedź z admiralicji. Kapitan Marlowe, Królewska Marynarka Wojenna. Niestety, pański ojciec nie żyje. Zginął pod Murmańskiem. Dziesiątego września czterdziestego trzeciego roku. Bardzo mi przykro. Następny!

- A, kapitan Spence? Tak. Mamy dla pana dużo listów. Są do odebrania w wartowni. No tak. Pańska... pańska żona i dziecko zginęli podczas nalotu na Londyn. W styczniu tego roku. Bardzo mi przykro. To był V2. Straszne. Następny!

- Podpułkownik Jones? Tak, panie pułkowniku. Odjeżdża pan jutro pierwszym transportem. Pojadą wszyscy wyżsi oficerowie. Szczęśliwej podróży! Następny!

- Major McCoy? Ach tak, dowiadywał się pan o żonę i syna. Zaraz sprawdzę. Płynęli „Empress of Shorpsshire”, tak? Statkiem, który wypłynął z Singapuru dziesiątego lutego czterdziestego drugiego? Niestety, nic nie wiemy poza tym, że

został zatopiony gdzieś u wybrzeży Borneo. Podobno niektórzy się uratowali, ale czy to prawda i gdzie teraz przebywają, nie wie nikt. Musi się pan uzbroić w cierpliwość! Dowiadujemy się, że obozy jenieckie są wszędzie, na Celebes, na Borneo... Musi pan cierpliwie czekać. Następny!

- A, pułkownik Smedly-Taylor? Bardzo mi przykro, panie pułkowniku, mam dla pana złe wiadomości. Pańska żona zginęła podczas nalotu. Dwa lata temu. Najmłodszy syn, major lotnictwa P.R. Smedly-Taylor, przepadł bez wieści w czterdziestym czwartym nad terytorium Niemiec. Pański syn John przebywa obecnie w Berlinie z wojskami okupacyjnymi. Oto jego adres. Stopień? Podpułkownik. Następny!

- Pułkownik Larkin? Australijczycy są przyjmowani gdzie indziej. Następny!

- Kapitan Grey? No tak, to trudna sprawa. Widzi pan, zgłoszono, że poległ pan w czterdziestym drugim. Niestety, pańska żona wyszła powtórnie za mąż... Jest... mmm... Oto jej aktualny adres. Nie orientuję się, panie kapitanie. Musi pan się dowiedzieć w biurze radcy prawnego. Przykro mi, ale kwestie prawne to nie moja branża. Następny!

- Kapitan Ewart? Tak, przypominam sobie. Pułk Malajski? Owszem, z przyjemnością zawiadamiam pana, że pańska żona i troje dzieci są zdrowe i bezpieczne. Przebywają w obozie Cha Song w Singapurze. Tak, będzie pan mógł odjechać dziś po południu. Słucham? Trudno mi powiedzieć. W notatce jest mowa o trojgu, a nie dwojgu dzieciach. Może to jakaś pomyłka. Następny!

Coraz więcej jeńców chodziło się kąpać w morzu. Ale nadal wszystko na zewnątrz ogrodzenia budziło lęk i kąpiący się oddychali z ulgą, wróciwszy do obozu. Sean także wybrał się nad morze. Szedł na plażę wraz z innymi, niosąc w ręku zawiniątko. Kiedy grupa dotarła na brzeg morza, Sean odwrócił się tyłem, a wtedy prawie wszyscy zaczęli się wyśmiewać i szydzić ze zbrojeńca, który nie chciał się rozebrać jak reszta.

- Pedzio!

- Parowa!

- Pedal!

- Ciota!

Uciekając od szyderstw, Sean ruszył brzegiem, aż znalazł zaciszne, odludne miejsce. Zdjął szorty i koszulę, założył wieczorowy sarong, pas, pończochy, wypchany

stanik, uczesał się i umalował. Niezwykle starannie. A potem dziewczyna wstała, pewna siebie i szczęśliwa. Włożyła pantofle na wysokich obcasach i weszła w morze.

Morze przyjęło ją i ukołysało do snu. Z czasem wchłonęło jej ubranie, jej ciało i wszelki po niej ślad.

W progu baraku Marlowe'a stanął jakiś major. Bluzę miał pokrytą baretkami. Wyglądał bardzo młodo. Rozejrzał się po leżących, przebierających się, szykujących pod prysznic plugawcach. Jego wzrok spoczął na Marlowie.

- Czego pan tak się gapi, do cholery! - wrzasnął Marlowe.

- A pan niech się tak do mnie nie odzywa! Jestem majorem i...

- Może pan sobie być nawet Jezusem Chrystusem, gównu mnie to obchodzi.

Jazda stąd! Jazda!!!

- Baczość! Oddam pana pod sąd wojenny! - krzyknął major. Oczy wychodziły mu z orbit, oblewał się potem. - Jak panu nie wstyd? Oficer w spódnicy...

- To jest sarong...

- To jest spódnica! Chodzi pan półnagi i do tego w spódnicy! Wy, z obozu, myślicie, że wszystko wam wolno. No, całe szczęście, że nie wszystko. A teraz nauczę pana szacunku dla...

Marlowe chwycił oprawiony bagnet, podbiegł do majora i podsunął mu go pod nos.

- Zjeżdżaj stąd, bo ci poderżnę gardło! - krzyknął.

Major ulotnił się.

- Nie denerwuj się, Peter - mruknął Phil. - Jeszcze narobisz nam kłopotów.

- Dlaczego oni tak się na nas gapią? Dlaczego? Dlaczego, do jasnej cholery?! - krzyczał Marlowe.

Ale nikt mu na to pytanie nie odpowiedział.

Do baraku wszedł lekarz z opaską Czerwonego Krzyża na rękawie. Śpieszyło mu się, ale nie okazywał tego. Uśmiechnął się do Marlowe'a.

- Niech pan nie zwraca na niego uwagi - powiedział, wskazując idącego przez obóz majora.

- Dlaczego wy tak się na nas gapiacie?

- Niech pan sobie zapali i uspokoi się.

Wprawdzie doktor sprawiał przyjemne wrażenie, ale przecież był przybyszem z zewnątrz, a więc nie należało mu ufać.

- Niech pan sobie zapali i uspokoi się! Tylko tyle potraficie nam powiedzieć! - pieklił się Marlowe. - Zadałem panu pytanie: dlaczego tak się na nas gapicie?

Doktor zapalił papierosa i przysiadł na pryczy, czego natychmiast pożałował, zdając sobie sprawę, że wszystkie prycze roją się od zarazków. Chciał jednak pomóc tym ludziom.

- Spróbuję to panu wyjaśnić - rzekł cicho. - Cierpieliście tu wszyscy ponad ludzką miarę i przeszliście więcej, niż, zdawałoby się, można znieść. Jesteście chodzącymi szkieletami. W waszych twarzach widać tylko oczy, a w tych oczach jest coś... - Zamilkł na chwilę, szukając odpowiednich słów, wiedział bowiem, że ci ludzie potrzebują troskliwej opieki i łagodności. - Nie bardzo wiem, jak to określić. Patrzycie ukradkiem... nie, to nie jest właściwe słowo. Nie jest to również strach. No i życie, chociaż według wszelkich reguł powinniście dawno umrzeć. Nie możemy tego pojąć, ani tego, dlaczego to wy akurat przeżyliście, to znaczy, pan i pańscy koledzy. Dlaczego akurat wy? A my, ci z zewnątrz, przyglądamy się wam, ponieważ nas intrygujecie...

- Pewnie tak, jak pokazywane w cyrkach wybryki natury?

- Tak - odparł spokojnie doktor. - Można by i tak to nazwać, ale...

- Przysięgam, że zabiję pierwszego drania, który spojrzy na mnie jak na małpę.

- Proszę, niech pan weźmie te pigułki - powiedział doktor, chcąc go uspokoić. - Będzie pan się mniej denerwował...

Marlowe wytrącił mu z rąk lekarstwo i krzyknął:

- Nie chcę żadnych pigułek, do cholery! Chcę, żeby mi dano święty spokój!

Wybiegł z baraku.

W baraku amerykańskim nie było nikogo.

Marlowe położył się na łóżku Króla i zapłakał.

- Do widzenia, Peter - rzekł Larkin.

- Do widzenia, pułkowniku.

- Do widzenia, Mac.

- Trzymaj się, chłopcze.

- Dajcie o sobie znać.

Larkin uściśnął im dłonie, a potem podszedł do bramy Changi, gdzie czekały ciężarówki mające zawieźć ostatnich Australijczyków do portu. Do domu.

- Kiedy wyjeżdżasz, Peter? - spytał Mac, kiedy Larkin znikł im z oczu.

- Jutro. A ty?

- Zaraz, ale zatrzymam się w Singapurze. Nie ma sensu wsiadać na statek, dopóki nie wiem, dokąd płynąć.

- Ciągłe nic nie wiadomo?

- Nic. Mogą być gdziekolwiek w Indiach Wschodnich. Wydaje mi się, że gdyby ona i Angus nie żyli, coś by mi o tym powiedziało tu, w środku - rzekł Mac, wziął plecak i odruchowo sprawdził, czy ukryta potajemnie puszka sardynek leży tam, gdzie ją schował. - Doszły mnie słuchy, że w jednym z obozów w Singapurze są jakieś kobiety, które płynęły tym samym statkiem. Może któraś z nich będzie coś wiedziała albo da mi wskazówkę, żebym mógł ich odnaleźć.

Mac wyglądał staro, twarz miał pokrytą zmarszczkami, ale był bardzo krzepki. Wyciągnął rękę.

- *Salamat* - powiedział.

- *Salamat*.

- *Puki 'mahlu!*

- *Senderis* - odparł Marlowe, czując jak po policzkach spływają mu łzy. Ale nie wstydził się ich. Mac też się nie wstydził, że płacze.

- Zawsze możesz do mnie napisać, chłopcze, na adres banku w Singapurze.

- Napiszę na pewno. Trzymaj się, Mac.

- *Salamat!*

Stojąc na drodze biegnącej środkiem obozu, Marlowe patrzył, jak przyjaciel wspina się na wzniesienie. Na jego szczycie Mac zatrzymał się, odwrócił i pomachał ręką. Marlowe pomachał mu w odpowiedzi i po chwili Mac znikł w tłumie odjeżdżających.

Marlowe został zupełnie sam.

Ostatni ranek w Changi. Ostatni zgon. Niektórzy oficerowie, ci najciężej chorzy, opuścili już barak numer szesnaście.

Marlowe leżał na pryczy, na wpół drzemiąc pod moskitierą. Mieszkańcy baraku budzili się, wstawali, wychodzili się załatwić. Barstairs stał na głowie ćwicząc jogę, Phil Mint jedną ręką dłuwał w nosie, a drugą rozprawiał się z muchami, rozpoczęto już grę w brydża, Mylner ćwiczył gamy na drewnianym ksylofonie, a Thomas jak zwykle narzekał, że śniadanie się spóźnia.

- Jak ci się podobam, Peter? - spytał Mike.

Marlowe otworzył oczy i przyjrzał mu się uważnie.

- Zmieniłeś się, to pewne - powiedział.

Mike potarł wierzchem dłoni wygoloną skórę nad górną wargą.

- Czuję się, jakbym był nagi - rzekł. Przejrzał się jeszcze raz w lustrze. Wzruszył ramionami. - No cóż, były, nie ma, i tyle.

- Hej, dają zarcie! krzyknął Spence.

- A co jest?

- Owsianka, grzanki, dżem, jajecznica, boczek, herbata.

Jedni narzekali, że porcje są za małe, inni, że za duże.

Marlowe wziął tylko jajecznicę i herbatę. Zmieszał jajka z odrobiną ryżu, który zachował z wczorajszego dnia, i z wielką przyjemnością jadł.

Oderwał wzrok od jedzenia, kiedy do baraku wpadł Drinkwater.

- A, Drinkwater - zatrzymał go. - Ma pan chwilkę czasu?

- Ależ tak, oczywiście.

Drinkwater był zaskoczony niespodziewaną uprzejmością Marlowe'a. Jednakże obawiając się, że wybuchnie nienawiścią, jaką do niego żywił, spuścił w dół swoje niebieskie wyblakłe oczy. Spokojnie, Theo, mówił sobie w duchu. Wytrzymałeś tyle miesięcy, wytrzymaj i teraz. Jeszcze tylko kilka godzin i będziesz mógł o nim zapomnieć, tak samo jak o tych wszystkich strasznych ludziach. Lyles i Blodger nie mieli najmniejszego prawa cię kusić. No i mają to, na co zasłużyli.

- Pamięta pan to królicze udko, które pan mi ukradł?

Drinkwaterowi błysnęły oczy.

- O czym... o czym pan mówi?

Siedzący po drugiej stronie przejścia Phil przestał się drapać i spojrzał na nich.

- No, niech pan się przyzna, Drinkwater - mówił Marlowe. - Mnie jest już wszystko jedno. Po co, u licha, miałbym się tym przejmować? Wojna skończona i mamy ją za sobą. Och, musi pan przecież pamiętać to królicze udko.

Drinkwater był za sprytny, żeby tak łatwo dał się podejść.

- Nie pamiętam - burknął, choć miał wielką ochotę powiedzieć, że było wyśmienite, wyśmienite!

- Wie pan, to wcale nie był królik.

- Doprawdy? Przykro mi, Marlowe, ale to nie ja. I do dziś nie mam pojęcia, kto to wziął, cokolwiek to było!

- Powiem panu, co to było - rzekł Marlowe, rozkoszując się tą chwilą. - To był szczur. Mięso szczura.

Drinkwater roześmiał się.

- To zabawne, co pan mówi - powiedział z drwiną.

- Ależ to naprawdę było szczurze mięso! Naprawdę. Złapałem szczurę. Był wielki, włochaty i cały w strupach. Chyba miał dżumę.

Broda Drinkwatera zadrżała i zatrzęsły mu się szczęki.

Phil mrugnął porozumiewawczo do Marlowe'a i kiwnął radośnie głową.

- Tak jest, pastorze. Był cały w strupach. Widziałem, jak Peter ściągał mu z nogi skórę...

W tym momencie Drinkwater zwymiotował na swój piękny, czysty mundur, a potem wybiegł i zwymiotował po raz drugi. Marlowe wybuchnął śmiechem i wkrótce zatrzęsł się od śmiechu cały barak.

- O Jezu - powiedział Phil słabym głosem. - Genialnie to wymyśliłeś, Peter. Żeby wmówić mu, że to był szczur! Rany boskie! A to się łajdakowi odpłaciłeś!

- Ależ to był naprawdę szczur - zaprotestował Marlowe. - Tak mu podłożyłem, żeby ukraść.

- A pewnie, pewnie - przyznał z ironią Phil, machając odruchowo packą na muchy. - Tylko nie próbuj ulepszać tej fantastycznej historii! To było kapitalne!

Marlowe zrozumiał, że mu nie uwierzą, więc zamilkł. Nikt by mu nie uwierzył, chyba że pokazaliby fermę... Boże! Ferma! Na myśl o niej zrobiło mu się niedobrze.

Załóżł nowy mundur. Na pagonach widniały kapitańskie gwiazdki. Na lewej piersi lotnicze skrzydełka. Ogarnął wzrokiem swoje rzeczy: pryczę, moskitierę, sien-
nik, koc, sarong, koszulę roboczą, wyświechtane szorty, dwie pary chodaków, nóż, łyżkę i trzy aluminiowe miski. Zgarnął wszystko, co leżało na pryczy, wyniósł przed barak i podpalił.

- Ej, ty... Ach, przepraszam, panie kapitanie - powiedział sierżant. - Ogniska grożą pożarem.

Sierżant był spoza obozu, ale Marlowe przestał już się bać obcych.

- Zjeżdżaj - warknął.

- Ale panie kapitanie...

- Powiedziałem: zjeżdżaj, do jasnej cholery!

- Tak jest, panie kapitanie.

Sierżant zasalutował, a Marlowe ogromnie się ucieszył, że już się nie boi obcych. Podniósł rękę, żeby mu odsalutować, ale pożałował tego, ponieważ nie miał na głowie czapki.

- Gdzie się, u licha, podziała moja czapka - powiedział, chcąc zatuszować pomyłkę, i wszedł z powrotem do baraku, czując nawrót strachu przed obcymi. Zdusił go jednak i przysiągł sobie na wszystko, że już nigdy, przenigdy nie będzie się bał.

Włożył czapkę i wyjął ze schowka puszkę sardynek. Wsunął ją do kieszeni, zszedł po schodkach baraku i ruszył ścieżką wzdłuż ogrodzenia. Changi było niemal całkowicie puste. Dzisiaj tym samym konwojem co on odjeżdżały ostatnie angielskie oddziały. Opuszczały obóz. Dawno temu wyjechali Australijczycy, a jeszcze wcześniej od nich Amerykanie. W końcu należało się tego spodziewać. Anglicy są powolni, ale za to niezawodni.

Marlowe zatrzymał się przed barakiem amerykańskim. Brezentowa płachta zwisała z dachu, smutno trzepocząc na wietrze, który należał do przeszłości. Marlowe po raz ostatni wszedł do środka.

Barak nie był pusty. Stał w nim Grey, ubrany w mundur i błyszczące buty.

- Przyszedł pan po raz ostatni spojrzeć na miejsce swoich triumfów? - spytał nienawistnie.

- Można to i tak określić - odparł Marlowe. Skręcił papierosa, wrzucił nadmiar tytoniu do pudełka. - A więc wojna skończona. Staliśmy się równi sobie, pan i ja.

- Właśnie - powiedział Grey ze ściągniętą twarzą, mierząc go zmijowatym wzrokiem. - Nienawidzę pana.

- Pamięta pan Dina?

- Bo co?

- Był pańskim donosicielem, prawda?

- Chyba już nie muszę się z tym kryć.

- Król dobrze o tym wiedział.

- Nie wierzę.

- Dino informował pana na polecenie. Polecenie Króla! - rzekł Marlowe i roześmiał się.

- Kłamie pan jak z nut!

- A po cóż miałbym to robić? - spytał Marlowe, nagle poważniejąc. - Czas kłamstw minął. Skończył się. A Dino robił to naprawdę na polecenie Króla. Przypomina pan sobie, że zawsze zjawiał się pan o ułamek sekundy za późno? Zawsze.

O mój Boże, pomyślał Grey. Tak. Tak, teraz to widzę.

Marlowe zaciągnął się papierosem.

- Król uznał, że jeśli nie będzie pan dostawał prawdziwych informacji, to

naprawdę zacznie pan się rozglądać za donosicielem. Dlatego sam go panu podsunął.

Grey poczuł się nagle bardzo, bardzo zmęczony. Tyle rzeczy nie mógł zrozumieć. Tyle było niepojętych spraw. Wtem spojrzał na Marlowe'a i widząc jego szyderczy uśmiech, zawrzał na wspomnienie wszystkich doznanych krzywd. Skoczył pod ścianę, przewrócił kopniakiem łóżko Króla, porozrzucił jego rzeczy, a potem obrócił się gwałtownie.

- Bardzo chytrze! Ale ja widziałem, jak go usadzono, i doczekam się, że pana też usadzą. Pana i pańską zgniłą klasę!

- Doprawdy?

- A żeby pan wiedział! Już ja pana załatwię, choćby mi to miało zająć resztę życia. W końcu pana zwyciężę. Skończy się kiedyś pańskie szczęście.

- Szczęście czy pech nie mają z tym nic wspólnego.

Grey wycelował palec prosto w twarz Marlowe'a.

- Miał pan szczęście dobrze się urodzić. Miał pan szczęście przeżyć Changi. Więcej, udało się panu ocalić swoją niepokalaną duszyczkę!

- O czym pan mówi? - spytał Marlowe, odpychając rękę Greya.

- O zepsuciu. O moralnym zepsuciu. W samą porę pan się uratował. Jeszcze kilka miesięcy nasiąkania złem w towarzystwie Króla, a zmieniłby się pan bezpowrotnie. Już powoli stawał się pan kłamcą i oszustem takim jak on.

- Król nie był zły i nikogo nie oszukiwał. Po prostu przystosował się do sytuacji.

- Żałosny byłby ten świat, gdyby każdy tłumaczył w ten sposób swoje czyny. Istnieje coś takiego jak moralność.

Marlowe rzucił skręta na podłogę i rozgniół go.

- Nie powie pan chyba, że wolałby pan umrzeć pełen cnót, niż żyć ze świadomością, że zgodził się pan pójść na niewielki kompromis.

- Niewielki? - Grey roześmiał się chrapliwie. - Sprzedał pan wszystko. Honor, uczciwość, godność... I to za co? Za jałmużnę od najgorszego drania w tym bagnie!

- Właściwie to Król cenił sobie honor wcale wysoko. Ale pod jednym względem ma pan rację. Rzeczywiście mnie zmienił. Przekonał mnie, że ludzie są tacy sami, bez względu na pochodzenie. To była lekcja przeciwna wszystkiemu, czego mnie nauczono. Dlatego też źle postąpiłem, drwiąc z tego, na co nie miał pan wpływu, i za to przepraszam. Natomiast nie przestałem gardzić panem za to, jaki pan jest.

- Ja przynajmniej się nie zaprzedałem!

Grey, na którego mundurze pojawiły się wilgotne smugi potu, wrogo

wpatrywał się w Marlowe'a. W duchu jednak dławiała go nienawiść do samego siebie. No a Smedly-Taylor? - zadawał sobie pytanie. Tak, ja też się zaprzedałem. Ja też. Ale ja przynajmniej wiem, że postąpiłem źle. Tak, wiem o tym. Tak samo jak wiem, dlaczego to zrobiłem. Wstydzilem się swojego pochodzenia, chciałem należeć do wyższych sfer. Do tych, do których ty, Marlowe, należysz. W wojsku. Ale teraz gwizdzą na to.

- Wy, łajdaki, trzymacie świat w garści - powiedział na głos. - Ale to już niedługo potrwa. Daję słowo, skończy się raz na zawsze. My, ja i mnie podobni, wyrównamy rachunki. Nie po to biliśmy się na tej wojnie, żeby nas opluwano. Jeszcze się policzymy.

- Życzę powodzenia!

Grey starał się zachować równy oddech. Z wysiłkiem rozprostował zaciśnięte w pięści palce i starł pot zalewający mu oczy.

- Ale z panem, z panem nie warto się bić. Pan umarł!

- Sęk w tym, że obaj jesteśmy jak najbardziej żywi.

Grey odwrócił się i podszedł do drzwi. Stanąwszy przy schodach, obrócił się w stronę Marlowe'a.

- Właściwie to powinienem podziękować panu i Królowi za jedno - powiedział zjadliwie. - Dzięki nienawiści do was obu utrzymałem się przy życiu.

Powiedziawszy to odszedł, nie oglądając się za siebie.

Marlowe popatrzał na obóz, a potem jeszcze raz na wnętrze baraku i rozrzucone rzeczy Króla. Podniósł talerz, na którym niegdyś jedli jajka, i zobaczył, że zdążył na nim osiąść kurz. Machinalnie postawił na nogi stół, a na nim talerz, i zamyślił się. Myślał o Greyu i o Królu, o Samsonie i Seanie, o Maxie i Texie, o tym, gdzie może być żona Maca i czy N'ai była tylko snem, myślał o japońskim generale, o przybyszach spoza obozu, o domu i o Changi.

Czy ja wiem, czy ja wiem, zastanawiał się bezradnie, czy to źle się przystosować? Czy to źle starać się przeżyć? Co bym zrobił na miejscu Greya? A co on by zrobił na moim miejscu? Co jest dobre, a co złe?

Pomyślał z bólem, że jedyny człowiek, który - być może - potrafiłby odpowiedzieć mu na to pytanie, zginął w mroźnych falach morza pod Murmańskim.

Jego wzrok napotkał przedmioty należące już do przeszłości: stół, na którym opierał chorą rękę, łóżko, na którym się ocknął, ławę, na której siadywał z Królem, fotele, na których siedzieli i śmiali się - zestarzałe, butwiejące.

W kącie leżał zwitek japońskich dolarów. Marlowe podniósł je, przyjrzał się im, a potem wypuścił z rąk jeden po drugim. Łądujące na podłodze banknoty obsiadł rój much, który zrywał się i znów je obsiadał.

W progu Marlowe zatrzymał się.

- Żegnajcie - powiedział, ostatecznie rozstając się ze wszystkim, co niegdyś należało do jego przyjaciela. - Żegnajcie i dziękuję.

Wyszedł z baraku i podążył wzdłuż muru więzienia do bramy obozu, gdzie czekał cierpliwie konwój ustawionych rzędem ciężarówek.

Przy ostatniej z nich stał Forsyth, który wprost nie posiadał się z radości, że jego zadanie dobiegło końca. Ledwo się trzymał na nogach, a w oczach miał piętno Changi.

Wydał komendę do odjazdu.

Ruszyła pierwsza ciężarówka, za nią druga i trzecia, aż wreszcie wszystkie opuściły obóz. Marlowe tylko raz obejrzał się za siebie.

Był już wtedy daleko.

Changi przypominało perłę w szmaragdowej muszli, niebieskobiałą perłę pod kopułą nieba tropików... Zajmowało niewielkie wzniesienie, otoczone zewsząd pasem zieleni; nieco dalej zieleń ustępowała miejsca zielonkawoniebieskiemu morzu, a morze gubiło się w nieskończoności horyzontu.

Marlowe odwrócił głowę i tak jak inni nie obejrzał się więcej.

Tej nocy było w Changi pusto. Ludzie odjechali. Zostały tylko owady.

I szczury.

Były tam, gdzie zawsze. Pod barakiem. Wiele ich padło, bo ci, którzy je schwytali, zapomnieli o nich. Ale najsilniejsze żyły nadal.

Adam darł pazurami siatkę, żeby przedrzeć się na drugą stronę, do jedzenia. Rzucił się na nią i szarpał z tą samą zawziętością, z jaką robił to niezmiennie od dnia, w którym go zamknięto. I wytrwałość jego została nagrodzona. Ścianka klatki puściła, a on dopadł jedzenia i pożarł je. A kiedy odpoczął, ze zdwojoną siłą rzucił się na następną klatkę, aż z czasem pożarł znajdujące się w niej mięso.

Przyłoczyła się do niego Ewa i nasycił się nią, a ona nim, i zaczęli buszować razem. Później z jednej strony rów się zawalił, wiele klatek otwarło i żywi karmili się martwymi, słabi stawali się pokarmem dla silnych, aż ci, którzy przetrwali, byli równi siłą. I buszowali, i walczyli między sobą.

A rządził Adam, bo był Królem. Aż do dnia, kiedy wola, żeby być Królem, opuściła go. Wówczas padł, służąc za pokarm silniejszemu. Bo Królem jest zawsze najsilniejszy, nie tylko dzięki samej sile, ale dzięki sile, sprytowi i szczęściu. Królem wśród szczurów.